

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1899.

TOM III.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XCV.

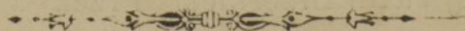
WARSZAWA.
DRUK JANA COTTY,
ulica Kapucyńska № 7.

1899.

Дозволено Цензурою.
Варшава 15 Сентября 1899 года.



SPIS RZECZY.



Petersburg, d. 11 lipca. Komunikat ministra Najwyższego Dworu:

W dniu 10 lipca o godz. 9 m. 35 rano w Abas-Tumanie spoczął w Bogu JEGO CESARSKA WYSOKOŚĆ NASTĘPCA TRONU CESARZEWICZ I WIELKI KSIĄŻĘ JERZY ALEKSANDROWICZ. Śmierć JEGO CESARSKIÉJ WYSOKOŚCI nastąpiła wskutek nagłego i silnego krwotoku gardłem.

MANIFEST NAJWYŻSZY.

MY,

z łaski Bożéj,

MIKOŁAJ II-gi,

CESARZ I SAMOWŁADCA WSZECHROSYJSKI,

KRÓL POLSKI,

WIELKI KSIĄŻĘ FINLANDZKI,

itd. itd. itd.

Wiadomo czynimy wszystkim Naszym wiernym poddanym:

Dnia 28-go bieżącego miesiąca czerwca, zmarł w Abas-Tumanie Ukochany Brat Nasz, Cesarzewicz Następca Tronu, Wielki Książę Jerzy Aleksandrowicz. Zdawało się, że

choroba, która dotknęła Jego Cesarską Wysokość, może ustąpić pod wpływem kuracyi i klimatu południowego, ale Bóg rozrządził inaczéj. Poddając się bez szemrania woli Bożéj, wzywamy wszystkich Naszych wiernych poddanych, aby dzielili z Nami serdeczną boleść i połączyli się w modłach gorących za spokój duszy zmarłego Brata Naszego.

Od dnia dzisiejszego, dopóki Bogu nie spodoba się pobłogosławić Nas narodzeniem Syna, najbliższe prawo następstwa Tronu Wszechrosyjskiego, na ścisłéj zasadzie prawa zasadniczego państwowego o następstwie Tronu, należy do Najukochańszego Brata Naszego, Wielkiego Księcia Michała Aleksandrowicza.

Dan w Peterhofie, dnia 28 czerwca, roku od Narodzenia Chrystusa tysiąc ośmset dziewięćdziesiątego dziewiątego, Panowania Naszego piątego.

Na oryginale własną Jego Cesarskiéj Mości ręką napisano:

MIKOŁAJ.





Nasz dorobek artystyczny.

Wracając do Paryża po chwilowym w kraju pobycie, miałem sposobność oglądać w przeciągu niespełna dni kilkunastu wystawy obrazów w Warszawie, Krakowie i pobratymczéj Pradze. Stąd tłoczyło mi się wiele uwag, wiele porównań, tém bardziej, że trafiłem na chwilę bardziéj ożywioną, kiedy w warszawskim salonie Krywulta była „Sztuka", w krakowskich Sukiennicach — wystawa pośmiertna prac Kossaka Juliusza, a w Pradze — 60-ta doroczna wystawa związku artystycznego.

Z przykrością mnie, warszawiakowi, wypada wyznać, że Warszawa słabiéj w tym porównawczym przeglądzie się przedstawia. Nie powiem, żeby Kraków lub Praga zgromadziły same dzieła doskonałe, ale jakieś piękno artystyczne, jakiś wyższy, na ogół biorąc, stopień poczucia estetycznego wieje od tych wystaw na widza.

Wprawdzie na to niekorzystne wrażenie wpływa w znacznéj części ta nieodpowiedniość lokalów, jakie obie wystawy warszawskie zajmują. Lokale te są wprost niemożliwe, no i szczęściem będą podobno niedługo porzucone. Lokal Krywulta w hotelu Europejskim jest niżéj wszelkiéj krytyki. Żadnego obrazu nie można powiesić tak, żeby światło miał dobre i żeby się można było należycie odeń odsunąć. Przy téj ciasnocie i egipskie ciemności panują tam, szczególniéj w pochmurne dnie zimowe, więc winszujemy panu Krywultowi decyzyi porzucenia téj siedziby. Towarzystwo Zachę-

ty Sztuk Pięknych, siedzące téż na komornem i pod grozą znalezienia się na bruku, łata biedę jak może, aby jako tako przeczekać aż do chwili przeniesienia się do własnego gmachu. Skutkiem tego ani jedna ani druga wystawa, mimo najlepszych chęci zarządu, nie może być urządzona odpowiednio. Są to raczéj składy sklepowe obrazów zawieszonych, gdzie się da i jak się da, niż wystawy artystycznie obmyślone.

Inna jest jednak cecha odczuwająca się na wystawach warszawskich, a nie mająca nic wspólnego ze złemi warunkami wystawienia: jest nią brak wrażliwości estetycznéj u wielu autorów obrazów. Obrazy ich są narysowane i malowane względnie poprawnie, ale to takie jakieś surowe w sharmonizowaniu barw, takie pospolite, trywialne nieraz w pomyśle, tak się tam kłóci wszystko ze sobą: barwy, linie i plastyka, że na widzu subtelniejszym robi to podobne wrażenie jak papuzie stroje, w jakich się delektują nasze wiejskie dziewczyny.

Natura posiada niezmiernie bogate barwy, które skąpane w świetlanéj atmosferze, nigdy dość świetnie nie mogą być przez malarza powtórzone. Lecz w téj jaskrawości barw panuje harmonia dzięki jednemu i temu samemu źródłu oświetlenia, które przesycając całe powietrze, kładzie na każdy przedmiot jakąś patynę artystyczną, harmonizującą go z otoczeniem.

Na takiém tle lokalném zjawienie się wystawy „Sztuki” musiało zrobić bardzo dodatnie wrażenie. Pod nazwą „Sztuka” utworzyło się kółko artystów krakowskich, lwowskich i warszawskich, pragnących śród szarzyzny naszéj tuzinkowéj i na sprzedaż obliczonéj produkcyi zaznaczyć się idealniejszym prądem. Tworzyć i wykonywać dla wewnętrznéj potrzeby tworzenia, nie myśląc o ułatwieniu sobie zbytu, służyć pięknu i sztuce, nie zaś napchanéj kiesie pseudo-mecenasów sztuki: oto zdaje się, że są takie główne przyczyny wytworzenia się tego zamkniętego kółka artystów, które przybrało nazwę „Sztuki”.

Wystąpiła ona z drugą swoją wystawą. Pierwszéj, nie będąc w kraju, nie widziałem, a więc porównań robić nie mogę. Powiadają, że pierwsza była lepsza, a że druga zgromadziła głównie dorywcze notaty i szkice. Gdyby i tak było, to niechby tylko te notatki posiadały piętno talentu i cechy prawdy, a wystarczyłoby to dla uczynienia wystawy interesującą. Publiczność nasza, jak zresztą prawie każda, jest zmanierowana na punkcie pojęcia o „wykończeniu” obrazu. Żeby obraz zasłużył u niéj na miano „skończonego”, musi być zamalowany starannie od brzegu do brzegu, że tak powiem, zaciągnięty farbą równo jak posadzka. Umyślnie szeroko traktowane

tło na portrecie, lub tylko z lekka przetarte farbą płótno, wywołuje ocenę, że obraz ten jest niedokończony i że artysta lekceważy publiczność. Cóżby taka publiczność powiedziała o znakomitych portretach Bonnat'a, gdzie tło zwykle jest tylko podmalowane jednobarwnie szerokiemi sztrychami, przypominającemi sztrychy węgla? Cóżby powiedziała na przepyszne pejzaże nocne Thaulowa, gdzie cały obraz jest tylko przecierany rzadką farbą, a jaśniejsze miejsca, np. białe obłoki, zrobione są za pomocą wprost starcia farby i ukazania białego płótna? Te arcydzieła uchodziłyby zapewne za prace niedokończone.

Naodwrót, obrazy nędzne, ale tak wypracowane, że ta praca i wysiłki tkwią na powierzchni płótna, budząc odrazę u ludzi mających jakieś poczucie subtelniejsze, takie obrazy, nie posiadające ani tonu, ani harmonii barw, brudne, czarne, koszlawe, nieartystyczne- są przyjmowane przychylnie i noszą nazwę „skończonych“.

Również co do treści pewne tematy noszą nazwę szkiców lub studyów, bez względu na sumę włożonéj pracy i interesu malarskiego jaki sobą obudzają.

Często to, co nazywamy pospolicie szkicem lub studyum, nietylko posiada wiele interesu dla znawców, ale i dla szerszéj publiczności jest bardziéj pouczającém, niż niejeden obraz z całą swą pretensyą do kompozycyi i wykończenia.

Naprzykład szereg studyów, na których widzimy ten sam bezpretensyonalny kawałek natury, ale przybierający coraz to inne barwy i efekt z powodu rozmaitego oświetlenia, różnych momentów dnia, pór roku, stanu atmosfery..., o wieleż lepiéj uczy publiczność dostrzegać i odróżniać te najrozmaitsze fazy kalejdoskopowo zmiennéj natury, niż jeden pojedyńczy obraz, w którym jest przedstawiony tylko jeden z takich momentów i gdzie w dodatku uwaga widza odciągnięta jest jakąś kompozycyą, jakiemiś figurkami, których zadaniem ma być niby „ożywienie” tego pejzażu i uczynienie go bardziéj sprzedażnym.

Natura żyje sama przez się i nie potrzebuje „ożywiania” przez anegdotyczne zestawianie na jéj tle figurek. Na takim szeregu obrazów, o zmieniających się barwach i oświetleniach, widz uczy się zdawać sobie sprawę z tych różnic, ma je bowiem zgromadzone obok siebie i może robić porównania, gdy w naturze albo niedostatecznie te różnice dostrzegał, albo wiedząc o ich istnieniu, nie umiał sobie zdać sprawy na czém polegają. Tymczasem szereg takich studyów uczy go późniéj dostrzegać te same cechy i w naturze. Artysta na takich studyach uczy niezmiernie widzów, ale maluje je nie

w tym celu, lecz dla własnéj potrzeby wyładowania swego wirtuozostwa i dla własnych badań.

Więc wszystko ma racyę bytu na wystawie: zarówno szkic i studyum jak obraz, byleby nosiło jedno i to samo piętno — piętno dobrego wykonania i sumiennéj obserwacyi, popartéj talentem. Na odwrót, szkic nieudany, jak i zły obraz, nie powinny nigdy szpecić ścian wystawy i psuć gustu publiczności.

Z tego punktu widziana wystawa „Sztuki” u Krywulta robi bardzo dodatnie wrażenie. Gromadzi ona zarówno prace większe o szerszém założeniu, jak i drobniejsze studya równie artystyczną cechę noszące.

Mamy tu przedewszystkiém szereg cały portretów lub studyów portretowych.

Augustynowicz Aleksander dał portret p. Cz., który był bardzo dobry, gdyby nie jakiś fałszywy skrót nóg, czyniący, że model zupełnie nie siedzi na fotelu. Tenże artysta jednocześnie wystawił w Zachęcie Sztuk Pięknych „Portret damy” i „Portret damy wiekowéj”; obydwa doskonałe, plastyczne, żywe i dobrze skombinowane.

Aksentowicza Teodora szereg główek pastelowych ma dużo wdzięku, lekkości, ale mniéj duszy i prawdy.

Boznańska Olga w „portrecie pana W.” wyraziła to, o czém wielu nawet bardzo utalentowanych artystów, choć wie, jednak zdaje się w pracach swych ignorować, a mianowicie, że kontur i rysunek są to rzeczy niezbędne dla stworzenia każdéj pracy malarskiéj, ale w rzeczywistości one nie istnieją. Malując realistycznie, trzeba więc się niemi posługiwać, ale nie pozwolić im rozpościerać się w widoczny sposób na obrazie. W przeciwnym razie obraz stanie się pokolorowanym rysunkiem.

Najzupełniéj błędném, a niezmiernie rozpowszechnioném jest mniemanie, że widzimy w naturze i barwy i kształty.

Prosta logika nam przypomina, że zmysł wzroku — może odczuwać tylko barwy, kształty zaś podpadają pod inny zmysł, — zmysł dotyku. Jeśli odgadujemy kształty za pomocą wzroku, to tylko dzięki barwom. Kształt bez odrębności barwnéj przepada dla wzroku, a barwa zawsze jest dlań dostrzegalną, bez względu jakie kształty przybierze.

Naturę więc widzimy nie pod postacią form i kształtów, ale pod postacią zbiorowiska plam barwnych.

Oto przykład: gdy nam upadnie szpilka ze szklanym łebkiem zielonym na tło również zielone, np. na dywan lub trawnik, wówczas

nie możemy jéj z łatwością odszukać. Gdyby jednak łebek był czerwony, od pierwszéj chwili by się nam rzuciła w oczy. Poszukiwania by jednak bynajmniéj nam nie ułatwiła zmiana kształtu łebka. Czy on jest kanciasty, czy kulisty, czy téż podługowaty, to trudność pozostanie taka sama, o ile barwa łebka jest zbliżona do barwy tła. Któż z nas nie pamięta z dzieciństwa, że łatwiéj nam było, siedząc na drzewie, wyzbierać wszystkie wiśnie czerwone, niż wszystkie jabłka i gruszki zielone, lub orzechy włoskie w łupinach. Łatwiéj zrywać gronka porzeczek, niż duże ziarna agrestu zielonego, a to tylko z tego powodu, że gruszki, jabłka, orzechy i agrest, mimo że większe od wiśni i porzeczek, jednak ginęły dla naszego oka śród podobnéj zieleni liści. Jeśli odczuwamy wzrokiem kształt, to dzięki tylko wyrobionemu doświadczeniu, że na przedmiocie, który zmysł dotyku uznaje np. za kulisty, światło się rozkłada w ten a nie w inny sposób. Stąd powstaje ustopniowanie oświetlenia, czyli cieniowanie się przedmiotu. Ale to cieniowanie się przedmiotów nie jest niczém inném, tylko zmienianiem się barwy pod wpływem rozmaitéj siły oświetlenia, refleksów i t. p. Przedmiot tak w świetle jak i w cieniu jest pewnéj barwy, i widzimy go tylko dzięki téj barwie. Gdybyśmy widzieli kształty i linie, tobyśmy mogli malować przedmioty białe na takiém samém tle białém, zielone na zieloném i t. p., bez obawy, że te przedmioty zatrą się dla oka widza. Jeśli dbamy o harmonijne kontrasty i umieszczamy przedmioty jasne na tle ciemném, a ciemne na jasném, ciepłe na tle zimném, a zimne na ciepłém, jeśli staramy się o zestawienie różnych barw podnoszących się w kontrastowości przez sąsiedztwo, to dla tego, że artysta oddziaływać może na wzrok widza jedynie za pomocą barwy, i forma, jeśli staje się dostrzegalną, te téż dzięki barwie.

Boznańska więc, wyznając zdaje się tę zasadę, a raczéj prawo, przedstawia naturę jako zbiór plam barwnych. Dobre rozmieszczenie każdéj plamy barwnéj dowodzi umiejętności rysunku, który jednak powinien w obrazie znikać zupełnie, tak jak znika rusztowanie po wybudowaniu domu, mimo że było niezbędne do jego postawienia.

Wyczółkowskiego Leona portrety są pełne życia, siły i brawury wykonania, co jednak nie przeszkadza postawieniu zapytania, dlaczego jeden z nich, mówiąc nawiasem, wyborny, jest malowany na samym brzegu obrazu, z zostawieniem wielkiéj pustéj przestrzeni po za plecami modelu, która jakby oczekiwała na umieszczenie tam jednéj lub kilku nowych figur? Napróżno szukałem wytłómaczenia, gdyż nie mogłem tego uważać za chęć wyrażenia ruchu dla pokaza-

nia, że ten pan idzie i już zostawił pewną przestrzeń po za sobą. Przedewszystkiém ruch i przebywanie przestrzeni wyraża się w układzie figury, postać tymczasem mężczyzny robi wrażenie stojącéj na miejscu i pozującéj z dużą nawet dozą królewskości teatralnéj.

Wyobrazić sobie, że w takiéj pretensyonalnéj pozie i ze zwróconą w bok głową ktoś przebywa przestrzeń, byłoby wprost niemożliwém. Musiałem więc odrzucić to przypuszczenie, a innego niestety, oprócz kaprysu artysty, nie znalazłem.

Jak wybornie można wyrazić ruch postaci, bez zostawiania na obrazie po za nią niby przebytéj pustéj przestrzeni, może za dowód służyć z zeszłorocznego salonu paryskiego obraz Burnanda, p. t. „Uczniowie Piotr i Jan biegnący do grobu w dzień Zmartwychwstania". Ten bieg jest wybornie wyrażony, mimo, że postacie są pośrodku obrazu i, co ważniejsza, mimo że są przedstawione tylko do połowy figur.

Mówiąc o portretach, nie mógłbym nie wymienić znakomitéj pracy Pankiewicza Józefa. Przedstawia ona wnętrze przy oświetleniu lampy z abażurem, która jednak jest po za ramą obrazu. W oświetleniu tém wybornie z tła występuje śliczna figurka biała kilkoletniéj dziewczynki, wdzięczącéj się po dziecinnemu do widza. Ciemna sylwetka damy siedzącéj odgrywa rolę dodatkową i drugorzędną, mimo że znajduje się na bliższym planie, a to w skutek tego, że się rozpływa w ciemném tle, gdy cała siła światła lampy skierowana jest na dziecko.

Portret ten przedewszystkiém cechuje niezmierna prawda i odczucie charakteru wieczornego oświetlenia lampy, które jest oddane ze wszystkiemi jego cechami.

Któż nie pamięta najrozmaitszych faz działalności Pankiewicza? Zaczyna on swą karyerę pod wpływem Gerymskiego, niezmiernie sumiennemi, realistycznie pojętemi scenami z życia warszawskiego, następnie w Paryżu staje się zapalonym zwolennikiem impresyonistycznego wibryzmu, malując cętkami barw surowych, co sprowadza nań gromy krytyków warszawskich i śmiech publiczności, a co czyni go coraz zawziętszym w obranym kierunku i coraz bardziéj krańcowym. Następnie wracając do spokojniejszéj techniki, zaczyna szukać efektów wyjątkowych, często wyobrażających noc, oświetlenie księżyca i t. p., i znów dają się słyszeć głosy, że jego obrazy, jak były zbiorowiskiem jaskrawych plamek, tak teraz są jedną wielką czarną plamą na któréj się nic nie widzi i z któréj nic zrozumiéć nie można. Nie będę tu dowodził, o ile takie zdania były bezpodstawne. Dziś zdaje się Pankiewicz jakoby wracał do tego

miejsca, z którego rozpoczął swą karyerę, lecz o ile doskonalszy i subtelniejszy! Ta zmienność kierunków — to jest właśnie dowód prawdziwego talentu, który zmusza artystę do nieuniknionego badania, do ciągłego niezadowolenia z otrzymanych rezultatów i do rzucania jednych dróg, aby szukać drugich. Aby tylko artysta robił to z głębokiego przekonania, to przerzucanie się takie od kierunku do kierunku tylko na wydoskonalenie się talentu wpływa. Nie jest to rzemieślnik, szczęśliwy że znalazł sposobik podobający się publiczności, ale artysta wiecznie ze siebie niezadowolony, ciągle pragnący znaleźć coś lepszego i doskonalszego.

Mówiąc o przerzucaniu się z jednego kierunku do drugiego, odrazu się nasuwa na myśl działalność Chełmońskiego. Wielki jego obraz p. t. „Czwórka", malowany jest przed ośmnastu laty. Jakaż zmiana w pojęciach artysty i w zapatrywaniu się na naturę!

Zapominając o tym obrazie, jako o obrazie, i uważając go jako olbrzymią rysunkową ilustracyę, trzeba się zachwycać niezmierną siłą pędzenia téj czwórki wprost na widza i wielką plastyką w modelacyi, ale gdzie się zaczyna barwa, tam tak nas Chełmoński zepsuł swemi późniejszemi obrazami, pełnemi powietrza i koloru, że to wielkie płótno malowane na manierę monachijską, budzi zapytanie, dlaczego artysta dał to na wystawę „Sztuki", która zapewne ma za zadanie dawać prace ostatnie, wyrażające to, co artysta *teraz* czuje i do czego *teraz* dąży? Chełmoński dziś nie namalowałby w ten sposób téj „Czwórki", a gdyby ją umyślnie postarał się tak namalować, toby był w niezgodzie ze sobą samym. Obraz jest aktem wiary artystycznéj malarza, jakżeż więc za ten akt podawać to, w co się już nie wierzy?

Dla nas artystów, znających naszą sztukę, było bardzo ciekawém zobaczyć lub przypomniéć sobie dawniejszą pracę Chełmońskiego — pracę, która ma duże zalety. Obraz ten widziałem obecnie po raz pierwszy, a rzuciwszy tylko okiem, przedewszystkiém zacząłem szukać na nim daty, tak ten obraz kłócił się z pojęciem, jakie sobie wyrobiłem o obecnéj technice Chełmońskiego. Zapewniwszy się, że to rzecz dawna, mogłem się już spokojnie dziełu przypatrywać i nad ewolucyą talentu artysty zastanawiać. Ale ta szersza publiczność, która za sztuką nie śledzi, która daty się nie doszukuje, jest w błąd wprowadzana, biorąc ten obraz logicznie za jedno z ostatnich dzieł Chełmońskiego. O ile obraz ten powinienby figurować na zbiorowéj wystawie prac tego artysty, o tyle dziwi na *dorocznéj* wystawie „Sztuki".

Mehoffer Józef, artysta z niezaprzeczonym talentem, dał prac wiele, może za wiele w stosunku do wartości w nie włożonéj. Jeśli Stanisławski Jan dał drobne studya i notaty, których wystawienie ogółowi sprawozdawców się nie podobało, a które uważam za mające równe prawo do wystawienia co dziesięcio-metrowe płótna, gdyż zawierają pewną całość dającą widzowi pewien skończony rezultat obserwacyi artysty, to większość szkiców Mehoffera jest tak traktowaną, że nie robi wrażenia kompletnego zanotowania odebranego wrażenia. W technice również jakby silenie się na twardość i brutalność drażni u artysty, który zdobywał się na nierównie lepsze rezultaty. Najlepszym bez zaprzeczenia jest portret p. K., gdzie artysta właśnie dał to, czego od niego ma prawo widz wymagać: pełność odebranego wrażenia. Kilka typów téż jest ciekawie zanotowanych.

Bruzdowicz Franciszek namalował doskonały w tonie „Cmentarz". Po za staremi drzewami widać sylwetkę drewnianéj kapliczki na tle złotego nieba wieczornego. Nastrój melancholijny gasnącego dnia, żółtéj jesieni i starego zaniedbanego cmentarza łączą się z sobą wybornie.

Laszczki Konstantego jest ciekawa w przeprowadzeniu stylowém głowa w rzeźbie „Średniowiecznéj".

Malczewskiego Jacka „Chimera" i „Narcyz" wyborne w niektórych szczegółach, są być może zbyt zawikłane w treści symbolicznéj, do zrozumienia któréj, choć już tytuł znacznie ułatwia drogę, jednak mimo to jeszcze trzeba przeprowadzić cały szereg kombinacyi myślowych, żeby wniknąć i w idee obrazów i intencye autora.

Artysta chciał przez nie powiedziéć: 1) że artysta jest doprowadzony do rozpaczy przekonaniem, że nigdy nie będzie w stanie wyrazić tego wszystkiego, co duszę jego przepełnia, i tak jak czuje, i dla tego te pragnienia są jego „Chimerą", która go dręczy; 2) że artysta spotyka na swéj drodze straszną pokusę, a jest nią uwielbienie dla siebie samego i swych dzieł, które go zaślepia i rozwój talentu wstrzymuje. Symbolem tego krańcowego uwielbienia jest mitologiczna postać „Narcyza", zamieniona następnie w kwiat tegoż nazwiska. Te dwie ostateczności: wątpienie o wszystkiém i samouwielbienie czyhają na przemian, aby zgubić artystę. Psychologiczne oddanie cierpień artysty z powodu tych dwóch demonów, które go przez całe życie goryczą poją, oddał Malczewski bardzo subtelnie, ale komponując, zapomniał, że symbolistyka tém jest wspanialsza, im jest prostsza i tak zrozumiała dla każdego, żeby dwóch wersyi i tłómaczeń nadać jéj niepodobna było.

Ślewińskiego Władysława jest kilka pejzażów morskich, posiadających wielką siłę ton, otrzymaną środkami niezmiernie prostemi. Wejssa Wojciecha „Melancholik” jest doskonałym portretem psychologicznym.

Na zakończenie wspomnę o „Kantyczkach” Tetmajera Włodzimierza. Różnych się zdań o nich nasłuchałem tak od publiczności, jak i artystów. Krytyka też im łatkę przypięła. Dla mnie tymczasem jest to obraz posiadający wielkie zalety, ale wystawiony w tak nieodpowiedni sposób, że zalety te robią na ogóle wrażenie wad.

Dość sporych rozmiarów obraz przedstawia izbę wiejską, oświetloną prawdopodobnie małą lampką, którą zasłania sobą pierwszoplanowa postać. Pod ścianą ława z szeregiem siedzących dziewuch, a pośrodku izby stoi stary włościanin i śpiew prowadzi. Typy ludowe Tetmajera są zawsze wierne i prawdziwe. W tym obrazie chodziło mu o przesycenie obrazu światłem lampki bez klosza, która rzuca na otoczenie światło ostre, kontrastowe, przy którém półtony nikną, refleksów brak, a przedmioty są częścią skąpane w świetle żółtawém, częścią pogrążone w atramentowéj ciemności. Tetmajer z zadania tego wywiązał się doskonale, tylko, żeby należyte wrażenie odebrać, trzebaby na obraz patrzyć z właściwego oddalenia, jakiego wymagają rozmiary obrazu i technika, oparta w niektórych szczegółach na zestawieniu barw impresyonistyczném. Niestety, obraz wisi w takim zakątku, że widz zamiast 15-tu lub 20-stu kroków może tylko odstąpić o trzy kroki, cóż więc dziwnego, że widzi się wszystko: ramy, podpis, grubość płótna, oddzielne smugi farby, ale się nie widzi najważniejszego, t. j. ogólnego tonu, i nie odbiéra się właściwego wrażenia.

*

* *

W Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych równie ciasno i tłoczno, jak na wystawie Krywulta. Tyczy się to jednak tylko obrazów, bo co do publiczności, to ta coraz bardziéj wystawy nasze zaniedbuje. W pewnéj części winien temu znaczny odłam naszéj krytyki, który zamiast budzić w publiczności zamiłowanie do sztuki i zainteresowanie się nią, to uważa za swój święty obowiązek wartość wszystkiego obniżać, wytykać co najsłabsze, słusznie lub niesłusznie artystom łatki przypinać, jedném słowem, używając wyrażenia z „Nowego dziennika” b a b r a ć wszystko i wszystkich. Takie

krytyki, pisane przez płytszych lub zaawanturowanych krytyków, bawią tylko płytszą publiczność, budząc niesmak w ludziach czujących jaśniéj zadania i obowiązki krytyka. Taki krytyk wyobraża sobie, że im bardziéj zmiażdży autora, tém większym się wyda w oczach czytelników, którzy z nabożném skupieniem wyszepczą: „gdyby on sam chciał wziąć za pędzel, wejść na katedrę prelegenta, lub napisać o téj kwestyi książkę, toby dopiéro to była praca gruntowna, głęboka i doskonała!"

Tymczasem najczęściéj ci „babrzący" krytycy pędzla w ręku nigdy nie trzymali, katedrę znają tylko o tyle, o ile w szkole byli do lekcyi „wyrwani", a talent ich literacki ogranicza się na mieszaniu z błotem pracy cudzéj produkcyjnéj i z dobremi intencyami podjętéj.

Tacy panowie „od babrania" przyczyniają się do tego, że publiczność zniechęca się i z góry jeszcze przed zobaczeniem potępia wystawione obrazy, twierdząc, że jest tam sama nędza artystyczna i t. p. Oto są rezultaty działalności użytecznéj tych panów krytyków, którzy nie mając sami zamiłowania do sztuki, nie mogą, rzecz prosta, tego zamiłowania wpajać publiczności, a którzy, co gorsza, nie mając żadnego przygotowania i wykształcenia artystycznego, nie są w stanie poinformować jéj w sposób spokojny i kompetentny o rzeczach, o których sami nie mają pojęcia. W takim razie, mając sposobność umieszczenia krytyki w jakimś pisemku, pozostaje im jedyna droga — droga zbabrania wszystkiego i wszystkich. Na to nie potrzeba ani znawstwa, ani zamiłowania do sztuki. Zresztą zdaje się to być ogólną zasadą szanowaną i po za sztuką, że kto czego nie rozumie, na czém się nie zna, ten najskłonniejszy jest do krytykowania w tém warszawskiém rozumieniu tego słowa, t. j. do „babrania".

Zaznaczywszy więc tę „znakomitą" usługę, jaką oddała naszéj sztuce i naszéj publiczności dyletancka najczęściéj krytyka, mogę jednak z przyjemnością twierdzić, że mimo niekorzystnych czasowych warunków, w jakich się Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych znajduje, mimo musowego natłoczenia dzieł słabszych z lepszemi, jednak można przed niejedném zatrzymać się z przyjemnością i pożytkiem. Mamy tu zgromadzony szereg nazwisk takich, jak Matejki, Gersona, Fałata, Alchimowicza, Malczewskiego, a obok tych firm „wyrobionych" i młodsze nazwiska, a przynajmniéj nowsze na naszéj wystawie, dowodzą, że nowe nam wciąż siły przybywają.

I tak prawdziwą rozkosz estetyczną odczuwa się przed pejzażami Wywiórskiego. Weźmy tylko dwa dla porównania. Jeden

przedstawia widok na historyczną wioskę, Studziankę, drugi jest fragmentem pola i drogi z chatą. I tu i tam śnieg całą ziemię pokrywa, lecz jakżeż inaczéj jest on na każdym przedstawiony! Na pierwszym czujemy ten śnieg jędrnym, termometr musi wskazywać daleko niżéj zera. Czyjeś stopy wycisnęły ślady. Czuć, że są one wygniecione w śniegu sypkim. Czyste, przejrzyste powietrze i cały nastrój obrazu wskazuje, że dzień jest pogodny i mroźny. Na drugim znów pejzażu widoczna odwilż panuje. Obfite zwały śniegu stały się waciasto-puszystemi. Każdy ślad wywołuje topnienie z przezroczystawo-żółtawém zabarwieniem. Oto są obrazy, wskazujące, jak artysta powinien odczuwać naturę, żeby ją oddać tak wiernie i prawdziwie, zaznaczając słabemi środkami, jakiemi rozporządza, takie nawet fenomeny natury, jak temperatura, co już zdawałoby się przechodzi granice środków malarskich. Jednakże umiejętne oddanie wszystkich cech dnia mroźnego lub odwilży musi robić na widzu wrażenie tych dwu temperatur.

W Żukowskim Stanisławie wypada mi powitać nową siłę w malarstwie pejzażowém i to siłę bardzo poważną. Kilka nadesłanych pejzażów są niezmiernie sumiennemi rezultatami obserwacyi, wyrażonych na płótnie wiernie i bezpretensyonalnie. Jego niebo po za nagiemi drzewami w „Wiośnie", chmury w „Jesiennéj niepogodzie", perspektywa w „Ciszy wieczornéj", lub śnieg we „Wczesnym śniegu", są znakomicie oddane. Może w pejzażach, gdzie promienie słońca padają bezpośrednio bądź na las daleki, bądź na śnieg pierwszoplanowy, artysta wyraził je jeszcze zbyt nieśmiało, jakby obawiając się przesady, tymczasem cóż może być jaskrawszego, wprost oślepiającego, jak słońce padające na śnieżne przestrzenie? Czy kiedy artysta był w stanie znaleźć ten blask na swéj palecie, a cóż dopiéro go przesadzić?

Piotr Andrzejewski przenosi nas nad morze, do portu z łodziami płynącemi pod żaglem, lub nad Sekwanę w chwili zapadającego zmroku. We wszystkich tych pracach przebija doskonała obserwacya i poczucie koloru. Woda jest bardzo prawdziwą.

Alchimowicz Kazimierz dał kilka miłych pejzażów śród zieleni, skał i strumyków górskich. Oprócz tego „Kornelja westalka", duży obraz przedstawiający chwilę, kiedy ją żywcem zamurowywują, wskazuje w Alchimowiczu subtelnego kolorystę. Śród pejzażystów wymienię jeszcze nazwisko Szturmana Aleksandra, którego „Wschód księżyca" jaknajlepiéj wróży o jego talencie.

Śród szeregu portretów wyróżniają się Mordasiewicza podkolorowane portrety rysunkowe.

Łempickiéj Leokadyi zwraca uwagę doskonały duży portret chłopczyka w białém ubraniu o myślącéj głowie, oraz kilka innych mniejszych główek dziecinnych. Artystka studyując długi czas w Paryżu, posiada to, co tak często naszym artystom nie dopisuje, to jest ten zmysł estetyczny i gust, który z każdéj, nawet o najskromniejszém założeniu, pracy robi dzieło sztuki umiejętnie skomponowane i stanowiące dobrze sharmonizowaną całość. A tego nam bardzo potrzeba się uczyć od Francuzów. Nadto Łempicka zdradza duże zdolności w portretach dziecinnych oddając wiernie dziecinny charakter swoich małych modeli. Téjże artystki znalazłem „Małą rekonwalescentkę", znaną mi już poprzednio z salonu paryskiego, i co powiedziałem o portretach, da się zastosować i do tego obrazu.

Wiele życia wlał Kędzierski w „Głowę" pastelową kobiéty, a Szańkowski Bolesław dużo zdradził temperamentu w „Głowie, śmiejącéj się" i w „Pokusie Ś-tego Antoniego". W temacie tak często nadużywanym oryginalnie jest pojęte zdziwienie Świętego, zaczytanego w Piśmie świętém, a którego uwagę oderwało zjawienie się nagości niewieściéj. Wogóle Szańkowski wykazuje dużą technikę i siłę w traktowaniu figur ludzkich. Jego „Hiszpanka" i „Japonka" są bardzo plastycznie i jędrnie malowane.

O doskonałych dwóch portretach, Augustynowicza już powyżéj wspomniałem. Nadmienię jeszcze o małym portreciku młodéj kobiéty, malowanym przez Dulębiankę Maryę z zachowaniem doskonałego rozkładu plam barwnych, i o portrecie kobiécym Pruss-Wiśniewskiéj, posiadającym dużo wyrazu psychologicznego.

Wiśniewskiego Władysława „Gclarz ukraiński" praktykujący pośród targu zawalonego wozami i wołami—jest wybornie zaobserwowany i malowany, a Wodzińskiego „Gra w cerceau" ma bardzo wiele dystynkcyi i subtelności w ruchach młodych panien w kostiumach z początku tego wieku.

Rzeźb spotykamy jak zwykle nie wiele, jeśli nie będziemy wliczali dawnych, usuniętych na bok, a nie rzadko znajdujących się w opłakania godnym stanie potłuczenia.

Z tego jednak, co widzimy, wszystko prawie jest interesującém.

Muszę zacząć od wybornéj figury „Ze snu" Mazura. Jest to nagi mężczyzna, który stoi i wyciąga się, ziewając. Ruch cały doskonale jest odczuty, wyraz twarzy niezmiernie prawdziwy, a cała faktura dowodzi dużego udoskonalenia technicznego.

O szkicach konkursowych do grup, mających stanąć przed przyszłym gmachem Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, pisano w swoim czasie bardzo wiele i jak zawsze u nas bywa, zamiast trak-

tować rzecz objektywnie, zaczęto sobie dogryzać i wymyślać. Drażliwość nasza osobista jest tak chorobliwie wygórowaną, że wszelką opinię przeciwną uważa się za osobistą obrazę.

Szkice te, mające przedstawiać malârstwo i rzeźbę, wykonało dwóch artystów: Zygmunt Otto został nagrodzony, a dla Leopolda Wasilewskiego utworzono specyalną téj saméj wysokości nagrodę od miłośników sztuki. Zdawałoby się, że i wilk był syty i owca cała. Tymczasem nie. Zwolennicy prac Wasilkowskiego uznali taką nagrodę za ubliżający datek. Możeby inni mieli prawo powiedziéć, że umyślne stworzenie nagrody, któréj w programie nie było, może być uważane naodwrót za wielki honor.

Jeśli więc sędziowie tak wysoko cenili tę pracę, czemuż jéj nie nagrodzili pierwszą oficyalną nagrodą?

Nie mam prawa odgadywać i tłómaczyć intencyi sędziów, zdaje mi się jednak, że przeszkodą do tego było bardzo szkicowe i pobieżne traktowanie samego pomysłu. Artysta miał oryginalny pomysł, czuł, jak by go pragnął widziéć wykonanym, ale zapomniał, że inni nie mogą podążyć za jego wyobraźnią i zdawać sobie sprawy z tego, co dopiéro będzie. Widziano więc tylko to, co już było, to jest szkic zaledwie narzucony i zapewne pamięciowy, a więc posiadający wszystkie cechy nieopracowania. Był to jakby szemat jeszcze nie wypełniony, dający tylko pojęcie, jak artysta rozmieścił figury i jak w ogólnym zarysie myśl swoją wyraził. Dobroć jednak lub lichota samego dzieła zależała całkiem od tego, co artysta zdoła z tego zrobić potém.

Samo pojęcie tematu i skomponowanie go było doskonałe i oryginalne. Dzień pod postacią nagiego młodzieńca ukazuje wschodzące słońce młodéj zachwyconéj kobiécie, symbolizującéj malarstwo, słońce bowiem jest źródłem światła, a ztąd źródłem barw wszystkich. Po za usymbolizowaniem tak szerokiém malarstwa, artysta umiał konsekwentnie wyzyskać warunek, że rzeźby te miały być przy ścianie, i związał je z tą ścianą w jedną całość, wyrażając jako tło w płaskorzeźbie kawałek pejzażu ze wschodzącą tarczą słońca.

Również szeroko pojętą symbolistyka rzeźby. Człowiek pierwotny usiłował najpierw odtwarzać formy otaczających przedmiotów. Lecz gdy po raz pierwszy zapragnął włożyć swą własną myśl w rzeźbę, to z pewnością sięgnął odrazu najwyżéj do tego, co jego umysł najbardziéj zajmowało, to jest do odtworzenia bóstwa. Potrzeba bałwochwalstwa tak tkwi głęboko we krwi człowieka, że plemiona stojące na bardzo nizkim stopniu kultury posiadają prawie zawsze jakiegoś

drewnianego potworka, jako szczyt swych wysiłków artystycznych. Jeśli chęć odtworzenia bóstwa zrodziła się najpierwsza w głowie pierwotnego rzeźbiarza, to i po dziś dzień jest ona najtrudniejszém do wywiązania się zadaniem kompozytora. Bardzo więc trafnie Wasilkowski przedstawił człowieka z epoki kamiennéj z trudem wykuwającego wyobrażenie wielkiéj, groźnéj głowy bóstwa, a dopełniająca grupa młoda dziewczyna, jakby młodsza siostra rzeźby, wyobraża ceramikę i rzeźbę dekoracyjną. Myśl jest więc doskonała i układ bardzo artystyczny w obu tych grupach.

Otto Zygmunt nie myślał o symbolizowaniu malarstwa i rzeźby, o odszukaniu się ich treści, ich cech zasadniczych, najcharakterystyczniejszych. Przedstawił po prostu figurę rzeźbiarza i figurę malarza w odpowiedniém otoczeniu i z dodatkowemi figurami allegorycznemi. Prace Ottona były pod względem technicznym poprawne i tak w skończeniu posunięte, że dawały możność zdać sobie jasno sprawę, co artysta przez nie pragnął wyrazić, były to już bowiem nie szkice, jak Wasilkowskiego, ale modele w zmniejszeniu tego, co potém miało być ostatecznie wykonane.

Że Otto wyraził swego rzeźbiarza pod postacią Wita-Stwosza, a malarza zrobił podobnym do Matejki, to nic pomysłowi nie szkodziło, ale téż i nic mu nie pomagało, grupy te bowiem nie miały być pomnikami tych ludzi, ale ornamentacyą i fragmentem zdobiącym fasadę nowego gmachu wystawy. Nawet ktoby zapatrywał się subtelniéj na tę kwestyę z całym szacunkiem, jaki mamy i miéć powinniśmy dla tych dwóch artystów, to nie bez pewnéj słuszności mógłby twierdzić, że dorabianie figurom dekoracyjnym głów zasłużonych mężów, jest pewną mimowolną profanacyą. Grupy te będą lepsze i artystyczniejsze od różnych figur gipsowych zdobiących domy warszawskie, ale cel i przeznaczenie mają absolutnie te same.

Cobyśmy więc na to powiedzieli, gdyby na wszystkich domach w Warszawie, tak zwykle przeładowanych ornamentyką, wszystkie karjatydy, wszystkie figury, bądź stojące na czterech rogach dachu, bądź malowane pomiędzy oknami najwyższego piętra, miały głowy zasłużonych ludzi? Czyż już teraz nie doznajemy przykrego wrażenia, widząc w tylu framugach klatek schodowych figury gipsowe Mickiewiczów, Słowackich i t. p.? Czy nie doznajemy niesmaku spostrzegłszy, że rzeźba ta (najczęściéj lichy odlew gipsowy) stoi na schodach w dodatkowéj roli upiększenia tych schodów na równi z zabłoconym dywanikiem, kolorowemi szybkami w oknie i bukiecikami malowanemi w sufitowych rozetach.

Pewnie że artystycznie pojęta i wykonana grupa malarstwa, mająca zdobić fronton wystawy, nie stoi w jednéj linii z popielniczką „ozdobioną” głową Mickiewicza (co za parodja), ale w każdym razie główną rzeczą jest tu fronton gmachu, a rzeczą dodatkową, podrzędną owa grupa, która o tyle jest tu potrzebna, o tyle tylko ma racyę bytu, o ile ma służyć do ozdoby tego frontonu narówni z różnemi gzemsami, pilastrami, imitacyami ciosów, marmurów i t. p.

Czybyśmy mieli zdradzać taki brak smaku i taktu, jak Niemcy, którzy przez patryotyzm rzeźbią drewniane dziadki do orzechów, wyobrażające głowę uwielbianego przez nich Bismarcka?

Z tego punktu wychodząc podobieństwo figur Ottona do Wita-Stwosza i Matejki nic im większéj wartości nie dodaje, i powinniśmy nawet zapomnieć o tém, aby to nam nie mąciło sądu o artystycznéj wartości kompozycyi. Ów rzeźbiarz skomponowany jest niedość charakterystycznie. Gdyby nie akcesorya i tło, to nie wiedzielibyśmy z samego jego zachowania się, co to za rodzaj człowieka stoi przed nami. Malarza Otto pragnął wyrazić w chwili tworzenia i rozmyślania nad nowém dziełem, ale co prawda, to upozowanie i wyraz można wziąć równie dobrze za żal lub rozpacz nad czémś, co się już stało, a więc znów kompozycya nie dość jasno się tłómaczy. Alegoryczne figury i mało się wiążą z całością, zbyt często się podobne widuje na różnych pomnikach, żeby je uznać za najlepszą i najoryginalniejszą stronę kompozycyi. Po za tém pozostaje staranność odrobienia i owo podobieństwo figur dekoracyjnych do zasłużonych mężów na polu sztuki. Wielu osobom zdaje się ten szczegół bardzo podobać, mnie się jednak zdaje, że albo postarajmy się postawić pomnik samoistny, pisząc na piedestale wyraźnemi literami: „Janowi Matejce... i t. d.”, albo nie róbmy żadnych figur dekoracyjnych z głową tak kiedyś pełną pięknych myśli, a tak fizycznie nieforemną.

Na zakończenie przeglądu rzeźby wyliczę Zawiejskiego maskę „Indyanina” w bronzie; Gersonówny Maryi „Studyum śpiącéj”, o którém pisałem w sprawozdaniach z Salonów paryskich i biust „Ś-téj Salomei”; Laszczki Konstantego z dużym wyrazem głowę „Wierzę”; Niespodziańskiego Stanisława główkę kobiecą; Długoborskiego charakterystyczny portret Pługa w płaskorzeźbie i Podgórskiego Edwarda bardzo ciekawą kolorową wypukłorzeźbę w drzewie, przedstawiającą Wenus z Amorkiem. Wszystkie te prace, aczkolwiek drobne, zasługują na uwagę, uznanie i dowodzą, że rzeźba nasza, choć w bardzo ciężkich rozwija się warunkach, jednakże się rozwija. Dodam nawet, że wszystkie wystawione rzeźby posiadają wartość

artyczną i nie dostrzega się śród nich tak słabych utworów, jakie można widzieć czasem w dziale malarstwa. Zapewne jest to skutkiem tego, że więcéj dyletantów bierze za pędzel niż za szpachlę.

*

* *

W Krakowie w Sukiennicach trafiłem na ciekawą wystawę pośmiertną Kossaka. Nie będę wchodził w szczegóły i scharakteryzuję tylko ogólnie jego dzieła.

Kossak Juljusz należał do tego odłamu artystów swojskich starszego pokolenia, którzy uważali sztuki piękne nie za cel ale raczéj za środek wypowiedzenia czegoś pędzlem, jakby się wypowiedziało to piórem. Hasło „sztuka dla sztuki“ uważane by było wówczas za bluźnierstwo. Kossak więc był przedewszystkiém ilustratorem i za pomocą środków malarskich odtwarzał bądź dzieje rodzinne, bądź sceny i zdarzenia współczesne, bądź ilustrował dzieła poetyckie. Nie można sobie prawie wyobrazić pracy Kossaka, na którejby się nie znalazło konia.

W obrazach Kossaka forma dominuje nad barwą. Są to rysunki kolorowane. Szczegóły rysunkowe dominują wszędzie, a za to rzadziéj obraz robi wrażenie całości barwnéj. Do takich wyjątkowych obrazów należy „Banderja krakusów na błoniach”, gdzie odczuwamy całą prawdę tych cwałujących szeregów konnych krakusów, których świtki białe z czerwoném robią wrażenie wielkiego łanu, pokrytego barwném kwieciem. Ogół jednak obrazów nie osiąga tego natężenia barwy. Wszędzie np. widzimy ostre kontury rzuconych cieniów, wskazujące słoneczne oświetlenie, ale wrażenia słoneczności najczęściéj się nie odbiera. Nie robię z tego żadnego zarzutu, lecz tylko charakteryzuję samą technikę Kossaka.

Kossak nie należy do dzisiejszego pokolenia artystów. Gdy kształcił się i formował jego talent, istniały zupełnie inne od dzisiejszych poglądy na zadania sztuki i drogi, jakiemi iść powinna. Był on więc wyrazem tego pokolenia, śród którego wzrastał. Niemniéj jednak widoczny jest ciągły rozwój sztuki i podążanie za postępem w sztuce.

Zasługą téż Kossaka jest to utrzymanie się na wyżynach poważnéj sztuki, bez wpadnięcia w zdawkowość i manierę. A jest to najniebezpieczniejsza hydra, czyhająca na tego rodzaju talenty, jak Kossaka, które tworząc mnóstwo obrazów ilustracyjnych, czer-

panych jak w tym wypadku z podobnych motywów batalistycznych, bardzo łatwo wpadają w powtarzanie się i coraz gorsze kopiowanie siebie samych. U Kossaka tego niema. Kompozycya jego jest zawsze jasna, każda ma w sobie cechę właściwą, każda czémś odrębném interesuje.

Przedewszystkiém więc uczcijmy tu dzielnego, pełnego wyobraźni kompozytora, doskonałego rysownika, znawcę naszéj historyi wojskowości.

Krakowska wystawa Kossaka zawiera blizko 300 dzieł. Jednocześnie otwartą jest podobnaż wystawa we Lwowie.

Dowód to niezmiernéj pracowitości i obfitéj twórczości dzielnego artysty, który w historyi naszéj sztuki zajął wybitne i całkiem samodzielne stanowisko.

Po za wystawą Kossaka niewiele już miejsca zostało w salach dla innych artystów. Nadmienię więc tylko w kilku słowach o wybornych pejzażach olejnych i „Dożynkach" Stachiewicza Piotra. Przyzwyczajeni głównie do działalności ilustratorskiéj, doznajemy miłéj niespodzianki, widząc te płótna pełne siły, barwy i słońca. Obok widzimy kilka niezmiernie prawdziwych krajobrazów akwarelowych Pociechy Michała. Wyborne lasy sosnowe namalowali Janowski Stanisław i Bruzdowicz. W dobrym nastroju zachodzącego słońca jest utrzymana jakaś „sadzawka w ogrodzie" Dąbrowskiego Eugeniusza.

Malczewskiego jest niezmiernie prawdziwa i plastyczna głowa starego. Wyspiańskiego pastelowy typ chłopca posiada dużo charakteru.

Stasiak wystawił szereg cały obrazów symbolicznych i alegorycznych, p. t. „Bluźnierstwo", „Fata morgana", „Pieśń", „Wojna" i inne. Artysta zdaje się jeszcze nie zestroił dobrze z obranym kierunkiem, przez co obok stron ciekawych i oryginalnych spotykamy i banalności lub formy kompozycyjne, wielokrotnie już powtarzane przez innych. Czekamy zatém na dalsze prace tego artysty.

*

* *

A oto jestem w Pradze. Wspaniały gmach Rudolfinum imponuje mi odrazu. Gdybyż w Warszawie można się było doczekać czegoś podobnego! Gmach ten mieści w sobie kilka instytucyi: wystawę doroczną sztuk pięknych, muzeum sztuki stosowanéj, szkołę muzyczną i t. p. Czemu to nasze instytucye, posiadające

dosyć grosza zebranego, żeby coś zrobić na współkę, a zamało, żeby budować gmachy własne, czemu nie mogą się porozumieć co do wspólnego gmachu? Czy tu czasem znów nie wychodzi na wierzch nasza chorobliwie rozwinięta drażliwość osobista, unosząca się nad każdą dyskusyą, paraliżująca każdą pracę zbiorową?

Wchodzę do ładnego przedsionku, mogącego zmieścić połowę wystawy Krywulta, i spotyka mnie nowa niespodzianka. Za 50 krajcarów dostaję gruby ilustrowany katalog, mającyjeszcze oprócz blizko setki stron tekstu, 48 kart bardzo ładnego grubego papieru z tylomaż światłodrukowemi reprodukcyami obrazów.

A że katalog nie ilustrowany kosztuje 30 kr., więc za 48 ładnych światłodruków płacę 20 kr., czyli po trzy za kopiejkę. A u nas? Dodam, że katalogi są ilustrowane i nieilustrowane, drukowane po czesku i drukowane po niemiecku, czyli że jest ich cztery rodzaje, co znacznie koszt podnosi, tém bardziéj, że Praga ma blizko cztery razy mniéj ludności niż Warszawa, a więc i nakład nie może być chyba wielki.

Na parterze wielka sala z górném oświetleniem jest jednocześnie przedsionkiem wewnętrznym, z którego monumentalne schody prowadzą na pierwsze piętro do sal malarstwa. Że jednak te są nieduże, a rzeźba reprezentowana jest nielicznie, więc w tymprzedsionku umieszczono téż i największe obrazy.

Tu więc spotykam „Czarodziejkę" profesora Gersona i dwie rzeźby Lewandowskiego: „Żniwiarkę" i „Słowianina zrywającego pęta", trafniéj tu zatytułowanego jako „Spoutany otrok".

Prace te znane są w Warszawie z naszych wystaw.

W tymże przedsionku znajduje się pejzaż Zofii Stankiewiczówny, przedstawiający w oświetleniu księżyca wejście do białéj świątyni, otoczonéj czarnemi sylwetami cyprysów. Wiemy, jak wybornie odczuwa artystka efekty księżycowe, dość sobie przypomnieć „Stary Kamieniec", i tu więc mamy dzieło pełne harmonii i głębokości tonu.

Na pierwszém piętrze spotykamy kilka rozrzuconych płócien Polaków. Zofia Stankiewiczówna wystawiła tu „Zorane pole" z rozległym dalszym krajobrazem. Przesiąknięty jest on powietrzem i słońcem.

Kozakiewicz Antoni dał sumienny mały pejzaż zimowy i „Dasz mu pokój!", gdzie bardzo typowa stara wieśniaczka gniewa się na przekomarzającą się z dzieckiem dziewuchę. Zarówno typy, kompozycya, jak i przeprowadzenie oświetlenia słonecznego, są bardzo dobre, a obrazek tchnie swojskością.

Boznańskiéj Olgi „Studyum dwóch chłopców" i martwa natura nie dają miary talentu artystki, mimo że są pracami zasługującemi na uwagę.

Kochanowski Roman dał „Wieczór", maleńki pejzażyk z brzozami. Praca bardzo skończona i poprawna.

Oto i cały dorobek artystyczny artystów polskich w Pradze. Bardzo to niewiele, tymczasem wystawa posiada obrazy z różnych końców Europy: z Paryża, Rzymu, Monachium, Antwerpii, Londynu i t. p.

Nadto obok ogólnéj wystawy urządzone są dwie sale specyalne. Jedna zawiera kolekcyę Hansa Schweigera, przeważnie z rysunkami, a druga akwarele królewskiego instytutu akwarelistów w Londynie, które są wprost znakomite. Dość wymienić tu kilka takich nazwisk jak: Dudley Hardy, Bernard Evans, Austen-Brown, Meyerheim lub Collins.

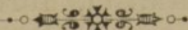
Obie wystawy, jak i ogólna, zasługiwałyby na obszerne sprawozdanie, ale że tu pragnąłem mówić tylko o artystach polskich, więc nadmienię tylko mimochodem, że wystawa ogólna potrafiła zgromadzić takie firmy jak: Brozika, Marolda, Pausingera, Rauppa, Rochegrosse'a i innych.

Salka Schweigera Hansa jest niezmiernie ciekawą. Schweiger jest przedewszystkiém znakomitym karykaturzystą. Wiele jego prac jest rysowanych na sposób średniowieczny niemiecki, i tym środkiem otrzymuje komizm satyryczny nieporównany. Przy tém prace jego posiadają wyborny rysunek, charakterystykę i humor bardzo subtelny, choć odpowiednio do stylu rubaszny w formie. Jest tam téż wiele wybornych ilustracyi do opowiadań fantastycznych, a także szereg z dużą prawdą malowanych ulic z wyborną architekturą i trochę bardzo wiernych studyów z natury.

Sale rysunków i portretów zawierają dużo ciekawych prac, sztuka stosowana téż jest w sposób poważny reprezentowana i wykwintnie wystawiona: jednóm słowem jest to kompletny salon paryski w miniaturze, który jednak zgromadził przeszło 800 numerów.

Antoni Austen.

Paryż w Maju 1899.





DLA MILIONA.

XVI.

Jesienią pewnego dnia rozeszła się wiadomość, że delegacya banku anglo-austryackiego zajechała do hotelu pod „Czarnym Orłem" i zamierza kupować grunta w Schodnicy. Cały Drohobycz handlujący został tą nowiną zelektryzowany i wysoce zaniepokojony. Faktorzy i kupcy na wyścigi rozmawiali na ten temat i skwapliwie podglądali czynności przybyszów. Tylko kilku poważnych kupców, pomiędzy nimi pp. Lindeman, Krausberg i Eisenstein, którzy swoją sekretną pocztą byli już dość dawno uprzedzeni o przybyciu delegatów, oczekiwali na pozór spokojnie, lecz wstrząsani dreszczem spodziewanych zysków, pierwszych kroków zakupna gruntów włościańskich w Schodnicy.

Nareszcie dotarli faktorzy do przybyłych i nagle gruchnęła wieść, że bank chce kupować grunta chłopskie. Ruszyli się natychmiast więksi i mniejsi kapitaliści, furmanka za furmanką wiozła kupców żądnych nabycia zakopów do Schodnicy. Cena gruntów szła szybko w górę, chłopi pili bez miary, zawierali umowy i wnet zrywali w kilka nieraz godzin, łakomiąc się na wyższą cenę. Aron

i Selig, szynkarze w Schodnicy, stali się chwilowo bohaterami dnia, do ich karczem, jak do miejsc cudownych, spieszyli wszyscy żydzi i chłopi, żądni łatwego zarobku, podnieceni nadzieją szybkiego wzbogacenia.

Po kilku dniach otrzymali faktorzy upoważnienie wyszukania i sprawdzenia kilku właścicieli gruntów włościańskich w Schodnicy, którzy przezornie kupili na kilka miesięcy naprzód prawo poszukiwania płodów kopalnianych.

Pan Lindeman na téj operacyi zarobił sto na sto, a przyjmując powinszowania p. Krausberga, uśmiechnął się z ironiczną pobłażliwością i rzekł:

— Nu Lejzor, chociaż ty szczęśliwy, ale mój rozum wyprzedził twoje szczęście w tym interesie.

Pan Krausberg przyjął w milczeniu tę uwagę, a skinąwszy na przechodzącego p. Eisensteina, wszedł z nim do swego mieszkania.

— Nu Boruch, — zaczął gdy obaj usiedli na wygniecionéj sofie, w jadalnym pokoju, teraz przyszedł czas na nasze żniwo.

— Nam trzeba skorzystać z tego, co ty Lejzor myślisz?

— A ty byłeś już na gruncie w Schodnicy?

— Ja byłem i widziałem, nasze grunta wchodzą klinem w ich zakopy.

— Wszystkie?

— Nie. Pole Macieja przecięło trochę grunta Lindemana zakupione przez bank.

— To nasze szczęście, — uśmiechnął się gospodarz, — oni muszą kupić ten kawałek, ale ty Boruch kawałka nie sprzedawaj, tylko cały grunt.

— A jak nie zechcą Lejzor, co ja zrobię? Ja potrzebuję pieniędzy...

— Nu, ja odkupię część twoją.

Po ich cenie? — spytał z żywością.

— Boruch ja nie taki głupi, — zaśmiał się p. Krausberg, — ty dałeś za cały grunt 500 guldenów do naszéj spółki, ja tobie dam za połowę twojéj części całych 500 florenów. Co ty powiész?

— Nie Lejzor, to za mało, ja wpierw pójdę do nich, ich faktor był u mnie dwa razy.

— Ty Boruch dobrze mówisz, idź teraz do nich pod „Czarnego Orła" i żądaj 5000 fl. po 2000 za morgę.

— Oni Lindemanowi dali tylko po tysiąc.

— On nie miał klinu, a my mamy. Jak pogadasz z nimi, przyjdź dzisiaj do mnie, ja będę czekał na ciebie.

Zaledwie zamknęły się drzwi za odchodzącym, weszła żona:

— Lejzor, ty robisz interes z Boruchem?

— Ja nie wiém, może i zrobię.

— On nasz krewny, ty pamiętaj o tém.

— Ja nie zrobię mu krzywdy, ty Suro możesz być przy interesie.

Późnym wieczorem przyszedł oczekiwany i zaraz z progu mówił:

— Oni dają cztery tysiące.

— A ty Boruch co myślisz?

— Ja potrzebuję pieniędzy, ja radzę sprzedać.

— Ty chcesz, a ja nie chcę, nu my się pogodzimy, ty siadaj.

Po dość długich pertraktacyach p. Krausberg wypłacił tysiąc guldenów za połowę części p. Eisensteina i wziął od niego kwit odpowiedni.

— Lejzor, na co tobie ta część — spytała żona, gdy zostali sami.

— Ja już wiém.

— Lejzor, ty powiedz swojéj żonie.

— Ja byłem dziś w Schodnicy i przez nasz grunt musi iść ich droga, oni zapłacą dobrze.

— Lejzor, ty bardzo mądry.

— Co mi z tego, — westchnął, — kiedy mam mało pieniędzy.

— Ty będziesz miał krocie! — zawołała rozczulona.

— To za mało, ja muszę miéć milion!

Gdy delegaci wyjechali z Drohobycza, i gorączka zakupna gruntów w Schodnicy minęła, p. Krausberg zawezwał p. Eisensteina do siebie.

— Słuchaj Boruch, ty jedź do Lwowa i sprzedaj bankowi nasz grunt.

— Ja pojadę, a za ile?

— Ty żądaj teraz więcéj, powiedz 9000 guldenów, a oddaj zaosiem.

— A jak oni nie zechcą, kto mi zwróci koszta?

— Ja tobie zapłacę, ale ty weź paszport z policyi, weź świadectwo z magistratu i zabierz plany ze sobą.

Przewidywania p. Krausberga sprawdziły się, bank wypłacił żądaną sumę osiem tysięcy i uradowany p. Eisenstein wprost z kolei przywiózł p. Krausbergowi należne 6000 guldenów, wytargowawszy na nim trzy czwarte kosztów podróży do Lwowa.

W zapale i uniesieniu radości, zapomniał na razie o odebraniu umowy notaryalnéj, w któréj odstępował połowę nabytych gruntów p. Krausbergowi, następnie zajęty gorączkową czynnością odzyskania zaryzykowanych pieniędzy, nie miał czasu na wydobycie dokumentu i rzecz poszła w odwłokę, zwłaszcza, iż obecnie od czasu przyjazdu córki p. Krausberga, czuł się tam obcym, natrętnym i niemiłym gościem.

Wkrótce po przyjeździe panna Esterka Krausberg, ładna, smukła brunetka, stała się ulubienicą ojca i matki, oboje widzieli w niéj skończoną doskonałość piękności, wykształcenia i wychowania. Korzystając z tego usposobienia ojca, zdołały jéj prośby i namowy matki skłonić go do zmiany ciasnego mieszkania na inne większe, frontowe od rynku.

— Mamo, u nas we Lwowie, nawet biedniejsi mają ładniejsze meble w salonie, nasze są okropne.

— I ja to widzę Esterko, ale ojciec nie da pieniędzy.

— Trzeba spróbować!...

I tak ugłaskała ojca, że zezwolił na nowe pokrycie mebli.

Zwolna starała się wyrugować żargon z domu, zastępując go językiem niemieckim, a entuzyazmując się na zimno do literatury, kupiła małe gipsowe biusty Goethego i Schillera, ustawiwszy je na komodzie w saloniku. Był to pokój frontowy, z dwoma oknami, dość obszerny, umeblowany szablonowo, z krzesłami pod sznur ustawionemi, z kanapą i dwoma fotelami w rogu, obok okrągłego stolika z lampą nakrytą abażurem, z nieodzownem lustrem między oknami i komodą w miejsce konsoli. Sam jego widok wywoływał uczucia znudzenia i smutku. Jednak ten tak zwany salon był chlubą i dumą całego domu, i tylko wyjątkowi goście byli tam dopuszczani.

— Mamo, ja się tutaj nudzę w Drohobyczu.

— Ty przecież u rodziców...

— U nas we Lwowie ja chodziłam na Wały, do Ogrodu Jezuickiego, tam są ludzie, a tu kogo ja widzę?

— Ty patrz przez okno na rynek, to zabawi ciebie.

— Ja chcę ludzi, spacerów, zabawy; a mama marynuje mnie tu w domu.

— Co ja zrobię z tobą? Esterko, mnie już ciężko chodzić, ale ja pójdę z tobą na spacer.

Wieczorem, gdy małżonkowie układali się do snu—rzekła pani Sura z westchnieniém:

— Lejzor, naszéj Esterze nudzi się tutaj w Drohobyczu.

— Ja nie mam czasu jéj bawić!

— A co ja z nią zrobię? — skarżyła się żona.

— Ty ucz ją gotować, robić konfitury, makagigi, pierniki...

— Ona na to za delikatna, myśmy jéj nie edukowali do kuchni.

— To czego ty chcsz?

— Jéj czas iść za mąż.

— Zaczekajmy, niech się ucieszą nią nasze oczy.

— Lejzor, — zawołała po chwili, — ją potrzeba zabawić, ona jeszcze rozchoruje się, co nie daj Boże.

— Ty Sura, nie gadaj takich rzeczy pod noc, — upomniał mąż, — ja mogę mieć brzydkie sny. Ty chcesz zabawy, to zaproś.

— Ja poproszę Lindemanową z córką i Stillbachową, niech one przyjdą.

— Ty możesz to zrobić.

XVII.

Przy ulicy Żupnéj, wiodącéj z rynku drohobyckiego, ku zabudowaniom żupy solnéj, stał przy ulicy mały, ubogi domek parterowy, zbudowany z drzewa, przytulony jednym bokiem do ściany murowanéj kamienicy.

Dworek ten, odrapany, z łatanym dachem, znany był wszystkim żydom w Drohobyczu, był bowiem własnością i mieszkaniem Jankla jałmużnika, który po stracie żony, cały swój czas poświęcał zbieraniu jałmużny dla swych chorych i biednych współwyznawców.

Z uciążliwéj wędrówki wrócił właśnie do domu, zasiadł w nizkiej, dość obszernéj, belkowatej izbie, umeblowanéj nieodzownemi sprzętami: stołem, krzesłami, ubogim tapczanem, lichą szafą i pięknym, świecącym siedmioramiennym świecznikiem. Czekał na spóźniony obiad, przeliczając starannie otrzymaną jałmużnę. Westchnął z żałością, gdyż cała suma nie wyniosła jednego guldena, a przed oczyma jego przesunęły się szeregi biednych i chorych, ograniczonych w swych środkach niemal tylko do jego jałmużny. W zaułkach pełnych śmieci, błota i cuchnących wyziewów; w izbach wilgotnych, ciemnawych, brudnych gnieździły się całe rodziny nędzarzy z liczném potomstwem, skarlałem, schorowanem od urodzenia, chowaném w zaduchu i w braku światła. Każda cięższa choroba była tam wyrokiem śmierci, każdy grosz majątkiem, każdy kęs chleba ucztą. Dorywczość ich tak zwanej pracy: pośrednictwa w sprawach bez wyboru etycznego; wyzysku w handlu bez oglądania się na środki; ofiarowania usług bez względu na cel i sposoby;

taka praca, wkorzeniana przez całe pokolenia, nie zapewniała im bytu, a w zmienionych warunkach życia społecznego stawała się przeszkodą i wzmagała ucisk nędzy.

Jałmużnik Jankiel, przełożony towarzystwa wspomagania biednych i chorych, nie chciał znać i nie znał przyczyn, dla niego byli to tylko biedni, zgłodniali, opuszczeni i chorzy bracia, cierpiący na wygnaniu, wśród obcego, wrogiego narodu. Inne skargi, prócz swych współwyznawców, nie dochodziły uszu jego; tylko ich łzy rozczulały go, tylko ich głód, upokorzenie, choroby bolały go, tylko ich nędzę miał przed oczyma.

A tu do tego kraju nagłych bogactw i bankructw, gorączki hazardu i ślepego szczęścia, łatwéj pracy i szybkiego wzbogacenia, zbiegły się setki i tysiące żądne zarobku i pieniędzy, a uzdolnione prawie jedynie do pośrednictwa i wyzysku chwili. Na kartę losu rzucali ostatni grosz, a gdy karta zawiodła, czekała ich niewysłowiona nędza, głód i śmierć.

Jankiel jalmużnik miał téż w ostatnich latach bardzo dużo zajęcia i tylko przy wielkich wysiłkach i zaparciu się spełniał swe obowiązki. Jałmużny wprawdzie wpływały, ale nie w tych rozmiarach, jak wzrastała liczba biednych i chorych; bogatsi pozbywali się go drobnemi datkami, ofiarując chętnie większe sumy kahałom i rabinom, co zapewniało rozgłos i uznanie wśród współwyznawców.

Siedział więc smutny i zamyślony, to patrząc na drobną sumę pieniędzy, to w zabrudzone okno frontowe, przez które wpadało mdłe światło chmurnego dnia jesiennego.

Przez drzwi kuchenne weszła jego córka, bezdzietna wdowa, Ruchla, niosąc małą salaterkę dymiącéj zupy fasolowéj; postawiła ją przed ojcem, podsunęła kromkę chleba czarnego i usiadła przy stole. Spojrzała na ułożone w kupki centy, na ojca łamiącego chléb drżącemi rękami, na jego wynędzniałą twarz, okoloną mocno szpakowatym zarostem, i ogarnął ją żal na widok tego starca, który od bardzo wczesnego ranka zdołał zaledwie trochę tego grosza wyprosić u zamożnych dla ich nieszczęśliwych współwyznawców.

— Tyle pracy mój ojcze, tyle twego poświęcenia, a tak małe owoce — westchnęła — ci bogacze nie mają serca, odmawiając tobie.

Spojrzał na nią wielkiemi, ciemnemi oczyma, głęboko osadzonemi, i maczając chléb w zupie, rzekł zwolna:

— Bóg wie co robi, nie nam sądzić ludzi.

— Ja téż nie sądzę, ale widzę te okruszyny, który zebrałeś dzisiaj.

— Jak Bóg zechce, to rozmnoży je stokrotnie.

Po dłuższém milczeniu odezwała się córka:

— Ojcze, ja mam dla ciebie jeszcze kawałek kury:

— Dziękuję ci, mam już dosyć.

— Posil się ojcze, bo tracisz siły i zdrowie, a biedni potrzebują ciebie.

— Zdrowie i życie jest w ręku Pana, On wié co robi. Mięso schowaj dla chorych, czy był tu kto?

— Zwykli twoi goście, mój ojcze, powiedziałam by przyszli przed wieczorem.

— Nie było między nimi Małki?

— Nie.

— Pójdę do niéj, ona ma męża i syna chorego, może nie mogła wyjść.

— A kiedy wrócisz, ojcze?

— Będę przed wieczorem w domu.

Ubrał się przy pomocy córki w swój stary, znoszony, połatany chałat, przepasał się czarnym, wypłowiałym pasem, zabrał w kieszeń jałmużnę i zwolna wyszedł, powłócząc nogami.

Ruchla patrzała na ojca przez okno i na jéj twarzy pożółkłéj, na pomarszczoném czole widać było troskę:

— Oj, czemu on choć mięsa nie zjadł — szepnęła widząc ociężały chód jego. Nizka, gruba, przysadkowata zaczęła się krzątać po izbie robiąc porządki.

Po chwili weszła niemłoda kobieta z dzieckiem na ręku. Twarz miała zmęczoną, chudą, ze śladami łez, otarła wielki nos kułakiem i spytała:

— Reb Jankiel w domu?

— On będzie wieczorem, co mi powiész Hane?

— Co ja mam mówić, u mnie tylko jeden smutek.

— Masz chorobę w domu?

— Nie, Bóg mnie zachował od tego.

— Mąż twój Abrum zarabia, to chléb jest chwała Bogu.

— Ruchlo, ja mam wielkie strapienie...

— Siądź Hane, boś zmęczona, a jak ci ulży, to ty mów.

Usiadła na krześle, uspakajając krzyczące dziecko kołysaniem na ręku.

— Ruchlo, niech tego Krausberga Bóg pokarze na dzieciach i wnukach.

— Dlaczego Hane?

— Mój mąż Abrum był dobry człowiek, on dbał o żonę, o dzieci, a teraz on wraca w nocy pijany, ma straszne sny, że aż serce zamiera jemu...

— Jakie sny? — spytała zaciekawiona, poprawiając jedwabną perukę skrzywioną przy sprzątaniu.

— Tego nie można mówić, ale to powiem, że on zawsze krzyczy wielkim głosem: Lejzor kazał, Lejzor płacił, Lejzor winien... On nie przynosi nic do domu, on mi straszy dzieci, on gada takie rzeczy po nocach, że ja już wypłakałam wszystkie moje łzy, a teraz tylko jęczę.

— Abrum musiał zrobić złą rzecz, kiedy on ma takie sny, — mówiła Ruchla z namysłem.

— On nie zrobił ze siebie, to Lejzor zrobił przez niego nietylko złą rzecz, ale wielki kryminał. Niech on będzie przeklęty.

Po chwili rzekła Ruchla:

— Nu, a czego chcesz ty Hane od mego ojca? Co on ma tobie zrobić?

— Reb Jankiel ma wielkie poważanie u wszystkich, niech on powie mądre słowo Abrumowi, niech on będzie sumieniem jego i zagasi boleść jego.

— Ja to powiem Hane ojcu memu.

— Ruchlo, ty zrób to u ojca dla moich dzieci, co one winne?

— One są niewinne, niech krew pada na dzieci Lejzora, jeśli Abrum mówi tobie prawdę.

— Ruchlo, ty mi wierz, pijany nie kłamie, a on przychodzi pijany, jak prosty goj, i gada głośno... aj, co on gada... ja już idę, dzieci mnie czekają.

— Ty Hane idź w pokoju, ja powiem ojcu memu.

Przed wieczorem wrócił Jankiel do domu i zmęczony usiadł na krześle; powiedziała mu córka prośbę żony Abruma, na co odrzekł:

— Ten Lejzor ma zatwardziałe sumienie, ale na głos Pana on zmięknie.

— Czy pójdzie ojciec do Abruma?

— Ja zajdę do niego, ale co ja pomogę, Bóg karze i rękę i miecz, taka wola Jego.

Drzwi od sionki otworzyły się zwolna, i do izby weszła bojaźliwie kobieta ubogo ubrana i stanęła przy drzwiach. Gospodarz przysłoniwszy ręką oczy, rzekł uprzejmie:

— Ester, przyjdź bliżéj, czyś zrobiła co złego, że tak się boisz?

— Reb Jankiel, — mówiła zrobiwszy dwa kroki naprzód, — co ja złego zrobiłam, niech mi tak ludzie odpłacą; ale oni mi nic nie dają, bo ja nic złego nie zrobiłam. Reb Jankiel, moje dzieci nie mają chleba.

— Dlaczego, Ester?

— Piekarka nie daje mi już obarzanków, ani pierników. Co dwunasta sztuka sprzedana była moja, i to był chléb moich dwojga dzieci i mój; a teraz ona nie chce mi dać.

— Dlaczego?

— Teraz mały handel na ten towar, i ona nie chce dać. Reb Jankiel moje dzieci bez chleba.

Jałmużnik wyjął kilka centów i wręczył kobiecie, która podziękowawszy gorąco stała w izbie:

— Czego chcesz, Ester?

— Ja chcę, ja proszę, aby reb Jankiel poszedł do piekarki, niech ona mi da na sprzedaż swój towar, bo co ja zrobię?

— Jutro będę u niéj, idź w pokcju.

Stary po jéj wyjściu zaczął się przygotowywać do modlitwy wieczornéj, wyjął tojrę—worek czarny, mieszczący książkę i strój obrzędowy, położył na stole przed sobą, gdy drzwi otworzyły się szybko i weszła niemłoda kobieta ze śladami łez na twarzy.

Reb Jankiel, — zaczęła z progu, — ja jestem wdowa po Joselu Reich, mnie Krausberg wyrzucił z dziećmi na bruk — i załkała głośniéj.

— Kobieto, ty mów wyraźniéj czego chcesz?

— Mój mąż, Josel Reich, był faktorem, i nam dobrze było póki on trzymał z Bratkowskim, aż przyszedł ten wąż, ten zwodziciel, ten szachraj Lejzor.

— Nu, i co daléj? — spytał spokojnie.

— On mu obiecał czwartą część szybu, jeśli Josel namówi Bratkowskiego do sprzedaży. Josel dobry człowiek, on to zrobił, a potém zamiast faktorstwa on pilnował szybu i zbiedniał, zmarniał i umarł, bo szyb dawał tylko dochód Lejzorowi.

— Ty mów daléj, ja słucham.

— Sura, żona Lejzora, ulitowała się nademną wdową i dała mi stancyjkę w kamienicy na cały rok, ale Lejzor po dwóch miesiącach mnie wyrzucił z dziećmi, — i daléj mówiła z płaczem i jękiem, — on cały majątek zawdzięcza Joselowi, on kupił tanio, miał „matkę” i na wosk... jemu nic nie dał, a wdowę z dziećmi wyrzucił, co ja zrobię, gdzie zasną moje dzieci?

— Ty się uspokój, schowaj łzy na większą boleść..... Ale co ja tobie poradzę? Ja nie mam stancyi dla ciebie.

— Reb Jankiel, — mówiła ocierając łzy — was każdy szanuje, i on musi szanować, wasze słowo zaważy u niego, niech on mi odda stancyę, mój brat daje mi tygodniowo trzy guldeny na życie moje i trojga dzieci, z czego ja zapłacę mieszkanie?

— Ja nie wiem, czy on mnie usłucha, ale ja pójdę i powiém mu za tobą.

Po skończonéj modlitwie, wyjął stary, pomięty notatnik i zaczął przeglądać przy świetle małéj świeczki spis miesięcznych ofiarodawców. Pomiędzy zalegającymi był i Lejzor Krausberg, zwlekający z zasady wypłaty dobrowolne.

Przeczytawszy to nazwisko, zachmurzył się stary, poprawił jarmułkę i gładząc siwawą brodę, rozmyślał nad życiem tego człowieka, którego znał od dziecka. On widział jego bezwzględność, zatwardziałe serce, kamienne sumienie względem współwyznawców i obcych. Żal, gorycz i wstyd poczuł dumny i chełpliwy ze swego narodu jałmużnik, rozpamiętując życie obecnego bogacza, który zawdzięczając Jehowie majątek, zapomina o swych braciach cierpiących.

Z tych rozmyślań obudził go szelest sztukania klamki u drzwi z ciemnéj sieni.

— Ruchlo, idź, otwórz.

Do izby weszło trzech biednych żydów, w podartéj i zniszczonéj odzieży, w butach obwiązanych sznurkami, brudni, niemyci, wynędzniali. Stanęli przy drzwiach, a starszy z nich przemówił:

— Reb Jankiel, bądź pozdrowiony od nas przybyszów. Dobrzy ludzie wskazali nam twój dom i polecili twemu sercu.

— Skąd wy?

— My idziemy z Turcyi, z nad Dunaju. Tam znieważano nasze obrzędy, naśmiewano się z nas, i marliśmy głodem. Dowiedzieliśmy się, że tu złoto płynie samo z ziemi i przyszliśmy po zarobek o proszonym chlebie.

— Wam źle powiedziano, wam tu będzie bardzo ciężko.

— Zawsze lepiéj między swoimi, aniżeli tam. Ale my nie sami, tam przed domem stoją nasze żony, dzieci, a na wózku przywieźliśmy położnicę.

— Na wózku? Macie konia?

— Myśmy ją ciągnęli, ona przed zachodem porodziła.

— Co ja z wami zrobię — kłopotał się stary. — Zawołajcie kobiéty i dzieci, a położnicę... Ruchlo, przygotuj tapczan.

Wstał i zbliżył się do wchodzących, patrząc z współczuciem na położnicę z trudnością wlokącą nogi.

— Siadajcie moi bracia, wy z drogi zgłodniali... Ruchlo czy masz chléb?

— Jest pół bochenka.

— Podaj, a wy spożywajcie w zdrowiu.

Mężczyźni usiedli za stołem, kobiety skupiły się koło tapczana.

— Reb Jankiel — mówił po chwili przybyły — tu są nasze papiery i świadectwo naszego rabi.

— Po co mi wasze papiery, — rzekł odsuwając pakiet — wasza bieda dla mnie wystarczy. Wy tu zaczekajcie, może ja znajdę nocleg dla was.

I powlókł się ciemnemi ulicami.

Wracał rynkiem do domu, wyszukawszy nocleg dla przybyłych i akuszerkę dla położnicy.

Wśród szeregu kamienic z podsieniami, okna mieszkania p. Krausberga były bardzo jasno oświetlone, a po szybach przesuwały się chwilami sylwetki osób.

Fala gniewu i goryczy podniosła się w sercu starca, gdy wspomniał na dzisiéjsze skargi, na biednych wygnańców i na zaległość miesięcznéj składki. Oparł obiedwie ręce na lasce, wpatrując się w jasne okna salonu p. Krausberga.

Dziś odbywała się zabawa, aby zadowolnić nudzącą się córkę. W salonie na wielkiéj kanapie rozsiadły się w jedwabnych sukniach, z wielkiemi zausznicami, z licznemi pierścionkami na palcach tłustych, panie Lindeman i Stillbach, obok na krzesłach panny. Towarzystwo zabawiał młody p. Lindeman, opowiadając o swym sprycie w wydobyciu planu fabryki cerezyny. Wprawdzie wszyscy znali już tę historyę, ale w braku lepszego przedmiotu dobry był i ten.

— Ja zgodziłem tego inżyniera za 300 marek i czekałem dwa dni w hotelu „*zum Kaiser Wilhelm*”, bardzo piękny i tani hotel. Niemiec robi po całych nocach, bo w dzień zajęty, a ja sobie chodzę po fabryce i tak dla siebie przemierzam te i owe budynki, ja technik, ja znam się na tém — i śmiał się zadowolony.

— No, powiédz Moryc daléj, — zachęcała pani Lindeman syna, a zwracając się do sąsiadek mówiła, — teraz dopiero najzabawniejsza historya, mój Moryc mądry.

— Na trzeci dzień, Niemiec przynosi plan fabryki, ja sobie patrzę, pytam i liczę budynki, akurat brakuje dwóch magazynów obliczonych przezemnie. Ja mu daję pięćdziesiąt marek i żądam uzu-

pełnienia, a sam dla sprawdzenia zatrzymuję plany. I tyle mnie widział — śmiał się głośno i szczerze.

Towarzystwo wtórowało mu chętnie, a on prawił daléj:

— Jaką minę miał Niemiec, kiedy spytał portyera: *Ist Herr Lindeman in seinem Zimmer?*, a on mu odpowiedział: *Heute zwölf Uhr abgefahren...* Cha, cha, cha, to było doskonałe...

I w towarzystwie zapanowała wesołość z tego dowcipu młodego pana Lindemana.

W pokoju jadalnym trzéj spólnicy roztrząsali poważnie sprawę oszczędności na materyale i robotnikach budującéj się już fabryki cerezyny.

— Ja biorę na dozorców tylko naszych, — wywnętrzał się p. Krausberg, — do prostéj roboty najlepszy goj, nasz słabszy i chce drożéj.

— Ja już widzę — mówił uśmiechnięty p. Lindeman, — my z Lejzorem postawimy dobrą i tanią fabrykę. Lejzor, ja wypiłbym na powodzenie naszéj cerezyny.

Gospodarz dość niechętnie wziął karafkę i z wielką ostrożnością nalewał wino w małe kieliszki. Podniósł się z krzesła otyły p. Lindeman i wziął kieliszek w rękę, równocześnie otworzyły się drzwi od kuchni, i w nich stanął jałmużnik Jankiel. Wszyscy trzéj spojrzeli na niego zdziwieni, a przybyły zamknąwszy drzwi, zbliżył się spokojnie do stołu, mówiąc:

— Lejzor, ja przyszedłem po twoją zaległą składkę miesięczną.. a i wy dajcie na ubogich i chorych, wam będzie to wino lepiéj smakowało.

P. Krausberg przybladł z gniewu i wstydu i głosem zduszonym zawołał:

— Jankiel, ty pamiętaj, że wszystko ma swój czas i koniec, a moja cierpliwość także. Ty wybieraj dzień na jałmużnę i nie wałęsaj się po nocach, nie zakradaj się do cudzych domów.

— Lejzor ma racyę — mruknęli spólnicy.

Starzec wyprostował się, zabłysły mu oczy, i podniosłszy głos mówił:

— Czy wy, siedzący tu w pokoju przy winie i jedzeniu, wiecie skąd ja wracam, dlaczego wyszedłem w ciemną noc, szukając laską drogi?... Ja byłem u waszych braci... otwórzcie oczy wasze, rozewrzyjcie uszy wasze, pokażcie serca wasze, oto tam płaczą, jęczą, wiją się z głodu i choroby dzieci Izraela; obdarci, nędzni, odpychani, idą drogą życia. Głód pożéra ich wnętrzności, ciało pada z choro-

by, język przysycha im do ust, a niemasz nikogo, ktoby pocieszył, nakarmił, napoił, przyodział....

Głos jego zwabił ze salonu przyległego całe towarzystwo, które zwarło się w drzwiach, nasłuchując. Pan Krausberg stłumił gniew w sobie i rzekł dość łagodnie:

— Jankiel, idź do domu, my jutro pogadamy o tych sprawach.

— Jutro!? — zaśmiał się jałmużnik drwiąco — a czy wy wiecie, że teraz u mnie są biedni wygnańcy, wasi bracia, z żonami i dziećmi, oni głodni, nadzy, biedni, oni nie mogą czekać. Ty Lejzor dzisiaj oddaj dług.

— Dziś nie dam, — syknął z zawziętością — i ty idź sobie Jankiel.

Pan Lindeman, chcąc pomódz spólnikowi, dodał z uśmiechem:

— Im dobrze u ciebie, ale ty Jankiel źle ich przyjmujesz, ty uciekasz od twoich gości.

Zaśmiano się głośno.

Wzburzony jałmużnik zawołał:

— O wy serca zatwardziałe, ja do was mówię jak do braci, a wy mnie zbywacie plugawemi żartami. Teraz ja wam powiem, że dzień kary, dzień sądu Pana jest już bliski, i drżyjcie, bo ręce wasze są krwią zmazane, palce nieprawością, a wargi kłamstwem. Jehowa pomści na was i na waszych dzieciach cierpienia i płacz ludu swego. Trwajcie daléj w rozpuście i grzechach waszych, ale drżyjcie, bo dzień sądu jest blizki.

Po jego wyjściu nastało chwilowe milczenie, pierwszy przemówił p. Krausberg, blady ale spokojny.

— Ten Jankiel na starość zwaryował i gada same głupstwa.

— Jego trzeba zaskarżyć do starszych, niech mu odbiorą jego urząd, — mówił zgorszony pan Lindeman,—on burzy spokój i szkodzi nam.

— Ja zaskarżę go jutro — zaczął p. Krausberg — jego trzeba usunąć, bo on... A p. Stillbach dokończył:

— Waryat!

XVIII.

Pan Stillbach pierwszy przyniósł na giełdę pod apteką wiadomość, że oddział banku anglo-austryackiego, który zakupił grunta w Schodnicy, odstąpił swe prawa spółce kapitalistów krajowych, na czele których stoi p. Floryański.

Kupcy i faktorzy zainteresowani nietylko w sprawaah nafty, ale i w projektowanych pośrednich zyskach przyszłego przedsiębiorstwa, wszczęli żywą rozprawę nad tą nowiną.

Pan Lindeman, który na sprzedaży kuponów bankowi zrobił dobry interes, mówił z niezadowoleniem:

— Ta spółka krajowa nie ma sensu. Niemcy przyjeżdżali ze swemi pieniędzmi, nie znali stosunków tutejszych, ani kraju, oni musieliby iść z nami. Byłyby kapitały obce w ruchu, a nasz towar miałby popyt pomiędzy Niemcami.

— Całkiem słusznie, — podchwycił inny kupiec, taki tutejszy on się nie zna na interesie, on będzie balował, a interes puści na obce ręce, sfuszeruje i obniży cenę.

— Niech będzie sobie krajowy, — rzekł pan Bernstein, ściskając ramionami, — co nam to szkodzi, aby tylko on miał pieniądze i płacił dobrze.

— Nu, a ty Lejzor co mówisz?

— Ja sobie myślę, zkąd się wzięły te krajowe kapitały? To jest nieczysty interes, za tą spółką muszą siedzieć bankierzy... może oni zrobią zmowę i obniżą cenę towaru, wezmą cały handel w swoje ręce... Wszczął się gwar, bo podobny projekt wprowadzony w życie, groził klęską prawie wszystkim członkom giełdy. Wśród krzyżujących się pytań i odpowiedzi zawołał pan Lindeman:

— Słuchaj Stillbach, kto jest Floryański?

— Floryański? Ja się pytałem, on jest administrator spółki, on ma swoich dyrektorów, buchalterów, on w interesie jest wszystkiém.

— Nu, ale co on za jeden? Czy można z nim pogadać?

— Ja nie wiem. On jest inżynier i pracował zagranicą.

— Co tu dużo gadać? — przerwał p. Krausberg, — on przyjedzie, to my go poznamy.

Przez kilka dni Drohobycz, Borysław i Schodnica pełne były wieści o nowéj spółce naftowéj i z pewnym niepokojem czekano przyjazdu reprezentanta towarzystwa krajowego.

W początkach lutego rozeszła się wiadomość, że oczekiwani przyjechali. Faktorzy trzymali hotel w oblężeniu, wyczekując sposobności zarobienia, usłużenia i poznania przyjezdnych. Z rozczarowaniem spostrzegli, że czteréj panowie, administrator, dyrektor, buchalter i sekretarz wsiedli do sanek pocztowych i pojechali do Schodnicy, nie wezwawszy faktora do pomocy.

Na ulicach, po sklepach, na giełdzie opowiadano sobie, że administrator, p. Floryański, wynajął od p. Hamersteina, właściciela

Schodnicy, dwór, że wspaniałe meble przyszły koleją, ma kucharza, lokajów, pyszne konie, że za wszystko płaci gotówką, bez wielkich targów.

Zdziwienie i żal były ogólne wśród żydów, że przy takich wydatkach, zapotrzebowaniach, wypłatach oni stali na uboczu, skazani na niemych świadków.

— To jakiś antysemita! To nasz wróg! — odzywały się liczne głosy, i sypały się złorzeczenia na głowę administratora.

Niechęć rosła tem większa, że ci, którzy podstępem uzyskali przystęp, odchodzili z niczém. Na wszelkie propozycye pomocy, ułatwienia, wyjaśnienia pan Floryański pozostał głuchy i odmawiał szorstko.

Skargi pośredników doszły do poważnych kupców i wywołały oburzenie, a ponieważ dotychczas tylko p. Hamerstein z nim zrobił interes udano się do niego o wyjaśnienie:

— Ja nie wiem, — odparł zapytany — on wszystko kupuje u szlachciców, u chłopów, może on antysemita, a może próbuje czy mu to nie wypadnie taniéj? Ja nie mogę skarżyć się na niego, wszystko z góry zapłacił i swoim kosztem naprawia, on mi wyporządzi cały folwark — uśmiechnął się zadowolony.

Wiadomość, że w Drohobyczu odbędzie się zjazd obywateli okolicznych, sproszonych przez p. Floryańskiego, zaciekawiła wszystkich, i z niecierpliwością oczekiwano tego dnia.

Rynek w Drohobyczu, na którym zwykle było słychać tylko szwargot żydowski, w połowie lutego zabrzmiał licznemi dzwonkami i janczarami sanek, a hotele pełne były przybyłych gości.

W południe miało się odbyć zgromadzenie w sali kasyna, które na ten dzień ustąpiło swego lokalu.

Tłumy ciekawych, prawie wyłącznie żydów, zaległy tę część rynku, wyrażając głośno swe zapatrywania na poszczególne osobistości.

Dzień był jasny, suchy, mroźny; żydki w watowanych chałatach, w lisiurkach, z szyjami owiniętami kolorowemi, jaskrawemi szalami, to przechadzali się zwolna, znów stawali grupami, omawiając zresztą przy téj sposobności swoje interesa.

Pierwsze zajechały sanki wprost ze Schodnicy, zaprzężone w czwórkę pięknych i dobranych szpaków, wiozące administratora i dyrektora. W drugich jechali buchalter i sekretarz.

Wśród zebranych rozległ się głuchy szmer niezadowolenia, niektórzy spluwali, jak na widok nieczystego stworzenia, inni mruczeli przekleństwa, rozgoryczeni zawodem i próżnym wysiłkiem.

W jakiś czas z różnych stron rynku zabrzmiały dzwonki, to zjeżdżała się zaproszona szlachta, która powodowana próżnością i chęcią pochwalenia się zaprzęgami, z hotelów niezbyt odległych jechała szumnie do kasyna.

Żydzi patrząc na ten zjazd znanych im doskonale pod względem majątkowym obywateli, uśmiechali się, rzucając sobie głośne uwagi krytyczne i dowcipy, wszystkie na tle stosunków pieniężnych.

Gdy sanki wróciły do hoteli i zajazdów, opróżnił się trochę rynek, i tylko wytrwalsi faktorzy zostali na czatach.

W sali kasyna był wielki tłok i gwar; zebrało się około dwudziestu obywateli, którzy głośno się witali, dopytywali o nowiny, ściskali i całowali. Patrząc na nich, czuć było, że to ludzie, którym nikt nie następywał na nagniotki, nie trącał łokciami. Ze wszystkich stron dolatywały zmieszane pytania i odpowiedzi:

— A i sąsiad dobrodziéj tutaj?

— Cóż robić? Dostałem list, że idzie o ważną sprawę i przyjechałem.

— U Kalikstów była pyszna zabawa.

— Ubito trzy lisy, dwa sarniaki i osiem zajęcy.

— Nie młócę, bo cena za nizka.

— Ciekawa rzecz, co nam powie ten handlarz?

— Musimy być ostrożni, bo teraz każdy drze z nas, chłop, żyd, rząd, sejm...

— To prawda, święta prawda.

Wszedł pan Floryański, wysoki, szczupły, szatyn, lekko szpakowaty, z krótką przystrzyżoną brodą, z wyrazem szczerości na ładnéj twarzy. Spojrzał na zebranych pięknemi, piwnemi oczyma, lekko zadzwonił i zaczął:

— Dziękuje panom, że raczyliście przyjechać na moje prośby listowne. W roku zeszłym grono kapitalistów krajowych postanowiło przemysł kopalniany, t.j. dobywanie nafty i wosku, wziąć w swe ręce. Dotychczas korzystali z tych nieprzebranych bogactw naszego kraju tylko Żydzi i Niemcy; produkta w stanie surowym wywożono zagranicę, a przerobiony nasz produkt kupowaliśmy tutaj za drogie pieniądze. Spółka kopalniana, na któréj czele mnie postawiono, ma zadanie tę gałąź przemysłu uczynić krajową i do eksploatacyi użyć jedynie sił naszych, narodowych. Tak wielkie i obliczone na wielką skalę przedsiębiorstwo posiada różne gałęzie poboczne, które w myśl przewodnią Spółki kopalnianéj powinny służyć do podniesienia dobrobytu krajowego. Spółka zamierza jeszcze w tym

roku zbudować fabrykę oczyszczania nafty, by wyprzéć rafinadę amerykańską i rosyjską, następnie pobudować domy mieszkalne dla urzędników i robotników Spółki w Schodnicy. Nie chciałbym używać pośredników w dostarczaniu materyałów nam potrzebnych, sądzę że i dla panów i dla nas będzie korzystniéj, gdy pominiemy wydatki trzeciéj ręki, t. j. pośrednika. Jak panom z listów wiadomo, potrzebujemy: drzewa budulcowego, cegły, kamieni, pewnéj ilości furmanek do przewozu przyrządów fabrycznych, rur, kotłów, świdrów i t. d. z kolei. Następnie potrzebujemy pewnéj ilości żywności dla robotników. Robotnik źle żywiony i źle płatny robi zawsze licho. Dotychczas w kopalniach nafty i wosku ziemnego był on w sposób ohydny wyzyskiwany, i nasze krajowe kopalnie pozyskały w całéj Europie smutną sławę mordowni robotników. Spółka, przynajmniéj w swym zakresie, pragnie to zmienić. Za nizką cenę damy pożywny pokarm robotnikowi i w tym celu, na początek tylko dla 100 ludzi, potrzebujemy dostawy mąki, krup, nabiału, słoniny i mięsa wędzonego. Nie wymagam od panów ustępstw, bo w interesie najgorszą rzeczą są poświęcenia, ale podajcie panowie ceny możliwe, nie przewyższające cen żydowskich składów. Spółka musi miéć jednak pewność dostawy i w tym celu proponuję panom założenie oddzielnych kółek dostawy poszczególnych przedmiotów z wzajemném poręczeniem dotrzymania umowy. Panowie, tu w naszym kraju drzémią w głębi ziemi miliony i miliony, które zdołają wzbogacić cały nasz kraj, a Spółka pragnie je wydobyć, lecz do takiéj pracy potrzebna jest energia zbiorowa, stańmy się, panowie, zawiązkiem nowéj, pomyślniejszéj epoki rozwoju ekonomicznego przez wspólną pomoc i pracę. Spółka nie ma zamiaru ograniczyć się jedynie na Schodnicy, całe Podkarpacie jest prawdopodobnie złożem nafty i wosku, i wraz z wiosną rozpoczniemy poszukiwania ściśle techniczne i naukowe.

Umilkł na chwilę, wtém z głębi sali odezwał się głos:

— Słusznie pan mówi, u mnie po każdéj powodzi pływają oczka naftowe, pewno jest nafta.

— I u mnie odezwał się inny.

Ten i ów uśmiechnął się, rozjaśnił twarz, na myśl że w jego wsi, na jego polach znajduje się cenny produkt i wzbogaci go bez pracy na krocie, miliony....

— Moi panowie, — mówił daléj administrator, — kazałem sporządzić odbitki litograficzne spisu potrzebnych nam materyałów furmanek, żywności. Panowie zechcecie przejrzéć, złączyć się

w kółka, porozumiéć i w tym celu zawieszam nasze zgromadzenie na pół godziny.

Skłonił się i już miał się ku wyjściu do dalszych pokoi, gdy posłyszał:

— Za pozwoleniem, proszę o głos.

Z kąta sali, rozpychając sąsiadów, szedł do stołu środkowego nizki, dość otyły szlachcic. Stanął, odsapnął głośno, pokręcił zawiesistego wąsa i odchrząknąwszy rzekł:

— Pan, dobrodzieju, mówił pięknie i rozumnie, ani słowa, co prawda to prawda, ale zauważyłem dobrodzieju, że ani słowa o cenach, o wypłacie, a to grunt. Kraj, bogactwo krajowe, wspólne siły— to ładne, bardzo ładne rzeczy, ale bierzesz pan, dobrodzieju, odemnie, płaćże pan i powiedz cenę. Żyd przyjedzie, to on mi, dobrodzieju, daje nie to zadatek, ale połowę, a czasami i całą należność za towar, który mam mu dostarczyć. Pan żąda gwarancyi, bardzo dobrze, ale co pan powie na nasze żądanie gwarancyi? Kto mnie zapewni, że dowiózłszy drzewo, wydawszy na zrąbanie, oczyszczenie, zwózkę, ja otrzymam należność, no i kiedy? My dobrodzieju nie siedzimy na kapitałach, jak wy, przemysłowcy, i handlarze, człowiek musi się dobrze napracować i napocić, zanim grosz dostanie. Tak tedy, panie dobrodzieju, powiedz nam, jaka zaliczka, kiedy wypłata i jaka gwarancya, a wówczas pogadamy.

Widząc zaś uśmiech administratora, zaczerwienił się i dodał:

— Zagranicznego mędrkowania ja tam nie próbowałem, co na myśli, to i na języku. Mówię szczerze, otwarcie i tego wymagam, nic więcéj.

Szmer pochwały i zadowolenia przeszedł po zgromadzeniu, i z ciekawością patrzano na pana Floryańskiego, czekając jego odpowiedzi.

— Miło mi, że poprzedni mówca tak otwarcie postawił sprawę. Moja wina, że nie poruszyłem téj kwestyi ustnie, zapomniałem dodać, że warunki dostaw są wymienione w litografowanym spisie naszych zapotrzebowań. Dowiedziawszy się jednak, że panom może zależyć na zaliczce, a raczéj gwarancyi naszéj, podwyższam procent dziesiąty od sumy zobowiązanéj dostawy do dwudziestu pięciu, a nawet wyżéj postąpię na żądanie danego kółka dostawców.

Po jego wyjściu zawrzało w sali jak w ulu. Ci i owi zbliżali się do pana Boreckiego, który przemówił w sprawie cen i warunków, ściskali rękę, prawiąc słowa uznania.

— Bo to, dobrodzieju, prawdę rznąć najlepiéj — odpowiadał podkręcając wąsa.

Na chwilę nastała cisza, odczytywano bowiem spis i warunki dostaw, następnie ci i owi zaczęli oglądać się za towarzyszami kółek żądanych. Zwolenników zawiązania spółki odpowiedzialnéj było jednak bardzo mało. Życie samodzielne, swobodne, niemal nieokiełznane na wsi po szlacheckich dworach, było zbyt silnie odziedziczone i zakorzenione, aby tak łatwo mogło przejść na tory wspólnego i odpowiedzialnością obciążonego działania. Pierwsza zawiązała się spółka dostawy drzewa budulcowego. Każdy bowiem z nich miał kawał lasu, mógł zatém dotrzymać zobowiązania, a znów ścięcie i zwózka przez chłopski sprzężaj nie przedstawiały trudności. Natomiast inne dostawy wymagały wzajemnego zaufania, prawa kontroli, pewności spełnienia warunków, i minęło pół godziny a zebrani nie doszli do rezultatu.

Wszedł pan Floryański, pytając zgromadzonych o wyniki narady.

Pierwsi zgłosili się panowie ze spółki dostawy materyałów budulcowych. Zaofiarowano więcéj drzewa, aniżeli było potrzeba, i dopiéro po ustępstwach wzajemnych przyszło do zgody.

— A kółka innych dostaw? — spytał administrator.

Odpowiedziano mu głuchym pomrukiem i dopiéro po chwili milczenia poprosił o głos pan Turski, szlachcic wysoki, siwy, trzymający się sztywno, i zwolna mówił:

— My tu, panie, siedzimy z dziada pradziada po dziedzicznych wioskach, majątek przechodzi z ojca na syna, bo dorobkiewicze nie są łakomi na górską ziemię, więc my wszyscy swojacy. Każdy z nas wié, że u sąsiada jest cegła, młyn, furmanki, nabiał, słonina... jak zwykle w gospodarstwie szlacheckiém, ale każdy z nas szanuje granice i nie dochodzi ani ilości, ani gatunku, ani sposobu, dość jest kłopotu i pracy ze swojém. Żyjemy téż zgodnie, po sąsiedzku, jak Bóg przykazał, no i tak chcemy żyć i nadal. Któż kładzie zdrową głowę pod ewangelię? A pan, panie dobrodzieju, wymaga tego od nas... Ktoby z nas dla kilku czy kilkunastu złotych reńskich zarobku chciał zrobić przykrość sąsiadowi, zrywać z nim, narażać się na jakieś pretensye, kontrole, kwasy... A uchowaj nas Panie Boże od tego...

Ciche głosy zadowolenia, uznania, zgody odzywały się ze wszystkich stron, czém zachęcony mówca ciągnął dalej:

— Chcesz pan dostaw dla waszéj Spółki, a i owszem, dobrodzieju, toż my szanujemy każdy grosz, bo nam ciężko przychodzi, ale zróbże to po ludzku, po naszemu, nie narażaj nas pan na gniewy i procesy. Każdy z nas podejmie się dostawić tego lub owego po

takiéj a takiéj cenie... i dostawi napewno. Czy to my Żydy albo Niemcy, abyśmy kupą chodzili ze strachu? Każdy wié do czego się zobowiązał, dał cyrograf na piśmie i koniec. Pan może na nim poszukiwać pretensyi, ale nie obywatel, nie sąsiad.

Skończył. Rozległy się huczne brawa i półgłośne okrzyki:

— Jak Boga mego kocham, prawdę powiedział!

— Daj mu Boże zdrowie!

— Dzielny stary!

Wiwat Turski!

A on gładząc siwą, nastroszoną czuprynę, kłaniał się z uśmiechem na wszystkie strony, rad z pochwał, rad z wrażenia swéj mowy.

— Widzę, że inne kółka dostaw, — rzekł pan Floryański z wymuszonym uśmiechem, — dochodzą z trudnością do zgody. Chcąc jednak umożliwić panom dostawę żywności, założę sklep spożywczy. Do takiego sklepu możecie panowie w dowolnym czasie i ilościach przywozić produkta, ale uprzedzam, że termin wymieniony w umowie musi być dotrzymany. Co do innych zapotrzebowań porozumiemy się późniéj, a teraz proszę panów na przekąskę.

Przeszli tłumnie do pokojów sąsiednich, gdzie były suto zastawione stoły. Wśród brzęku talerzy, nożów i widelców, dźwięku kieliszków rozwiązały się usta. Rozmawiano dużo, głośno i dobitnie. Pan Floryański wraz z podwładnymi urzędnikami zapraszał, podawał, nalewał, co ujęło gości, i jaki taki dopytywał się szeptem o jego pochodzenie.

Pan Borecki, który pierwszy przemówił krytykująco na zgromadzeniu, uważał za właściwe uprzejmością zatrzéć swoje wystąpienie, i gdy do niego zbliżył się gospodarz, spytał:

— Mój dobrodzieju, Floryańscy są herbu Ślepowron, czy pan z tych?

— Pieczętuję się tym herbem, chociaż dzisiaj dawne herby nie mają znaczenia.

— O siadajże pan obok mnie, dobrodzieju, toż my powinowaci, jak Boga kocham, moja prababka z Floryańskich Ślepowronów, a to dobrodzieju niespodzianka! Siadajże pan, proszę.

— Posłuszny, usiadł obok, nalewając sobie kieliszek wina.

— Trąćmy się, dobrodzieju... hm, jeśliby wolno było się zapytać, gdzie téż pan się rodził?

— W Tarnowskiém.

— No proszę, tam i moja prababka, o bardzo mi miło panie dobrodzieju poznać powinowatego. Powiedzże, proszę, co cię zagnało do handlu, toż rodzina zamożna, *bene nati et possesionati.*

— Dobra wola służenia krajowi. Dawniéj wystarczał miécz, a dziś łokieć i miarka górą. Wszędzie żydzi, wypierają nas zewsząd, oni decydują w handlu, przemyśle, kredycie; trzeba przeciwdziałać.

— Hm... hm,.. niby racya. Ale uważasz pan, co zrobi szlachcic bez żyda, dobrodzieju? Ani kupić, ani sprzedać, i panu radzę, jako powinowaty, idź z nimi zgodnie, nie zarzekaj się, nikt tak dobrze nie usłuży jak żyd.

— W ostateczności przyjmę pośrednictwo żydowskie, ale nie pojmuję, jak możecie żyć panowie w takiéj zależności.

Zaśmiał się głośno pan Borecki i stukając kieliszkiem o kieliszek mówił rozweselony:

A bodajże cię, dobrodzieju, o panie! Daj mi Boże taką zależność na całe życie, toż ja go skrzyczę, potrącę, zwymyślam, a on mi służy za parę groszy faktornego. Iii, żyd to głupstwo, zawsze dojdę z nim do ładu, ot banki, te psiawiary nie odstąpią terminu, dawaj, płać, bierz skąd chcesz, a musisz zapłacić. Ano wypijmy za nasze zdrowie, bardzom rad ze spotkania.

Wypili, i p. Floryański poszedł do innych gości. Wkrótce półszeptem rozeszła się wiadomość, że administrator to szlachcic herbowy, pokrewny pana Boreckiego. Zaczęto na niego spoglądać przyjaźniéj, a ten i ów szepnął do sąsiada:

— Widać było po nim, i zaraz poznałem, że on z naszych, urodzony szlachcic.

Zachęcony tém, pan Bilski wstał od stołu, poprowadził administratora do kąta i zaczął się zwierzać:

— Bo to, mój dobrodzieju, mam trzech synów. Najstarszy pomaga mi w gospodarstwie, ale tamtych dwóch trudno mi dopilnować. Dobre chłopaki, jak mi Bóg miły, średni ma bardzo układną rękę do pióra, pisze mi wszystkie listy i podania, ten mógłby być aplikantem u was, a najmłodszy—jedyny do dozoru. Chłopi boją się go jak ognia, bo szelma sprytny i przewidujący. Bywało jak pójdzie w las, albo na łąki, zawsze coś zajmie.

— Ma pan tedy pociechę z synów, — rzekł z lekką ironią.

— Pociecha pociechą, ale i kłopot panie dobrodzieju. Tak prosiłbym pana, jako brata szlachcica, pomóż mi, weź tych dwóch chłopaków do waszéj Spółki. Toż potrzebujecie ludzi, pomocników, nastawników, oni przydadzą się także, a lżéj mi będzie żyć. Cóż, zgoda?

— Rozpatrzę, chciałbym wpierw ich zobaczyć, zapytać...

— Jutro przyszlę ich obu... Powiadam panu, uczciwe i dobre chłopaki. Jeden ma lat 23, a drugi 21, no zobaczysz pan sam, ja się nie przechwalam, ale mało tak dobrych dzieci.

— Nic pewnego nie mogę powiedziéć, muszę wpierw poznać ich kwalifikacye.

— Kwalifikacye? Ano, średni skończył czwartą gimnazyalną, a młodszy trzecią realną, zresztą domowa edukacya, a to grunt.

W czasie przyjęcia gości miał pan Floryański sposobność pomówić na osobności z dyrektorem i buchalterem Spółki.

— Co panowie sądzicie o tych dostawach?

— Drzewo będzie, to pewna, trochę trzeba będzie przebrakować może, ale dostawią — odpowiedział dyrektor.

— A reszta dostaw? Czyż musimy koniecznie brać żydów?

— Sprobójmy z nimi panie administratorze, — odezwał się buchalter, — na przyjęcie dostaw żydowskich mamy czas.

— I ja sądzę, że na razie należy uledz ich niezaradności i przyjąć poszczególne zobowiązania. Zawsze to swoi i lepiéj z nimi, aniżeli z żydami.

Po skończoném śniadaniu i przejściu do sali głównéj rozpoczęto spis dostaw poszczególnych obywateli i wraz nastąpiła wypłata zaliczek odpowiednich deklaracyom poczynionym.

Na zakończenie przemówił jeszcze raz pan Floryański.

— Usilnie prosiłbym panów o ścisłe wykonanie umów, które zaciśnie nasz wzajemny stosunek i pozwoli się obliczyć z naszemi siłami. Społeczeństwa europejskie dzięki rozrostowi spółek i solidarności wypróbowanéj wzrastają w siły i potęgę ekonomiczną. My jesteśmy w trudniejszych warunkach, gdyż pozwoliliśmy żydom opanować handel i przemysł. Oni idą zwartą masą na wzór osławionéj „*Alliance israelite*”, my możemy tylko i jedynie wspólnemi siłami, zjednoczeniem przeciwdziałać temu naporowi wrogiemu. Panowie jesteście czołem narodu, jego inteligencyą, na was zwrócone są oczy wszystkich, wy dajecie przykład innym warstwom społecznym, a gdy raz poczujemy potęgę działania solidarnego, niema takiéj siły, którąby nas złamać mogła. Miliony są tutaj w ziemi, a bodaj czy nie większe miliony leżą przytłumione naszą bezczynnością i biernością.

Szlachta wychodziła tłumnie i spiesznie z kasyna, gdyż przed wyjazdem wielu miało pozałatwiać różne sprawunki. Wśród odchodzących dały się słyszéć głośne pochwały:

— Dzielny człowiek!

— Taki się nie da, bo ma kapitały.

— Dobrze mówił!

Wszystkich jednak przygłuszył głos pana Boreckiego:

— Zaraz poznać człowieka, co szlachcic, to szlachcic!

Tegoż wieczora dowiedzieli się żydzi o przebiegu i wyniku zgromadzenia.

Pan Krausberg, słuchając na zwykłéj wieczornéj giełdzie relacyi o panu Floryańskim, uśmiechnął się ironicznie, a gładząc brodę, rzekł do swego towarzysza:

— My możemy spać spokojnie, z nimi nie zajedzie on daleko, już my go dogonimy.

Słuchacze kiwnęli głowami potakująco i powtórzyli uśmiechnięci.

— Już my go dogonimy!

XIX

Schodnica, a zwłaszcza dwór od czasu zamieszkania pana Floryańskiego ożywiły się znacznie. Przez wieś przeciągały nieustannie chłopskie furmanki dostawiające drzewo budulcowe, cegłę, kamienie, rozlegały się krzyki dozorców, przebiegali kontrolerzy z miejsca na miejsce, doglądali porządku starsi urzędnicy. Dwór w Schodnicy, długi, parterowy budynek, z gankiem na dwóch słupach, mieszczący również tymczasowe biuro Spółki kopalnianéj obok prywatnego mieszkania administratora, roił się od wozów i ludzi. Zgłaszali się przedsiębiorcy, cieśle, mularze; przesuwali się liczni urzędnicy po rozporządzenia, a pan Floryański patrzał na ten ruch zadowolony, ciesząc się, że to on powołał do życia i czynu drzemiące bezczynnie siły.

Dostawione drzewo wprawdzie nie zawsze trzymało miarę przepisaną, bywało téż czasem za krótkie, ale bądź co bądź kółko dopełniało swych zobowiązań. Natomiast napływały nieustanne skargi na brak przyrzeczonych podwód do kolei i utyskiwania na liche konie, łamiące się sanie i wozy.

Pan Floryański, korzystając z bytności pana Turskiego, przybyłego po odbiór należnych mu pieniędzy, kazał go prosić do swego gabinetu, pokoju obszernego, którego umeblowanie składało się z fotelików i kozetki obitych skórą bronzową, z wielkiego dywana i biurka dębowego.

— Prosiłem pana, aby zasięgnąć jego rady w sprawie dla mnie drażliwéj.

— O co idzie?

— Pan zna przecięż warunki umowy o podwody do kolei.

— Czy nie przysłałem? I mam nawet pewne pretensye, nie tyle do pana, ile do nadzorców pańskich, — mówił ożywiając się, — bo to proszę pana ładują na sanie Bóg wié jaki ładunek, marnują mi konie, łamią się sanie, a inne podwody próżne idą prawie.

— Właśnie o tych furmankach chciałem mówić. Panowie przysyłacie sprzężaj bardzo lichy, lada ciężar, konie ustają, sanie się łamią, a jednak wyraźnie stoi w umowie, że para koni ma dowieźć trzydzieści centnarów sanną drogą.

— Ależ nie po takich wertepach jak do Schodnicy. Zważ pan, że tu są strome góry, a nasi ludzie i konie są nieprzyzwyczajeni do takich ciężarów.

— Obowiązek jest obowiązkiem, a konie są bardzo marne, same wywłoki.

— Trudnoż posyłać panu cugowe — uśmiechnął się z ironią, — i tak zdaję na łaskę i niełaskę parobka cały sprzężaj, nie mogę wybierać co najlepsze konie.

— Jednak podpisaliście zobowiązanie.

— No zapewne, w gorączce ukończenia interesu, ale policz pan, gdybyśmy wysyłali dobry sprzężaj, musielibyśmy dać dozorcę osobnego, no a koszt utrzymania koni, człowieka i dozorcy zjadłby cały dochód. Nie starczyłaby skórka za wyprawę.

— Ale ja takich furmanek nie mogę użyć do przewozu ciężarów.

— To rzecz pana i tych którzy się zobowiązali, cóż ja na to poradzę? Odpowiednią ilość podwód wysłałem i jestem zwolniony z mego zobowiązania.

— Sądziłem, że pan zechcesz wpłynąć na swych sąsiadów.

— Nie panie, a po cóż mi się mieszać w cudze sprawy? Ja człowiek spokojny i chcę żyć w zgodzie z moimi sąsiadami.

Na tém skończyła się konferencya, a gdy nadchodząca wiosna groziła roztopami i uniemożliwieniem dostawy, pan Floryański zwrócił się do chłopów. Ci jednak, chcąc korzystać z chwili, stawiali mimo słabego sprzężaju tak wygórowane warunki, że widział się zmuszony udać do furmanów żydów i przy pomocy pośrednika znalazł chętnych i odpowiedzialnych dostawców.

Giełda pod apteką dowiedziała się o fakcie spełnionym z wielkiém zadowoleniem, a pan Krausberg wydął dumnie usta, mówiąc:

— Ja mówiłem, że my go dogonimy, no i on sam przyszedł do nas.

Z wiosną rozpoczęła się gorączkowa praca na terytoryum Spółki kopalnianéj. Na miejscach wyznaczonych przez inżyniera górniczego ustawiono cztery wieże kanadyjskie, które wierciły ziemię poszukując oleju skalnego. Opodal stały olbrzymie, biało malowane rezerwoary nafty surowéj, które na tle czarnéj, wiosennéj ziemi wyglądały jak wielkie pęcherze na nogach potwora, którego ręce poruszały z chrzęstem i zgrzytem świdry wież kanadyjskich. W saméj Schodnicy, na gruntach świeżo zakupionych, wrzała praca około budowy domów mieszkalnych dla urzędników i biur Spółki kopalnianéj. A w dolinie Tyśmienicy, tuż koło plantu kolei, wprost budującéj się fabryki cerezyny, pod górą wiodącą do Drohobycza budowano fabrykę rafineryi nafty.

Z powodu robót w polu dostawa cegły i kamienia została wstrzymaną, i w takiéj chwili w biurze Spółki zjawił się pan Mroziecki, proponując podjęcia się dostawy potrzebnych materyałów.

Wyświeżony, uśmiechnięty, pełen ukłonów i słów uprzejmych, otrzymał dostawę cegły i kamienia do fabryki rafineryi, złożywszy żądaną kaucyę.

Pan Krausberg, który był dostawcą fabryki cerezyny, dowiedziawszy się o nowém przedsiębiorstwie pana Mrozieckiego, starał się usilnie o widzenie się z nim w miejscu odosobnioném.

— Proszę pana — przemówił tajemniczo — po co my tutejsi mamy robić sobie konkurencyę. Pan dostawia Floryańskiemu, a ja fabryce cerezyny, my możemy razem zrobić ten interes.

— W jaki sposób?

— Nu, sposób się znajdzie. Pan może kazać skręcić do mojéj fabryki furom, a oni kwit z rafineryi mogą także dostać. Ja płacę gotówką połowę należności. Co, dobrze? Po co my swoi mamy żałować obcego?

— Nie, to jest niemożliwe, tam jest zawsze dozorca i on wydaje kwity.

— Ja go znam, to jest młody Bilski, z takim można dać sobie radę. Chcę pan, ja go wyprawię do Drohobycza, młody jest zawsze głodny, on już pojedzie.

— Nie mów pan, ja sam to zrobię... Pan zapłaci gotówką?

— Nu, czy pan mnie nie zna? Krausberg zawsze płaci gotówką. Dziś dowieźli, dziś zapłaci. My przecież swoi.

Młody pan Bilski, chłopak wysoki, niezgrabny, z przydługiemi rękami, w obcisłéj marynarce, w butach palonych, stał w bramie

ogrodzenia budującéj się fabryki, jak bocian na czatach, wypatrując wązkiemi niebieskiemi oczyma nadjeżdżające wozy z cegłą.

Manipulacya przyjęcia materyału odbywała się w ten sposób, że przy każdym transporcie z cegielni oddalonéj o dobre pół mili od fabryki był dozorca ze strony p. Mrozieckiego, który stawał obok p. Bilskiego, wspólnie liczyli wjeżdżające fury, i następnie p. Bilski wręczał kwity Spółki kopalnianéj w ręce dozorcy. Swój urząd kontrolera spełniał p. Bilski sumiennie, a w poczuciu nowéj godności wyzwalał swą energię, hałasując i krzycząc na chłopów, wskazując donośnym głosem miejsca, gdzie należało składać cegłę. Pan Mroziecki w ostatnich dniach zajeżdżał często do budującéj się fabryki, pod pozorem kontroli cegły, któréj tysiąc sztuk płacono wówczas dwadzieścia guldenów. Wkrótce zaprzyjaźnił się z prostodusznym chłopakiem i zaprosił na śniadanie do handelku w Drohobyczu.

— Nie mogę jechać, a nuż nadjadą fury z cegłą, kto policzy? kto skontroluje?

— Teraz południe, chłopi popasają konie, wpadniemy do miasta na chwilkę i wrócimy zaraz.

— Nie, nie mogę.

— Jeśli spotkamy w drodze, każę dozorcy wstrzymać transport do naszego powrotu. Od pierwszego spotkania uczułem dziwną przyjaźń dla pana, i szczerze mi żal, że pan taki wykształcony, z porządnego domu, po całych dniach ma do czynienia z chłopstwem.

Zarumienił się młodzieniec z usłyszanych pochwał i rzekł miękko:

— Trudno panie, takie czasy nastały, że ja, Bilski herbu Topór, muszę służyć. No, ale to chwilowo panie, osiądę późniéj na wsi, a taka praktyka przyda się w gospodarstwie, panie.

— Phi, co za praktyka!? Dla szlachcica koń, strzelba i wino, to praktyka, reszta przyjdzie sama z siebie. No, jedźmy.

— Hm... a jeśli przyjedzie Floryański, albo dyrektor, i nie zastaną mnie na stanowisku.

— Chyba zjeść panu wolno, trudno stać o głodzie cały dzień.

— Hm... to prawda, głodny jestem jak pies.

— Więc jedźmy.

Trzy razy tygodniowo zajeżdżał p. Mroziecki do fabryki, zabierając p. Bilskiego na śniadanie, a w czasie jego nieobecności poinformowany dozorca cały transport cegieł skierowywał do naprzeciw leżącéj fabryki „Krausberg, Lindeman und Stillbach". Pan Bilski

powróciwszy obliczał puste wozy i kwity wręczał dozorcy meldującemu mu pokornie ilość furmanek.

Panowie Lejzor i Mojżesz Krausberg uśmiechali się, wielce zadowoleni z tego pobocznego zarobku, gdyż swoim spólnikom liczyli normalną cenę cegły, bo czyż nie było to osobistą zasługą p. Lejzora, że za tysiąc cegieł potrafił zapłacić tylko dziesięć guldenów?

Przez jakiś czas udawały się te podwójne rachunki, i właśnie p. Bilski otrzymał bilecik od p. Mrozieckiego, zapraszający go na śniadanie i zobaczenie przedziwnéj odtylcówki bijącéj celnie na sto kroków, już czatował na pierwszą lepszą furmankę, by pojechać do Drohobycza, gdy zbliżył się robotnik fabryczny.

— Proszę panicza, — zaczął pokornie.

— Czego chcesz?

— Bo to chciałem powiedzieć, że jak panicza niema w bramie, to cegła idzie tam — i wskazał na fabrykę cerezyny po drugiéj stronie gościńca.

— Kłamiesz, nie może być — zawołał, zaczerwieniwszy się w poczuciu swéj winy.

— Aby mnie tak Bóg skarał, jeśli kłamię, mówię po sprawiedliwości. Panicz tylko do miasta, a fury zaraz na prawo.

— No, przekonam się dzisiaj, zasiądę i złapię, lecz jeśli skłamałeś, popamiętasz mnie ruski miesiąc.

— Niech i tak będzie.

Ukryty za parkanem, oczekiwał pan Bilski niecierpliwie transportu. Nareszcie na górze, na gościńcu z Drohobycza z pomiędzy zielonych, rozłożystych jarzębin przydrożnych wysunęła się furmanka pierwsza z cegłą. Kontroler drżał z niecierpliwości i oczu nie odwracał od wozów wolno zjeżdżających. Transport skręcił istotnie na prawo do fabryki cerezyny. Jak rozjuszony dzik, wypadł młody, silny p. Bilski, sadził przez drogę długiemi nogami, dopadł dozorcę i uderzył silnie w twarz, kopiąc leżącego nogami i wrzeszcząc z całych sił:

— A ty złodzieju, psubracie, chamie.... Odciągnęli go chłopi na stronę, a on zapieniony, wołał do podnoszącego się dozorcy:

— To psi synu tam wozisz cegłę, a bierzesz moje kwity! Zginiesz w kryminale, zaraz powiem panu Mrozieckiemu o twém złodziejstwie.

Dozorca porządkując ubranie, odpowiedział flegmatycznie:

— Pan Mroziecki sam kazał mi dostawiać cegłę do Krausberga, jego pan pytaj, nie mnie.

— Kłamiesz!

— Jak mi Boga przy skonaniu, tak mówię prawdę, — odpowiedział w obawie osobistéj odpowiedzialności.

— Ile razy woziliście do Krausberga? — spytał woźniców spokojniéj.

— Jak czasem, bywało dwa, trzy razy na tydzień.

— I kiedy? O któréj porze?

— Różnie, albożja pamiętam?

— Dziś transportów nie przyjmuję — zawołał do dozorcy i poszedł ku swéj bramie.

Co teraz zrobić, plątało mu się w głowie; z jego niedbalstwa zaszła tu kradzież cegły, to fakt, jeździł do miasta, a w tym czasie okradano fabrykę Spółki. A ten Mroziecki? Taki porządny, gościnny, taki serdeczny i wylany, a złodziéj, jeśli dozorca mówił prawdę? Chyba tak, bo śmiało przy świadkach powoływał się na rozkaz otrzymany. A, jakiż to lizus, szachraj, złodziéj z tego Mrozieckiego! Jego prawa natura oburzyła się na widok téj podłéj przebiegłości, dreszcz wstrętu przeszedł po nim na myśl, że znów spotka tego słodkiego, uśmiechniętego człowieka. Po krótkiéj rozwadze postanowił całą rzecz odkryć panu Floryańskiemu i podziękować za miejsce kontrolera, które spełniał tak niedbale, a przez wrodzoną drażliwość nie chciał narazić się na wymówki i naganę. Przysiadł się do spotkanéj furmanki i pojechał wprost do Schodnicy.

— Proszę pana administratora, — mówił zmieszany niepewnym głosem wszedłszy do gabinetu, — ja nie mogę już być kontrolerem...

— Nie? A dlaczego?

— Powiem całą prawdę....

— Słucham.

— Przyjmowałem sumiennie transporty cegieł i po obliczeniu dawałem kwitki, aż tu przyjeżdża pan Mroziecki raz i drugi raz i prosi na śniadanie do Drohobycza.

— Pan poszedłeś?

— Byłem głodny i przyjąłem zaprosiny. Aż dziś widzę, że transport cegieł jedzie wprost do fabryki cerezyny, a bywało że przyjeżdżam z miasta, liczę puste wozy i daję kwitki, bo nie myślałem żeby pan Mroziecki był złodziejem.

— A skądże wiadomość, że to on robił? — spytał zaciekawiony.

— Dozorca mówił, że dostawia cegłę do tamtéj fabryki z polecenia Mrozieckiego, a chłopi mówili, że nie pierwszy raz. W dodatku miałem dziś znów zaproszenie Mrozieckiego na ten czas.

— Hm... zbadam sam całą sprawę.

— Proszę pana administratora powiedziałem całą prawdę, jestem Bilski, a żaden Bilski nie był jeszcze umieszczany w sprawki złodziejskie.

— Dobrze, już dobrze, dam znać po zbadaniu.

— Może jutro panie administratorze, chciałbym już być w domu, tam niema przynajmniéj takich chytrych Mrozieckich.

— Może i jutro.

Po jego wyjściu pan Floryański uśmiechnął się nad dobrodusznością i poczciwością chłopca, Że Mroziecki zrobił jakieś szelmostwo było widoczne, że młody Bilski jest uczciwy, nie ulega żadnéj wątpliwości. I z jaką dumą mówił on o swém nazwisku rodowem! Dziwna mieszanina zalet i błędów u téj szlachty podkarpackiéj... uczciwi, uczuciowi, z wielkiém poczuciem honoru, a równocześnie niesłowni i niedbali w interesach, lekceważący zobowiązania i wykręcający się z umowy sposobami godnemi pokątnych kauzyperdów. Żaden z nich nie dotrzymał ściśle umowy co do furmanek, ilości i gatunku cegły i kamienia, a już co do nabiału i produktów, to ani jednego transportu nie było, aby zarządzający sklepem spożywczym nie zaniósł skargi na stęchłe krupy, zjełczałą słoninę, przegniłe kartofle, zgorzkniałe masło, nieczystą mąkę, i znów p. Floryański był zmuszony patrzéć przez palce, że sklep zaopatruje się w produkta przy pomocy dostaw żydowskich. Żydzi dostawiali ten sam produkt kupiony taniéj u téjże szlachty, ale umieli go dopilnować osobiście, niemal wyniańczyć, i ustrzedz od niedbalstwa i niechlujstwa służby folwarcznéj.

Zanim słońce zaszło, zaturkotała bryczka p. Mrozieckiego przed dworem w Schodnicy. Przybyłego przyjął zimno pan Floryański nie prosząc siedziéć:

— Ach, panie administratorze, tu zaszło proste nieporozumienie ze strony pana Bilskiego. Jestem również dostawcą cegły fabryki Krausberga i od czasu do czasu wysyłam transport cegły, gdy dowieziono dosyć dla pana....

— Cóż daléj?

— Dziś pan Bilski napadł na dozorcę fur, obił go, rzucił na ziemię, skopał nogami, chłop chce skarżyć, a wszystko najniesłuszniéj, bo ten transport był przeznaczony dla fabryki Krausberga.

Po chwili milczenia, rzekł pan Floryański:

— Panie Mroziecki, stosunki pomiędzy mną a panem skończone. Nie chcę dochodzić popełnionego nadużycia, ale od dziś nie znam pana.

— A moja kaucya!? — jęknął pan Mroziecki.

— Kaucyę może pan jutro odebrać, a że w umowie płaci pan sto guldenów za zerwanie kontraktu, zapłaci pan tę sumę na rzecz kasy bratniéj pomocy naszych robotników.

— Czyż ja zrywam, panie administratorze? — jęknął pan Mroziecki.

— Ani słowa więcéj, skończyłem.

Pan Bilski zamiast oczekiwanego uwolnienia ze służby, otrzymał miejsce w kontroli składów węgla kamiennego i materyałów budulcowych.

Tacy panowie Mrozieccy byli dość licznie reprezentowani w Spółce kopalnianéj, wydatki same przez się olbrzymie przy przedsiębiorstwie na taką skalę rozpoczętém, już w maju przerosły sumę zakładową Spółki kopalnianéj, pozostawał jednak niezachwiany kredyt w bankach, i pan Floryański na brak pieniędzy nie mógł się nigdy uskarżać, włoży milion, zyska miliony!

XX.

Nareszcie w początkach czerwca fabryka cerezyny, pod firmą: Krausberg, Lindeman und Stillbach, była o tyle gotową, że można było rozpocząć produkcyę, jakkolwiek z pewnemi niedogodnościami.

Ale panowie spółkowi naglili bardzo do pośpiechu, by kapitał włożony w budynek zaczął procentować. Wszystkie trzy rodziny spólników znalazły się w oznaczonéj godzinie puszczenia w ruch fabryki, na obszerném podwórzu zarzuconém jeszcze cegłami, gliną, wapnem, z otwartemi dołami. Z obawy powalania, panie ugięły dość wysoko jedwabne suknie, z pod których wyglądały brudne halki, brudniejsze spódnice, kolorowe pończochy i rozchlapane trzewiki.

Dyrektor fabryki, pan Winter, Niemiec z długą twarzą, ryżawym zarostem, tłómaczył właścicielom i ich rodzinom rozkład fabrycznego budynku. Była to długa, jednopiętrowa, murowana szopa, przedzielona na kilka części, z dachem blaszanym, z licznemi otworami dla ulatniania gazów.

W głębi podwórza, niedaleko niedokończonych jeszcze składów, robotnicy Żydzi zajęci byli ważeniem surowego wosku ziemnego.

— Co oni tam sami robią panie dyrektorze? — spytał pan Lindeman starszy.

— Przy nich jest magazynier, ale oczy własne najlepsze, chodźmy bliżéj.

Podeszli wszyscy, dyrektor wziął w rękę wosk i rzekł:

— O, dużo wody, oczyszczenie potrwa dość długo, bo najpierw musi być wosk oczyszczony z brudu i o ile można bez wody... Ile zważyliście? — zwrócił się do robotników.

— Dziesięć centnarów panie dyrektorze.

— To dosyć... Może panowie zechcecie przejść do działu przetapiania i oczyszczania wosku.

Była to przestrzeń około dziesięciu metrów, zamknięta murami fabryki. W środku stały dwa wielkie, kwadratowe, spajane z blachy żelaznéj kotły, do których, mniéj więcéj na wysokość pierwszego piętra, prowadziły schodki drewniane, umożliwiające dostanie się na platformę okalającą kotły, oddzieloną od tychże nizką baryerą. Kotły były ogrzewane parą przeprowadzoną rurami wężowatemi.

— Tu oczyszcza się wosk surowy, — mówił dyrektor stając przed nizką baryerą — i ogrzany do 120⁰ ciepła, przepływa rurami do odziału odkwaszającego, tam za ścianą.

Panna Ester, nachyliwszy się nad kotłem, patrzała na złożone tam dziesięć centnarów wosku. Pani Krausberg, słysząc cyfrę stopni ciepła, zawołała:

— Esterko, nie nachylaj się, jeszcze spadniesz!

— Nic mi nie będzie — odpowiedziała obojętnie.

— Teraz nic, — zaśmiał się dyrektor, — lekkie stłuczenie i koniec, ale przy stu dwudziestu stopniach śmierć byłaby natychmiastową.

— Chodźmy z tego miejsca, tu niebezpiecznie,—mówiła z obawą pani Lindeman.

Pan Krausberg trąc krótką brodę, rzekł:

— Panie dyrektorze, kiedy zaczynamy robić cerezynę?

— Zaraz, — i zawołał do robotnika żyda w dole, — idź do maszynisty niech puszcza parę.

Właśnie wychodzili goście, gdy rozległ się ostry gwizd parowéj maszyny, wzdrygnęły się kobiety i z pewną obawą spoglądały na budynek. Na dane hasło ruszyli się robotnicy, niosąc długie pręty żelazne, spłaszczone w jednym końcu wiosłowato, i ciężko szli po schodkach na górę wraz z dozorcą Żydem.

Dyrektor z Niemcem pomocnikiem tłómaczyli dozorcy po niemiecku, że robotnicy mają nieustannie mieszać roztopiony wosk; ustawiali chłopów, którym polecenia dyrektora tłómaczył dozorca.

— Ja tu zajdę, albo mój pomocnik, i powiemy kiedy czas przestać mieszać, bo wosk gotujący musi być bezpiany i pęcherzyków,— mówił dyrektor schodząc po schodkach, — ale mieszać trzeba nieu-

stannie, a pilnuj, aby nie uciekli od kotła gdy zaczną się ulatniać gazy.

Na te słowa, żyd dozorca przybladł i szybko zapytał:

— Panie dyrektorze, czy te gazy duszą? czy one są nieprzyjemne?

— No, nie pachną, — zaśmiał się dyrektor — a udusić, nie uduszą, bo mają ujście przez kominy.

— Panie dyrektorze, — zawołał dozorca, — czy z nich jest choroba?

— To zależy od wytrzymałości.

— Ja bardzo niewytrzymały panie dyrektorze, ja się boję tu zostać...

— Przecież sam chciałeś...

— To dawniéj, ale teraz nie mogę.

— No zostań, nic złego się nie stanie, chociaż rozboli cię głowa.

— Ja zostanę tylko ten jeden raz, a wolno mi wychodzić na powietrze?

— Tak, na krótką chwilę...

Dozorca zastraszony stanął blisko okna niedaleko schodków i pełen obawy patrzał na kocioł.

— Już topnieje! — zawołał jeden z robotników.

— To wy mieszajcie — krzyknął nastawnik.

— Przyjdź i zobacz, toż ledwie zaczyna.

— Ja muszę tu zostać, tak mi kazał dyrektor, ja nie mogę tam pójść.

— To nie gadaj, kiedy nie widzisz — odpowiedział robotnik.

Zwolna zaczęły się podnosić leciutkie opary z głębi kotła, i silna przenikająca woń nafty rozeszła się w powietrzu.

Robotnicy próbowali poruszyć wiosłowatemi prętami, ale główna masa środkowa nieroztopiona stawiała silny opór.

— Wy ruszajcie, — wołał dozorca.

— Ruszże, kiedy wosk stoi.

W ciągu kwadransa rozgrzany kocioł szybko roztopił wosk, i coraz większe kłęby pary zaczęły się wzbijać w górę. Robotnicy kaszlali często, spluwali i klęli głośno:

— Do dyabła z taką robotą!

— Tylko Niemiec mógł wymyśléć takie utrapienie.

— Ależ dusi szelma!

Dozorca, o ile mógł, cisnął głowę do szyby okna, zamkniętego ze względu by przewiewem dolnym nie uchodziły gazy, lecz wzno-

siły się w górę. Dozorca silnie zakaszlał, a pod parciem głowy szyba wyleciała z brzękiem. Żyd wystawił głowę oddychając czystém powietrzem, odwrócił się po chwili, gdy gazy cisnęły się do otworu okna. Owionęły go całego. Kaszląc, jęcząc, stękając, zbiegł po schodach rozbudzając głośny śmiech robotników. Otwierając drzwi, natknął się na dyrektora, który zdziwiony zawołał:

— A ty gdzie idziesz?

— Puść mnie pan, panie dyrektorze, ja tu zdrowie stracę, ja nie mogę teraz, ja przyjdę późniéj...

— Ależ to dopiéro początek! Patrz, robotnicy przy kotle pracują i nic im nie jest.

— Taki chłop ma prostą, grubą naturę, a ja człowiek delikatny, ja nie mogę.

— Powiedzże przynajmnéj robotnikom, aby mieszali, ja znajdę innego dozorcę.

Wezwany spełnił to polecenie, krzycząc donośnie.

— Dobrze, już dobrze wiemy o tém — odpowiedziano mu.

— Ty uciekaj, — zaśmiał się drugi wśród kaszlu. Dyrektor wyszedł wraz z dozorcą i tuż spotkali trzech spólników właścicieli, do których rzekł pan Winter:

— Daliście mi panowie tego tu dozorcę, i przy pierwszych głupich gazach ucieka.

— Co to takiego? — zawołali niemal równocześnie.

— Tam dusi, ja od urodzenia boję się duszności, ja mam delikatne zdrowie — bronił się dozorca.

— Nu, panie dyrektorze, jak tam dusi, to on nie może wytrzymać, — odezwał się p. Stillbach, — ja uciekłbym także.

— Ależ robotnicy przy kotle wytrzymują — mówił gniewnie.

— Co taki gruby chłop, on napije się wódki i jest zdrów, — objaśnił p. Lindeman.

— Panie dyrektorze, — dodał p. Krausberg — tam gdzie dusi daj pan chłopa na nastawnika.

— Co ja tu zrobię, — zawołał dyrektor, — z chłopem nie mogę się porozumiéć, i głupstwo przy topieniu, ale tak przy wlewaniu kwasu siarkowego — wskazał na dalszą część budynku — tam robotnik najlepszy zaledwie czterdzieści minut wytrzyma, skąd wezmę dozorców?

— Co? Czterdzieści minut!? — rzekł zdziwiony p. Stillbach, — tam żaden z naszych nie pójdzie.

— Ja panu poradzę, — odezwał się p. Krausberg — ja mam w Borysławiu jednego chłopa, on służył w wojsku i umie trochę po niemiecku, ja go panu przyszlę, on będzie dobry na dozorcę.

— Przyszlij pan.

— Panie dyrektorze, — mówił zbliżając się młody p. Lindeman, — panie się pytają kiedy będzie cerezyna?

— Jutro wieczorem.

— Tak długo? — ździwił się p. Stillbach, — ja myślałem że dziś zobaczymy.

— Źle pan myślał, — oburknął gniewnie dyrektor, — sam proces z kwasem potrwa osiem godzin, a potem „upiększenie" cerezyny, filtrowanie i ochłodzenie. Jakim więc sposobem dzisiaj?

— Niech pan dyrektor się nie gniewa, ja tylko sobie tak myślałem.

— To my nie mamy tu co robić, — rzekł p. Krausberg — ja jadę do Borysławia i przyszlę tego chłopa panu dyrektorowi.

— I my pojedziemy — dodali spólnicy.

Pożegnali dyrektora i szli w stronę pań, którym towarzyszyli młody p. Lindeman i Mojżesz Krausberg.

— My jedziemy do Borysławia, — mówił p. Lindeman,—a wy co robicie.

— Ja jadę do domu — odpowiedziała żona.

— I my, — odezwały się inne.

Pan Lindeman spojrzał porozumiewawczo na żonę, potém na syna i pannę Krausberg, odchrząknął i rzekł:

— Początek fabryki obchodził Lejzor, na otwarcie naszéj fabryki będzie kolacya u nas, u Lindemanów, nu, a kiedy u ciebie Stillbach?

— U mnie? Niech będzie przy pierwszym transporcie naszéj cerezyny.

— To dobrze powiedziane — pochwalił p. Krausberg.

— Tak ja proszę moich spólników z ich familią dzisiaj na moją kolacyę — uśmiechnął się wdzięcznie p. Lindeman.

— My możemy przyjść, — rzekła pani Krausberg z godnością damy.

— I my przyjdziemy — pospieszyła pani Stillbach.

Z głębi podwórza fabrycznego doleciał ich głos dyrektora. Młody p. Lindeman zwrócił się do ojca:

— A możeby zaprosić dyrektora?

— On nam niepotrzebny, — zawyrokował ojciec, — on bierze swoje 3,000 rocznie, niech sam kupi sobie piwa.

Już wychodzili z obrębu fabryki i mieli siąść na oczekujące ich wozy, gdy młody p. Lindeman zaproponował paniom:

— Co my mamy pod górę jechać, my przejdźmy się trochę przy pięknéj pogodzie i pod zielonemi drzewami.

— Ja nie pójdę — odpowiedziała panna Ester, — co innego w ogrodach publicznych, tam bardzo przyjemnie.

Starsze panie zgodziły się w zupełności na to zdanie i całe towarzystwo pojechało do Drohobycza, a spólnicy do Borysławia.

XX.

W domu własnym pana Lindemana, parterowym, zebrali się zaproszeni goście, których zaraz na wstępie zaproszono na kolacyę, a po skończeniu téjże rozdzieliło się całe towarzystwo, jak zwykle, na dwie części.

Panie i młodzi przeszli do t. zw. salonu, pokoju obszernego, umeblowanego banalnie, z pozornym szychem hotelów. Państwo Lindeman cieszyli się liczném potomstwem, z których każde odznaczało się w oczach rodziców nadzwyczajnym talentem.

Syn młodszy grał znakomicie na skrzypcach, jedna z córek na fortepianie, druga deklamowała. Rozpoczęły się produkcye talentów pojedyńcze i zbiorowe, a panie Krausberg i Stillbach nie zaniedbały pochwalić się talentami swoich dzieci. Wzajemnie sobie świadczone pochwały, oklaski, wybuchy radości i dumy napełniły salon po brzegi. Matki i koncertanci zabawiali się bardzo wesoło. W drugim pokoju zasiedli spólnicy przy kawie, rozmawiając o interesach bieżących.

— Co ty Lejzor myślisz o naszym dyrektorze? — spytał pan Stillbach.

— Jemu dobrze, on bez żadnego ryzyka bierze 3,000 guldenów rocznie, — westchnął.

— Ja chcę wyszukać kogoś z naszych i dać mu do nauki, — mówił p. Lindeman, — mój syn Moryc powiada, że to nie jest wielka sztuka z tą cerezyną. Nasz będzie nam robił taniéj.

— Twoja myśl niczego, — pochwalił p. Stillbach, — ale taki praktyk może nam popsuć wosk i złą robić cerezynę.

— Zawsze Niemcy ją kupią, — uśmiechnął się p. Krausberg, — bo nie mamy konkurentów. Kto w Drohobyczu włoży w jedną fabrykę 58,900 fl., nu kto?

Po chwili rzekł p. Lindeman prawie szeptem:

— Floryański!

Wszyscy westchnęli z żałością. Spółka kopalniana i jéj reprezentant p. Floryański od chwili wystąpienia swego stawali się coraz dokuczliwszą bolączką kupców i przemysłowców Drohobyckich. Dotychczas cały handel naftą i woskiem był jedynie w ręku Żydów, noi stanowili o cenie i jakości obu produktów, z nimi tylko liczyli się fabrykanci niemieccy. Ich pohopność i łatwość w przeprowadzeniu zmowy uczyniła ich panami nietylko rynku zbytu, ale i tu na miejscu wszyscy właściciele gruntów naftodajnych byli zawiśli od nich, również robotnicy i drobni przedsiębiorcy pobocznych gałęzi, związanych z poszukiwaniem produktów kopalnianych. Póki do interesu brali się ludzie niezamożni, w rodzaju Bratkowskiego, usunięcie ich nie przedstawiało wielkich trudności. Inaczéj przedstawiała się walka konkurencyjna z człowiekiem rozporządzającym wielkiemi kapitałami.

— Aby on przepadł — mruknął chmurny p. Krausberg.

— Jak on ma przepaść, — mówił smutnym głosem p. Lindeman, — kiedy nafta mu płynie jak woda. Dwa rezerwoary ma już pełne, a wierci nowe szyby. On nas zabije, jego słowo zaważy u Niemców.

— A jak puści fabrykę rafineryi, będzie jeszcze gorzéj, — westchnął p. Stillbach, — bo Niemcy zamkną swoje rafinerye, i gdzie pójdzie nasz towar? On nie jest głupi, on da nam nizką cenę.

Zamyślili się wszyscy trzéj nad smutną przyszłością. Pan Krausberg opierając głowę na łokciu rzekł:

— Ja jego liczyłem. On wydał dotychczas 700,000 guldenów, a może więcéj. Nu, każda studnia się wyczerpie, i na niego przyjdzie koniec. My czekajmy.

— On może nas przetrzymać, — jęknął pan Stillbach, — on ma kapitały.

— Wiecie, co on teraz robi?.... On nie chce wozić nafty w beczkach ze Schodnicy do swojéj fabryki, on ją puści rurami wprost z rezerwoarów, czy wy słyszeli o takim interesie? — kończył tonem zgorszonym p. Lindeman.

Dwaj słuchacze z pewném podziwieniem kręcili głowami.

— To musi go dużo kosztować — rzekł p. Stillbach, — aj aj rury dać na milę, może więcéj, nu przy takiéj gospodarce on może zbankrutować.

— A ty Lindeman, słyszałeś?... On do swéj rafineryi sprowadza chemika z zagranicy, on chce miéć taką czystą naftę, aby ludzie

nie kupowali ani niemieckiéj, ani amerykańskiéj, ani kaukaskiéj, on chce być sam!

— Ten Floryański ma dobrą głowę, — westchnął gospodarz.

— Mówili mi dziś w Borysławiu, że on posłał inżyniera i świder do Mroźnicy na próbę, a szlachcice się przechwalają, że on u każdego sprobuje, czy w jego wsi niema nafty. Oni chcą już pożyczać na tę naftę, — zaśmiał się z ironią pan Stillbach.

— Nu niech on probuje wszędzie, to dobrze, jak on będzie taki zachłanny; on się udławi — dodał gospodarz.

— To jest taki interes, — mówił poważnie p. Krausberg, — nam trzeba się dowiedziéć, zkąd on bierze te pieniądze, jak u ludzi, ich można zastraszyć, jak w banku można kredyt zachwiać. Nam trzeba pogadać z naszymi we Lwowie, w Wiedniu, tu idzie o nas wszystkich, o cały Borysław, on powinien przepaść.

— To jest dobry plan, mój syn Moryc napisze do Lwowa i do Wiednia, on ma tam znajomych.

— Ja myślę, — rzekł po chwili pan Stillbach, — że rabin i kahał powinni napisać do „*Alliance israelite*", niech nas ratują od niego.

— Nam trzeba pogadać ze starszymi. Ty Stillbach dobrze radzisz, jak „*Alliance*" zechce, to jego tu już niema; jemu każe sam minister, sam cesarz pójść precz i nam nie przeszkadzać, nas nie gnębić, nie niszczyć.

— A jak on nie posłucha?—powątpiewał pan Lindeman.

— To przyjdą żandarmi i jego poprowadzą ciupasem na miejsce urodzenia — zawołał p. Stillbach.

— Aj, to byłby ładny widok! — zaśmiał się gospodarz.

Wszyscy trzéj poweseleli, i nadzieja w nich wstąpiła, że zdołają się uwolnić od tego wroga.

Wszczęli rozmowę o cenie wosku, cerezyny, nafty, zakopów, kto jakie interesa robi.

— Lejzor, — rzekł gospodarz, — ten Boruch, twój krewny, to słaba głowa, znowu stracił pieniądze.

— Nu, on nie ma szczęścia do interesów, co ja temu winien?

— Ty weź jego do siebie.

— Ja już myślałem. W naszéj fabryce potrzeba kogoś do pilnowania wosku, ja chciałbym dać jemu to miejsce.

— Nu, my pogadamy o tém, a wy pogadajcie mówił p. Lindeman — jaką pensyę dacie Morycowi za dozór biura fabryki.

— My pogadamy o tém — rzekł p. Stillbach, — Lejzor, a ty posłałeś tego chłopa naszemu dyrektorowi.

Ja mu posłałem.

Umilkli. Pan Lindeman, jakkolwiek starał się być ożywionym, od czasu do czasu wpadał w zamyślenie, spostrzegł to pan Krausberg i spytał:

— Czego ty wzdychasz?

— Ja wzdycham, bo ściska mi się serce.

— Dlaczego tobie się ściska?

— Jak ja sobie pomyślę, że ten Floryański z mego gruntu ma już do 30,000 guldenów nafty, to mnie serce bardzo boli.

— Ja to rozumiem, to rzecz bardzo przykra — dodał pan Stillbach.

— I dlaczego ja sprzedałem te grunta? dlaczego nie mogę wyprocesować? Żebym ja miał jeden mały haczyk, już ja pociągnąłbym wszystko — skarżył się gospodarz, — ale te Niemcy umieją pisać kontrakty, oni się pilnują, nie tak jak szlachcice.

— A teraz nie wiesz, gdzie on wierci? — spytał z żywością pan Krausberg.

— Ja nie chcę nic wiedzieć, mnie może serce pęknąć, po co mi wiedzieć?

Po powrocie do domu, pani Krausberg co prędzéj zrzuciła wizytową suknię i stanik ze siebie, schowała starannie do szafy i stanąwszy w brudnéj halce, w wygorsowanéj koszuli przed rozbierającym się mężem, rozszerzając usta w uśmiechu mówiła:

— Lejzor, ja tobie coś powiem.

— Co ty mi powiesz Sura? — spytał spokojnie.

— Lejzor, Moryc Lindeman patrzy się na naszą Esterkę...

— Nu, i co z tego?

— Z tego może coś być...

— Ty Sura gadasz niepotrzebne rzeczy, — odezwał się przestając się rozbierać, — na mnie także patrzy się wół, i co ma być z tego?

— Oni mogą się pobrać...

— Sura, ja nie dam Esterki Lindemanowi, a przyjdzie swatka od niego, to powiedz, ża ja żadnego posagu za mego życia nie wypłacę Esterce.

— Dlaczego Lejzor? Przecież on nasz, był w szkołach, ma majątek, co jemu brakuje?

— Sura, ja jego nie chcę, on ubiera się jak pan, on w podróży wydawał guldena 50 centów na życie, on straci cały majątek, ja mu nie dam Esterki.

— Lejzor, a jeśli ona zechce? Ja widziałam dzisiaj, że ona z nim rozmawia i śmieje się do niego.

— Suro, ona jest głupia, ja ojciec wiém najlepiéj, co dla niéj dobre, a co złe. Już ja jéj wyszukam męża.

— Nu, a nie ożeniłbyś Mojżesza z młodszą córką Lindemana?

— Jaki ona ma posag?

— Ja nie wiem.

— To szkoda czasu na gadanie, ja muszę się wyspać, u mnie jutro robota.

— Ty Lejzor śpij zdrów.

— Ja Sura tego i tobie życzę.

XXI.

Pan Krausberg załatwiwszy interesa na swéj kopalni, skorzystał z pierwszéj nadarzonéj okazyi i pojechał do Schodnicy. Ze złośliwém zadowoleniem patrzał na wielkie zmiany, które zaszły tutaj od czasu jego ostatniéj bytności, rozmyślając nad wielkiemi wydatkami Spółki kopalnianéj. Przez wieś prowadził szeroki, bity gościniec, w téj chwili ubijany przez robotników. Z jednéj i drugiéj strony drogi wznosiły się domy mieszkalne będące na ukończeniu, a w głębi, na końcu wsi, wysoki, czerwony komin wyrzucał kłęby siwego dymu z fabryki narzędzi żelaznych i drewnianych, potrzebnych do kopalń.

Pomiędzy ładnemi domami, z wielkiemi oknami, tuliły się chaty i budynki dawnéj Schodnicy, które wobec nowych wydawały się jeszcze bardziéj nizkie, brudne, zapadnięte w ziemię.

Pan Krausberg wszedł do karczmy Arona i po zwykłém pozdrowieniu zasiedli obaj w alkierzu za szynkwasem.

— Aron, co u ciebie słychać?

— U mnie źle słychać — odpowiedział ze skrzywieniem.

— Ty Aron sobie żartujesz, masz teraz tylu robotników, przyjezdnych, musisz miéć dobre dochody.

— Aby moje wrogi mieli takie dochody, — westchnął ze smutkiem.

— Nu, co się stało? To nie może być? Taka karczma ładna przy tylu ludziach...

— Ano pusta Lejzor, idź zobacz, kto jest w izbie, kto pije?

— A gdzie robotnicy?

— Oni mają swoją karczmę i nam na złość nazwali to paskudztwo: gospodą chrześciańską, czy ty Lejzor słyszał kiedy takie słowo? Nu, ono jest w Schodnicy. Robotnik u nas to teraz wielki

pan, tén Floryański, aby on przepadł, on ich karmi jak woły na rzeź: oni mają swoją policyę i pijanego zaraz wyprowadzają z karczmy.

— I biją?

— Żeby oni bili, — westchnął — to goj piłby daléj, ale oni sztrafują, a tobie Lejzor nie trzeba mówić, że goj boi się tylko sztrafu pieniężnego.

— Nu, to jest przeciw przepisom policyi, ona nie ma prawa nakładać sztrafu na pijaków, ty Aron podaj skargę.

— Co mi to pomoże Lejzor? Floryański ma wielkie pieniądze, ja jemu nie poradzę.

— My jemu już poradzimy — syknął z zawziętością.

— Lejzor, — zaszeptał szynkarz, — czy jest już co? On nas zniszczy, my zbiedniejemy i nasze dzieci i nasze wnuki.

— Przyjdzie czas, to powiedzą tobie... Nu, Aron i co on robi tutaj?

— Wszystko złe, co ty sobie Lejzor tylko pomyślisz. Założył robotnikom kasę taką, że jak który biedny, on nie potrzebuje naszego kredytu, on idzie do kasy i bierze ile chce, i wiész, on nie trzyma téj kasy u siebie, on im oddał pieniądze.

— Aron, on jest socyalist.

— Socyalist?... Lejzor, co to jest?

— Socyalist?... Socyalist?... To jest taki, co chce brać moje pieniądze, mój interes, on mi nic nie daje za to, tylko chce mnie zarznąć... To jest socyalist!

— Nu Lejzor, to ten Floryański jest prawdziwy socyalist, on sam generał socyalistów, — mówił szybko gospodarz — on zabiera nasze interesa, nasze pieniądze, nam nie daje targować i nas zarzyna.

— To dobrze, Aron, że ty mi to powiedział, ja o tém pogadam z naszymi, co socyalist idzie do kryminału, może i on pójdzie.

— Nie Lejzor, on nie pójdzie — westchnął żałośnie, — on ma pieniądze, on nie boi się komisarza, starosty, samego namiestnika, co jemu zrobią?

— Ty Aron siedzisz na wsi, to ty nie wiész co się robi na świecie... Ty mi powiédz, co to za fabryka i na co tyle domów?

— Fabryka jest żelazna, on tam robi wszystko co mu potrzeba, a domy dla urzędników buduje, oj co on pieniędzy włożył w ten interes, żebym miał połowę, ja byłbym bardzo bogaty. U niego pieniędzy jak lodu. Przyszli do niego goje i mówią, że oni chcą miéć szpital, on im buduje zaraz, a ich dzieci muszą chodzić do szkoły, bo zaraz nakłada sztraf na nich.

— Nu, a jak mu idzie interes?

— Jemu płynie nafta jak woda. Z czterech szybów trzy były z naftą, a teraz on robi od miesiąca sześć szybów.

— A jak on stoi z gruntami?

— On kupił od chłopów pół Schodnicy, a teraz wziął się do gruntów Mroźnicy. Z naszymi on nie robi interesu, tylko z chłopami, to wielka strata, bo on popsuł chłopów.

— Już i my go popsujemy... Aron, ja chciałbym zobaczyć jego kopalnię, czy ty masz czas?

— Ja teraz mam zawsze czas, — westchnął głęboko, — ja pójdę z tobą Lejzor.

Zrzucił lejbik, ubrał się w chałat, wziął laskę i wyszli.

Bocznemi ścieżkami poprowadził Aron swego towarzysza na wyżynę wzgórka, ogrodzoną na znacznéj przestrzeni. W bramie spytał ich stróż:

— A wy dokąd:

— Czy nam nie wolno? — zakrzyczał z gniewem Aron, — to jest przejazd, droga gromadzka, ja tutejszy, ja wiem gdzie idę.

— A, jak wy tutejsi, to idźcie daléj — i zeszedł ze środka drogi na stronę.

— Ten goj jest bardzo zuchwały, — mruknął pan Krausberg, — on potrzebuje chłopów pilnować, nie nas.

— To zrobił Floryański, teraz każdy chłop ma zaraz wielki pysk.

Nieopodal drogi, w murowanym budynku, warczała maszyna parowa poruszająca, przez skombinowane dźwignie świdry umieszczone w wieżach kanadyjskich. Pan Krausberg przystanął i patrzał. W promieniach południowego słońca iskrzyły się oparte na słupach żelaznych pręty stalowe, poruszające się rytmicznie w takt obrotu maszyny, przesyłającéj swą siłę do wieży kanadyjskiéj, odległéj o jakie sto metrów. Miała ona formę ściętéj piramidy, spajanéj w odstępach łokciowych grubemi dylami, a u dołu oszalowanéj deskami. Z drogi mógł widzieć pan Krausberg robotników zajętych wierceniem, z których jeden trzymał ręką górną część pręta świdrowego wyczuwając normalność funkcyonowania, drugi uważał na ruch koła rozpędowego i przyrządów przytrzymujących świder, inni przygotowywali narządy do zmiany świdra.

W drugiéj wieży kanadyjskiéj, czarnéj od nagłego wybuchu nafty surowéj, do podstawionéj na zewnątrz kadzi spływała z rury nafta, migocąc metalicznie w promieniach słońca. Z tego rezerwoaru chwilowego odprowadzały naftę rury do olbrzymich zbiorników.

Pan Krausberg liczył wieże, było ich dziesięć, patrzał, wzdychał z zazdrości i spytał:

— Aron, a gdzie są te grunta, które kupił Baruch w Schonicy?

— Jakie grunta?

— Ty Aron zapomniałeś? Ty sam robiłeś ten interes z Łukaszem, z Maciejem i Bazylim.

— Te grunta? Ja tobie zaraz powiem Lejzor, — rozglądał się, nareszcie rzekł. — My teraz stoimy na gruncie Łukasza i ten szyb jest na jego ziemi.

— Ty Aron jesteś tego pewny?

— Jakto Lejzor?—Ja przecież tutejszy, to wiem. Ta grusza to grunt Hrycia, a tu na lewo to było Łukasza. Ten dobrze zarobił, wziął już stówkę z kontraktu, a jak będzie nafta, on dostanie prezent od Floryańskiego.

— I ja dałbym mu wódkę, żeby to był mój szyb z naftą.

Uszli kawałek dalej, p. Krausberg wyjął wielki srebrny zegarek na łańcuszku stalowym, spojrzał i rzekł:

— Aron, ja już mam dosyć tego cudzego bogactwa, ja pojadę do domu.

— Tu Lejzor szczęśliwy, a ja zawsze widzę przeklętego Floryańskiego. Nu, chodźmy do domu. Ty Lejzor zobaczyłeś to, co chciałeś?

— Ja już zobaczyłem.

Przyjechawszy do Borysławia, spostrzegł p. Eisensteina, zeskoczył szybko z wozu i zawołał na zamyślonego:

— Boruch, Boruch, słyszysz ty?!

— Lejzor ja słyszę, — a widząc jego zapylone plecy, dodał, — skąd ty przyjechałeś? gdzie byłeś?

— Ja przyjechałem raniutko z Drohobycza, jak zwykle, a teraz ja szukałem ciebie, ja mam ci coś powiedzieć.

— Jaki ty Lejzor masz interes?

— Chodź ze mną na Wolankę, ja ci opowiem po drodze.

Szli zwolna, wśród tumanów pyłu podnoszącego się za każdym wozem przejeżdżającym, zgrzani, spotniali, podnieceni gorączką interesów.

— Słuchaj Boruch, ty powiédz mi prawdę, jak tobie idzie?

— Co tu gadać? Ty Lejzor wiész sam, że źle.

— Ile ty straciłeś?

— Mam jeszcze kilka zakopów w Truskawcu.

— Nu, a pieniądze?

— Dałem do trzech spółek i nie było ani nafty, ani wosku. Myśmy wszyscy stracili.

— Nu, to ja teraz tobie coś powiem, a ty uważaj... Ja mam do spółki fabrykę cerezyny, nam trzeba kogoś zagranicą, w Turyngii, aby on się zajął naszą cerezyną i sprzedawał ją fabrykantom świéc. Ja chcę ciebie tam posłać, bo ty mój krewny.

— Ja tobie Lejzor dziękuję, ale ja nie pojadę zagranicę, to bardzo daleko.

— Ty Boruch tu zginiesz, ty nie masz szczęścia do interesów. My tobie zapłacimy drogę, będziesz brał procent od sprzedaży i na życie z rodziną dostaniesz miesięcznie dwadzieścia guldenów. Ty jedź, ja twój krewny to mówię: jedź.

— Ja Lejzor pomyślę.

— Tu niema czasu, nie zechcesz ty, znajdę stu innych. Tam są także interesa różne, a w nowym kraju będziesz miał szczęście. Tam posiedzisz rok, może więcéj.

— Lejzor, ty mi dobrze radzisz, ja pojadę. Podali sobie ręce na znak zgody.

— Boruch, my nie chcemy, aby ktoś wiedział w Drohobyczu, gdzie i w jakim interesie ty jedziesz, ty powiedz, że ty jedziesz do Wiednia albo do Lincu.

— Ja Lejzor rozumiem sekret handlowy, ty niepotrzebnie gadasz. A kiedy trzeba jechać?

— A kiedy ty możesz?

— Ja muszę sprzedać meble, przygotować się, odstąpić zakopy...

— Ty Boruch za trzy dni musisz być w drodze, ty zrób tylko porządek z twojemi zakopami, a resztę załatwi twoja żona i przyjedzie do ciebie.

— Nie Lejzor, tak nie można, ja za tydzień wyjadę z żoną i z dzieckiem.

— Niech będzie za tydzień, tylko nie zrób mi zawodu Boruch.

— Ja pojadę.

Pan Krausberg potrafił przekonać swoich spólników o zyskach, jeśli będą mieli na miejscu zbytu swego przedstawiciela, zgodzili się na procent od sprzedanéj cerezyny, ale o pensyi nie chcieli słyszéć, i p. Krausberg sam się zgodził posyłać dwadzieścia guldenów swemu krewnemu.

Gdy się o tém dowiedziała jego żona, rzekła wieczorem:

— Lejzor, dziś była u mnie Boruchowa, ona błogosławi ciebie i twoje dzieci, bo ona będzie spokojnie żyła. Potém ja poszłam

z naszą córką na spacer i spotkałam Lindemanową, i ona mówiła mi także o Boruchu, ale dodała, że ani jéj mąż, ani Stillbach nie zgodzili się na płacenie pensyi, tylko dodali na podróż.

— Ona powiedziała tobie prawdę.

— To jak będzie Lejzor? Przecież ty sam nie możesz płacić miesięcznie dwadzieścia guldenów? My mamy chwała Bogu na kogo się starać.

— Sura, ja jemu będę płacił.

— Lejzor, ty sobie pozwalasz na żarty ze swoją żoną — mówiła zgorszona — ja wiem, że Boruch krewny, ale za to nie trzeba płacić miesięcznie, ty jemu i tak pomogłeś nie jeden raz.

— Sura, ja dałem kupieckie słowo, ja dotrzymam moje słowo, co tu gadać.

Umilkła i dopiéro po chwili odezwała się weselszym tonem:

— Lejzor, ty masz wielki honor, to dobrze dla naszych dzieci, ale szkoda że on tyle kosztuje ciebie.

— Pan Bóg mi to wynagrodzi, -- skończył wzdychając.

W tydzień po wyjeździe Eisensteina, p. Krausberg dowiedziawszy się, że szyb na gruncie Łukasza wydaje już naftę, zażądał ku wielkiemu zdziwieniu swéj żony lepszego ubrania.

— Lejzor, co to jest? gdzie ty idziesz?

Spojrzał na nią, śledząc wrażenie swéj odpowiedzi:

— Suro, ja jadę do Floryańskiego

Przez krótką chwilę milczała ździwiona, potém odetchnąwszy spytała krzykliwie:

— Lejzor, ty, ty do samego Floryańskiego?

Skinął głową uśmiechnięty.

— Ty będziesz gadał z tym naszym wrogiem?

— Ja będę gadał.

— Ty masz jakiś interes, — mówiła spokojnie, — ale ty uważaj, żeby on nie oszukał ciebie, bo to zły człowiek.

— Ja się jego nie boję.

W Schodnicy nie zaszedł do karczmy Arona, ale wprost skierował się do biur Spółki kopalnianéj i kazał się zameldować u dyrektora, uprzedzając że ma bardzo ważną sprawę.

— O co idzie? — spytał dyrektor wchodzącego.

— Te jest taki interes, — odpowiedział stojąc niedaleko drzwi, ja jestem Krausberg z Drohobycza, a na Wolance mam kopalnię wosku, ale ja robię także inne interesa.

— Nic nie rozumiem, o co rzecz idzie, — mówił zniecierpliwiony dyrektor.

— Zaraz pan dyrektor zrozumie. Boruch Eisenstein kupił tu w Schodnicy grunta, potém odstąpił mi trzy czwarte zakopów notaryalnie. Te grunta on sprzedał całe, potajemnie, bankowi anglo-austryackiemu we Lwowie, a te grunta są teraz własnością Spółki kopalnianéj, i pan dyrektor ma tam szyb jeden z naftą. Ten grunt jest mój w trzech czwartych, to i szyb jest mój.

— To jakiś szantaż, — zawołał dyrektor — ale my nie damy się wyzyskać. Ostatecznie czego chcesz?

— Panie dyrektorze ja spokojny człowiek, ja nie lubię procesów... Ja mam przy sobie plany, wszystkie dokumenta, niech pan dyrektor przejrzy, po co nam proces?

Wyjął z kieszeni papiery i z ukłonem podawał w stronę siedzącego na fotelu przed biurkiem dyrektora. Ten wstał, zbliżył się do żyda, rozłożył plan, porównał z planem kopalni wiszącym na ścianie, przejrzał kopię umowy notaryalnéj pomiędzy dwoma kupcami, na mocy któréj p. Krausberg stawał się współwłaścicielem kupionych gruntów, i rzekł do stojącego w progu.

— Proszę zaczekać w przedpokoju, dam znać administratorowi.

— Ja zaczekam, — mówił p. Krausberg zamykając drzwi za sobą.

Usiadł na ławce i pilnie nasłuchiwał. Wkrótce rozróżnił dwa głosy rozmawiających żywo ze sobą, drzwi się uchyliły i dyrektor wezwał go do biura. Wszedł, składając głęboki ukłon w stronę stojącego przy oknie p. Floryańskiego, który skinąwszy głową, przemówił szybko:

— Jak widzę z tych papierów, Krausberg miał spółkę z Eisensteinem; my kupiliśmy grunta od banku anglo-austryackiego, z Eisensteinem nie mieliśmy nic do czynienia. Krausberg ze swemi pretensyami może się udać do Eisensteina, do banku, ale nie do nas.

— Panie administratorze, — odpowiedział z chytrym uśmiechem, — ja byłem już u adwokata, on mi powiedział, że moje prawo trzyma się gruntu, a swoją drogą ja już podałem skargę i na Eisensteina i na bank anglo-austryacki. Ja nie mogę stracić, ten grunt to mój majątek.

— Jeśli Krausberg podał skargę do sądu, więc czego chce od nas?

— Panie administratorze, adwokat mówi mi tak, abym ja podał do sądu na pana administratora, i sąd położy areszt na szyb i na naftę z niego aż do ukończenia procesu. Ten szachraj, Eisenstein,

on narobił tyle kłopotu panu administratorowi, i ja mam tyle wydatków.

— Niech Krausberg zgłosi się do mnie za trzy dni o téj porze.

— Ja będę panie administratorze i proszę o moje dokumenta.

— Daj mu pan, — rzekł p. Floryański, a gdy zostali sami, mówił do dyrektora, — to sprawa nieczysta, on wiedział doskonale o sprzedaży gruntu bankowi i czekał chwili póki szyb nie da nafty, ale jak mu to dowieść? Najgorsza rzecz, iż te parcele włościańskie nie mają hypoteki, a bank zapewne zaniedbał ogłosić urzędownie swe kupno.

— Zaczekajmy, co powie adwokat, a w każdym razie my nie zapłacimy, tylko bank.

— Ten żyd wygląda mi na bardzo chytrego, — mówił p. Floryański patrząc na idącego p. Krausberga — on zbadał sprawę doskonale i pewno z gotowym planem przyszedł do nas.

— Omyli się w rachubie — zaśmiał się dyrektor.

— Kto wie, — rzekł zaniepokojony administrator, — ten żyd nie ryzykuje, on gra na pewniaka. Jutro mamy otwarcie fabryki oczyszczenia nafty, pojutrze jadę do Lwowa po pieniądze, dziś trzeba się rozmówić z adwokatem, pojadę do Drohobycza i pogadam o téj sprawie.

Pan Krausberg, wracając wózkiem jednokonnym do Borysławia, posłyszał zdala już turkot powozu. Obejrzał się, a poznawszy zaprzęg administratora, naglił furmana, aby ustąpił z drogi, zdjął pokornie przed przejeżdżającym powozem kapelusz, a gdy p. Floryański minął nędzny wózek, szepnął p. Krausberg z zawziętością:

— Ty pójdziesz od nas piechotą, nasza w tém głowa!

XXII.

Wiadomość, że p. Krausberg posiada tytuł prawny do gnębienia administratora Spółki kopalnianéj, rozeszła się szybko po mieście i wywołała na giełdzie wielką radość.

Pana Krausberga witano owacyjnie, winszując mu jego szczęścia, dopytując się o drobne szczegóły téj interesującéj sprawy.

— To było tak, — mówił p. Krausberg do licznych słuchaczy: Boruch kupił zakopy w Schodnicy, a że nie miał pieniędzy na zapłacenie chłopom, odstąpił mi notaryalnie połowę gruntów. Wiecie wszyscy, że on tu nie sprzedał bankowi, chociaż faktorzy go namawiali i ciągnęli do banku, on mi mówił, że chce się doczekać le-

pszéj ceny. Ja budowałem fabrykę i nie miałem czasu zaglądać do Schodnicy, nareszcie pojechałem i widzę na moim gruncie szyb Floryańskiego, co to jest? — pytam Arona, on mi mówi, że Boruch dawno już sprzedał bankowi te grunta.

— Oj ktoby się tego spodziewał po Boruchu, on był taki głupi!—odezwały się głosy.

— Wyglądał jak dziecko, a taki mądry!

— Co ty Lejzor teraz zrobisz?

— Ja chcę dostać mój grunt, bo on w trzech czwartych jest mój

— Lejzor, — odezwał się poważnie p. Lindeman, — ty nie wypuszczaj z ręki naszego wroga, niech on zginie, my tobie pomożemy wszyscy.

— Jak ty nie masz gotówki, ty Lejzor dostaniesz — rzekł p. Stillbach.

— Ty zapłać jemu za robotę szybu i zabierz na swój rachunek — doradzał pan Bernstein.

Szczegóły opowiedziane przez p. Krausberga przyjęto z dobrą wiarą, jakkolwiek ci, którzy znali go bliżéj, byli przekonani, że pan Krausberg kierował sam całą sprawą, ale w każdym razie bardzo przebiegle i szczęśliwie.

Wydano hasło milczenia o Boruchu, o tém czy wyjechał i gdzie wyjechał, chcąc go zasłonić przed wszelką odpowiedzialnością. Napróżno też adwokat, sąd i policya śledziła za obwinionym o oszustwo, Boruch Eisenstein przepadł bez wieści.

Gdy wszelkie żądania i pretensye pana Krausberga administrator odrzucił, odsyłając je do banku anglo-austryackiego, wówczas zjednoczona giełda swemi wpływami przyspieszyła kroki sądowe, i na szyb zakwestyonowany położono areszt. Równocześnie p. Krausberg wytoczył Spółce kopalnianéj proces o straty i szkody spowodowane wierceniem i zażądał zniesienia postawionych na gruncie budynków.

Pan Floryański, obliczywszy straty w razie przegrania procesu, zawezwał p. Krausberga do siebie. Przyjechał wózkiem jednokonnym i pokorny, składny, wszedł do biura dyrektora, w którym zastał również administratora i adwokata.

— Chcę proces zakończyć polubownie panie Krausberg, czego żądasz od nas?

Zapytany przesłonił oczy powiekami, spuścił głowę, by nie dopatrzono jego radości, i odpowiedział cicho:

— Ja także nie chcę procesu, ale ja nie wiém, co mi pan administrator da?

— Połowa gruntów jest nasza...

— Tylko jedna czwarta — przerwał mu p. Krausberg.

— Ten kwitek prywatny Eisensteina nie ma żadnego znaczenia wobec sądu — objaśnił adwokat.

Usta p. Krausberga skrzywiły się do uśmiechu ironicznego i mówił spokojnie:

— Panie mecenasie, tu nie sąd, my kończymy polubownie, i ja na ten kwit dałem tysiąc guldenów.

— O tem, potém, — rzekł p. Floryański — ile pan chcesz za swe pretensye?

— Co ja mogę wiedzieć? Cały ten grunt to sama nafta, ona tylko czeka aby ją zabrać, tam są miliony, ja wiem o tém i pan administrator także wie.

— Ileż pan żąda za te miliony?—uśmiechnął się p. Floryański.

— Ja nie wiem, ja czekam co mi pan administrator powie.

— Zwrócę panu wyłożone koszta.

— Pan administrator żartuje... ja dam moje trzy czwarte za szyb i moja nafta w trzech czwartych, to mi się opłaci.

— Ależ nas kosztuje ten szyb 16,000 guldenów, więc daj pan 12,000 — zaśmiał się dyrektor.

— Dlaczego nie? Ja dam, tylko wpierw muszę zobaczyć książki, bo ja wiem, że u panów jest akuratny porządek.

Ostatecznie zażądał p. Krausberg sumę 60,000 florenów, i po długich targach i namowach opuścił na 35,000. Dyrektor i adwokat odrzucili to żądanie, ofiarując za ustępstwo całego gruntu 20,000 guldenów. Pan Krausberg, będąc już na wychodném, zwrócił się do p. Floryańskiego:

— Panie administratorze, chce pan wiedzieć moje ostatnie słowo, ja sprzedam mój grunt za 30,000.

— Zaczekajno pan, namyślę się.

Pan Krausberg znów stanął pokornie u drzwi i obliczał się. Proces to niepewny interes, dziś on jest na wierzchu, ale może zajść nieprzewidziany wypadek, może Borucha znajdą, może ktoś był świadkiem odebranych z banku za grunt pieniędzy, może być to i owo, zawsze lepsza jest gotówka. Giełda może sobie narzekać na niego, ale niech każdy poderwie Floryańskiego na 30,000, to on musi zbankrutować. Z usposobienia zimny i rachunkowy, był w téj chwili przygotowany do ustępstw dalszych, zawsze bowiem przenosił dochód pewny, chociaż mniejszy, od kreciowych nadziei.

Pan Floryański znudzony i zniecierpliwiony procesem i pretensyami żyda, które wydawały mu się drobnostką w stosunku do oczekiwanych milionów przy tak olbrzymiém przedsiębiorstwie, był

zdecydowany pozbyć się procesu chociażby kosztem 30,000 florenów i raczéj dla formy aniżeli z przekonania rzekł po chwili namysłu:

— Kończmy panie Krausberg za 25,000.

Żyd poznał z dźwięku głosu, że cyfra ofiarowana nie jest ostatnią i kłaniając się korpusem całym mówił tonem żałosnym:

— Ja myślałem, że my już skończymy, bo ja spokojny człowiek i nie chcę procesu, ale nie mogę odstąpić od mojéj ceny, ja jestem i tak bardzo stratny.

Na niemy znak administratora wmieszał się adwokat:

— Idzie tu o 5,000 guldenów, przedzielcie ją panowie krakowskim targiem po połowie.

— Ja nie mogę — mówił p. Krausberg rozkładając ręce.

— A nie, to nie, — zawołał p. Floryański podrażniony uporem kupca.

Pan Krausberg wyszedł, za krótką chwilę otworzył drzwi, wychylił głowę i rzekł:

— Panie administratorze, ostatnie słowo powiem 28,000.

— Niech będzie — powiedział p. Floryański zdecydowanym głosem.

Adwokat spisał tymczasową ugodę pomiędzy stronami, p. Krausberg podpisał, wziął zaliczkę i uradowany, uśmiechnięty, wsiadł w oczekującą go jednokonkę. Przejeżdżając obok fabryki cerezyny nad Tyśmienicą pod górą drohobycką, wysiadł, chcąc skontrolować czynność dyrektora i biura fabrycznego.

W głębi podwórza ujrzał dyrektora rozmawiającego z wielkiém zajęciem z jakimś nieznanym mu człowiekiem. Podejrzliwy z natury, obawiając się, że dyrektor Niemiec może wyzyskać swą pozycyę na niekorzyść wspólników, ostrożnie i nieznacznie podchodził do rozmawiających, nie spuszczając oczu z podejrzanéj osobistości.

Był to młody człowiek, średniego wzrostu, dość szczupły, ubrany w elegancki garnitur szary, który gestykulując mówił szybko z wielkiém ożywieniem. Pan Krausberg zbliżywszy się na kilka kroków, dosłyszał poszczególne wyrazy o kotłach, rurach, klapach, czém uspokojony, przywitał uprzejmie dyrektora, spoglądając pytająco na obcego.

— Pozwoli pan inżynier — zaczął dyrektor, — że przedstawię panu współwłaściciela fabryki, p. Krausberga.

Z ciekawością malującą się wyraźnie na ładnéj twarzy okolonéj ciemnym zarostem, starannie utrzymanym, zwrócił swe piękne piwne oczy na przedstawionego żyda, podając mu do uścisku rękę białą.

— Pan inżynier chemik, Emil van Haecht—kończył dyrektor.

Widok przebiegłéj, fałszywie uśmiechniętéj twarzy, bystrych szpiegujących oczu i dotknięcie brudnéj, spotniałéj ręki były dla inżyniera tak niemiłe, że poczuł dreszcz wstrętu i niewytłomaczonéj obawy przed tym człowiekiem, który go witał z uniżonością.

— Pan inżynier, podobnie jak i ja, gani brak doskonałych wentylatorów i niedostateczność urządzenia przykryw w drugim oddziale.

— Który to panie dyrektorze?—spytał p. Krausberg.

— Gdzie wosk przerabia się z kwasem siarkowym — odpowiedział wskazując na środkową część budynku fabrycznego.

— Robota jest tam bardzo uciążliwą, a nadzór tak ważnéj części bardzo utrudniony, — dodał Haecht.

— Przedstawiałem panu, — rzekł dyrektor z wymówką, — potrzebę rur wentylacyjnych i przykryw.

— Ale ludzie robią, a jeśli im dobrze, to na co ten wydatek, — uśmiechnął się właściciel.

— Dobrze? — zawołał inżynier. — Pan chyba nigdy tam nie byłeś! Kwas siarkowy zmieszany z woskiem wytwarza bardzo znaczną ilość bezwodnika siarkowego, uniemożliwiającego oddychanie.

— Oni jednak oddychają. Panie dyrektorze, jak długo trwa ta robota?

— Pięć godzin na dobę, a robotników muszę zmieniać co pół godziny.

— Nu, ja powiem panom, że nas ta fabryka dużo kosztuje, i my musimy się oszczędzać. Ja myślałem, że cerezyna to złoty interes, a ona idzie słabo. My nawet tracimy, bo taki wielki pieniądz włożony w inny interes przynosiłby lepsze procenta.

Inżynier spojrzał trochę zdziwiony na jednego, drugiego i przemówił:

— To dziwne, zagranicą cerezyna daje wielkie dochody, a przecież panów transport mało kosztuje.

— Dostaję lichy wosk, zanieczyszczony — skarżył się dyrektor, cerezyna nie ma koloru dobrego, bywa miękkawą, i tam muszą ją przerabiać, bo panowie właściciele nie godzą się na „upiększenie jéj na miejscu.

— My to zrobimy może późniéj, bronił się właściciel, — niech tylko fabryka da nam odpowiednie zyski. My nawet zgodzimy się na wentylatory i inne przykrywy.

— To ulepszenie powinniście panowie zaraz zrobić, tu idzie przecież o życie ludzkie — przemówił gorąco inżynier.

— Pan nie zna tutejszego robotnika, — zaśmiał się właściciel, on bardzo wytrzymały, leniwy i jemu wszystko jedno, aby tylko miał wódkę.

— To prawda, — dorzucił dyrektor, — tak apatycznego robotnika nie widziałem; no niechby u nas, w Niemczech, pozwolił sobie dozorca tak jak tutaj, albo gdyby nasz musiał pracować wśród takich gazów, rewolucya gotowa.

— Nie znam dobrze tutejszych robotników, wiém, że w naszéj fabryce mają dobrze...

— A w jakiéj fabryce jest pan inżynier? — spytał z ciekawością p. Krausberg.

— W téj obok, rafineryi nafty.

— Floryańskiego!? To pan inżynier przyjechał na dyrektora?

— Nie. Zostałem wezwany na kilka miesięcy, aby ulepszyć sposób rafinowania nafty.

Pan Krausberg spojrzał z szacunkiem na pana Haechta i chciał daléj pytać, gdy dyrektor dodał:

— Pan inżynier van Haecht poświęca się specyalnie nafcie i słynie z tego nietylko w Belgii, swéj ojczyźnie, ale i w Niemczech całych.

Właścicielowi błysnęła myśl, że dobrzeby było zużytkować takiego specyalistę w sprawie cerezyny, ale z obawy urażenia dyrektora powstrzymał się na razie od zrobienia propozycyi i tylko spytał z wielką ciekawością:

— I pan inżynier będzie miał czystą naftę? Może i lepszą od amerykańskiéj?

— Prawdopodobnie,—odparł swobodnie, bez cienia przechwałki, — w amerykańskiéj zawiele lotnych gazów i pali się nierówno.

— Pan już ma taką naftę?

— Czekam na aparaty i mając dosyć czasu wolnego pozwoliłem sobie zwiedzić fabrykę cerezyny.

— To wielki honor dla nas, — zawołał właściciel prostując się.

— Dużo ma pan „asfaltu"? — spytał dyrektora.

— Zależy od wosku i siły kwasu siarkowego, ale jeśli pan chce, możemy zobaczyć, czy i pan, panie Krausberg, z nami?

— Ja mogę pójść na chwilę.

Szli w kierunku drugiego oddziału. Już na wstępie owionął ich duszący gaz bezwodnika siarkowego, jakkolwiek właściwa przeróbka wosku z kwasem siarkowym została dość dawno skończoną, i obecnie cztery kotły ustawione w budynku na wysokości pierw-

szego piętra ostygały, i z płynnéj cerezyny opadały na spód kotłów części stałe, wytwarzając t. zw. asfalt w języku fabrycznym.

Wązkie schodki drewniane prowadziły na platformę.

— Nie obawia się pan ognia? — spytał van Haecht patrząc na drewniane schody.

— Proponowałem żelazo w całym budynku, a specyalnie w tym oddziale, jednak właściciele zdecydowali się na drzewo.

— I tak drogo kosztuje nas ta fabryka, — mruknął p. Krausberg, pokaszlując pod wpływem gazów.

— W razie ognia, a o ten bardzo łatwo, robotnicy giną bez ratunku — przemówił chemik.

— Zamyślam obić schody i platformę blachą żelazną — rzekł dyrektor.

Inżynier nachylił się nad kotłem, oparty o nizką baryerę, wpatrując się w żółtawą ciecz.

— To ładna cerezyna, — powiedział po chwili.

— Czy będzie biała? — zawołał właściciel zainteresowany, gdyż biała cerezyna płaci się dobrze.

— To zależy od „upiększenia".

— I ja myślę, że ta będzie biała dodał dyrektor, — otrzymałem bowiem dobry gatunek żelazosinku potasowego, powinien doskonale odbarwić.

Wkrótce wyszli, pokaszlując i łowiąc szybko świeże powietrze.

— To jednak męka pracować w tym oddziale — powiedział inżynier do dyrektora.

— A tak, ten gaz i gorąco działają zabójczo na organizm.

— Jaki ten chłop wytrzymały, — mówił właściciel — on się nawet uduszenia nie boi. Ja zmęczony, ja pożegnam panów.

— Co pan robi wieczorami? — spytał inżynier po wyjeździe p. Krausberga.

— Idę na piwo do kasyna, — odpowiedział dyrektor, — a pan?

— Póki miałem zajęcie w laboratoryum z rafineryą nafty nie nudziłem się, ale teraz nie wiem co robić.

— Jedź pan ze mną, w kasynie zbiera się możliwe towarzystwo.

— Czy bywa i ten właściciel?

— Tacy żydzi w chałatach, — zaśmiał się dyrektor, — nie są dopuszczeni, tam bywają urzędnicy, nafciarze, przemysłowcy.... przyjdź pan, piwo wcale dobre.

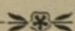
— Może i będę.

(*D. c. n.*) *Artur Gruszecki.*



Własność rolna w Galicyi.

(STUDYUM STATYSTYCZNO-SPOŁECZNE).



Kwestya agrarna, tak paląca we wszystkich krajach Europy, przejawia się w Galicyi przedewszystkiém jako sprawa podziału własności rolnéj. O ziemię walczą ze sobą stany społeczne: szlachta i chłopi, jéj bronią Polacy i Rusini przed lichwiarzami Żydami, ona jest najważniejszém dążeniem jednostek w każdéj z tych grup społecznych, a często stanowi kość niezgody dla członków rodziny włościańskiéj, gdzie szmat ziemi dziedzicznéj, jest jedynym warsztatem do pracy. Dla właścicieli większéj posiadłości, pozostaje w każdym razie karyera urzędnicza, ale ona to właśnie odrywa od roli, jakkolwiek stanowi dogodną przystań dla tych członków rodziny ziemiańskiéj, którzy tylko kosztem rozdrobnienia majątku na roli utrzymaćby się mogli. Własność wielka się tedy nie drobi, a średnia nie powstaje, ale stan, do którego jedna i druga należy, znajduje inne dla siebie drogi. Włościanin przecież, uciekać się musi do dzielenia swéj posiadłości, co jest niezbędném wobec braku przemysłu, miast wielkich, wobec przynależności do obcoplemiennego państwa i sąsiedztwa krajów o liczniejszéj i wykształceńszéj ludności. Wśród ewolucyi gospodarczéj, która dokonywa się dokoła, stoi Galicya, wyosobniona przez brak czynnego udziału w życiu przemysłowém i pozostawanie przy formach wyłącznie rolnéj gospodarki, gdy układ jéj stosunków już

do takiéj się nie nadaje. Jakkolwiek wykształceni Niemcy zowią niekiedy Austryę pół-Azyą, ze względu na jéj formy polityczne, nie dorównywające państwom na zachodzie, to przecież przedstawia ona nowoczesny ustrój państwowy, który mieszkańcom narzuca ciężary, do jakich rolnicza ludność galicyjska, żyjąca prawie że w stadyum tak zw. naturalnéj gospodarki, nie dorasta jeszcze. Jest zbyt ubogą, aby opłacać je bez szkody dla rozwoju własnego gospodarstwa, a nie dość oświeconą, żeby w tém gospodarstwie wprowadzić nowe formy i sposoby uprawy.

Sprawa własności rolnéj staje się anormalną u góry i u dołu społecznej drabiny, oddziaływa na politykę sejmu, na ukształtowanie się stronnictw w kraju, na popularność haseł i programów, a przy systemie wyborów, ustanowionym przez konstytucyę krajową, zabarwia politykę, nie będzie nawet zbyt śmiałém twierdzenie, że w wielu wypadkach nią kieruje.

Rozpatrzenie faktycznego podziału własności rolnéj oraz wpływu, jaki wywiera on na ekonomiczne i społeczne warunki kraju, pozwoli nam uzasadnić twierdzenie niniejsze. Tymczasem zaś zwrócić musimy uwagę na stosunek, jaki zachodzi między rolnictwem w Galicyi, a w innych krajach Austryi. Podzielając bowiem losy monarchii pod względem politycznym, ponosząc wspólne ciężary, powinnaby Galicya stać na tym samym poziomie zamożności i rozwoju, przynajmniej wśród ludności rolnéj, która stanowi najważniejszą część całéj ludności kraju i w sprawach agrarnych, które wysuwają się na plan pierwszy, jako główne źródło utrzymania dla Galicyi.

Tymczasem na 7,586,597 hektarach, które stanowią przestrzeń rolną Galicyi, uprawa stoi wogóle niżéj, a stosunki rozwinęły się w sobie tylko właściwy sposób, tak że nasz specyalnie rolniczy kraj nie może się pochwalić, aby przodował pod względem produkcyi rolnéj innym. Gorzéj nawet, nie dorównywa on przeciętnym rezultatom osiąganym w państwie, a daleko pozostaje w tyle wobec Czech np. i Moraw, które obok wysokiego rozwoju rolnictwa posiadają olbrzymi przemysł.

Z całej powierzchni, zajętéj pod uprawę w Austryi, przypada na Galicyę 26.82%, rozpatrując przecież pojedyncze rodzaje uprawy, stosunek się nieco zmienia i to na korzyść właściwéj kultury rolniczéj, a mianowicie Galicya zawiera:

	Hektarów:	Przyjmując za 100 przestrzeń w całém państwie, wypadało na Galicyę:
Pól	3,803,543	35,76
Łąk	876,458	28.74
Ogrodów	109,259	29.36
Pastwisk	721,087	27.07
Lasów	2,021,828	20.68
Jezior, błot i stawów .	20,976	18.38[1]).

Po nad średnią cyfrę sięga tedy przestrzeń pól, łąk i ogrodów. Cyfra ostatnich byłaby bardzo pocieszającą, témbardziej że Galicyi brak winnic, które znaczny dają dochód innym krajom austryackim, nie odpowiada przecież istotnemu stanowi rzeczy, bo w Galicyi każdą przestrzeń ogrodzoną zowią ogrodem.

Przewaga kultury rolnéj nad przestrzeniami zużytkowanemi więcéj ekstensywnie jest bezpośrednio zależną od wysokiéj liczby ludności rolniczéj, która w żadnym z krajów austryackich nie dochodzi téj cyfry, co w Galicyi. Przypatrzmy się rezultatom spisu z r. 1890:

Na 1000 mieszkańców wypadało ludności osiadłéj na roli:

w Galicyi	838
na Bukowinie	830
Tymczasem na sąsiednim Szlązku . . .	478
na Morawach . .	562
w Czechach . .	468
w Austryi Niższéj tylko . .	294
licząc zaś w całém państwie . .	624[2]).

Wysoka cyfra ludności rolnéj zrównoważoną jest poniekąd (większą niż w każdym kraju austryackim) przestrzenią roli zdatnéj pod uprawę. W całém państwie wypada średnio na 100 mieszkańców 48 hektarów, w Galicyi 63.8, cyfra do jakiéj nie dochodzi żaden z krajów austryackich, nawet Bukowina (50.4 hekt. na 100 m.). W bogatéj Austryi Niższéj na 100 mieszkańców wypada tylko 36.9 hektarów powierzchni rolnéj. Nie brak gruntów jest zatém przyczyną osławionéj nędzy galicyjskiéj, ale może właśnie ich obfitość uważaną być musi za jeden z powodów, dlaczego tak znaczna część ludności trzyma się wyłącznie pracy na roli. Z dru-

[1]) Według cyfr zebranych przy ustanowieniu podatku gruntowego w 1882 r.

[2]) Oester Statist. Handbuch z r. 1893.

giéj strony jest to warsztat pracy, który przy odpowiedniéj uprawie dawać może dochody znacznie wyższe od dzisiejszych, a wprowadzone w tym kierunku reformy gospodarcze daćby mogły wyższe i szybsze rezultaty, niż niefortunne usiłowania stworzenia przemysłu, na które stracono już tyle sił i pieniędzy. Jak dotąd, pomimo że uprawa intensywna, a więc przeważnie role i ogrody, znaczniejszy, niż w którymkolwiek z krajów austryackich stanowi procent, wartość ziemi jest w Galicyi niższą niż w całém państwie ogółem, co zostało oszacowaném przy regulacyi podatku gruntowego. Za zasadę przyjęto, że czysty dochód z morgi stanowi 5% od kapitału, któremu równa się jéj wartość.

Biorąc pod uwagę wszystkie rodzaje kultury, zarówno role jak i nieużytki, wynosi cena jednéj morgi w całém państwie 27.44 złr., w Galicyi 15.61 złr., na Bukowinie 10.8 złr., w sąsiednim Szlązku 35.04 złr. Najwyższą wartość mają grunta na Morawach, gdzie morga liczy się średnio 54 złr. Upośledzenie Galicyi wystąpi jeszcze wyraźniéj skoro porównamy wartość poszczególnych kultur:

Wartość 1 morgi gruntu w złr. waluty austr.

	W całém państwie średnio:	W Galicyi	Na Bukowinie:	Na Morawach
Role	110.8	51.0	53.6	174.0
Łąki	97.2	42.2	23.4	156.0
Ogrody	201.6	107.6	116.8	291.0
Pastwiska	16.6	18.6	13.6	36.4
Lasy	24.6	12.6	6.8	46.8
Jeziora i moczary	44.6	19.2	45.2	96.0 [1])

W porównaniu ze średniemi cyframi dla całego państwa najważniejsze kultury, jak role, łąki, ogrody i lasy, przedstawiają zaledwie połowę wartości. Kwitnące Morawy wykazują 3—4-krotną wartość tych rodzajów uprawy, nawet pastwiska doprowadzono tu do podwójnéj wartości, a jeziora i moczary wykazują 5 razy wyższą wartość po prostu dla tego, że moczary zostały osuszone, a na jeziorach prowadzoném jest wzorowe gospodarstwo rybne.

Ponieważ jednak obliczenia statystyczne opierają się na cyfrach przeciętnych, a tu porównywamy cały kraj z państwem lub drugim krajem, nasuwa się słuszne pytanie, jakie są warunki natu-

---

[1]) Dr. J. Roschman-Hörburg. Der Bodenwerth Oesterreichs. Stat. Monatschrift t. XI s. 542 i 489.

ralne galicyjskiéj gleby i klimatu, czy nie stoi ona, a przynajmniéj niektóre jéj części w wyjątkowo niekorzystnych warunkach? Jesteśmy w stanie odpowiedzieć na to pytanie na podstawie najnowszych badań [1]), a przytoczone tu dane posłużą nam jednocześnie do oceny warunków przyrodzonych wśród jakich rozwija się posiadłość ziemska w różnych okolicach Galicyi.

Pod względem składu gleby wyróżniamy w Galicyi 6 stref: 1) Na wschodzie czarnoziem podolski, który wrzyna się głęboko, sięgając do środkowych powiatów, i na znacznéj przestrzeni (792 tysiące hektarów) zaliczonym być może do najlepszych gleb w Europie. 2) Pagórki glinkowate i podgórze *(loess)* krakowskie, należące pod względem przyrodzonych właściwości i starannéj uprawy do najwydajniejszych okolic Galicyi, ciągnie się długim pasem z zachodu ku wschodowi. 3) Gleba glinkowata nieprzepuszczalna, od głównego przedziału wód aż do wschodniéj granicy, obejmuje porzecze Sanu oraz okolice Lwowa. 4) Ciężkie piasczyste grunta, wzdłuż granicy Królestwa Polskiego, które pod względem wartości ekonomicznéj stoją na czwartém miejscu wśród gruntów Galicyi. 5) Grunta piasczyste na północy i na zachodzie kraju, do których zaliczyć również należy urodzajną glinę próchnicowatą w okręgu sokalskim. 6) Górskie grunta kamieniste zajmują całe południe Galicyi.

Po za temi odrębnościami gleby zwrócić należy uwagę na różnice klimatów, które wywierają ważny wpływ, zwłaszcza przy kulturze ogrodniczéj. Szulc wyodrębnia pięć stref klimatycznych. Najsurowszym jest klimat górski, gdzie środnia temperatura roczna wynosi 5.6°—6.5° C. (przeciętna temperatura Krynicy równa się niemal temperaturze Mitawy, położonéj o 7° szer. daléj na północ). Górska strefa klimatyczna odpowiada piątéj strefie rolnéj i przedstawia wogóle najniedogodniejsze dla rolnictwa warunki.

Najłagodniejszy klimat posiada zachód kraju, gdzie średnia temperatura roku waha się między 7 i 8° C. Na północo-wschodzie i w strefie wschodnio-środkowéj klimat jest nieco ostrzejszy, gdyż jakkolwiek przeciętna temperatura roczna nie wiele różni się od zachodu, charakter jego jest bardziéj kontynentalny, a różnice między *maximum* zimy i lata dochodzą od 54—56° C. Strefa południowo-wschodnia posiada wysokie temperatury lata, w zimie zaś ter-

---

[1]) Objaśnienia co do gleby zawdzięczamy p. d-rowi Grzybowskiemu, dane co do klimatu podaje Kaz. Szulc: Ogólny zarys stref klimatycznych w Galicyi. Lwów—1898 r.

mometr opada średnio do—5.3° C. Tu jest kraina moreli, któremi cały powiat zaleszczycki ożywiony prowadzi handel. Wino hodowane w niewielkich ilościach dojrzewa wybornie.

Pomimo odrębności gleby i różnic klimatycznych wszystkie okolice Galicyi nadają się tedy do uprawy roślin rolniczych, jeżeli zaś rezultaty kultury nie dorównywają innym krajom austryackim, to przyczyny upatrywać raczéj należy w niższym stanie rolnictwa.

Pszenicę uprawiać można w całym kraju, oprócz okolic górskich wszędzie plon jest powyżéj 10 hl. z hektara. Zajmuje ona przestrzeń 377 tys. hektarów, a najwyższe zbiory daje na Podolu i w powiecie sokalskim. Wschód jest równiéż ojczyzną kukurydzy, która stanowi główny pokarm ludności wiejskiéj. Żyto udaje się na zachodzie i na wschodzie Galicyi, ale zależnie od gleby urodzaj jego waha się między 8 a 18 hl. na hektar. Największą z pośród głównych zbóż przestrzeń zajmuje owies (698 tysięcy hektarów) i daje przeciętnie najwyższy plon z hektara (16—17 hl.). Z pośród innych roślin największa przestrzeń zajętą jest pod kartofle (427 tys. hektarów) i buraki cukrowe (924 tys. hektarów). Na wschodzie kraju spotykamy obszerne sady owocowe, dla których doskonałe są tu warunki.

Przyrodzone odrębności wytworzyć musiały różnice w kulturze rolniczéj, a mianowicie na 100 morgów wypadało w całym kraju na:

Role	48.46
Łąki	11.17
Ogrody	1.39
Pastwiska	9.18
Lasy	26.18
Stawy i bagna	0.27
Grunta nieprodukcyjne i nieopodatkowane	3.55

Tymczasem stosunek procentowy najważniejszych kultur rolnych przedstawia się w każdéj strefie inaczéj:

	Role:	Łąki:	Lasy:
1) Podole	74.30	3.40	11.18
2) Pagórki glinkowate	58.80	6.80	20.83
3) Okolice Krakowa	53.65	8.46	23.65
4) Powiaty środkowe	51.80	13.25	22.43
5) Na północo-wschodzie	49.10	15.84	24.55
6) Porzecze Sanu i Dniestru	47.59	12.95	23.64
7) Powiśle	46.18	10.86	28.41
8) Okolice górskie zachodnie	44.83	7.21	28.32
9) Okolice górskie wschodnie	22.75	16.46	45.24 [1])

[1]) Podług Rocznika statystyki Galicyi 1889—91. Rok III s. 149.

Zbytecznėm byłoby chyba wyjaśniać, że ta sama przestrzeń gruntu w każdéj strefie odmienne mieć będzie znaczenie. Dziesięć morgów na Podolu to 7.4 morgi doskonałéj roli pszenicznéj, tymczasem też same dziesięć morgów w okolicach górskich na wschodzie daje zaledwie 2.2 morgi roli zdatnéj pod uprawę.

Zwróćmy się z kolei do warunków ekonomiczno-społecznych własności rolnéj. Na pierwszém miejscu postawić przyjdzie podatki. Podatkiem gruntowym objęte są w Austryi, a zatém i w Galicyi, wszystkie poddane uprawie rolnéj grunta; wolne od podatku będą place budowlane i dziedzińce. Przy tych zasadach, podatek odpowiada wysokości czystego dochodu kadastralnego, który w każdym razie stoi niżéj od rzeczywistego przychodu z gruntów.

Grunta galicyjskie zaliczone są do najniższéj kategoryi, tak że wypada na nią 14.89% z ogólnéj sumy podatków w państwie. W roku 1890 kwota powyższa wynosiła 22.7% czystego dochodu kadastralnego kraju, czyli 4,937,479 złr. Słynne dodatki do podatków, w Galicyi wyższe niż w innych krajach austryackich, podwajają sumę podatkową. W roku 1892 dodatki do podatku gruntowego wynosiły średnio w całém państwie 90.4%, w Galicyi 105.1%. Podobny stosunek zachodzi między dodatkami do wszystkich podatków konsumcyjnych. Przyczyny szukać należy w tém, że cała własność publiczna należy do państwa, nie zaś do kraju, który wydatki swoje wyłącznie z sum podatkowych pokrywać musi. Pomimo to podatki gruntowe wraz z dodatkami nie są w Galicyi wyższe, ale nawet niższe niż w innych krajach austryackich, dla posiadłości włościańskich są przecież zbyt wysokie, tak iż wiadomém jest, że włościanin nie z ziemi, lecz z przychówku je opłaca. W wypadkach srogiéj zimy, gdy bydło wyzdycha, położenie włościan względem zobowiązań skarbowych staje sią nad wyraz trudném.

Przyjrzyjmy się teraz, jaka będzie wysokość podatku na 1-go mieszkańca, porównywając przytém Galicyę z innemi krajami monarchii austryackiéj:

W latach 1888/92 wypadało na 1 mieszkańca w złr. w. a.

	Podatków państwowych	Dodatków autonomicznych	Podatki bezpośrednie z dodatkami
Przeciętnie w całém państwie .	4.67	3.52	8.19
W Galicyi	*1.85*	*1.76*	*3.61*
Na Bukowinie	1.82	1.60	3.42
Na Szląsku	4.13	4.16	8.29
Na Morawach	5.17	4.29	9.46
W Austryi Niższéj . . .	14.32	6.62	20.94 [1]

[1] „Oesterreichische Statistik“ t. XL (z r. 1896), z. 3 s. CX.

Podatki w Galicyi względnie niższe niż w innych krajach nie są bynajmniéj dowodem faworyzowania, które w ogóle nie jest naszym udziałem, lecz nizkiego ekonomicznego rozwoju Galicyi, która nie jest jeszcze w stanie ponosić nowoczesnych ciężarów państwowych. Winien temu w znacznéj części rząd, który nie czyni dostatecznych nakładów i wydziela na Galicyę mniéj, niż wstawia w budżety innych krajów, np. Czech. Ze wrostem wydatków autonomicznych wzrastają i dodatki do podatków. W 1890 r., jak widzieliśmy, nie dorównywają one jeszcze sumie podatków, w 1892 zaś przenoszą już tę summę o 911.404 złr.

Podział własności rolnéj i jego następstwa.

I.

Własność większa, dawniej dominikalna, stanowi t. zw. własność tabularną, a od 1866 r. w sprawach administracyi i wyborów tworzy odrębne od gmin wiejskich obszary dworskie. Aż do r. 1867 stanowiła posiadłość tabularna wyłączną własność szlachty, i niewolno jéj było nabywać ani chłopom, ani Żydom. Dziś ograniczenie to jest zniesioném, na obszarach dworskich powstają niejednokrotnie włościańskie osady, majątki przechodzą w ręce izraelitów, ale wyodrębnienie polityczne, ustanowione z powodu wyraźnego życzenia samych obywateli, wytworzyło wśród mieszkańców dwie różne warstwy, dwa światy, które nie mają żadnych wspólnych interesów, a często rozbieżne dążności, szlachcic i włościanin to nie sąsiedzi, ale dwa obce sobie i zwykle niechętne żywioły.

Z całego obszaru rolnego należy do własności tabularnej [1]) 5,362,245 morgów t. zn. 40,65%. Od r. 1866 obszar gruntów dworskich zmniejszył się o 2% blizko przez sprzedaże i parcelacyę, która najczęściej zdarza się w zachodnich powiatach kraju. Porównywając zaś własność większą (w Galicyi tabularną) w różnych ziemiach polskich, przekonywamy się, że zajmuje ona w Galicyi najmniéjszy

---

[1]) Cyfry opracowane podług dzieła T. Pilata. Własność tabularna w Galicyi. Lwów 1891. Zużytkował je po raz pierwszy i dopełnił D-r Ad. Krzyżanowski. Die Grudbesitzvertheilung in Galizien (Jahrbuch für Gesetzgebung, Verwalt- u. Volksw.) r. 1895.

w stosunku do chłopskiéj własności obszar, a mianowicie na 100 morgów przestrzeni rolnéj wypadło na własność większą:

Na Pomorzu	60,54
W wielkiém Księstwie Poznańskiem	55,81
Na Szląsku pruskim.	48,60
W Królestwie Polskiém	48,27
„ Prusach zachodnich	45,41
„ „ wschodnich	40,85
„ Galicyi	40,65

Rozdział gruntów pomiędzy własność większą nie jest tedy przyczyną nędzy galicyjskiego wieśniaka. Niezawodnie jednak nie bez wpływu na własność drobną będzie ukształtowanie stosunków posiadania wśród własności tabularnéj.

Z włościaninem styka się częściéj posiadacz średniéj, niż wielkiéj własnosci ziemskiéj, i raczej posiadłość prywatna, niż publiczna. Ostatnia, najczęściéj bardzo rozległa, przedstawia specyalny typ gospodarski: gospodarstwo lasowe i łąki. Do gospodarstw, stanowiących własność państwa, zbliżają się w typie gospodarki wielkie majątki prywatne, jak jedne tak i drugie stoją pod nadzorem zorganizowanéj administracyi urzędniczéj, zatrudniać mogą nawet znaczną liczbę najemnika i opłacać go względnie do zwyczaju przyjętego w kraju dość wysoko, ale nie mogą służyć za wzór do naśladownictwa dla gospodarstw włościańskich.

Gospodarstwo średnie, zwłaszcza mniéjsze majątki, prowadzić muszą i prowadzą intensywną kulturę: gospodarstwo rolne przeważa tu nad lasowém, rośliny intratniejsze, np. zboża wyższego gatunku lub rośliny handlowe, przeważają nad uprawą ziemniaków, lub owsa, czy jęczmienia. Wogóle zaś gospodarz dąży do tego, aby każdy grunt w należyty sposób uprawić i pozostawić jak najmniéj nieużytków. Jakkolwiek rodzaj gospodarstwa odmiennym być musi, gdy majątek zajmuje się głównie gospodarstwem bydlęcém, mleczném lub rolném, zmienia się zależnie od blizkości miasta, czy drogi żelaznéj, to przecież naśladować go mogą mniej czy więcej okoliczni włościanie. W Galicyi przykłady podobne i zetknięcie się włościan z prowadzonemi wzorowo gospodarstwami średniéj wielkości mogłoby wielką przynieść korzyść, bo nie tylko brak chłopu pieniędzy, ale i wiadomości, a pozostawiony sam sobie stoi na najniższym poziomie potrzeb i wykształcenia. Uważać można za pewnik, że dążenia ludzkie rzadko kiedy przechodzą po nad poziom możliwości, tak téż i włościanin, którego marzeniem jest zaokrąglić

swoją posiadłość przez nabycie przyległego gruntu, naśladować będzie gospodarkę stosowaną na mniejszych majątkach, którym podobna jest posiadłość jego, ale nie może i nie zechce brać za przykład gospodarstwa wielkiego majątku. Istnienie mniejszéj własności tabularnéj byłoby tedy samo przez się korzyścią dla włościanina, a brak owej klasy średnich nie włościańskich gospodarzy uważany być musi za szkodę, nietylko dla stanu obywateli wiéjskich, lecz i dla włościan. Tymczasem podział własności tabularnéj w Galicyi wytworzył stosunki całkiem inne.

Największym właścicielem jest państwo, które posiada 528 tysięcy morgów. Zabrawszy Galicyę, rząd austryacki przejął dawniejsze dobra koronne polskie, które oceniają na 1,3 miliona morgów. Znaczną ich część rząd odprzedał po niesłychanie nizkich cenach (od 1860 — 1870 r. sprzedano 843 tysiące morgów za 12½ mil złr.). P. Krzyżanowski, od którego wiadomość tę zapożyczamy (s. 1266), twierdzi, iż najważniéjszą do tego pobudką był wpływ idei liberalnych, które potępiały wszelkie dziedziny spekulacyjnéj gospodarki państwowéj. Nam się przecież zdaje, iż przyczynić się do tego mogły stosunki skarbu austryackiego, który w ciągu naszego wieku kilkakrotnym podlegał bankructwom [1]). Drugim właścicielem z rzędu jest kościół, do którego należy 245 tysięcy morgów [2]), z części ich (26000 mg.) utworzono za czasów Józefa II t. zw. fundusz religijny. Na trzeciém miejscu, co do obszaru, postawić należy majątek fundacyi, wynoszący przeszło 80 tysięcy morgów.

W pierwszym rzędzie wspomnieć tu należy o fundacyi hr. Skarbka z jej 44 majątkami, obejmującemi przeszło 58 tysięcy morgów, i zakładem dla sierot i starców w Drohowyżu. Zaraz na drugiém miéjscu postawić należy fundacyę hr. Ossolińskiego, z któréj utrzymuje się Ossolineum we Lwowie.

Własność publiczna, państwa i instytucyi stanowi siódmą część całéj tabularnéj i nierównomiernie jest rozdzieloną pomiędzy pojedyńcze powiaty, tworząc w niektórych przeszło połowę, a nawet trzy czwarte całéj przestrzeni tabularnéj. W powiecie kosowskim 92% własności tabularnéj stanowi posiadłość publiczną, w pow. Dolina 73%, w Kałuszu 65%, w okolicach Bochni i Wieliczki 30,795 morgów, wśród zachodniego podgórza 16096 morgów, w okolicach Liska i Dobromilu 24079 i t. d.

---

1) W latach 1848, 1855, 1859 i 1866.

2) Największe są posiadłości metropolity grecko katolickiego we Lwowie: 64.8 tysięcy morgów.

Pod względem społecznym, obok własności publicznéj, postawić można własność spółek akcyjnych, zwłaszcza banków, dziś z powodu sprzedaży skarbowi dóbr Nadworna zredukowaną do dwudziestu paru tysięcy morgów.

Wielka posiadłość prywatna pod względem sposobu gospodarowania zbliża się do publicznéj. W Galicyi obejmuje ona majątki powyżej 1000 morgów, należy do 1218 właścicieli i rozciąga się na 3612305 morgów. Zaliczyć tu trzeba 89 majoratów, które razem wynoszą przestrzeń 68466 morgów, przeważnie obszary leśne, tak że uprawa czysto rolna schodzi na plan drugi.

Następująca tablica uwidoczni nam stosunki wśród własności tabularnéj wielkiéj, poczém dodane zostały cyfry, odnoszące się do średniéj i małéj własności tabularnéj, których stanowisko uwydatnia się dopiero w tem zestawieniu:

(Patrz tablicę na str. 83).

Połowa własności tabularnéj należy zatém do 161 właścicieli, którzy prowadzą przeważnie gospodarstwo leśne. Właściwa własność większa, po za latyfundyami stanowi zaledwie trzecią część (33%) całéj własności tabularnéj, obie razem zaś zajęły tak olbrzymią przestrzeń, że na własność tabularną średnią i małą zostaje zaledwie 17 morgów na 100. Sama własność tabularna ułożyła się tedy w taki sposób, że średnie majątki, na których gospodaruje zwykle sam właściciel, prawie nie mogą być brane w rachubę. Ten średni stan rolniczy nietylko zeszedł dziś do liczby 1915 właścicieli, ale nawet zmniejsza się corocznie, a jak twierdzą znawcy stosunków wiejskich w Galicyi, np. prof. Pilat, zupełném grozi zanikiem[1]). W latach 1890 — 93 ubyło 56 dóbr téj kategoryi, a zatém 3% prawie[2]). Przyczyną jest parcelacya i sprzedaże przymusowe z powodu obdłużenia i braku kapitału obrotowego. Nie dobra wielkie ale średnie zagrożone są w swéj egzystencyi i ratować się muszą sprzedażą parcel, lub nawet rozparcelowaniem wszystkich gruntów. Zdarza się to najczęściéj na zachodzie kraju, zwłaszcza w okręgach bocheńskim i wadowickim, gdzie włościanie są zamożniejsi. W ostatnich 20-tu latach wystąpił nowy rodzaj właścicieli gruntów, izraelici. Charakterystycznem jest, że nie własność chłopska, ale tabularna przecho-

---

[1]) Czas (№ 65—r. b.—Dodatek) stwierdza na podstawie faktów, że udział udział obywatelstwa, a zatém średniéj własności rolnéj, w życiu publiczném z każdym rokiem maleje.

[2]) T. Pilat. O reformie agrarnéj s. 10 i 11. „Średnia własność jest najmocniéj zagrożoną". Piotr Górski w mowie wypowiedzianéj w sejmie 16 lutego 1898 roku.

Własność tabularna w Galicyi.

(Wedł. tablic prof. T. Pilata[1]).

Morgi	Liczba właścicieli	Obszar gruntów w morgach	Na 100 morgów własności tabularnéj	Na 100 mg. całej przestrzeni rolnej	Na 100 morgów wypada lasu	Liczba właścicieli publicznych	Należąca do nich przestrzeń w mg.
Powyżej 10.000	53	1.929.518	35.92	14.15	75.5	8	741.706
5000 — 10.000	108	728.268	13.56	5.33	58.8	6	38.863
Wogóle posiadaczów 5000 — 10.000	161	2.657.786	49.48	19.48	70.9	14	780.580
1000 — 5000	945	1.795.644	33.43	13.15	43.7	36	60.545
Własność powyżéj 1000 mg.	*1268*	*4.453.430*	*82.91*	**32.63**	*60.0*[2]	*50*	*841.125*
500 — 1000	754	544.966	10.16	3.9	33.5		
200 — 500	777	249.281	4.6	1.9	23.8		
100 — 200	384	53.352	0.9	0.3	20.8		
Własność średnia od 100 — 1000 mg.	*1915*	*847.599*	*15.7*	**6.1**	*29.8*	*78*	*6452*
50 — 100	219	26.216 (50 — 100 i 25 — 50)	0.4	0.12			
25 — 50	126						
Poniżej 25 mg.	1046	6280	0.12				

[1]) Wiadomości statystyczne t. XII. r. 1892.

[2]) Do własności powyżej 1000 mg. należy 75.5% wszystkich lasów w kraju, których przestrzeń obejmuje 3536682 morgi.

dzi w ich ręce, a dziś należy już do téj nowéj warstwy właścicieli gruntowych 620 majątków z przestrzenią 591.693 morgów. Izraelici stanowią tedy 13% wszystkich właścicieli tabularnych z własnością przeważnie średnią, poniżéj 1000 morgów. Dowód to, że w inny sposób, a zatém przy dawnéj warstwie właścicieli nie mogła się ona utrzymać.

Układ własności ziemskiéj, przy którym brak prawie zupełnie majątków średnich, a piąta część całego gruntu znajduje się w ręku 161 posiadaczy, jest charakterystycznym dla Galicyi, anormalność jego występuje tém jaskrawiéj, skoro przypomnimy sobie, że rolnictwo jest najważniejszém i jedyném prawie źródłem dochodu, a ziemia głównym warsztatem pracy, zarówno dla warstwy szlacheckiéj jak włościańskiéj.

Lasy zajmują dotąd w Galicyi przestrzeń $3^1/_2$ milionów morgów, a zatém czwartą część (25.8%) całéj powierzchni kraju. Jest to bogactwo, które tylko dzięki przynależności lasów do największéj kategoryi własności utrzymać się mogło. W dobrach średnich uskarżają się na gospodarkę leśną, prawdziwie rabunkową; wycinanie lasów idzie coraz szybciéj, tak że w zachodniéj części kraju następstwa jego odbiły się na zmianie klimatu.

Jak widać z tablicy, podzieliły się lasy na różne kategorye posiadłości w taki sposób, że największa posiadłość (powyżéj 10.000 mórg) w trzech czwartych zajętą jest przez lasy, najmniéjsza zaś (100—200 mórg) tylko na jednéj piątéj. W ogóle zaś do własności tabularnéj należy $^6/_7$ całéj przestrzeni leśnéj w kraju, a tylko $^1/_7$, to jest 599.284 morgi, stanowią własność chłopów, przeważnie należącą do gmin. Lwia część lasu przypada tedy własności tabularnéj.

Z konieczności musi własność wielka, w któréj na 100 mórg gruntu wypada 70.9 lasu kłaść mniejszy nacisk na właściwie rolną uprawę. Latyfundya galicyjskie są dotąd zagospodarowane ekstensywnie, a przemysły rolnicze oprócz gorzelni niewiele rozpowszechnione. Skoro zaś własność tabularną uważać zechcemy jako całość, przeciwstawiając ją własności nietabularnéj, to na właściwą uprawę rolniczą, a zatém na grunta orne, łąki i ogrody, wypadają w każdéj kategoryi następujące odsetki:

	Własność tabularna			Własność nietabularna		
			w hektarach:			
Role	991.551	czyli	26.07%	2.811 896	czyli	73.93%
Łąki	197.474	„	22.54 „	678.735	„	77.46 „
Ogrody	15.923	„	14.49 „	93.951	„	85.51 „
Cała przestrzeń uprawna w kraju.	1.204.948	„	25.16%	3.584.582	„	74.84%

Udział własności tabularnéj i nietabularnéj w produkcyi właściwie rolniczéj w Galicyi, przedstawia się tedy jak stosunek 1:3, gdy tymczasém stosunek zajmowanego przez każdy z nich obszaru, jak 2:3.

Za bezpośrednie następstwo podziału majątków wśród własności tabularnéj w Galicyi, uważać można rozpowszechnienie systemu dzierżaw. W 1893 r. prawie trzecia część (29,8%) po odliczeniu lasów, zajmowanéj przez nią przestrzeni, wypuszczoną była w dzierżawę [1]). Gdzie grunta są lepsze, a zwłaszcza tam gdzie są lżejsze i podatniejsze do uprawy, dzierżawy zdarzają się częściéj. Decydują tu zatém, jak się zdaje nie oddawcy, lecz nabywcy dzierżaw. Powiaty w których przeważają wielkie majątki, mają najwięcéj dzierżaw, gdyż w dobrach średnich gospodaruje zwykle sam właściciel. Na Podolu zwykły obszar dzierżawy wynosi 1000—2000 morgów. W powiecie trembowelskim, gdzie trzy czwarte całéj powierzchni tabularnéj oddane są w dzierżawę, średni obszar dzierżawy był 1043 morgów, stanowi je zatém przeważnie własność większa. Zdarza się przecież, że wielki majątek rozdziela się na dzierżawy włościańskie, czego dowodem są 4 wielkie obszary tabularne w powiecie stanisławowskim.

Liczbę majątków wydzierżawionych podaje statystyka z r. 1893 na 1620, a średnią wielkość jednego na 447 morgów. Porównywając te liczby z ilością dóbr tabularnych powyżéj 100 morgów, dochodzimy do wniosku, że tylko połowa własności większéj znajduje się we własnym zarządzie.

Zauważyć również trzeba, że wśród dzierżawców licznym jest ów nowy element ziemiański, na który zwracaliśmy uwagę, omawiając podział własności tabularnéj, Żydzi. Do izraelitów należy 783 dzierżaw, to znaczy 54% wszystkich, właścicielami ich tylko w małéj części są również izraelici (65). Pozostali w liczbie 718 powiększają zatém zastęp izraelitów gospodarzy do liczby 1338, jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę że są to po większéj części nie latyfundya, ale dobra większe i średnie, przyznać trzeba, że stan ziemiański w bardzo znacznéj części składa się dziś z elementu żydowskiego, który podobno gospodaruje wzorowo. Wypierani z handlu i przemysłu przez izraelitów i cudzoziemców, ustępujemy również dobra ziemskie nowéj warstwie posiadaczy, którą tylekroć za niezdolną do gospodarstwa rolnego społeczeństwo nasze uznawało!

---

[1]) Dzierżawy tabularne. „Wiadomości statystyczne“, t. XV zesz. 2.

Własność tabularna w Galicyi nie wesoły przedstawia obraz i trudno ją już dzisiaj uważać za czynnik rozwoju, za przewodnika w życiu narodowém. Spostrzegają to ludzie różnych obozów, tembardziéj, że chwianie się większéj własności ziemskiéj nie jest wyłącznie galicyjskim objawem, jakkolwiek w tym kraju przejawia się może jaskrawiéj, niż gdzieindziéj. Oto, co powiada prof. Wł. Ochenkowski [1]), uczony badacz stosunków agrarnych. „Tam gdzie ogólny socyalny problemat rozwoju, a więc i problemat ekonomicznego rozwoju, wymaga do rozwiązania go znaczniejszéj ilości wyrobionych pracowników, tam większa własność ziemska, czy to obecnie się tworząca, czy téż przekazana, pierwszorzędnym czynnikiem ustroju agrarnego być nie może. Słabości jéj społecznéj, braku tradycyi pracy dowodzi szybkość, z jaką po zniesieniu przywilejów i wyzwoleniu rolnika i ziemi większa własność ziemska przeszła z rąk dawnych właścicieli do rąk nabywców z innych stanów, posiadających tradycyę pracy. Wybitna dążność do tworzenia z większéj własności latyfundyów i spekulacyjne traktowanie ziemi są również dowodem społecznéj słabości téj kategoryi własności“. A na inném miejscu... „klasa ziemskich władzców zdradza brak idei zachowawczéj, którą każdy człowiek i każda klasa powołana do socyalnego działania, posiadać i kształcić powinna”.

Przyznać trzeba, że większa własność w Galicyi téj idei samozachowawczéj przeprowadzić nie może, bo obstawanie przy dawnych formach władzy i administracyi, gdy wszystko dokoła się zmienia, nie jest jeszcze istotném utrzymywaniem się przy stanowisku przewodniczącém, ale raczéj nierozumieniem ducha czasu.

II.

Na przestrzeni 7825921 morgów rozsiadła się w Galicyi posiadłość włościańska, która zajmuje prawie $^3/_5$ całego obszaru rolnego (59.35%)[2]). W ostatnich latach trzydziestu przestrzeń ta wzrosła o 410,764 morgi, czyli o 3% Pomimo to przecież średni rozmiar zagrody włościańskiej spadł w 1892 r. do 4.4 morgów, a mimowoli bierze chętka ten drobny szmat ziemi postawić obok innéj cyfry

[1]) O włościach rentowych. Kraków 1897 s. 9.

[2]) Przestrzeń zajętą przez posiadłość włościańską otrzymaliśmy po odciągnięciu od ogólnéj przestrzeni rolnéj obszaru własności tabularnèj, oraz 272 tysięcy morgów, zajętych przez drogi i obszary wodne i 180479 morgów terytoryów miejskich. (Na podstawie cyfr T. Pilata. Własność tabularna w Galicyi. 3. XII).

średniéj, 2990 morgów średniego obszaru jednéj posiadłości [1]), który otrzymujemy dla prywatnéj wielkiéj własności ziemskiéj. Latyfundyum i gospodarstwo karłowate to cechy gospodarstw rolnych wśród społeczeństwa galicyjskiego!

Własność włościańska drobi się nieustannie i z przerażającą niemal szybkością. Przed laty czterdziestu jeszcze wynosiła 9 mor, gów przeciętnie, dziś spadła do połowy tej wielkości. Od. r. 1857 ilość arkuszy gruntowych, które odpowiadają posiadłościom rolnym wzrosła o 168.7%, a obszar każdéj zmniéjszył się 62.7%, przyczem i suma czystego dochodu z jednéj posiadłości zmniéjszyła się o 47 na 100 [2]). Mamy tedy coraz więcéj właścicieli, a każdy z nich jest coraz uboższym.

Rozbicie posiadłości gruntowéj postępujące z roku na rok zagraża dziś zupełném sproszkowaniem własności chłopskiéj. Zagrody na jednéj lub nawet na pół morgu nie należą bynajmniej do rzadkości, a wykazy ministeryum skarbu za ostatnie lat 10, nie sięgając już dalej wstecz, kiedy panowały bez wątpienia pomyślniejsze stosunki, dają następujące cyfry arkuszy gruntowych w latach [3])

1883	1885	1890	1893
1420021	1464368	1635897	1631841
100	103	115	115

Przyjmując za punkt wyjścia rok 1883, na każde 100 właścicieli przybyło 15. Takie proszkowanie własności i przez włościan samych niewątpliwie odczuwaném być musi, jako zjawisko ujemne, a przecież stosunki panujące uczyniły je tak koniecznem, że ilekroć sami interesowani mają sposobność zabierać głos, oświadczają się przeciw prawnemu ograniczeniu podzielności [4]).

Nie posiadamy dla Galicyi dokładnéj statystyki podziału gruntów, a wobec ciągłych zmian i wahań byłaby ona nawet nadzwyczaj trudną do przeprowadzenia. Pomimo to przecież sprawa podziału gruntów jest tak doniosłą i zasadniczą przy wszelkiéj polityce agrarnej, że zużytkować musimy źródła istniejące i przybliżone z nich przynajmniéj wyprowadzić wnioski.

---

[1]) Średnia ilość morgów, przypadających na 1 posiadłość wśród własności większej, obliczona na podstawie tablicy własności tabularnéj (patrz str. 83).

[2]) Statistische Monatsschrift. t. X. s. 236.

[3]) Oesterr. Statistisches Handbuch z r. 1893. Wiedeń 1894

[4]) Podczas ankiety agrarnéj w 1897 r. włościanie Huryk i Bojko oświadczyli się przeciw téj reformie. To samo powtarza się na sejmikach relacyjnych, ilekroć posłowie włościańscy zapytują wyborców włościan o zdanie.

Przy ankiecie agrarnej w grudniu r. z. w Wadowicach zdania były podzielone.

W r. 1883 krajowe biuro statystyczne we Lwowie przeprowadziło badania nad podziałem własności rolnéj we wszystkich powiatach Galicyi, używając przy tém t. zw. reprezentacyjnéj metody. Dokonało się to w taki sposób, że z każdego powiatu wybrano gminy typowe, razem 249, podając w nich podział osad włościańskich na zasadzie kadastralnego dochodu z ziemi. Pomiędzy posiadłościami wyróżniono kategoryę bez dochodu kadastralnego, z dochodem do 5 złr., 5 — 10 złr., 10 — 20 i t. d. aż do 100, a wreszcie osady z dochodem 100 — 150 złr. i powyżéj 150, w ogóle 14 kategoryi, które uwydatniać miały dochody posiadaczy włościańskich. Rezultat wywiadów wykazał, że posiadłości z dochodem kadastralnym poniżéj 10 złr. stanowią ogromną większość, a mianowicie:

	Na 100 posiadłości miało dochód poniżej 10 złr.
W 22 gminach.	90 — 98.2
„ 26 „	80 — 89.8
„ 49 „	70 — 79.8
„ 38 „	61 — 69.6
„ 50 „	50 — 60 [1]).

W 185 gminach zatem posiadłości gruntowe z dochodem powyżéj 10 złr. nie stanowią nawet połowy, a w 48 nawet nie czwartą część wszystkich posiadłości. Tylko w pozostałych 64 gminach liczba ich dochodzi do 50 na 100 lub nawet wyżéj. Niema wszakże ani jednéj takiéj gminy, w któréj przynajmniéj piąta część właścicieli nie podpadłaby pod najniższą kategoryę dochodów. Dochód kadastralny uważać wprawdzie można za 2 — 3 razy niższy od rzeczywistego [2]), i w takim razie przecież jest on nędznym i na wyżywienie rodziny w trzech czwartych wypadków gospodarstwo włościańskie wystarczyć nie może.

Na wspomnianéj już ankiecie reprezentacyjnéj trudno byłoby oprzeć istotny podział gruntów włościańskich, ale korzystamy z materyału, przy którym dla każdéj gminy i kategoryi własności podano obszar zagrody włościańskiéj w każdym powiecie politycznym. Liczba ta, opierając się na materyale zebranym przez znawców,

---

[1]) D-r Krzyżanowski (cyt. wyż.) obliczając posiadłości poniżej 200 mg. znajduje, że obszar zagrody włościańskiej wynosił w 1882 r. 4.46 morgi.

[2]) W r. 1886 obliczono, że w Austryi wartość podatkowa stała do obrotowéj, jak 1:2.25 to zn., że realność z wartością podatkową 100 złr. sprzedawano za 225 (Beilagen zu den Gesetzentwürfen... XI. Wiedeń 1893. s. 445).

jeżeli nie jest zupełnie ścisłą, to przynajmniéj odpowiada istotnemu stanowi i nadaje się do porównań z materyałem późniejszym, pochodzącym z 1897 r.

I w tym roku materyał nie daje nam właściwego podziału gruntów włościańskich, ale liczbę płacących podatki za rok 1897 [1]), która w porównaniu z przestrzenią rolną, jaką zajmuje posiadłość nietabularna w każdym powiecie, pozwoliła obliczyć średni obszar posiadłości gruntowéj włościańskiéj. Otrzymaliśmy w taki sposób dwa szeregi cyfr, które przedstawić nam mogą zmiany jakim podlegała własność włościańska w przeciągu ostatnich lat 14 stu. Naturalnie, że to rezultat nieco szematyczny, ale przy danym materyale możliwie najdokładniejszy; z tego powodu zatém podajemy go na dwóch mapkach. Pierwsza wykazuje średni obszar włościańskiéj posiadłości w r. 1883, druga w 1897, rozdzielone według powiatów. Zestawiając mapki, mamy ciekawy obraz zmian, jakie dokonały się w ciągu lat 14-tu, między pierwszém a drugiém obliczeniem.

Karłowa posiadłość włościańska od 2 — 4 mg. stanowi w 1897 roku średni obszar zagrody w znacznéj liczbie 30-u powiatów, a nie mamy tu do czynienia z gruntami budowlanemi, które jako nie opłacające podatku gruntowego do spisu nie zostały włączone. Wyjątkowo tylko będą to ogrody, które np. w powicie krakowskim pomimo małych rozmiarów posiadłości względną mieszkańcom wsi zapewniają zamożność. Powiaty graniczne w lepszém od innych znajdują się położeniu, gdyż znaczna część ludności wędruje na Szlązk lub do Królestwa, szukając zarobków. W Krakowie i Przemyślu część ludności wiejskiéj znajduje odpływ do miast, w Brzozowie i Krośnie téj saméj sposobności dostarczają kopalnie nafty. Największa część powiatów, w których średni obszar posiadłości wynosi 3—4 morgów znajduje się na wschodzie, gdzie grunta są urodzajne, ale brak sposobności do zarobków w przemyśle, a nawet w gospodarstwach większych chętnie się posługują mazurami, gdyż rusin miejscowy niechętnie idzie na robotę, twierdząc, że: „u menia zdorowje ne na odin rik". Jest to ojczyzna gospodarstw karłowatych, towarzyszącéj im nędzy chłopskiéj i gospodarskiego zastoju [2]).

Stosunki ludnościowe nie miały bezpośredniego wpływu na drobienie się posiadłości. Porównywając dane z r. 1883 i z 1897,

[1]) Liczby te użyczone, łaskawie przez pp. Piotra Górskiego i Adama Krzyżanowskiego pochodzą z niedrukowanego spisu podatników, sporządzanego przez ministeryum sbarbu w Wiedniu.

[2]) Jako typ podziału posiadłości we Wschodniéj Galicyi uważać możemy powiat skałacki (opracowany przez Marassego), gdzie w 1875 r. był następujący podział gruntów między 20,277 zagród włościańskich. *(verte)*:

spostrzegamy, że posiadłość najmniejsza zmniejszyła się w 17-u wypadkach, a wzrosła w 13-u. Byłoby to zbyt śmiałém upatrywać zależność tego zjawiska od zaludnienia, zauważmy przecież, że prawie wszystkie (14) powiaty, w których ludność wzrosła miały zaludnienie wyższe od przeciętnego w kraju (84 na 1 kilometr kw.). W sześciu zaś było zaludnienie przeszło 100 mieszkańców na kilometr kw. Najwyższe zaludnienie spotykamy w powiecie wielickim, który wykazuje także największy przyrost średniege obszaru zagrody. Wprawdzie drugi z rzędu, co do ludności, powiat krakowski wykazuje zmniejszenie obszarów, ale jest to zjawisko zwykłe w okolicach większego miasta, gdzie ceny gruntów są wysokie.

Przejdźmy z kolei do tych powiatów, w których średni obszar własności gruntowéj dochodzi do przeciętnego w kraju, lub go przewyższa. Przedewszystkiém należy tu kategorya zagród od 4 — 5 morgów obszaru, które weszły klinem pomiędzy powiaty z najdrobniejszą posiadłością na zachodzie i ciągną się długim pasem od Krosna aż po granicę Królestwa, potém na wschód aż do granicy rosyjskiéj. Podole, ojczyzna własności karłowatéj, otoczoną jest ze stron wszystkich przez te posiadłości. Powiaty o posiadłości 5 — 6 morgów stanowią znaczne terytoryum na zachodzie między Brzeskiem i Tarnobrzegiem, oraż na wschodzie dokoła Lwowa. Wzdłuż granicy węgierskiéj, w górach zgrupowały się powiaty z wyższą granicą własności, a jakkolwiek spotykamy tu w 1882 r. obszerne

	na 100 było
Poniżéj 1 morgi	32
od 1 — 3 mórg	28
„ 3 — 5 „	11
„ 5 —10 „	19
„ 10 —15 „	5
„ 15 —20 „	2.7
„ 20 —25 „	0.7 i t. d.

Powyżéj 25 morgów było w całym powiecie 290 zagród, a powyżej 50 tylko 89. Pamiętajmy, że przez ostatnie dwadzieścia kilka lat rozdrobnienie znaczne uczyniło postępy. W 22 gminach podolskich zagród poniżéj 2 morgów liczą 42—85 na sto. Obok nich zaś istnieje zastęp chałupników i proletaryatu wiejskiego. Z tego powodu zjawia się do roboty tak wielka liczba, że żniwo w przeciągu tygodnia ukończonem zostaje. W dobrach należących do izraelitów robotami zarządza niekiedy szynkarz, który pożyczki zaciągnięte na przednówku, głównie w mące, odrabiać każe na gruntach folwarcznych.

Wspomniana już ankieta w Wadowicach dała następujący rezultat:

niżej 2 mg.	gospodarstw	3052	25.0%.
od 2—5 „	„	5376	43.8%.
„ 5—10 „	„	3112	25,3%.
„ 10—20 „	„	617	5.0%.
„ 20—50 „	„	110	0.9%.

gospodarstwa włościańskie, złożone przeważnie z pastwisk, w 1897 r. w żadnym powiecie przeciętny rozmiar nie przewyższał 10 morgów.

Wśród większych przeważają posiadłości o przeciętnych rozmiarach 4—5 morgów po nad każdą inną kategoryą własności. W 1897 r. w porównaniu z r. 1883 dokonały się w nich wielkie zmiany, w żadnym średni obszar nie pozostał takim, jakim był przed laty 14, a w niektórych, jak np. w Turce, Lwowie, Żydaczowie, Kałuszu i Stanisławowie, przyrost lub ubytek jest stosunkowo znacznym. Bliskość wielkiego miasta i wytworzone przez to ożywienie gospodarcze powinnoby dostatecznie objaśniać te wielkie przeobrażenia. Dziwnemi są one przecież w pow. Turka, położonym na granicy węgierskiéj, gdzie brak wszelkiego przemysłu. Stosunki Turki zasługują na uwagę, gdyż własność tabularna obszaru 81,000 morgów podzieloną jest tylko między 31 właścicieli. Ludność włościańska, Rusini (Hucułowie), stoją na najniższym poziomie oświaty, tak że tylko 6% umie czytać lub czytać i pisać. Ten brak oświaty objaśnia poniekąd znaczny procent (11) ludności żydowskiéj, która zastępuje cały stan kupców, kramarzy i zajmuje się lichwiarstwem. Miast powiat Turka nie posiada, a szybkie zmiany w stanie posiadania, wobec małego zaludnienia, przypisać chyba należy nie ewolucyi stosunków gospodarskich, ale raczéj zubożeniu ludności, która dzielić i sprzedawać musi jedyną swą własność -- ziemię.

Obszar średniéj posiadłości włościańskiéj, przyrost jéj lub ubytek i tu nie stoi, jak się zdaje, w żadnym stosunku do gęstości zaludnienia. Największe postępy czyni podział gruntów w Turce, gdzie ludność jest najniższą, i we Lwowie, gdzie jest dwa razy wyższą, a bliskość miasta podnosi cenę gruntów To samo powtarza się w powiatach, w których wzrosła posiadłość włościańska. Kałusz ma niską ludność, a Stanisławów wysoką, przyrost rozmiarów zagrody włościanskiéj jest zaś w obu prawie identyczny.

Następna zaraz kategorya posiadłości 5—6 morgów obejmuje znaczną liczbę 13 powiatów. I tu zmiany są powszechne, jakkolwiek mniéj znaczne. Prawie połowa powiatów (6 na 13) wykazuje przyrost zagród, co przypisać należy dwojakiéj przyczynie. Przedewszystkiém znajdujemy się tu w okręgach naftowych, gdzie zamożność mieszkańców szybko wzrastać może. Po za tém, wobec nizkiego poziomu potrzeb u włościan galicyjskich, zagroda o 5 lub 6 morgach znaczy możność oszczędzania, które dokonywa się zwykle kosztem dobrego odżywiania i pracy po za własném gospodarstwem. Skupywanie gruntu zaś to największa namiętność wieśniaka w Galicyi, jak i wszędzie, o podwyższenie stopy życiowéj dba bardzo ma-

ło. Dowodem tego są i następne kategorye własności powyżéj 6-u morgów. Z 14-stu należących tu powiatów tylko w trzech zmniejszył się obszar przeciętny. W Kolbuszowie pozostał bez zmiany, a w 8-iu wzrósł. Największe zmiany wykazują stosunki w Kosowie. Ludność jest tu rusińska (82%) ze znaczną przymieszką żydów ($12^1/_2$%), którzy żyją wśród włościan, jako lichwiarze i kramarze. Własność tabularna w całości prawie należy do skarbu. Południowa część powiatu tworzy dziką okolicę przerżniętą lasem i górami, ojczyznę Huculów. Północ powiatu, gdzie poczyna wkraczać przemysł naftowy, wykazuje stosunki podobne do reszty kraju. W każdym razie obszar zagród włościańskich w pow. kosowskim jest znaczny, a niektóre w 1883 r. dochodziły do 800 morgów. Gospodarstwo daje przecież tak małe dochody, że dochód kadastralny 15 złr. wypada na obszar 15 morgów, gdy na zachodzie już przy trzykroć mniejszym obszarze bywa osiąganym.

W kategoryi właśności, powyżéj 6 morgów, spotykamy więcéj wypadków powiększania się tego obszaru, niż w każdéj innéj. Przyczyny szukać należy w przemyśle naftowym, rozwijającym się w samym powiecie (np. Jasło, Gorlice, Sanok, Nadworna), lub w przyległych (Grybów), w istnieniu zakładów leczniczych i t. p. zarobkach ubocznych.

Rozpatrując stosunki ludnościowe u téj kategoryi posiadłości, dochodzimy do wniosku, że z 10 powiatów, w których obniżył się obszar posiadłości, w 8 liczba mieszkańców niższą była od średniéj. W 16 wypadkach przyrostu zaludnienie nie było mniejszém.

Dotychczasowe badania wykazały daleko idące rozdrobnienie włościańskich gruntów w Galicyi, które powtarza się we wszystkich okolicach kraju, a przecież w każdym powiecie odmienną przybrało postać. Niepodobna téż tu postawić ogólnéj zasady, ale raczéj należy indywidualizować, doszukując się całego szeregu przyczyn, zamiast jednéj. Nie należy również zapominać o różnicach, które wynikać muszą z niejednakowéj urodzajności gruntów. Posiadłość włościańska, któréj średnia wielkość waha się między 3 a 10 morgami, niekiedy pozornie tylko tak bardzo jest różną, a uważana jako warsztat pracy, z którego włościanin pragnie wyżywić rodzinę, wszędzie prawie doszła do ostatecznego kresu rozdrobnienia, przy którém nędzna egzystencya jeszcze jest możebną. Ażeby się o tém przekonać, zestawmy średni obszar zagrody włościańskiéj z odsetkami roli zdolnéj pod uprawę w każdéj strefie. Jako trzeci szereg, stawiamy średnie zaludnienie stref, aby na nowym szeregu faktów

przekonać się, czy oddziaływa ono na rozdrobnienie własności włościańskiéj:

Nazwa stref	Na 100 mg. obszaru wypada ról zdatnych do uprawy morgów.	Średni obszar posiadłości włościańskiéj w morgach.	Liczba mieszkańców na 1 km. kw.
Galicya w ogóle	48.46	4.4	84
I Podole.	74.30	3.53	100
II Pagórki glinkowate na zachodzie .	58.80	4.61	112
III Okolice Krakowa	53.65	3.38	124
IV Powiaty środkowe	51.80	4.03	74
V Północo-wschód.	49.10	4.42	72
VI Porzecze Sanu i Dniestru . . .	47.59	4.57	113
VII Powiśle	46.18	5.15	79
VIII Okolice górskie na zachodzie . .	44.83	6.30	83
IX Okolice górskie na wschodzie . .	22.75	6.57	53

Średni obszar zagrody włościańskiéj zależy tedy od ilości roli uprawnéj, która na daną przestrzeń wypada, i śmiało twierdzić można, że zeszedł już wszędzie do najdalszéj prawie możliwéj granicy. Wśród krajów europejskich zdawałoby się, że analogię stosunków rolnych galicyjskich odnajdziemy we Francyi. Tymczasem sięga ona tylko, o ile chodzi o liczbę posiadłości *(côtes foncières)*. De Foville [1]) dowodzi, że prawie $^{7}/_{10}$ wśród najmniejszych posiadłości poniżéj 2 hektarów są to parcele budowlane, które w naszych obliczeniach żadnéj roli odgrywać nie mogą, gdyż opieramy się na spisach podatkowych. Po za tém we Francyi istnieje średnia posiadłość włościańska (osady od 6—50 hektarów) w znacznéj liczbie 1.351.000 zagród, do których należy 39% całego obszaru gruntów [2]).

Podobnie niekorzystne rezultaty otrzymujemy z porównania podziału gruntów w Galicyi i innych krajach monarchii austryackiéj np. w Czechach. Według obliczeń dokonanych z powodu podatku gruntowego w 1893 r. na 10,000 płacących ten podatek wypada podatników: [3])

Podatek:	W Galicyi:		W Czechach:	
Do 1 złr.	4637	9610	3618	7674
1 — 2 „	2073		1329	
2 — 5 „	2083		1695	
5 —10 „	817		1032	

[1]) Le morcellement en France—s. 95 i n.

[2]) Tamże s. 91.

[3]) Obliczone według Oesterr. stat. Handbuch z r. 1894. s. 115.

Podatek:	W Galicyi:		W Czechach:	
10 — 20 złr.	279	364	867	2184
20 — 50 „	69		976	
50 — 100 „	16		341	
100 — 200 „	8.5	22.3	97	136.0
200 — 500 „	8.2		24	
500 — 1000 „	4.2		5.6	
1000 — 2000 „	1.7		3.9	
2000 — 5000 „	0.6		3.1	
powyżéj 5000 „	0.1		2.4	

Obliczając płacących podatek gruntowy na 100, wypada tedy w najniższéj klasie do 10 złr., w Galicyi 96.1, w Czechach tylko 76.7, podatki od 10—100 złr., płaci w Galicyi 3.6% wszystkich posiadłości, w Czechach 21.8. Najwyższa kategorya powyżéj 100 złr. wynosi w Czechach 1%, w Galicyi zaś tylko ułamek.

Z tych spisów podatkowych widać że w Galicyi obok gospodarstw karłowatych (opłacających podatek poniżéj 2 złr.), które stanowią 67% wszystkich, posiadamy niewielką liczbę gospodarstw drobnych (29%), a brak zupełnie posiadłości średniéj, któraby stanowić powinna podstawę stanu chłopskiego. Samodzielnych gospodarstw włościańskich niema już prawie.

Aby dopełnić obrazu posiadłości włościańskich, poświęcić musimy wreszcie uwagę gruntom gminnym. Znane pod nazwą gruntów wspólnie używanych, obejmują one 13-ą część własności nietabularnéj, t. zn. koło 650 tysięcy morgów. Prowadzona na nich gospodarka oddawna już wywołała niezadowolenie, tak że wydział krajowy rozpisał 31/XII 1891 r. ankietę, aby z odpowiedzi na kwestyonarze wywnioskować, jaką reformę należy tu przeprowadzić. Otrzymane z 67 powiatów odpowiedzi pozwalają nam wytworzyć sobie pojęcie o 617,028 morgach gruntów gminnych [1].

Grunta wspólnie używane stoją pod zarządem gminy, to zn. wójta i rady złożonéj z 8 — 12 członków. Przy rozdziale gminy od obszaru dworskiego, chłopi posiadają samodzielną władzę przy zarządzie, a wójtowie [2]) często niedorośli do swego stanowiska, pozostawiają go wraz z innemi najważniejszemi sprawami pisarzom gminnym, urzędnikom nizko wynagradzanym, często bez stałéj pensyi, którzy na własną korzyść dopuszczają się nadużyć.

---

[1]) Pilat. Grunta wspólnie używane. „Wiad. Statystyczne. Tom XV—1895 r.

[2]) Wśród wójtów liczono w 1878 r. około 80% analfabetów.

Obszar gruntów gminnych jest znacznym, i powinien by włościanom dostarczać lasu i pastwiska, którego zwykle nie posiadają, témbardziéj że 67,7% wypada na pastwiska, a 20,2% na lasy.

Przy niedbałéj gospodarce przecież wiele pastwisk zamieniło się w nieużytki, a nawet tam, gdzie pozostały jeszcze pastwiskami, są tak złą dla bydła paszą, że 5—6 krów wystarcza zaledwie na pokrycie potrzeb gospodarstwa własnego. Trembowelski wydział powiatowy podaje np. następujący obraz gospodarstwa gminnego na pastwiskach. „W jednéj gminie 200 gospodarzy mają prawo pasania na pastwisku, obejmującém około 50 morgów obszaru. Na wiosnę wypędza się około 400 sztuk bydła i koni, nie licząc nierogacizny, owiec i gęsi. W tydzień trawa znika, pastwisko pustoszeje, a bydło chodzi głodne". Do tych szkód dodać jeszcze trzeba fatalne stosunki moralne wśród dzieci, które pasąc bydło, włóczą się za niém obdarte, głodne i rozpróżniaczone, zawiązując przedwczesne stosunki miłosne. Jest to dla młodych pokoleń wiejskich, fizycznie i moralnie zgubne, bo i do kradzieży na polach i sadach obcych posuwa się niejedno. Nie rzadko zdarzają się również nadużycia na pastwisku, np. pozbawienie doń prawa tych użytkowników, którzy mieszkają zbyt daleko, a żadnego nie otrzymują wzamian odszkodowania.

Nie wiele lepszém jest gospodarstwo lasowe. Drobny pożar lub prowadzona we wsi budowa prowadzi do niszczenia całego lasu, poczém puszcza się bydło, aby dopełniło zniszczenia, a las znika z powierzchni ziemi. W taki sposób gospodarstwo włościańskie pozbawioném jest niezbędnego dopełnienia, jakie grunta wspólnie używane niezawodnie stanowić by dlań mogły. Dr. Jan Hupka [1]), przyjmując może zbyt wysoką cenę 70 złr. za morgę, oblicza wartość gruntów wspólnie używanych, między któremi są niekiedy pierwszorzędne, na 42 miliony. Dochód od tego kapitału wyżywić by mógł tysiące rodzin włościańskich, a myśl wyprzedania tych gruntów nastręcza się wielu reformatorom. Wśród samych włościan okazał by się zapewne silny opór przeciw takiéj reformie, którą uważaliby za wkroczenie w swe prawa, jakkolwiek fundusze na cele gminy użyte by zostały. Posiadłość gminna tworzy niekiedy znaczne obszary, np. w powiatach Dolina i Tarnobrzeg czwartą część całéj posiadłości nietabularnéj, w 42 powiatach politycznych przeszło 10,000 morgów w każdym. Wyjątkowo tylko spotykamy gminy pozbawione wspólnych gruntów. Racyonalne i planowe gospodarstwo na grun-

---

[1]) Gospodarka na gruntach wspólnie używanych. Kraków 1897, s. 30.

tach wspólnych odpowiedniejszém byłoby od podziału, gdyż tę pozostałość wspólnéj własności należy raczéj podtrzymać, a nie niszczyć.

Rozpatrzenie stosunków posiadłości włościańskiéj, pozostawia przygnębiające wrażenie ogólnéj biedy, przewagi gospodarstw karłowatych, braku posiadłości średnich i sproletaryzowania niemal całego stanu. Ale stan ten przedstawia przecież połączenie własności i ciężkiéj pracy, pracy, któréj w żadnym innym kierunku zużytkować nie można. Brak przemysłu i wielkich miast, do którychby odpływała przewyżka ludności wiejskiéj, narzucać przeto musi takie reformy, któreby wśród istniejących stosunków stworzyły dla ludności włościańskiéj możność bytu. Wobec minimalnych rozmiarów posiadłości dawny system kultury czysto rolnéj nie wystarcza, musi tu być zaprowadzoném gospodarstwo wysoce intensywne. W jakim kierunku postępuje dziś kultura rolnicza i jakie są następstwa rozdrobnienia własności, postaramy się wykazać niżéj. Tu zaś stwierdziliśmy bardzo liczną warstwę posiadaczy rolnych, którzy o najkorzystniejszém zużytkowaniu swych zagród myśléć powinni.

III.

Porównywając w pierwszéj części téj pracy produkcyę rolniczą w Galicyi z rolnictwém innych krajów anstryackich, doszliśmy do wniosku, że w pierwszéj stoi ona znacznie niżéj, a co zatém idzie i wartość posiadłości rolnych jest w Galicyi wiele niższą. Rozpatrzywszy rozmiary tych posiadłości i podział powierzchni rolniczéj, zadać sobie musimy pytanie, czy produkcya rolna wzrasta, czy wzrost jéj dotrzymuje kroku powiększaniu się ludności i w jakim rozwój ten postępuje kierunku [1]. Zestawiając następujące po sobie dziesięciolecia 1874/83 i 1884/93, dochodzimy do następujących wniosków:

Przestrzeń zajęta pod uprawę rolną powiększa się, a mianowicie:

W całym kraju wzrosła o	366.666	morgów	czyli	5.87%
W Galicyi Zachodniéj o .	98.150	„	„	4.93%
W Galicyi Wschodniéj o .	268.516	„	„	6.32%

---

[1]) Materyału do odpowiedzi dostarczają nam prace prof. Wład. Lubomęzkiego: Postępy produkcyi rolnéj w Galicyi. Ekonomista polski. Lwów 1893 rok oraz Produkcya rolnicza. (Powszechna wystawa krajowa) Kraków 1896 r.

Wzrost był tedy znaczniejszym we wschodniéj, niż w zachodniéj części kraju, co łatwo objaśnić tém, że na zachodzie gospodarka zawsze prowadzoną była intensywniéj, tworzenie nowych posiadłości nie mogło tedy doprowadzić do takiego wzmożenia przestrzeni rolnych, jak na wschodzie, gdzie było więcéj ugorów. Porównywając obszar zajęty przez różne gatunki zbóż, widzimy, że szlachetniejsze: pszenica i żyto rozszerzyły się kosztem mniéj cennych, owsa i jęczmienia, a przestrzenie ugoru się obniżyły.

Ze 100 morgów gruntu wypadało:

	W całéj Galicyi		W Gal. Zachodniéj		W Gal. Wschodniéj	
	w 1874/83	w 1884/93	w 1874/83	w 1884/93	w 1874/83	w 1884/93
Na pszenicę. . .	8.79	11.41	6.77	11.07	9.75	11.56
Żyto	15.55	16.12	15.08	17.09	15.77	15.68
Owies	10.63	9.47	8.77	10.36	11,52	9.05
Jęczmień . . .	18.54	17.89	19.72	20.54	17.98	16.66
Ugory i niewiadome .	19.15	13.55	20.51	8.75	18.44	15.86[1]

Uderzyć nas musi nagłe zmniejszenie się pól stojących ugorem. Zbyt mała część przestrzeni odpoczywających może być jednak zjawiskiem ujemném, o ile nie towarzyszy jéj bardzo silne nawożenie gruntu, któremu nie pozostawia się czasu na odzyskanie utraconych przy uprawie pierwiastków. Za absolutną dokładność cyfr, prof. Lubomęzki nie bierze odpowiedzialności, wyrażają one zatém głównie tendencyę. Wydajność gruntu z morgi nie przedstawia pocieszających objawów. Średnie plony żyta i pszenicy obniżyły się, co wskazuje że uprawiane są i na gruntach niższéj wartości, a mianowicie:

Średni urodzaj z morgi w cetnarach metrycznych:

	Pszenica		Żyto	
	1874/83	1884/93	1874/83	1884/93
W całej Galicyi . .	5.11	4.78	4.19	4.04
W Galicyi Wschodniéj .	5.14	5.10	4.15	4.46
W Galicyi Zachodniéj	5.00	4.07	4.25	3.25

Rozwój kultury rolniczéj postępował tedy w kierunku zależnym bezpośrednio od wzrastającéj ilości posiadaczy ziemi i zmniejszania się obszaru zagrody włościańskiéj. Korzystnym nazwać go nie można. A jednak mamy w Europie przykłady, że wielkie rozdrobnienie własności prowadziło do tak intensywnéj kultury, że

[1]) Wedł. tabl. I, II i III.

całe okolice we Francyi, w Badeńskiém, w Wirtembergii, przemieniały się w ogrody i pola roślin handlowych, a zamożność wzrastała szybko. Aby osiągnąć podobne rezultaty, musiałaby przecież Galicya zmienić system swojéj gospodarki. Uprawa czysto rolnicza staje się prawie niemożliwą przy rozdrobnieniu własności włościańskiéj, témbardziéj że każda posiadłość rozpada się na wielką ilość parcel, które nie dochodzą często do 40 sążni, tak że nawet na mapach kadastralnych oznaczyć je trudno [1]). Używanie maszyn rolnych i sztucznych nawozów jest na gruntach włościańskich wykluczone, a uprawa musi intensywnością pracy odpowiednio zużytkowanéj zestąpić proces mechaniczny, w myśl zasady wypowiedzianéj przez Buchenbergera: „W krajach o wysokiém zaludnieniu, gdzie są nizkie płace zarobkowe, a kapitał jest stosunkowo drogim i rzadkim, najwłaściwszą będzie uprawa wymagająca znacznego nakładu pracy. Tam, gdzie przeważa średnia i drobna własność włościańska, któréj brak kapitału obrotowego, rozwój iść musi w tym samym kierunku" [2]).

Tymczasem gospodarstwa włościańskie hołdują w dalszym ciągu tradycyi i sadzą jak dawniéj kartofle i owies, a zbiory ich w Galicyi Wschodniéj, dla któréj posiadamy materyał, niższe są, niż w Galicyi Zachodniéj.

Dla przykładu rozpatrzmy cyfry za rok 1896, dotyczące dwóch głównych gatunków zboża: żyta i pszenicy. Średni urodzaj w dobrach, należących do wielkiéj własności, wynosił na hektarze 16.4 hektolitrów pszenicy i 14.6 żyta. Dla drobnéj własności zbiory stanowiły 14 i 13.1 hektolitrów. Pojedyńcze powiaty wykazują jeszcze większe różnice, tak że sprzęty z hektara w dobrach wielkich o czwartą część przenoszą sprzęt w małéj posiadłości. Przytaczamy tu powiaty, w których różnice były najwyższe, zestawiając ze zbiorami średnie rozmiary posiadłości włościańskiéj z 1897 roku.

Powiaty polityczne	Średnia wielkość posiadłości włościańsk. w morgach	Zbiór pszenicy w hektolitrach: Własność tabularna	Zbiór pszenicy w hektolitrach: Własność włościańska	Zbiór żyta w hektolitrach: Własność tabularna	Zbiór żyta w hektolitrach: Własność włościańska
Brzeżany .	4.6	16.9	13.9	16.9	15.2
Podhajce .	4.9	20.5	14.7	17.8	15.0
Rawa Ruska .	3.6	19.8	15.2	15.5	13.3
Sambor . .	2.8	17.1	13.5	16.4	14.5
Sokal .	[illegible].3	23.8	20.0	20.4	18.5
Tarnopol. .	3.8	16.0	12.4	14.3	11.6
Dąbrowa. .	3.9	19.2	13.6	16.6	12.6
Zaleszczyki .	3.0	18.8	16.8	17.1	13.8 [3])

[1]) Na mapach kadastralnych Galicyi 1 cal=40 sążniom.

[2]) Buchenberger. Agrarwesen u. Agrarpolitik r. 1892. t. I s. 21.

[3]) Stat. Jahrbuch des K. k. Ackerbauministeriums v. J. 1886 wedł. tabl. IV.

Zestawienie wykazuje, że średnie rozmiary własności włościańskiéj nie mają wpływu na wysokość otrzymanych na niéj plonów. Jest to jeden dowód więcéj, że własność włościańska doszła już wszędzie do ostatecznéj granicy rozdrobnienia, a pozorne różnice zależą raczéj od różnic gruntu w różnych okolicach. Brak umiejętności i kapitału obrotowego skazuje wszędzie gospodarstwa karłowate na mniejszą wydajność, o ile nie zwrócą się do innéj metody gospodarowania, porzucając utarte szlaki czysto rolniczéj produkcyi.

W niezaprzeczonym związku z podziałem własności rolnéj w Galicyi stoi bezwątpienia przechodzenie własności rolnéj, oraz jéj obdłużenie hypoteczne, inne bowiem trudno jest ująć i obliczyć.

Kwestyę przechodzenia własności rozpatrzéć możemy od 1868 r., kiedy zarządzono peryodyczne wykazy zmian w stanie własności i obdłużenia. Zmiany pochodzić mogą z powodu śmierci, sprzedaży dobrowolnéj i przymusowéj. Statystyka niniejsza aż do roku 1892 przedstawiała następujące cyfry:

	Własność tabularna		Własność nietabularna	
	Liczba wypadków	Średnia wartość pojedynczéj	Liczba wypadków	Średnia wartość pojedynczéj
	zmiany		własności	
Z powodu śmierci . .	770	36.418	87.867	385
Sprzedaż przez licytacyę .	238	68.271	5.494	1.630
Sprzedaże dobrowolne . (od r. 1878—1892)	4.637	31.090	363.797	649 [1])

Najwyższą średnią wartość, zarówno wśród własności tabularnéj jak i każdéj innéj, mają dobra sprzedawane przymusowo. Świadczyłoby to, że największe, a zatém i najzasobniejsze posiadłości najwięcéj są obdłużone. Średnia wartość posiadłości włościańskiéj nie dochodzi przecież w żadnym wypadku nawet do 2,000 złr., co nietylko na mały ich obszar, ale i na nizkie dochody wskazuje. Nizka wartość posiadłości włościańskich, występuje jeszcze wyraźniéj, skoro rozpatrzymy licytacye sądowe w ostatnich czterech latach. Podpadło im od 1888 do 1892 r. 2518 posiadłości nietabularnych, z których przeszło trzecia część, to znaczy 887, nie dochodziła nawet kwoty 100 guldenów, a tylko część dziesiąta przenosiła wartość 1000 złr. [2]).

---

[1]) Według Beilagen zu den stenogr. Protokollen des Abgeordnetenhauses. Wiedeń 1893 № 710 i 711 (Tab. IV i II.)

[2]) Tamże s. 257.

Szczegółowszą, a przez to więcéj charakterystyczną statystykę licytacyi sądowych posiadamy za rok 1894. Spowodowały je następujące kwoty dłużne:

Poniżéj	25 złr.	272	licytacye	czyli	11%
Od 26 —	50 „	387	„	„	16 „
„ 51 —	100 „	420	„	„	17 „
„ 101 —	500 „	960	„	„	38 „
„ 501 —	1000 „	171	„	„	7 „
Powyżéj	1000 „	130	„	„	5 „

Realności powyżéj 1000 złr., położone były przeważnie po miastach, inne prawie bez wyjątku należały do włościan. Wielka liczba licytacyi, zarówno jak i ciążące na nich sumy charakterystycznemi są dla stosunków chłopskich; przymusowe sprzedaże częściéj się zdarzają we wschodniéj Galicyi, niż w zachodniéj. W r. 1894 zdarzały się licytacye z powodu 5 złr. długu [1]. Cyfry niniejsze są tak wymowne, że zbytecznemi byłyby komentarze, Najdrobniejsza własność obdłużoną jest dziś bez ratunku, a najlepszym tego dowodem przyrost sum na niéj ciążących.

Rozpatrzmy ciężary hypoteczne posiadłości gruntowéj.

Licząc w złr. waluty austryackiéj ciążyło:

	Na własności tabularnéj	Na własności nietabularnéj
W roku 1868	112.548.485	15.504.546
W roku 1892	179.498.201	75.560.784 [2]

Własność większa jest tedy bardziéj obdłużoną, ale na mniejszéj ciąży mnóstwo długów lichwiarskich, które stanowią prawdziwe nieszczęście wieśniaka galicyjskiego, a są bezpośredniém następstwém jego położenia, jako właściciela posiadłości karłowatéj, skazanego na to, aby z niéj żył wyłącznie [3].

Rozpatrując, według następujących po sobie lat, wzrost obdłużenia, widzimy wśród własności włościańskiéj nieustanny przyrost ciężarów, które w żadnym z krajów austryackich nie wzrosły tak znacznie jak w Galicyi: Cyfry te są tak charakterystyczne, że nie możemy się powstrzymać od ich przytoczenia.

---

[1] T. Zajączkowski—Licytacye sądowe posiadłości włościańskich. (Wiad. statystyczne tom XV zeszyt III).

[2] Beilagen s. 171.

[3] Porównaj „Studyum dr. L. Caro — O lichwie — 1893 r.

Obdłużenie wzrastało w procentach od 1868 do 1892 r.:

W Austryi Niższéj o	64.9%
„ „ Wyższéj o	50.2„
„ Solnogrodzie o .	30.4„
„ Styryi o . .	21.7„
„ Karyntyi o . .	11.7„
„ Krainie o . .	34.7„
„ Czechach o . .	66.5„
„ Morawii o . .	56.6„
Na Szląsku o . .	102.8„
„ Bukowinie o .	218.6„
W Galicyi o . .	400.2„ [1]

Wyłączywszy Bukowinę, wzrost długów jest znaczny we wszystkich tych krajach, w których rozwój przemysłu sprowadzić musiał zmiany także i w gospodarstwie rolném, a zatém na Szlązku, w Czechach, w Austryi Wyższéj i Niższéj i w Morawii. Takiego potwornego wzrostu jak w Galicyi, która przemysłu nie ma, a lud jest w ostatecznéj nędzy, nie wykazuje przecież żaden z krajów.

Kapitalizmu czynnego Galicya nie ma, ale narażoną jest na ujemne oddziaływanie kapitalizmu innych krajów austryackich. Gospodarstwo włościańskie zaś, trzymane w dawnéj ciemnocie, pozostawione samo sobie, produkujące w ten sam sposób rośliny mało wydajne, na coraz mniejszéj przestrzeni, chcąc istniéć, stanąć musiało w ekonomicznéj zależności, która nawet posiadanie należących doń paru morgów, często złudném czyni. Własność tabularna, pomimo licznych zmian jakim podlega, nie powiększyła przecież długów w takiéj mierze jak włościańska. Obdłużenie jéj wzrosło prawie w tym samym stopniu, co w innych krajach Austryi (o 63.3%). Fakt ten uprawnia chyba do sądu, że obywatel galicyjski w porównaniu z większym właścicielem innych krajów Austryi w analogicznem jest położeniu, podczas kiedy włościanin znalazł się wobec nowych warunków nowożytnego państwa i kapitalistycznéj produkcyi nieuzbrojony do walki, która jest dlań syzyfową pracą.

Stosunki kredytowe własności tabularnéj więcéj są uregulowane, niż drobnéj, najlepszym tego dowodem, że zwykły procent hypoteczny pierwszéj wynosi 3½ — 5, drugiéj zaś 4 — 12 i wyżéj nawet.

---

[1]) Beilagen s. 179.

IV.

Rozpatrując stosunki własności drobnéj w Galicyi, zadajemy sobie mimowoli pytanie, z czego żyją ci *beati possidentes*, jak rozwiązali oni problemat egzystencyi rodziny na posiadłości, która zaledwie przedstawia dach nad głową i pole pod owies i kartofle. Obszar jéj jest wogóle tak mały, iż dziewięć dziesiątych ludności prawie że do proletaryatu rolnego zaliczyć należy.

Stopa życiowa ludności galicyjskiéj na wsi jest téż znaną, jako jedna z najniższych w Europie. Nawet w okolicach Krakowa, gdzie chłop wogóle zamożniejszy, albo w okręgach naftowych, ludność żyje nędznie. Kurne chaty w Krośnieńskiém np., gdzie z powodu kopalni nafty zamożność jest wogóle większa, dadzą się wytłómaczyć zwyczajem, a zwyczaj ten porodziła nędza. Dziś chat bez kominów budować już nie wolno, ale nawet tak minimalne dowody cywilizacyi, jak kominy, nie leżą w dążeniu saméj ludności. To téż istotnie zapytać należy, czy większą jest bieda wśród małorolnéj ludności galicyjskiéj, czy téż raczéj przeważa tu brak potrzeb, który bezwarunkowo jest jéj następstwem i wynikiem zacieśnionych stosunków na drobnéj własności, uniemożliwiających wszelkie zetknięcie się z cywilizacyą i z szerszemi dążeniami. Trudno pogodzić wzrost politycznego uświadomienia wśród włościan galicyjskich z tą ekonomiczną zapleśniałością, z tym brakiem protestu wobec najniższego poziomu życiowego.

I tak np. obliczenia profesora N. Cybulskiego [1]) wykazały, że na jednego mieszkańca w Galicyi wypada rocznie przeszło 459 kilogramów pożywienia roślinnego, co daje zawartość następującą przeciętnie na dzień i na osobę:

82.53 gramy białka,
509.84 „ węglowodanów,
13.13 „ tłuszczu.

Dodawszy materye białkowe i tłuszcze, spożywane w postaci mleka, jaj, słoniny, oraz mięsa, które stanowią pożywienie wieśniaka, choćby w małych ilościach, otrzymamy pokarm, wystarczający na podtrzymanie sił, nawet człowieka pracującego ciężko. A przecież przygotowanie tego pokarmu i rozkład jego na różne pory roku jest tego rodzaju, że uczony nasz mógł go porównać do odżywiania dzikich z południowéj Afryki. Przedewszystkiém brak, a jednocześnie zapotrzebowanie gotówki są przyczyną, że wieśniak sprzedaje każdy

[1]) „O żywieniu się ludu wiejskiego w Galicyi". Kraków, 1894.

produkt, o ile znajdzie się nań nabywca. Nie używa więc prawie jaj, bo te służą jako moneta wymienna; w bliskości miast pozbawia się mleka, choć wogóle, podczas żniw zwłaszcza, w gospodarstwie włościańskiém wychodzi dużo mleka, a krowinę posiada nawet najbiedniejszy; masło i ser przeznacza się z góry do sprzedaży na targu. Pozbawiona lepszych produktów, kuchnia składa się przeważnie z kapusty i kartofli. Mięsa, według obliczeń prof. Cybulskiego, wypada od 2—20 kg. rocznie na głowę, przeważnie wieprzowiny lub baraniny, gdyż tego dostarcza własne gospodarstwo. Warto zaznaczyć również, że zaledwie 10% ludności używa chleba żytniego, a ubodzy, zwłaszcza w okolicach górskich, pieką placki owsiane i jęczmienne z kartoflami. Licznemi téż są surogaty chleba, do których dodaje się wszystko, co jest w domu, a zatém: kasza, proso, jabłka, gruszki, a nawet kapusta i jagody. Nie rzadkie są skargi, że ludność jada korę i glinę na przednówku, a sól, którą za gotowy grosz kupić trzeba, nie dla każdego jest dostępną. Wobec ustaw o rybołóstwie, ryby nie wchodzą prawie zupełnie do artykułów spożywczych wieśniaka, a zaniedbanie sadów owocowych pozbawia go także owoców.

Nie podajemy dalszych szczegółów co do sposobu żywienia się ludności wiejskiéj, przypuszczając, że dziełko prof. Cybulskiego ogólnie znaném być musi. Warto jednak zwrócić uwagę na jeden przytoczony w nich szczegół, a mianowicie że najubożsi, zależnie od pory roku i zarobków, jadają od 1 do 5 razy na dzień. Odbiega to stanowczo od uregulowanéj egzystencyi wieśniaka posiadacza, a zbliża ich do wyrobników—proletaryuszy, którzy nie mają stałych warunków bytu. Jak oni, zależy olbrzymia większość włościan—posiadaczy od zarobków na gruntach cudzych, pomnaża liczbę wyrobników, a podając grunt i chatę, pracować może za niższą cenę, co jest jedną z przyczyn nizkich zarobków robotników rolnych[1]). Za drugą uważać musimy, wywołaną przez liczny proletaryat rolny, olbrzymią podaż rąk, z czém łączy się jeszcze nizki poziom stopy życiowéj i wynikająca ze złego odżywiania mała wydajność pracy.

Stan płac zarobkowych na wsi w Galicyi niższym jest, niż w którymkolwiek z krajów austryackich. Materyał do poznania i oceny téj tak trudnéj kwestyi podaje nam wzorowo przeprowadzona statystyka płac zarobkowych w rolnictwie, publikacya urzędowa, która o umyślne obniżenie cyfr posądzoną być nie może i raczéj zbyt korzystnie stan istotny przedstawia [2]).

---

[1]) Małorolni wieśniacy, jak nas przekonywa prowadzona obecnie w Krakowie ankieta robotnicza, stanowią groźną konkurencyę dla robotników miejskich.

[2]) Oesterreichische Statistik, Tom XLIV, zesz. I. Wiedeń, 1895 r.

Najkorzystniejszą dla zarobników porą są naturalnie żniwa, trwające przecież zaledwie parę lub kilka tygodni. Szczególniéj na Podolu, gdzie jest zwyczaj t. zw. tłok, zboże w ciągu tygodnia zostaje sprzątnięte.

Najwyższy stan zarobków był w Galicyi zachodniéj podczas żniw 50 — 120 ct., we wschodniéj 36 — 112 ct. dziennie, bez życia. Najniższe zarobki spadały w Galicyi zachodniéj na 35 — 40 ct., w Galicyi wschodniéj na 32—80. Przy innych robotach zarobki były niższe, a mianowicie: 25 — 90 ct. na zachodzie, a 23 — 57 ct. we wschodniéj części kraju. Podane tu cyfry przedstawiają wynagrodzenie zarobników mężczyzn, zestawione według cyfr podanych przez Izby handlowe. Wynagrodzenie kobiet waha się między sumą 20 i 50 ct., a płaca dzieci spada niekiedy do 15, a nawet do 12 ct. dziennie, bez pożywienia. Najniższym płacom zarobkowym odpowiada poniekąd krótki dzień pracy u zarobników, którzy posiadają jednocześnie i własne gospodarstwo. U zarobników lasowych płace wynosiły przy pełnym dniu roboczym: dla mężczyzn 60 ct., dla kobiet 40, a dla robotników młodocianych 25 ct. Wynagrodzenie służby i parobków na ordynaryi jest także bardzo nizkiém, nawet jeżeli obliczymy wynagrodzenie pieniężne i w naturze. Trudno stanowczo orzec, czy płace wyższe płaci posiadłość wielka, drobna, czy średnia. W przeważającéj liczbie wypadków płace roczne stoją u większéj własności wyżéj, jakkolwiek znajdują się tu godne uwagi wyjątki. Np. w okręgu Sokal wynosi płaca:

	Parobka	Dziewki
Na wielkich posiadłościach .	32—40	24—30
Na drobnéj własności . . .	40—50	30—40

Zwykłe wynagrodzenie waha się w przeważnéj liczbie wypadków od 30 do 40 złr. rocznie dla parobka, a od 20 do 30 dla dziewczyny. Wynagrodzenie pastucha jest na drobnéj własności niższém, gdyż najczęściéj używają do téj czynności dzieci. Zwyczaj dawania ordynaryi, dla służby dworskiéj względnie najkorzystniejszy, mało ma rozpowszechnienia w Galicyi.

Płace akordowe zdarzają się nader rzadko, ale udział w produkcie surowym jest rozpowszechnioną formą kontraktu przy najmie pracy. Można uważać tę formę, jako bezpośrednie następstwo rozdrobnienia własności rolnéj, któréj posiadacze dopełniają w taki sposób dochody własnego gospodarstwa. W Galicyi wschodniéj robotnicy przy zbiorze siana i potrawu otrzymują $^1/_2$—$^1/_8$ zbiorów. Przy żniwie dział oddawany robotnikom waha się między $^1/_{10}$, a $^1/_{12}$, w za-

mian za co wymaga właściciel wszystkich robót, odnoszących się do zebrania zboża. Rozpowszechnionym jest również specyalnie podolski, zwyczaj oddawania robotnikowi części żniwa, wzamian za wszystkie roboty od siewu, aż do zbioru. Przy t. zw. gospodarstwie połowniczém, właściciel daje tylko grunt, a robotnik wszystko inne, nie wyłączając zasiewu, ani nawozu. Zebrane zboże dzieli się po połowie.

Wielka własność w znaczniejszéj mierze niż średnia i drobna używa do pracy wyrobników dziennych. Obliczając według kwot wypłacanych, wypada na 100 złr., płaconych za roboty w gospodarstwie rolném na wielkich dobrach, 40 w Galicyi zachodniéj, a 47 we wschodniéj, podczas kiedy średnia własność płaci wyrobnikom dziennym 36.9 i 42.7 (na 100 złr. wydanych na płace). Gdybyśmy zamiast kwot wypłacanych wzięli pod uwagę liczbę dni pracy, procent byłby prawdopodobnie większym.

Właściwości rolniczego kontraktu w Galicyi zależą w wielu razach od ubóstwa i braku średnich gospodarstw, które zatrudniały by obce siły robocze. Tak np. stosunek przestrzeni rolnéj do liczby ludzi, którzy ją obrabiają, jest wyższym w Galicyi, niż w innych krajach Austryi, pomimo że skarżymy się na małą intensywność pracy naszego robotnika. W Austryi Dolnéj i Górnéj wypada na 1 robotnika 8.5 hektarów, w Solnogrodzie, Styryi, Tyrolu i Vorarlbergu niecałe 6 hektarów, w Galicyi zachodniéj 11.6, a w Galicyi wschodniéj 13.4. Faktycznie stosunek ten będzie jeszcze wyższym, gdy zważymy, że Galicya posiada największy procent gruntów uprawnych. Świadczy to również, że gospodarka mniéj intensywnie jest prowadzoną, a grunta w niektórych okolicach, np. na Podolu, prawie nie wymagają nawożenia.

Wreszcie porównać trzeba wysokość zarobków w różnych krajach austryackich. Materyał czerpać możemy z danych dostarczonych przez zakłady ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków. Według nich, zarobki roczne wyrobników rolnych wynosiły przeciętnie w 1890—93 roku złr.:

	Mężczyzn	Kobiet
W Wiedniu	282	218
„ Solnogrodzie	269	214
„ Gracu	209	129
„ Pradze	181	143
„ Bernie	196	143
we Lwowie	95	71

Ponieważ ceny produktów w Galicyi nie są o tyle niższe, co zarobki, dane niniejsze popierają twierdzenie, że Galicya ma naj-

niższą stopę zarobkową ze wszystkich krajów Austryi. Przyczyny, jak się zaznaczyło wyżéj, szukać należy w nizkiéj stopie życiowéj ludności galicyjskiéj, w braku sposobności do pracy, a wreszcie w wielkiéj liczbie pracowników, do których nietylko należy proletaryat rolny bez własności, ale i małorolna ludność włościańska. Zestawiając posiadłości z wysokością zarobków w pojedynczych okręgach, przekonywamy się, że średni ich obszar tu nie oddziaływa. Jest to jeden więcéj dowód, że posiadłość włościańska przemieniła się w karłowatą nie w jakichś specyalnych okręgach, ale w całym kraju doszła do *minimum,* przy którém, jako gospodarstwo rolne egzystować nie może. Płace dzienne wyrobników wiejskich wyższe są jedynie w takich powiatach, w których jest więcéj sposobności do pracy. Za dowód niech służy następujące zestawienie najwyższych płac zarobkowych u mężczyzn (bez pożywienia):

Nazwa powiatu	Średnia wielkość posiadłości włościańskiéj w morgach	Płace dzienne — Na wiosnę i jesień (w centach)	Przy żniwie (w centach)	Przez pozost. część roku (w centach)	UWAGI
Biała	4.16	50	60	40	Na granicy austryackiego i pruskiego państwa.
Krosno	5.02	50	120	40	Przemysł naftowy.
Nowy Targ	6.26	60	60	25	Zakłady kąpielowe.
Okolice Krakowa (z życiem)	2.87	60	100	60	Bliskość miasta.
Żywiec	2.66	90	120	70	Na granicy Węgier i Szlązka.
Brody	3.70	20—50	60—80	24—50	Na granicy rosyjskiéj.

Porównywając Galicyę zachodnią i wschodnią, znajdujemy, że płace zarobkowe są w zachodniéj Galicyi o 10—20% wyższe, co zależy nietylko od wyższego rozwoju gospodarczego, ale i od większéj umiejętności i intensywności pracy, oraz od wyższéj stopy życiowéj wśród ludności wiejskiéj na zachodzie. W wielu wypadkach, w których potrzebna jest bardziéj intensywna praca, robotników sprowadzają z zachodu. Według statystyki galicyjskiego Towarzystwa rolniczego dla wschodniéj Galicyi zachodzą podobne fakta w Sokalu (przy gorzelniach), w Łopatynie na żniwa sprowadzają robotników z okolic górskich, podobnie dzieje się w Sniatynie i Tłumaczu i t. p. Czy gospodarze naprawdę zmuszeni są posługiwać się obcym robotnikiem, pomijając miejscowy element, to kwestya, którą w każdym wypadku należałoby odrębnie rozważyć, prawdopodobnie jednak

przy dobréj woli udałoby się zachęcić ludność miejscową i wychować ją niejako do pracy.

Za bezpośrednie następstwo nizkich płac zarobkowych, braku pracy i fatalnych warunków ekonomicznych, uważać trzeba emigracyę ludności rolnéj. Zjawisko to, o któróm tylekroć się już u nas pisało, wypada nam tu tylko w najważniejszych rysach zaznaczyć. Przedewszystkiém, jak stwierdzono tylekroć w rozprawach sejmowych o emigracyi i w debatach towarzystwa geograficznego we Lwowie, emigruje nie ludność całkiem bezrolna, ale posiadacze drobnego przynajmniéj majątku, któryby dostarczył środków na koszta podróży. Przypuszczać również należy, że emigranci wywożą z kraju nietylko zasób pieniędzy, ale i energii, gdyż na czyn, bądź co bądź, tak śmiały, jak wędrówka w odległe kraje, bez znajomości języka, geografii, a często czytania, ani pisma, niedołęgi zdobyć by się nie mogli.

Wśród emigracyi galicyjskiéj wyróżniać trzeba przesiedlną i zarobkową. Pierwsza może być objawem nieuniknionym, a w danych okolicznościach nawet mniéj złym, niż powolne przymieranie z głodu na miejscu, témbardziéj, iż wychodźcy galicyjscy stają się nieraz dzielnymi kolonistami w południowéj Ameryce, a pożądani są jako robotnicy w północnéj. Pomimo to, kraj patrzéć na nią musi, jako na smutną konieczność, któréj wedle sił należy zapobiegać, a raz zrezygnowawszy z jéj powstrzymania, regulować ją wedle możności.

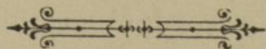
Najwyższe natężenie przybrała emigracya przesiedlna w Galicyi w 1895 i 1896 roku. Kiedy w 1868 r. w sejmie nawet dawały się słyszeć zdania, że emigracya jest zjawiskiem zagranicznóm, którego u nas obawiać się nie trzeba, bo włościanin zanadto przywiązanym jest do swéj ziemi, aby ją opuścić, to w 1895 r. statystyka urzędowa zapisywała we wschodniéj Galicyi liczbę 8142 wychodźców. Ponieważ wielu uchodziło potajemnie, cyfrę niniejszą śmiało do 10,000 podnieść można, jak to czynią współczesne sprawozdania „Kuryera Lwowskiego." Rola agentów w téj gromadnéj wędrówce zbyt jest znaną, aby o niéj mówić raz jeszcze. Warto przecież przypomniéć, że gdy wychodźcom przedstawiano niebezpieczeństwa kroku, na który się ryzykowali, wielu z nich odpowiadało, że nie będzie im przecież gorzéj, niż w Galicyi. Już w 1897 roku liczba emigrantów zmniejsza się do 3,633 osób, emigracya tajemna nie podlega przy tém kontroli, a jest bezwarunkowo bardzo znaczną. Wychodźtwo do Ameryki północnéj trwa już od dłuższego czasu i daje

niezłe rezultaty. Pieniężne przesyłki [1]) i listy wychodźców świadczą, że za oceanem utrzymać się oni mogą, a u krewnych i znajomych budzą chęć sprobowania szczęścia za morzem.

Emigracya zarobkowa, spowodowana brakiem zarobków w kraju, świadczy o budzącym się wśród włościan galicyjskich duchu inicyatywy i żadną miarą za objaw ujemny poczytywaną być nie może. Wieśniacy, zwłaszcza z powiatów nadgranicznych, wychodzą na kilka miesięcy, czasem nawet na dłużéj do Ameryki północnéj, do Niemiec, na Szlązk austryacki, do Węgier, Królestwa Polskiego i Cesarstwa. Celem wychodźtwa jest osiągnięcie wyższego zarobku, aby z zaoszczędzonych pieniędzy bądź to dokupić ziemi, spłacić długi, wspomódz gospodarstwo, albo nareszcie żyć przez zimę. W powiecie bocheńskim zdarzył się wypadek zakupna większych dóbr przez włościan, którzy je pomiędzy siebie rozparcelowali.

Nie posiadając na razie pieniędzy, włościanie złożyli zadatki, poczém udali się na Szlązk dla zarobków. Powróciwszy po kilku miesiącach, spłacali w części lub w całości należne od nich kwoty. Przytoczona wyżéj statystyka najwyższych płac zarobkowych w powiatach pogranicznych, z których ułatwionem jest wychodźtwo zarobkowe, stanowi również dowód korzystnego oddziaływania tegoż na stosunki ekonomiczne okolicy. Po za tém wędrówki wpłynąć muszą na wyrobienie energii, przedsiębiorczości, rozszerzyć widnokrąg myśli i zbogacić nowemi doświadczeniami. I tu przecież wybucha niekiedy epidemia, którą wpływowi agentów korzystających z niezadowolenia ludności przypisać należy. W 1892 roku np. wywędrowało z południa i północy Podola galicyjskiego 6,111 osób do Rosyi, a z nich tylko 3,283 powróciło do kraju[2]).

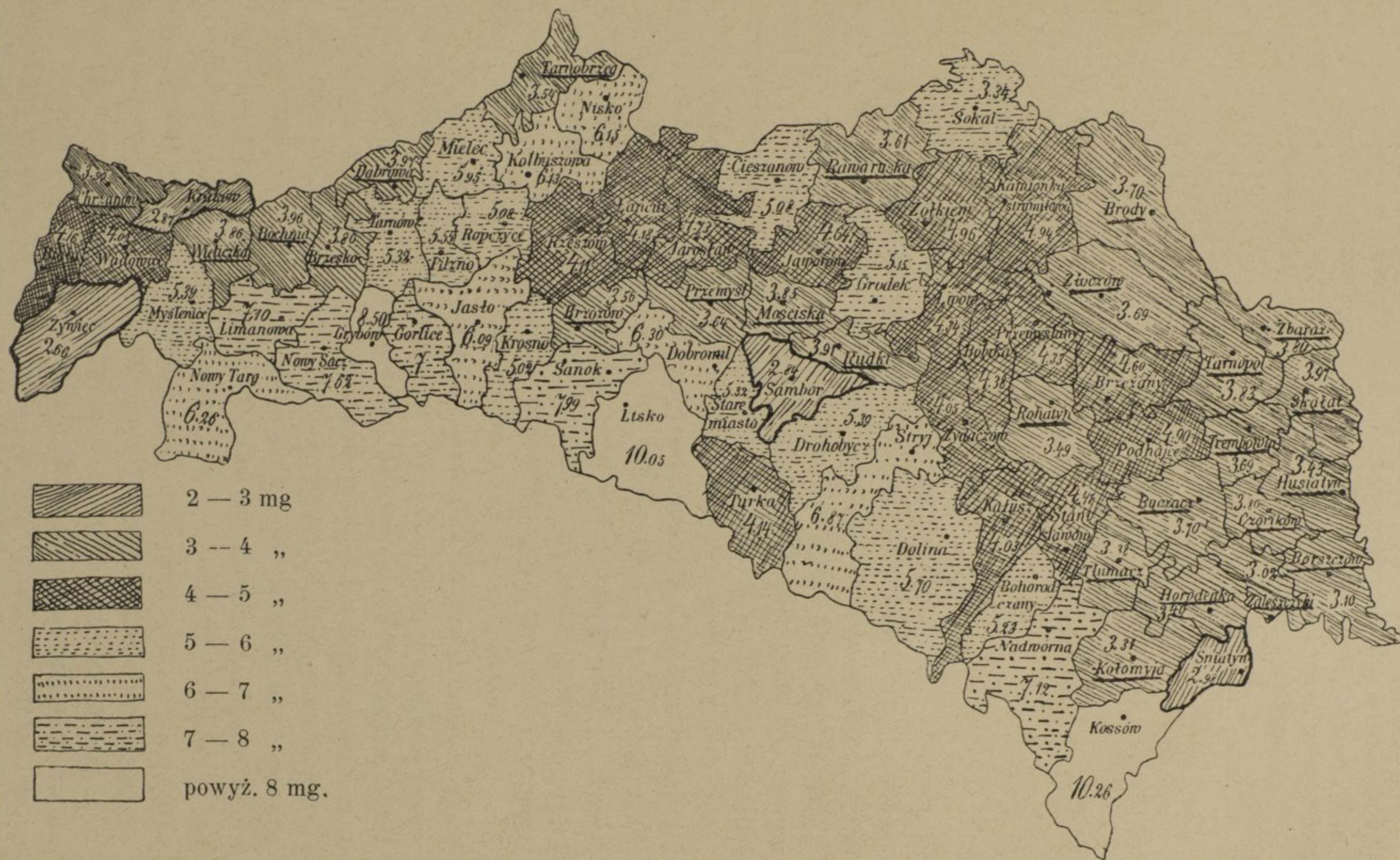
Dr. Zofia Golińska.

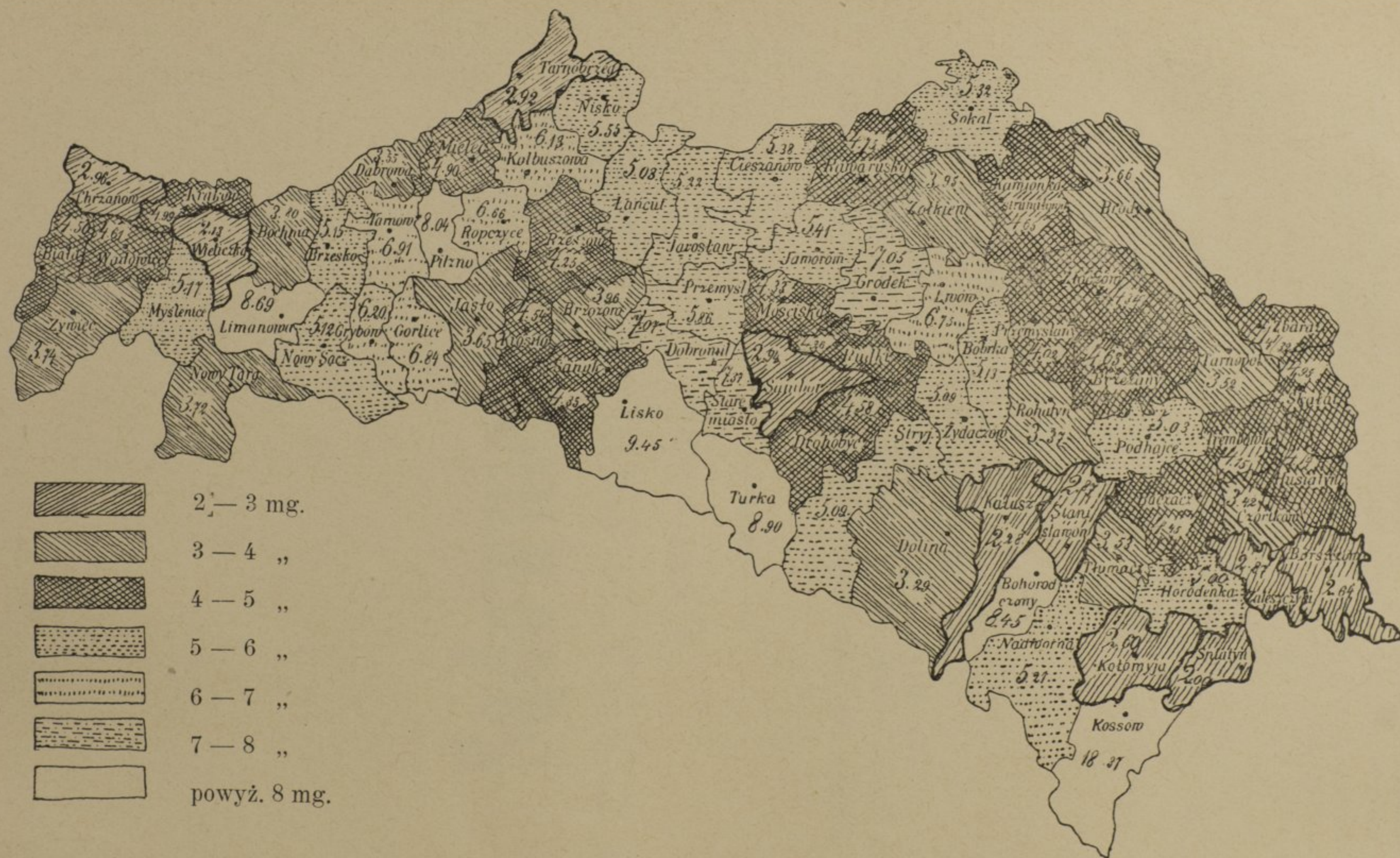


[1]) Statystyka pocztowa wykazuje, że w r. 1894, nie licząc przesyłek za pośrednictwem banków w Pradze, Wiedniu, Budapeszcie, wysłano z Ameryki północnéj do Galicyi 43,365 przesyłek pocztowych na sumę 2,656,983 złr., prawdopodobnie, że przesyłki te pochodzą od emigrantów. (Alegaty do rozpraw sejmowych).

[2]) T. Pilat. „Wychodźtwo z powiatów podolskich do Rosyi w 1892 roku,“ Kraków, 1893 r.

Średni obszar własności włościańskiéj w Galicyi w morgach, według powiatów politycznych. Rok 1897.





Tarnobrzeg
2.92
Nisko
5.55
6.13
Kolbuszowa
Mielec
4.90
Dąbrowa
2.96
Chrzanów
Kraków
Wieliczka
Bochnia
5.15
Brzesko
Tarnów
6.91
8.04
Pilzno
6.66
Ropczyce
5.08
Łańcut
5.38
Cieszanów
Rawa ruska
5.32
Sokal
Żółkiew
3.66
Brody
Jarosław
5.41
Jaworów
7.05
Gródek
Lwów
6.75
Przemyśl
5.86
Mościska
Rzeszów
Brzozów
Biała
Wadowice
5.17
Myślenice
8.69
Limanowa
Żywiec
3.74
Nowy Targ
3.72
Nowy Sącz
6.20
Grybów
Gorlice
6.84
Jasło
3.65
Krosno
Sanok
Dobromil
Stare miasto
Sambor
Drohobycz
Lisko
9.45
Turka
8.90
5.09
Stryj
Żydaczów
Bóbrka
Przemyślany
Brzeżany
Tarnopol
3.59
Zbaraż
Skałat
Rohatyn
3.37
5.03
Podhajce
Trembowla
Husiatyn
Czortków
Buczacz
Kałusz
Stanisławów
Tłumacz
Dolina
3.29
Bohorodczany
8.45
Horodenka
Zaleszczyki
Borszczów
2.64
Nadwórna
5.21
Kołomyja
Śniatyn
Kossów
18.37
2 — 3 mg.
3 — 4 „
4 — 5 „
5 — 6 „
6 — 7 „
7 — 8 „
powyż. 8 mg.

Sądownictwo

W DOBRACH PABIANICKICH

w XVI wieku.



Nie dostaje nam materyału na skreślenie pełnego obrazu stosunków sądowych owéj epoki. Jeżeli przeto zrzec się musimy odwzorowania całokształtu ustroju i postępowania władz sądzących, postarajmy się przynajmniej uchwycić kilka rysów sądownictwa miejscowego do czego posłużą nam szczęśliwym trafem dochowane akta XVI wieku [1]).

---

[1]) Wiadomość o tych aktach podał ks. Polkowski w „Sprawozdaniu o drugim dziale ksiąg arch. Kap. Krak. — Kraków 1885, str. 9". (Odbitka z Rozpraw i Sprawozd. Akad. Um., Wydz. hist.-filoz.): „W archiwum pabianickiém, mówi ks. Polkowski, między ciekawemi księgami znajdują się ......akta sądów z końca XVI wieku, które przy wizycie dóbr sprawowali dla swych poddanych delegowani kapituły. Nie wielki ten volumen, bo tylko z ośmiu złożony arkuszy, cały pisany po polsku, mam odpisany dosłownie".

Korzystaliśmy właśnie z kopii z owego odpisu sporządzonej. Nadto ułożyliśmy poniżéj umieszczony wykaz tabelaryczny 66 osądzonych lub wzmiankowanych w tych aktach spraw; w rozbiorze zaś naszym powołujemy się na numery tego wykazu.

Wymiar sprawiedliwości w obrębie dóbr pabianickich, jak widać z naszego zabytku, należał do kilku magistratur. Lecz o nich akta wzmiankują tylko przygodnie, głównie zaś dotyczą instancyi apelacyjnéj, sądu lustratorów delegowanych od kapituły krakowskiéj, dziedziczki dóbr pabianickich. Spisane bowiem zostały na kadencyi sądów lustratorskich 1593 r. [1]).

Ówczesna więc organizacya instytucyj sądowych, o ile z krótkich wzmianek wyrozumiéć można, przedstawia się w nastepującym kształcie:

1) „Ławica” czyli sąd wójta i ławników zwanych „przysiężnikami”, stanowił właściwy urząd wiejski. Nie wiadoma nam jest liczba ławników, składających ciało sądowe w każdéj wsi z osobna; było ich może tylu co i w urzędzie wójtowskim miasta Rzgowa, to jest pięciu, a do sądzenia spraw niezawodnie wystarczało dwóch, nie licząc wójta. Sądziła ławica „według starożytnego zwyczaju wiecowego” (21), a jurysdykcyi jéj podlegały, o ile się zdaje, sprawy wyłącznie natury karnéj od lekkich przewinień do najcięższych przestępstw. Posiadała prawo miecza: „z rozsądku” ławicy kmieć niekiedy gardło dać musiał.

Sąd wójta i ławników, jak wiadomo, był wytworem prawa niemieckiego, które począwszy od XIII wieku jęło się szerzyć po kraju. I w dobrach pabianickich osadzono kilka nowych wsi na prawie niemieckiém, lub téż urządzenia jego wprowadzono do osad rządzących się prawem polskiém [2]).

W końcu jednak XVI wieku, zatarły się już były różnice pomiędzy wsiami założonemi na prawie polskiém a niemieckiém: w jednych jak i drugich sprawy sądzą się zarówno przez wójta i ławników jak i sądem starościńskim, o którym niżéj.

W jednym wypadku akta nasze wspominają o wyroku „gromady” (23), mianowicie w sprawie o kradzież. Czy sąd gromady

---

[1]) Visitatio et lustratio bonorum Pabianicensium ex Commissione Venerabilis Capituli Ecclesiae Catedralis Cracoviensis Per Reverendos Dominos Martinum Izdbienski de Ruszecz Scholasticum Cracoviensem, Petrum Gwiazdowsky et Vincentium Romisewsky, Canonics Cracovienses Anno Domini Millesimo Quingentesimo Nonagesimo Tertio. Die 27, Octobris.

[2]) Z lib. benef. Długosza wiemy, iż korzystały z prawa niemieckiego, oprócz miast Pabianic i Rzgowa, następujące osady: Czyżemin, Rypułtowice, Chocianowice, Gadka, Wiskitno, Rakowska Wola, Warzyn i Kalno, czyli 8 na ogólną liczbę 29 wsi dóbr Pabianickich.

Cieszyły się téż niemieckiém prawem powstałe późniéj osady Mierzączka, Łaziska, Leszczyny, Giemzow, Kotowa Wola, Krasow, Majówka i Wola Żytowska.

uważać należy za identyczny z ławicą trudno na pewno orzec; prawdopodebnie obiema nazwami określano jedną i tą samą instytucyę.

2) Odmianą sądu wójtowskiego były wiece. Przez wiec rozumiéć należy tenże urząd wiejski, sprawujący sądy w obecności tenutaryusza dóbr lub téż administratora z ramienia kapituły ustanowionego. Zagajane przez przedstawiciela dziedzica włości posiedzenia nadawały sądowi większą uroczystość w porównaniu ze zwykłą ławicą. Komplet sądzący nazywał się wówczas „ławicą na sądzie wieca siedzącą" (42). Pod rozpatrzenie wieca szły prawdopodobnie sprawy tejże natury co i pod zwykły sąd wójtowski.

Urząd wiejski był instytucyą funkcyonującą stale, lub téż gromadził się w miarę potrzeby; natomiast wiece, jako wymagające asystencyi tenutaryusza, musiały się odbywać w terminach ściśle określonych. Brak danych na to, jak często odprawiały się wiece w XVI wieku. Mamy atoli w tym względzie pewne wiadomości z czasów bezpośrednio stykających się z badaną epoką, z których odnośne czerpać możemy wskazówki. I tak w XV wieku tenutaryusz obowiązany był przynajmniéj cztery razy do roku odprawiać sądy i za każdym razem winien minimalnie przez ciąg dwóch tygodni [1]. W połowie XVII wieku kapituła w kontrakcie z tenutaryuszem (1653 r.) waruje sobie: „wiece jedne w każdym roku według zwyczaju odprawić, wszakże ma dopuszczać apellacyi stronie, któraby się do tego brała wedle dawnego zwyczaju, bądź to kapituły Ich Mciów, bądź to do wizytatorów, którym takowe apelacye posądzać zlecają" [2]. Wypadałoby stąd, iż liczba wieców w ciągu XVI wieku, zmniejszyła się z czterech do jednego. Ławicy i wiecom stopniowo ubywały sprawy na rzecz innego urzędu sądowo-administracyjnego, równocześnie funkcyonującego.

3) Był nim urząd starosty pabianickiego, pierwszego oficyalisty kapitulnego. Reprezentował starosta inny pierwiastek—władzę patrymonialną. W imieniu dworu odprawiał sądy na zamku pabianickim. Kadencye odbywały się w różnym czasie, skąd dwojaka ich nazwa, raz „poroczki" to znów „powiatki". Pierwsza, powiedzmy nawiasem, przypomina roczki sądowe królewskich starostów grodowych i sądów ziemskich. Jurysdykcya starościńska rozciągała się na wszelkie sprawy, bądź natury cywilnéj, bądź karnéj. Nie umielibyśmy jednak powiedziéć, jakie sprawy należały do starosty a jakie do ławicy i wieca; bodaj że nawet w téj mierze ścisłego podziału nie było. Ławicę uważać należy poniekąd za pierwotny ro-

[1]) Acta actorum kap. krak., II, f. 31.

[2]) Akt luźny w arch. kap. krak.

dzimy sąd samorządu ludowego zespolony niezawodnie z śladami dawnego sądownictwa opolowego; starosta natomiast zaczął sprawować sądy w czasie stosunkowo późniejszym i coraz większą zyskiwał przewagę, co oczywiście uważaném było przez ludność za uszczerbek czyniony jéj prawom. Ścierały się więc jurysdykcyi ławicy i wieców z jednéj i starościńska z drugiéj strony. Była to walka dwóch pierwiastków: autonomicznego, ludowego i patrymonialnego, dziedzica włości czyli raczéj czasowego jéj posesora-tenutaryusza. Echa téj walki odbijały się w skargach podawanych do kapituły, w których kmiecie dóbr pabianickich utyskują, że coraz bardziéj wchodzi w zwyczaj wymierzanie kar mimo wiec [1]. I jakkolwiek kapituła zakazywała uszczuplenia sądownictwa ludowego, wątpimy, aby owe zakazy mogły miéć skutek, duch bowiem czasu szedł w kierunku ujemnym dla ludu rolniczego, popadającego w coraz większą zależność od dziedzica pod względem ekonomicznym i administracyjno sądowym.

4) W miastach (Pabianice, Rzgów) urzędy burmistrrowskie i wójtowskie roztrząsały sprawy mieszczan. Znamy skład tych magistratur w Rzgowio w r. 1584: urząd burmistrzowski, złożon był z burmistrza i „rady" w osobach czterech „radzkich"; zaś urząd wójtowski z wójta i „ławicy" w osobach pięciu ławników [2]. Kompetencya ich nie jest nam wiadomą. W drodze szczególnéj łaski kapituła uwalniała pojedyńczych obywateli z pod jurysdykcyi „burmistrza, radnych i wójta" z poddaniem wyłącznemu sądowi, „naszemu, to jest naszego starosty lub podstarościego", jak np. w 1571 r. niejakiego Wawrzyńca Lorka, murarza wraz z żoną w nagrodę za wystawienie domu murowanego we dworze pabianickim [3].

5) Kanonicy - lustratorowie, wizytując dobra, rozstrzygali wszelkie sprawy mieszkańców, wsi czy miasta, bądź w pierwszéj i zarazem ostatniéj instancyi, bądź „per apellationem od urzędu starosty pabiańskiego" (56). Często nie rozpatrywali sami wytoczonych przed nimi spraw, zlecając natomiast staroście by „rozsądek uczynił", lub zostawiając stronom, jeśli to byli mieszczanie, „aby się przed urzędem miejskim prawem rozparli". Z tytułu zwierzchnictwa dominialnego ulegały również osądzeniu lustratorów, skargi przeciwko oficyalistom i urzędom w dobrach funkcyonującym. Jakoż fero-

---

[1] X. T. Lubomirski, Rolnicza ludność w Polsce, Warszawa, 1862, str. 25.

[2] Wszyscy z imienia i nazwiska podpisani na prośbie m. Rzgowa do kapituły krakowskiéj o skup dziesięciny. Luźny dokument w arch. kap. krak.

[3] Lib. Arch. V № 52 w arch. kap, krak.

wali oni wyroki przeciwko urzędowi burmistrzowskiemu, który przed ich forum pozywano (44, 45, 63—67).

Zjechawszy do dóbr pabianickich, przyjmowali lustratorowie z suplikami i skargami kolejno w miastach kapitulnych i w kilku wsiach, dokąd ściągali mieszkańcy sąsiednich osad. Pobyt lustratorów, przyjmowanie petentów i sądzenie spraw zajmowały sporo czasu; tak w 1593 r., czynności zaczęły się w dniu 27 października, a ukończone zostały w dniu 12 listopada, trwały więc przeszło dwa tygodnie. Niemniéj znacznego wpływu, na ogólny bieg spraw miéć nie mogli z powodu rzadkości rewizyj, które odbywały się zaledwie raz na trzy lata.

Lustratorowie wyrokowali, kierując się zasadami słuszności lub „do prawa pospolitego się przychylając" (6). Dekreta ich zapisywano do akt. Zapadłe w jednéj sprawie służyły często za normę i w innych identycznych wypadkach, co odznaczano przez notatkę, że daną „winę Ich Mość i na potomne czasy ustanowić raczyli". Tworzyła się w ten sposób pewnego rodzaju jurysprudencya. Właściwém jednak źródłem prawa był zwyczaj, którym kierowano się zarówno w zwykłym sądzie ławicy, jak na wiecach lub w sądzie starościńskim.

6) Droga apelacyi od postanowień i wyroków wszelkich urzędów wprost do Krakowa do grona kapitulnego, jako ostatniéj i najwyższéj instancyi, stała otworem każdemu mieniącemu się być pokrzywdzonym; w rzeczywistości atoli nader rzadko korzystała z niéj jednostka; potykamy tylko petycye zbiorowe gromad wiejskich lub pospólstwa miejskiego, i to w kwestyach raczéj ekonomicznego aniżeli sądowego charakteru.

Uczyniona wyżéj uwaga, o rządzeniu się zwyczajem, dotyczy nie tylko prawa materyalnego, lecz odnosi się zarówno do postępowania sądowego. We wszystkich instytucyach, począwszy od ławicy a kończąc na sądzie lustratorów, forma oskarżenia, procedura dowodowa, a w szczególności stosowanie przysięgi oraz system kar zdają się być jedne i te same tak w procesie karnym jak i w materyi cywilnéj. Poniższy przeto wykład form sądowych stosuje się do wszelkich władz, jakie w XVI wieku wymierzały sprawiedliwość w dobrach pabianickich.

Nim przystąpimy do rozpatrzenia procedury i różnych stopni kar, zwrócić należy uwagę na przedsiębrane podówczas środki ochronne, zapobiegające popełnianiu przestępstw czyli, jakbyśmy dziś powiedzieli, na przepisy policyi bezpieczeństwa, które zwykły były stosować pomienione przez nas władze sądowe. „Założyć

zakład" lub „winę założyć" — oto środek w tym celu używany. Zasadzał się na następującém postępowaniu. Gdy dochodziło do wiadomości władzy, że mieszkaniec włości żywi urazę względem drugiego, odgrażając się czyli jak mawiano „odpowiadając" a nawet „na gardło odpowiadając", wówczas zapowiadano iż, gdyby czyniący pogróżki skrzywdził na zdrowiu przeciwnika, zapłacić ma na rzecz dworu „założoną" winę w ilości tylu a tylu grzywien. Wina ta, zależąc od uznania nakładającego, wynosiła 10, 40 a nawet 60 grzywien [1]). Rzadziéj w takich wypadkach żądano poręczenia dwóch kmieci lub mieszczan „za pokój na czasy potomne" (42).

W dokonanych przestępstwach i drobniejszych wykroczeniach, pociągano do odpowiedzialności z oskarżenia bądź osoby poszkodowanéj, bądź z urzędu wskutek „powiedzenia" przysiężników lub gromady. Oskarżono, a jak mawiano, wonczas „dawano winę" przed danym urzędem, i o ile oskarżony znajdował się na miejscu, sprawę roztrzygano niezwłocznie.

Niestawiennictwo na wezwanie przysiężników, groziło skazaniem na winę (40). Wraz z odłożeniem sprawy z jakichkolwiek powodów żądano rękojmi czyli „obręczenia się" (4). Rękojmię dawało zwykle dwóch gospodarzy na to, iż podsądny „dostanie prawu", t. j. stanie na termin (20). Bywały jednak wypadki, że nikt ręczyć nie chciał, gromada w ten sposób „odstępowała" podejrzanego o przestępstwo, którego wówczas wtrącano do więzienia (33).

Jeżeli oskarżony do winy „się nie znał", a nie było dostatecznych dowodów przestępstwa, natenczas nakazywano przysięgę z oznaczeniem terminu jéj wykonania. W jednych sprawach kontentowano się przysięgą oczyszczającą samego tylko oskarżonego, w innych znowuż żądano od podsądnego, „aby samotrzéć z ludźmi dobrymi wiarogodnymi przysięgą cielesną się odwiódł" (5). W sprawach cywilnych przysięga témbardziéj miała zastosowanie i wówczas bywało, iż żądano wykonania jéj „samosiódm" (61). Kto przysięgi nie wykonał osobiście lub nie znalazł nakazanéj ilości przyjaciół, którzyby się zgodzili na odprzysięganie się wraz z nim, tego wina uważała się za dowiedzioną.

Dla określenia winy uciekano się czasami do orzeczenia biegłych. Tak np. w sprawie o złamanie ręki (5): „którą to chromotę Ich Mość tak balwierzowi swemu jako téż i inszym ludziom i białym głowom dobrze się na tém znającym oglądać to kazali".

---

[1]) Por. nasz artykuł: O odpowiedzi, w Ateneum, 1897, styczeń.

Rozmaite były stopnie kary. Karano „na gardle" za kazirodztwo (13), cudzołóstwo (15), czasami nawet za kradzież (22) Kara śmierci zamieniała się zazwyczaj na odpowiedzi okup pieniężny; wówczas wyrok głosił wprost „gardła karanie lub gardła odkupienie" (13, 15).

Za lżejsze przewinienia karano pieniężnie, zwykle trzema grzywnami, co zwano także „winą pańską"; snać kara szła do skarbca panów włości to jest kapituły [1]). Czasami za kradzież skazywano na winę jednéj beczki piwa, która w miastach szła na rzecz cechu (23, 34).

Osobny rodzaj przewinień stanowiło niezachowanie przepisów kościoła. Spisywano poddanych, którzy się nie spowiadali i tych którzy w kościele nie bywali. Nieumiejących pacierzy i przykazania bożego karał starosta „na powiatkach" winą kamienia lub wrębu wosku [2]), „podług starożytnéj konstytucyi na rzecz kościoła pabianickiego [3]).

---

[1]) Jeszcze w XV wieku dochód z kar należał do tenutaryusza. Widzimy bowiem, jak kapituła zastrzegała sobie w kontraktach, ażeby tenutaryusz łagodnie ściągał kary (Acta act., II, 31, r. 1467); lecz wkrótce potém kapituła zachowuje wpływy z tego źródła dla siebie (Acta act. II, 114, r. 1476), ochraniając tym sposobem ludność od możliwéj niesprawiedliwości ze strony bardziéj chciwych tenutaryuszów.

Kontrakt dzierżawny 1653 roku wyraźnie omawia kary, na które tenutaryusz skazywać ma winnych, „gdy wiece sądzić będzie". Kary te iść mają na korzyść kapituły a nie tenutaryusza. Za niektóre przestępstwa odkup nie może być brany „dla trudności prawnych, które są in statuto regni o złodziejach". Excypuje się więc „złodzieja ryb, stawów i sadzawek, zboża na polu i z gumien także, z komór, spichlerzów folwarcznych etc.", których tenutaryusz karać ma „tak jak który zasłuży wedle prawa". W tymże kontrakcie mowa jest o jakowejś specyalnéj karze zwanéj „bykowém". „Winę także którą *communi vocabulo* zowią „Bykowe", nakazać wybierać według dekretów Ich Mciów Panów Rewizorów." Kara cielesna dozwolona, lecz zabrania się tortur: „Nie ma téż uciskać poddanych, angarować kaźnią y karaniem niezwyczajném karać, ale nieposłusznego *ad officium* przywodząc, biczem albo postronkiem obyczajnie skarać może". (Luźny akt w arch. kap. krak.)

[2]) „Ale iż kamienia niepotrzeba, tedy żeby każdy z nich, któryżby się kolwiek takim pokazał, wrąb wosku dał do kościoła pabiańskiego podług starożytnéj konstytucyi, do któréj się Ich Mość przychylić raczyli". (Lustr. 1593 r.).

[3]) Przywiléj królewski 1602 roku, nadał miastu Pabianicom, a właściwie urzędowi miejskiemu, prawo nakładania kar na nieuczęszczających do kościoła w dnie niedzielne i świąteczne, jak również karania zbytku i nałożnictwa. (Przywiléj oryginalny w cechu piwowarskim w Pabianicach).

Do tejże kategoryi spraw, zaliczyć również wypada, wykroczenia przeciwko czystości obyczajów, dobréj sławie, wreszcie wszelkie sprawy sumienia. Spisywano więc i skazywano na zapłacenie winy, nierządnice które się dopuściły" [1]). A gdy w któréj osadzie obyczaje nie szwankowały, wnoszono do opisu, że „w téj wsi nie pokazało się nic na rugu między gromadą". Bywają i procesy o czary (19, 20).

W jednym wypadku (16) widzimy karę wygnania, czyli „odkazania ode wsi", mianowicie za cudzołóstwo i pojęcie żony w powinowactwie. Wyrok ten starościński potwierdzili lustratorowie z naznaczeniem winy trzech grzywien na gospodarza, któryby się ważył przyjmować „odkazanego" do swego domu. W inném miejscu mowa jest o „wyświeconéj" z sąsiedniéj niekapitulnéj wsi białogłowie, za przechowanie któréj kmieć w Kurowicach skazany został na winę dwóch złotych.

Ciekawém było postępowanie w sprawach o obelgi czynne. Zobowiązywano wtedy strony do pogodzenia się pod karą trzech grzywien (7, 9), lubo zdarzało się także, iż skazywano oskarżonego na zapłacenie odszkodowania (8).

Dziwną wydaje się okoliczność, że w aktach 1593 r., niemasz wypadków skazywania na karę wieży; raz tylko wspomina się o uwięzieniu złodzieja, którego gromada odstąpiła, a więc wypadek wtrącenia jakby do więzienia śledczego (33).

A było wszak w Pabianicach więzienie dla przestępców. Zbudowane według świadectwa lustracyi 1531 r. (Arch. kap. krak.), jako „najlepszéj roboty taras", dachówką kryty i podzielony na dwa oddziały, górny i dolny, ażeby, jak mówi taż lustracya, każde przestępstwo lub przewinienie znalazło karę sprawiedliwą [2]).

O karze cielesnéj akta 1593 r. nic nie wspominają.

Władza wykonawcza spoczywała w ręku podstarościego i na dowód odbycia kary „wywodzono się kartką" od tego urzędnika. Urząd miejski do wykonania swoich wyroków używał woźnego, którego obowiązkiem było „uskromić" skazanego (64).

---

[1]) Lustracya 1592 r. wylicza takich ujawnionych wypadków 55, co niezbyt dobrze świadczy o czystości obyczajów ówczesnych mieszkańców włości pabianickiéj.

[2]) Rewizya 1677 roku (Acbiw. kap. krak.), wspomina o „klozie do sadzania nieposłusznych". Również lustracya 1737 r. (Rękop. w posiadaniu piszącego) opisuje „taras alias więzienie" w Pabianicach z podziałem na więzienie „zwierzchnie i spodnie".

W materyi cywilnéj opierano się, bądź na dowodach piśmiennych jako to na „zapisach" (56), i „ugodach" (62), bądź na zeznaniu świadków lub całéj gromady, wreszcie, o czém już wyżéj wspomniano, za dowód zupełny uważana była przysięga oczyszczająca.

Starano się wedle możności załatwiać spory drogą ugody. W sprawie np. o działy (54), wyznaczają lustratorowie po dwóch przysiężników dla każdéj strony, nakazując zgłoszenie się do sądu wtedy dopiéro, gdyby na dobrowolne działy zgoda nie nastąpiła. W innéj sprawie (49) „wysadzono ludzi między stronami". Ludzi takich nazywano pospolicie „jednaczami", a ugodę za ich pośrednictwem zdziałaną spisywano, o ile to się działo między mieszczanami, do ksiąg miejskich, z których urząd burmistrzowski wydawał wypisy pod swoją pieczęcią (62).

Przedmiot sporu zasądzano wprost lub „wedle wynalazku ludzkiego", t. j. podług orzeczenia biegłych.

Sposoby wykonania wyroków cywilnych, niestety, nie są nam wiadome.

Co się tyczy kosztów sądowych, wiemy, iż wójt pobierał osobną zapłatę za wymiar sprawiedliwości. W 1550 r., mieszczanie pabianiccy skarżyli się przed lustratorami na wójta, iż za każdy pozew do sądu pobiéra 1/2 grosza. Lustratorowie postanowili, ażeby w sprawach dotąd wytoczonych płacono po ternarze, (1/6 gr.), zaś na przyszłość po jednym solidzie (1/3 gr.) Ze swéj strony mieszczanie rzgowscy utyskiwali, że rok rocznie zmuszani są do uczęszczania na wiece odprawiane we dworze lub na folwarku rzgowskim, i że dawać muszą urzędnikom *(factoribus)* jednę grzywnę ze skrzynki miejskiéj i dwie beczki piwa [1]).

Istniała oddawna powinność żywienia przedstawiciela kapituły, sprawującego sądy na wiecach, — powinność oparta na przepisie prawa niemieckiego. Pierwotnie podejmowano przygotowaniami w naturze czyli wprost gotowano dania, obiady; w następstwie powinność naturalna zamieniła się na opłatę pieniężną pod nazwą „obiedne"; ta za czasów Długosza (lib. benef.) była oddawana wyłącznie przez wsie założone na prawie niemieckiém i wynosiła od całej osady 24 lub 12 groszy, a od wójta 12, 6, lub tylko 4 grosze. Z lustracyi 151. r. (arch. kap. krak.), dowiadujemy się, iż we wsi Czyżemin, obowiązek podejmowania przedstawiciela kapitulnego,

---

1) Se cogi ad audienda judicia alias na wiecze. — Lustr. 1550 w arch. kap. krak.

dzielił się w następującym stosunku: dwa obiady kmiecie a wójt jeden; o ile zaś nie dają w naturze, płacą w miejsce obiadu po groszy 12. Prawdopodobnie ten sam stosunek zachowany był w całych dobrach pabianickich.

W XVI wieku spotykamy oprócz obiednego, stałą daninę owsa pod nazwą „wiecnego". Składał ją każdy kmieć w ilości jednego korca z łanu [1]).

O wpływach z kar na rzecz dworu mówiliśmy wyżej, rozpatrując formy sądownictwa karnego.

Zamykamy nasz rozbiór uwagą o zewnętrznych, że się tak wyrazimy, stosunkach sądowych. Spory kapituły, jako dziedziczki włości pabianickiéj, bądź o granicę, bądź jakiejkolwiek innéj natury, roztrzygały się, rzecz prosta, przed ogólnymi sądami krajowymi. W 1521 r tenutaryusz dóbr przedstawił kapitule potrzebę stałego pełnomocnika, „procurator seu sindicus", dla prowadzenia spraw w sądzie ziemskim, Kapituła przychyliła się do żądania i zamianowanego niezadługo przedtém w Krakowie prokuratora przeniosła do Pabianic z pensyą roczną 10 grzywien [2]). Niewiadomo jak długo istniał ten specyalny prokurator pabianicki.

---

[1]) Vieczne per unum chorum avenae (lustracya 1531 r.) — O owsie wiecznym po jednym korcu (coretus) dużéj miary z łanu wspomina przywiléj lokacyjny wsi Krasnymodrzew (lib. arch. V, № 48 w arch. kap. krak.)

[2]) Acta actor kap. krak., II f. 352.

WYKAZ SPRAW.

№	Przedmiot	Sąd	Wyrok	Decyzya incydentalna	Motywy	Miejscowość
1.	Zabójstwo.	?		„Za dwie niedziele ma przysiądz jako nie dał przyczyny do ubicia Jana Okrojka, którego ubili chłopy z Chojen w Lutomiersku.		Łaskowice.
2.	Zabójstwo.	Lustratorowie „zlecają“ sprawę staroście.				Gadka.
3.	Zabójstwo.	Lustratorowie.	Oskarżonego „wolnym uczynić i wieczne milczenie nakazać raczyli.“		„Aż pewnem świadectwem i ludźmi dobrymi wiarygodnymi niewinnym się być pokazał ‘.	Slądkowice.
4.	Zadawanie ran śmiertelnych.	Lustratorowie.		Aż do usprawiedliwienia się dać ma rękojmię czyli „obręczyć się“; (dwóch kmieci ręczyło za oskarżonym).	„A iż stanąwszy niewinnym się być powiedział“.	Rypułtowice.
5.	Zadawanie ran ciężkich (złamanie ręki).	Lustratorowie.		„Aby w pierwszy piątek po przewodniej niedzieli samotrzeć z ludźmi dobrymi wiarogodnymi przysięgą cielesną się odwiódł; jako nie przezeń ani z jego przyczyney ta ręka u tego dziewczęcia jest złamana“.		Rzgów.
	W tejże sprawie.	„Urząd przy bytności“ lustratorów.	„Winy groszy 40“		„A iż się zna do tego, że tam niekiedy to dziewczę szarpał“.	
6.	Poranienie i pobicie.	„Urząd burmistrzowski“		„Ażeby rany poprzysiągł“.		Rzgów.

№	Przedmiot	Sąd	Wyrok	Decyzya incydentalna	Motywy	Miejscowość
	W tejże sprawie.	Lustratorowie.		„Do prawa pospolitego się przychylając, poprzysiądz rany za dwie niedzieli nakazać raczyli“.	„A iż dla niejakichszy błędów przysięgi nie uczynił“.	
7.	Pobicie	Lustratorowie.		Ażeby się w ciągu trzech dni pogodzili pod winą trzech grzywien.		Warzyn.
8.	Pobićie	Lustratorowie.	W ciągu dwóch tygodni zapłacić ma poszkodowany trzy wiardunki.		„A to względem tego, iż już winy dać nie będzie powinien“.	Rzgów.
9.	Wzajemne pobicie.	?		Zjednać się mają w ciągu dwóch tygodni pod winą trzech grzywien.		Orsk.
10. 11. 12,	Pobicie (w jednym wypadku ojca przez syna.	Lustratorowie „zlecają“ staroście do osądzenia				Kalenko Gadka, Wola Zaradzyńska.
13.	Kazirodztwo.	„Ławica“.	„Na gardle karanie albo gardła odkupienie“.		„Że się z powinną dopuścił“.	Karpin.
14.	Kazirodztwo. (w blizkim powinowactwie“).	Lustratorowie„staroście do poroczków zlecili“.				Rokicie.
15.	Cudzołóstwo.	?	„Karanie na gardle albo odkup gardła“.		„Że się dopuściła z żonatym chłopem“.	Wola Rakowska.
16	Cudzołóstwo i pojęcie żony w powinowactwie.	Starosta.	„Ode wsi odkazał“.			Dobroń.
	W tejże sprawie.	Lustratorowie.	To „odkazanie“ potwierdzili, „a ktoby go w domu na potém przechowywał trzema grzywien winy ma być karan“.			

17.	Nieobyczajne pożycie.	?	Skazana na zapłacenie „winy“.		„Iż częstokroć swawolnie żyjąc na świecie na dziatki się zdobywała“.	Wiskitno.
18.	Nieobyczajne pożycie (parobka z kucharką w młynie).	?	„Zapowiedziano im myto u młynarza“.		Iż „dopuścili się dziecięcia“.	Świątniki.
19.	Czary.	Lustratorowie staroście zlecili.			Że „wołająca na wiecu nie stanęła“.	Bychlew.
20.	Czary (w oborze mleko stanęło na dłoń nad garncem).	Lustratorowie staroście zlecili.		„A iż ma dostać prawu“ mąż oskarżonej „dał rękojmię po sobie“ dwóch kmieci.	„A iż na ten czas nie stanęła“.	Jutrzkowice.
21.	Kradzież (owcy).	„Ławica“.	„Zasądzony według starożytnego zwyczaju wiecowego“.			Warzyn.
22.	Kradzież (zboża).	„Przysiężniki z wójtem“.	„Aby na gardle był karan“.			Wola Rakowska.
23.	Kradzież (zboża).	„Gromada“.	Karany „winą beczką piwa“.			Rypułtowice.
24.	Kradzież (zboża).	Lustratorowie staroście skarać zlecili.			„A iż na wieca nie stanął“.	Łaskowice.
25.	Kradzież (zboża).	Lustratorowie „staroście do poroczków zlecili“.				Retkinia.
26.	Kradzież (zboża).	Lustratorowie „na powiatki do sprawy stawać kazali, co staroście zlecają“.				Retkinia.

№	Przedmiot	Sąd	Wyrok	Decyzya incydentalna	Motywy	Miejscowość
27.	Kradzież (kapusty).	Lustratorowie „do starościnych sądów odłożyli“.				Gadka.
28.	Kradzież (gęsi).	„Na powiatek ma się sprawić przed starostą“.				Retkinia.
29.	Kradzież (gęsi).!	Lustratorowie „do poroczków odkładają“.				Retkinia.
30. 31. 32.	Kradzież (gęsi, konopi, rusznicy).	Lustratorowie „staroście do poroczków zlecili“.				Karnyszewice Karnyszewice Retkinia.
33.	Kradzież.	Lustratorowie staroście zlecili.		„Do więzienia wsadzić kazano“.	Że go „gromada odstąpiła“.	Chocianowice
34.	Kradzież.	?	Dać ma beczkę piwa do cechu „z winy złodziejskiej“.			Pabianice.
35.	Nieostrożne obchodzenie się z ogniem (wskutek czego powstał pożar).	„Ławica“	„Winy pańskiej trzy grzywny“.			Bychlew.
36.	Nieostrożne obchodzenie się z ogniem.	?	„Winy trzy grzywny“.			Jutrzkowice.

37	Wzbronione czyli „zapowiedne łowienie ryb.	Lustratorowie.	„Aby trzy grzywny mularzowi na zmurowanie sztukę muru dał".			Pabianice.
38.	Popasanie koni cudzym owsem.	?		„Od przyszłego piątku za tydzień ma przysiądz, jako nie popasł końmi swemi panu Limierzy owsa".		Leszczyny.
39.	Samowolne zabranie ogrodu.	„Lustratorowie skarać tego samowolnego staroście zlecają".				Ldzań.
40.	Niestawiennictwo na wezwanie przysiężników.	Lustratorowie.	„Na winę skarali".			Jutrzkowice.
41.	Niestawiennictwo na sąd lustratorów.	Lustratorowie staroście skarać zlecili.			„A iż ten młynarz się nie stawił".	Łaskowice.
42.	Niewykonanie dekretu starosty (przeproszenie sąsiada).	„Ławica na sądzie wieca siedząca".	Trzy grzywny winy i natychmiastowe przeproszenie przed sądem; „a za pokój na czasy potomne aby dał po sobie rękojmię".			Huta Wiskicka.
43.	Rozmyślne podpalenie płotu.	Lustratorowie.		1-o „Ma przysiądz od piątku za tydzień, jako ani sam ani przez czeladnika swego płotu nie palił" i 2-o „Winę między nimi założyli" 60 grzywien.		Wola Rakowska.
44.	Sprzeniewierzenie przez wójta pięciu grzywien.	Lustratorowie.	Nakazali ugodę z poszkodowanymi i nałożyli kary: 1-o winy pańskiej trzy grzywny, 2-o urzędowi 25 groszy.		Iż „wziął te pieniądze bez wiadomości innych przysiężników".	Rzgów.

№	Przedmiot	Sąd	Wyrok	Decyzya incydentalna	Motywy	Miejscowość
45.	Skarga na urząd rzgowski „o dzwonienie niepotrzebnie“ na skarżącego.	Lustratorowie.	Urząd wolnym uczynić nakazali.		„Iż pokazało się, że nie na niego, ale na psy jego we dzwonek dzwoniono“.	Rzgów.
46.	Alimenta (ojcu)„nadom i chowanie przystojne.	Lustratorowie.	Płacić ma ojcu swemu dwa złote rocznie ratami na Boże Narodzenie i na Św. Jan.			Kochanie.
47.	Wynagrodzenie za pracę (teścia przeciwko zięciowi).	?	Ma zapłacić skarżącéj wedle „wynalazku ludzkiego“.			Dłutów.
48.	Zakłócenie posiadania gruntu.	Lustratorowie.	Aby rolę przywrócili, a o nie aby się przed urzędem miejskim prawem rozparli „super principali“.			Czyżemin.
49.	Należność za żerdzie i nawóz.	Lustratorowie.		„Między temi stronami ludzi wysadzić“.		Kurowice.
50.	Posiadanie roli.	Lustratorowie.	Zwrócić prawemu posiadaczowi.		Świadectwu pewnemu gromady z Kurowic, jako i poddanych inszych wsi się przysłuchawszy“.	Kurowice.
51.	U rolę (działy?)	Lustratorowie staroście zlecili.				Rokicie.
52.	Spadek (przejście roli w spadku).	Lustratorowie.	„Dekret Ich Mści Capituli Crac. przy swéj mocy zostawić raczyli“.			Rzgów.

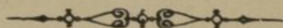
53.	Spadek (o wydanie roli pozostałéj po dziadku).	Lustratorowie „salvam actionem przed urzędem zostawują“.				Rzgów.
54.	Spadek (działy części ojczystéj).	Lustratorowie.		Wyznaczyli dwu przysiężników z Wiskitna i dwu z Huty „do podzielenia“, a w razie niezgody strony do osądzenia stanąć mają przed lustratorami.		Huta Wiskicka.
55.	Spadek (o wydanie krowy pozostałej po synu).	Lustratorowie.	Pozostawili krowę przy pozwanym.		„Że nieboszczyka, ułomnego, przez jedenaście lat u siebie chował“.	Łaziska.
56.	Zastaw roli.	Lustratorowie „per apellationem od urzędu starosty pabiańskiego“.	Zwrócić pieniądze w ciągu dwóch tygodni; w przeciwnym razie oddać napowrót rolę zastawnikowi.		„Iż się zapisem pokazało dostatecznie“, że rola oddaną była w zastaw.	Rzgów.
57.	Zwrot zastawionéj roli.	Lustratorowie.	Ażeby ze spłatą sumy zastawnéj (5 złotych) półzagrody zwrócił.		„Uznawszy, iż nie jestto w mocy poddanych, aby mieli sobie rolę sprzedawać, albo zastawiać“.	Dalków.
58.	Zwrot zastawionego przedmiotu (ośnicy) prawemu właścicielowi.	Lustratorowie.	Zwrócić prawemu właścicielowi zastawiony przez trzecią osobę przedmiot, jak również sumę 4 złotych, daną przez niego na wykup zastawu, salva actione względem pisarza, który zły zapis sporządził.			Rzgów.
59.	Zwrot pożyczki.	Lustratorowie.	„Ażeby zapłacił na św. Maciéj“.			Dalków.

№	Przedmiot	Sąd	Wyrok	Decyzya incydentalna.	Motywy	Miejscowość
60.	Zwrot pożyczki.	Lustratorowie staroście zlecili „aby mu płatni byli czynił“.				Dalków.
61.	Zwrot pożyczki (dziesięciu i ośmnastu grzywien)	Lustratorowie.	Przyznane 10 grzywien oddać.	Zaś co do 18 grzywien nieprzyznanych „samosiódmemu przysiądz, jako ich nie jest winien. od przyszłego piątku za dwie niedziele“.		Rakowska Wola.
62.	Wykonanie ugody polubownéj.	Lustratorowie	Zapłacić nakazali 30 grzywien podług brzmienia ugody.		Iż „pokazał ugodę autentice i zeznanie jednaczów i pewne postanowienie między nimi pod pieczęcią miejską jemu z ksiąg wydane“.	Pabianice.
63.	Skarga na urząd burmistrzowski o zwrot 18 grzywien.	Lustratorowie.	Ma urząd z tych pieniędzy „liczbę uczynić“; pełnoletnim dać ich część; pozostałe zaś pieniądze „aby za poręką dobrych a pewnych rąk były oddane“.			Rzgów.
64.	Skarga woźnego na urząd miejski o zwrot kosztów 1 grzyw., poniesionych z powodu „uskromienia“ niejakiego Janczyka.	Lustratorowie.	Aby urząd zwrócił tę grzywnę w ciągu dwóch tygodni.			Rzgów.

65.	Skarga byłego burmistrza przeciwko „pospólstwu“ m. Rzgowa o zwrot 7 złot. 10 gr., wydanych na potrzebę miejską żołnierzom.	Lustratorowie.	Aby miasto zapłaciło.			Rzgów.
66.	Skarga na urząd miejski o niepozwolenie odbudowania domu po pogorzeli na dawném miejscu (chciano rozszerzyć ulicę)	Lustratorowie.	„Stawić (budynek) wedle pierwszego budowania“.			Rzgów.

Maksymilian Baruch.

Listki z pola wiedzy.



III.

Najnowsze rezultaty, otrzymane w dziedzinie fizyologii i chemii rolniczéj w ostatnich latach.

Życie roślin. — Przekształcanie materyi pokarmowych w roślinach na związki organiczne. — Pierwiastki biorące udział w ich budowie. — Azotany, jako najlepsze materyały pokarmowe z pomiędzy związków azotowych nieorganicznych. — Rola, jaką odgrywa wolny azot powietrza. — Współdziałanie mikroorganizmów, przyczyniających się do jego asymilacyi.—*Phizobium leguminosarum*.—*Saprofityzm*, *parazytyzm* i inne urządzenia biologiczne w państwie roślinném, umożliwiające zaopatrywanie roślin w związki organiczne. — *Symbioza*, czyli wspólne życie z inną rośliną, posiadającą wyższą zdolność saprofityczną. — Zadanie chemii rolniczéj.—Cel, dla którego dany pierwiastek jest przyswajany przez organizm roślinny. — Doświadczenia Hellriegel'a, Schultza, Franka i innych. — Bezsilność analizy chemicznéj. — Analiza mechaniczna. — Mikroorganizmy przyczyniają się do przyswajania azotu przez rośliny. — „Głód azotowy“.—Racyonalne gospodarstwo rolne.—Zwiększenie zapasu azotu w gruncie znajduje się w rękach gospodarza rolnego.—Obieg azotu w naturze jest faktem, wątpliwości nie ulegającym.

* *

*

Jak wiadomo, we wszystkich żyjących roślinach odbywają się procesy chemiczne, skutkiem których następuje wymiana materyi

w ciele roślinném. Życie rośliny jest nieprzerwaném pasmem takich procesów, a rezultatem tego jest zwiększanie się masy żyjącéj rośliny. Chodzi tu o przyjmowanie obcych materyi do ciała roślinnego, i proces ten nazywamy żywieniem. Materye przyjmowane na pokarm przekształcają się w roślinie na nowe związki chemiczne, stanowiące bardzo cenne substancye, dostarczane nam przez rośliny. Oprócz tego odbywają się ciągle w żyjących roślinach procesy, skutkiem których ciało rośliny traci pewne materye, jak np. przy oddychaniu.

Z siedmdziesięciu kilku pierwiastków chemicznych, obecnie znanych, kilkanaście zaledwie bierze udział w budowie roślin.

Węgiel stanowi jeden z najważniejszych składników związków organicznych, tworzących substancyę roślinną, stanowiąc prawie połowę téjże substancyi.

Wodór jest również główną częścią składową substancyi roślinnych organicznych, jak również wody, wchodzącéj w skład wszystkich roślin.

Następnym składnikiem większéj części związków organicznych w roślinie oraz wody jest kwasoród czyli tlen.

Do tych trzech elementów dołącza się azot, jako część składowa ważnych związków organicznych ciała roślinnego, zwłaszcza materyi białkowych, amidów, alkaloidów i fermentów; oprócz tego wchodzi on w skład azotanów i soli amoniakalnych, napotykanych nieraz w roślinach. Stosownie do ilości, w jakiéj występują te ciała azotowe, mamy części roślinne bogate lub uboższe w azot. Podług tego, średnio biorąc, znajdujemy następujący procent azotu w suchéj substancyi roślinnéj, a mianowicie:

Nasienie łubinu zawiera . .	5,00 %	azotu
Groch	3,50 „	„
Owies	2.00 „	„
Żyto	1.90 „	„
Kartofle	0.34 „	„

i t. d.

Inne pierwiastki napotykane w roślinach są:

Fosfor, jako część składowa kwasu fosforowego, znajdującego się prawie we wszystkich częściach roślinnych.

Siarka w bardzo małéj ilości, wchodzi w skład materyi białkowych.

Krzem (silicium) pod postacią — krzemionki we wszystkich

prawie roślinach napotyka się, już to w mniejszéj już w większéj ilości.

Potas, sod, wapń (*calcium*) wchodzą w skład roślin pod postacią soli potażowych, sodowych i wapiennych.

Magnezya i żelazo napotykają się również w niewielkiéj ilości, to ostatnie w częściach zielonych roślin.

Znajdujemy również w roślinach ślady manganezu i glinu (*aluminium*); chlor znajdujemy we wszystkich roślinach pod postacią chlorków, ale w bardzo małych ilościach.

Pewne pierwiastki ograniczają się do niektórych tylko roślin. Tak np. jod i brom spotykamy w roślinach morskich, fluor w zewnętrznéj postaci ziarn zbożowych.

Inne pierwiastki znajdują się w roślinach tylko przypadkowo i w bardzo małych ilościach. Do takich należą: arsen, bar, bor, cyna, cynk, kobalt, miedź, ołów, rtęć, srebro i niektóre inne. Obecność tych elementów nie ma żadnego znaczenia dla życia ro-rośliny.

Pierwiastki wymienione znajdują się w roślinach, jakeśmy powiedzieli, pod postacią związków chemicznych.

Każda roślina i każda jéj część składa się z dwojakiego rodzaju substancyi, a mianowicie: z wody i z części stałych, które można od siebie oddzielić, pozostawiając części roślinne na wolném powietrzu, albo poddając je działaniu wysokiéj temperatury (zazwyczaj + 100° C.), przez co części pomienione tracą wodę, a kiedy już wcale nie tracą nic na wadze, pozostaje sama tylko substancya sucha, czyli stała.

Procent wody bywa bardzo rozmaity w roślinach i dochodzi np. w liściach niektórych krzewów do 80, w owocach soczystych do 95, w roślinach wodnych nawet do 98. Masa drzewna zawiera do 55% wody.

Substancya stała roślinna dzieli się na dwie kategorye: na ulegającą spaleniu (palną), czyli substancyę organiczną, oraz na popiół.

Substancya organiczna ciała roślinnego składa się z wielkiéj liczby związków organicznych; większa ich część napotyka się we wszystkich roślinach, a niektóre z nich potrzebne są do budowy komórki roślinnéj, stanowiąc istotną część składową wszystkich roślin. Do tych należą:

Wodany węgla, a między niemi tkanka komórkowata (*cellulosa*), krochmal, dekstryna, gumma, różne gatunki cukru i inne.

Kwasy roślinne, jak: kwas szczawiowy, winny, cytrynowy, jabłkowy i t. p., oraz rozmaite garbniki (kwasy garbnikowe).

Tłuszcze roślinne, a mianowicie różne olejki, oraz tłuszcze stałe, jak wosk.

Olejki eteryczne, jako wonne części składowe roślin, których istnieje wielka liczba.

Żywice, jako substancye ograniczone tylko do pewnych roślin, oraz kauczuk.

Substancye gorzkie, napotykane w wielkiéj liczbie, ale po większéj części ograniczone również do pewnych oznaczonych gatunków roślin.

Alkaloidy, czyli składniki roślin jadowitych, z których każdy gatunek po większéj części zawiéra sobie właściwy alkaloid.

Materye proteinowe czyli białkowe,—ogólne, najważniejsze części składowe roślinne, główne nośniki azotu, analogiczne z substancyami zwierzęcemi tegoż nazwiska, a tém samém warunkujące pożywienie dla organizmów zwierzęcych.

Związki amidowe, również substancye azotowe, we wszystkich roślinach napotykane, a mianowicie: tyrozyna, leucyna i asparagina.

Fermenty, jak np. dyastaz.

Barwniki, t. j. barwne części składowe roślinne, czyli wielka liczba bardzo różnorodnych związków, z których nieliczne tylko rozpowszechnione są w państwie roślinném, a przed innemi chlorofil (zielony barwnik), erytrofil (czerwony), ksantofil (żółty b.), oraz antocyan i antoksantyn, podczas, gdy pewne barwniki ograniczone są tylko do wodorostów.

Oprócz tych barwników, istnieje jeszcze wielka liczba takich, które napotykają się tylko w korzeniu, korze, albo rdzeniu niektórych gatunków roślin.

Nie mamy zamiaru zajmować się szczegółowo teoryą żywienia się roślin, które, jak to uczy fizyologia roślinna, przyjmują pokarmy tylko w stanie płynnym lub gazowym, z wyłączeniem nawet substancyi w stanie najdelikatniejszego proszku się znajdujących.

Nie możemy jednak pominąć zupełnie niektórych funkcyi spełnianych przez organa roślin, i dlatego przedewszystkiém musimy powiedzieć słów kilka o elementach substancyi palnéj, do jakich należą: węgiel, wodór, tlen i azot, aby miéć możność jasnego przedstawienia najnowszych badań na tém polu wykonanych.

Substancye potrzebne roślinie w tym celu, aby rozwijała się

normalnie przy dopełnieniu wszystkich innych warunków, nazywamy pokarmem rośliny.

Za najniezbędniejsze do żywienia rośliny uważają się pierwiastki: węgiel, wodór, tlen i azot, gdyż takowe wchodzą w skład związków organicznych, to jest, właściwych substancyi roślinnych, bez których nie można sobie wyobrazić rośliny.

Co się tyczy innych pierwiastków, napotykanych zazwyczaj w popiołach roślin, to nie można nic powiedzieć teoretycznie o ich znaczeniu dla rośliny, i rozstrzygać tu musi doświadczenie, czego dokonywamy przez żywienie rośliny sztucznemi, mieszanemi pokarmami, urządzając t. zw. kultury wodne albo piaskowe. W pierwszym razie grunt dla rośliny zastępuje woda, zawierająca w rozpuszczeniu sole, napotykane w popiołach téj rośliny; w drugim używa się na ten cel naczyń, napełnionych poprzednio wypalonym, a następnie wymytym wodą białym piaskiem, który polewa się stosownie przygotowanym roztworem wodnym tych soli.

Zarządzone w ten sposób czysto chemiczne próby pozwalają wykluczać z kolei pewne oznaczone pierwiastki, a tym sposobem przekonać się można o ile takowe mają istotne znaczenie dla danéj rośliny t. j. o ile roślina przy ich obecności normalnie się rozwija.

Tą drogą, t. j. przez powtarzanie pomienionych doświadczeń dla różnych roślin i prowadząc je równolegle na wodnych i piaskowych kulturach, fizyologowie przekonali się, że niezbędne do żywienia roślin pierwiastki sprowadzają się do dziesięciu następujących elementów, jakiemi są: węgiel, wodór, tlen, azot, siarka, fosfor, potas, wapń (*calcium*), magnez (*magnesium*) i żelazo. Oprócz tych pierwiastków, dla żywienia niektórych roślin potrzebne są jeszcze: chlor i krzem (*silicium*).

Wyżéj wymienione elementa są niezbędne do żywienia roślin, i jeżeli grunt nie zawiera któregokolwiek z tych pierwiastków, albo też zawiera go w niewłaściwéj formie, wtedy nie można liczyć na pomyślny rozwój rośliny, i w tym przypadku inne materye pokarmowe, chociażby znajdowały się w obfitości w danym gruncie, nie wywierają żadnego skutku, pozostają bez wpływu na normalny rozwój rośliny.

Żadnego z wyżéj wymienionych elementów — z wyjątkiem tlenu i azotu, — nie ma roślina w naturze do swego rozporządzenia w stanie wolnym, a te dwa pierwiastki spotykają się również jako związki. Przytém każda substancya, jak wiadomo, jeżeli ma być przyjętą przez roślinę, powinna się znajdować w stanie płynnym

albo gazowym, gdyż tylko pod tą postacią mogą substancye przenikać przez błony komórek roślinnych.

Pokarmy wymienione ulegają przedewszystkiém w roślinie rozkładom i przekształceniom chemicznym, czyli zmieniają się w t. z. substancyę roślinną. Procesy tego rodzaju nazywamy asymilacyą (czyli przyswajaniem).

Mając zamiar przedstawić między innemi najnowsze badania, dotyczące obiegu azotu w świecie roślinnym, i jego analogię z obiegiem węgla (pod postacią kwasu węglowego) między światem roślinnym a zwierzęcym, bierzemy przedewszystkiém pod uwagę cztery pierwsze z wymienionych wyżéj pierwiastków, wchodzących w skład materyałów pokarmowych dla roślin. Elementami temi są: węgiel, wodór, tlen i azot.

Dawniéj utrzymywano, że świat roślinny bierze pożywienie wyłącznie z gruntu, i że budowa rośliny dokonywa się głównie z substancyi organicznych ziemi, a mianowicie z t. z. próchnicy. Wszakże dopiéro na skutek doświadczeń, jakie wykonał Saussure, t. j. kiedy dowiedzioném zostało, że zielone rośliny przyjmują kwas węglowy z powietrza i wytwarzają przy jego pomocy pokarmy organiczne z wydzieleniem tlenu, ustalała się powoli opinia, że dopiéro ostateczne produkta rozkładu materyi organicznéj, które już przyjęły formę anorganiczną, a mianowicie kwas węglowy i woda, amoniak, kwas azotowy, a nawet azot w stanie wolnym, tworzą właściwy pokarm dla rośliny, jakkolwiek co do tego ostatniego zdania można było dostarczyć dowodów dopiéro w czasach ostatnich. Naturalném tego następstwem było odmówienie materyom organicznym znaczenia bezpośrednich materyałów pokarmowych dla rośliny.

Wprawdzie Saussure, a ze stanowiska rolniczego Thaer utrzymywali, że obok kwasu węglowego powietrza również i t. z. próchnica dostarcza roślinom potrzebnego do ich budowy węgla, będąc najgłówniejszym materyałem pokarmowym roślin. Z drugiéj jednak strony Liebig i liczni jego zwolennicy byli przeciwnego zdania, a mianowicie, że kwas węglowy, woda, amoniak, kwas azotowy są to właściwe materyały pokarmowe roślin, i że ciała organiczne, a zwłaszcza t. z. próchnica, o tyle tylko biorą udział w żywieniu rośliny, o ile skutkiem rozkładu przechodzą w owe związki nieorganiczne. Opinię tę popierało wykonanie całego szeregu doświadczeń (t. z. kultury wodne), dowodzących, że zielone rośliny mogą brać z samych tylko wymienionych wyżéj związków nieorganicznych potrzebny do ich budowy węgiel i azot. Późniéj jednak

dowiedzioném zostało, że rośliny pozbawione zielonego barwnika (chlorofilu), jak grzyby, oraz wiele roślin jawnopłciowych niezielonych, nie mogą przyjmować węgla z kwasu węglowego, ale że do ich żywienia potrzebne są koniecznie związki organiczne, a mianowicie t. z. próchnica. Najnowsze doświadczenia wykonane przez d-ra A. B. Franka, profesora instytutu rolniczego w Berlinie [1]), wykazały, że pewne związki organiczne, a szczególniéj próchnica, dostarczają pożywienia i dla roślin, w skutek czego dawna teorya próchnicowa, jak powiada uczony profesor, po części przywróconą została do dawnego znaczenia.

W każdym razie wymienione wyżéj substancye nieorganiczne (kwas węglowy, woda, amoniak, kwas azotowy i wogóle azotany) stanowią główne źródło żywienia roślin. O ile jednak pochłanianie przez rośliny kwasu węglowego i przyswajanie go pod wpływem światła wątpliwości nie ulega, i proces ten wzbogaca roślinę węglem, o tyle nie jesteśmy pewni, *jaki jest pierwszy produkt asymilacyi kwasu węglowego w roślinie.*

Co się tyczy roli azotu w roślinach, to zwracamy przedewszystkiém uwagę, że azot dostaje się do zielonych roślin jako pokarm pod postacią ciał nieorganicznych. A jakkolwiek pierwiastek ten służyć może roślinom za pożywienie pod formą związków organicznych, to jednak stwierdzoném zostało, że związki nieorganiczne,— a mianowicie sole amoniakalne, azotany, oraz wolny azot w stanie gazu — wystarczają w zupełności do zaopatrzenia roślin w całkowitą potrzebną do ich budowy ilość azotu.

Azotany i sole amoniakalne znajdują się w pewnéj ilości prawie we wszystkich gruntach i dlatego, z powodu swojéj rozpuszczalności w wodzie, mogą być przyjmowane przez rośliny za pośrednictwem korzeni. Pojawiają się one jako ostateczne produkta rozkładu gnijących w gruncie substancyi azotowych organicznych.

Kwestya, czy azotany, czy téż sole amoniakalne stanowią najlepsze materyały pokarmowe dla roślin, badaną była również przy pomocy paralelnych doświadczeń, na podobieństwo tych, o jakich wyżéj napomknęliśmy. Doświadczenia wykonane nad owsem, kukurydzą i innemi roślinami, wykazały jednozgodnie, że kwas azotowy wydaje najlepsze rezultaty, doprowadzając rośliny do świetnego rozwoju i normalnéj produkcyi nasienia, gdy rośliny te nierównie

---

[1]) *Lehrbuch der Pflanzenphysiologie mit besonderer Berücksichtigung der Kulturpflanzen*", pagg. III et seqq.

gorzéj żywią się amoniakiem, niekiedy wcale nie wydając nasienia. Nawet w porównaniu ze związkami azotowemi organicznemi, kwas azotowy wykazał znaczną wyższość.

Przytoczone fakta zgodne są z rezultatami otrzymanemi z całego szeregu doświadczeń porównawczych z nawozami na otwartém powietrzu, gdzie na jednym i tym samym gruncie wykonywano doświadczenia ze zbożem, kartoflami, burakami i t. d., przy czém na jednéj z parceli używano za nawóz saletry chilijskiéj, na drugiéj—siarczanu amonu, trzeciéj zaś wcale nie nawożono. Rezultat był taki, że saletra nad amoniakiem zawsze miała przewagę, niekiedy bardzo wielką. Z drugiéj strony parcela ulepszana amoniakiem nie wydawała lepszych rezultatów od téj, która wcale nawożoną nie była i zaledwie pod koniec peryodu wegetacyjnego miała przewagę nad tą ostatnią.

Z tych i tym podobnych doświadczeń wyprowadzono wniosek, że azotany są najlepszemi materyałami pokarmowemi z pomiędzy związków azotowych nieorganicznych, rozumie się dla tych roślin, nad któremi wykonane zostały pomienione doświadczenia

Co się tyczy asymilacyi soli azotowych przez rośliny, to kwestya ta nie jest tak dokładnie wyjaśniona, jak kwestya przyswajania kwasu węglowego. W każdym razie uważa się za mylną opinia, według któréj funkcya w mowie będąca ma się odbywać w zielonych liściach. Chlorofil nie przyjmuje w tém żadnego udziału.

Co się tyczy przyswajania soli amoniakalnych, gdzie te ostatnie przyjmowane są jako pokarm, to kwestya ta nie została jeszcze dostatecznie wyjaśnioną. Doświadczenia jednak wykazały, że kwas azotowy nie powstaje z tego źródła w roślinie; że prawdopodobnie z amoniaku ma miejsce bezpośrednie tworzenie się amidów, ale że z zewnątrz przyjęły amoniak, dlatego trudno jest badać w roślinach, iż takowy może w nich powstawać przez rozkład materyj białkowych.

Z kolei przechodzimy do najważniejszéj kwestyi, t. j. do roli, jaką odgrywa wolny azot powietrza.

Aż do ostatnich czasów fizyologowie zaprzeczali temu, aby roślina mogła wytwarzać związki azotowe roślinne z azotu w stanie wolnym, t. j. azotu jako pierwiastku, a głównie na zasadzie całego szeregu doświadczeń, jakie przed dosyć dawnym już czasem wykonał *Boussingault*. Doświadczenia te bowiem dowodziły, że rośliny badane nie wykazywały przyrostu azotu, ale tylko ten jego zapas, jaki znajdował się w badaném (zasianém) nasieniu. Doświad-

czenia te wszakże nie dostarczały dowodu, rozwój bowiem roślin w tych zamkniętych przestrzeniach był nienormalny i nędzny. Również nie popierała téj opinii okoliczność, że rośliny, które rozpoczynają rozwój swój na wolném powietrzu, bez pomocy związków azotowych, t. j. w sztucznych kulturach wodnych, wcześnie przestają rosnąć, gdyż zdolność przyswajania wolnego azotu mogłaby dopiéro nastąpić po pewném ich wzmocnieniu się, czyli w późniejszym okresie rozwoju. Przeciwnie, przeprowadzone na zasadzie innych metod doświadczenia w czasach ostatnich dowiodły jak najniewątpliwiéj, że znajdujący się w powietrzu w stanie wolnym azot może być użyty na pokarm przez rośliny, czyli że przedstawia dla rolnictwa źródło azotu, które pozostaje do rozporządzenia rolnika bez wszelkich kosztów i ograniczeń. W saméj rzeczy, jeżeli na naturalnym gruncie, ubogim w azot, ale zaopatrzonym w potrzebne materyały pokarmowe w wielkich i dosyć głębokich naczyniach szklanych, zasiejemy pewne nasienie, aby tym sposobem tak z zasianego nasienia, jak i z pozostałości po jego zbiorze nic nie zginęło, i jeżeli pozostawimy te kultury na wolném powietrzu, pod pokryciem szklanem, i polewać je będziemy samą tylko wodą dystylowaną, a to celem usunięcia związków azotowych, zawartych w wodzie deszczowéj, to wtedy rośliny — powiada prof. Frank — rozwijają się prawie tak samo, jak na tymże gruncie w stanie wolnym, a przytém analiza wykazuje, że ilość azotu wyprodukowanéj substancyi roślinnéj wraz z ilością azotu w gruncie po zbiorze jest nierównie większą od ilości tego elementu zawartego w tymże gruncie przed zasiewem, jak również w zasianém nasieniu.

Otrzymane rezultaty wykazują (cyfry szczegółowe pomijamy dla braku miejsca), że zdolność przyswajania azotu powietrza nie jest jednakowa w różnych roślinach, i że pierwszeństwo pod tym względem należy się łubinowi. Prawdopodobném jest, — powiada Frank, — że i inne gatunki roślin do téj familii należących (*leguminosae*) posiadają również tę zdolność, która właściwą jest różnym jawnopłciowym familiom, chociaż może w mniejszym stopniu. Dowiedzioném zostało obecnie, że nawet najniższe mikroskopijne rośliny zawierające zielony barwnik (chlorofil), posiadają również tę zdolność. Jeżeli np. lekki grunt, ubogi w azot i zabezpieczony od deszczu, wystawiony będzie na działanie powietrza i światła i polewany obficie czystą wodą dystylowaną, to grunt ten sam przez się, bez wszelkiéj wegetacyi, prawidłowo i powoli wzbogacać się będzie w azot. Tak np. grunt piaszczysty, który z początku zawiérał 0,0034 % azotu, po 134 dniach posiadał go już 0.00426 %. Ta prze-

wyżka azotu przedstawia się zawsze pod postacią pewnéj ilości wodorostów (algae), które rozwinęły się w gruncie w ciągu tego peryodu. Szczegóły doświadczeń pomijamy.

W danym przypadku chodzi tu o niższe wodorosty, których kiełki rozpowszechnione są wszędzie, we wszystkich gruntach. Te formy organiczne roślinne występujące na małą skalę przy tych doświadczeniach, wykonywanych w naczyniach szklanych (kolbach), rozwijają się również na wolném polu tak we wszystkich kulturach, jak również na gruntach ugorem leżących. Powracają tu ciągle rozmaite formy: *Oscillaria*, *Chlorococcum*, *Pleurococcus*, *Ulothrix;* następnie pojawiają się mchy, w końcu również i chwasty jawnopłciowe. Ten świat roślinny, dobrowolnie rozwijający się na gruntach, aż do mikroskopijnych wodorostów, bierze udział w zbogacaniu tychże gruntów związkami azotowemi kosztem azotu powietrza. Grunt po zbiorze wykazuje większą ilość azotu, niż przed kulturą, a ilość ta jest największą przy łubinie. Samo się przez się rozumie, że ostateczny rezultat w bilansie azotu wypadnie inaczéj, jeżeli obok czynności zielonych roślin gromadzących azot, mają miejsce inne procesy, przy których wydziela się azot, a które odbywają się w gruntach, zawierających związki azotowe organiczne.

Z rezultatami powyższych prób pozostają w zgodzie te doświadczenia, które wykonywali Lawes, Gilbert i Pugh w Anglii, Schultz w Niemczech, i przy pomocy których na tym samym gruncie corocznie, bez dodawania nawozu azotowego, z tego samego gatunku roślin otrzymywano ciągle bogate zbiory azotu. Tak np. na gliniastym gruncie w Lupitz, który nie otrzymywał nigdy nawozu azotowego od początku kultury, ciągle siano i zbierano łubin; dwudziesty zbiór przedstawiał 148 k. azotu na hektar. Przytém ilość azotu w gruncie wynosiła 0,07 do 0,08%, a cyfra ta zgadzała się w zupełności z analizą, przed 5 laty poprzednio wykonaną, czyli, że mimo tak bogatych zbiorów, grunt nie stracił nic na wartości azotu.

Co się tyczy fizyologicznego procesu przerabiania wolnego azotu na związki organiczne w roślinie, to pod tym względem nie jesteśmy jeszcze dokładnie poinformowani. Ta okoliczność, że nawet jednokomórkowe wodorosty zdolne są przyswajać azot, dowodzi wyraźnie, że funkcyę tę może spełniać każda komórka roślinna, zawierająca jedynie zwyczajne składowe części, jak protoplazma, chlorofil i t. p.

Własność tę posiadają rozmaite gatunki zielonych roślin, od wodorostów aż do familij roślin jawnokwiatowych. Im wyższa jest łodyga, im liczniejsze tworzy liście, owoc i t. d., tém większy, tém

bogatszy jest nabytek azotu, co wszystko wykazuje wielką czynność organów roślinnych nad powierzchnią ziemi. Nie jest to jednak—powiada dr. Frank — żadnym dowodem do podtrzymywania opinii, że chlorofil działa tu w podobny sposób, jak przy asymilacyi kwasu węglowego. Samo się przez się rozumie, że wolny azot tylko wtedy może być przerobiony na materye roślinne azotowe, jeżeli w tém biorą jednocześnie udział produkta asymilacyi, pochodzące z kwasu węglowego i wody i wytwarzane w ziarnkach chlorofilu. Ale wolny azot mógłby również wejść w związek z gotowym już produktem asymilacyi po za ziarnkami chlorofilu. W niektórych roślinach, jak np. w łubinie i grochu — powiada daléj prof. Frank— przy żywieniu bez organicznych części składowych gruntu, przez tak zwaną *symbiozę* (*symbiozis*), czyli zetknięcie się z szczególnego rodzaju niższym organizmem grzybka, żyjącego we wszystkich gruntach (który nazywa *Rhizobium leguminosarum*), powstaje silny rozwój, dla którego właśnie obecność tego grzybka jest niezbędnym warunkiem asymilacyi wolnego azotu. Grzybek ten dostaje się do korzeni rośliny, miesza się z zarodzią (*protoplasma*) komórek roślinnych, wywierając wielki wpływ na rozwój całéj rośliny, która w ten sposób zostaje wmocniona we wszystkich funkcyach żywotnych. W saméj rzeczy wykazuje ona wtedy szybszy i silniejszy wzrost, wytwarza obficiéj chlorofil, wywołuje nierównie energiczniejszą asymilacyę kwasu węglowego, powoduje nadzwyczaj obfite powstawanie związków azotowych organicznych i wytwarza jednocześnie na korzeniach rośliny z początku małe, stopniowo zaś coraz większe brodawki (kłębki) korzeniowe; wewnątrz tych brodawek, w komórkach roślinnych, osadzają się obficie materye białkowe i powstają tym sposobem t. z. b a k t e r o i d y.

Te kłębki korzeniowe nie rozwijają się wcale w gruntach wyjałowionych, w których pomienione mikro-organizmy zostały zniszczone, a tém samém ustają wtedy i opisane wyżéj zjawiska pomyślnego rozwoju roślin. Stan ten bardzo mało się poprawia, albo téż nie polepsza się wcale przez dodatek związków azotowych nieorganicznych, jak np. azotanów.

Inaczéj się rzecz ma, jeżeli dodamy takiego ciała, jak p r ó c h n i c a t. j. materyału pokarmowego organicznego. A zatém symbioza z tak zwaném *Rhizobium* zastępuje roślinom (jak groch i łubin) pokarm organiczny, czyli innemi słowy: do asymilacyi pokarmu nieorganicznego, zawierającego węgiel i azot, roślina potrzebuje współdziałania ze strony wymienionego wyżéj mikroorganizmu. Na inne rośliny, należące do téj familii (*leguminosae*), wspomniany wyżéj

grzybek (*Rhizobium leguminosarum*), resp. symbioza z tym mikroorganizmem, nie wywiera żadnego wpływu. Dlatego to, rozbiérając powyższą kwestyę, prof. Frank dodaje, że potrzeba jeszcze wielu doświadczeń, zanim będziemy w stanie postąpić daléj na tém polu [1]).

Obieg azotu w naturze podtrzymywany jest przez zdolność roślin wprowadzania do związków wolnego azotu. Na ziemi bowiem odbywają się ciągle procesy, przy których, przeciwnie, pierwiastek ten wydzielany bywa ze związków. Dzieje się to wtedy np., kiedy ulegają spaleniu substancye azotowe organiczne, mianowicie przy ich gniciu i butwieniu; daléj, przy braku tlenu odbywa się w gruncie redukcya azotanów, przyczém wydziela się wolny azot; wydzielanie się tego pierwiastku w stanie gazu zachodzi również w organizmie zwierzęcym z wprowadzanych do kiszek związków azotowych; nakoniec, przy każdém kiełkowaniu nasion roślinnych następuje pewna strata pod postacią wolnego azotu, a mianowicie z niezupełnie zużytych i przechodzących w gnicie części składowych nasienia.

W państwie roślinném spotykamy wiele urządzeń biologicznych, które umożliwiają zaopatrywanie rośliny w związki organiczne. Jeden z nich jest t. zw. *saprofityzm*. Między innemi należą tu rośliny, które w ogólności żyją w ciałach gnijących, zwane *saprofity*: do ich żywienia służy martwa materya organiczna, pochodząca z gnijących resztek organizmów zwierzęcych i roślinnych. Do téj klasy należy i próchnica, składająca się ze związków organicznych węgla i azotu. Istnieją pewne rośliny niższéj organizacyi, które z niego czerpią pożywienie, i których życie przywiązane jest do gruntu, zawierającego wspomnianą wyżéj próchnicę. W wypadku pomienionego saprofityzmu, roślina już to sama posiada zdolność asymilowania tego materyału organicznego, już to zawiązuje wspólne życie, symbiozę z inną rośliną, posiadającą wyższą zdolność do tego saprofityzmu, i żywienie swoje za pomocą asymilowanych materyj organicznych powierza téj drugiéj roślinie — niby mamce swojéj.

Inny sposób zdobywania pokarmów organicznych przez roślinę polega na parazytyzmie, t. j. gdy ta roślina jako pasorzyt (*parasitus*) żyje na innym organizmie, karmiąc się jego częściami składowemi organicznemi. Tym gospodarzem pasorzyta może być już to

---

[1]) „Andere Leguminosen sind aber in ihren Nahrungsbedürfnissen nicht ohne weiteres mit der Erbse und Lupine zu vergleichen, manche verhalten sich sicher anders; so hat z. B. die Buschbohne von der Symbiose mit dem auch in sie einwandenden Rhizobium keinen Nutzen. Es bedarf noch vieler Untersuchungen, um in dieser Frage schrittweise weiter zu kommen". Ibidem, pag. 131.

roślina, już zwierzę. Istnieją zatém rośliny pasorzytne, żyjące na roślinach, i rośliny pasorzytne, żyjące na zwierzętach.

Trzeci sposób przyswajania sobie pokarmów pod postacią związków organicznych spotykamy u niektórych roślin t. zw. mięsożernych (*carnivorae* czyli właściwie *insectivorae*), żywiących się owadami, do jakich np. należą: muchołówka (*dionaea muscipula*), rosiczka okrągłolistna (*drosera rotundifolia*), dzbanecznik (*nepenthes*) i inne.

Reasumując wyżéj wyłożone zasady, dopełniamy je najnowszemi doświadczeniami, wykonanemi na tém polu.

Zadanie chemii rolniczéj, jak wiadomo, polega na ustanowieniu, jakie materye, pod jaką postacią i w jakiéj ilości potrzebne są dla otrzymania największéj wydajności pewnéj rośliny.

Wskutek prac Sachsa, Nobbe'go i innych badaczy przyrody, nietylko ustaloném zostało, jakich materyi pokarmowych potrzebuje dana roślina, jaką rolę grają w komórce roślinnéj pomienione materye potrzebne do jéj rozwoju, ale nadto wyjaśniono cel, dla którego pewne elementa są asymilowane czyli przyswajane przez organizm roślinny.

Z wymienionéj przez nas wyżéj liczby ciał, tak prostych, jak i złożonych, kwas fosforowy potrzebny jest do wytwarzania materyi azotowych w roślinie. Żelazo wchodzi w skład chlorofilu, siarka— w skład materyi białkowych.

Rola wapnia (*calcium*) długi czas nie była znana. Dopiéro najnowsze badania wykryły ciekawy fakt, że rola ta polega nie na jego konieczności do tworzenia pewnych składowych części rośliny, ale raczéj na jego szczególném działaniu, a mianowicie, że dzięki temu pierwiastkowi szkodliwy dla roślin kwas szczawiowy, powstający zazwyczaj w roślinach jako produkt otlenienia wodanów węgla, osadza się pod postacią szczawianu wapnia.

Rolę potasu, bez którego żadna roślina nie rozwija się normalnie, dopiéro przed trzema laty należycie wyjaśnił *Hellriegel* badaniami swemi nad burakiem cukrowym i wykazał zależność powstawania wodanów węgla od tego pierwiastku.

Że azot koniecznym jest do żywienia rośliny, wynika to ztąd, iż materye białkowe są związkami azotowemi.

Nie została dotąd zbadana dokładnie rola chloru w roślinach. I jakkolwiek dawniéj utrzymywano, że obecność chloru potrzebna jest do wytwarzania krochmalu w roślinie, to jednak nowsze badania zdają się przemawiać przeciwko téj opinii.

Rola innych ciał — jak np. magnezyi, sody i krzemionki—jakeśmy to już wyżéj zaznaczyli, jest mniéj ważną i również mało znaną.

Co się tyczy wewnętrznych procesów chemicznych w roślinach, to ostatnie badania Schultza dostarczyły bogatego materyału do sprawy rozkładu ciał azotowych w procesach wymiany materyi w roślinach. Jako produkta wymiany w niezielonéj jeszcze komórce roślinnéj, występują te same materye, co i w komórce zwierzęcéj, proces zaś odbywa się według tych samych praw.

W kwestyi doświadczeń, mających na celu zbadanie potrzeb samego gruntu, a to celem dostarczenia gospodarzowi rolnemu tych zasadniczych wskazówek, na podstawie których mógłby uregulować żywienie rośliny na danym gruncie, to prof. Merker, w sprawozdaniu swojém, złożoném niedawno na posiedzeniu Towarzystwa chemicznego w Berlinie, robi między innemi uwagę, że pomienione poszukiwania, związane zresztą z niezwykłemi trudnościami, nie mogły doprowadzić do zupełnie pomyślnych rezultatów. Analiza chemiczna sama przez się jest bezsilna, jeżeli jednocześnie nie przychodzą jéj w pomoc badania warunków mechanicznych i fizycznych. Tą ostatnią drogą, dzięki pracom Orta i innych uczonych, nierównie dokładniéj bada się stan urodzajności danego gruntu, aniżeli przy pomocy saméj tylko analizy chemicznéj.

Jako główny czynnik, popierający żyzność gruntu, występuje woda, a obecność jéj w gruncie zależy wyłącznie od jego stanu fizycznego, który potrzeba ulepszać w miarę możności. Ogólna analiza chemiczna daje bardzo słabe wyobrażenie o stanie żyzności gruntu, gdyż za rzeczywiste materyały pokarmowe mogą być uważane tylko te, które znajdują się w gruncie w stanie odpowiedniego rozdrobnienia i posiadają dosyć znaczną powierzchnię zetknięcia z płynnemi częściami składowemi gruntu, aby łatwo mogły ulegać roztwarzającemu działaniu zawartego w tych płynach kwasu węglowego. Drobnoziemiste części składowe gruntu pozostają w ściśléj zależności od jego stanu chemicznego, od jego zdolności pochłaniania wody, oraz od innych własności. W skutek tego jedną z najważniejszych podstaw analizy gruntu jest oznaczenie ilości tych drobnoziemistych części, a dla wykonania tego potrzebną jest główną analiza mechaniczna.

Podług tego zdawałoby się, że nauka zrobiła bardzo małe postępy na polu sposobów oceniania, czego potrzebuje dany grunt. Otóż wynalezioną została inna metoda, przy pomocy któréj analiza gruntu wykonywa się nie w pracowni chemicznéj, ale na otwartém

miejscu, przy pomocy saméj rośliny, drogą doświadczeń praktycznych na gruncie. W tym celu na danym gruncie, w którym np. należy oznaczyć ilość potrzebnego kwasu fosforowego, rozpoczyna się uprawa jakiéjkolwiek rośliny, wprowadza się wszystkie pozostałe materye pokarmowe w pełnéj obfitości, z wyjątkiem • jedynie kwasu fosforowego. Następnie oznacza się, jaka jest wydajność badanéj rośliny na tym gruncie w porównaniu z rośliną wyhodowaną na gruncie, zawierającym, oprócz innych potrzebnych pokarmów, znaczną ilość kwasu fosforowego. Z drugiéj strony oznacza się, ile kwasu fosforowego pochłonęła ta roślina z danego gruntu. Otrzymane rezultaty pozwolą nam wyprowadzić odpowiednie wnioski w kwestyi powyższéj.

Co się tyczy roli węgla w przyrodzie, czyli jego obiegu, to wiadomo, że kwas węglowy powietrza pochłaniany bywa przez zielone części roślin, przechodzi w krochmal i inne materye organiczne, które zużywane bywają tak przez zwierzęta wyższe, jak również przez mikroorganizmy, a zawarty w nich węgiel powraca znowu do atmosfery pod postacią kwasu węglowego. Otóż taki obieg istnieje również i dla azotu.

Większa część roślin może przyjmować azot tylko pod postacią różnych jego związków, nie zaś jako azot w stanie wolnym, i nowe powstawanie takich związków azotowych ma miejsce w przyrodzie na małą skalę. Gdyby jednak ten tylko zapas państwo roślinne miało do swego rozporządzenia, to rozwój jego byłby nadzwyczaj słaby, i cała ilość związków azotowych, powstająca corocznie w atmosferze, nie byłaby w stanie dostarczyć potrzebnego w tym celu pokarmu.

Na szczęście istnieje grupa roślin motylkowych, które mogą przyswajać sobie azot w stanie wolnym i rozwijać się znakomicie. Przytém rośliny pomienione pozostawiają po sobie grunt w lepszym stanie, niż był poprzednio. Na korzeniach tych roślin znajdują się kłębki większych lub mniejszych rozmiarów. Zawierają one mikroorganizmy, hodowane już obecnie w czystych kulturach, a któremi mogą być zarażone korzenie wyżéj wymienionéj grupy roślin, celem wytwarzania nowych mikroorganizmów. Te mikroorganizmy zdolne są przyjmować, przyswajać sobie wolny azot i przerabiać go na związki azotowe organiczne, które służą do karmienia rośliny i dalszego jéj rozwoju. Jeżeli jednak roślina nie posiada ich na korzeniach, to nie jest w stanie przyswajać sobie azotu.

W pierwszym okresie po dopełnionym zasiewie, roślina rozwija się dostatecznie kosztem zapasu materyi azotowych, zawar-

tych w nasieniu. Po wyczerpaniu jednak tego zapasu, jeżeli zasiew dokonany został na gruncie ubogim w azot, rozwój rośliny zostaje powstrzymany, i wtedy — jak się wyraża *Hellriegel*, który wykonał cały szereg doświadczeń tego rodzaju — przedstawiają się nam wszystkie charakterystyczne cechy „głodu azotowego". Po kilku jednak dniach, cechy te znowu znikają, rośliny żywo zielenieją, i następuje bujny ich rozwój, ciągnący się do samego końca peryodu wegetacyjnego.

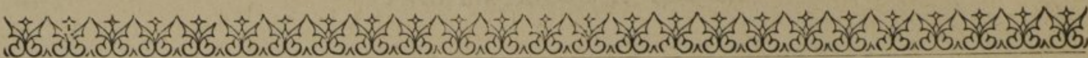
Przy badaniu roślin w tym okresie, znajdujemy na ich korzeniach liczne kłębki, a w tych ostatnich wielkie nagromadzenie wspomnianych wyżéj mikroorganizmów, zbiérających i przyswajających dla rośliny azot. Wspomniany wyżéj „głód azotowy" ustaje właśnie w początku rozwoju tych organizmów.

Powyższe badania mają bardzo wielką doniosłość. Dzięki im, przekonaliśmy się stanowczo o istnieniu obiegu azotu w naturze; dowiedzieliśmy się daléj, że zwiększenie zapasu azotu w gruncie znajduje się w rękach gospodarza rolnego. Według swojego życzenia może on go zwiększyć, zaprowadzając tych lub owych „zbieraczy azotu", i takim sposobem zebrany przez nich zapas azotu użyty być może na uprawę roślin, potrzebujących tego pierwiastku do swego rozwoju. Racyonalne gospodarstwo polega zatém obecnie na ciągłéj kolejnéj zamianie roślin zbiérających azot przez takie rośliny, które są w stanie korzystać z tego zapasu; w skutek czego, przy sprzyjających warunkach, otrzymują się takie ilości azotu, z których pomocą można by zupełnie obejść się bez nawozów azotowych.

Dalszém następstwem pomienionych badań było zaprowadzenie czystéj uprawy tych mikroorganizmów i zarażanie niemi roślin motylkowych na takich gruntach, na których nie może nastąpić pełny ich rozwój.

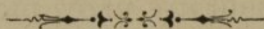
T. Skomorowski.





Z PSYCHOLOGII KOBIECÉJ.

Typy i charaktery w życiu i powieści.



To, co nazywamy duchem czasu, a co jest treścią intelektualnego życia społeczeństwa w danym okresie, odbija się doskonale w pojęciu ideału kobiecego, jaki poezya, czy powieść, właściwiej sztuka stwarza dla téj chwili. Chimena i Andromaka mogły jedynie powstać na tle Hotelu Rambouillet i pod jego tchnieniem, Fornarina i Mona Liza są wykwitem czasów Bony i Wiktoryi Colonny, Wirginia, Heloiza, Korynna wyrażają tęsknotę serc XVIII wieku do tego nastroju, który niebawem romantyzmem wybuchnie. A materyałem, w którym duch czasu rzeźbi swoje postaci jest charakter narodowy, ten podkład psychologii zbiorowéj, wyrobiony przez wiekowe współdziałanie położenia rasy, sposobu życia i przejść historycznych. Istnieje zatém pojęcie ideału kobiecego, odpowiadające charakterowi narodowemu, a miarę tego ideału przykładamy intuicyjnie do każdego typu w życiu czy w sztuce, sprowadzając przez podkréślanie pewnych cech wybitnych, charakter Polki, Niemki czy Francuzki do zasadniczych rysów. W roku zeszłym pojawił się w *Revue des Revues* szereg bardzo interesujących studyów w tym kierunku—szereg artykułów kobiet o kobietach — Carmen Sylvy o kobiecie rumuńskiej, Laury Marholm o kobiecie niemieckiéj, pani Daudet o francuskiej, Orzeszkowéj o Polce i t. d.

Wszystkie te studya miały na celu danie syntezy charakteru narodowego, rozwoju myśli i postępu pracy kobiecéj w danéń społeczeństwie, a ogłoszenie ich przez ruchliwą redakcyę „wszecheuropejskiego przeglądu" dowodzi żywego zajęcia, jakie wzbudza obecnie sprawa kobieca, wyszedłszy już z pierwszego okresu walki. Każde studyum takie, to jakby zebranie promieni widmowych w ognisku soczewki skupiającej; te rzuty ogólne i zestawienia szerokie zwracają uwagę na obszerne pola do pracy szczegółowej w tym zakresie, budzą chęć poznania i określenia tych różnobarwnych promieni, na jakie rozszczepić się musi pojęcie typu ogólnego, przechodząc przez pryzmat życia. Biorąc choćby historyę psychologii kobiecéj u nas, po przez prądy, które działały na kilka ostatnich pokoleń, znajdujemy bogactwo niezmierne materyału, który niemal nietknięty leży w starych książkach i w pamięci ludzi; z tego bogactwa wybrać pragnę część jakąś, dla scharakteryzowania wybitniejszych zwrotów téj ewolucyi, przez którą zrozumieć możemy niejedno drgnienie własnéj duszy, nie jeden objaw téj chwili, co z biciem serc naszych ubiega.

Skończonego wyrazu naszego ideału narodowego w jakiéjś jednéj postaci posągowéj szukamy napróżno w literaturze, nie mniéj jednak historya i życie ideał ten stworzyły, a rysy jego w duszy mamy wyryte... Żyje on w pojęciu, w tradycyi, w przykładzie, przesiąknął całe piśmiennictwo, choć go w klasycznéj doskonałości nie wyraziła ani poezya romantyczna, ani proza Kraszewskiego, ani powieść współczesna. Zaznaczano niejednokrotnie ten brak w naszéj epopei narodowéj, a odczuwamy go tem silniéj, im lepiéj pamiętamy postacie Księżny Izabeli, księżny Wirtemberskiéj, pani Klaudyny Potockiej, panny Tańskiej. Była w tych kobietach inicyatywa, był duch, widzimy wśród nich Polki, godne eposu. Z tego też motywu poczęły się i Grażyna i Rosa Weneda i Elsinoe i przecudny profil Dani z „Niepoprawnych" i Aniela Beniowskiego,—ale w oderwaniu od realnego tła wypadków ówczesnych, są one raczéj wyrazem abstrakcyjnym ideału odczutego przez serc tysiące. Możemy jednak wyobrazić sobie na tle codziennego życia tych czasów taką twarz o głębokiém spojrzeniu Salomei Becu, taką duszę pełną zapału i godności, z jéj pragnieniami zasługi dla męża, dla synów, nieustanną czynnością w domu, a bohaterstwem gdy potrzeba.

Jeżeli typ obywatelki *par excellence* nie zapanował wyłącznie w literaturze naszéj koło 30 roku, to tylko dla tego, że go zaćmił inny, jaskrawszy, więcéj bijący w oczy — typ heroiny romantycznéj, wspólny całéj literaturze europejskiéj tego czasu, traktowany

to wzniośle: Aldona, Marya, Laura; to ironicznie: Idalia, Sybilla Dafnicka. Po czasach pruskich, z których nam została Telimena i gorączkowem życiu księstwa Warszawskiego — nadszedł zwrot radykalny, który wychował Klementynę Tańską, Klaudynę Potocką, matkę Mieczysławską — a równocześnie Marylę, Ludwikę Śniadecką, panią Bobrową, Delfinę Potocką...

A nam téż nie był nigdy obcy ów typ kosmopolitycznéj papugi, począwszy od Telimeny i pań z „Salonów Warszawskich", a skończywszy na wielu naszych dodobrych znajomych... Wyrazem najwierniéjszym aspiracyi naszych prababek są dwie powieści pani Hoffmanowéj, w których znajdujemy skrystalizowanie najpopularniejszych ideałów epoki i całą galeryę typów z życia, ilustrującą znakomicie stosunki powszednie tych czasów.

A dla porównania z chwilą obecną, musimy, aż do prababek cofnąć się myślą, aby zmierzyć przebytą drogę i zaznaczyć najważniejsze na niéj etapy. Mało kto zwraca dziś uwagę, jaki dokument nieoceniony stanowi dla czasów pruskich „Karolina", a „Krystyna" dla Królestwa Kongresowego. Uważane pospolicie za przestarzałą, bardzo zacną i trochę nudną lekturę dla młodego wieku, mieć one powinny dla nas i mają właściwie zupełnie inną wartość, wartość materyałów historycznych, dając nam charakterystykę społeczeństwa w życiu codzienném. Nie jest to obraz artystyczny téj miary co powieści Rzewuskiego z końca Rzeczypospolitéj, bo na to zdobyć się może jedynie tak olbrzymi talent, jak autor „Listopada" ale właśnie prostota roboty bez żadnych pretensyi literackich, dały tym pracom kobiecym wielką szczerość i wielką dobitność charakterystyki.

Mamy więc u pani Hoffmanowéj typ Polki-obywatelki w całéj gamie odrębnych indywidualności: pani cześnikowa, kasztelanowa Połaniecka, Karolina, wykwintna pani Rawiczowa, rozumna Krystyna, gospodarna i prosta Celina, pełna marzeń i aspiracyi Aniela — to nie są modele, ideały z kartonu. W każdéj z nich czuć tętno życia realnego, bije w nich puls téj epoki, do któréj należą, choć ją nieraz wyprzedzają pojęciami. A obok ideałów, jakie przepyszne typy ujemne w rodzaju intrygantki Szambelanowéj, romantycznéj rozwódki Julii na tle Warszawy za księcia Józefa, malowanéj w żywych barwach pod wrażeniem świeżéj jeszcze tradycyi: wspomnieć dzieciństwa. A pokolenie następne: przesadzona Ludwika z głową zawróconą przekwitającym romantyzmem, zmieniona po zamążpójściu w pospolitą kumoszkę, albo Sabina, polująca na męża i te panny, które raz po raz umierają z miłości na suchoty, we-

dług wyobrażeń ówczesnych! Jest w téj galeryi typów kobiecych, obok kapryśnéj, a ślicznéj i uroczéj Zosi — jeszcze typ jeden, który niebawem staje się osią komedyi polskiéj i powieści obyczajowéj, pani Antoniowa typ *hic mulier*, zajmujący tak wybitne stanowisko w życiu i literaturze przez długie lata.

U Fredry samego znajdujemy go w kilku pysznych egzemplarzach od niezrównanéj Szambelanowéj, do młodziutkiej Klary, która już okazuje zacięcie do absolutnych rzędów. Wspólną cechą wszystkich odmian tego typu jest energia, stanowczość woli, przyzwyczajenie do władzy i wyrokowania apodyktycznie — a na tem tle występuje niesłychane bogactwo indywidualności, o rysach wybitnych, a zajmujących. Weźmy obok Fredry, Korzeniowskiego, Kraszewskiego, Wilkońskiego, Wilczyńskiego. Mamy wprost całą literaturę pantoflową. Czy to, że emigracya wyciągnęła wszystko, co dzielniejsze za granicę, czy, że atmosfera dusznéj reakcyi nie sprzyjała rozwojowi charakterów — dość, że dziwnie odbija niedołęstwo, miękkość i potulność mężów wobec dzielności kobiet i to stanowi cechę charakterystyczną dla szóstego lat dziesiątka w kończącém się stuleciu. U Kraszewskiugo obok zamaszystych szlachcianek spotykamy i obywatelkę i zacną żonę i dobrą matkę bo w olbrzymiém jego dziele spotykamy wszystko. Ale u niego występuje już kobieta w innéj, demonicznéj postaci, staje się przyczyną cierpienia i szału, powodem wszech złego: sfinksem, aniołem śmierci. Potężna i wszechwładna podaje upajającą czarę miłości, ale z obojętnością żywiołu druzgocze życia, miażdży serca ludzkie, i wydziera szczęście téj drugiéj, słodkiéj, kochającéj, która jest pierwiastkiem ukojenia i ciszy.

Motyw Azy i Motruny dominuje w całém wielkiém dziele, a kładzie tragiczne swe piętno przedewszystkiem na młodzieńcze, najświetniejsze utwory Kraszewskiego.

Prawdziwym historykiem epoki jest Korzeniowski, sumienny badacz swego społeczeństwa, dyagnostyk i pedagog zarazem. Przez niego to głównie nauczyliśmy się kochać to pokolenie *virago*, te dziewczęta pełne charakteru, energii, inicyatywy, zdolne do kochania i do czynu, praktyczne i trzeźwe, a jednak z poczuciem zapału, dla wszystkiego, co miłości godne. Nadzwyczaj sympatyczne są te nasze babki u pisarza, który z pewnością nie idealizował rzeczywistości. Od niego dużo, bardzo dużo moglibyśmy się dzisiaj nauczyć, a mianowicie jak powinien wyglądać, a jak nie wygląda nasz świat „pracy organicznéj“, téj idei, nieznanej w swoim czasie, któréj on był tak wybitnym propagatorem, a która niebawem stać się miała

naszą tratwą w rozbiciu. Potrzebaby nam dziś takich kobiet-ziemianek; te zdrowe moralnie, a społecznie dodatnie typy muszą nas pociągać prostotą i jasnością linii, a podnosić duchowo atmosferą chrześciańskiej prawdy, w jakiej żyją.

A wśród nich objawia się po raz pierwszy kobieta-inteligencya, kobieta-dusza. Julie, Kamille, Urszulki żyją jeszcze, kochając, poświęcając się — gdy przychodzą entuzyastki. Prowadzi je kobieta, która umysłem genialnym i duszą płomienną przerasta wszystkie wywiera ogromny wpływ na współczesnych, zostawia ślad palący swéj myśli świetnej, głębokiej w dziele z wielkich odłamów niedokończonych, lecz mija, jak meteor, zapomniana przez drugie pokolenie, nie czytana prawie przez trzecie. Bo jest to fakt, mimo wydania dzieł zbiorowych z przedmową Chmielowskiego — młodzi, nawet wnukowie entuzyastek kultu rodzinnego dla Gabryeli nie rozumieją, a wytłomaczyć można ten objaw jedynie szybkiém nieprawdopodobnie szybkiém przestarzeniem się jéj formy i faktury.

Nowożytny człowiek o nerwach naprężonych, wychowany na plastycznych obrazach realizmu, przepłynąć nie może przez to bajeczne bogactwo określeń, zapytań, wykrzykników, dygresyi. A jednak Gabryela daje nam to, co jest w kobiecie tragiczną, subtelną, czującą duszą ludzką. Widzimy kobietę wewnętrzną, samą dla siebie, gdy zwykle przypatrujemy się jéj obrazowi odbitemu w pryzmacie męskiéj wrażliwości. Z kobiet piszących świetnie i głęboko nie wszystkie mają odczucie na tę psychologię wewnętrzną: dla Georges Elliota, Orzeszkowéj, baronowéj Suttner istnieją przedewszystkiem kwestye społeczne, dla Ouidy artyzm i tragiczna miłość, pani Adam żyje Helladą, Konopnicka nędze tego świata wyrzuca Bogu, którego kocha w szumie lasów, śpiewie słowika, we wnętrzu ciemnych katedr gotyckich i w słodkich twarzach Najświętszéj Panny u Prerafaelitów. Gabryelę, obchodzi nadewszystko dusza ludzka w kobiecie, tak, jak i panią Sand. Kobieta jest u nich bardzo niepospolitym człowiekiem, ciekawym we wszystkich drgnieniach serca; u Georges Sand wszakże olbrzymieje w kobiecego „*Uebermenscha*”, u Gabryeli jest wyrazem skupionéj w sobie inteligencyi i kryształowego uczucia. Żmichowska nie była wcale wielbicielką Aurory Dudevant, choć pod wpływem téj potężnéj umysłowości zostawało niewątpliwie. Spragniona „drogi, życia i prawdy” znajdowała u pani Sand jakby własne swoje szarpanie duchowe, mocowanie, burze, niepokojące pytania bez odpowiedzi, ale na tle temperamentu wręcz przeciwnego. Północną purytankę, któréj sercem władało przed innemi poczucie dumne godności kobiecéj, razić musiała głęboko i dotkliwie

ta szeroka, wrażliwa, instynktowa natura, z całą swą bujnością zachodnią i daltonizmem moralnym. To téż ideały kobiece Gabryeli nie przypominają wcale postaci pani Sand. Obok Poganki, demona w wielkim stylu, pokrewnego zresztą demonom Kraszewskiego, występuje u Gabryeli typ egoistki zimnéj, a egzaltowanéj, inteligencya o zastygłém sercu, wybujała na tle nowych, rwących aspiracyi: taką jest Marya-Regina z „Księgi pamiątek" i poniekąd „Biała Róża" — „myśli nazbyt rozwinięte szkodzą uczuciu". Odbija od tych kobiét niebiańskie niemal zjawisko, Helusia, dziewczynka-mimoza, która ma coś z Orcia i Litki Sienkiewiczowskiéj, złożona z uczucia samego i artystycznéj intuicyi. Jednakże wybranym ideałem poetki jest wielka, gorąca dusza, szukająca prawdy z całą bezwzględnością, z całą odwagą i zapałem neofitki, przytém dusza miękka o dźwięku harfy eolskiéj, kochająca głęboko, cicho, tragicznie, bo nie kochana. Kobiety téj miary spotykamy jedynie u Ibsena. Odczuć można po bliższém wniknięciu w te dusze, pokrewieństwo blizkie między taką Katarzyną Aleksandryjską („Kasia i Marynka") i Napoleonką Hołosko („Czy to powieść"), a Elą Rentheim z „Borkmana", amerykańską ciotką z „Filarów społeczeństwa" i córką doktora z „Wroga Ludu", między tą subtelną Ksawerą, co się kochała w poecie, a nowożytniejszą, lecz równie głęboką Szwanhildą w „Komedyi miłości". Wszystkie one kochają więcéj, dłużéj, niż same są kochane; idą tak przez życie nieznane lub opuszczone, lecz bez wyrzutu i skargi, z gorącém w duszy ukochaniem ideału, bogate własném uczuciem. A wyrazem najdoskonalszym tego typu jest cudowna postać Solveigh z „Peer Gynta", co z pieśnią na ustach czeka powrotu ukochanego lata i lata całe z ufnością niezachwianą i błogosławi to życie smutne, za samą nadzieję szczęścia, za te marzenia piękniejsze, niżby je kiedykolwiek ziścić mogła rzeczywistość. Zestawienie Gabryeli z Ibsenem wydać się może dziwne, ale to z powodu olbrzymiéj różnicy techniki pisarskiéj: jakbyśmy obok siebie widzieli Simmlera i Podkowińskiego. Gdy jednak pominiemy kwestyę formy, aby tém uważniéj studyować ducha, to odnajdziemy u Żmichowskiéj wiele poczuć, sensacyi, pragnień, które się dziś w inny sposób objawiają w modernizmie, u Ibsena zaś tak głębokie wykazują zrozumienie najdelikatniejszéj, najsubtelniejszéj duszy kobiecéj, tak bezpośrednie odczucie psychologii wewnętrznéj, jak u żadnego dotąd poety na świecie: jest to zdumiewająca intuicya, przy któréj analiza i dysekcya Bourgetowska robi wrażenie mrówczéj, benedyktyńskiéj pracy. Niektóre kobiety Ibsenowskie zbliżone są więcéj do entuzyastek

Żmichowskiéj, niż do bohaterek pani Georges Sand, z któremi je Lemaître porównywał.

Bywają dusze kobiece o liniach prostych i harmonijnych jak greckie świątynie, są i takie, jak kościół wiejski i jak wspaniały renesans, inne bogactwem motywów przypominają galerye maurytańskich pałaców — u Gabryeli dusze kobiece są gotyckie.

Wysnuła je ona ze swojéj, dała im piętno swego niepokoju i swego bólu. Jedne są wyrazem subjektywnym jéj uczuć, inne odbijają drogie rysy wybranych lnb wymarzonych duchów bratnich, bo nie była odosobniona, wyciskała swe piętno i na duszach żywych w koło siebie, stała się ogniskiem, skupiającém promienie całéj konstelacyi, wyrażała swój czas, a raczéj to, co ten czas wydał najszlachetniejszego. Pierwszy to u naszych kobiet przebłysk poczucia sił własnych, pierwszy atak o udział w myśleniu samodzielném, o miejsce w pochodzie cywilizacyjnym ducha. Usiłowania jeszcze dyletanckie, ale tak świetne inteligencyą, tak promienne i śmiałe, że zazdrościć musimy takiego przebudzenia i takiego wschodu nowéj idei.

W całym ówczesnym ruchu entuzyastek było dużo jeszcze pozy romantycznéj, dużo efronteryi dziecinnéj wobec opinii publicznéj, ale było przedewszystkiem zrozumienie konieczności stanięcia umysłowo o własnych siłach, skoro w mężczyźnie nie znajdowało się téj podpory, jakiéj z całém zaufaniem radzi szukać Hoffmanowa. W ten sposób sama Żmichowska charakteryzuje ów pierwszy okres walki o emancypacyę...

Potém przyszedł rok 70-ty.

Wojna francusko-pruska stała się słupem żelaznym na granicy wielkich przemian duchowych XIX wieku.

Dla naszego społeczeństwa ta data zaznacza wyraźnie przełomową chwilę — coś runęło w przeszłość, dopiéro wtedy sposób radykalny i niezbity poczuliśmy się sami, własnym jedynie zostawieni siłom. Od tego téż czasu zaczynają się układać te warunki ekonomiczne i nadchodzą te prądy umysłowe, które nas, pokolenie ostatnie — wychowały. Bezpośrednio po roku 70-tym, a na pokolenie, które wtedy nadrasta, na te serca młode z tradycyą widzianych w dzieciństwie obrazów, spada filozofia pozytywna, naturalizm, determinizm...

Na Zachodzie był to ruch tak potężny, tak wstrząsający wszystkiemi objawami ludzkiéj myśli, że dotąd jeszcze, choć inne już piętrzą się prądy, spychając ten — w przeszłość, ani mocy jego, ani wpływu, ani rozmiarów, nie dosięga żaden. Skutki jego trwają nieo-

bliczone i nieobliczalne: olbrzymi rozwój techniki wszelkich umiejętności, wzrost potęgi materyalnéj, a z drugiéj strony destrukcyjne działanie filozofii racyonalistycznéj. Ta sama doktryna, która naukę popchnęła o krok olbrzymi naprzód, stworzyła pyszną literaturę i zostawiła imponujące ślady w sztuce — kładła wyznawcom swoim w usta tę głęboką skargę „*Dafür ist mir auch alle Freud' genommen*".

U nas — ani tak świetny w czynach, ani tak rozkładowy w działaniu, bo nie ogarnął mas szerokich — miał pozytywizm tę istotną zasługę, że określił i podniósł wysoko ideał twardéj, żelaznéj pracy, skupiając koło tego sztandaru młode siły... Ale równocześnie otwierały się horyzonty pracy naukowéj i społecznéj, a spodziewano się od nich tyle! W takiéj atmosferze dojrzewała Orzeszkowa i Konopnicka — i na tę właśnie chwilę przypada druga faza emancypacyjnego pochodu naszych kobiet.

Entuzyastki podjęły teoretyczne części zadania; otaczał je pewien urok poetyczności, rzucały więc śmiałe myśli, szczęśliwe przyjaźnią wspólną, poczuciem swéj wyższości i swą idealną filozofią. Kobiety, które przyszły po nich, miały cięższe chwile.

Nie chodziło już bowiem o rozprawy przy kominkowym ogniu, o apostołowanie pięknych idei; ale o kawałek powszedniego chleba, o przyjęcie wszystkich konsekwencyi samodzielnego życia, o twardą żelazną pracę i to pod pręgierzem nieprzychylnéj opinii. Wątpliwości filozoficzne, szarpanie wewnętrzne, utrata prostéj, gorącéj wiary, ciężkie przejścia moralne, towarzyszą tym wysiłkom emancypacyi ekonomicznéj. Ile głębokich dramatów kobiecéj duszy spoczywa gdzieś w niepamięci! Na tém tle można zrozumieć bluźniercze wybuchy Konopnickiéj i zimną, zamkniętą w sobie, surową obojętność Orzeszkowéj, z czasów „młodości górnéj, chmurnéj".

Ten moment psychologiczny, to wrzenie gorące i rewolucyjne w kobiecie, tego czasu wyraził w dramatach swoich Świętochowski („Piękna", „Ojciec Makary", „Niewinni"); jest w kobietach jego odwaga dochodzenia do konsekwencyi ostatecznéj każdéj idei, bez względu na rozterkę wewnętrzną i tragiczny konflikt z otoczeniem.

Jednakże równolegle z tym wybuchem gwałtownym uśpionych dotąd dążeń niezależności i swobody myśli, rozwijał się wśród naszych kobiet prąd inny, na gruncie katolickim, religijnym, nieprzerwanie od Hoffmanowéj aż do dni naszych z panią Duchińską. Deotymą, Krakowową, J. M. Zaleską i całym szeregiem wybitnych wychowawczyń, dzielnych pracownic, gorliwych obywatelek. Długim sznurem ciągną się nazwiska znane kilku pokoleniom młodzieży, wymawiane z serdeczném uczuciem, które zawsze towarzyszy wspo-

mnieniom z lat dziecinnych. Przez nie zakwitła literatura dla młodego wieku, one wprowadziły w czyn wiele pożytecznych przedsięwzięć, wiele dobrych ziarn rzuciły w młode serca. Obce wstrząśnieniom niepokojących zagadnień, stojąc na gruncie wiary i pobożności, nie szły z najśmielszemi umysłami rozbijać się o problemy prawdy i nieskończonéj tęskoty, ale umiały uprawiać swój zagon pilnie i rozumnie, przyczyniając się do postępu sprawy kobiecéj i innych, w sposób praktyczny. Kierunek ten pociągnął natury refleksyjne, czynne, zdrowe, kontemplacyjne zaś i skłonne do ekstazy, o ile nie poszły przodować wśród „niezależnych myślą, stworzyły sobie inne ujście przez egzaltacyę religijną, opartą o „Naśladowanie", przesiąkniętą wysokim ideałem ciągłego doskonalenia się.

Z tego ducha wyrosły „Niepokalanki", założone przez panią Darowską, ten duch wieje od działalności pani jenerałowéj i panny Zamojskiéj w „Kuźnicach", na tym podkładzie rozwinęła się niejedna delikatna dusza i subtelna inteligencya. Pierwszém w kraju ogniskiem, około którego skupiły się aspiracye zdobycia wiedzy, chęci szerszego wykształcenia dla kobiet — były kursa ś. p. Adryana Baranieckiego, inicyatora i niestrudzonego krzewiciela téj myśli. Był to jakby pierwszy wyłom w dobywanéj fortecy, w pierwszych latach swego istnienia miały te kursa istotnie znaczenie uniwersytetu kobiecego, otwierały nowe horyzonty; późniéj, gdy poziom wykształcenia średniego podniósł się ogromnie we wszystkich zakładach naukowych, kursa zajmowały wśród nich zawsze wybitne miejsce. Na ten czas po roku 70-tym, przypada także pierwsza fala studentek zagranicą i w Petersburgu, tych studentek z obciętemi włosami, wśród strasznie ciężkich warunków egzystencyi, których los kreśli Orzeszkowa w swojém studyum o „Kobiecie" z przed lat kilkunastu.

Ruch ówczesny odbywał się na podkładzie ekonomicznym walki o pracę zawodową, z bardzo silném, wyraźném zabarwieniem społeczném Dominującą jego cechą była miłość dla wzgardzonych, ciemnych, uciśnionych, współczucie gorące i chęć wspólnéj obrony, wspólnego dorabiania się praw egzystencyi.

Program ten zrodził się na północy w uniwersytetach rosyjskich i szerokiemi rozszedł kręgami przez studentów i studentki, miał w sobie siły dużo i wyłączności, tak, że wyciskał na adeptach swoich piętno pewnéj specyalnéj cywilizacyi, pewnego skupienia w kierunku ściśle określonym z pożytkiem dla wyznawanéj idei, ze szkodą dla wszechstronnego rozwinięcia umysłowego. Prąd ten oparł się o Warszawę i obrał w niéj stałą siedzibę, ale wymieniwszy

się na drobną monetę ogarnął pensyę i odbił się w „Emancypantkach” Prusa. Emancypacya naszych matek, twarda, borykająca się z trudem, i smutna jak konieczność, przebyła samodzielnie te drogi myśli, któremi następne serye emancypantek nie przestają chodzić z przyzwyczajenia, a z tém przekonaniem że codziennie odkrywają Amerykę. Utarte formuły, utarte zwątpienia, utarte o postępie frazesy, a postęp ten tak zaśniedział, że zdrowy krytycyzm ustępuje przed słowami „wiedza przyrodnicza”, „społeczeństwo” w całéj deklinacyi „niezależność kobiety”. Słowa te działają tak jak „tabu” u Murzynów, mimo proklamowanéj głośno swobody myślenia, bo ta, ograniczona jest całym sztabem powag, na które się przysięga w trudniejszych wypadkach. Takie wrażenie ogólne o tym ruchu wynieśćby można ze znakomitéj téj powieści głębokiego pisarza, gdyby pewne karykaturalne zacięcie nie nadawało jéj cech lekceważenia, które cieszy jednych, innych oburza, a w rezultacie zmniejsza znaczenie téj dyagnozy kobiecego ruchu, wśród teraźniejszych i przyszłych pensyonarek. Pani Latter jest wspaniale traktowana, ale typ to raczéj ujemny odnośnie do pokolenia Orzeszkowéj. Naiwna, przenaiwna Madzia nie wyraża téż charakterystycznego typu społeczniczki nowego pokroju, panna Howard jest już poniekąd parawanową figurą z historyi emancypacyi po całym świecie; tak więc to, co właściwie historyę dwóch pokoleń stanowi nie wychodzi dośc ostro, jasno, i wyraźnie w postaciach pierwszoplanowych. Mimo tego, znakomicie wypadła ogólna charakterystyka umysłowego stanu tych panien, wychowanych na pozytywizmie, co filozofię swoję biorą z drugiéj, jeśli nie z dziesiątéj ręki.

Najlepsze intencye, najgorętsze porywy, najszczersza chęć wiedzy wszystko to marnuje się przez brak samodzielności w myśleniu: stąd panowanie frazesu, który „jak miedź brzęcząca i cymbał brzmiący” zagłusza wszelką samoistność, stąd zastój cywilizacyjny całéj téj generacyi, przeżywającéj dziś duchowy dorobek poprzedniego pokolenia. A może byłby już czas na reakcyę: smutny bowiem jest los wszelkich epigonów, a można tak samo zesztywnieć w formie klasycznéj, jak i w romantycznéj, tak samo w duchu metafizycznym, jak i w pozytywnym. I tylko poczucie łączności żywéj z tą chwilą, która będzie jutro, odmładza wiecznie.

Z prądem świeżych uczuć i nowych ideałów przychodzi odrodzenie umysłowe, ale wtedy jedynie, gdy przygotowana jest rola pod bujną wegetacyę. Ta warszawska atmosfera ma jakby wybrane warunki do przyjmowania szybko nowych prądów; ale to całe nieszczęście, że w zetknięciu z nią, każdy prąd nowy zamiast wstrzą-

snąć umysłami i porwać je swą siłą, sam doznaje modyfikacyi: rozstrzela się, schodzi na usługi mody, zaczyna żyć ogólnikami i wchłania w siebie całą technikę wielkich słów, technikę swego poprzednika. To téż ponad chwilowemi zwrotami upodobań i myśli w różnych kierunkach, króluje stale tylko ten prąd, który był najsilniejszy, więc jeszcze wpływ wywiera, choć należy do dnia wczorajszego, choć spełnił swą rolę i co mógł najlepszego już wydał. W młodości swéj z płytkością i frazesem walczył na ostre, ale w miarę wyczerpywania się, zaczął im ulegać i został wreszcie przez nie opanowany.

I oto fakt niezaprzeczony: gdy głębsze umysły inicyatorów tego prądu doszły do wyrobienia sobie bardzo samodzielnych poglądów filozoficznych i trafiły swoją własną drogą do jakiejś prawdy religijnéj i życiowéj, gdy taki Prus przez usta profesora Dębickiego daje wyraz swéj afirmacyi, te młode głowy pensyonarskie i studenckie gubią się w zupełnym chaosie. Biedne Ady, biedne Joasie, biedne Madzie ze swymi braćmi! Ich edukacyę moralną i filozoficzną pozostawiono im samym, nie dając żadnych podstaw do samodzielnéj pracy w tym kierunku, natomiast umysły z natury słabe, przez gimnastykę intelektualną doprowadzono do przyjęcia wykształcenia, przewyższającego znacznie ich inteligencyę. Dotąd była to historya wielu zwichniętych chłopców, obecnie staje się historyą „emancypantek”. Umysły wybitniejsze znoszą lepiéj tę kulturę, niż Ada i Madzia i one to stanowią podstawowy zastęp armi emancypacyjnéj, którego nam u Prusa brakuje. Te dwie panienki stoją na jednym krańcu łańcucha, a p. Howard na drugim. Środek zajmują osoby, ani tak naiwne, ani tak śmieszne i krańcowe: wykształcenie mają nieraz znaczne i pracują bardzo porządnie. Stempel téj saméj szkoły znać na nich jednakże w sposobie traktowania „sprawy kobiecéj” z uroczystą powagą, w pewném, stylowém już zacieśnieniu horyzontu i w charakterystyczném zadowoleniu z ważności swéj roli społecznéj.

Uderzającym rysem dla czasów pani Latterowéj są przykre kolizye małżeńskie. Kobiety tego pokolenia dobremi żonami nie bywają dość pospolicie. W mężczyźnie po epoce pantoflowéj budzą się autokratyczne popędy, któremi chce zahamować niepokojący już ruch ekonomiczny kwestyi kobiecej. Żenią się jeszcze ludzie powszechnie, dużo więc kobiet wychodzi zamąż ze zwyczaju, bez uwagi na dobranie się duchowe. Jestto czas przejściowy: kobieta niezadowolona z małych praw przy dużych aspiracyach, czująca się już na siłach zapewnienia bytu swą pracą, zrywa nieraz pęta nieod-

powiadających jéj związków, nieraz znosi je *tant bien que mal*; ale od sakramentalnéj uległości daleka, z poczuciem czy to wyższości swéj, czy odrębnéj logiki, zaznacza dobitnie swoje niezadowolenie. Niebawem jednakże, pod wpływem nowych prądów, nowych zapatrywań na kwestyę kobiecą stosunki układają się inaczéj i po tym okresie przejściowym, następuje nowa era w dziejach rodziny.

W przeciągu téj ćwierci wieku wielka ewolucya ekonomiczna przewróciła od góry do dołu prawie wszystkie nasze stosunki społeczne, ale przedewszystkiém odbiła się na życiu wiejskiém. Przejście tak radykalne od łatwiejszych warunków bytu do zachodniego niemal tempa wymaga pracy, konkurencyi, produkcyjności, przy równoległem wzrastaniu potrzeb, kosztowało wiele smutnych doświadczeń. Patrzeliśmy na ruiny dużych fortun w nieprawdopodobnie krótkim czasie, z powodu niezdolności do prawidłowego rozwoju według gospodarczych zasad nowoczesnych. Widzieliśmy téż przykłady przystosowania się do życia na zmienionym gruncie, nagięcia do warunków i potrzeb chwili, a odbywało się to względnie szybko na dwóch następujących po sobie pokoleniach i zostawiło ślady głębokie w psychologii tych ludzi. Zeszła się więc teorya ewolucyi i walki o byt z demonstracyą praktyczną na tle naszych stosunków: przystosowywanie do okoliczności odbywa się ciągle, według ścisłéj, reguły naukowéj i przekształca naszą społeczność od urządzenia domu, aż do pojęć popularnych. Troska o chleb powszedni, nieznana dawniéj w téj mierze na wsi, wyrobiła kult dla praktyczności, będącéj ultimatum egzystencyi i postawiła na pierwszém miejscu niepokojące pytanie: „być albo nie być”—w znaczeniu materyalném. Wszystkie zresztą inne okoliczności: wzrost dobrobytu w miastach, dochodzenie pracą do znacznéj fortuny pieniężnéj na kresach cesarstwa, rozwój przemysłu na dużą skalę, rozpostarcie jednostajnéj kultury europejskiéj, równie jak pamięć przeszłych zawodów, wreszcie realizm w życiu, sztuce i literaturze, złożyły się na wyrobienie u nas nowych ideałów. Ideały te opierają się z jednéj strony o głęboką myśl odrodzenia moralnego i ekonomicznego przez długą, cichą pracę, ale drugim krańcem graniczą z ciasném, egoistyczném zadowoloném z siebie filisterstwem. Mieści się między temi punktami widzenia wiele stopni pośrednich, ale niestety—żadne przeciwieństwo jaskrawe i bijące w oczy nie rozdziela tych dwóch krańców, tak różnych pod względem wartości etycznéj i społecznéj; to też nieraz oba podciągane bywają pod jeden sztandar! „*Eheu* smutno!”. I przy rozszerzeniu pola pracy produkcyjnéj, przy podniesieniu stopnia oświaty przeciętnego szlachcica, przy znacznym rozwoju krytycy-

zmu i wobec nowych horyzontów naukowych — nie podniosła się wcale atmosfera duchowa, bo ją zacieśnia i przytłacza codzienna proza życia, które straciło już ostatnie odblaski romantyzmu, a niema jeszcze warunków do rozwinięcia działalności publicznéj na szerszą skalę. Ten kierunek wychował sobie pewien przeciętny typ kobiecy, bardzo powszechny, a przystosowany do takiego życia, które nie rozlewa się szeroko, ani głębokiém płynie korytem. A gdy praca społeczna wciągnęła w swe koło znaczną liczbę kobiet samodzielnych, to natomiast ten zakres obywatelskości czysto kobiecéj, jakiego żąda Hoffmanowa, coraz mniéj wybitnie występuje, coraz bardziéj przechodzi w zacieśnioną formę interesów rodzinnych, według wzoru francuskiego. Ze zmianą stosunków zanika niemal w użyciu współczesnych ten piękny i charakterystyczny wyraz „ziemianka“ na oznaczenie stanowiska, które na myśl przywodzi tyle serdecznych i blizkich obowiązków. W ostatnich czasach i w niektórych okolicach budzi się między młodemi kobietami pewna reakcya przeciw téj obojętności, ale jakże często nie możemy dostrzedz wśród sympatycznych, anielskich i anielkowatych Polek, ani śladu inicyatywy.

Najpopularniéjszym ideałem ostatniéj doby stała się stanowczo Marynia Połaniecka. Jest ona wyrazem i wzorem naszéj panny wiéjskiéj, typem tak skończonym w swoim rodzaju i tak odpowiadającym rzeczywistości, że w odmianach nieznacznych odnajduje go się codziennie ze wszystkiemi zaletami, które stanowią wielką jéj wartość etyczną i z tą samą biernością, pod względem społecznym, co charakteryzuje najmłodsze pokolenie kobiet polskich z téj sfery. Marynia jest inteligentna; ma delikatne, kobiece zrozumienie wielu rzeczy: odczucie na artyzm Zawiłowskiego, na gorące, zacne serce Świrskiego. Jednym z głębszych jéj rysów jest nawet przywiązanie do ziemi, do wsi rodzinnéj; za panieńskich czasów zajmowała się energicznie gospodarstwem, interesowały ją żywo sprawy, poruszane w poważnéj rozmowie przez pana Jamisza. Wyszedłszy za mąż, z pewnością tych pojęć nie zatraciła, ale w indywidualności jéj zacierają się odtąd wszystkie rysy, oprócz tych, co tworzą idealnie dobrą żonę. Cały świat już widzi w mężu, nie chce mieć większych od niego ambicyi, ani innych pragnień, zamyka się w swéj uroczéj bierności, która stanowi *das ewig weibliche* i ani jedném słowem nie poddaje myśli odkupienia wsi rodzinnéj, ani jedném życzeniem szerszéj pracy społecznéj dla męża nie wybiegnie po za ramy tego życia, jakie on jéj stworzył. To, co za najbliższe obowiązki uważa, spełni z nieporównanym wdziękiem i słodyczą: będzie troskliwą, kochającą, rozumną matką, bardzo dobrą panią dla domowni-

ków, serdeczną przyjaciółką i to jéj do życia wystarczy. Interes jéj dla spraw ogólnych będzie się ściśle stosował do stopnia interesu obywatelskiego męża: jego inicyatywę odczuje i pochwali, ale jéj nie obudzi sama, choć zyska wpływ ogromny, właśnie przez dobroć swą, poczucie taktu i brak egoizmu.

Obok Maryni grupują się: pani Emilia, Bigielowa, Śniatyńska, Przerwicowa z „Anioła Śmierci“, Helena z „Fermentów“, cała galerya idealnych żon i poświęconych matek: jeden hymn na cześć rodziny. Tylu małżeństw szczęśliwych i dobranych nie widziano już dawno w życiu i powieści; musiały zatém jakieś ogólne przyczyny spowodować ten objaw, a zarazem wychować taki typ kobiety, jaki najlepiej odpowiada rodzinnéj atmosferze. I choćby to miało na paradoks wyglądać, największą zasługę w tym względzie przypisać należy emancypacyi.

Nie domyśla się wielu piorunując na „emancypacyjne zachcianki“, że ten prąd rozlał się tak szeroko i faktycznie przeniknął już pojęcia popularne całego społeczeństwa.

Emancypacya dając kobiecie wybór między wyjściem za mąż a niezależnością, stworzyła tém samem możliwość małżeństwa „z wolnéj i nieprzymuszonéj woli”. Ideałem zaś stało się małżeństwo z miłości i oto już pierwszy warunek. Wychowanie staranne, rozwinięcie umysłowe przygotowało kobietę do przyjęcia obowiązków rodzinnych z całém zrozumieniem ich ważności.

Z drugiéj strony zmieniły się okoliczności: pracy zawodowéj wymaga dziś konieczność, a zdobywania wyższéj wiedzy tak dalece nikt bronić nie myśli. To, co dla pierwszych pionierek niezależności było celem gorących usiłowań, dziś staje się udziałem wielkiéj liczby kobiet, wśród których obok jednostek wyrobionych duchowo i świadomych swoich pragnień, znajdują się i takie, które o samodzielności myślą z obawą, jeśli nie ze wstrętem. Byłoby to przekonanie zbyt optymistyczne, gdybyśmy przypuszczali, że rodziny zakładają się już jedynie na zasadzie duchowego zrozumienia i prawdziwéj miłości w myśl wybornego zdania pewnéj rozumnéj niemki, która mawiała córkom: *Heirathet nur wenn ihr so vernarrt seid, dass ihr das Heirathen gar nicht lassen könnt. Denn die Heirath als Versorgung das ist Unsinn.* Tak jeszcze nie jest i kto wie, czy będzie kiedy. *Heirath als Versorgung* bardzo dużą odgrywa rolę w ekonomii życiowéj. Ale coraz trudniéjsze warunki bytu ograniczają liczbę małżeństw, pospolicie więc konkurentów nie liczy się na tuziny i jaka taka panna wychodząc za mąż za tego jedynego, którego jéj przeznaczyła Opatrzność, nie traktuje go z góry, jako „pierwszego lepszego“, bo wątpi

czyby się „drugi lepszy“ znalazł wogóle. Stało się, bądź co bądź, to co tak złośliwie przedstawił Prus w karykaturze panny Howard: różni Mydełkowie (mogą być zresztą młodzi i przystojni) w wielkiéj są cenie, a kobiety z których każda umiałaby sobie radzić w życiu przekładają dobrowolnie „wiarę, miłość, uczciwość i posłuszeństwo małżeńskie”. Emancypacya oddziałała zatém w sposób dwojaki na kwestyę matrymonialną, z jednéj strony wyrobiła głębsze zapatrywanie na małżeństwo z miłości i z przekonania, z drugiéj zaś wpłynęła na podniesienie w cenie tego życia rodzinnego, które, z powodu warunków materyalnych nie wszystkim dostaje się w udziale, nabiera więc coraz bardziéj uroku rzeczy niepowszedniéj, trudnéj do osiągnięcia.

Gdy „Emancypatki“ dały nam poznać aspiracye społeczne pewnego odłamu kobiet, a „Rodzina Połanieckich“ stosunki obywatelskie i świat zamożnéj inteligencyi, to na klasycznym gruncie polowania na męża znajdujemy się w „Siostrach Malinowskich“ Alfreda Konara. Wyborne to studyum psychologiczne wprowadza nas w atmosferę średniéj burżuazyi warszawskiéj, jest to sam kwiat filisterstwa na tle istotnéj troski o byt powszedni. Zdobycie mężów dla córek stanowi tu warunek *sine qua non* utrzymania „pozycyi“, dla któréj życie całe znosiło się trudów tyle i pracowało z wysiłkiem prawie nadmiernym. Ta „Mama Malinowska“ jest jako typ wprost niezrównana z całą genialnością oszczędności groszowéj, ze swym sprytem kupieckim i ze wszystkiemi meskineryami zaradnéj kumoszki. Siostry Malinowskie to dzieci Warszawy *jusqu'au bout des ongles.*

Co za finezya, co za poczucie ducha czasu, jaka trzeźwość i jaki zmysł oryentacyjny! Każda w swoim rodzaju jest tak wystylizowana na ideał bieżącéj chwili, że służyćby mogły za czuły galwanometr do wskazywania prądów, jakie w okresie kilkunastoletnim przebiegają przez gust publiczności. Jestto wprawdzie tandeta, ale jak łudząco, jak misternie podrabiana: naiwność poetyczna, inteligencya subtelna, weryzm i wagneryzm, trzy serye stosownie do wymagań najświeższéj mody, a to wszystko na tle takiego szyku, takiéj zręczności wrodzonéj, prawdziwe *articles de Varsovie.*

Nie byłaby ta powieść tak doskonałém odbiciem myśli współczesnéj, gdyby nie przenikała jéj najpopularniejsza idea chwili, wyrażona tak silnie w zakończeniu apoteozą rodziny. Jeżeli jest szczęście to jeszcze tam — i tam jedynie w poczuciu pożytecznego i czystego etycznie żywota, jeśli zaś szczęścia absolutnego rodzina nie daje, czy to z powodu niedoskonałości wszystkich rzeczy ludzkich,

czy też dla własnych człowieka win, błędów i zboczeń, to przynajmniéj stanowi tę zasadę dla któréj żyć warto. Tak mówią nam kolejno trzy utwory powieściowe z lat ostatnich. „Rodzina Połanieckich“, „Siostry Malinowskie“ i „Fermenty“.

Na tym dogmacie życia rodzinnego opiéra się cała budowa naszéj filozofii popularnéj w obecnéj chwili; jest to naturalny i logiczny wynik wszystkich przejść duchowych i materyalnych społeczeństwa od lat kilkudziesięciu: doprowadziły one do skupiania i zogniskowania wszystkich niemal sił żywotnych w tym jedynym organizmie społecznym, który ma wszelkie dane do pełnego i normalnego rozwoju. Gdy profesor Waskowski mówi nam o wcieleniu idei Chrystusowéj w dzieje narodów i o cywilizacyjnem posłannictwie „najmłodszych z Aryów“, to przyjmujemy te idealne, a promienne wywody za złudzenia słodkiego człowieka o niebieskich oczach, które inne pamiętają czasy i nad wielkiemi sprawami wiele łez wylały.

Nie liczymy się z tém na seryo, mimo najszczerszych chęci nie umielibyśmy wzbudzić w sobie takiéj prostéj i żywéj wiary, choć lubimy słuchać téj muzyki lat minionych, zdaje nam się jakby „echo grało“. Ale o chrześcijańskiéj prawdzie, o chrześcijańskiéj zasadzie rodziny nie zwątpiliśmy ani na chwilę. Wierzymy w możliwość najszlachetniéjszego charakteru, najszczytniéjszego poświęcenia, najserdeczniéjszéj dobroci, najstalszéj cnoty, najgorętszego serca na tle téj drobnéj społeczności, którą zbudowała miłość, a przejął duch Chrystusowy.

Wśród rozbicia prądów umysłowych, programów, haseł, wśród przygnębienia, które w nas pogłębia każda zawiedziona nadzieja, wśród tęsknego i umęczonego poszukiwania dogmatu, jest rodzina chrześcijańska tym ideałem, którego za chmurami szukać nie trzeba, ideałem, który wcielić można w życie. Na téj niwie ziarno Ewangelii wydało najobfitsze plony; jest to nasza wielka afirmacya jedna z nielicznych, które się ostały przed niszczącym powiewem hyperanalizy i sceptyzmu, a może ona być podstawą odrodzenia moralnego i ekonomicznego rozwoju społeczeństwa.

Ale istnieje typ rodziny, opartéj na dobrém małżeństwie, wzorowéj, która, mimo to, nie odpowiada obowiązkom gorliwéj służby społecznéj, typ z Zachodu do nas importowany, a zastępujący z biegiem czasu szerokie pojęcie staropolskie familii.

W chwili kryzysu ekonomicznego, rozwinęła się pewna samodzielność dzieci, które konieczność zmusiła do liczenia na własne siły. Wszelka emancypacya zaczyna się od niezależności pieniężnej. Wyszło z tego pokolenia dużo ludzi dzielnych, dorobili się majątku

i znaczenia, inni przeszedłszy twardą szkołę, zdobyli sobie pewne utrzymanie, inni przekształcili w duchu czasu gospodarkę na wsi rodzinnéj, którą tém uratowali, wszyscy zawdzięczają egzystencyę lub dobrobyt własnéj pracy.

Ludzie ci przyzwyczaili się mówić dużo „o błędach ojców", uważać się za trzeźwo myślących, a cały zapas idealnych uczuć i sentymentalizmu wrodzonego koncentrują w życiu rodzinném. Własne przejścia mogłyby im dać pewne wskazówki, co do wychowania dzieci. Dzieje się coś wprost przeciwnego. Pamiętni swych trudnych początków, całą myśl, całą pracę wytężają ojcowie na to, aby ich swoim dzieciom oszczędzić. Życie „dla dzieci i przez dzieci" jest dewizą, a pragnieniem zabezpieczenie każdemu z dzieci przyszłości o tyle, aby jak najmniej potrzebowało pracować. Nie tylko wychowanie najstaranniéjsze, najczulsze, jest przedmiotem wszystkich usiłowań rodzicielskich, ale za obowiązek niemal pierwszorzędny uważane bywa zapewnienie dzieciom wygód, dostatku, przyjemności, choćby to trudem okupić przyszło. Rodzina chrześciańska wychowuje dzieci dla Boga, dla kraju, dla bliźnich, do pracy i trudu; dzieci w jéj idei, nie są celem, ale pomocą, rodzina nowego typu cały ciężar trudów i obowiązków składa na barki rodziców, którzy mają żyć dla dziecka jedynie, dla jego przyszłości, jego szczęścia. Jestto system francuzki doprowadzony tam do *maximum* w kierunku materyalnym, przez uświęcony tradycyą i siłą opinii publicznéj obowiązek, zebrania posagu dla każdego dziecka. Na gruncie naszym objaw to względnie nowy, charakterystyczny dla pokolenia, które wzrosło samo wśród walki o byt i zupełnie innym warunkom zawdzięcza swoje wyrobienie. To może największa różnica między systemem francuskim, a naszym, że tam oszczędność z praktycznością w parze, wysila się na złożenie pieniędzy dla wyposażenia w dzień ślubu syna, czy córki, u nas przy atawistycznéj żyłce do życia nad stan, wszystkie dochody ludzi zamożnych obracane bywają po większéj części na zapewnienie dzieciom komfortu i największéj sumy przyjemności. Rodzina tego pokroju, o tyle ceni społeczeństwo, o ile ono może coś dać jéj dzieciom; więcéj ma od niego wymagań, niż dla niego obowiązków; z jéj stanowiska wydawanie pieniędzy na cele użyteczności publicznéj, nie jest właściwie dozwolone, jako uszczerbek majątku, co stanowi własność dzieci.

Dlatego też ewolucya rodziny w tym kierunku jest dla nas bardzo poważném niebezpieczeństwem, bo tę jedyną sferę, w której rozwijać się może myśl szersza i duch obywatelski, przejmuje swém tchnieniem egoizm rodzinny, ze wszystkich najwyłączniéjszy, z téj

racyi, że się sam cnotą mianuje. Jeśli zatem rodzina taka daje cel w życiu i szczęście jednostkom, to z punktu widzenia naszych interesów ogólnych stanowi wartość ujemną. Nie możemy jeszcze przesądzać na jakich ludzi wyrosną te dzieci chowane starannie, ale miękko i delikatnie, to tylko pewne, że nie staną tak przygotowane do walki o byt jak ich ojcowie, co przeszli samodzielnie szkołę życia. A mamy przed sobą do rozwiązania problem egzystencyi materyalnéj i cywilizacyjnéj, po prostu być, albo nie być. Pomocniczych środków żadnych, niebezpieczeństw i trudności wiele; liczyć możemy jedynie na dzielność osobistą, na inicyatywę prywatną, na wyrobienie pracowników wytrwałych. Takich ludzi nie wychowuje atmosfera adoracyi rodzinnéj, dla któréj dziecko jest środkiem świata. Dopiero co konieczność popchnęła do samodzielności, do próbowania sił własnych, do jedynego kierunku, co może przynieść zdrowie społeczne, a już następuje zwrot z téj drogi!

Nietylko jednakże chodzi o zahartowanie dziecka do życia, jakie go czeka na niwie naszéj, ale i o stworzenie koło niego duchowéj atmosfery, którąby tchnęła miłością wielkiego celu, wielkiego ideału. Zacieśnianie umyślne widnokręgu dla tém gorliwszego spełniania obowiązków macierzyńskich jest poprostu niezrozumieniem zadania. Rozwój duchowy i umysłowy dziecka zależny jest przedewszystkiém od rodzinnego życia, szerokiego w poglądach ibogatego w uczucia... Rozszerzyć widnokrąg po zarodziną, to nie znaczy rodzinę opuścić duchowo,— przeciwnie — to wprowadzić ją w koło dążeń wyższych, to stworzyć dla niéj atmosferę bujniejszego, bogatszego życia, to obudzić szlachetną ambicyę działalności najpełniejszéj, na jaką sił starczy. Kobieta, która czuje dużo i czuje głęboko w najciaśniéjszych nawet ramach stosunków wiejskich i prowincyonalnych—stworzy w domu życie, zamiast wegetacyi roślinnéj lub mechanizmu bezdusznego porządnych automatów. Stworzenie tego życia duchowego — to właściwie najgłówniéjsze zadanie wychowania; nie można po nad to dać dzieciom nic cenniéjszego — w tém cały sens istnienia. Ogromna, niczém nie zastąpiona wartość ogniska rodzinnego, jego wpływ na całą przyszłość, zależą od téj atmosfery, przenikającéj wszystkie zakątki wrażliwości dziecięcéj.

Otóż z tą kwestyą w najściślejszym związku zostaje ten typ kobiecy, którego ideałem jest Marynia Połaniecka. Ona sama, taką atmosferę ciepła i szlachetności wytworzy niewątpliwie na tle Krzemieńca, który kocha przy mężu rozumnym; choć nie wprowadzi w to życie wielu pierwiastków osobistéj inicyatywy, ale bo też nawet z pewną biernością swoją jest ta Sienkiewiczowska Marynia du-

żo głębsza i wyższa duchowo od swéj przeciętnéj kopii. Urodził się jednak klasyczny dla tego typu kobiet malarz, któremu zawdzięczają skończony wyraz swéj istoty. Gdy poznajemy te ładne i miłe osoby mamy wrażenie, jakbyśmy przeglądali album główek kobiecych Stachiewicza — tak wszystko jest wdziękiem i słodyczą, tak nic nie liczono na głębszy wyraz. I właściwie dopiero te kopie *à la* Marynia doprowadzają bierność swą do ideału, a rozkochanie w dzieciach do zupełnéj, doskonałéj obojętności na wszystko inne.

A jednak ten dwór polski, jeżeli tradycyą żyje i poczuciem obowiązków najbliższych, to wychowuje jeszcze takie panny, jak panna Anka z „Ziemi Obiecanéj“ Reymonta. Bardzo dzielna panna, bardzo rozumna, głęboka, a przy całéj słodyczy i cierpliwości taka niezależna duchowo, tak pewna swej drogi i swéj prawdy, — umie dużo kochać, i dla kochanych jest promieniem słonecznym. Narzeczonemu ufa, wierzy w jego bogatą, rozumną, energiczną działalność, a pojmuje ją jako obowiązek społeczny; ale gdy intuicyą kobiecą odczuwa jego karyerowiczowskie ambicye, którym ona stoi na przeszkodzie, usuwa się z jego drogi — z delikatnemi słowami przebaczenia. Nie jest przytém naiwna wcale, nie podlega złudzeniom, ani sentymentalnym porywom. Taka kobieta to ogromna siła — czy na wsi gospodaruje, bliska sercem kościołowi, plebanii i ludowi, czy w mieście roztacza opiękę nad przybranym ojcem, usiłując rozproszyć jego tęsknotę ku temu życiu wiejskiemu, którego sama wyrzekła się z tak ciężkim żalem — czy ludzi fabrycznych ratuje i pielęgnuje chorych — czy wreszcie ochronkę zakłada — zawsze jest tą samą inteligencyą i wolą, która dąży do pełnienia dobrego przez miłość. Takich kobiet trzebaby nam dużo, takie wnoszą do rodziny dużo światła i ciepła, promieniują na otoczenie, takie wychowują dzieci w atmosferze poczuć obywatelskich.

Jest i w „Rodzinie Połanieckich“ jeden profil wyróżniający się głębokością natury, zamkniętéj w sobie, aspiracyami wyższemi i uczuciem tak szczerém, że konwenansowe nie krępują go względy. To Stefcia Ratkowska, do któréj może zbliża się Ela z „Anioła Śmierci“ Tetmajera, choć tylko pozornie, przez pewne podobieństwo sytuacyi. Te dwie przeczą twierdzeniu Płoszowskiego że z „łabędziowych Polek“ żadna, nie zdobyłaby się na taki dowód szczerości uczucia, poświęcenia i pogardy konwenansu, jaki mu dała Klara Hilst, natura wyjątkowa, kochająca bez cienia egoizmu. Ale nie żądać tego od Anielki. Cały jéj urok, hypnotyzujący wielu mężczyzn, tak, jak hypnotyzował Płoszowskiego, polega na téj niejasności psychologicznéj, która się splata z nieświadomego zupełnie egoi-

zmu, słodyczy, mogącéj za dobroć uchodzić i absolutnéj mglistości pojęć moralnych, stąd musi się Anielka czepiać i trzymać silnie formułek, po za któremi groziłby jéj niechybnie upadek.

Ma być w Polkach jakaś duma odrębna w rzeczach miłości, duma instynktowa i wrodzona, co z nich czyni niedostępne, ale tém więcéj urocze „królewny". Ale jest przytém i świadomość, że ta duma stanowi wdzięk i potęgę ogromną, jest i taka bezwiedna kokieterya matki Ewy, tém niebezpieczniejsza, im mniéj sztuczna, im bardziéj nieświedoma. Anielka zgodna z kodeksem małżeńskim, imponujące sobie saméj cnotą, którą doprawdy ceni nad życie, z moralnością chrześcijańską kobiety prostéj a rozumnéj rozchodzi się ogromnie.

Od pierwszego kroku fałszywego same komplikacye, sprowadzone przez brak szczerości z własném uczuciem, przez takie strusie chowanie głowy w piasek. Anielka nie zdaje sobie sprawy, że grzechem jest przysięgać przed ołtarzem miłość, gdy się ją czuje dla innego, nie myśli, że słabością charakteru jest trzymanie rozkochanego człowieka na uwięzi, przyjmowanie choćby bierne jego hołdów, branie z uczucia jego tych pierwiastków, co zadawalniają kobiecą miłość własną. Przypomnijmy sobie jedną z najpiękniejszych postaci, jakie powieść polska kiedykolwiek stworzyła: Zofię z „Listopada". Cięższe było jéj położenie w tych stosunkach z przed lat stu, ale jéj natura wykwintna i prawa nie straciła nic z kobiecego wdzięku przez pójście za głosem serca i prawdy. Narzeczeństwo zerwane wtedy było wielką winą w jéj oczach, a przecież miała odwagę; — Anielka idzie za Kromickiego, *par depit* nie tylko bez miłości, ale i bez głębszego szacunku dla tego człowieka, a robi to w czasach, które sankcyonują zrywanie zaręczyn niedobranych. Ale taka, zupełnie taka, jak jest, powinna była być w naszéj literaturze, inaczéj nie mielibyśmy wyrazu na urocze, słodkie, przemiłe istoty, co łamią życie ludziom i sobie.

Czy to ideał? Przez oczy człowieka śmiertelnie zakochanego patrzymy na Anielkę — tak patrzy i autor, a inni zakochani będą w niéj nieraz odnajdywali drogie rysy. Postawić ją w warunkach normalnych, dać dobrego, kochającego męża — będzie dobra i szczęśliwa, dopóki pierwsza poważniéjsza trudność życiowa nie każe jéj wybierać pomiędzy poświęceniem się absolutnem, a połowiczną sytuacyą z dnia na dzień.

Jest to objaw, powtarzający się peryodycznie w historyi ducha ludzkiego, że gdy życie zaczyna zastygać w formach szablonu, na tle jakiegoś kierunku, który już spełnił swoje zadanie — zrywa się

gdzieś na świecie silny wicher reakcyi. Najniespodziewaniéj budzą się po zapadłych kątach echa — szum tego wichru, prąd tego powietrza poruszający w duszach struny na ten sam ton nastrojone. Jest w tém pęd jakiś żywiołowy; trudno zrazu dostrzedz, jak na różnych punktach tleją iskry wśród popiołów: ten wiatr je rozdmuchuje, aż wielkim ogniem wybuchną w filozofii, w sztuce i w życiu.

Jesteśmy na schyłku wieku, o którego znużeniu powiadają nam ci, co najwyższą kulturą zachodnią żyli, potomkowie staréj rasy, moralnie i umysłowo przesubtelizowani dekadenci. Jesteśmy u progu nowego życia i nowéj sztuki, która z wielką mocą spycha w przeszłość tych delikatnych, „mających umrzeć“ albo żyć dzień tylko jeden, a daje sztandar w rękę silnym, bezwzględnym, szczerym, a szczerym aż do okrucieństwa — prowadzi ich nad głębie i przepaści przez „wązkie, trudne, skaliste wydroże — Skąd runie, kto nóg pewno postawić nie umie. Do takiéj drogi trzeba być śmiałym i mocnym, mieć już za sobą tradycye wielkiego artyzmu, a należeć do społeczeństwa jeszcze młodego cywilizacyjnie. W atmosferze cieplarnianéj, na podkładzie intensywnéj cywilizacyi europejskiéj, wyrastają w naszym klimacie jednostki wyrafinowane inteligentne o szlachetnym nastroju i słabéj woli, jak Płoszowski i Bukacki, ale dekadentów rodzinnych z gruntu własnéj kultury nie mamy, bośmy jeszcze nie przeżyli męskiego wieku i jedynie przez odbicie Zachodu możemy być zmęczeni myślą i pracą stuleci.

Na całéj jednéj generacyi wybitniéjszych umysłów odbił się u nas ten duch, co stworzył tam Burgetowskich bohaterów: ta sama nerwowa wrażliwość, ten hyperkrytycyzm, ta jasność w obec siebie — w pokoleniu, do którego należał Płoszowski. Ale Płoszowski, gdyby się nie był zastrzelił — miałby dziś lat przeszło czterdzieści, po nim nadeszły już serye młodsze, ludzi innych. A ci czémkolwiek są, w każdym razie nie są dekadentami w tém znaczeniu, jakie przyjęliśmy od tych biednych Rzymian, ginących z wycieńczenia. Taki genialny Rdzawicz, silny, brutalny, zuchwały, taki Wichlicki wdzierający się na szczyt Risz-tau, taki Podkowiński, a z nim legion żyjący ogniem i fantazyą, strawiony gorączką w służbie sztuki — ten, niezmożony całemi latami strasznéj egzystencyi na dalekim Wschodzie, i tamten, idący przebojem po przez biedę, trud i tęsknotę do celu — to ludzie, w których wre życie. A każdy z nich poświęci wszystko, co poświęcić można, z uporem zaciętym, niezłomnym, dla swéj duchowéj niezależności, dla wyrażenia odrębności swojego „ja“.

Takich ludzi rozumie kobiéta nowożytna, ta, co obok wdzięcznych główek Stachiewiczowskich, wychowała się nad tą samą gdzieś Wartą, Pilicą, czy Bugiem, w tych samych warunkach na tle śpiącéj atmosfery sąsiedztw wiejskich, lub téż w stolicy odważyła się być sobą, żyć własném życiem wewnętrzném.

Skąd wzięła się tak odmienna organizacya duchowa, skąd tęsknota do ideałów innych od tych, które czci otoczenie? To tajemnica owych szeptów, co poprzedzają przyjście nowego prądu. Ją karmił duch reakcyi przeciw wszystkiemu, co banalne i słodkie, przeciw temu, co choć z daleka tchnie frazesem. Młodość jéj była najczęściéj przykra i chmurna, w rozterce duchowéj z otoczeniem, ale bogata rozwojem wybujałym i pełném życiem na łonie natury, któréj język mówi do jéj duszy bezpośrednio całą swą mocą i barwą. Pragnienia jakie przychodzą, nadzwyczajne, rwące w nieskończoność—w dzieciństwie marzenia o męczeństwie, później o miłości, o sławie.

Wyratować swoje niepospolite „ja" z powodzi codziennych, szarych egzystencyi, wyodrębnić się myślą i uczuciem, dojść do swojéj prawdy, a przedewszystkiém żyć i żyć w słońcu. Z portretów Podkowińskiego patrzy nam w oczy kobieta nowożytna z naturalnością szczerą i prostą: w jéj rozumném spojrzeniu maluje się wyraz stanowczéj za siebie odpowiedzialności i to poniekąd stanowi charakterystykę ogólną, — tak, jak i wyraz skupienia, jak piętno inteligencyi nie zawsze może pierwszorzędnéj, ale zawsze osobistéj. Każda twarz jest tu inna, każda świadomie zaznacza wybitną, a choćby odrębną indywidualność. Niepokojąca uroda główek Aksentowicza dodaje jeden jeszcze rys interesujący, choć już tchnący stylem, do charakterystyki tego ciekawego stworzenia, które od Mony Lizy nauczyło się patrzeć i uśmiechać. Wyczółkowski z bajeczną brawurą wydobył z téj ruchliwéj fizyonomii nienasycone pragnienie wrażeń: złych, dobrych, silnych czy subtelnych — byle więcéj, byle nowych.

Portret własny Bilińskiéj, tryumfalny wybuch silnéj, zdobywczéj twórczości kobiecéj — i portret własny Boznańskiéj — jedna z najgłębszych skarg kobiecości, dla któréj poza miłością wszystko jest niczém, to dwa wyrazy ewolucyi, pierwszy i końcowy—między niemi rozgrywa się tragedya kobiety nowożytnéj. Silném tętnem biją w jéj duszy dwa motywy zasadnicze— miłość i ambicya, i splatają się czasem w jedno uczucie najpotężniejsze: ambicyi dla człowieka kochanego. Budowniczy Solness pocałował małą Hildę w usta i obiecał wznieść dla niéj kiedyś nadpowietrzne pałace. Ona to pa-

mięta, myśli o nim, i przychodzi upomnieć się o spełnienie wielkiéj obietnicy. Lecz musi wiedzieć, czy jéj pan i bohater wejdzie bez zawrotu głowy, aż tam w górę, na szczyt nowo-wzniesionego gmachu. To jest trudne, niezwyczajne, jest niebezpieczne, i dla tego właśnie on to zrobić musi. Solness dosięga wierzchołka, lecz traci równowagę i rozbija głowę o bruk. W okrzyku radosnym Hildy: „mój, mój, mistrz", gdy go widzi w górze u szczytu, mieści się synteza i wyraz téj miłości kobiety nowożytnéj, a nie jestto motyw pustéj, zalotnéj panny Kunegundy, co rycerza słała między lwy, nie — Hilda kapryśna, prawie okrutna, żądna niepospolitości dla wrażenia, ma jednak silne poczucie, ideału, niepohamowany pęd ku górze, gdzie śmiały czyn, i wolna myśl panują.

W ojczyźnie Nansena w taki sposób i w tym kierunku objawia się to uczucie, u nas inaczéj, ale równie silnie.

Aniela była taką duszą, ona,
Z Beniowskim tworzy jednego rycerza
I bohatera...

Tak, wcieleniem współczesnéj duszy kobiecéj o najszlachetniejszym dźwięku, jest ta Podolanka, „do Heglistki wcale niedorośnięta — bliższa Afrodyty pięknością", a tak głęboka uczuciem, tak niezależna w postępowaniu, tak subtelnie inteligentna. Nie waha się Aniela na tajemną rozmowę wezwać ukochanego i z prostotą mówić mu o swém uczuciu silném — „czy ty nie ufasz że ja zdołam jedna — Oprzéć się — zostać twoją". — Już wtedy w głosie jéj drga żal, że ten co jéj sercem Czarnego Zawiszę przypomniał — swoją dumę nad jéj uczucie przenosi, ten żal wyrywa się miękkiém, cudném:

„Ja przebaczyłam już, ale mi smutno" — ale wybucha w wielką, nieutuloną skargę, gdy Beniowski po powrocie z Krymu żegnać ją przychodzi na zawsze.

„Cóż ja kochałam, kochając człowieka
W cóż ja wierzyłam, wierząc w serce?!

Przez wszystkie chwile tęsknoty ubrała swego rycerza w pragnienia rwące sławy i zaszczytnéj służby, a oto staje przed nią widmo „żebrackiego żołnierstwa", tułaczéj doli — ale nie to ją zabija — w nieszczęściu silna, nędze dzielić gotowa. Ale on nie mógł w sobie zrodzić wiary — w jej serce.

...„ta wychudła twarz i te łachmany
Są przecież ludzkie — a ty jak szatany
Zimny".

„Gdy patrzę w twoje oczy — widzę jasno —
Że ty naprawdę żegnasz. — Wieki miną,
Te gwiazdy, które dziś świecą — zagasną —
A nie odmieni się sercom, co giną
Nic a nic! Lecz ty nie przez duszę własną
Tak postępujesz ze mną — z tą jedyną
Duszą, co tobie spadła, jak z miesiąca
Siostra i matka razem — i służąca".

„Nie przez duszę własną" — „musi być jakaś okropna przyczyna" — jeszcze w téj chwili serdecznego bólu — myśli o tém „ta jedyna dusza", aby jego zasłonić, wytłomaczyć, uniewinnić, zrozumieć. To miłość—taka uświadomiona, taka subtelna w wyrazie — miłość kobiety o niezmierném rozwinięciu duchowém, i o szerokim horyzoncie i dlatego Aniela, antyteza wszystkich Anielek — jest przeczuciem ideału kobiety współczesnéj; i nie starościanka z czasów barskich, ani kobiéta romantyczna — ale blizka nam nowożytna maluje się w tych słowach:

„Choćby na twoich piersiach była sroga
Śmierć, jako piorun przychodząca boży,
Głowie, co na twéj piersi się położy
To kiedy patrzę na świata pustkowie
Kiedy—a wszystko obejrzałam wzrokiem
Czuję, że to jest jedyne wezgłowie
Ta pierś oblana moich łez potokiem,
Tu na kamieniu tym żałosną głowę
Pozwól położyć, reszta jest obłokiem
Reszta jest niczém — ten świat — ziemia cała".

Taką kobietę, dumną poczuciem swéj wartości, a kochającą bez dumy wychował Ibsen i Słowacki. Ibsen ujął w tysiącznych rysach i rzucił w kilkadziesiąt postaci, bardzo wybitnych, bardzo ciekawych — powiedział o niéj tak wiele! Wielka inteligencya i wielki charakter, nieokiełznana ambicya, żądza wrażeń i niepospolitości, histeryczne wybuchy, przeczulona wrażliwość, prawa, odważna otwartość i piekielna przewrotność — długie, ciche poświęcenia i żywiołowa niepowstrzymana chęć używania, wszystko wyprowadzone z tych dwóch motywów zasadniczych: miłości i ambicyi — na tle odmiennych temperamentów, a nad wszystkiém dążenie do niezależności duchowéj. Tę walkę o niezależność zaczyna Nora, ale Nora nie jest kobietą współczesną, która się już wychowała w warunkach równouprawnienia umysłowego — Nora należy do historyi, do przeszłości z przed lat 30-tu — do czasów wojującéj paradoksami emancypacyi. Zupełnie już współczesna jest Agnieszka z „Branda"

— najpiękniejsza postać, jaką ten duch nowy stworzył. Agnieszka ma narzeczonego — życie jéj się uśmiecha, ale dusza to jeszcze uśpiona — gdy nadchodzi Brand.

Oto jakaś umierająca staruszka wzywa pomocy, a do samotnéj chaty za fiordem przedostać się można tylko łodzią. Nad fiordem szaleje burza. Brand się nie waha — pojedzie ale z nim jechać musi jeszcze ktoś drugi u steru. Agnieszka spodziewa się; że tym drugim będzie jéj narzeczony — czeka—żąda od niego takiego czynu. Stchórzył. Agnieszka żegna go na wieki; siada sama obok Branda, ujmuje ster — wiara w dobrą prawę dodaje im siły i zapewnia zwycięstwo nad żywiołami. Odtąd już złączyły się ich losy, ta kobiéta cicha i silna staje się duszą jego duszy, miłością jego serca, jego szczęściem i towarzyszką w trudnéj drodze, jaką obrał do służenia bezwzględnéj prawdzie z dewizą „Wszystko albo nic". Miłość bez granic i wiara w ukochanego człowieka, pragnienie doskonałości, ideału niepowszedniego, któremu w ofierze przynosi się życie własne i życie najdroższych — to rysy zasadnicze téj pięknéj duszy, na któréj tragiczne piętno wycisnęła wielka boleść macierzyńska po stracie jedynego dziecka.

Jeżeli wszakże miłość najwyższa i poświęcenie bez granic znajdują wyraz w kobiecie nowoczesnéj téj miary, to w innym typie pokrewnym jéj przez ambicyę—i aspiracye wygórowane, dochodzi do artyzmu najbardziéj wyrafinowany egoizm. Organizacya bujna i fantastyczna żyje sensacyami: naturą i sztuką, a zwłaszcza duszą własną, któréj szuka we wszystkich tych zwierciadłach, przeglądając się to z narcyzowém uwielbieniem, to z bolesną ciekawością.

Głód wrażeń pchnąć ją może do niegodziwości lub do upadku, lecz uniesienie chwil dobrych odkrywa w niéj całe skarby szlachetności, zapału, uczucia. To taka Hedda Gabler, taka Janka z „Fermentów" Reymonta, natury niezmiernie zbliżone psychologicznym podkładem, tylko Hedda inteligencyę ma subtelniejszą z poczuciem jasném pierwiastków złych i tragicznych własnéj natury. Tego krytycyzmu nie ma Janka, któréj umysł chaotyczny, nieświadomie przewrotny, przedstawia stan zamętu, więcéj jeszcze niż „fermentu" jak chce autor. Wyobraźnia wybujała, ale inteligencya to ani zupełna, ani głęboka, choć wrąca i świetna. Jest w niéj tylko wyraźne pragnienie niepospolitości i wybitne w tym kierunku dążenia; jest silne, panteistyczne zlanie się z naturą, zrozumienie wszystkich jéj głosów, odczucie wszystkich barw, drgnienie serca na każdy jéj szept tajemniczy. Po za tém brak subtelności duchowéj i brak poczucia prawdy — i olbrzymi, przesłaniający wszystko egoizm, co

nic prócz własnych cierpień nie czuje, nic, poza sobą nie widzi. Że Janka w atmosferze lichéj trupy teatralnéj upada, to jest konsekwencyą smutnego położenia, ale że potém z poczuciem olimpijskiém swéj wyższości, traktować może lekceważąco, źle, niegodziwie, człowieka, któremu chce oddać rękę, to jest już wynikiem natury wysoce samolubnéj—egoizm ten w najdrobniejszych przezierający szczegółach, ta chęć zrobienia przykrości drugim dla zgłuszenia własnego cierpienia, zbliżają Jankę do Heddy Gabler. „Cóż to za pudło obrzydliwe, pewno kapelusz służącéj" — pyta Hedda staréj ciotki— zrzucajac ze stołu kapotkę, którą sobie ciotczysko na przywitanie siostrzenicy umyślnie sprawiło. A Hedda wie o tém. Do nieufności dała Janka narzeczonemu wszelkie powody, lecz nie zważając na to, wyjeżdża tajemniczo do Warszawy, niechby temu człowiekowi serce pękło, ona zadowolni wspaniałomyślną fantazyę dopomożenia Zaleskim, a spotkawszy z powrotem Andrzeja w wagonie, daje mu uczuć swą wyższość, i obojętność, w przykry sposób. Porywy litości dla biednych i takie objawy zupełnego braku serca charakteryzują świetnie tę wybujałą i spaczoną naturę. Naraz, teatralna, niewytłomaczona psychologicznie zmiana: z gwałtownéj Heddy, czuła, sentymentalna mateczka, żadnego przejścia wewnętrznego, żadnéj walki w młodéj kobiecie. Od powtórnego upadku ratują bohaterkę: okno zamknięte a drzwi otwarte, jedynie dlatego poczciwy Andrzej cieszy się domowém szczęściem, które szczebiot dziecka rozwesela, i dlatego demoniczny Witowski — *romantique ariéré*, odjeżdża obrażony. Gdyby nie ruch nienaturalnie szybki, jak w kinematografie, to mielibyśmy może wrażenie silne téj logicznéj, zacierającéj wszystko, chłonącéj i ból wielki i wielkie porywy, konieczności codziennego życia. Mielibyśmy też historyę ogromnéj większości tych kobiét, rwących się do życia bujnego, którym los daje natomiast obowiązki, oplatające żelazną obręczą i szarą dolę przeciętnéj egzystencyi wśród pospolitego otoczenia. Ale w życie takie całemi latami sączą się, kropla po kropli, fermenty, zanim zbuntowana dusza drogą przemian, cierpień i pracy wewnętrznéj dojdzie do zrozumienia głębokiéj syntezy tego zwyczajnego życia, codziennego mozołu i odczuje całą wartość organizacyi rodzinnéj. Do tego się dochodzi — ale nie z dnia na dzień i nie bez trudu. Ci niepospolici ludzie są—niewątpliwie, ale czasem nie spotyka się ich przez życie wcale, często mijają obok. Żyć trzeba dla zwykłych i ze zwykłymi — i to się powoli układa. Nie jest to może szczęściem, ale nie jest i desperacyą. Zupełnie zaś tragiczny i desperacki motyw, odzywa się w kobiecie, gdy ją ogarnia pustka, gdy sama stworzyła

między sobą a otoczeniem przepaść, a skupiła całąswą istotę w oczekiwaniu uczucia, które czy zawiodło, czy nie przyszło wcale; czas idzie nieubłaganie, młodości słońce zachodzi „z niém reszta nadziei”.

Taka Jadwiga Strzeliska z „Anioła Śmierci” w gruncie rzeczy uczciwa i dobra dziewczyna, ogromnie „*modern*”, z pragnieniem wielkiéj miłości, którą czuje jak żadna, ale wprost zwichnięta, zdesperowana, dla głodu wrażeń głębszych. Cała jéj niesmaczna efronterya i układanie romansów cudnych, to tylko próby oszołomienia, zgłuszenia jęku, co się wydziera, gdzieś z pod serca. Ten jęk płaczem spazmatycznym wybucha u milionowéj Żydówki Róży w „Ziemi obiecanéj” Reymonta, ten jęk cichy, stłumiony odzywa się w tysiącu serc.

Najświetniejszy może dokument psychologiczny, do studyów nad kobietą nowożytną, stanowią pamiętniki genialnéj Maryi Baschkirtzeff. Są tam wszystkie pierwiastki téj skomplikowanéj organizacyi, ale podniesione do potęgi, w najsilniejszym swym ujęte wyrazie.

To, co u innych aspiracyą jest, marzeniem, szkicem, u niéj czynem się staje, rzeczywistością; to co na kilka rozdzielone natur, z każdéj zrobiłoby niepospolitą i wybitną, łączy się w téj jednéj, tak wyjątkowo i wszechstronnie obdarzonéj. Wielka uroda z inteligencyą olbrzymią, wybitna muzykalność, głos piękny, wreszcie talent malarski istotnie pierwszorzędny, a do tego wykształcenie rozległe, wszystkie środki materyalne na zawołanie, pozycya w świecie u czoła kosmopolitycznéj arystokracyi, ale jéj ambicya przewyższa jeszcze to wszystko, ambicya i dumne poczucie swéj genialności.

Hardy, potążny „nadczłowieb”, jest w téj dwudziestokilkoletniéj dziewczynie, nad którą zawisła tragedya powolnego konania w pełnym rozkwicie świetnéj karyery artystycznéj. Szalona żądza wiedzy, potęgi, panowania, przez piękność i przez sztukę, szczepi w młodziutkiém sercu egoizm silny, który żywiołowo wybucha, chce hołdów, ubóstwienia; Wielki artyzm i wielkie nieszczęścia rozszerzają w lat kilka ten bogaty umysł, tak, że pragnieniem obejmuje horyzonty niezmierne, poza dumném poczuciem wspaniałego „ja”. Natura jéj mięknie, rozgrzewa się, pogłębia, uczucie nią owłada pełne, a dziwne: miłość-przyjaźń dla genialnego artysty Bastien - Le Page'a, mrącego tak jak ona, na suchoty. Tén motyw uczucia, w obliczu już prawie „niepożytéj” śmierci, czyhającéj na to dwoje, i świadomość bezwzględna tego, co przyjść musi nieubłaganie, tragicznym akordem kończą to krótkie jak błyskawica, ale téż błyskawicowo świetne życie. Żyć najpełniejszém życiem, jakie

w wybujałéj wyobraźni wymarzyć można i żyć krótko, zostawić ślad istnienia swego w niepospolitéj wartości dziełach!

Marya Baschkirtseff jest przedmiotem podziwu i zazdrości dla tych spragnionych dusz, co się rwą do wyrażenia swéj istoty osobistym, odrębnym a genialnym językiem w sztuce, lub do miłości tęsknią nieskończenie doskonałéj, a mrą powoli w poczuciu niedostatku swego talentu i w długiém oczekiwaniu rzeczy silnych, które nie przychodzą, przychodzi starość. Kobiétę nowoczesną oplotły aspiracye artystyczne i ciagną ją w wir téj niespokojnéj, rozdzierającéj sztuki modernistycznéj z nieprzepartą siłą. Fala ta w nurtach swych zatapia wiele, a od czasu do czasu wyrzuca z głębi, jakąś indywidualność niepospolitą, Dla kilku kropel olejku różanego zbiera się całe pola róż. Trzeba męki serdecznéj, krwawego trudu, porywów nad siły tylu i tylu istot zwichniętych, zgniecionych, zdeptanych w drodze, aby wystrzelił w górę wśród nich jeden potężny talent, jeden głos mocny i świeży. Że ten objaw, jak wszystkie zresztą dążenia naprzód, kosztuje dużo ofiar to pewna. Z żalem do świata, z goryczą cierpką snują się talenta zapoznane i złamane, w imię urojonéj genialności zaniedbuje się wiele potrzeb najbliższych, obowiązków najświętszych, ale ten wir silniejszy nad wszystko. Taki pęd do studyów poważnych, do nauki oderwanéj, i do sztuki, wielkiéj sztuki, jest wybuchem nieprzepartym ducha czasu, a istnieje niezależnie od utylitarnego prądu emancypacyjnego, który się zrodził z potrzeb ekonomicznych. Obok czystéj sztuki, jest i sztuka przemysłowa, zatrudniająca wielką ilość kobiét, tak, jak je zatrudnia pedagogika i literatura, coraz szersze pola zdobywane z trudem, otwierają się powoli przed szeregiem armii szaréj, bezimiennéj, walczących o byt. Ale kobiétę nowożytną trawi gorączka wydobycia się z szeregu, przejmuje ją wstręt do szarości i bezimienności, stąd dezercya z drogi już zdobytéj, piaszczystéj wśród równiny, stąd darcie się na wyżyny z krwawym znojem, ale i z zapałem zaciekłym. A prąd ten, opanowawszy umysły wybitne udzielił się i takim, które nie mają wielkich danych do wyjątkowości. I stąd poczęła się szerzyć gwałtownie epidemia fałszywych aspiracyi. Ktoby chciał pisać historyę psychologii obecnéj chwili musiałby objawowi temu poświęcić jeden z najważniejszych rozdziałów. Fałszywe aspiracye, cały ten wielki ciężar przy śmieszności sztucznych nastrojów, skrzywionych umysłów, przewrotnych zdań, niedociągniętych, chaotycznych inteligencyi, nadmiernych pretensyi, wysiłków i wymagań umysłowych. Tak, cały ten ciężar wlecze za sobą sprawa kobieca a mimo tego, idzie naprzód, wołając wytrwale: „światła, więcéj świa-

tła". Istotnie trzebaby światła dużo, jakiejś jasności aż jaskrawéj, aby tę mgławicę, ten półmrok chaosu rozproszyć, a rzecz ta staje się coraz bardziéj zawikłana, coraz trudniejsza, nie do rozwiązaaia już, ale wprost do osądzenia. Brakuje bowiem wyraźnego kryteryum, któreby dozwalało dążenia głębokie, szczere, pewne swych sił i swych celów odróżnić w samym początku od chorobliwych, przesadzonych ambicyi. Kierunek, który przychodzi w sztuce, nie znosi mierności, wymaga pierwszorzędnych umysłów, potężnych talentów i subtelności niesłychanéj; zarazem jednak wprowadza formy niezmiernie łatwe do naśladowania i posiada wiele danych do wytworzenia klasycznego gruntu dla rozwoju bujnego wszystkich fałszywych aspiracyi. Biada! Niebezpieczeństwo jest groźne:

„Troje nas jest współczesna Laokona grupa —
Ale wąż wielkich pragnień dusząc, darzy życiem".
(Wiersz p. Maryi Konopnickiéj, w książce zbiorowéj Forpoczty).

Być może wkrótce takich „współczesnych grup Laokona" będziemy mieli dużo. „Wąż wielkich pragnień" już szepce córkom Ewy, że stać się mogą równe „Panu Panów", artyście, magowi współczesnemu. Nie zawsze, nie zawsze. Munch, Wiegeland, Przybyszewski— a p. Costenoble i p. Komornicka, różnica jest, tak — różnica duża— i to może najtragiczniejsza nuta, która dziś ledwie brzmiéć zaczyna, ale zadzwoni jeszcze, zadzwoni w duszy nowożytnéj kobiéty-artystki. Czy pod wpływem modernistycznéj sztuki rozwinie się w naszéj kobiécie instynkt niszczenia. żywiołowa nienawiść — miłość, mocowanie się rozpaczliwe z mężczyzną? Element ten był nam obcy nawet jako pojęcie: ojciec, brat, mąż, narzeczony, kochanek, przyjaciel, to mężczyzni, ale synteza wyrazu „mężczyzna", jako pierwiastku złowrogiego, przed którym wszakże pada się na kolana, nie przeniknęła uczucia, nie stała się tragicznym podkładem wzajemnych stosunków. Dziś przebija ten motyw w literaturze „najmłodszych", ale w życiu spotyka kobiéta w naszych stosunkach tak często na drodze swojéj dobroduszność i szlachetność, przyjaźń i szacunek, a namiętne ubóstwianie w połączeniu z namiętną pogardą, tak wyjątkowo, że zawiść i gorycz nie mają czém sycić swego jadu. Jedynie w umysłach fanatycznych doktrynerek, rozmiary emancypacyi duże przybiera poczucie krzywdy, wyzysku, zależności, a wypływa ono raczéj z teoryi, czasem z osobistego zawodu, niż z głębokiego instynktu mysogenii.

Nie można zresztą przesądzać, jaki typ nowy stworzy najbliższa przyszłość, obecnie jest ich wiele, odrębnych, ale pokrewnych

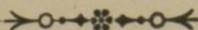
pewnemi rysami zasadniczemi. Gdzieś w zakątku wiejskim taka dusza cicha, głęboka, uparta i niepodległa, gdzieś w miasteczku prowincyonalném jakaś inteligencya ciekawa i wrażliwa, jakieś serce gorące i mistyczna, rozpalona wyobraźnia...

Gdzieś w Paryżu, czy Monachium organizacya tragiczna, przepalona fermentacyą myśli świetnych, wrzących, niespokojnych, w Zurychu czy Krakowie jakiś umysł, skupiony w sobie, świadomy swych celów, szukający w nauce drogi do wyrażenia się przez rozumną pracę. O równouprawnienie duchowe nie walczy już ta kobiéta współczesna z mężczyzną — bo je ma, stoi obok najbujniejszych umysłów, rozumie je, rozumie wszystko. To téż wyrabia się typ nowożytnego małżeństwa, w którém kobiéta dzieli umysłowe życie męża: jest to połączenie duchów równych i przenikających się wzajemnie inteligencyi. I w tém szczęście. Tysiące interesów intelektualnych wiąże tych dwoje przyjaźnią i szacunkiem, wplata się w ich miłość, stwarza im życie pełne, przez dążenie do czynu, przez bogatą działalność. Z chęcią do pracy, z świeżemi siłami staje obok mężczyzny, kobiéta umysłowo dojrzała, rozwinięta uczuciem i zrozumieniem obowiązków, obejmująca wzrokiem horyzonty szerokie, i przez to odpowiada pojęciu naszego ideału kobiecego. Brak jéj może téj pogody i prostoty, jaką miały prababki za Hoffmanowéj i Korzeniowskiego, żyje zbyt gorączkowo, przyspieszoném tętnem, ale żyje duchem czasu i nie poprzestając na biernéj roli, przyjmuje żywy udział w rozwoju myśli i pracy wspólnéj.

I dla takich — program — zostawił Słowacki:

„Jestem w zapale —
I oto mówię, że piękność kobiety —
Nie jest, jak mówi ksiądz, czartów ułuda —
Lecz może — w duchu będąc — robić cuda.
Lub sama przez się robić, lub się w drugą
Duszę przelawszy, być w niéj siłą, mocą.
Zaczepną bronią w ręku i kolczugą
Sercu, i słońcem, które świeci nocą
I panią razem i razem być sługą
I nawet w świecie aniołów — pomocą —
Wdzięczność to cudna — ducha nie obarczyć —
A świat dać, za świat stanąć i wystarczyć“.

Julia Krzymuska.



Z piśmiennictwa hiszpańskiego.

W przeciągu niewielu miesięcy Madrycka *Academia de la Historia* utraciła, dzięki nieszczęśliwym wypadkom, trzech wybitnych swych członków: w sierpniu 1897 r., w Santa Agneda tragiczna śmierć *Don Antonia Cànovas del Castillo* pozbawiła ją prezydenta, który był w jednéj osobie mężem stanu, mówcą, historykiem i poetą; we wrześniu fatalny upadek spowodował zgon męża w sile wieku, niepospolitego polotu myśli, jakim był *Don Luis Vidart*, który łączył żołnierskie skłonności z zamiłowaniem do literatury pięknéj i historyi, który wskrzeszał znakomite postacie, zasłużone na polu militarném i historyczném, jak Markiz de Santa Cruz de Marcenado, — który propagował uroczysty obchód trzechsetnéj rocznicy urodzin Kalderona, podczas jubileuszu Krzysztofa Kolumba miewał o nim w Madryckiem *Ateneo* odczyty, dla uchronienia Hiszpanii od zarzutów niewdzięczności względem wielkiego genueńczyka... który wreszcie wraz z Campoamorem w tém odkrył tajemnicę życia, że co rano nietylko cieleśnie lecz i duchowo trzeba być nowonarodzonym. Wreszcie, w październiku, zeszłego roku, Madrycka Akademia Historyi postradała dzięki nieszczęśliwemu upadkowi na ulicy w Londynie ośmdziesięcio-ośmio letniego *Don Pascuala de Gayangos*, urodzonego w Sewilli, wysoko cenionego profesora wielu generacyi, znakomitego arabistę i bibliofila, o którego niezmordowanéj pracowitości świadczy cały szereg dzieł. Ze starcem tym zeszło

do grobu wiele tajemnic hiszpańskiego życia, zarówno politycznego jak i piśmienniczego. Z językiem angielskim był on tak obznajmiony, że mógł pisać bez trudności angielszczyzną z czasów królowéj Elżbiety.

D. Ignacio Montes de Oca y Obregón, biskup rezydujący w *San Luis Potose*, znakomity mexykański poeta, będący zarazem wybitnym członkiem akademii hiszpańskiéj, ogłosił swą mowę poświęcóną pamięci *Canovasa del Castillo*, kreślącą obraz niecnie zamordowanego, co był nietylko żywem wcieleniem hiszpańskiego ducha, lecz i przedstawicielom panhiszpańskiego elementu na obu półkulach ziemskich. Przed pięćdziesięciu laty młody Canovas del Castillo, który podzielał złudzenia Piusa IX, napisał podniosły wiersz Włochom poświęcony, nie przeczuwając oczywiście, że z tak ukochanéj przezeń ziemi, wyjdzie morderca, co mu przedwczesny grób zgotuje. „Sławném, — czytamy w mowie, — było życie Canovasa; lecz stokroć sławniejszą była jego śmierć męczeńska". Każdy, co w 1892 roku był obecny w Hiszpanii na uroczystościach, poświęconych pamięci Kolumba i widział Canovasa del Castillo, prezydującego w Huelvie i w Madrycie — z żalem i podziwem wspominać będzie znakomitego męża. Podobnież jak biskup z Sain Luis Potosé, poeta i uczony w jednéj osobie, i *D. Victoriano Agüeros*, redaktor pisma *El. Tiempo* wychodzącego w stolicy Mexyka, żywo zajmujący się kwestyami religijnemi i poezyą, jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli meksykańskiéj literatury. W wydawnictwie *Biblioteca de Autores mexicanos*, ogłaszającém kompletne wydania dzieł takich autorów, jak Garcia Icazbalceta, Oroseo y Berra, Ron Bàrcena, Mungia, Pesado, Carpio, Conto, Jose Lopez Portillo y Rojas i wielu innych ukazał się w tym roku pierwszy tom *Obras literarias de D. Victoriano Agüeros*. Znajdujemy w nim ważne przyczynki do dziejów meksykańskiego piśmiennictwa, meksykańskiéj kultury i meksykańskiéj akademii, skreślone wytwornym stylem i tchnące niekłamanem uwielbieniem piękna. Autor domaga się usilnie tworzenia w Meksyku, stowarzyszeń, mających na celu pożytek i kształcenie młodzieży, która pracuje na niwie piśmienniczéj — jak to ma miejsce w Hiszpanii, gdzie należący do jednego związku: Antonie de Trueba, Luis de Eguilaz, Narciso Serra, Augustin Bonnat i inni odczytywali swe utwory, gdzie Pedro Antonio de Alarcon z powieściami swemi występował. D. Victoriano Agüeros podnosi również w dziele swém niepospolitą wagę studyów bistorycznych, posiadających specyalne jeszcze znaczenie dla Meksyka, jako dla kraju, który wydał tylu dzielnych mężów". Autor jest w jednéj osobie

publicystą i poetą: widzimy to i z poważnych, pełnych polotu prac poświęconych pismu świętemu, oraz znaczeniu chrześciaństwa, a także i z pełnych wdzięku wiosennych obrazków, po mistrzowsku odtwarzających czar meksykańskiéj przyrody, jak np. w szkicu „*El dia de muertos en mi pueblo*“. Agüeros jest apostołem miłośei dla Meksyku, w połączeniu z miłością dla Ameryki i Hiszpanii.

Temi samemi uczuciami jest przejęta — zamieszkała w Barcelonie hiszpańska autorka, Dona Emilia Serrano, baronowa de Wilson, która właśnie w mieście tém wydała dzieło o ukochanéj przez siebie Ameryce. Ukazało się ono p. t. „*America eu fin de siglo*“ a czyta się jak zajmująca powieść, pomimo, że w pracy téj, nie pozbawionéj zresztą naukowego materyału, przeciągają przed naszemi oczami wszyscy niemal z ostatnich czasów prezydenci amerykańskich rzeczypospolitych i wszystkie prawie wybitne postacie z amerykańskiéj historyi i literatury. Owe „*actualidades*“ i „*semblanzas*“ posiadają dla czytelnika urok tém większy, że autorka poznawała osobiście odtwarzane w dziele swém postacie, przedzierając się konno przez puszcze amerykańskie. Baronowa de Wilson pracuje obecnie nad dziełem, poświęconém Niemcom.

Do zespolenia Hiszpanii z Ameryką dąży również w świeżo wydanych: „*Cardas Americanas*“, mistrz współczesnéj powieści hiszpańskiéj, Don Juan Valera. Zebrał on właśnie prace swe, po czasopismach rozproszone i wydał w Madrycie p. t. *A Vuela pluma*. Jest to rzeczywista uczta dla literackiego smakosza — ten szereg prostych, dowcipnych, a zarazem wytwornie napisanych opowiadań. Autor jest prawdziwym artystą w sztuce opowiadania, zabawiając i ucząc zarazem czytelnika. Valera mówi w sposób nader zajmujący o wielu kwestyach: o regionalizmie galicyjskich poetów, o przedwcześnie zmarłym południowo amerykańskim pisarzu, D. Juanie Montalvo, który z powodzeniem starał się naśladować hiszpańskie wzory i o wydawaném przez D. Marcelino Menendez y Palayo dziele „*Antologia de poetas loricos castellanos*“, którego właśnie ukazał się tom szósty, obejmuje dzieje hiszpańskiéj kultury, w czasach panowania królewskiéj katolickiéj pary.

Bizantynizm, panoszący się tu i owdzie w poezyi za dni naszych, miał już wtedy podczas rządów Ferdynanda i Izabelli, przedstawiciela swego w osobie Anton'a de Monsoro, jak dowodzi strofa, w któréj poeta zwraca się do królowéj katolickiéj:

Alta reina soberana,
Si antes nascierados vos
Que la hija de Santa Ana,

En vos le hijo de Dios
Recibiera carna humana.

Pani na wysokim tronie!
Gdybyś wcześniéj się zrodziła,
Niżli Marya w Anny łonie—
Tybyś matką Tego była,
Co w cierniowéj zgasł koronie.

Hiszpania potrzebuje takiego pisarza, jak Valera, który jest zawsze optymistą, dowodząc, że jego ojczyzna, wysławszy na Kubę 200000 żołnierza, nie może być nazywana ani biedną, ani też słabą—że dzisiejsi Hiszpanie ulani są z tegoż metalu, co Cyd, książe Alba, Cortes i Pizarro—że hiszpański geniusz zasługuje na większe poszanowanie za granicami swéj ojczyzny — i że współczesna hiszpańska poezya, oraz sztuka nie ustępuje żadnéj innéj. Przebywając w ostatnich latach, jako poseł w Wiedniu, Valera interesował się piśmiennictwem niemieckiém, zwłaszcza zaś „Hanusią" Hauptmana i „Mistrzem z Palmyry" Wilbrandta.

W dramacie pierwszego z poetów dostrzega on przerażający wyraz pesymizmu, który zwątpił o wszystkiém — jeszcze więcéj przesady widzi w dziele Wilbrandta. Niejedna „osobliwość (rarezas) razi go w tekście Goethego. Nie może mianowicie zrozumieć, by człowiek będący z woli boskiéj uosobieniem Hijoba, mógł z dyabłem wchodzić w umowę, dopuszczać się niepotrzebnych przestępstw i robić większe głupstwa niż D. Simplicio Bobadilla y Majaderano.

Cała przepaść leży pomiędzy dziełem Valerasa'a „*Avuela pluma*", a wydaną w r. 1898 w Sewilli przez D. Jose Alonso Morgado książką „*Nuestra Señora de Valma*", ku czci téj świętéj opiekunki Dos-Hermanos. „Chroń nas—de Valme!" te słowa modlitwy, zwróconéj do Królowej Niebios rozlegają się nad brzegami Batisu, od czasu zdobycia Sewilli aż do dni naszych. Poeci Sewilli złączyli się pod wodzą D. Jose'go Lamarque de Novoa dla oddania poetyckiego hołdu Niepokalanéj Dziewicy z Valme.

Interesujący się dziejami Hiszpanii znajdzie niejeden nowy, zajmujący szczegół w téj ciekawéj książce. O religijnym nastroju współczesnych hiszpańskich Rolandów świadczy jedna z „cantares", którą tu w dosłownym przekładzie przytaczamy:

Matko! idę dziś na Kubę,
Jako ziemi téj obrońca —
Więc się za mną módl do Maryi,
Co na modły twoje baczy.

Moja luba przy rozstaniu
Wieczną miłość mi przysięgła
I tuliła mnie do serca —
Matka łez przelała morze.

W boju duszy méj pociechą,
Jest Dziewica, matko moja!
Wołam: „Chroń mnie, Valme. Valmé!“
I kule mnie oszczędziły.

. . . .

Kiedy z wojny powróciłem,
Matka spała już w mogile —
A zaś moje ciemnowłose
Dziewcze wyszło za innego.

. . . .

Tak bez matki i kochanki
Dziś pociechę widzę tylko
W Przenajświętszéj Pannie z Valme.

W uroczéj miejscowości Dos-Hermanos rozgrywa się trzeci akt pierwszego dramatu o Don-Juanie (Burlador de Sevilla) pióra Tirso'a de Molina. Hiszpania, ojczyzna téj legendy, ma na każde stulecie swego Don-Juana: w XVII w. opracował go Tirso, w XVIII — Zamora, w XIX—Zorrilla. Ostatni z nich, którego D. José Echegeray nazwał i ostatecznym zarazem, grywany jest od lat przeszło pięćdziesięciu we wszystkich teatrach Hiszpanii i hiszpańskiéj Ameryki, w oktawę dnia Wszystkich Świętych.

J. F.



Rozbiory i Sprawozdania.

Wisła, miesięcznik geograficzno-etnograficzny. Tom XIII, zeszyt I, styczeń 1899 r.

Ostatni zeszyt niniejszego wydawnictwa prócz działu „poszukiwań“ i bibliografii zawiera i kilka prac oryginalnych.

Na pierwszem miejscu widzimy przyczynek folklorystyczny p. Erazma Majewskiego p. t. „Nietoperz w pojęciach i praktykach ludu naszego“. Więc przedewszystkiém gatunki nietoperza, żyjące w kraju naszym, potém nazwiska ludowe i naukowe nietoperza i różnych jego odmian, wreszcie — nietoperz w wyobraźni ludowéj: przysłowia, przypowieści, pieśni, podania, baśni, opowieści, wierzenia, poglądy, tyczące się początku, właściwości i obyczajów tego zwierzęcia. Nakoniec — rola nietoperza w różnego rodzaju praktykach, zabobonach, czarach i gusłach; stąd początek barbarzyńskich zwyczajów przybijania „gacka“ na wrotach obory, stajni lub domostwa dla zapewnienia sobie wszelkiego powodzenia, lub pieczenia go żywcem w zalepionym garnku dla dokuczenia wrogowi, lub wreszcie zakopywanie go żywcem w mrowisku dla pozyskania jego kosteczek, t. zw. grabek i widełek, mających w sprawach sercowych wielkie znaczenie i t. d. Kończy rozprawkę wymienienie wróżb i przepowiedni, związanych z „gackiem“, ze sposobem jego latania i t. d.

Druga z kolei rozprawa — Seweryna Udzieli traktuje o „Swiecie nadzmysłowym ludu krakowskiego, mieszkającego po prawym brzegu Wisły". Jest to dalszy ciąg studyum, zamieszczonego w XII tomie „Wisły"; po wężach, topielcu albo topcu i boginkach przyszła obecnie koléj na czarta. Autor wymienia wszelkie podania, opowieści, klechdy i baśnie obserwowanéj przezeń okolicy, w których zjawia się dyabeł pod różnemi postaciami: swéj własnéj w kusym fraczku i trójgraniastym kapeluszu, spodeńkach na pół czerwonych, na pół zielonych, lub téż pod postacią pana, panny, chłopa, chłopczyka, potwora lub jakiego zwierzęcia.

Pozostałe wreszcie dwa artykuły — to dalszy ciąg „Materyałów do bibliografii ludoznawstwa polskiego", ułożonych przez Adolfa Strzeleckiego w porządku alfabetycznym (od Starina do Sylwestrowicz), i „Kronika geograficzna za rok 1898" przez Wacława Nałkowskiego.

W „poszukiwaniach" B. Dyakowski i R. Orzykowski podają kilka przyczynków do lecznictwa ludowego, ks. Wł. Siarkowski kilkanaście przysłów tak z ust ludu, jak i z różnych autorów, wreszcie J. Piątkowska — jedną kołysankę. Kończy zeszyt bibliografia i krytyka.

Na ostatniéj stronicy zeszytu redakcya „Wisły" pomieszcza następującą odezwę do inteligentnéj publiczności, którą uważamy za stosowne powtórzyć w całości:

„Otrzymawszy kilkanaście listów od prenumeratorów i czytelników „Wisły", z których jedne zawierają wyrzuty, inne zapytania, dlaczego wydawnictwo nasze uległo znacznemu opóźnieniu, ośmielamy się wyjaśnić publicznie przyczynę niepożądanego stanu rzeczy i oświadczyć, że nie lekceważenie przyjętych zobowiązań, lecz jedynie trudne warunki finansowe zatamowały prawidłowy bieg wydawnictwa naszego.

„Dochód z prenumeraty nie pokrywa nawet kosztów druku i papieru. Jeśliśmy prowadzili „Wisłę" w takich warunkach, łatwo zrozumieć, że podtrzymywały nas: naprzód nadzieja, że garstka miłośników ludoznawstwa i geografii wzrośnie; powtóre, iż mieliśmy stały zasiłek z kasy im. Mianowskiego, pokrywajacy niedobory; wreszcie — poczucie obowiązku względem nauki krajowéj.

„Nadzieja nas zawiodła; stały zasiłek okazał się zbyt szczupłym, samo zaś poczucie obowiązku nie wystarcza do pokrycia deficytów. Przyszła chwila, w któréj wypadło postawić sobie pytanie: czy borykać się daléj, czy téż zwinąć czasopismo? Najwygodniéj wprawdzie byłoby zwinąć, lecz jak tu przerywać dzieło, gdy praca

nad zbieraniem materyałów ludoznawczych bardzo daleka jest od ukończenia? Etnografia nasza dopiero się rozwija. Potrzeba nam nie zmniéjszenia, ale raczéj pomnożenia liczby pracowników, gotowych zbierać to wszystko, co składa się na wierny obraz odwieczněj kultury ludu, która szybko przekształca się i zatraca pod wpływem nowych czynników cywilizacyi.

„Nam nie ustępować, lecz zdwoić siły potrzeba, aby ocalić od zagłady, na pożytek nauki, to, co zasługuje na utrwalenie. Dlatego postanowiliśmy, bądź co bądź, poprowadzić wydawnictwo jeszcze przez rok bieżący. Czasopismo nasze, poczynając od niniéjszego zeszytu, wychodzić będzie o tyle pośpieszniéj, aby zaległości były wyrównane jeszcze przed końcem roku.

„Losy jednak „Wisły" z rąk wiernéj ale zbyt szczupłéj garstki przyjaciół wydawnictwa, składamy teraz w ręce wykształconego ogółu naszego.

„Z uwagi, że przemawiamy w sezonie, poświęconym hippice, niech nam wolno będzie użyć stylu obrazowego i zawiadomić, że całoroczne utrzymanie „Wisły", wraz z honoraryami dla autorów prac, drukujących się tutaj, kosztuje kraj o wiele mniéj od utrzymania jednéj czworonożnéj „Wisły" lub „Lorda", biegających na torze...

„Jeśli się okaże, że w kraju, utrzymującym ich setki, jest choć tyle miejsca na jedną „Wisłę" ludoznawczą, ażeby nie potrzebowała kołatać do dobroczynności publicznéj, wtedy poprowadzimy ją, nie szczędząc i nadal trudów, aby godnie reprezentowała etnograficzny i geograficzny odłam nauki krajowéj. W przeciwnym razie, mimo paruset wiernych odbiorców, będziemy musieli ustąpić ze straconéj placówki.

„Stroniliśmy zawsze od reklamy. Jeśliśmy w tém błądzili, niech te nieco jaskrawe słowa poczytane nam będą za pierwszą, ale i ostatnią reklamę".

Słowa to gorzkie, i co gorsza, najzupełniéj słuszne.

H. Galle.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

Z pod prasy.

= Czerwcowy zeszyt **Biblioteki Warszawskiéj** zawiera następujące oryginalne prace: A. Brücknera „Skarby dawnéj poezyi polskiéj", rozbiór spuścizny rękopiśmiennéj po zapomianych poetach wieku XVII, Maryi Konopnickiéj „Juliusz II, nowa książka Juliana Klaczki", dalszy ciąg powieści „Miraże" Mariona, „Kronikę galicyjską" przez U., Stan. Kramsztyka „Stulecie galwanizmu" i dalszy ciąg „Zaczarowanego Koła", baśni dramatycznéj Lucyana Rydla, nagrodzonéj na konkursie im. Paderewskiego (początek aktu III).

= W **Kwartalniku Historycznym** z roku bieżącego, w zeszycie I i II, znajdziemy następujące studya: Antoniego Prochaski „O naprawie Rzeczypospolitéj Ostroroga", Al. Kraushara „Albert Sarmata" (Wojciech Turski), Oswalda Balzera „O zadrudze słowiańskiéj".

= **Przegląd Polski** w zeszycie lipcowym pomiędzy innémi drukuje „Protesilaus i Laodamia" tragedyę modernistyczną Stanisława Wyspiańskiego, Józefa Tretiaka „Puszkin i Rosya", Stanisława Srokowskiego „Fridtjof Nansen i jego wyprawa do bieguna północnego".

= **Przegląd Powszechny** zamieszcza w lipcu między innemi studyum Józ. Tretiaka „Mickiewicz i Puszkin, jako byroniści", drukowaną również i w naszém piśmie, ks. Józefa Sasa „Układy o ligę przeciw Turkom za Zygmunta III", „Z Capri" Józefa Rustana i rozprawę ks. Jana Nuckowskiego „Zasadniczy punkt wyjścia w badaniu filozoficzném".

= Wyszedł z druku zeszyt III roku II **Przeglądu Filozoficznego**, zawierający prócz działu sprawozdawczego niżéj wymienione rozprawy: Wł. M. Kozłowskiego „Psychologiczne źródła niektórych praw przyrody (Pełnia i próżnia)", Z. Balickiego „Socyologiczne

podstawy użyteczności", St. Grabskiego „Wstęp do metodologii ekonomii politycznéj", J. Kodisowa „Upadek materyalizmu w nauce", prof. M. Karejewa „A. Comte, jako założyciel socyologii".

= Jako bezpłatny dodatek do **Przeglądu Pedagogicznego**, otrzymaliśmy zeszyt II „Metodyki historyi literatury polskiéj", zawierający w znacznéj części bibliografię zbiorowych wydawnictw i wypisów do historyi literatury polskiéj. Rzecz starannie i szczegółowo opracowana.

= Jednocześnie prof. Chmielowski przygotował dla **Biblioteki dzieł wyborowych** oddawna zapowiadaną „Historyę literatury polskiéj", któréj pierwszy tom opuścił prasę drukarską. Jest to praca źródłowa, oparta na najnowszych wynikach nauki, przedstawiająca w sposób przystępny i barwny obraz naszego rozwoju duchowego od X do końca XVI wieku; dzieło ozdobione wielu ilustracyami. Po ukazaniu się dalszego ciągu téj pracy, podamy o niéj szczegółowe sprawozdanie.

= Taż **Biblioteka dzieł wyborowych**, pod Nr. 88 daje „Wybór poezyi" znanego humorysty Włodz. Zagórskiego (Chochlika). Są to rzeczy dawniéj już znane, bądź filozoficzne, owoc gorzkich doświadczeń wieku, jak np. „Król Salomon", poemat sceptycyzmu i sarkazmu, jak również wesołe i swawolne, jak np. powszechnie znana „Historya patryarchy Noego" lub „Poradnik dla noworodków".

= Inne zeszyty tejże **Biblioteki** zawierają „Pamiętniki Szymona Konopackiego", powieść S. M. Boguskiego p. t. „Wilcze gardła", wreszcie ciekawe „Pamiętniki sierżanta Bourgogne'a o wyprawie do Rosyi w r. 1812", w przekładzie i z przedmową Walerego Przyborowskiego.

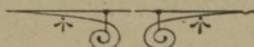
= Ostatnie tomy dodatków bezpłatnych do **Gazety Polskiéj** mieszczą w sobie Klemensa Junoszy „Żywota i spraw Imć Pana Symchy Borucha Kaltkugla ksiąg pięcioro" oraz powieść Wandy Grot-Bęczkowskiéj p. t. „W mieszczańskiém gnieździe".

= Z literatury podróżniczéj mamy do zanotowania drugie wydanie **Na Lagunach** *Stanisława Belzy*, uskutecznione przez firmę wydawniczą Gebethnera i Wolffa. Wziąwszy sobie za dewizę orzeczenie Byrona o Wenecyi, że „obraz tego miasta jest podobny do snu, a historya jego do romansu", autor opisuje stylem barwnym, obrazowym i w miarę poetyckim to nawodne miasto, jego widoki, mieszkańców, życie, obyczaje i uciechy, nie zapominając również i o historycznéj jego przeszłości. Książkę zdobią liczne ilustracye, starannie odrobione.

= Do tegoż odłamu literatury należy również wykwintna książeczka p. *Jana Narkiewicza-Jodki* p. t. **Ze Wschodu**. Jest to opis podróży po Azyi Mniejszéj aż do Konstantynopola, a raczéj notatek turysty, spisywanych pod bezpośredniém wrażeniem opisywanych miejscowości. Trochę wspomnień historycznych okrasza bezpretensyonalne opowiadanie; książka ozdobiona jest również, jak powyższa, pięknemi ilustracyami ołówka p. Juliana Maszyńskiego.



KRONIKA MIESIĘCZNA.



Ze wsi nadchodzą wiadomości o żniwach. Po słotnych sianokosach rolnicy mają prawo spodziewać się pogody przy sprzęcie zboża. Według ostatnich sprawozdań stan urodzajów w kraju naszym nie jest zły, a gdy go porównamy z tém, co nam opowiadają o południowych guberniach cesarstwa, wyda się nam dobrym.

Gdy wieś przygotowuje się do zbierania plonów, Warszawa cuci się z opałów gorączkowego szału, w jaki ją wprawiła pokusa łatwego zarobku na „placach". Jak zawsze, tak i tym razem, morały nie zdały się na nic. Kto mógł wkładał w place miejskie grosz jaki taki. Strat, jakie poniesiono w chwili, gdy cena nieruchomości się zachwiała, nie obliczył nikt. Mają być znaczne.

Gra na placach była próbką téj dzisiejszéj niecierpliwości, z jaką ludzkość czyha na zysk, na łatwe powiększenie majątku. Te same pieniądze, które podniecały spekulacyę, użyte w inny sposób, mogły podnieść rzeczywiście Warszawę; puszczone w obieg spekulacyjny, podbijały cenę przesadnie i krążyły bez pożytku dla ogółu.

A mimo to, miasto się rozwija, rośnie, wzbogaca. Naturalne warunki rozkwitu równoważą wszystko. Bo téż rzućmy tylko okiem na mapę, a przekonamy się, jak szerokie trzeba zakreślić koło, ażeby napotkać drugi punkt, skupiający w sobie tyle interesów ekonomicznych, tyle naturalnych kierunków dowozu i wywozu, a zarazem tyle czynników życia społecznego i towarzyskiego. Trzebaby sięgnąć aż po Kijów, Odessę, Peszt, Pragę. To téż ci, co ukochali

Warszawę i pragną dla niéj świetnych dni w przyszłości, są wymagający i nie zadowalają się tém, co ona im dziś daje.

W porównaniu z innmi miastami, o równéj liczbie mieszkańców, nie mamy się czém chwalić; w porównaniu z tém, czém Warszawa była, zmienia się w naszych oczach do niepoznania. Zniknęły dawne wyziewy, dawne kurze, dawne bruki. Dawne mieszkanka ciasne i ciemne, do których wchodziło się przez kuchnię po schodach stromych, krętych i wązkich, przeszły w posiadanie najbiedniejszych.

Kto tylko może, stara się o mieszkanie schludne, odpowiadające przepisom hygieny i choćby najskromniejszym wymaganiom komfortu. Inaczéj wygląda dzisiaj wnętrze domu, a z tą zmianą będącą niewątpliwie jedną z ważnych przyczyn drożyzny mieszkań, łączy się tysiąc zmian innych. Ubyło zieleni wśród miasta, ale te ogrody publiczne, które nam wystarczać muszą, o ileż lepiéj utrzymane są dziś niż przed kilkunastu laty. Porządny domek letni pod miastem był jeszcze niedawno rzadkością. Dziś każdy z nas ma między znajomymi kilka rodzin, które pobudowały sobie wille, a między temi nowemi sadybami nie brak i takich, w których pobyt nie jest już rozpaczliwém wygnaniem.

Za lat parę, gdy Warszawa ujrzy swe Towarzystwo Zachęty w nowym gmachu, gdy na Krakowskiém-Przedmieściu stanie hotel, mogący, jak nam obiecują, uczynić zadosyć wymaganiom cywilizowanéj publiczności, gdy Filharmonia da nam salę, w któréj Warszawianin, niewiedzący dotychczas co ze sobą zrobić wieczorem, będzie mógł nareszcie spędzić parę godzin, słuchając muzyki, gdy o elektryczności nie będziemy musieli dowiadywać się dopiéro z „Nauki o rzeczach", lecz gdy ją będziemy mieli na ulicy, wśród nas, jako motor i jako światło, Warszawa będzie mogła naprawdę ująć sobie nietylko przybysza, który polubił ją na niewidziane i przybywa z bijącém sercem, ale i tego, który nie umie kochać bezinteresownie, lecz żąda od miasta, by mu uprzyjemniało pobyt.

Braknie jéj niestety dwóch ponęt, któreby w tych warunkach miało każde wielkie miasto na zachodzie, braknie jéj charakteru architektonicznego i ładnych brzegów rzeki. O ile w jakiemś mieście nie umiano zachować znacznéj liczby pomników dawnego budownictwa, o tyle może ono nabrać pewnego stylu, pewnéj odrębności indywidualnéj, jedynie dzięki monumentalnym budowlom publicznym. Kamienice mogą być wspaniałe, kosztowne, nawet ładne, nie przestają jednak, mimo to wszystko być szablonowemi. U nas, gdzie gmachy publiczne nie powstają prawie wcale, a o ka-

mienicach takich, jak te, co stoją na wiedeńskiéj *Ringstrasse*, marzyć jeszcze trudno, szablon architektoniczny rozpościera się wszechwładnie od rogatek do rogatek. Jest coś rozpaczliwego w koszarowéj monotonności, jaką się odznaczają nowe dzielnice Warszawy, a więc ta właśnie jéj część, w któréj skupia się życie warstw inteligentnych. Jeżeli młode pokolenie rozwinie w sobie jakieś uczucia estetyczne, nie będzie to zaiste zasługą architektów.

Brzegi Wisły to przedmiot, którego nie mogę dotykać bez wielkiego smutku. Kto w Warszawie nigdy nie był, kto wyobraża ją sobie tak, jak mu ją opisują Warszawianie, ten poprostu nie ma pojęcia o tém, co to jest Powiśle. Mimowoli przenosi nad fale naszéj rzeki wspomnienia z Drezna, Petersburga, Pragi Czeskiéj i łudzi się nadzieją ujrzenia czegoś w tym rodzaju. Trudno uwierzyć że brzegi spławnéj rzeki w wielkiém mieście, to kupy śmiecia rozrzucane wiatrem, to kryjówki zarazy, nędzy i zbydlęcenia. W dzień na wybrzeżu pustka; nocą snuje się tam tajemniczy szereg istot ludzkich, nie zachęcających do spotkania.

Pocóż rozdrażniać się napróżno i budzić w sobie żądzę oglądania czegoś, czego może jeszcze i następne pokolenie nie ujrzy. Dzielnica nie ochroniona należycie od wylewów Wisły, połączona w fatalny sposób z innemi częściami miasta, nie nęci do zabudowywania się. A jednak na Mazowszu, tak ubogiém w widoki, jest Powiśle jedyną ozdobą krajobrazu. Kto chce oglądać zachód słońca, kto chce widzieć grę barw i dalekie przestrzenie, kto wreszcie chce mieć widok na Warszawę, a gdy zmierzch zapadnie, zapuszczać z dala wzrok w fantastyczne tajniki Starego Miasta, wznoszącego się amfiteatralnie nad rzeką, ten idzie nad Wisłę. To wszystko byłoby dostępne dla tysiącznych tłumów, słynęłoby w świecie jako ozdoba i urok miasta,—gdyby brzegi Wisły nie były inną osobliwością jako rzadki w świecie przykład zaniedbania.

Skoro już mowa o powabach Wisły, nasuwają się na myśl wycieczki wodą. O jednéj z najpiękniejszych pisały niedawno wiele dzienniki warszawskie, a pisały jak się pokazało niebawem, z powodu omyłki, czy niewiadomości reporterów. Czytaliśmy wszyscy, że zwaliska zamku czerskiego mają być wkrótce sprzedane na licytacyi, czytaliśmy, że się znalazł obywatel z sąsiedztwa, objawiający chęć kupna i cieszyliśmy się, że ten malowniczy zabytek przeszłości nie zaginie do szczętu. Potém czytaliśmy znowu, że źle postępują dziennikarze, dający do gazet wiadomości nieprawdziwe. Ale to wszystko nie rozstrzyga kwestyi. Mury Czerska rozsypują się, baszt ubywa, resztki sklepień zapadają w ziemię. Dziś są to jeszcze

okazałe pozostałości dawnych wieków. Jeżeli tak pójdzie, spotka je los Lanckorony i tylu innych zamczysk.

A niegodzi się przecież, żeby do tego doszło. Nie umiem wyobrazić sobie wielkiego miasta bez śladów obronnego zamku opodal. Są okolice, gdzie zwaliska takie spotyka się co krok. Dodają one wdzięku okolicy, dla młodego pokolenia są otwartą księgą, a dla całego ludu to poszanowanie czegoś, co pozostało po ojcach, jest przykładem umoralniającym. Wandalizm, chęć burzenia, skłonność do pozostawiania wszędzie śladów niszczącéj ręki są to wrodzone rodowi ludzkiemu przywary. Objawiają się one na wsi wycinaniem drzewek przy drogach i tępieniem ptasząt, a w mieście rysowaniem okien sklepowych i struganiem ławek po ogrodach. Są społeczeństwa, w których lud wiejski i gawiedź miéjska już się pozbyły tych narowów, ale przykład poszanowania zabytków dają im tam warstwy oświecone.

Bolesław Prus pisał niedawno o sposobie polemizowania w pismach polskich. Sąd jaki wydał, przypomniał mi się żywo, gdym przeczytał w Nr. 160-ym „Słowa" artykuł p. Hłaski, zagniewanego na moją kronikę miesięczną w majowym zeszycie *Ateneum*.

Cóż było w owéj kronice z maja?

Prasa polska zajmowała się wówczas tak zwaną emigracyą inteligencyi. Pani Orzeszkowa i p. Lutosławski zabierali po kolei głos; zainteresowanie było ogólne.

W Kronice mojéj położyłem główny nacisk na to, że ta cząstka inteligencyi, która opuszcza kraj dla szukania artystycznych czy umysłowych podniet, dla pisania, malowania, czy rzeźbienia wśród warunków odmiennych — jest niesłychanie drobna. Biadać nad nią niema potrzeby zwłaszcza, że ogromny procent téj emigracyi pracuje w łączności z krajem i dla kraju.

Natomiast mamy olbrzymią emigracyę dla zarobku. Inteligencya nasza odpływa szerokim strumieniem na najdalsze krańce wschodu. Jeżeli więc mamy mówić o jakiejś emigracyi, to chyba tylko o téj.

Jeżeli zaś ta emigracya jest szkodliwa, to widocznie istnieje jakaś dysharmonia między warunkami bytu w naszym kraju, a wychowaniem, jakie naszéj młodzieży dajemy. Zastanowić się nad tém trzeba tém sumienniéj, iż wychowywanie jéj odbywa się wśród niedostatku i cierpień, wśród ofiar ze strony rodziny, o chłodzie i głodzie.

Całą sprawę streściłem w pytaniu: Czy większy dla kraju pożytek, gdy młody Polak zostanie rzemieślnikiem w Łodzi, czy też

gdy otrzyma posadę lekarza na dworze emira Buchary? Kto kronikę moją przeczytał, ten wié, jaką mam na to odpowiedź.

Zdawałoby się, że p. Hłasko, chcąc mię przekonać o błędzie, poruszy kwestyę zasadniczą i powié wyraźnie, czy ta emigracya jest według niego objawem dodatnim, czy ujemnym. Zamiast tego zbija on cały szereg twierdzeń, które ze zdumieniem poraz pierwszy w życiu oglądam. A więc przedewszystkiém zbija p. Hłasko, zdanie, iż mamy w Królestwie za dużo uniwersytetów, następnie obala twierdzenie, że mamy za wiele gimnazyów, w dalszym ciągu wykazuje niesłuszność teoryi, że lepiéj być niewykształconym niż wykształconym, potém bardzo trafnie dowodzi, że zamiast zamykać uniwersytety, lepiéj starać się o to, ażeby rzemieślnik w naszym kraju mógł pogodzić swój zawód z wyższym stopniem wykształcenia, a kończy przestrogą, iż nie należy mówić, że mamy za dużo uczonych.

Czytelnik zapyta zapewne, gdzie szanowny mój przeciwnik znalazł owe zbrodnicze twierdzenia. Odpowiem na to, że nie wiem.

Natomiast zwrócić się muszę z jedną uwagą do czytelnika, którego kwestya emigracyi zdołała zainteresować.

Nie łączmy dwóch rzeczy zupełnie różnych. Co innego jest stopień oświaty w jakimś kraju, a co innego ilość adwokatów, lekarzy i kandydatów do posad urzędowych. O potrzebę podnoszenia poziomu oświaty powszechnéj nikt się z nikim w naszém społeczeństwie nie sprzecza. Natomiast gdy idzie o wyższe wykształcenie fachowe, każdéj chwili dozwolone jest poruszenie kwestyi, czy nie ma przepełnienia w jednym fachu, a braku w drugim. W Galicyi zauważono naprzykład, że w porównaniu z przerażającemi pustkami w szkołach rolniczych istnieje ogromne przepełnienie na wydziałach prawniczych. Jeszcze wyraźniéj występuje to zjawisko w Grecyi. Oświata ludu stoi tam nisko, a przepełnienie w adwokaturze jest niesłychane. Czyż atoli skonstatowanie tego przepełnienia ma być jakimś grzechem, wobec oświaty ludu. Nikt chyba tego nie powie.

Nie na wszystko, co dolega, można natychmiast znaleść lekarstwo. Ale obowiązek nakazuje społeczeństwu rozumnemu ze wszystkiego, co dolega, zdawać sobie sprawę. By dojść do tego, trzeba mieć odwagę nazwania każdego objawu po imieniu, trzeba umieć panować nad nerwami.

Tad. Smarzewski.

Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktorowie: ***Wł. Spasowicz*** i ***Stanisław Wydżga.***

Дозволено Цензурою. Варшава 20 Іюля 1899 года.

Anarchia literacka w Niemczech.

(Studyum pessymistyczne).

Zdaleka wydaje się to wszystko jakby las pradziewiczy.

Biją upajające i osłabiające zapachy stegnalii i cyklamenów, powietrze jest duszne i przesiąkłe mocnemi aromatami niezliczonego kwiecia. Wężowe liany owijają się żelaznemi pierścieniami koło smukłych niebotycznych palm, koło rozłożystych szerokich mangowców. Olbrzymie bombaxy padają zgniecione ramionami pasożytów, które niespodzianie porosły, ssając ich soki, przygniatały je coraz silniéj i panoszą się. Inny pasożyt cieniutkiemi gałązkami objął kilka korkowców i tak je zakrył swojém listowiem, że z nich ani śladu nie widać, a tylko jego zielono-żółta szata przegląda się w tafli gęstéj od porostów świtezi. Na zwieszających się w nieskończonych wstęgach eukaliptach rozkwitają pysznie z mułu wyrosłe saprofity, w cieniach monarchy baobaba zasnął spokojnie jaguar. Gdzieniegdzie przelekkie, jak pianki stubarwne, kolibry przelecą cicho, żółto-czerwone papugi z leniwą arystokratyczną dystynkcyą zatrzepoczą skrzydłami, gdzieniegdzie potworny wąż, gniotąc dokoła

kobierzec kwiatów, przesunie się, zatrzyma, wpatrzy w przestrzeń głębokiemi oczyma filozofa i zahypnotyzuje zgrabną, figlarną antylopę. U gałęzi mistycznéj, wzbudzającéj podziw agawy, płodzącéj co stulecie wielki dziwny kwiat, wisi przyczepiony, rozłożywszy szeroko czarne skrzydła, wampir — symbol kobiety.

I dopiero podejść trzeba bliżéj tego lasu i w samo jego środowisko, w gęstwę niby najbujniéjszą, przywdziać okulary botanika stać się nie współczesnym, nie współczującym, obojętnym, nieufnym i surowym, aby dostrzedz, że to tylko oranżerya, cieplarnia pośród lasów, nieskończonych lasów, że tu tylko kilka wspaniałych okazów flory piśmienniczéj postawił społeczeństwu inspicyent teatralny, dusza narodu. Na tle bardzo dobrze malowanych kulis, przedstawiających podzwrotnikowe bogactwo lasu piśmiennictwa niemieckiego z końca wieku, stoi kilka prawdziwych żywych roślin i drzew w mnóstwie sztucznych malowanych kwiatków i krzaków. Trzeba każdy szczegół oranżeryi obejrzeć dokładnie i nie dać się złudzić maszyneryi, która dokaże, że któreś z wysokich drzew zaszumi gałęziami świetnie a potężnie, a mała mimoza malowana zwinie listki pod dotknięciem grubéj ręki brutala. Trzeba bacznie patrzyć, aby dojrzyć, gdzie stoi drzewko może i nie tak wielkie i efektowne, ale prawdziwe, żyjące, aby dojrzyć, że wampira doczepiono do sztucznéj gałęzi, bo moda przyszła na wampiry, i widziano orła, któremu wampir krew wysysał ze serca.

Trzeba, jeśli się woli nie zamroczać oczu i nie tracić własnéj ścieżki, uzbroić się w nieufność i silnym mężkim krokiem przejść tę wielką scenę kultury niemieckiéj, nie zatrzymując się dłużéj przy żadnéj dekoracyi, przy żadném, choćby imponującém drzewie, nie dać się zwabić ani śpiewnym kolibrom, ani upajającéj woni chryzantem czy orchidei, ani przy Zaratustrze, ani przy tych pstrych po pańsku zblazowanych papugach, ani przy pasorzytach, zakrywających bujną formą potężny konar Nietschego, ani przy tych kameleonkach modernizmu, ani przy sprzedających prawdę tylko, jedyną prawdę, ani przy haszyszach, ani przy tych cyprysach, rozkwitających na cmentarzach heter, ani przed *Etablissement* Nirwana, ani przy tych klownach, którzy skurczami ciał i dreszczami dusz tak chcą śmieszyć i bawić, że rozśmieszony widz z przesytu smutków często ziewnie.

Zdawałoby się, że jest to za wiele powiedziane: wrażenie lasu podzwrotnikowego, przepych, upojenie. Jednakże tak jest bezsprzecznie. Współczesna produkcya literacka Niemiec jest bogatszą, wszechstronniéjsza, poważniéjszą jakością dzieł i kulturą talen-

tów i nawet bardziéj związana ze swém społeczeństwem i wpływająca na nie, niż we wszystkich innych nacyach Europy. Jest tak rozkwitłą, jak inne działy produkcyi narodowéj, przemysł, handel, nauka, jest tak wszechstronną, rozlewną i liberalną jak inne działy produkcyi ducha narodu i jest również najlepszym dokumentem rozluźnienia duchowego, anarchii myśli, pojęć, kierunków, wierzeń, programów, idei, zasad, form; anarchii zewnętrznie nie dostrzeganéj, a kładnącéj już piętno na każdym fakcie życia społecznego. Że we Francyi już dawno zaczęły się żniwa na tych polach, że piętno bezrządu wybite jest silniéj, namiętniéj i impulsywniéj na życiu polityczném, społeczném i duchowém, to już rzecz psychiki rasowéj, ustroju społecznego i téj okoliczności, że tam wcześniéj wyszli siać żniwiarze. I w Niemczech kto patrzy na ulicę, widzi czystość, spacerujących, policyę, spokój i maszerujące wojsko, kto patrzy na duszę i w umysły, i to nie maluczkich, widzi nieczystość, bezład, chaos i anarchię. Trzeba już koniecznie odłączyć pojęcie Niemiec oficyalnych z pruskim rządem, i mnogą rzeszą filistrów mieszczańskich od pojęcia Niemiec duchowych, ducha germańskiego, od tych, co rządzą dusz rządem... Trzeba téż, bijąc się w piersi, konstatować fakt takiéj przejrzałości intelektualnéj, kulturalnéj doskonałości, etycznéj i estetycznéj anarchii, które z dzikością już tylko o miedzę graniczą. A podobno *les extrêmes*...

Niemiec był do ostatka jeszcze tym człowiekiem, który względem każdego bliźniego spełniał funkcyę bardzo inteligentnego kamerdynera-przyjaciela. Co gdzieś miano dobrego, co kto przyniósł, co porozrzucano w nieładzie, to on, trochę pedant, a wielki systematyk porządkował, kupował, układał, szufladkował, byle pan jego miał wszystko co potrzeba, a wszystko na swojém miejscu. Tym panem jego było społeczeństwo niemieckie i wszyscy inni pracujący umysłowo. Tu wszystkie kierunki duchowe wyrabiały sobie czystość i stałe linie, tu idee zamykano w pewne stałe formy, tu porządkowano zasady i teorye systemizowano. Dla tego Niemcy wytworzyli wartości socyalne, estetyczne, dali teoretyków najniepochwytniejszym ideom, i w nich odzwierciedlała się i odzwierciedla najlepiéj duchowa fizyognomia całéj Europy. Ponieważ równocześnie w duszy niemieckiéj jest jednak, obok tego porządkującego gospodarczego materyalizmu odpowiednio wiele idealizmu, który im, jak chyba w złośliwéj intencyi powiedział ks. Bismarck, w brzuchach siedzi, dlatego obok teoretyków wydali téż równomiernie idealistówi, roznamiętniających się do każdéj najbardziéj obcéj nie niemieckiéj idei

z takim zapałem i zrzeczeniem się własnego ja, że im może słusznie i słuszniéj jeszcze należałoby powiedziéć: „pawiem narodów jesteś i papugą”.

Dlatego Niemcy współczesne są śpichrzem umysłowym całéj Europy, dlatego najdzikszy, najryzykowniejszy kieruneczek z *quartier latin* ma tu swoich seryo reprezentantów, co nie wyklucza aby czasem nie robiły wrażenia tandety, w którą z powagą składano rupiecia literackie, z całéj Europy zbierane, a wśród tandety nie błysnęła czasem przepyszna rzecz, która poszłaby w zapomnienie, gdyby nie skrupulatność zbieraczy.

Kiedy się *à vol d'oiseau* patrzy na obecną produkcyę literacką w Niemczech, widzi się wielką bieganinę, ruch czasem szalony, gorączkowy, słyszy się okrzyki, hasła, programy, nabiéra się pewności, że ci ludzie budują wspaniały gmach, imponujący przyszłym wiekom, że ożywia ich jakaś potężna wszechidea, że maluczko czekać, a świat się zadziwi i stanie przed tą co najmniéj nową wieżą Babelu; tak pomieszane są ich języki, tylu ich jest, a taki zgiełk czynią, i tak wysoko wybiegają ich pomysły. Dopiero z czasem spostrzega się, że jest to ruch, ale jakiś bezwytyczny, bezcelowy, że ilu ludzi, tyle maleńkich idei, pomysłów i kierunków, że co jedni zaczną budować, nachodzą drudzy i wśród szyderstw i śmiechów rozburzą i rozkopią, że co jakaś wieżyca wystrzeli w górę, wnet podminują ją mali karzełkowie, a co jakiś prorok stanie na rynku i zacznie głosić nową wspólną wiarę, wnet go przeszli a wyśmiani i przyszli a niecierpliwi prorocy oplują i kamieniami obrzucą; każda myśl górniejsza rozpływa się w chmurach wśród drwin i krytyk. Imponują jednostki, dekoracyjne pasożyty w pięknych kostiumach.

Mają ci ludzie tyle kazalnic, z których mogą przemawiać; cóż kiedy i wiernych Pięknu co raz mniéj, i owi kapłani Piękna, jedni zbyt często lub zbyt niedołężnie to samo co dawniéj każą, powtarzając to, co już gdzieindziéj we Francyi, Anglii, Rosyi, Szwecyi piękniéj i szczerzéj powiedziano, drudzy wszystkich innych kapłanów zwą heretykami, siebie bogami. I tak ci, co mają głosić ewangelie Piękna, krzyczą ewangelie zamętu. Niektórzy jeszcze mają te zasługi, że do piosnek dorabiają kanony i tabulatury, niektórzy— tą, że w granicach tych kanonów śpiewają swe myśli, ale niektórzy tylko chaos z swych głów zrzucają na papier i dają tłumom, czasem za poważnie biorącym to, co drukowane. Jakiegoś młodego może Goethego urabia obecnie nie szeroki świat, nie twarde życie, nie matka natura, nie kobieta, nie nędza ludzka i przepych słońca, nie sielanki i tragedye, lecz lektura, studya, dysputy, intuicya, estety-

zujące docenty, szablon „indywidualności za wszelką cenę" i wpływy, jeszcze raz wpływy. Całe plejady tych poetów to tylko odlewacze obcych myśli filozoficznych w obcéj poetyckiéj formie, tłomacze w rymowanych artykułach pojęć metafizycznych dziś indyjskich, jutro Mainleindera lub Stirnera, to małe jednostki talentu, doczepione do potężnych indywidualności z innych wieków i narodów, to panowie pracujący dziś w tym ...izmie, jutro we wprost przeciwnym ...azmie, byle handel szedł; to czasem gladyatorzy, bawiący publikę kurczem swym i krwią, częściéj klowny, balansujące przed publiką z wszystkiém co mają najskrytszego, najtajniéjszego, najdroższego, byle stawano tłumem przed jaskrawą ich budą. O wiele za wiele wśród tych artystów poetów, — poetów literatów, a wśród tych literatów przemysłowców. Czasem wydaje się w Niemczech, jak już i wszędzie, że literaturę reprezentują i robią reporterzy berlińscy i wiedeńscy, tym pomagają profesorowie, adwokaci piszący dramaty i wielkie aktorki tragiczne. A jeśli się znajdą poeci, to niejednemu życzyłoby się, aby stracił i tę szczyptę talentu, którą tak rozdmuchuje na błoto, niejednemu nie miło czasem przyznawać iskrę Bożą, bo jako artysta jest tylko mydlarzem, niejednego z filozoficznie myślących nastrojowców chciałoby się może złośliwie prosić, aby lepiéj swe rymy nastrojowe w myślach, niż myśli filozoficzne w nastrojach zostawiał. Na taki dopiero tłum literatów przypadnie jeden talent poetyczny, szczery, wielki, namiętny, doskonały. Dużo téż za wiele wśród pisarzy i pań piszących jest w Niemczech talentów, którym by należało powiedzieć: „bracie, przesiądź się niżéj"; bo lepiéj byłoby gdyby pracowali w ekonomii społecznéj, w stowarzyszeniach antialkoholicznych, w dyplomacyi, w redakcyach pism codziennych, bo ich dusze nie są dostrojone do godności poetów wybrańców, bo ich smak artystyczny nie jest dostrojony do smaku tych, których w zapale polemicznym zwą: *Compactes-Idealkastraten*, *Schönheits-Brahminen*, *Individualitätssnoben*, *Saulumpenpack*.

Ponieważ za wiele dziś ludzi pracuje w literaturach, dlatego za mało jest dzieł, które przetrwają jedno *decennium*; ponieważ za dużo jest talentów, więc za mało indywidualności, a ponieważ za dużo kierunków, ...izmów i etykiet, za mało myśli, któreby zapłodniły przyszłość. Zdaje się czasem, że ile kawiarń w jakiémś mieście, tyle jest plejad poetyckich, nowych światopoglądów; każda nowa kawiarnia znajdzie swego Dantego i swego Zbawiciela. Na każdym rynku krzyczą co innego, każda redakcya wynajduje jakiś neo..., codzień lepią sobie jakiś złoty, czy tekturowy cielec i tańczą koło niego i śpiewają, a Mojżesza, jak nie ma, tak nie ma.

A jeśli się znajdzie Mojżesz, to chyba tylko na to, aby burzyć i tłuc jakie gdziekolwiek pozostały jeszcze tablice z przykazaniami i nie stawiać nic, chyba siebie. A wtedy krzyczą wokoło niego, dmą w surmy, reklamują i jego i siebie przy téj sposobności i trąbią tak, iż zdawałoby się, że mury wszystkich Jerychów literackich dokoła padną w gruz, że wszyscy nawrócą się na wiarę trębaczy, do ich kieruneczku, że całe Niemcy zamistycznią się, że przyszłą większość parlamentarną tworzyć będą sami esteci i prerafaelici, albo że symboliści dostaną wszystkie teki w nowym gabinecie. Zwykle mury sąsiednich twierdz literackich nie padają, Mojżesz po pewnym czasie staje się nudnym i powtarzającym się, zsadzają go więc z tarczy, na jaką go z hałasem postawili, i bóg idzie do graciarni, gdzie już tylu bogów z ostatnich dwudziestu lat w zapruszeniu siedzi i niepamięci, bawiąc się wspomnieniami świetnych dni sławy, kadzideł i artykułów dytyrambicznych.

Wygląda to jak gdyby wracał wiek XVIII niemieckiéj literatury i cały spóźniony renesans z walkami szkół szląskich, lipskiéj, pruskiéj, szwajcarskiéj, czasy bombastu i makaronizmu dekoracyjności z tęsknotami cmentarnemi, wędrującymi cherubinami, czasy Hoffmanswaldaua i Andreasa Gryphiusa. Podobna toczy się walka szkół, podobnie objawia się nieuznawanie jednéj przez drugą, parafiańszczyzna, bezwzględność w sądach, kładzenie wagi na effektowne wirtuozostwo formy i możliwie pogodzoną ze smakiem sensacyjność treści. Podobne téż widać zamykanie się w ciasnych rynsztunkach koteryjnych kół myśli i odziedziczonych form, podobne stąpanie miarowe w kieracie około jakiejś wielkości współczesnéj, czy wyciągniętéj z bibliotek. I to wszystko w epoce, któréj największym kulturalnym nabytkiem i tryumfem ma być zdobycie szacunku dla indywidualności, dla mocniéjszego, który stoi sam. Kiedy się schodzi w nizinę piśmiennictwa niemieckiego i z boku patrzy na plejady, zgrupowane koło „Pana”, „Gesellschaft”, „Sphinxa”, „Kunstwarty”, „Zeit”, „Wiener Rundschau”, „Blätter für die Kunst”, „Neue Deutsche Rundschau”, „Magazin für Litteratur”, „Der Einzige” itd. itd., odnosi się wrażenie, że to kilkadziesiąt karuzeli, obracających się ciągle w kółka, a na konikach, czy wózkach popisane albo: do Nirwany, ...do absolutu, ...do pustelni Maeterlincka, ...do gór Zarathustry, ...do wyzwolonéj kobiety, ...do sztuki dla sztuki, ...do dobra czwartego stanu, ...dla dobra Szlezwigu lub Saksonii, ...dla Niéj.

W końcu ogarnie widza znużenie i przesyt, czasem i złość, kiedy spostrzeże, że wielu tylko jechało do karyery, dla imponowania *snobowi*. Bo choć na tego *snoba* plują i wszyscy drwią z niego, przecież o jego

poklaski im chodzi, a co prawda i wielu, ani do pogardy, ani do oklasków nie ma prawa. Ale wszyscy mają przywiléj dojścia do oklasków przez pogardę, bo gdzie się krzyczy „głupcy, głupcy”, tam zwykle zbiera się tłum. Obserwujący zgadzają się oddawna i to z dziwną zgodnością, że węzły, łączące społeczeństwa z artystami, zerwały się już prawie wszystkie, że koła pięknéj pracy pokładły już wszędzie podwaliny pod państwa w państwie, ba nawet, że kapłani sztuki zaczynają sobie coraz częściéj i serdeczniéj ściskać dłonie przez granice nawet wrogich narodów. Nie chodzi tu już o pojedyńcze jednostki, ale o całe grupy. W Europie coraz już pospolitszym jest typ: *Europeen, obiektiv und Europeisch*, to jest bardzo kulturalnéj jednostki, nie uznającéj granic ras, narodów, a tylko różnice umysłu, smaku, wychowania, obok niego cała skala pokrewnych typów mózgowców, dyletantów, bibliomanów. Wytworzyło się to pod wpływem artysty-europejczyka, którego pierwszą ojczyzną jest sztuka, interesami ogólniejszéj natury interesa sztuki i uczuciami szerszemi uczucia dla sztuki. Kolonie artystyczne różnych miast mają wspólną kameraderyę, coraz ściślejszą, konkretniejszą. Te państwa w państwie zdają się być tak kosmopolityczne, jak Bourgetowski świat z nad Riwiery, z Rzymu, Helgolandu. Jednostka kulturalna łatwiéj i szczerzéj porozumie się w obcym języku z jednostką kulturalną wrogiego narodu, aniżeli z bliźnim, rodakiem, kamienicznikiem. Francuski restaurator bliższy się czuje niemieckiego restauratora, niż wykwintnego intellectuella z teatru des Escholiers czy des Poétes. Bouverat i Pecuchet, Müller i Schulze zaczynają się zbliżać, a psyche filistra staje się już jednego szablonu na całym świecie. Wiele motywów wywołało ten niewygodny często dla obu stron stosunek. Wszyscy ci, którzy trzymają rękę na literackim pulsie Europy, czują, że puls ten bije gorączkowém nierównném tempem, ale że wielki chory nie zwraca nań wielkiéj uwagi, gdyż myśli jego zaprzątnięte zupełnie czém innėm. I profesorzy i przyjaciele i reporterzy literatury przychodzą do niewesołego przekonania, że praca ducha ludzkiego, o ile objawia się w pięknéj formie, a nie w wynalazkach na polu elektrotechniki, staje się społeczeństwu obojętną, obcą, często śmieszną. Jedni mówią: amerykanizujemy się, drudzy decydują, że jest to objaw, towarzyszący zawsze epokom przejściowym, jeszcze inni kombinują, że polityka pochłania tak duchowy interes społeczeństw, że wszystko inne wobec niéj wydaje się błahém i nieważném, co więcéj nawet, że stan ten nie jest przejściowym, ale właśnie początkiem przyszłego wieku, że literaturą przyszłości to fejletony, poetami mówcy parlamentarni.

Tak źle chyba nie jest i nie będzie chyba, gdyż zawsze będą tacy, którzy dobrze się bawią na kiermaszach i przy piwie, a pozostaną ci, którzy pięknéj powieści nie uważają tylko za preludyum do siesty poobiedniéj. To tylko przykre, że i te 10 tysięcy wyższe, jak je ktoś złośliwy nazwał, tracą dotychczasowe zainteresowanie na rzecz zapasów rzeźnickich w Casino de Paris, na rzecz indyjskich szansonistek w Wintergartenie lub maleńkiéj czasem polityczki przesypywania piasku w łupinach od orzechów. Upadają wszędzie premiery jedne po drugich, publiczność jeśli z przyzwyczajenia przychodzi do świątyń sztuki, to jeśli szczerze interesuje się niemi, tylko, kiedy można z nich robić parlament, gwizdać, tupać, autorom krzyczeć: *á bas*, *conspuez flaneur*, *nieder mit dem Kameel* i w inny dowcipny sposób manifestować swój krytyczny temperament. Literackie teatra bankrutują jedne po drugich, niemieccy dramaturgowie płaczą nad gruzami swych Jerozolim, a symboliści kokietują się już między sobą. Ci ostatni przynajmniéj bawią się jeszcze stylowo, prawie tak, jak dawniéj bawiono się w lożach wolnych mularzy, jak jeszcze dawniéj w Birs-Nimrud i Korsabadzie. Mag popatrzył za kulisami na maga, i obaj buchnęli homerycznym śmiechem, ale gdy stanęli przed ludem, mieli miny poważne, tajemnicze i przepaściste głębokie.

Fakt smutny nie przestaje być charakterystycznym. Między glebą a jéj kwiatami, między społeczeństwem a artystami przepaść jeszcze coraz głębsza i szersza, ci przestają się troszczyć, bawić i podziwiać artystów, dzieła, iskrę Bożą, a ci zakładają własne królestwa. I w porę wydobyto z rekwizytorni estetycznéj wytworne hasło sztuki dla sztuki. Za kulisami mówi się: nie imponujemy im, trzeba powiedzieć, że n a s zrozumieć może tylko mała garstka wybranych, *publicum select*, najwyższe tysiąc, zagrać snobom na ambicyi kilka akordów z końca XVIII wieku z epoki warkoczów, Watteau i pieśniarzy-pieczeniarzy. I na jakiś czas ci, którzy na rogach ulic otrąbili odgrzebaną pobudkę, wzbudzili interes przemożnéj publiczności, weszli w modę, w nakładców, w salony, każdy kościół, jaki się zakładał, musiał być ufundowany imieniem ich patrona, zaroiło się od apokaliptyków, nazareńczyków, peladanistów, ejakulatów, orgiastów, neoalchemików, dyabolików. Zdawało się, maluczko, a w każdéj redakcyi modernéj znajdą kamień filozoficzny, czerwoną tynkturę, n^{ty} wymiar, na ulicach zaczną się odprawiać czarne msze, pokażą się rzeczywiście nowe Ewy, nie tylko te na tandemach, w bloomersach z doktoratem w torebce, że wirować zaczną nie tylko stoliki ale i słońca miedziano-rude, a gwiazdy rozpłaczą się srebrem na purpurowe łąki sensytywnych dusz... Zdawało się, że

w cabaretach, tawernach i baarach dojdą dekadenci do absolutu. Tymczasem wszechpotężny snob mocny, nienasycony, znudzony ziewnął. Dość mu już było pieśni bluźnierczych, grzesznika, królewskich, górnych, dość chorałów wizyonerskich, japońskich Irysów, psalmodyi malarskich, uwertur kolorowych, dość nastrojów tak delikatnych, jak oddech księżniczki Maleny śpiącéj, w baszcie zamkowéj nad kanałem, po którym pływają wszystkich kolorów tęczy łabędzie.

Znudził się już sceną, choćby była najbardziéj *intime*, najciszéj *libre*, najstraszniéj *rosse*, legendami archaicznemi z filozoficznym tekstem pod obiecującym tytułem: Dyalogi Platona. Książe Mydłek znudził się Poëgo księciem Prosperem, którego wszyscy na swój sposób przenicowywali i podkasanym katolicyzmem Huysmannsa i panią Rachildé i Swinburnem i Strindbergiem i Dehmelem, muzyką programową z któréj się miał uczyć religii nadczłowieka, pejzażami pointillistów i pipistów. Zażądał więc grymaśnie czegoś nowego i zawiódł się. W Paryżu od 3 lat nie wymyślono nic nowego, jak tylko *retour*, reakcyę przeciw analizie psychologicznéj, przeciw wszystkim synom i wnukom naturalizmu, przeciw mgłom norweskim, dusznéj atmosferze assyryjskiéj, extrawagancyom wielkiéj sztuki, przeciw wszystkim wogóle ...izmom, które postanowiono zwalczyć roman*izmem*, to jest kierunkiem rozbudzenia patryotycznego ducha francuzkiego, *esprit gaulois*, poezyą rasy... na razie Cyrano de Bergerac'iem.

W Niemczech roździał między społeczeństwem a państwem ducha szczególnie silny i jaskrawy wyrobił się jeszcze pod wpływem wypadków politycznych, po roku 1871, pod żelazną rękawicą Bismarck'a. Wielu historyków kultury niemieckiéj zgadza się na to, że ufundowanie jedności niemieckiéj kosztowało Niemcy ducha germańskiego, którego Bismarck zabił. Poprawmy: z a b i j a ł... Postawił w programie swoim przygniecenie wolnego ducha narodu, ale gdy chciało go zrobić niewolnikiem, służalcem swym, kiedy patryotyzm pan niemiecki wymagał koniecznie zrzeczenia się wolności i szlachetności myśli, wtedy duch musiał się z pęt wyeamancypować, i nie mogąc iść równolegle, poszedł zupełnie w odwrotnym kierunku. I tu znalazł już lud, z którego także chciano zrobić bierne, ślepe narzędzie jedności niemieckiéj. Stąd pochodzi, że literatura po roku 1880 szła ręka w rękę z socyalizmem, oboje jako rewolucyjne pierwiastki ducha germańskiego, jako negacya uświadomiona i wojująca machinacyi poli-

tycznych, bezmózgich farsistów, powieściopisarzy dla panienek, dramatów... Stąd pochodzi, że pojęcie socyalizmu stawiano w Niemczech tuż obok naturalizmu,że oba uważano jako politycznie i społecznie szkodliwe, ba nawet jako antipruskie, że przy kolebce młodo-niemieckiéj literatury stał proletaryat socyalny, że polemikę ze starymi uważano nie tylko za walkę z akademickim warkoczem, bezkrwistością i tandetą, ale i za propagandę rewolucyjno-społeczną. Stąd tak szeroka i szybka popularność wielkiego talentu Hauptmanna, jako dramatyka naturalistycznego na podkładzie socyalnym. Ten zaś fenomen, że młodzi Niemcy wprost z niwelującego socyalizmu, wskakiwali w pełnym rynsztunku na ziemię z tamtéj strony zła i dobra i z szczerym zapałem wyznawali już religię Zarathustry należy tłómaczyć tém, że zwątpiały orzeł Nietsche właśnie zamknął i upersonifikował w sobie tę pańską, artystyczną, bezwzględną negacyę zmateryalizowanych szablonów demokratycznych Niemiec. Nietsche, jako fanatyczny wróg liberalizmu niemieckiego z jego ciasnotą i plebejuszostem, wróg inteligentnego tłumu, i jako świetny, dyonyzejski, dumny artysta, był im znowu bliższym, aniżeli idea, która realizując się zaczęła być równie ciasną, jednostronną, mdłą jak liberalizm, którego tylko jest chyba 3-cim tomem. Tém należy tłómaczyć tę wielką secessyę *in montem sacrum*, tłumne opuszczanie szeregów partyi socyalnéj i tém chyba tę okoliczność, że partyjne organa niemieckie przeciw swoim ongiś pieśniarzom Henckellowi, Hauptmannowi i innym wygrywają takie krytyczne melodye, jakich by się powstydził i pies szczekający z zapłotu.

Ten objaw odrębności królestwa ducha i myśli germańskiéj w państwie pruskiém, objaw niekorzystny i nienormalny, ale objaw już ogólny tak w Niemczech, jak w każdym kraju w Europie, byłby może właśnie jednym z wielkich powodów anarchii umysłowéj i literackiéj, jako zrywający niebezpiecznie węzły pokrewne, wspólne cele, idee pozytywne, solidarną pracę kulturalną dla przyszłości między członkami jednego wielkiego organizmu. Możnaby powiedzieć: prorocy walczą z własnym ludem, a lud, jak ci ślepcy w dramacie Maeterlincka, bezradni bez kapłana opiekuna stoją tuż tuż nad brzegiem wzburzonego morza.

Ten objaw kosmopolityzacyi sztuki i literatury w drugiéj jéj fazie t. j. obojętności artystów i pisarzy dla celów swego narodu, jego literatury, piękna, wywołanéj brutalną obojętnością społeczeństwa, tępym obskurantyzmem, bierną ospałością, które kładą im

„cierń w życia przeciągu" i pozwalają z głodu cicho umierać, a następnie obok obojętności do swego narodu, pracy na korzyść innego, i cały szereg innych faktów, które oddzielają pracownika piękna od rodzimych ideałów, a popychają go w objęcia haseł sztuki dla sztuki, da się obecnie illustrować np. filofrankońskiemi powieściami młodych Niemców, które są niejako odwdzięczeniem Octaviuszowi Mirbeau, pani Rachildé i wielu innym autorom filogermańskich powieści. Da się daléj illustrować przeglądami literackimi, wychodzącemi w kilku językach pod jedną redakcyą, ankietami literackiemi, traktującemi przyjaźniejsze zbliżenie Francyi i Niemiec, daléj tém, że Grek Piotr Louys pisze wyłącznie po francusku a w kraju swoim zupełnie nieznany, Ada Negri Włoszka daleko więcéj popularna i wielbiona we Francyi i Anglii, niż własnéj ojczyźnie, Ibsen przed podporami swego społeczeństwa musiał schronić się do Niemiec i wystawia sztuki wyłącznie w Niemczech, a Stanisław Przybyszewski, który do ostatnich czasów pisał tylko po niemiecku, w Niemczech uważany jest za meteor na niebie niemieckiéj poezyi. Może to i dlatego że podpór społeczeństwa tak dużo jest w każdym już narodzie.

Ten objaw jest téż organicznym motywem drugiego. W Niemczech nazwiska norweskie, rosyjskie, włoskie mają swoją nadwartość u czytelników, wszyscy znają i przepadają za Prevostem, Tschechowem (nie Czechowem), d'Annunziem, mało wiedzą o Conradim, Mackay'u, Dehmelu. Nikt nie wie o Mombercie i Eversie. Długie lata składały się na to, że piśmiennictwo piękne, powoli ale konsekwentnie i we wszystkich działach rozpadało się na dwie części: literaturę dla czytelników i literaturę kół wykształconych, poczém na beletrystykę dla wypożyczalni książek dla schodów od kuchni i guwernantek i na poezyę zrozumiałą i przystępną tylko kilkudziesięciu, czasem kilku wybrańcom. We wszystkich językach europejskich istnieje oddawna belletrystyka na niedzielę, nie spokrewniona ani jednym węzłem z literaturą piękną, ale za to faworytka szerokich kół, mająca do swoich usług fejletony wszystkich pism codziennych i cały szereg interesujących tygodników jak: Daheim, Heimat, Zur guten Stunde, Vom Fels zum Meer, Universum, Hauschatz, Heimgarten, z których takie Gartenlaube cieszą się 250,000 inteligentnych prenumeratorów. Ma ona swoich dostawców i fabrykantów, swoje Jungfer Marlitt, na scenie swoich Karlweissów, Schönthanów, Vossów ba nawet Wildenbruchów. Ta *in usum Delphini* t. j. na użytek pokoju dziecinnego przeznaczona literatura jest niezwyciężoną, zawsze zdrową, wieczną, nie przechodzi żadnych falowań, kryzysów,

upadków, żadnych kierunków, zna tylko jedną stałą wytyczną, to jest przez pokój dziecinny, jadalnię do kanapy przed drzémką poobiednią, uznaje tylko pewne typy ludzkie, zbliżone do typów pism humorystycznych, pewne sytuacye, pewną skalę uczuć i pewien styl, to jest brak stylu. Wytwórcy téj literatury we wszystkich krajach mają wille, majątki, popularność, są wkorzenieni w społeczność, z któréj wykwitli, opinia publiczna liczy się z nimi, lubi, szacuje, nazwiska ich są firmami tak pewnemi, jak firmy sklepowe, fabryczne, bankierskie. Nie uznaje ich tylko historya pięknéj literatury, koło któréj przechodzą obcy i bezwartościowi. Obok téj samozwańczyni rządzi pani wielka, nieśmiertelna, piękna mająca do swych celów wybrańców, kapłanów, magów, piśmiennictwo przechodzące ciągłe pulsacye i metamorfozy, zmiany ku coraz wyniośléjszemu i szlachetniejszemu, czasem stany osłabienia, kataklizmy. Ta literatura „Królowa nasza i Pocieszycielka nasza" staje się w współczesnéj nam epoce coraz obojętniéjszą społeczeństwu, zdaje się odrywać odeń i unosić znacznie wyżéj ponad jego interesa i cele; ma wpływ już tylko na ludzi jéj oddanych, a na rozwój duchowy społeczeństwa działa dopiero w drugiém pokoleniu, trzecie na śladach jéj podobno się wychowa. Tak jest i tak jest dobrze. Trudno bowiem wyobraziéby sobie społeczność, na którą bezpośrednio a silnie wpływałoby jéj piśmiennictwo, jéj systemata filozoficzne i jéj poeci. W obecnéj chwili naprzykład społeczność taka byłaby jednym olbrzymim domem neurasteników i obłąkanych częściowo, a chaos pojęć w szerokich tłumach byłby tak strasznym, jak strasznym jest w mózgach i sercach narodów t. j. w literaturze. I chyba dobrze jest, że ci ludzie, którzy reprezentują ducha społeczeństw, są ich wykwitem i przednią strażą w kulturalnym pochodzie, arteryami myśli ludzkiéj w organizmie całéj ludzkości, są tym społeczeństwom obojętni, obcy, czasem wrodzy. Za daleko wolna ptaszyna myśl ludzka wybrnęła naprzód, za daleko w tyle zostały mdłe ciała społeczeństw. Do ziemi obiecanéj te pokolenia wejść jeszcze nie mogą, widziały już wielkie winogrona z téj ziemi, które im poeci i myśliciele przynieśli, ale oni jeszcze nie dorośli do świata nowego. Tacy jak są, muszą zostać w swoich warunkach bytowania, wierzeń i metafizyki, być może, że ich wnuki będą się karmić owocami, które dla nich byłyby trucizną.

Mostem, łączącym sztukę artystów z sztuką tłumów, jest fejletonizm artystyczny. Podobno ma to być i literatura jutra, w każdym razie to władca dnia dzisiejszego. Fejletonizm rozpanoszył się w piśmiennictwie niemieckiém, tak jak w całém europejskiém i przy-

dusza wszystko inne, jest tyranem łagodnym, wodzem i wyrocznią. Przodują fejletoniści piszący dramaty, feljetoniści piszący powieści i potentaty krytyki fejletonistycznéj. Artystycznie wykształceni dziennikarze są prymasami, pomazującymi przyszłych władców poezyi i dramatu, powoli wszyscy zaczynają więcéj smakować w błyskotliwym krytycznym essayu o jakiejś powieści, niż w saméj powieści, choćby miała ustępy pierwszorzędnéj piękności. Studya literackie więcéj kształcą i wyrabiają smaku, niż najkrystaliczniejsza poezya, *causerzy* o malarstwie są tak opłacani na wagę złota, jak karykaturzyści, a fejleton nastrojowy o jakimś wybrednym koncercie jest z takiém zajęciem czytany, jak opis tualet na balu... Wszem ulubiony fejleton jest tém zharmonizowaniem pięknego z pożyteczném, krótkiego z treściwém, poważnego z dowcipném, jest tym rodzajem, który nie zmusza do myślenia, a pomaga do myślenia... przy trawieniu.

Fejleton daje czasem duszę poety jaśniéj, niż nieumiejętne przeczytanie jego trzech tomików, mówi i kształci więcéj, niż całokształt myślowy jakiegoś filozofa i zajmuje zawsze, o ile jest dowcipnym, pstrzonym paradoksami i ma dobrze imitowaną głębię w poglądach fejletonisty. Fejletonizm jest już w literaturze Molochem, pożerającym mnóstwo talentów, ale zarazem jest i tym kapłanem, który odchyla tłumom miejsce święte świętych, to znów tym klownem, stojącym przed budą jarmarczną i zapraszającym do środka, to znów tym Dawidem, zwyciężającym olbrzymy myśli ludzkiéj drwinami i szyderstwem. W fejleton da się wtłoczyć i ubrać wszystko: krytyka filozofii pessymistycznéj i Ivetta Guibert, rekordy na tandemach, pogląd socyologiczny, kwestya feministyczna i opis malowniczy fiordów norweskich, ewangelia nowéj religii i wszystko co istnieje w czasie i przestrzeni i co nie istnieje, fejletonista może przechodzić codzień wszystkie stopnie od kaznodziei nadczłowieczeństwa aż do kramikarza, i dlatego jest on przyjacielem szerokiéj publiki, wszystkich z tamtéj strony piękna, a równocześnie i mile widzianym gościem przy stole króla Artusa. Fejletonizm, jak wszystko złe... i dobre, wyszedł z Francyi, w Niemczech znalazł jeszcze indywidualniejszych, konkretniejszych i głębszych swoich przedstawicieli. Tacy Frenzel, Nordau, Speidel mają już całe szeregi następców, którzy poprzydzielani do rozmaitych obozów społecznych, czy literackich, są tych obozów apostołami, teoretykami, prawodawcami. Mówiąc o pewnéj grupie literackiéj, cytuje się obok... izmu organ jéj, a potem teoretyka, to jest tego fejletonistę, który w essayach swoich obniża do zera wartości estetyczne i kulturalne in-

nych grup i organów, a podnosi do wysokości Goethego, ewentualnie magów assyryjskich, jako głównego przedstawiciela swego organu, ...izmu, grupy.

W fejletonizmie także tkwi ten wielki zarazek literatur wojujących, to jest rozpolemizowanie, które w Niemczech, jako w kraju *par excellence* teoryi, programmomanów, dogmatystów, doszło do niesłychanych rozmiarów. Rozpolemizowanie jest tém dla krytycznéj twórczości, czém ta bardzo często dla poetyckiéj pracy pisarskiéj, zachwaszcza pole, zaognia charakter intellektualnéj wymiany sprzecznych, ale szanujących się poglądów i wprowadza niezdrową, duszną, jadowitą atmosferę; czasem zaś doprowadza do tego, że w zgiełku kłócących, szarpiących, gniotących i zabijających się nie słychać nawet haseł pod którymi walczą, a już zupełnie nie widać, o co ci fanatyczni polemiści, zapaleńcy krwawią się. Musi się ich nazwać literackimi rycerzami z Manchy, kiedy się czyta, jak polemizują o najbłahsze słowo, zdanie, wiersz, estetyczny paragraf, musi się ich nazwać komiwojażerami literatury, gdy się czyta z jakim hałasem reklamują swe wielkości, a jak oczerniają wyroby literackie innych wrogich im form Placem turniei dla tych panów jest właśnie fejleton, jakie były ich zwycięstwa i jakiéj broni używali, pokazało w Niemczech kilka procesów sądowych, które wyciągnęły na światło dzienne drastyczną dezilluzyę. Egzaltowanych teoretyków, piszących nadęte idealizmem i katońskie estetyczne fejletony, zdemaskowano jako przekupnych żydków, szwindlujących tak wygodnie w literaturze, jak na giełdzie i gdzieindziéj. Takich sędziów było wielu, jeśli już nie wprost przekupnych, to indyferentów, ni zimnych, ni gorących w rzeczach sztuki, ale fanatycznie zapalonych, jeśli chodziło o zgniecenie przeciwników. Krytyka niemiecka (w tym wypadku można nawet generalizować) jest w bardzo znacznéj części wyłącznie partyjną, osobistą, nie rzeczową, parafiańsko szowinistyczną, bezwzględną. I choć każdy memoryał czy tylko urywek krytyczny jest bardzo erudycyjny i fachowy, choć pozornie oparty na regułach i paragrafach piękna, na przeszłości, smaku, estetycznéj logice, autorytecie wielkich, istotnie jednak zawsze przebija się interes i stanowisko grupy i organu, nieszczerość, prywata i zmienność, jak jesiennéj pogody. Tacy sędziowie, ale czy wolno sądzonym rzucać na nich takiemi kamieniami, jak to praktykują rozgoryczeni pieśniarze współczesnych Niemiec. Czy w nich jest ta szczerość Byronowska, ta czystość Dantego, ta pogoda Goethego, ta skrzydlatość poetów słowiańskich? Czy w nich jest hart ducha wielkich, żywiołowy rozmach tytanów i życie prorocze? Czy w nich

jest choćby szczerość przekonań, sumienność myśli i intencyi, dojrzałość męzka, i stałość wierzeń i wiara w powołanie? Czy współczesność jest tak marna, aby na jéj firmamencie tak blade iskrzyły się gwiazdki? Więc to mają być naszych przełomowych czasów Kainy, Wertherzy, Gustawy, Młodzieńce i Aligiery?

Współczesny Werther! Opuścił Lotchen, przeszedł do Nany, od Nany do kelnerek, od kelnerek jeszcze niżéj, poczem podniósł się do emancypantek socyalistycznych, aby obecnie ugrząść w budoirach histeryczek, ubranych w kwiaty maku we włosach i w kult powagnerzystów. Można się było obawiać w czasach lat bojowych naturalizmu że jedynym dla Faustulusów problemem kulturalnym, socyalnym, ekonomicznym, artystycznym zostanie wyłącznie kelnerka Toni lub Mizi. Obecnie należy się obawiać, że współczesne problematyczne natury rozpłyną się w przesyconéj opoponaksem atmosferze rozmaitych Adin, Gerd, Maud, Wahnfried, szukających zbawicieli i znajdujących ich w bladych, przeczulonych aż do brutalności, przerafinowanych aż do śmieszności incroyablach Erwinach, Anatolach, Egonach. Mówi się neoromantyzm, powrót do kielicha niebieskiego kwiatu, ale myśli się o dusznéj atmosferze, nieszczerych pozach i daleko wygnanéj prawdzie.

Współczesny Werther ma czasem znamiona specyficzne młodzieńca takiego a takiego wyznania braku wiary po tylu a tylu przemożeniach (*Ueberwindungen*), smaku wykształconego na tych, a na tych mistrzach. Dojrzały jest więc albo jasnym, pogodnym, dyonyzejskim, choć także pessymista uznaje Goethego, gardzi Kantem i... Schopenhauerem, Nietschego i Rembrandta ma za swoich wychowawców, jest nadczłowiekiem, w praktyce poetą indywidualistą. W innym typie uważa za wychowawcę zawsze jeszcze Nietschego, ale już Poego, Baudelaira, Przybyszewskiego, pluje na Goethego, klassyków trzeźwych, mózg, jest dzieckiem szatana, w praktyce Falkiem, rozpoczynającym twórczość piśmienniczą od rapsodu krytycznego w tonacyi hymnów do słońca na cześć pozornie bliskiego mu duchem malarza czy poety, częściéj zaś zaczyna swą działalność poetyczną od rapsodu krytycznego w tonacyi krucyaty wszystkich dobrze myślących na poetę lub malarza, którego na razie uważa za negacyę piękna i wroga kultury. Tych i im podobnych typów skala jest niezmiernie rozległą i ma tak wysokie tony, jak młodzieńca seraficznego, który wstrząśnięty samobójstwem poety Conradiego, aby być z nim po śmierci wciąż razem, strzelił sobie w skroń—i tak niskie tony jak młodzieńca, który okradzenie kochanki

szansonistki tłómaczył przed sądem wpływem arcydzieła Nitschego: *Also sprach Zarathustra*...

Współczesny Werther szumi intelektualnie dość długo, zanim tężyzna młodego umysłu przejdzie w apatyę dojrzałego Europejczyka. Musi przejść całe schody przemożeń swych dawnych przesądów społecznych, religijnych zabobonów, poglądów etycznych. Musi przejść całe turnieje walk o Boga, o prawdę, o jutro, o przyszłość, wyrzec się kolejno ideałów z 16, 17, 20, 25 roku życia. Musi się wyrzec wszystkich wiar i być sceptycznym aż do punktu, w którym się nie wierzy w swoją wielkość i jedyną misyę dla otoczenia, nim znajdzie swego zbawiciela, najwygodniéj dostrajającego się do jego sposobu myślenia czy też używania życia, zanim zbawiony stanie się zbawiciela korybantem i w jego pochodzie do Walhalli będzie mógł krzyczeć: Hosanna, Hosanna. Aby dojść do upragnionego znużenia kulturą i intelektualnéj dojrzałości, musi przejść drogą socyalistycznych porywów do najskromniejszego naturalizmu, poczem naturalizmu barwionego idealnie, szukać swojéj indywidualności z pomocą Hermana Bahra, Oli Hannsona, przejść kult Goethego i francuzkich malarzy do plucia na Ibsena, poczem znaleźć swoje ja w mistycyzmie Dehmela i Przybyszewskiego, aby znudziwszy się i zmęczywszy symbolistycznym patosem, odnaleść siebie znów w arystokratycznym spokoju i używaniu piękna Georgego i Hoffmansthala. W końcu zblazowawszy się całym modernizmem jak wielki i szeroki i jak w nim kilka słońc na dzień zachodzi, wrócić do cichéj rezygnacyjnéj poezyi Anioła Szlązaka (*Angelus Silezius*). To są Gehenny młodego, chodzącego po ogrodach Rozpoznania, kulturyzującego się Werthera, to jest zwykła pielgrzymka ze wszystkiemi stacyami Piękna dla człowieka, który ma mózg, serce, jest artystą z krwi i zakosztowawszy owoców jednego drzewa, dostaje głodu owoców wszystkich innych drzew, aż przyjdzie owoc, który mu świat zaczerni, ludzi obrzydzi i duszę zatruje. Biada współczesnemu Wertherowi, że nie został burszem w pstréj czapeczce, Faustem, który poznał tylko karty, *Comment* i kelnerki. Taki przecież nie ośmieli się powiedzieć: „najsilniejszy kto stoi sam, Mój majestat i Sam tyle ważę, ile całe społeczeństwo na szali przeciwnéj, bo jeżeli się upiją i upoją, to tylko piwem, a nigdy kulturą, bujną kulturą dekadencyi nowożytnéj".

Na zachodzie Europy czarne gęste chmury rozstępują się, mgławice norweskie opadają, pokryły się i znikły puhacze i wampiry, wysysające do reszty rozsądek i charakter Hamletów i Faustulusów. *Decennium* czarnéj analizy nagiéj duszy ludzkiéj zdaje się kończyć. Przy warsztatach stoją wszyscy, wszystkich obozów ludzie,

praca przy wszystkich idzie, ale nowych warsztatów niema. Do głosu przyszli z końcem wieku można powiedzieć wszyscy, wszyscy téż mówią, ale śmiało można przypuszczać, że się wyczerpią, że te struny, na których grają, dla muzyki przyszłości, nie wystarczą. Wychodzą przeglądy wyłącznie koteryjne, egzystują nakładcy, wydający tylko teozoficzne poezye i prace, drukuje się mnóstwo symbolicznych powieści w sensacyjnych okładkach, ale zdaje się wszystko przeszło już swoją linię nowości i zaczyna się powtarzać i znów powtarzać a więc zaczyna być nudne i to tém nudniejsze, im było przedtém drastyczniéj piękne i głębokie. Ci, którzy słyszą, jak trawa literacka rośnie, rozsyłają już biuletyny o stanie zdrowia chorego, goniącego ostatkami talentów pandekadentyzmu, mówi się już o epigonach Verlaina; co prawda, że i dość prędko. Niedobitki przyłączają się we Francyi do neohellenistów, bardzo faworyzowanéj szkoły Centaura z takimi firmami: jak Pièrre Loÿs i André Lebey na czele, w Niemczech do wiedeńskich prerafaelitów i rokokowców Hoffmansthala i Altenberga. We Włoszech? d'Annunzio pisze Giocondę, dramat, układany specyalnie dla uwydatnienia piękności rąk E. Duse. W Danii zakładają trzeci literacki Variété, Spezialitätentheater, gdzie szansonistki deklamują sonety Gjellerupa, a orkiestra gra już nie marsz armii zbawienia *Trara ra boundeya*, ale uwerturę symfoniczną Ryszarda Straussa: *Also sprach Zarathustra*. Chmury się rozstępują, ale na horyzontach nie widać nic, nic, do czegoby się dążyło. Wloką się całe procesye i to właśnie tych uświadomionych, tych mózgowców i znów tych sentymentalnych, ciągnąc tylko taczki życia po ziemi, ciernie i osty rodzącéj. Wloką za sobą skrzydła, połamane, zbrudzone, zbłocone, niektórzy bardzo smutni i melancholijni, niektórzy tylko zmęczeni i cyniczni i znudzeni, strasznie znudzeni wszystkiém, społeczeństwem, sztuką, szyderczy i drwiący już i ze swojéj tragedyi. Przed nimi biegną arlekiny, którzy pozszywali sobie kostyumy z strzępów myśli ludzkiéj, krzyczą, wywracają kozły i umieją jeszcze sprzedawać czytelnikom i publice swą nicość. Ci co na przełomie wieków stali, tyle widzieli słońc, które okazały się transparentami, tylu słyszeli samozwańczych proroków, tak wielu miało ich zbawić, a siebie zbawić nie zdołali. Jeżeliście tak potężni, mówiono, usuńcież zło choć jedno, i nie usunęli, usuńcież dobro, i usunęli u łatwych, sentymentalnych, młodych, egzaltowanych. I wszyscy stanęli znów przed ciężkiemi okutemi miedzianemi drzwiami, o które już tylu krwawiło sobie dłonie i roztrzaskiwało czaszki, bezradni ślepcy.

A ci z młodych najmłodsi?

Przedostatnie talenta, wchodzące do literatury pięknéj, wchodziły do niéj już w epoce, kiedy społeczeństwo rzadko wchodziło do świątyń sztuki i czciło kapłanów, a artyści głośno obrzucali człowieka przeciętnego przezwiskami głupca, słonia, profana.

Potem już i nie mówiono o filistrze, jakby go nie było wokoło nich, i patrzano tylko w kielich niebieskiego kwiatu, w kobietę potęgę kosmiczną, i w dziwaczną treść swoich dusz, tęskniono do rozwiązania wielkich odwiecznych zagadek wszechbytu i nie myślano o materyi. Sadzili kwiaty na glebach swych talentów, pielęgnowali je, ścinali i znosili na ołtarz sztuki dla sztuki. Ostatni, którzy wchodzą juz w przededniu wieku XX, podobno wieku aerokabów i anarchistów, zdają się znowu odmienni.

Ci już, utylitaryści znów, w powrotnéj fali jakiegoś neopozytywizmu starają się nawiązać stosunki z rozwiedzioném z nimi społeczeństwem, zrzekają się wielkich szat i wielkich słów kazalnic i dymów, nie wzlatują ponad obłoki, ale wkraczają w służbę społeczeństwa, jako utalentowani w pisarstwie obywatele, jako nacyonaliści, poeci rasy, w Niemczech prowincyonaliści pejzażyści swych okolic rodzinnych, lirycy swego ludu, dramaturdzy obyczajowi swego mieszczaństwa i wyznawcy jednéj tylko filozofii, to jest filozofii... *monsieura Chauvin*.....

Na nich zamykają się rachunki z współczesną literaturą niemiecką, na nich można zamknąć rachunek z ubiegłym wiekiem kultury. Wielu powołanych, ale nie wybranych, stara się przy téj sposobności dać możliwie najwierniejszy obraz duszy współczesnéj *l'ame moderne* i wszyscy zgodnie dochodzą do najsmutniejszych rezultatów, wszyscy widzą tylko bezład, chaos, brak harmonii, niekonsekwencyę jako dogmat, anarchizm i to na wszystkich polach duszy, w pojęciach politycznych, socyalnych, moralnych, estetyczych. Chciałoby się powiedzieć z Krasińskim: ludzie i bogi szaleją, gdyby słowo bogi nie wywoływało już tylko śmiechu. Po epoce wielkich *representativ-manow* Emersona przyszła kolej na całe tłumy *hommes mediocres* Ernesta Hello, czy *hommes copies* Stendhala, którzy tak zagmatwali estetyczne i krytyczne wszystkie węzły gordyjskie, pokrzywili złote sztaby i porozpraszali spadek po wielkich, że obecnie zdają się wszystkie studnie i źródła w państwie ducha zatrute, a wszystkie monety obiegające fałszywemi.

Nie słychać już wielkich dzwonów, które tak potężnie rozbrzmiewały w różnych latach XIX wieku, ale słychać wielką bezładną, ale jeszcze polyfonię mniejszych i bardzo małych dzwonków, które wzywają wiernych do najrozmaitszych świątyń, tumów, sy-

nagog, pagód. Z całego tego zamętu ma wyjść świat ducha, nowy Adam i nowa Ewa; jakie one będą—nie wywróżą żadne ankiety, choćby obsyłane przez najgłośniejsze nazwiska, największych myślicieli i poetów.

Ci bowiem, którzy tkwią w chaosie, sami najwięcéj burzą, niszczą, trują, są z środowiska i współcześni, są z mroków i niezgód ze wszystkiém i ze sobą, ci nie mogą wróżyć przyszłości, która musi być chyba: harmonijną, prostą, jasną i zgodną. A że teraźniejszość jest niezgodna, ciemna, chaotyczna, że czuć już w powietrzu brzask nowych dni, ale walka wre jeszcze wciąż w ciemnościach, że piętno anarchii wybiło się najsilniéj na wszelkich przejawach ducha w Niemczech i że patrząc szeroko i możliwie najgłębiéj, tylko do pessymistycznych konkluzyi dojść się musi, o tém łatwo się przekonać, przeszedłszy krytycznie i *subiektywnie* wszystkie kierunki literackie, ich przedstawicieli i ich dzieła.

Adolf Nowaczyński Neuwert.



DLA MILIONA.

XXIII.

Wiadomość o dobrowolnéj ugodzie z p. Floryańskim wywołała oburzenie wśród członków giełdy. Spodziewano się, że sprawa ta bez jakich 100,000 nie zostanie załatwioną, a p. Floryański za lekkomyślność kopania szybu na gruncie wątpliwym zostanie przez spółkę usunięty z administratorstwa.

Wymówki, zarzuty zdrady, odstępstwa sypały się na milczącego p. Krausberga, który przyciśnięty odpowiadał:

— Czego wy chcecie? To był mój interes.

Panowie Lindeman i Stillbach rozgoryczeni jego postępowaniem w téj sprawie, a niezadowoleni z zysków cerezyny oświadczyli, że z takim człowiekiem jak on nie myślą nadal pozostawać w spółce, i albo niech on ich spłaci, albo oni jemu zwrócą wkład jego.

Wszczęła się pomiędzy nimi gwałtowna kłótnia, wymyślali sobie, grozili, i ostatecznie postanowili zdać się na sąd polubowny.

Ze wszystkich wymówek i złośliwych przycinków najbardziéj dotknęła p. Krausberga groźba rozwiązania spółki fabrycznéj. Przyjąć na swą odpowiedzialność całą fabrykę cerezyny obawiał się,

niemieccy kupcy ganili gatunek, obniżali cenę i nawet niechętnie kupowali; z drugiéj strony fabryka dawała bądź co bądź dochody, miał zbyt na swój wosk surowy, a gdyby ulepszył produkcyę, zyski byłyby nawet wysokie. Nie dowierzał jednak dotychczasowemu dyrektorowi i zanim sąd polubowny wyda wyrok w sporze współki, postanowił w sprawie cerezyny zasiągnąć rady specyalisty pana van Haechta.

Dowiedziawszy się, że chemik jest w swém mieszkaniu, zapukał do drzwi.

Przyjął go zdziwiony niespodziewaną wizytą.

— Ja przyszedłem do pana inżyniera z wielką prośbą.

— Jaką? — spytał obojętnie.

— Pan inżynier jest specyalista, to ja przyszedłem poradzić się o moją cerezynę. Ona jest żółtawa, miękka, a ja chcę, żeby była twarda i biała.

— Przecież ma pan dyrektora.

— On nie jest takim sławnym specyalistą. Niech pan inżynier mi poradzi, ja nie chcę darmo, ja zapłacę.

— Bez wiedzy dyrektora, pana Wintera, nie mogę się podjąć tego.

— On się zgodzi, w tem moja głowa, — zawołał p. Krausberg.

— I wówczas pogadamy — dodał pan Haecht.

— A co pan inżynier potrzebuje do próby?

— Kilka gatunków wosku, trochę kwasu siarkowego i odpadków żelazosinku potasowego.

— Sam dyrektor Winter przyśle to do pana. I panie inżynierze, ile to będzie kosztować?

— Policzymy się późniéj, — uśmiechnął się, — sam jestem ciekawy rezultatu.

— Pan inżynier jest bardzo szlachetny, — zawołał p. Krausberg z ukłonem, — ja zaraz idę do dyrektora naszéj fabryki.

Pan Krausberg z łatwością nakłonił pana Wintera nietylko do zezwolenia na zrobienie próby z woskiem, ale sam dyrektor poszedł osobiście do van Haechta, by się dowiedzieć, ile i czego potrzebuje z jego fabryki.

Po przywitaniu rzekł pan Winter, rozsiadając się na fotelu:

— To ładna rafinerya....

— Wzorowo urządzona, wszystkie najnowsze wynalazki są w niéj zastosowane, — odpowiedział chemik, — aż przyjemnie pracować.

— To jedyny wyjątek w tym kraju barbarzyńskim, — zaśmiał się drwiąco, — bo ten Floryański rozrzutny, a inni, jak Krausberg, głupio skąpi. Czego chciał ten żyd od pana?

— Przyszedł w sprawie cerezyny — mówił podając cygara — skarżył się, że gatunek nie jest dość dobry.

— Obrzydliwy skąpiec, żąda doskonałéj cerezyny, a materyały daje pod psem. Bo to widzi pan, tam u nas byłem pomocnikiem dyrektora, ale miałem inteligentnych dozorców, pracownię chemiczną, do któréj mogłem posłać wątpliwą cerezynę każdéj chwili i dowiedzieć się, czego jéj brakuje. A tu, niechże ich dyabli porwą, — zawołał uderzając ręką w stół, — dają mi źle skoncentrowany kwas siarkowy, wosk kilku gatunków, dozorców głupich, chcą oszczędzać pracę robotników, i niema pracowni chemicznéj.

— Ciężkie warunki—dorzucił gospodarz.

— Radzę sobie praktycznie, tak na oko, czasem trafię dobrze, czasem potrzeba powtórzyć cały proces, no i naturalnie koszta są znaczne, ale czy to moja wina?

— Dlaczegoż pan nie powie im tego?

— Mówiłem, wymawiają się od każdego wydatku, i całe to dyrektorstwo tak mnie zmęczyło, że czekam tylko listu i porzucę ich natychmiast; wolę być u nas pomocnikiem, jak tu dyrektorem...

— Jaki procent cerezyny wydaje tutejszy wosk? — spytał chemik po chwili milczenia.

— Mniéj więcéj 47 lub 48 procent. Zresztą przy próbnem badaniu przekona się pan sam, a czego pan potrzebuje do doświadczenia?

Chemik wymienił ilość i jakość produktów.

— Każę robotnikowi przynieść to panu, a kiedy będzie rezultat?

— Za dwa, najdaléj za trzy dni.

— A wytłomacz pan temu żydowi, że dobroć materyału stanowi o dobroci cerezyny — mówił dyrektor wstając.

— Zrobione doświadczenie samo wykaże wady, — odpowiedział wymijająco.

Pan Krausberg z niecierpliwością wyglądał wyniku badań chemika, gdyż stosownie do tego miał się zachować w oczekującym go procesie ze wspólnikami.

Nareszcie trzeciego dnia przyjął go w swéj pracowni van Haecht, a wskazując na leżące na stole tabliczki cerezyny rzekł:

— Z wosku ziemnego otrzymałem trzy gatunki cerezyny: białą, półbiałą i białożółtą. Wygląd i twardość cerezyny zależy od starannego odkwaszenia, upiększenia i jednostajnego ochłodzenia.

Pan Krausberg pochwycił pierwszą tabliczkę, dotykał się jéj z przyjemnością, wąchał, położył na stół z szacunkiem i patrząc w oczy chemikowi, przemówił:

— Panie inżynierze, ja sobie bardzo winszuję, że prosiłem pana o próbę. Nasz dyrektor zawsze mówi, że takiéj białéj, najlepszéj i najdroższéj z naszego wosku on nie może zrobić, a ja teraz widzę, że można.

— Pan dyrektor ma do pewnego stopnia słuszność. Wpierw musiałem gatunkować wosk, i dwie pierwsze tabliczki otrzymałem z najlepszego gatunku.

— Czemuż on nie gatunkuje? — zawołał z odcieniem gniewu.

— Tego nie wiem, o ile jednak poznałem sposób fabrykacyi u pana, główną wadą jest brak chemika, znającego się na rzeczy.

— A od czego on jest dyrektorem, on zobowiązał się kontraktem do robienia cerezyny.

— Za wiele pan wymaga od dyrektora, on musi uważać na ogólne procesa całéj fabryki i nie może ślęczyć w pracowni. Następnie materyały dostarczane muszą być w dobrym gatunku, i najlepszy dyrektor z lichego wosku, z dymiącego kwasu siarkowego nie zrobi cerezyny pierwszego gatunku.

Pan Krausberg słuchał tych słów, nie przywiązując do nich wielkiéj wagi, cały bowiem był pochłonięty myślą, w jaki sposób możnaby wyzyskać znajomość fabrykacyi cerezyny, którą posiadał ten chemik. Po chwili milczenia uśmiechając się słodko rzekł:

— Panie inżynierze, my w handlu nie lubimy tracić czas na słowa, to ja powiem krótko: ile pan inżynier chce za to, aby nauczyć naszego dyrektora robienia takiéj białéj, popłatnéj cerezyny?

Uśmiechnął się chemik na tę propozycyę i rzekł wesoło:

— Pan Winter nie potrzebuje méj nauki, on umie robić cerezynę, potrzebuje tylko zdolnego chemika.

— To ja proszę pana inżyniera, zanim znajdę takiego chemika, niech mu pan powie, on usłucha pana inżyniera, bo on sam mówił, że pan sławny na Europę całą.

— Nie, panie Krausberg, pan jako właściciel nie powinien mi robić podobnych propozycyi. Pan oddał fabrykę panu Winterowi, i tylko on ma prawo w niéj rządzić!

— A jeśli dyrektor poprosi pana?

— Jeśli dyrektor?... Obliczę się z czasem, wysłucham warunków i dopiero wówczas dam odpowiedź.

— Nu dobrze, ja pogadam z dyrektorem, — i po chwili dodał tonem prośby, — panie inżynierze, niech mi pan powie, co powinien zrobić dyrektor, aby mieć taką białą cerezynę?

— To bardzo trudno, — zaśmiał się chemik, — pan nie zna zasad fabrykacyi i działań chemicznych, chociażbym i powiedział, nic pan nie zrozumiész.

Pan Krausberg, który sądził, że wyłudziwszy odpowiedź, powtórzy ją dyrektorowi, i dojdzie w ten sposób bez kosztów do białéj cerezyny, westchnął i rzekł:

— Ja już przyślę dyrektora, — a po chwili zbliżył się do stołu i patrząc chciwie na tabliczki dodał: — Panie inżynierze, pan mi pozwoli to zabrać...

— Przecież to z wosku pana, bierz pan.

Szybko wziął, schował starannie i nie wspominając nic o przyrzeczonem honoraryum, z głębokiemi ukłonami wycofał się z pokoju. W sieni przystanął jednak i rozważał, zapłacić czy nie zapłacić chemikowi? Płacąc, wyda pieniądze i to za rzecz, którą już posiadł, zatém straci niepotrzebnie; ale niepłacąc może sobie narazić chemika, a on będzie mu potrzebny w jego fabryce, on może mu zrobić tysiące centnarów takiéj cerezyny, i zysk będzie wielki. Ten jeden raz on zaryzykuje i zapłaci. Wrócił się, zapukał do drzwi i wszedł śmiało, bo przecież daje pieniądze.

— A, to pan, a czego? — spytał chemik, zajęty przy ustawianiu retorty.

— Panie inżynierze, pan był tak delikatny i nie wspomniał o zapłacie, a ja mam tak dużo na głowie, że zapomniałem, ale ja sobie przypomniałem i wróciłem się, aby zapłacić.

— Dziękuję, byłbym jednak posłał rachunek do fabryki pana.

— My przecież znajomi, panie inżynierze, po co między nami takie ceremonie?

I w obawie by chemik nie zażądał większéj sumy, wyjął szybko pugilares, odliczył dwadzieścia pięć guldenów, zwinął banknoty w trąbkę i podając rzekł:

— Niech pan inżynier przyjmie to za fatygę.

Wychodzącego powstrzymały słowa chemika:

— Panie Krausberg, na drugi raz, płacąc za pracę, dawaj pan pieniądze otwarcie, bo to nie żadna łapówka, ale należność.

— Ja prosty człowiek, — odpowiedział zmieszany, — ja nie chciałem obrazić pana inżyniera.

Chemik przeliczył pieniądze, spojrzał na stojącego u progu, i mówił z uśmiechem ironicznym:

— Dwadzieścia pięć to trochę za mało, ale niech będzie na pierwszy raz, jednak nie zapominaj pan na przyszłość, że jestem z kraju, w którym za pracę płaci się dobrze.

— Ja będę pamiętał, — odpowiedział, zamykając drzwi za sobą.

Pan Krausberg był niezadowolony ze siebie, sądził, że zaimponuje chemikowi swoją uczciwością i zapłaceniem niezażądanych pieniędzy, a w zamian otrzymał niepotrzebną mu naukę wręczania pieniędzy własnych.

— On nie jest delikatny człowiek, to wielki gbur — mruknął do siebie, idąc do swéj fabryki.

— Panie dyrektorze, — rzekł do pana Wintera, spotkanego w biurze fabrycznem, w którem pracowało trzech pisarzy, krewnych właścicieli — ten pański inżynier już zrobił cerezynę, — i wyciągnął tabliczkę białą.

— Tak? Ach mój Boże, to żadna sztuka, i ja robiłem taką cerezynę.

— Nu, a czemu pan dyrektor nie robi u nas?

— Czemu? Daj mi pan pracownię chemiczną, dobre materyały, a będziesz pan miał taką.

— On mówi, że pan dyrektor potrzebuje gatunkować wosk surowy, to dostanie taką cerezynę.

— Głupi jest z gatunkowaniem, — zawołał obrażony, — i ja wiem o tem, ale kolor zależy od odkwaszenia, upiększenia i filtrowania. Daj mi pan ludzi zdolnych i chemika, a zrobię panu.

— Po co panu chemik?... A pomocnik pana nie może to zrobić?

— Także coś nowego! — odburknął gniewny, — sam nie mogę się rozerwać na cztery części, ktoś musi mi pomagać.

— Panie dyrektorze, a co pan powie na to, gdybyśmy zgodzili na chemika tego inżyniera.

— Van Haechta?! Bardzo wątpię, aby przyjął miejsce.

— Nie na stałe, ale tak sobie, do pomocy przy robocie cerezyny.....

— To byłoby nieźle, tylko czy on się zgodzi?

— On mi tak powiedział. Pan dyrektor rządzi i jeśli zechce mnie mieć, on mnie wezwie. Ile jemu dać, panie dyrektorze?

— Nie wiem, zwykły chemik bierze od 50 do 100 guldenów na miesiąc, ale on zechce drożéj.

— Ja już mówiłem, że on nie będzie na stałe, niech on przyjdzie raz na dzień, pogada, zobaczy, no i koniec. Za taki spacer ja mu dam trzydzieści guldenów na miesiąc!

— Trzydzieści??

— Panie dyrektorze ja mu dołożę pięć guldenów, jak będzie biała, ładna, popłatna cerezyna.

— Hm... nie wiem.

— Co to szkodzi spróbować, niech pan dyrektor pójdzie do niego, i powie jemu prawdę, że to będzie zabawka dla niego, taki sobie wesoły spacer, i za to dostanie trzydzieści pięć guldenów na miesiąc, ale cerezyna musi być biała, taka jak ta tabliczka.

— Pójdę, spróbuję, — mówił biorąc kapelusz,—a jest w domu?

— Ja idę od niego, i zaczekam tu na pana dyrektora.

W pół godziny wrócił pan Winter i rzekł do oczekującego właściciela:

— Mówiłem—że nie przyjmie tak nizkich warunków, i nie przyjął... Żąda 200 florenów miesięcznie i zakupna potrzebnych przyrządów chemicznych.

— To źle, ja nie myślałem, że on taki drogi — westchnął szczerze p. Krausberg, — i co my teraz zrobimy?

— Sprowadź pan chemika stałego, a zanim on przyjedzie, inżynier van Haecht — mówił dyrektor tonem, w którym brzmiała duma — zrobi to dla mnie i będzie przychodził do fabryki, udzielając ludziom wskazówek w razie potrzeby.

— On będzie przychodził? On będzie pilnował cerezyny?! I bezpłatnie, to nie może być—dziwił się szczerze właściciel.

— My inżynierowie oddajemy sobie przysługi koleżeńskie. On robi to tylko dla mnie!

— To bardzo pięknie ze strony panów inżynierów, oni powinni trzymać się kupy, — mówił uradowany p. Krausberg, — to my, panie dyrektorze, będziemy mieli białą, twardą cerezynę.

— Mielibyśmy i bez niego, a teraz to już napewno; podzielimy się robotą, i cerezyna już gotowa.

— Pan dyrektor zrobił to mądrze i tanio — pochwalił właściciel, — ja panu bardzo dziękuję i ja będę to pamiętał.

Wieczorem zasiadł pan Krausberg w domu do rachunku i właśnie doszedł do rezultatu, iż fabryka cerezyny po odtrąceniu kosztów utrzymania stałego chemika da znaczne zyski przy produkcyi białéj cerezyny, gdy weszła żona mówiąc:

— Lejzor, przyszedł do ciebie komiwojażer z Austryi, i chce się widzieć z tobą.

— Gdzie on jest, Suro?

— On stoi w pierwszym pokoju.

Pan Krausberg, jak siedział w lejbiku szarym bez rękawów, tak wszedł do pokoju jadalnego i spojrzał na przybyłego, blondyna z rysami semickiemi, ubranego z przesadną elegancyą:

— Przyjechałem od firmy Sorgenthal...

— Ja znam ją.

— Firma moja pragnie zawiązać trwałe stosunki z fabryką cerezyny: Krausberg, Lindeman und Stillbach.

— Ile pan płaci za centnar cerezyny?

— Zależy od gatunku, czy mogę widzieć próbę?

— Siadaj pan, ja panu dam.

Wyszedł, chwilę się namyślał, czy nie dać tabliczek, wziętych od chemika, lecz wkrótce uśmiechając się wydobył najgorszy okaz cerezyny z własnéj fabryki i wręczył przybyłemu.

— Czy tylko taką cerezynę macie panowie? — spytał, spoglądając dość lekceważąco na próbkę.

— Dotychczas innéj nie fabrykujemy, może późniéj będzie lepsza.

— Ile pan żąda *loco* stacya kolei?

— Sto guldenów za centnar.

— To niemożliwe, my za najlepszą tak płacimy, niema mowy o stu guldenach.

— Ile pan da?

— Za taką cerezynę, co najwyżéj 76, a za trochę lepszą 78 guldenów.

— Pan myśli, że to wosk prosty, ozokerit, czy co? Nas fabryka drogo kosztuje i tylko dla takiéj firmy mogę opuścić guldena jednego na centnarze.

— Ja widzę, że pan nie chce zawiązać stosunków handlowych z naszą firmą. Ja dam panu centnar loco stacya 76 g. 50 cnt.

— Pan sobie żartuje, — uśmiechnął się pan Krausberg, — ale ja panu coś powiem. Ja jestem tylko wspólnik, pan weź sobie tę próbkę, co panu opuszczą Lindeman i Stillbach, ja zgadzam się na ich cenę.

— Gdzie oni mieszkają? — spytał zabierając się do odejścia.

— Panu powie każdy z naszych na ulicy, ich znają w Drohobyczu.

W trzy dni późniéj na sądzie polubownym panowie Lindeman i Stillbach, zniechęceni nizką ceną cerezyny, ofiarowaną im przez firmę Sorgenthal, starali się usilnie udowodnić sądowi, że pan Kraus-

berg w sprawie fabryki cerezyny działał od samego początku podstępnie na ich niekorzyść. On zwabił ich do swego domu i nakłonił do współki; budował drogo fabrykę, przepłacając materyały, sprowadził nieodpowiedniego dyrektora, i tylko sam korzysta z téj fabryki, sprzedając drogo swój wosk.

Pan Krausberg bronił się niezręcznie, niektóre fakta wobec świadków był zmuszony uznać, mieszał się w odpowiedziach i tłomaczył niejasno.

Sąd po naradzie odczytał wyrok, mocą którego pan Lejzor Krausberg skazany jest na spłatę wspólników, jednak ze względu, że nie udowodniono mu złéj wiary, sumę należną od niego wspólnikom, rozkłada się na dłuższe terminy bez żadnego procentu.

Wyrok przyjęły obydwie strony z zadowoleniem, a na drugi dzień wieczorem przybito świeży szyld na fabryce cerezyny, zamiast dawniejszego współki wypisano wielkiemi literami na białem tle: *Lejzor und Moses Krausberg!*

XXIV.

Pan Emil van Haecht, korzystając z dnia świątecznego, wybrał się do Drohobycza. Na placyku Bazylianów, zapełnionym wozami i furmankami przedmieszczan i chłopów z okolic miasta, woźnica zwolnił bieg koni i zwrócił się do siedzącego:

— Kiedy i gdzie każe pan inżynier przyjechać po siebie z fabryki?

— Niepotrzeba, przyjdę pieszo.

— Może będzie za daleko?

— Dwa lub trzy kilometry to nie odległość, gdyby się kto pytał o mnie, wieczorem będę w domu.

Zeskoczył z eleganckiéj, fabrycznéj bryczki i wmieszał się w tłum ludzi gwarzących, nawołujących na siebie, idących ku kościołowi i licznym sklepikom przygodnym, ustawionym w rzędzie.

Wśród zebranych przeważali przedmieszczanie, ubrani w bekiesze granatowe, suto szamerowane, w kapeluszach ze szerokiemi skrzydłami, w butach palonych glansowanych; wobec nich, chłopi w serdakach i guńkach, w małych czarnych kapeluszach, z pod których spadały długie włosy, w chodakach na nogach, wyglądali niepozornie, ubogo; podobnie jak ich żony przedstawiały się skromnie i pokornie naprzeciw wystrojonych przedmieszczanek. W promieniach jasnego południowego słońca lśniły się jedwabne chustki na

głowach, zawiązane na kształt turbana, odbijały wyraźnie sznury grubych korali na bielutkich koszulach, barwiły się jaskrawe, suto fałdowane spódnice i wyraźnie rysowały się figury niewieście pod krótkiemi, obcisłemi kaftaniczkami.

Nie znając kraju i jego obyczajów, nie rozumiejąc języka, patrzał ciekawie na ten tłum wesoły, uśmiechnięty, ubrany odświętnie, pomiędzy którym uwijali się żydzi, widoczni po swych czarnych chałatach, krzyczały dzieci, gwizdały na glinianych konikach, hałasowały grzechotkami, patrząc pożądliwie na zabawki jaskrawo malowane, na obwarzanki i pierniki rozstawione ponętnie na niskich stolikach. Zwolna przesunął się przez tłum i wszedł na rynek, mieniący się od barwnie ustrojonych kobiet, wrzaskliwy od przeróżnych kupcowych, sklepikarek i kramarek, od roznoszących wodę sodową, limoniadę, owoce i inne przysmaki. Szedł po pod podsienia do kościoła, stojącego tuż za rynkiem, a przeciskając się przez przekupniów i handlujących, spotkał się niespodzianie z panem Krausbergiem.

— Co pan tu robi, panie inżynierze?

— Oglądam Drohobycz.

— Co tu można widzieć, dziś są sami chłopi, u nich święto, to przyjechali, aby stracić zarobione pieniądze — uśmiechał się drwiąco. — Panie inżynierze, ja panu bardzo wdzięczny za tę białą cerezynę, jak pan będzie czego potrzebował, niech pan się uda do mnie, Krausberg zrobi wszystko.

— Dziękuję, nic mi nie potrzeba.

— Nigdy naprzód nie można wiedzieć, może zajść jaki wypadek, dlaczego nie?

Musieli obydwaj cofnąć się o kilka kroków, gdyż tragarze wnosili do sklepu ciężkie kamienie wosku pszczelnego.

— Skąd ten wosk? — spytał van Haecht.

— To robią pszczoły, oni przywieźli ze wsi, aj to dobry interes, nic nie kosztuje, a płaci się trzy razy tyle, ile nasza cerezyna.

Chemik spojrzał zaciekawiony pytając:

— Wosk? Czy u was ma taki zbyt?

— To złoty interes, tylko mało jest wosku, każdy chłop musi kupić do kościoła albo do cerkwi kilka świec woskowych, inne kupuje on tylko na własne potrzeby, a on bardzo mało potrzebuje, takiemu chłopu wystarcza komin, on nawet nafty nie potrzebuje w domu.

— Gdzie można wosk kupić?

— Pan inżynier dostanie w każdym sklepiku. Na co panu potrzebny wosk?

— Do doświadczeń chemicznych.

— Ja panu inżynierowi mogę dostarczyć.

— Dziękuję, sam kupię.

— Pan inżynier jest bardzo dumny.

— Nie lubię usług narzucanych — odparł szorstko.

— Ja widzę, że już nudzę pana inżyniera, ja już pójdę.

— Żegnam pana.

Wszedł na plac, przemieniony świeżo na ogród spacerowy, pełen klombów, drzew i ławeczek, otaczający kościół ładny, gotycki, murowany z cegły. W téj chwili roił się ogród od pobożnych wchodzących i wychodzących z kościoła. Przez otwarte na oścież drzwi główne widać było falowanie tłumu, niebieskawe obłoki dymu, wznoszącego się w górę, jarzące świece u głównego ołtarza, i na zewnątrz przedostawały się głębokie tony organów, wtórujących pieśni pobożnéj.

Wstąpił do kościoła, rozglądając się na razie ciekawie po ściennych malowidłach, ołtarzach, ludziach zgromadzonych, ale stopniowo dźwięki organów, zapach kadzidła, dzwonki ministrantów przypomniały mu jego młodość, gdy z matką modlił się w kościele rodzinnéj wioski Breskene. I tam brzmiały organy, pachniało podobne kadzidło, odzywały się dzwonki, ale przy nim była matka, wokoło inni ludzie, inne twarze, inne stroje, inne ołtarze obwieszone łódkami, okręcikami, jako wota żon i matek, modlących się gorliwie i z wiarą niezachwianą za swych mężów i synów, płynących na dalekich morzach. Obraz za obrazem z jego dzieciństwa i młodości przesuwał się przed nim, widział pysznie uprawiane pola poprzedzielane drzewami, rosłe konie ardeńskie, ciągnące po bitych drogach dwukolne wozy, szły z głuchem dzwonieniem łagodne krowy, w dali czerwieniły się dachówki domów wiejskich, znaczyła się na płaszczyźnie smukła wieża kościelna; cały utonął w myślach, przenoszących go do rodzinnego kraju.

Wyszedłszy z kościoła, jeszcze miał w umyśle obrazy z Breskene, zdawało mu się przez chwilę, że tuż ujrzy mieniące się w blaskach słonecznych morze, posłyszy głuchy szum przewalających się fal, owionie go świeży, morski powiew.

Otrząsł się z widziadeł, zobaczywszy młode drzewa i krzewy, a za niemi rozrzucone domy mieszkalne. W około słyszał obcy język, wiatr przynosił rozparzone wyziewy fabryk, zapach dymu, skór, nafty...

Ogarnęła go nostalgia za ojczystém niebem, ziemią, powietrzem, morzem.

Wstrętne mu były kamienice, zszargane deszczem i śniegiem, brudni przekupnie, wyziewy rynsztoków, miał żal do tych ludzi uśmiechniętych, wesołych, zajętych tylko sobą, i w tém podnieceniu żalu i tęsknoty, zamiast z rynku skręcić na prawo ku fabryce, szedł prosto przed siebie, aż wreszcie ujrzał się zdala od zgiełku i ludzi na małym wzgórku. Z lewéj strony wznosiła się wielka, parowa cegielnia, z prawéj ciągnął się mur, z poza którego wznosiły się liczne krzyże nagrobne.

Przez otwartą bramę wszedł na cmentarz. Owionął go chłód i spokój umarłych, lecz równocześnie wzmogła się tęsknota i żal za krajem. Czuł się bardzo osamotnionym, opuszczonym, zapomnianym, biednym. Wokoło obco, pusto, smutno, nikt nie przemówi serdeczniéj, nikt nie wyciągnie ręki do uścisku, nikt nie współczuje, tylko interesa z obcymi, i tylko zawsze nafta, wosk, zysk, strata. Zdawało mu się, że swoją przeszłość już pogrzebał, i oto stoi nad świeżym grobem, w którym złożył swe najdroższe pamiątki. Żal i ból odczuwał niemal fizycznie, piekły go oczy, drżało serce, drgały nerwy, kurczyło się gardło. Usiadł na kamieniu nagrobnym pod cieniem brzóz płaczących, nadpłynęła fala tkliwości, zapragnął namiętnie zobaczyć kogoś ze swoich, spojrzéć mu w oczy, uścisnąć rękę, posłyszéć dzwięk mowy ojczystéj. Nasłuchiwał. Nad nim drżały szeptając listeczki brzozy, dźwięczały owady, szemrały osiki, a wśród tych cichych szeptów, dźwięków, szmerów zdawało mu się, że posłyszał ciche łkanie.

Wstał, obejrzał się w około. Białe figury nagrobków promieniały w blaskach słońca, świeciły się litery złocone, czerniały krzyże. Idąc w głąb słyszał w ciszy cmentarnéj zgrzyt piasku pod nogami, brzęczenie pszczół, ćwierk koników polnych i świerszczy, a skręcając w boczną ulicę, spostrzegł dwie modlące się nad grobem kobiety. Obie klęczały zwrócone profilem do niego.

Widok ich szczeréj boleści i żalu, gorącéj modlitwy wzruszył go, sam bowiem był rozstrojony tęsknotą za krajem. Widział w nich pokrewne dusze, równie smutne, jak on w téj chwili. Powodowany szacunkiem, nie chcąc przeszkadzać im w modlitwie, cofnął się, okrążył część cmentarza i zwolna zbliżył się z drugiéj strony do klęczących kobiet. Obie były ubrane w ciemne suknie, starsza często podnosiła chusteczkę do załzawionych oczu, młodsza modliła się w skupieniu, wpatrzona w skromny krzyż czarny z tabliczką nazwiska i zgonu zmarłego.

Regularne rysy twarzy młodéj panny, wymykające się z pod kapelusika jasne złotawe włosy, spokój i dobroć, rozlane w twarzy,

wzniesione na krzyż niebieskie oczy, ocienione długiemi rzęsami, przypomniały p. van Haechtowi typowe twarze z jego ojczyzny Zbyt świeżo odczuł tęsknotę, aby spotkanéj, pięknéj postaci nie związać ze wspomnieniami swego kraju. Oparty o nagrobek, im dłużéj się wpatrywał w tę twarz piękną, wyraźnie narysowaną, z delikatną cerą, tem czuł więcéj, że gdzieś, kiedyś widział już tę postać, we śnie czy na jawie, ale on znał ją, ona była mu pokrewną, bliską.

Uparty ten wzrok odczuła bezwiednie modląca się, zaniepokojona obejrzała się i spotkała jasne, błyszczące oczy wpatrzonego. Odwróciła się szybko, rumieniąc się lekko wbrew woli i chęci.

Po chwili powstały obydwie i szły w kierunku bramy. Pan Haecht nie spuszczał oczu z odchodzących. Smukły wzrost, piękna figura, rytmiczny chód, podobały mu się na równi z piękną twarzą.

Już chciał iść za niemi, lecz wpierw postanowił odczytać napis na grobie, przed którym modliły się kobiety. Zbliżył się i przeczytał: August Bratkowski, spojrzał na grób pełen kwiatów i pomiędzy liśćmi, wiotkiemi łodygami dojrzał książkę do nabożeństwa.

Podniósł, przerzucił kilka kart, lecz nie znając języka polskiego, zamknął książkę, spiesząc za kobietami, by im zapomnianą rzecz oddać.

Dojrzał je na chodniku idące w kierunku miasta, przyśpieszył kroku, zastanawiając się przez chwilę, w jakim języku przemówić do nich, po francusku czy niemiecku. Dziś jednak nastroiła go nostalgia tak na ton ojczysty, że postanowił użyć języka francuskiego, zbliżył się, a składając ukłon, przemówił do ździwionych kobiet.

— Przez zapomnienie zostawiła pani, — zwrócił się do młodszéj, obaczywszy w ręku matki książkę, — na grobie tę książkę. Odczytując napis nagrobny, spostrzegłem ją i miło mi zwrócić jéj własność.

Zmieszana i zarumieniona odpowiedziała w tym samym języku:

— Dziękuję panu, zapomniałam.

— Błogosławię to zapomnienie, — zawołał uradowany, — bo usłyszałem mój język ojczysty, a tak bardzo pragnąłem dziś posłyszéć dźwięk jego.

Widząc niepewne i zmieszane miny kobiet, które przystanęły, odbierając książkę, dodał z żywością:

— Pozwolą panie, że sam się przedstawię tu, zanim będę miał zaszczyt złożyć państwu moje uszanowanie. Jestem Emil van Haecht, belgijczyk, i chwilowo pracuję w fabryce rafineryi Spółki kopalnianéj.

Obie panie słuchały w milczeniu, idąc zwolna chodnikiem.

— Niech pani daruje — mówił do matki, — zatęskniłem dziś za krajem, za swoimi, i oto spotkało mnie szczęście rozmawiania w swoim języku, niech pani na ten jeden, jedyny raz usunie formy konwencyonalne, i pozwoli mi towarzyszyć paniom.

Tyle szczeréj prośby było w jego głosie, że pani Bratkowska uległa i powiedziała uprzejmie:

— Pominę formy ze względu, że pan obcy tutaj, i rozumiem żal pana za krajem.

— Pani może zna Belgię?

— Byłam tam, ale to już dawno, i kraj jest istotnie piękny.

— A morze! To nasze morze, mieniące się barwami, zawsze żywe, silne, piękne...

— Pamiętam, — odpowiedziała, uśmiechając się z jego zapału.

— A pani nie zna Belgii? — spytał córki.

— Nie znam, nie byłam zagranicą.

— Jaka szkoda!

— Mnie czy zagranicy? — uśmiechnęła się.

— Źle się wyraziłem, pani ma słuszność, powiedziałem szkoda, powodowany egoizmem.

— Jakże się panu podobało u nas? — spytała pani Bratkowska po chwilowém milczeniu.

— Błądzę tu, jak niemy i głuchy, bo nie znam języka, słyszę nie słysząc, patrzę nie widząc, i pragnąłem spotkać kogoś, któryby mnie uleczył, przywrócił mi słuch i wzrok.

— Ale sam kraj, okolica? — dodała panna Zofia ciekawa wrażeń cudzoziemca.

— Natura jest wszędzie piękną, ale... ale ja wolę moje płaszczyzny i bezbrzeżne morze. Tam wzrok leci jak ptak wolny, tu rozbija się o pręty klatki.

— Wspaniałe są nasze góry, — mówiła podrażniona, — a z ich szczytu oko sięga daléj, niż w nizinach, i patrzy górniéj, nie pełzając wiecznie po ziemi.

— Słuchając panią, gotów jestem polubić góry.

— Taki pan zmienny i wrażliwy, — rzekła swobodnie.

— Nie pani, ulegam tylko prawu suggestyi, czytając piękny opis lodowców na biegunie północnym, krajów podzwrotnikowych, lub Sahary, interesują mnie te okolice i lubię je dzięki artyzmowi autora.

Weszli w rynek. Mieszkańcy miast prowincyonalnych, zapewne z braku innych rozrywek, zajmują się z wielkiem zamiłowaniem

i starannością sprawami swoich bliźnich. Zjawienie się inżyniera w towarzystwie pań Bratkowskich zaciekawiło i poruszyło nietylko spotkanych z t. zw. inteligencyi, ale zainteresowało przekupki, służące, faktorów, i zbierająca się pod apteką giełda zauważyła to niezwykłe zdarzenie.

Byli nawet tacy, co starali się podsłuchać idących, jednak francuski język stał tym usiłowaniom na przeszkodzie.

Pani Bratkowska, znająca tę właściwość miasta, uśmiechnęła się na widok zaciekawionych i szpiegujących spojrzeń i spytała:

— Pan ma znajomych w Drohobyczu?

— Nikogo. Siedzę w mojéj fabryce jak borsuk w jamie, dziś wywabiła mnie pogoda i dzień świąteczny.

— I zawsze siedzi pan w fabryce?

— Pracuję nad naftą, a teraz nad woskiem, i jedynie praca w méj pracowni chemicznéj daje mi zapomnienie.

— Takie życie nie jest zbyt przyjemne.

— Raczéj smutne, i czasem tak zatęsknię do ludzi, że pakuję moją walizkę, aby uciec z tych miejsc ale... przychodzi refleksya, i zostaję.

— Jesteśmy blizko domu, tam mieszkamy — i wskazała na parterowy dom w ogrodzie.

Panie zwolniły kroku, spostrzegł, że należy je pożegnać.

— Kiedy pozwolą mi panie złożyć uszanowanie?

— Jesteśmy w domu każdodziennie od godziny 2 do 4.

— Zanim panie pożegnam słowem „do widzenia", przepraszam najserdeczniéj za moje natręctwo i jestem bardzo wdzięczny za chwile użyczonego mi szczęścia.

Rozstali się.

Pani Bratkowska, skręcając do domu, rzekła do córki:

— Przyjemny i ugrzeczniony człowiek.

— Sądzi mama, że on jest szczery?

— Jestem tego pewna.

Pożegnawszy ich, szedł ku domowi z twarzą rozpromienioną, nie widząc ludzi, ustępując im machinalnie, nie słysząc gwaru miasta, gdyż w oczach miał tylko jéj postać, twarz, oczy, włosy, ruchy; w uszach dźwięczały mu jéj słowa. Zdala od kraju po raz pierwszy spotkał kobietę młodą, piękną, inteligentną, z którą mógł rozmawiać w rodowitym języku o innych sprawach, aniżeli fabryce, nafcie, wosku, pieniądzach...

Nasunęło mu się pytanie: kto ona? czem się zajmuje? jak żyje?

Wkrótce jednak skinął ręką, jakby odpędzał natrętny owad, bo w jakim celu i po co miał się pozbywać złudzenia, że ona jest wolną, dobrą, szlachetną.

Znalazł wreszcie kogoś na obczyźnie, tak daleko od swoich, z kim może podzielić się ze swemi wrażeniami, oderwać myśl od spraw codziennych, choć na chwilę, chociażby w urojeniu wejść w kraj poezyi; nie czuł się się już tak samotnym wśród tych gór, ludzi, fabryk.

Dopiero będąc w swym pokoju przypomiał sobie, rozmyślając o jutrzejszéj pracy, że nie przyniósł ze sobą wosku pszczelnego, polecił kupno woźnemu i zamierzał wieczór spędzić u siebie, gdy nadszedł bilet od pana Wintera z usilną prośbą przyjścia do fabryki, gdyż cerezyna stoi i czeka.

XXV.

Cały następny dzień poświęcił pan Haecht pracy nad cerezyną i woskiem pszczelnym.

Dowiedziawszy się od p. Krausberga o wysokiéj cenie wosku pszczelnego, postanowił na drodze chemicznéj uzyskać ten produkt z cerezyny, i miał to wysokie zadowolenie, że samodzielnie osiągnął cerezynę, łudząco podobną do wosku pszczelnego.

Właśnie wybierał się do pań Bratkowskich z wizytą, gdy przyjechał p. Floryański i zaszedł do pracowni. Widząc tabliczki cerezyny i wosku spytał:

— Panie van Haecht, czy zajmuje pana wosk ziemny?

— Pan Winter, dyrektor fabryki cerezyny prosił mnie o pewne wskazówki, których mu udzieliłem.

— Ale tu widzę wosk pszczelny.

— Proszę, zgadnij pan, która z tych tabliczek jest zrobiona z wosku pszczelnego, a która wyrobem z cerezyny? — spytał z uśmiechem.

Pan Floryański namyślał się, badał, przełamywał, wreszcie wybrał i podniósł w górę mówiąc:

— Ta, panie van Haecht.

— Ta?! — zaśmiał się chemik z zadowoleniem, — właśnie jest z cerezyny.

— Ponieważ nie zajmuję się woskiem, może zechce pan mi objaśnić ten wyrób?

— Bardzo chętnie. Rozpuszczoną białą cerezynę zabarwia się do koloru wosku gumigutą, curcumą, chinoliną lub inną ingredyencyą, a następnie dodaję dla zapachu trochę wosku pszczelnego, którego skład zbadał doskonale Brodie i Busine; i łatwo mi się zoryentować w ilości.

— Czy zamyśla pan zużytkować ten swój wynalazek tutaj?

— Za wielkie słowo wynalazek na rzecz tak drobną, ale istotnie zamierzam zaproponować kupno właścicielowi fabryki p. Krausbergowi.

— Jemu? — uśmiechnął się p. Floryański, — radzę być bardzo ostrożnym, to chytry żyd. Swoją drogą cieszyłbym się, gdyby go pan pociągnął na większą sumę.

— Myślę wziąć jakie 500 do 1000 guldenów.

— Tak mało? Ależ on da o wiele więcéj, żądaj pan 5,000 guldenów.

— Za wiele, najwyżéj 3,000.

— Przynajmniéj zaceń pan wyżéj.

— Nie lubię targów, albo mi da 3,000, albo nie, ale kupczyć nie lubię.

— W takim razie nie wchodź pan w stosunki z żydami.

Po chwili milczenia spytał chemik:

— Nie ma pan wiadomości o aparatach?

— Dziś powinne być na stacyi. Może pojedziemy na stacyę?

— Jeśli pan mógłby się zatrzymać gdzieś w mieście, pojechałbym chętnie, bo dziś mam złożyć wizytę.

— Pan? W Drohobyczu? — śmiał się pan Floryański.

Poznałem panie Bratkowskie i składam im wizytę — odpowiedział tonem poważnym.

— Bratkowski?! Bratkowski?! Ach wiem, to jeden z tych nieszczęśliwych, którzy szukając wosku czy nafty, znaleźli śmierć.

— Pan go znał? — spytał zainteresowany.

— Nie znałem osobiście, słyszałem tylko, miał za małe kapitały i wiadomości... Cóż, jedzie pan?

Zapytany spojrzał na zegarek, była pierwsza.

— Mam dwie godziny czasu, czy ułatwimy się na kolei?

— Naturalnie. Jedźmy, a potém odwiozę pana do pań Bratkowskich, bo zapewne musi być matka i córka?

— Tak jest.

— Nie zakochaj się pan tylko.

— Niema obawy, zbyt dobrze jestem opancerzony.

— I pancerz nie pomógł rycerzom, musieli go odrzucić, — zaśmiał się p. Floryański.

— Mój pancerz jest moja wola, potrzebuję tylko niechcieć, a miłość nie znajdzie przystępu.

— Zazdroszczę wiary.

— Mówię z doświadczenia.

— W tym wypadku, doświadczenia z chemią uczuć trzeba zawsze zaczynać od początku, poprzednie nie dają się zastosować.

Chemik spojrzał znów na zegarek mówiąc:

— Pozwoli pan, że się przebiorę, za chwilę będę gotów.

— Zaczekam.

Około godziny trzeciéj lekki powozik, zaprzężony czwórką szpaków, ku ździwieniu sąsiedztwa stanął w ustronnéj uliczce przed mieszkaniem pań Bratkowskich, i pan Haecht wysiadł.

— Długo pan zabawi? — spytał p. Floryański.

— Kwadrans, najwyżéj pół godziny.

— Jadę do fabryki, aby rozporządzić przywiezienie aparatów chociażby dzisiaj, panu przyślę tutaj konie fabryczne.

— Dziękuję, byle się nie spóźnił.

— Kto? Pan czy on? — uśmiechnął się.

— I on, i ja, — zawołał wesoło, żegnając się z administratorem.

Otworzył drzwiczki w sztachetach i wszedł w uliczkę ogrodową, ujętą w szpaler agrestów. Rozglądał się ciekawie wokoło. Wśród grządek ogrodowizny stały drzewa owocowe, a dopiero bliżéj domku, przeświecającego białemi ścianami, były skupione drzewa dzikie, przerastające znacznie dach domu. Zbliżywszy się ujrzał na ganku domu, chłopca młodego, może lat piętnastu, uspakajającego psa, rwącego się w kierunku gościa:

— Cicho Hektor! Leżéć!

Podszedł bliżéj ganku na dwóch słupkach, obrośniętego powojami różnokolorowemi, wychylającemi na wszystkie strony swe delikatne kielichy.

— Czy zastałem panie Bratkowskie? — spytał po francuzku.

Chłopak spojrzał na niego, ździwiony obcym językiem, zmieszał się, zczerwieniał i odpowiedział niezbyt płynnie:

— Mama i siostra są w domu, proszę, wejdź pan do pokoju — i wskazał drzwi z prawéj strony.

— To młody pan Bratkowski, — zawołał gość, — miło mi poznać pana, jestem van Haecht — i uścisnął rękę chłopca, który przywitawszy się otworzył drzwi bawialni, zapraszając gościa, sam poszedł szybko w głąb domu.

Pokój dość obszerny, narożny, był skromnie umeblowany wyściełanemi meblami, obitemi szarą materyą, ale w rozkładzie mebli, w obrazach wiszących, w ustawieniu kwiatów przy oknach, czuć było inwidualne zamiłowanie, dążność zrobienia tego pokoju miłym i przyjemnym dla siebie.

Otworzyły się drzwi boczne i weszła panna Zofia, ubrana w skromną jasno popielatą suknię. Podając mu rękę białą, ładną, uśmiechnęła się przyjaźnie:

— Dzień dobry panu, proszę siadaj pan.

— Pragnąłem wczoraj być u państwa, zatrzymała mnie robota.

Umilkli, po chwili spytał:

— Jak zdrowie mamy?

— Dziękuję panu, zajęta gospodarstwem, zaraz przyjdzie.

— Może przeszkodziłem w czémkolwiek paniom?... Trzymałem się jednak ściśle oznaczonych godzin.

— W niczém pan nam nie przeszkodził...

Znów milczeli, czując oboje ogólnikowość téj rozmowy. Panna Zofia uśmiechnęła się, gdyż miała na ustach sakramentalne słowa o pogodzie dnia, i rzekła swobodnie.

— Naprawdę nie wiedziałam, że rozmowa o niczém jest trudną, bo przecież banalność jest tak łatwą.

— Nasze poznanie nie było banalne, — mówił z ożywieniem,— spotkałem panią nad grobem, widziałem panią przez pryzmat méj ojczyzny, a zaprezentowałem się jak waryat. Czyż nie tak?

— Co pan rozumie przez pryzmat?

— Każdy z nas posiada w swym umyśle pewien zasób cech ulubionych i odszukuje je w spotkanych osobach. Pani np. twarzą swoją, włosami, postacią przypominała mi wrażenia dzieciństwa, byłem pewny, że z ust pani usłyszę dźwięk mojéj mowy ojczystéj, i wszystko jedno, czy znalazłbym lub nie, książkę pani, byłbym się zbliżył do pań, bo wierzę, iż we wszechświecie płyną jakieś prądy sympatyczne lub antypatyczne, i według nich kształtują się stosunki ludzi.

— Pan wierzy w jakieś regulujące prądy, a dla mnie to tylko przypadek.

— Przypadek? Nie, bo i dlaczego zaszedłem tego dnia do kościoła, by mi on przypomniał ojczyznę, i pod wpływem rozdraźnienia poszedłem na cmentarz, by spotkać panią. Widzę w tém jakieś prawo wyższe, kierujące nami.

— Prawo samowoli wiatru, który zrywa dwa liście i pędzi przez chwilę w jednym kierunku. Następnie jeden liść przylega do ziemi, bagna, wody, wszystko jedno, a drugi leci daléj i daléj.

— Czasem wiatr-los nie rozłącza liści...

— Przypadek, nic więcéj.

— Pani wierzy w przeznaczenie, a ja uznaję prawa rządzące.

— Ślepe!

— Myli się pani, one są logiczne...

Weszła pani Bratkowska, a po przywitaniu spytała:

— O czém rozmawialiście?

— Pani sądzi, że nasz los zawisł od przypadku, a ja — że od praw ogólnych.

— Przypadek? Los? Prawo? To tylko dźwięki słów. Prawdą życia jest cierpienie, a pociechą rezygnacya.

— Cierpienie? — mówił gość z ironicznym uśmiechem, — ale proszę pani, w téj chwili jest mi dobrze, czuję się prawie szczęśliwym, i to dla mnie jest prawdą życia.

— Chwilowe urojenie, — uśmiechnęła się smutno.

— Chyba nie nazwie pani urojeniem, — zawołał, — że ten dom biały stoi, że lipy przesyłają aż tu swoją miodną woń, że w téj chwili jestem w świecie innym, lepszym, doskonalszym, gdzie mogę mówić o ważniejszych zagadnieniach, aniżeli o nafcie, wosku, pieniądzach...

— I tę przyjemność odczuwa pan w przeciwieństwie do minionéj przykrości.

— Nie zgadzam się z mamą, — odezwała się córka zarumieniona, — prawo harmonii istnieje we wszechświecie, i ono tak samo obowiązuje, jak prawo cierpienia.

— Uprzedziła pani moje słowa, — zawołał pan Haecht, — harmonia jest szczęściem, a ona istnieje.

— Oboje jesteście młodzi, — mówiła pobłażliwie — ale co innego jest teorya, co innego praktyka w naszém życiu.

— W mojéj nauce, w chemii, teorya idzie zgodnie z praktyką, która ją tylko sprawdza.

— W nauce może tak jest, ale w życiu...

— Proszę mamy! — zawołał syn przez uchylone drzwi.

— Idę.

— Szczerze się cieszę, — mówił pan Haecht po jéj wyjściu, — że mamy wspólne poglądy na życie. Dzisiaj mam nawet nowy dowód zgodności marzeń z rzeczywistością. Jadąc do państwa, myślałem naturalnie o tem, jak i gdzie pani żyje...

— I rzeczywistość, — przerwała z uśmiechem.

— Sprawdziła marzenie. Wyobrażałem sobie, że pani, jak ta dobra wróżka, żyje w ładnym, małym domku, wśród drzew i kwiatów....

— Pijąc nektar, zajadając ambrozyę; i pan się omylił, bo jestem tylko nauczycielką prywatną, i jadam chleb zapracowany przezemnie, harmonia między pana marzeniem a rzeczywistością nie była zupełną. Cóż się tedy stanie z wróżką pana?

— Wróżka moja osiągnęła wyższy stopień rozwoju, — rzekł swobodnie.

— Nie rozumiem.

— Wszystkie nimfy, wróżki, undyny, żyją tchnieniem, a duszę ludzką otrzymują po długich cierpieniach i dopiero wtedy są szczęśliwe.

— Mieszkają w zamkach wspaniałych, — mówiła tonem bajki, — są uwielbiane przez wiernego rycerza, tryumfują nad wszelkiém złem i t. d., i t. d. To ładne, ale tylko w poezyi.

— Ta jedna warta coś w życiu.

Po chwili milczenia spytał:

— Panie stale mieszkają w Drohobyczu?

— Od czasu śmierci ojca stale, dawniéj byliśmy na wsi.

— Pobyt w Drohobyczu nie musi być przyjemny, za wiele żydów.

— My téż naprawdę żyjemy zamknięci w domu naszym, a na miasto wychodzimy tylko w razie potrzeby.

— I nie tęskni pani do zabaw, teatru, koncertu? — pytał trochę ździwiony.

— Czasem, ale rzeczywistość przywołuje mnie do porządku, i godzę się z koniecznością, nie zbyt przykrą zresztą, bo mam książki.

— Przywiozłem ze sobą sporo książek francuzkich, mogę niemi służyć pani?

— Dziękuję panu, teraz nie miałabym czasu czytać, bo przygotowuję się do egzaminu nauczycielskiego.

— Jaka jednak pani inna, wyróżniająca się od zwykle spotykanych panien, które zawsze z lekceważeniem lub goryczą mówią o pracy i obowiązkach.

— Widocznie trafiał pan na wyjątki.

— Może i tak, a może pani jest wyjątkiem z reguły ogólnéj.

— To przekonanie nie przynosi zaszczytu obserwacyi pana.

Weszła pani Bratkowska, i kładąc zwitek na pianinie, rzekła:

— Pani Krajewska odesłała ci nuty.

— Pani grywa na fortepianie?

— Tylko dla siebie, — a widząc jego pytające spojrzenie, mówiła, — za mało umiem, za wysoko cenię muzykę, aby męczyć innych swoją grą.

Pan Haecht wstał z krzesła i zwracając się do pani Bratkowskiéj, mówił:

— Prosiłbym panią o pozwolenie odwiedzania pań, wyświadczy mi pani wielką łaskę, bo prawdę powiedziawszy, znalazłem po raz pierwszy w domu pań ciszę bez martwoty, spokój bez lenistwa, szczęście bez szału.

— I nam miło będzie widziéć pana, — odpowiedziała uprzejmie.

— Wolno mi zatem powiedziéć: do widzenia.

— Do widzenia!

Wyszedł niebardzo zadowolony ze siebie, gdyż jadąc na tę wizytę, myślał, iż od jednego razu stanie na przyjacielskiéj, poufałéj stopie, że potrafi jeśli już nie olśnić, to zyskać przychylność tych kobiet, a obecnie czuł, że równie dalekim jest teraz, jak dawniéj przy pierwszem poznaniu. A jednak szkoda, że nie umiał się dostroić do tonu domu, ona jest piękna, miła, szczera, i w jéj oczach jest coś, co nęci jak fala a drażni jak przepaść; oczy ma bardzo piękne i zagadkowe.

Spostrzegłszy konie fabryczne, przypomniał sobie swe obowiązki i spytał po niemiecku:

— Fury poszły po aparaty na kolej?

— Już panie inżynierze.

— Zaczekaj na mnie obok Bazylianów, załatwię kilka sprawunków i pojedziemy.

Zakupiwszy potrzebne rzeczy, szedł przez rynek, gdy tuż z boku usłyszał:

— Dobry wieczór panu inżynierowi.

— A to pan, panie Krausberg, mam interes do pana dosyć ważny.

Kupiec zbliżył się niedowierzająco i spytał:

— Jaki to interes?

— Onegdaj mówił mi pan, że wosk pszczelny droższy jest od cerezyny...

— Ja to samo dziś powiem.

— Otóż znalazłem sposób przerobienia wosku ziemnego na wosk pszczelny, mogę panu dostarczyć tego produktu ile pan zechce.

— Pan inżynier żartuje, — zaśmiał się z przymusem — wosk pszczelny pachnie i jest twardy, a nasz śmierdzi naftą i miękki jak błoto.

— Jedź pan ze mną do fabryki, a zobaczysz na własne oczy. Przedtem kup pan jednak pół funta wosku pszczelnego, aby porównać.

— Na co mi to? Ja panu inżynierowi dostarczę centnar naszego wosku, a pan mi odda pszczelny.

— Zróbmy panie Krausberg inną umowę... Na jeden dzień będę dyrektorem fabryki pana, i zamiast cerezyny dam panu tę samą ilość wosku pszczelnego.

— Nu, ja się dziś zgadzam, taki wosk byłby dobry interes. Ja byłem dziś w mojéj fabryce, jutro filtrują cerezynę.

— I jutro będzie pan miał wosk pszczelny.

— Ja pojadę zaraz,—wołał rozgorączkowany pan Krausberg,— i powiem dyrektorowi, że pan inżynier ma prawo do rządzenia.

— Daj mi pan list, to wystarczy.

— Ja zaraz napiszę i poślę do niego.

— Jutro w południe może pan obejrzeć nowy wosk pszczelny.

— Ja już będę w mojéj fabryce, — zawołał kłaniając się odjeżdżającemu.

Pan van Haecht korzystając z tego, że monter ustawiał dopiero aparaty dowiezione koleją, mógł cały ranek poświęcić wytworzeniu wosku pszczelnego z gotowéj cerezyny, i przybyłemu do fabryki właścicielowi przedstawił gotowy produkt.

— Panie inżynierze, chodźmy, my teraz sobie pogadamy — rzekł p. Krausberg, przekonawszy się dostatecznie o łudzącem podobieństwie wyrobu sztucznego z naturalnym.

Wyszli na podwórze fabryczne, a właściciel uśmiechając się przemówił:

— Panie inżynierze, ja panu dam dobrą pensyę, a pan będzie mi robił taki wosk.

— Nie przyjmę miejsca, pan może tylko kupić sposób robienia takiego wosku, nic więcéj.

— Ile pan inżynier chce?

— Trzy tysiące guldenów.

— To za drogo, ja nie mogę, to byłoby mojém bankructwem.

— Nie kupi pan, kupią inni.

— Panie inżynierze ja może kupię, tylko niech mi pan wpierw powie, jak to się robi, ja zobaczę, czy inni potrafią bez pana inżyniera.

— Bez wybiegów panie Krausberg, powiem po zapłaceniu trzech tysięcy i mogę upewnić pana, że dyrektor Winter dostarczy panu takiego wosku.

— Nu, ja panu wierzę, ale ja nie mogę dać trzy tysiące, ja dam... tysiąc pięćset.

— Od mojéj cyfry nie odstąpię.

— Panie inżynierze, pan chce mnie zabić, ja nie mogę dać tyle, ja przez dziesięć lat tego nie zarobię.

— Nie kupuj pan.

— Ja zaryzykuję, ja powiem ostatnie słowo, ja dam dwa tysiące.

Chemik uśmiechnął się drwiąco i zwrócił się ku bramie.

— Panie inżynierze, niech pan nie będzie taki twardy... ja coś dodam.

Pan Haecht szedł w milczeniu daléj.

— Czemu pan nic nie mówi? Ja dam dwa tysiące dwieście... i pięćdziesiąt. Jakto jeszcze mało? — zawołał z rozpaczą, — nu, niech ja zbiednieję, dam jeszcze pięćdziesiąt.

— Wezmę tylko trzy tysięcy.

— Panie inżynierze, opuść pan cokolwiek.

— Ani feniga.

Już byli blisko bramy. Pan Krausberg pochwycił klapę marynarki inżyniera i zawołał zmęczonym głosem:

— Nu, ja dam trzy tysiące, ale po próbie.

— Już była próba. Pan da mi przy umowie dwa tysiące, a gdy poinformuję dyrektora — resztę.

— Po co dyrektora? On uchwyci moją tajemnicę i pojedzie, ucieknie do Niemców, to żaden interes... Pan inżynier wyuczy mego syna Mojżesza, czy on potrafi zrobić taki wosk?

— Jeśli umié ważyć, to potrafi.

— On to umié... Panie inżynierze to musi być bardzo prosty interes, kiedy idzie tylko o wagę, jaki on jest?

— Bardzo łatwy, tylko trzeba wiedziéć co, i ile zważyć.

— Nu, pan inżynier mądry i ostrożny, z panem można robić interesa. Ja dam trzy tysiące, a pan wyuczy mego syna.

— Kiedy?

— Po co czas tracić? My jutro zrobimy umowę, i jutro wyuczy pan mego syna.

XXVI.

Niespodziewana produkcya wosku pszczelnego i płynące stąd zyski podniosły wysoko znaczenie pana Krausberga.

Już od dawna obserwowali współwyznawcy tę nową gwiazdę, zjawiającą się w Drohobyczu, widzieli rosnący jéj blask przy „matce”, w sprawie szybu w Schodnicy, przy kupnie fabryki cerezyny, a teraz zajaśniała niemal oślepiająco w handlu nowym woskiem pszczelnym.

Poszły w niepamięć wszelkie wątpliwości, zawiści, gniewy i pretensye, bo on był nietylko bogaty, ale szczęśliwy; cokolwiek zaczął, do czego tylko przyłożył rękę, wszystko sie wiodło, wszystko przynosiło mu zyski, i majątek jego wzrastał nieustannie. Otoczono go szacunkiem zabobonnym, czémś pośredniém pomiędzy czcią a obawą, jaką zwykle się odczuwa wobec człowieka lub zjawiska niezwykłego. W różnych sprawach zasięgano jego rady, stosowano się do jego słów, uznawano jego sądy, a pan Krausberg czuł ten szacunek współwyznawców, wiedział, że nań zasłużył i umiarkowanie używał swéj władzy.

I wszyscy kapitaliści więksi i mniejsi, w Drohobyczu, Borysławiu, Schodnicy uznawali go, liczyli się z jego wpływami, pamiętali o jego radach, tylko jeden pan Floryański nietylko nie zbliżył się do niego, ale odrzucał wszelkie propozycye, jak zmowy przemysłowców, obniżenia płacy robotnikom, utworzenia syndykatu właścicieli kopalń nafty, zmowy w sprawie cen drzewa, beczek—same korzystne interesa, a jednak nawet one nie skłoniły go do zawiązania stosunków z kapitalistami miejscowymi.

I dotychczas pan Floryański zawsze był górą, mimo niechęci, podstępów, starań zwartéj masy mniéjszych przemysłowców, u których nienawiść rosła w miarę rozwoju Spółki kopalnianéj.

— Lejzor, kiedy my poradzimy temu Floryańskiemu? Ty pomyśl o tem.

— Ja myślę ciągle, przyjdzie czas na niego, — odpowiadał z udaną pewnością siebie.

Zajęty planami zgnębienia administratora, pojechał p. Krausberg, jak zwykle, na Wolankę do kopalni wosku, którą obecnie bardzo rozszerzał ze względu na fabrykę cerezyny.

— Panie Lejzor, — rzekł Efet po sprawdzeniu rachunków, — ja panu coś powiem...

— Co takiego Efet, ty mów.

— Panie Lejzor, goje się ruszają — mówił tonem tajemniczym.

— Ty Efet mów wyraźnie, jakie goje?

— Nu nasze, robotnicy w Borysławiu, na Wolance, w Schodnicy...

— Jak oni się ruszają? Ty gadaj.

— Oni chcą zrobić zmowę, abyśmy im płacili więcéj.

— Co to szkodzi? My im nie zapłacimy, znajdziemy sobie innych, czy to mało biednych gojów po wsiach?

— To nie koniec panie Lejzor... oni chcą szpitali, kasy, udziału w kopalni, oni chcą przymusić właścicieli do tych wydatków wszystkich i innych, oni chcą zrobić strejk i posłać deputacyę do Lwowa, a nawet do Wiednia samego.

— Efet, to jest rozbój, to bardzo brzydka rzecz—zawołał właściciel zgorszony — mnie opowiadali o takich paskudztwach zagraniczni kupcy, tam był wielki rejwach, gwałt, rozbój, kradzież...

— Ja to wiem, — jęknął Efet.

— Nasz goj jest za głupi na takie rzeczy, on nie wymyśliłby tego — zastanawiał się pan Krausberg.

— Oni nawet mówią, że będą bić naszych, wypędzą ich... oni mają siekiery, kosy, cepy, noże...

— To nie może być, my zawołamy policyę, żandarmeryę, wojsko, bo my płacimy podatki...

— Niech oni nas bronią, niech strzelają do nich... ale, panie Lejzor, ja się boję.

— Ty nie potrzebujesz się bać, tobie nic nie zrobią, oni poszliby do kryminału, na szubienicę za ciebie.

— Ale ja się boję.

— Ty nie bądź głupi, Efet, ty mów daléj, może ja znajdę jaką radę... Kiedy oni chcą to zrobić?

— Ja nie wiem, oni czekają...

— Nu Efet, teraz ja wiem, że to oni nie wymyślili, nasz goj chce zaraz wódki i zaraz krzyczy, jak oni czekają, to mają naczelnika i z nim możemy sobie poradzić. Ty nie wiesz kto?

— Ja nie wiem.

— A co ty więcéj słyszałeś?

— Oni sobie mówią, że u nas w Borysławiu musi być tak, jak w Schodnicy, a nawet lepiéj dla nich.

— Tak oni mówią? Efet, ja ci teraz powiem, czyja to robota, to zrobił sam Floryański, bo on antysemita i gorzéj...

Efet wytrzeszczył oczy jeszcze bardziéj, nie wierząc, aby taki wielki pan wdawał się z robotnikami.

— Efet, ty nie patrz na mnie jak wół,—zaśmiał się właściciel,— ty mówiłeś, że oni chcą większéj płacy, a im płaci dobrze Floryański. Oni chcą kasy, a gdzie mają kasę? u Floryańskiego. Oni chcą szpital, a gdzie jest szpital? u Floryańskiego. Oni nam grożą, a kto jest nasz największy wróg? Nu, Floryański. To jego robota. Jak

te goje się ruszą, to on już przepadł, on pójdzie do kryminału, bo on ich namówił.

Odetchnął uspokojony, uśmiechając się złośliwie. Po chwili rzekł:

— Ty Efet dowiedz się, kiedy oni się zbierają, a resztę my zrobimy.

— Dobrze, panie Lejzor, ale ja na noc będę jeździł do Drohobycza, ja się tu boję sam między gojami.

— Ty możesz jeździć, abyś swoje zrobił, — przyzwolił właściciel łaskawie, i zabierał się do odejścia, gdy wszedł Abrum.

— Co ty mi powiesz?

— Panie Lejzor, między robotnikami wielkie gadanie, oni chcą zrobić zmowę.

— Ja wiem,—odpowiedział spokojnie—ty mi powiedz, Abrum, kiedy oni chcą?

— Teraz będzie u nich święto, tak oni mówią, że trzeba się im zejść?

— A kiedy jest to święto?

— Za trzy dni.

— To dobrze, my mamy czas.

— Panie Lejzor, a jak oni napadną na nas?

— Wy nie potrzebujecie się bać, to my napadniemy na ich naczelnika... Efet, a ty wysyłaj wosk każdego dnia do fabryki, niech on nie będzie tu na składzie, oni mogą złakomić się na wosk.

Na giełdę pod apteką równocześnie z panem Krausbergiem przywieźli i inni wiadomość o ruchu robotników, jednak większość słuchała tylko p. Krausberga i czekała jego rady.

— Nam trzeba wysłać deputacyę do starosty, aby on zebrał żandarmów, — mówił do słuchaczy — potém depeszę wyślemy do namiestnika, i drugą do samego ministra do Wiednia, niech oni przyślą wojsko koleją.

Zaraz na miejscu wybrano trzech wysłanników do starosty i złożono sumę potrzebną na opłacenie depesz, których zredagowania podjął się młody pan Lindeman.

Następnie p. Krausberg z łatwością przekonał wszystkich, iż na czele tego ruchu robotniczego stoi pan Floryański, ale na razie trzeba milczéć o tém i czekać cierpliwie jego zdemaskowania na zgromadzeniu.

Drugiego dnia jak zwykle wyjechał pan Krausberg na Wolankę, mimo odradzań żony, przestraszonéj wieściami o rozruchach. Zaszedł do pierwszego z brzegu szybu, przypatrywał się jakiś czas robo-

cie, a widząc robotnika, dźwigającego z trudnością napełniony kubeł, rzekł:

— Piotrze, wy bardzo dobry robotnik i pracowity, ja takich lubię, i wy dostaniecie dzisiaj w południe kieliszek wódki—a zwracając się do dozorcy dodał: — Ty go zapisz i podaj Efetowi, on mu da wódkę.

Spojrzał na innych robotników, ciekawy wrażenia swych słów, ci jednak milczeli pracując spokojnie. Niezadowolony z tego zagadał do drugiego robotnika:

— Macieju, ja pamiętam, że wy ładowaliście pełne kubły wosku, a teraz także robicie dobrze, ja dam wam także kieliszek.

Robotnicy uśmiechnęli się, słysząc to przemówienie.

— Czego wy się śmiejecie? Ja przecież wam wszystko zapłaciłem, ile kto zarobił, tyle dostał. Czy nie tak?

— Ono to tak — mruknął któryś.

— To po co ten śmiech za moją sprawiedliwość? Nu powiédz— zwrócił się do najbliższego.

— Ja tak sobie myślę, dla czego to gospodarz teraz taki hojny?

— Co ty mówisz? Ja nie hojny, tylko sprawiedliwy, i kto pracuje, temu ja zawsze pomagam.

Przechodził szyb za szybem, szafując wódką dla starszych i poważniejszych.

— Efet, ty idź do Icka, niech on tobie da trzy kwarty wódki prostéj i taki kieliszek, aby ich było czterdzieści.

— Ja już idę.

— Ty zaczekaj, Efet; ty w południe rozdasz tę wódkę chłopom, niech oni się napiją.

— Oni wszyscy przybiegną, jak ja poznam komu dać?

— Każdy dozorca da karteczkę, ty tylko przeczytaj.

— Ja przeczytam.

Pan Krausberg około południa poszedł do Borysławia, zbliżywszy się spostrzegł gromadki ludzi, odczytujące coś na słupach, ścianach domów i budynków przydrożnych. Zaciekawiony przystanął przy najbliższéj grupie i czytał drukowaną odezwę, wzywającą wszystkich pracowników bez różnicy do zgromadzenia się pod figurą przydrożną. Słowa, jak zwykle w tego rodzaju wezwaniach, były napuszone i deklamacyjne.

Skończywszy uśmiechnął się ironicznie, wzruszył ramionami i chciał iść daléj, ale spostrzegł zbliżającego się p. Kernstejna, zatrzymał się i spytał:

— Ty Szloma to czytałeś?

— Ja czytałem.

— I co ty powiész?

— To sobie puste gadanie, ono nam nie zaszkodzi; oni pokrzyczą, pohałasują, a potém pójdą pić, to dobry interes dla szynkarzy.

— Szloma, ale kto to zrobił.

— Nu, nie Floryański.

— I ja to wiém, on za mądry, ale może to kto od niego?

— Ja nie wiém, może i od niego — odpowiedział p. Kernstein obojętnie.

— Szloma, powiedz mi ty, po co było robić taki wielki krzyk z tego?

— Nu Lejzor, jak chłopi się zbiorą do kupy, oni mogą gwałt zrobić.

— Niech oni sobie robią, aby tylko nie nam, bo my im nic nie winni.

— Lejzor, taki głupi chłop, on nie wié, kto mu winien, a kto nie winien?

— To prawda Szloma, on zrobi to, co mu każą, bo on nic nie rozumié.

XXVII.

W przeddzień nadchodzącego święta, co bogatsi żydzi z dziećmi i żonami wyjechali do Drohobycza, zatrwożeni mimo upewnień starosty, że spokój nie będzie zakłócony, a zapowiedziane zebranie robotników nie grozi żadném niebezpieczeństwem.

W Borysławiu i na Wolance zostali tylko biedni i żydzi robotnicy lepiarze i sitarze, którzy poczuwając się do koleżeństwa, nie obawiali się robotników chrześcian.

Po drogach i ulicach Borysławia i Wolanki snuli się liczni żandarmi, ubrani czysto, z elegancyą wojskową, w białych rękawiczkach, z powiewającemi pióropuszami na kapeluszach, z małym, szybkostrzelnym karabinem na ramieniu, spoglądając surowo i podejrzliwie na przechodzących robotników, którzy gromadzili się stopniowo około figury przydrożnéj pomiędzy Borysławiem a Wolanką.

Nie daleko figury stał widoczny po okrągłéj czapce z orzełkiem komisarz policyi, wysłany specyalnie na to zgromadzenie przez starostę drohobyckiego...

Robotnicy rozproszyli się w różnych kierunkach, szukając zwykłych swych zabaw po szynkach i karczmach.

W Drohobyczu po otrzymaniu wiadomości o przebiegu i zakończeniu zgromadzenia nastąpiła wśród żydów wielka radość i wesołość. Miejsce strachu i trwogi zajęła buta i wielka odwaga, furmanki były przepełnione wracającymi do Borysławia, którzy przez całą drogę żartowali i drwili z nieudanéj zmowy robotników.

Od radości, tylko nie tak głośnéj, nie była wolną i giełda, załatwiająca zresztą zwoje interesa zwykłym trybem. Pan Krausberg chodził zamyślony, wysłuchując drobnych szczegółów zebrania robotników.

— Lejzor co ty mówisz o robotnikach?

— Co ja mogę wiedzieć, to był dopiero początek.

— Taki sam będzie i koniec — zaśmiano się głośno.

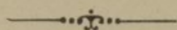
— Koniec może być inny, ale on nie powinien nas złapać.

(D. c. n.) *Artur Gruszecki.*



Belgijska wyprawa antarktyczna.*)

(OPOWIADANIE).



Gdy okolice bieguna północnego oddawna odwiedzane są przez liczne wyprawy naukowe, od czasu słynnych podróży dzielnego Ross'a nie mieliśmy ani jednéj bodaj wyprawy antarktycznéj z charakterem czysto naukowym. Stąd południowe kraje podbiegunowe w ogólnéj wiedzy o naszym globie przedstawiają tylko olbrzymią niewiadomą. Nietylko stosunki geograficzne tych okolic — w ścisłém wyrazu tego znaczeniu — prawie zupełnie są nieznane. Nieznaną jest geologia lądów i wysp już odkrytych; brak danych meteorologicznych, systematycznie zbieranych; niezmiernie szczupłe są wiadomości o faunie i florze, zamieszkujących te ziemie oraz morza, tym ziemiom przyległe; stosunki magnetyczne albo niepewne albo zupełnie niewiadome.

Luka ta rozszerzała się i pogłębiała w miarę tego, jak całość wiedzy o kuli ziemskiéj rosła i potężniała. Nauka coraz natarczywiéj zaczęła się domagać jéj zapełnienia.

---

*) W wyprawie téj brali udział i nasi ziomkowie. Redakcya „Ateneum“ mniema, że opowiadanie o niéj, skreślone piórem p. A. Dobrowolskiego, który był jéj uczestnikiem, będzie z zajęciem odczytane.

To dążenie żywiołowe wiedzy objawiło się kilka lat temu, jako agitacya prawie jednocześnie w trzech państwach: Anglii, Belgii i Niemczech podjęta, w celu zorganizowania wyprawy naukowéj pod biegun południowy.

Pierwsza wyruszyła „Belgijska wyprawa antarktyczna".

I.

Z Ostendy do Punta-Arenas.

W połowie sierpnia 1897 r. „Belgika" opuściła Europę.

Podczas całéj wyprawy statek ten dziwne jakieś, dwulicowe miał szczęście: szczęście do wszelkiego rodzaju „wypadków" oraz szczęście do dziwnie szczęśliwego wyślizgiwania się z takich „wypadków". Dwa razy wpadliśmy na skały podwodne, raz zaczepiliśmy się o nie; raz znowu olbrzymia góra lodowa uderzyła na samo czoło okrętu, zrywając tylko ornamenty oraz łamiąc drąg masztu przedniego, nie mówiąc już o burzach, z których podczas jednéj fala zmiotła nam Wincke'go, a podczas drugiéj zgubiliśmy kotwicę z łańcuchem.

Szczególne to szczęście nawiedziło okręt jeszcze w Europie: wędrując z Norwegii do Antwerpii, wpadł on na mieliznę; w drodze z Antwerpii do Ostendy stał się wypadek z maszyną (rura jakaś pękła); wreszcie w saméj Ostendzie dwóch majtków zażądało uwolnienia ze służby, i trzeba było szukać innych.

Okręt nasz był „mieszany": żaglowiec trójmasztowy ze śrubą, wprawianą w ruch za pomocą niedużéj, dosyć słabéj maszyny. Okręty tego typu są najwłaściwsze w podróżach do krain lodowych. W lodach, wśród których ciągle trzeba lawirować, często nawet cofać się, nawigacya żaglowa nadzwyczaj jest utrudniona i maszyna jest konieczna. Z drugiéj strony jednak okręt nie może być wyłącznie parowcem, gdyż na tak długą podróż niepodobna byłoby zabrać dostatecznéj ilości węgla. Prócz tego, maszyna podczas wyprawy spełnia inne jeszcze funkcye: wprawia ona w ruch maszynę do sondowania oraz przyrząd, służący do połowu fauny morskiéj.

„Belgika" nie była statkiem, umyślnie dla celów i warunków wyprawy zbudowanym: na zbytki, na jakie pozwalał sobie Nansen, myśmy pozwolić sobie nie mogli, wskutek ograniczoności środków, jakiemiśmy rozporządzali. Był to okręt, używany przedtém do połowu fok.

Wyjeżdżając z Ostendy, statek liczył dziesięciu majtków, z tych siedmiu fachowców, a trzech uczniów, — oraz trzech maszynistów. Palacza nie było; od czasu do czasu czynność jego pełnił jeden z uczniów, zazwyczaj zaś maszyniści sami musieli rozpalać i podtrzymywać ogień.

Żywność wzięliśmy z sobą na dwa lata; z wielką biédą przeciągnęłoby się może do trzech. Napojów — wódek i win, (wśród których nie brakło i szampana), zapas był dość skromny.

Wyruszyliśmy z portu wczesnym rankiem. Ciemne łachmany chmur zalegały niebo. Drobniuteńka dżdża, niewidzialna, tylko odczuwana, słabo zwilżała pokład. Na nadbrzeżu kupka publiczności żegnała nas kapeluszami i chustkami...

Roboty przedwstępne, dotyczące strony technicznéj poszukiwań, jakie się czynić zamierzało, rozpoczęte w Antwerpii, w chwili wyjazdu z Ostendy dalekie były jeszcze do ukończenia i ciągnęły się przez całą podróż Atlantykiem. Tego rodzaju przygotowania nie załatwiają się ani tak łatwo ani tak szybko, jakby się to zdawać mogło; przeciwnie, wymagają one, prócz stosownego obmyślenia i dokładnego planu, długiéj i żmudnéj pracy fizycznéj. Urządzenie pracowni, tak zoologicznéj i botanicznéj, jak i geologicznéj, oceanograficznéj i meteorologicznéj, dwom wymaganiom musiało czynić zadość: z jednéj strony należało wobec szczupłości pracowni jaknajwięcéj materyału technicznego: przyrządów, butelek itp. w możliwie najmniejszéj umieścić przestrzeni; z drugiéj — trzeba było ten materyał umiejętnie uklasyfikować, ażeby wszystko mieć zawsze pod ręką. Przez całe cztery miesiące heblowanie, struganie, piłowanie, świdrowanie, pilnikowanie — były bodaj jedynemi rodzajami pracy naukowéj, praktykowanéj na statku.

Zrazu pogoda nam wcale nie dopisywała. Silny wiatr południowy wraz z rozhukanem morzem w wysokim stopniu utrudniał nam żeglugę. Zwłaszcza w zatoce biskajskiej, znanéj ze swéj burzliwości, ciężką mieliśmy przeprawę: okręt kołysał się, jak szalony, maszyna z trudnością przezwyciężała silny wiatr i napór fal, posuwaliśmy się niezmiernie wolno. Dopiero u brzegów Portugalii żywioły nam się uśmiechnęły. Wiatr osłabł i przybrał przyjaźniejszy kierunek; fale ucichły, niebo się rozjaśniło, a jego czysty lazur rywalizował z błękitem pomarszczonéj powierzchni oceanu.

D. 11 września po południu w lekkiéj mgle widnokręgu, dostrzegliśmy orszak archipelagu Madery, a ku wieczorowi ujrzeliśmy przed sobą dumne skały bazaltowe głównéj jego wyspy i zawinęliśmy do portu miasta Funchal. Zabawiliśmy tu dwa dni. Obszer-

niejszą korespondencyę z Funchal posłałem wtedy do „Głosu” a tu zaznaczę tylko, że na wszystkich, co tu byli poraz pierwszy — a takich była zawsze większość — Madera bardzo przyjemne zrobiła wrażenie. Powietrze jest tu tak miłe i świeże, roślinność tak bujna i piękna, krajobraz tak uroczy, że, gdyby nie nędza ludu tutejszego, wyspę tę możnaby było nazywać krainą szczęścia. Jeżelibyście spytali któregokolwiek z naszych majtków, który z krajów, widzianych podczas dwuletniéj podróży, podobał mu się najbardziéj, — bez wahania odpowiedziałby wam: Madera.

Z wód Madery statek wkrótce dostał się do pasa międzyzwrotnikowego. Dla każdego, kto większych przejażdżek morzem przedtém nie odbywał, a komu piękno natury nie było obojętne, podróż w tych regionach Atlantyku musiała być źródłem wielu przyjemnych wzruszeń. Cuda, stwarzane przez wschód i zachód słońca; niezmierzone bogactwo barw, zdobiących niebo i morze przy brzasku i zmierzchu; odbijanie się światła księżycowego od rozkołysanych fal; pyszne zjawisko fosforescencyi, które w tych okolicach pod najrozmaitszemi, jedna od drugich piękniejszemi postaciami się objawia, — cała ta symfonia światła i barw musiała zachwycać każdego, kto obok umysłu miał jeszcze odrobinę duszy.

Oprócz obserwacyi meteorologicznych, uskutecznianych co cztery godziny, spostrzeżeń nad barwą oceanu, czynionych podług specyalnie dla takich badań obmyślonéj skali Forel'a, oraz wiecznego piłowania, heblowania i t. d., żadnych innych poszukiwań naukowych podówczas się nie robiło.

D. 7-go października przekroczyliśmy równik. Tego dnia mieliśmy wielkie święto tradycyjne, obfite w sceny wesołe: chrzest nowicyuszów. Odbył się on podług wszelkich, tradycyą uświęconych reguł. Każdy z nowochrzczeńców otrzymał metrykę chrztu, podpisaną przez władcę równika, ministra passatów oraz sekretarza obrzędu.

Po dwóch tygodniach błękit morza, dotąd czysty i ciemny, począł blednąć i mętnieć, przechodząc coraz wyraźniéj ku barwie zielonéj. Zjawisko to oznacza zazwyczaj bliskość ziemi. W saméj rzeczy, wkrótce ujrzeliśmy brzegi Brazylii, a 27 października zarzuciliśmy już kotwicę w obszernym, doskonale osłoniętym, acz cuchnącym porcie Rio de Janeiro.

Na statku w porcie zaszły pewne zmiany. P. Rakowica, zoolog wyprawy, któremu morska podróż wcale nie służyła, silnie wycieńczony, a nawet dość poważnie chory, musiał opuścić na pewien czas statek, by na lądzie odzyskać siły. Miał wrócić na statek dopiero w Punta Arenas (Chili, zatoka Magellańska). Za to przybył z New-

Yorku nowy członek, dr. Fryderyk Cook, drogą telegraficzną, w ostatniéj chwili, zaproszony na lekarza ekspedycyi, dzielny *yankee*, doskonały specyalista, co uczestniczył już był przedtém w wyprawach do Grenlandyi, a którego doświadczenie, wiedza i pomysłowość olbrzymie naszéj wyprawie w następstwie oddały korzyści.

Przez pierwsze dwa dni zwiedzałem miasto w towarzystwie kilku współuczestników wyprawy. Jest w niém wiele rzeczy pięknych: aleja palm, park publiczny, widok ze wzgórz, opasujących miasto, są to przykłady rzadkiéj piękności. Miasto to jednak posiada jedną przywarę, wspólną, zdaje się, wszystkim miastom pochodzenia portugalskiego: jest bardzo brudne. Jeden z mieszkańców powiadał mi, że brudy — to przyczyna żółtéj febry, klęski tego miasta; powoływał się na przykład miasta Santos, gdzie od chwili wprowadzenia kanalizacyi klęska ta miała ustąpić.

W Rio spotkałem Polaków, którzy swym rodakom, jadącym „do bieguna”, t. j. mnie i Arctowskiemu, serdeczne urządzili przyjęcie. Polacy, zamieszkujący Rio-de-Janeiro, są zorganizowani. Towarzystwo ich posiada własny lokal, bibliotekę i czytelnię, w któréj znalazłem sporo pism, sprowadzanych z kraju. Bardzo przyjemną niespodziankę zrobiło mi spotkanie się z p. Stanisławem Kłobukowskim, który, skończywszy misyę, włożoną nań przez lwowskie Towarzystwo Geograficzne, właśnie miał wracać do kraju.

Całe pięć dni przestaliśmy w Rio. Musieliśmy tu uskutecznić niektóre zakupy dodatkowe, sprawdzić stan chronometrów i t. p.

Opuściliśmy port 3 listopada. Kolonia belgijska towarzyszyła nam aż do samego wyjścia z ogromnéj zatoki, tworzącego prawdziwą bramę skalistą.

W drodze do Montevideo zatrzymani byliśmy przez pampery [1]), z któremi, aczkolwiek wystąpiły one w osłabionéj swéj postaci, maszyna nasza walczyć nie mogła. Musieliśmy tedy zarzucić kotwicę tuż naprzeciwko latarni morskiéj przylądka Polono i stać całą dobę, czekając na zmianę wiatru. Kilku z nas, — w téj liczbie i ja, — urządziło wycieczkę na ląd. Oryginalne, smutno-wesołe wybrzeże piaszczyste, któremu wichry postać falistą nadały, zamieszkane jest przez garstkę hiszpanów-pilotów. Kontury tych brudno-żółtych piasków, najwyżéj na 30 metrów nad poziom morza wystających, przypominają zupełnie owe okrągławe wały i waliki, w jakie się tak często fale oceanu układają.

---

[1]) *Pampery* — burzliwe wiatry południowo-zachodnie, wiejące wzdłuż wybrzeża wschodniego Ameryki południowéj, na przestrzeni od S-ta Catarina do Montevideo mniéj więcéj.

12 listopada przybyliśmy do Montevideo, przywitani depeszami i błyskawicami, a stąd po dwóch dniach wyruszyliśmy do Punta Arenas. Po trzech tygodniach żeglugi byliśmy już na miejscu.

W Punta-Arenas zastaliśmy czekającego tu na nas p. Rakowicę. Trudno go było poznać: tak utył i tak zdrowéj cery nabrał. W porcie tego małego, ale mającego wielką przed sobą przyszłość miasteczka, przeszło tydzień zabawić musieliśmy; trzeba było bowiem zabrać sporo węgla cegiełkowego na drogę.

Tu zaskoczyły nas nieprzewidziane i wcale nieprzyjemne wypadki. Kucharz nasz, Szwed, wzięty z Montevideo, który zastąpił był dawnego kucharza, Francuza, w drodze do Punta Arenas ciężko zapadł na piersi. Stan jego zdrowia tak mało był obiecujący, że o dalszéj jego podróży z nami mowy być nie mogło. Trzeba było go wysadzić w Punta Arenas. Zastępcy zaś jego w mieście znaleźć nie mogliśmy. Zostalibyśmy więc bez kucharza, gdyby czynnością tą nie obarczył się kamerdyner Michotte, jakkolwiek specyalistą w téj sztuce nie był.

Po tym wypadku nastąpił inny, daleko ważniejszy: trzech majtków-fachowców oraz jeden maszynista ustąpiło ze statku...

Tak uszczupleni w liczbie, z dwoma maszynistami, z siedmioma majtkami, wśród których czterech tylko znało swój fach, opuściliśmy Punta Arenas i weszliśmy w kanały Ziemi Ognistéj.

II.

Z Punta Arenas do wyspy Stanów.

Najbliższym naszym celem było przedostanie się do kanału Beagle'a, przecinającego południową część Ziemi Ognistéj w kierunku wschodnio-zachodnim, gdzie rząd argentyński umieścił dla swéj marynarki duży skład węgla, z którego pozwolił nam korzystać w ilości, jaka nam będzie potrzebna.

Aby dojść do tego celu, trzeba było wejść w sieć kanalików, tworzonych przez wyspy i wysepki, na które się rozbija północno-zachodnia część korpusu Ziemi Ognistéj.

Nie chcąc się narażać na niebezpieczeństwa żeglugi nocnéj w wąskich cieśninach o brzegach, najeżonych skałami, zarzucaliśmy na noc kotwicę w téj lub owéj zatoce, których tam nie brak. Korzystaliśmy z takich chwil odpoczynku, urządzając wycieczki. Pan Rakowica zbierał rośliny, Arctowski — „kamienie".

Pierwszy nocleg urządziliśmy — jeśli się nie mylę — w zatoce Nadziei. Otoczona zewsząd z wyjątkiem wąskiego przejścia przez wysokie góry, strome, obficie umajone gęstwiną lasów, od których ostro odbijają śnieżne szczyty, zatoka ta, pomimo drobnego deszczu, co padał nieustannie, miała urok dzikiego piękna. Zdawało się, jak gdyby człowiek nigdy przedtem nie zakłócał jéj grobowéj ciszy. A jednak znaleźliśmy ślady jego bytności: opuszczony szałas indyanina oraz nazwiska marynarzy angielskich i norweskich, wyryte na drzewach.

Druga zatoka, w któréj zatrzymaliśmy się podówczas na noc, nie wiem, czy nosi jaką nazwę. Po obu bokach ma się skały, stromo spadające do morza, gęsto poprzerzynane białemi wężami potoków, z głuchym szmerem staczających się do zatoki. W głębi jéj poza morenami, co dwiema iglicami z obydwóch boków wrzynają się w ciche wody, olbrzymi lodowiec spuszcza swe białe, lśniące łono aż pod poziom morza. Kawały lodu nieustannie odrywają się od ojca-lodowca, różnéj wielkości, najrozmaitszych postaci, przepełniają mały obszar, zamknięty przez iglice moren, a przez wązką bramę pomiędzy temi ostatniemi rozsypują się po całéj zatoce. Były to pierwsze „lody", przez nas widziane: lody w miniaturze. Pomiędzy témi brylskami, bryłami i bryłkami lodu pływały liczne gromady ptaków, wśród których można było dostrzedz piękne łabędzie białe. Kilku z nas urządziło polowanie na ptaki łódką, bez broni: długą gonitwą staraliśmy się doprowadzić ptaka do wyczerpania sił; dopiąwszy tego, uderzeniem wiosła ogłuszaliśmy go i pakowaliśmy do łódki. Obfita zdobycz była nagrodą męczącego sportu.

Weszliśmy do kanału Beagle'a od zachodu. Wązka ta cieśnina jest dla żeglarzy dosyć niebezpieczna. Burze szaleją tu bardzo często; na morzu grożą rafy, a na brzegach skały.

Jechaliśmy do zatoki Uszuwaia, przypuszczając, że to tam właśnie znajduje się ów skład węgla. Przybywszy jednak na miejsce, dowiedzieliśmy się, że popełniliśmy omyłkę, i skład węgla znajdował się w zatoce Lapataia, na zachód od nas; minęliśmy więc już go, i trzeba było się wracać.

W Uszuwaii zatrzymaliśmy się na noc. Ponieważ przyjechaliśmy tu przed południem, mieliśmy więc czas na urządzenie wycieczki.

Uszuwaia jest małém ogniskiem przemysłu drzewnego, kolonią karną i misyą. Należy, zarówno jak i Lapataia, do rzeczy-pospolitéj argentyńskiéj. Misyonarzem był tu p. Bridges, anglik, człowiek niezmiernie ruchliwy i energiczny, zmarły w roku zeszłym.

Smutny los mają biedne plemiona indyjskie, rozproszone po Ziemi Ognistéj; strzelane za kradzież owiec, dziesiątkowane przez choroby, sprowadzone przez europejczyków, zwłaszcza przez suchoty. A najsmutniejszy bodaj obraz przedstawiają indyanie, przez misye „cywilizowani". Piękne kształty atletyczne okryte łachmanami kroju europejskiego; charakter spaczony; wolny syn lasów zamieniony na zahukanego niewolnika; w wązkich, nieco skośnych oczach, w których często dostrzegałem błyski inteligencyi wrodzonéj, — widać przygnębienie, ociężałość, ospałą rezygnacyę. „Umierają na wyścigi" mówił mi jeden mieszkaniec o tęgich dzieciakach czerwonoskórych, wziętych przez misyę na wychowanie.

Zwiedziłem kolonię karną. Pośród skazańców zwrócił mą uwagę jeden młodzieniec, swem dziwnem zachowaniem się oraz szlachetnością rysów przedwcześnie zwiędłéj twarzy. Dostał on na wygnaniu lekkiego pomieszania zmysłów, w którem przeważało zdziecinnienie. Na pytanie moje, dotyczące jego przeszłości, doznawał niepokoju: spuszczając oczy, przebąkiwał coś niezrozumiałego o kollegium i o swem „dobrem wychowaniu". Od towarzyszów jego niedoli dowiedziałem się, że był to syn jednego bardzo bogatego i bardzo wysokie stanowisko zajmującego urzędnika argentyńskiego, Hiszpana, że życie spędzał na ustawicznéj hulaczce i grze hazardownéj, że wreszcie, zmuszony będąc do spłacenia długu, którego ojciec spłacić za niego nie chciał, ukradł komuś niewielką sumę pieniędzy i został za to zesłany tutaj, na żądanie rodziców, chcących usunąć hańbę z rodziny. Miał on tu przyjaciela, dziecię indyjskie z misyi, do którego przywiązał się całą duszą i które otaczał bardzo czułą opieką. Dziecko to zmarło na dzień przed naszym przyjazdem na suchoty. Był to wielki cios dla biednego waryata; podobno bardzo rozpaczał, szlochał przy jego łóżku... Prosił nas, mnie i mego towarzysza, abyśmy poszli obejrzéć trupa przyjaciela, „jego kochanego dziecka".

Weszliśmy do szopy drewnianéj; stęchły zapach wnętrza nieprzyjemnie nas uderzył. Na łożu z desek, bez siennika, bez prześcieradła, leżał opuszczony trup dziecięcia...

„Taki był ładny, taki był ładny — a teraz już go nie ma!" powtarzał waryat z boleścią...

Nazajutrz wyruszyliśmy do Lapataii i wkrótce stanęliśmy w jéj zatoce, silnie wrzynającéj się w ląd. Oprócz składu węgla kamiennego jest tu pokaźny zakład przemysłowy, w którym olbrzymie ilości drzewa rościnane są na deski za pomocą machiny parowéj. Zapuściliśmy kotwicę w pobliżu składu węgla i rozpoczęliśmy

zaraz pracę naładowywania statku. Było roboty na ośm dni, roboty niezmiernie natężonéj i ciężkiéj: trzeba się było spieszyć, aby możliwie najwcześniéj módz przybyć do lodów. Gdyby wartość węgla, na statek nasz zabranego, mierzyć ilością pracy, skrystalizowanéj w każdym jego kawałku, potu, który weń wsiąknął, przez cały czas naszéj wyprawy, przy jego naładowywaniu, przenoszeniu i przerzucaniu z jednego boku okrętu na drugi, kto wié, czyby nie okazał się wart równoważnéj ilości złota... Pracę kilkudniową przerwał dzień Bożego Narodzenia. Święto staraliśmy się obchodzić ze świetnością, na jaką nas tylko stać było. W piękny wieczór letni w kajucie, wytapetowanéj różnobarwnemi flagami, z tradycyjną choinką pośrodku, przywiezioną z pobliskiego lasu, za dwoma wielkimi stołami, z których w jeden belgijska, w drugi norweska chorągiewka była zatknięta, zebraliśmy się wszyscy do „wilii", by wypić wspólnie szklanicę wina za zdrowie wszystkich i za pomyślność wyprawy. Nazajutrz wszyscy wyruszyliśmy na ląd, na wycieczkę w głąb wybrzeża, jedni do pięknych lasów dziewiczych, inni na urocze jeziora, licznie w téj miejscowości rozsiane.

Gdy robota z węglem została ukończona, statek skierował się ku wschodowi, by wyjść z kanału i dostać się na wyspę Stanów. Podczas téj podróży mieliśmy przygodę, bardzo niebezpieczną i bardzo nieprzyjemną. W samą wigilię Nowego roku 1898 w pobliżu Uszuwaii, okręt wpadł na rafy. Przestaliśmy na nich całą noc i cały prawie dzień następny. Maszyna wyciągnąć statku nie była w stanie. Co chwila słyszeć się dawały złowrogie uderzenia statku o skały podwodne, spowodowane przez falowanie morza. Przez 24 godzin napróżno wytężaliśmy siły, napróżno sondowaliśmy dno, napróżno warczała śruba okrętowa, napróżno pozbawiliśmy się znacznéj ilości węgla, chcąc ulżyć statkowi. Przybyła na pomoc załoga angielska małego żaglowca, stojącego w Harberlon-Harbour, przybyli i indyanie z misyi: nic jednak pomódz nam nie mogli.

Kapitan okręciku, co przybył ze swymi majtkami, stary marynarz, znający dobrze Beagle, machnął ręką... Po południu trójkolorowa flaga Belgii pojawiła się na tylnym maszcie: był to znak, że okręt stracony...

Nad wieczorem jednak silny przypływ podniósł statek. Maszyna targnęła się całą siłą pary—i statek został uwolniony z zębów skalistych. Że pomimo ciągłego uderzania okrętu o skałę ten ostatni nie poniósł żadnéj szkody, zawdzięczać to można było olbrzymiéj ilości wodorostów, co się na rafach skupiły i spełniając rolę poduszki, okręt od zagłady uchroniły.

Po téj przygodzie zawitaliśmy na noc do zatoki Harberlon-Harbour, a nazajutrz popłynęliśmy szybko do wyspy Stanów *(States Island)*, leżącéj tuż przy południowo-wschodnim krańcu Ziemi Ognistéj, niedaleko od groźnego przylądku Horn. Na wyspie téj jest stacya ratunkowa oraz ciężkie roboty dla kryminalistów argentyńskich.

Wejście do portu wyspy Stanów dziwne a potężne sprawia wrażenie: piętrzą się masy skaliste, nagie, poryte i połupane, prostopadle spadające do pieniącego się u ich stóp morza, wydają się jakimiś potworami skamieniałemi, broniącemi wejścia do zatoki.

Była to ostatnia stacya nasza, gdzieśmy widzieli ludzi... Po wysłaniu ostatnich listów i telegramów, po napełnieniu wodozbiorów okrętowych, pożegnaliśmy ten ostatni przytułek rodzaju ludzkiego i skierowaliśmy statek na południe, do Antarktyku.

III.

Z wyspy Stanów do lodów Antarktyku.

Wyjeżdżając z wyspy Stanów, wyprawa miała plan następujący:

Z powodu szczupłéj ilości ludzi miano jechać do Melbourna, a po drodze, korzystając z letniéj pory, urządzić małą wycieczkę w lody. W Melbournie mieliśmy się postarać o kucharza oraz o zwiększenie liczby majtków i zapasów. Na przyszłą wiosnę dopiéro urządzilibyśmy byli właściwą wyprawę do krajów podbiegunowych.

Powiadają jednak, że chłop strzela, a Bóg kule nosi. Warunki się tak nam złożyły, że owa „mała wycieczka", po drodze, w lody trwać miała czternaście miesięcy....

Pierwsze lody spotkaliśmy jeszcze daleko przed wyspami New Shetland. Z początku rozsypane tu i tam, ruchome góry lodowe poczęły się mnożyć w miarę tego, jak posuwaliśmy się ku południowi aż wkrótce otoczyła nas plejada *icebergów* [1]. Bardzo często statek przejeżdżać musiał tuż obok tych olbrzymów; spotkanie z którymkolwiek z nich byłoby bardzo niebezpiecznie; to téż stojący na war-

---

[1]) Posługuję się tu terminem angielskim (używanym zresztą i w języku francuzkim), w braku odpowiedniego terminu jednowyrazowego, w języku naszym.

cie nie mieli chwili odpoczynku, zmuszeni — zwłaszcza podczas żeglugi nocnéj — do ciągłego wytężania uwagi.

Odtąd tłumy icebergów towarzyszyły nam stale.

Te potężne masy lodu rzeczywiście imponują swym ogromem; a pamiętać należy, że widzi się zaledwie małą część, czubek olbrzyma, z wody wystający, że cały korpus, rozmiarami swemi o wiele razy przewyższający część nadwodną, schowany jest w morzu. Nigdy jednak, pomimo ciągłego obcowania z lodami, nie udało nam się zobaczyć owych fantastycznie wielkich gór wędrownych, mierzących się pono na mile, które pewne okręty płynące w pobliżu Antarktyku miały oglądać. Nie znaczy to, naturalnie, aby opowieści te były wymysłem; choć z drugiéj strony zauważyć należy, że oko ludzkie bardzo często jest daleko większe od rzeczy, na które się patrzy...

Icebergi są to synowie ziemi. Rodzą się z lodów, pokrywających lądy i wyspy podbiegunowe. Zwiedzając ziemie antarktyczne, mieliśmy na każdym kroku sposobność przyjrzenia się zblizka wszystkim stadyom ich tworzenia się, polegającym na powolném wyodrębnianiu i stopniowem odczepianiu się od ogólnéj masy lodowców, spuszczających się z brzegów do morza. Tu potężne szczeliny w lodowcu zaledwie zarysowują kontur mającego się narodzić olbrzyma; ówdzie góra lodowa, prawie zupełnie już wykończona, trzyma się jednak jeszcze mocno ziemi; gdzieindziéj wreszcie potężny iceberg, zupełnie już wyodrębniony, zawisł nad otchłanią, zaczepiony tylko u podstawy, i lada chwila gotów jest stoczyć się do morza. Tego jednak końcowego stadyum, gdy iceberg, uwolniony z więzów, zlatuje w przepaść morską, widywać nam się nie udało. Musi to być scena bardzo efektowna, o ile sądzić można z opisów podróżników w okolicach bieguna północnego, którzy zjawisko to na własne oczy oglądali.

Postać icebergów jest bardzo różnorodna i fantastyczna; pewne typy jednak przeważają. Najczęściéj spotykaną jest tu forma tafli: są to jak gdyby budynki olbrzymie z płaskim dachem. Zdaje mi się, że jest to postać pierwotna, cechująca icebergi młode; zaś inne formy, jak owe zamki z basztami, lub olbrzymie grzyby pływające, właściwe mi się być zdają starszym już górom lodowym.

Bardzo często prążkowanie, delikatne względnie do masy icebergu z dość regularnym deseniem, zdobiące jego ściany, zwraca uwagę widza. Podobne prążki równoległe dojrzéć można często już na lodowcach, z których się rodzą ruchome góry lodu. Jeżeli nie zawsze, to przynajmniéj w niektórych wypadkach prążkowanie to

przypisać należy bryłkom śniegu, co staczając się po pochyłości lodowca, tworzą na ciele jego bruzdy coraz głębsze.

Mury pałaców i zamków lodowych prawie powszechnie poprzerzynane są grotami. Te ostatnie albo są słabo rozwinięte, w postaci jam o sklepieniu wypukłem, płyciéj lub głębiéj wrzynających się w ścianę lodową, albo téż przebijają iceberg na wylot, albo wreszcie rozgałęziają w jego wnętrzu, tworząc cały system lochów. Czasami działanie ustawiczne fal wyrębuje w tych piwnicach kolumny, tworzące wspaniałe portyki, o postaciach najfantastyczniejszych, o jakich nie śniło się architektom. W te tajemnicze labirynty rzucają się z szumem bałwany, głuchym jękiem napełniając ich otchłanie. Światło dzienne daje grotom, zarówno jak wszelkim zagłębieniom i szczelinom w lodzie, piękne zabarwienie błękitne. Czasami zwłaszcza przy zachodzie słońca — cały iceberg zabarwia się na niebiesko.

Nieustanne działanie wody powoli ale ciągle uszczupla ilość materyi i stopniowo zmienia postać płynących lodów. Skutek bezpośredniego naporu fal zarysowuje się w miejscu, gdzie widzialna część iceberga graniczy z poziomem morza, jako potężna bruzda pozioma, coraz bardziéj się pogłębiająca. Wraz ze zmianą formy i nierównomiernym ubytkiem materyi zmienia się i punkt ciężkości bryły: równowaga zostaje zachwianą; iceberg przybiera inne położenie; pewna jego część, dotychczas moknąca w morzu, wydobywa się na wierzch, inne za to, wysterczające aż dotąd, chowają się pod poziom wody. Bruzda pozioma już nie znajduje się w płaszczyznie powierzchni morza, i tworzy się inna, nowa. Na starych olbrzymach, co już przez wiele przeszły kolei, można czasami dostrzedz cały szereg takich bruzd dawnych, piętrzących się jedna nad drugą. Czasami ściana lub nawet dach gmachu przedstawia zniszczoną przez długie moczenie się w wodzie, silnie podziurawioną powierzchnię żużlowatą: w tym wypadku dawne dno iceberga wydobyło się na wierzch.

Wyczerpany długoletnią walką z żywiołami, iceberg umiera w końcu. Śmierć jego jest zjawiskiem niezmiernie efektownem. Wynędzniały starzec, z ciałem oberwanem, podziurawionem, poszczerbionem, z hukiem gromów rozpada się na kawałki; przez kilka sekund wszystkie jego członki — drgają konwulsyjnie; po chwili z olbrzyma pozostaje drobiazg, rozpraszający się po morzu, ginący w ogólnéj masie drobnego lodu.

D. 21 stycznia i dnia następnego zdarzyły nam się dwa wypadki, z których drugi sprawił nam wielką przykrość.

Pierwszego dnia, przed południem, statek wpadł w półkole raf, zaznaczających swą obecność półkolem szalonéj piany. Uderzenie okrętu wypłoszyło wszystkich na pokład. Na morzu panowała gęsta mgła, a naokoło snuły się gromady icebergów... Po półgodzinnéj pracy maszyna zdołała wycofać nas z niebezpiecznego położenia.

Dnia następnego przenoszono węgiel z jednego boku na drugi, w celu przyprowadzenia statku do normalnego stanu równowagi. Po południu zerwała się silna burza; wichura była szalona; morze potworne. Ogromne bałwany rzucały się na pokład, zalewając go wodą. Nieszczęściem dla nas, małe kawałki i drobiny węgla, pozostałe na pokładzie, pozapychały dziury w bokach międzymościa, dające zazwyczaj ujście nazewnątrz wodzie, jaka się na pokład nabiera. Wkrótce pokład, otrzymując jeden *paquet de mer* za drugim, tak się zalał, że trzeba było brnąć w wodzie po kolana. Majtkowie, będący na warcie, rzucili się do oczyszczania dziur z węgla. Jeden z nich Wincke, dwudziestoletni chłopiec, pochodzenia norweskiego, zniecierpliwiony próżnemi wysiłkami w celu odetkania jednéj dziury, wskoczył na brzeg okrętu, by spróbować dokonać z zewnątrz tego, co mu się nie udawało od strony wewnętrznéj statku. W téj chwili olbrzymia fala przypuściła szturm do okrętu i zmiotła Wincke'ego. Skostniał biedny chłopiec w zimnéj wodzie Antarktyku; miał jeszcze jednak tyle przytomności, że uczepił się ciągnącéj się z tyłu okrętu liny od *logh'u*, przyrządu, mierzącego szybkość statku. Próżne jednak były zabiegi około jego uratowania. O spuszczeniu łódki na tak wzburzone morze mowy być nie mogło. Daremne było bohaterskie poświęcenie p. Lecointe'a, podkomendanta wyprawy, co opasawszy się liną, wskoczył do wody: przyciągnął on topielca, trzymał już zsiniałego trupa w swych objęciach; lecz w téj chwili okręt targnął się silnie, Wincke wyrwał się z objęć i popłynął z falami Antarktyku.

Wypadek ten znam tylko z opowiadania towarzyszy; gdy bowiem zewnątrz odgrywała ta straszna scena, ja najspokojniéj spałem w kajucie.

Nazajutrz na szczycie głównego masztu przez cały dzień powiewała flaga norweska: ostatni honor, oddany Wincke'mu...

Pod koniec stycznia dostaliśmy się do regionu ziem Palmersa i Grahama. Zakątek, któryśmy zwiedzili i zbadali z możliwą dokładnością, okazał się okolicą zupełnie nieznaną. Mapa, odpowiadająca mniéj więcéj długości i szerokości geograficznéj téj okolicy, była zupełnie fałszywa i nie mogła nam służyć do jakiego takiego oryen-

towania się. Gdym porównywał późniéj tę mapę z mapą, nakreśloną przez p. Lecointe'a na zasadzie jego własnych zdjęć, pomiędzy jedną a drugą żadnego nie mogłem znaleźć podobieństwa.

Weszliśmy do cieśniny, nazwanéj późniéj (prowizorycznie) kanałem Belgiki. Rozumie się, dopiéro potém dowiedzieliśmy się, że to był kanał: na mapie admiralicyi angielskiéj wcale go nie było. Pracowaliśmy w nim w przeciągu całego miesiąca, z bardzo zadowalniającemi wynikami.

Najważniejszém dziełem téj pracy, zdejmowaniem pozycyi w celu sporządzania możliwie dokładnéj mapy — zajął się p. Lecointe. Miał on wszystko ku temu, aby z zadania swego świetnie się wywiązać: dostateczną ilość wspaniałych przyrządów, doskonałe wykształcenie fachowe i energię, niezbędną do sumiennego i wytrwałego prowadzenia podobnéj pracy, niezmiernie zmudnéj, uciążliwéj. Wyspy, przez nas odkrywane, nazywaliśmy wprost cyfrowo, w porządku chronologicznym ich odkrycia: „Wyspa Pierwszego Wylądodowania", „Wyspa Drugiego Wylądowania" i t. d. Dużą stosunkowo wyspę, znajdującą się przy wyjściu z kanału od strony zachodniéj, nazwano wyspą Wincke'go, pragnąc uwiecznić imię zmarłego towarzysza. Lądowi nowemu dano późniéj (po śmierci p. Danco) (tymczasową) „Ziemi Danco".

Równolegle z pracami czysto geograficznéj natury szły energiczne poszukiwania z innych dziedzin wiedzy. P. Rakowica zbierał skrzętnie faunę i florę; między innemi udało mu się znaleźć: z roślin, *Gramineae*, nieznane dotąd na tak wysokiéj szerokości geograficznéj półkuli południowéj, ze świata zaś zwierzęcego—owady (z *Orthopterów*) oraz ich larwy; dotąd owadów w krajach antarktycznych nie spotykano. Sondowano, badano morfologię ziem odkrywanych, zbierano próbki skał, robiono obserwacye magnetyczne, zdwojono spostrzeżenia meteorologiczne, robiąc je co dwie godziny.

W celu dokładniejszego rozejrzenia się w miejscowości pięć osób: komendant, doktór, pp. Danco, Amundsen i Arctowski, — urządziło raz wycieczkę na ląd na cały tydzień. Zabrali z sobą żywność, sanki, „*s-nowshoes*,"[1]) worki futrzane do spania. Wycieczka ta jednak nie powiodła się: wrócili po tygodniu bez ważnych rezultatów.

Wypadków nie zdarzyło się żadnych. Raz tylko śruba od statku zadzwoniła o skałę podwodną. Szczęście mieliśmy do tych

---

[1]) Tarcze, przyczepiane do nóg za pomocą rzemieni, służące do chodzenia po śniegu.

raf! Gdyby skała wznosiła się o jakie ćwierć metra wyżéj, ładnieby wyglądała nasza śruba...

Krajobrazy letnie ziem podbiegunowych nie nadają się do ramek przeciętnéj estetyki. Przyzwyczajony do zupełnie odmiennych widoków natury, człowiek wzdraga się nazwać pięknym ów dziki konglomerat białości i czerni; w tych bowiem stronach ląd—to oślepiająco biała powierzchnia lodowata, na której, niby czarne plamy, odbijają obnażone występy skał, morze zaś — to czarne tło, popryskane białym drobiazgiem lodu morskiego, nad którym tu i tam górują dzieci ziemi, śnieżne icebergi. A jednak krajobraz ten ma dziwny urok. Łańcuchy wyniosłych skał, zakutych w srebrzyste pancerze lodowców, brzemiennych icebergami na wybrzeżach; groźne posągi czarnych, nagich fiordów, z których szczytów nadmiar śniegu, niby wodospad z piany, z hukiem zlatuje w przepaść; białe wysepki, upstrzone gromadami pingwinów; wązkie kanały, zawalone tłumem różnorodnych brył i płyt lodowych, między któremi snują się fantastyczne pałace kryształowe z błękitnemi jaskiniami, — cała ta puszcza dziwaczna, dzika, dla tego, kto jéj nie widział, niewyobrażalna, pełna jest niekreślonego uroku, uroku bajki z Tysiąca i jednéj nocy.

Napełniwszy uprzednio studnie statku lodem, wyrąbanym z icebergów za pomocą siekier i oskardów, po zdobyciu wiązki nowych faktów, opuściliśmy kanał Belgiki i pożeglowaliśmy ku zachodowi. Minąwszy ziemię Aleksandra, któréj brzegi białe, zawalone górami lodowemi, widzieliśmy zdala, zwróciliśmy statek na południe.

Z początku mieliśmy do czynienia z luźném mrowiskiem lodu morskiego, przez które brnęliśmy z łatwością. Ale niezadługo wkroczyliśmy do *„pack'u"* [1]), zbitego pola lodowego, złożonego ze spójnych kawałów zamarzłego morza.

Dostaliśmy się tu w chwili rozluźnienia czasowego lodów. Spójne zazwyczaj kry obecnie oddzielone najczęściéj były od siebie przez szczeliny, tworzące wspólnie sieć kanałów, możliwych dla nawigacyi.

Pchani przez burzliwy wiatr z północy, w krótkim czasie sto mil ujechaliśmy w polu lodowem, które, im daléj na południe, tém spójniejsze się stawało, coraz trudniejszą czyniąc żeglugę. Podróż

---

[1]) *„Packice"*. w skróceniu *„pack"*, terminu tego używam tu z tych samych powodów, co i terminu *„iceberg"*.

między lodami nie należy do łatwych i wymaga wielkiego napięcia uwagi zarówno od oficera, stojącego na warcie, jak i od sternika i maszynisty. Oficer z gniazda bocianiego szuka drogi w sieci szczelin i lakun i wydaje rozkazy do maszyny i steru; maszynista wciąż baczyć musi na telegraf; sternik, oprócz szybkiego i sprawnego wykonywania rozkazów, co chwila innych, musi uważać — zwłaszcza przy cofaniu się statku, — aby potężne kry nie uszkodziły steru.

Posuwać się naprzód było coraz trudniéj. Kry stawały się coraz większe i coraz bardziéj zbite. Wreszcie pora była już spóźniona: woda w zwężających się kanałach i jeziorach zaczęła już zamarzać. Trzeba było co prędzéj uciekać...

Atoli łatwiéj było wejść, niż wyjść. Z początku szło jeszcze jako tako: okręt dość łatwo prześlizgiwał się przez szczeliny, rozcinał młody lód. Jednak już 29 lutego statek stanął na miejscu, nie mogąc dać sobie rady z lodami. Załoga skoczyła na kry, drągami siląc się utorować mu drogę. Posunęliśmy się kawałek naprzód; po południu znów okręt musiał się zatrzymać. Przez dni następne posuwaliśmy się wprawdzie trochę, ale niemożliwie wolno: „jeden krok naprzód, a dwa w tył", jak mówili majtkowie. 23 lutego już nie było ani krzty wody ciekłéj na powierzchni morza. W jedną pustynię białą, pustynię bez końca, zlały się te wszystkie kry, pokrywające pierś oceanu, ogromne, mierne i maleńkie, stare i młode, przeszłoroczne i zrana powstałe. Ponieważ falowanie morza dawało się tu jeszcze lekko odczuwać, więc całe to pole śnieżne zginało się i wypuklało, podnosiło się zwolna i opadało, niby potwór jakiś olbrzym, oddychający pełną piersią. Statek znów musiał stanąć. 26 lutego napotkaliśmy *pack* bardziéj rozcieńczony: białe płyty, rozszerzone tu i tam; pomiędzy niemi woda zlekka zamarznięta, rozłupana na kręgi i krążki szare, szarością swą uwydatniające lśniącą białość poziomych kier i wyniosłych icebergów. Nie wiele jednak się posunęliśmy: wkrótce wpadliśmy znowu w zbitą masę lodu. Woda marzła szybko; świeżo tworzący się lód grubiał z godziny na godzinę; kry się zlutowały; pole lodu nie falowało już: lud stężał. 6 marca lody skuły statek; nie miał on już odtąd własnego ruchu: ani naprzód ani w tył...

Zimowanie, co od pewnego czasu wisiało nad nami w powietrzu, jako niemiła możliwość, stało się koniecznością.

IV.

Zimowanie

(od 6 marca 1898 r. do 13 marca 1899 r.).

Musieliśmy tedy rozkwaterować się wśród zamrożonych fal nieznanego morza, pomiędzy Ziemią Aleksandra a wyspą Piotra. Dnia 6 marca — w dniu, w którym konieczność zimowania stała się dla wszystkich oczywistą, statek nasz znajdował się na 71° 18′ 36″ szer. południ. i 85° 34′ 48″ dług. zach. Cztery dni temu, położenie nasze było: 71° 31′ 20″ szer. poł. i 85° 15′ 40″ dług. zach.; był to najdalszy na południe punkt, jaki osiągnęliśmy; tak daleko w téj okolicy nikt się jeszcze nie zapędził. Nie wielka to jednak była dla nas pociecha, jak również niewielkiém zmartwienie z powodu owych dziewiętnastu stopni, oddzielających nas od bieguna. Nie odnalezienie bowiem bieguna, lecz zbadanie krajów podbiegunowych pod względem naukowym było celem naszéj wyprawy.

Przed nami nikt w Antarktyku nie zimował; nas pierwszych los zmusił do spróbowania zimy antarktycznéj. Wyobrażenie o niéj mogliśmy tworzyć tylko na podstawie wiadomości o jéj przebiegu pod biegunem północnym, które wszyscy — z wyjątkiem doktora— czerpaliśmy z opisów podróżników.

Ten i ów pokładał jeszcze nadzieję na przypuszczalny prąd, który, gdyby posiadał kierunek ogólny południowo-północny, mógłby zagnać *pack* — a z nim i nas, jako stanowiących obecnie jego integralną cząstkę, — daleko na północ, gdzie ten pod wpływem ciepła by się rozleciał, pozwalając nam wydobyć się ze swych objęć. Nadzieja ta jednak była bardzo dwuznaczna; bo cóż przeszkadzało hypotetycznemu prądowi płynąć w kierunku wręcz przeciwnym? Wtedy doszlibyśmy może bardzo blisko samego bieguna, ale w żadnym razie nie do Europy... Wszyscy zaś byliśmy przygotowani na niebezpieczeństwo ciśnienia lodów, co miażdżyło lub miażdżeniem groziło okrętom wypraw arktycznych, a którego główną przyczyną również są prądy.

Nadzieje te okazały się płonne, obawy próżne. W miejscu, gdzieśmy zamarzli, żadnego prądu widocznie nie było. Zamiast posuwać się w pewnym określonym kierunku, pack spacerował sobie tam i napowrót w granicach jednego stopnia południkowego z południa ku północy oraz kilku dziesiątków stopni odpowiedniego równoleżnika od zachodu do wschodu.

Ruchy te zależały prawdopodobnie tylko od wiatrów, choć dowieść tego ściśle byłoby rzeczą bardzo trudną, gdyż system lodów, dostając impuls od wiatru, nie koniecznie w tym samym, co wiatr, posuwa się kierunku. Nieobecnością prądu również należy prawdopodobnie objaśnić brak zupełny właściwego ciśnienia, którego tak straszne sceny kreślą podróżnicy z północy. Bywało wprawdzie ciśnienie, dość nawet silne, pomiędzy olbrzymiemi krami. Jest to bardzo piękne zjawisko. Naprzód, ucho uderza dziwny szmer: cichy, a jednak potężny pisk, podobny trochę do skrzypienia śniegu pod stopami podczas mrozu, tylko na większą skalę. Oko zwraca się w stronę szmeru: na granicy pomiędzy dwiema krami, krawędzie obudwóch, prąc na siebie wzajemnie, łupią się, — łupią się tak lekko, tak spokojnie, jak gdyby to nie były olbrzymy o kilkumetrowéj grubości, lecz cieniutkie płytki szklane... Łupiny lodu, często potężne, układają się chaotycznie w kupę, przypominającą ruiny gmachu, — bez hałasu, bez szumu... Potężne wrażenie robi taka beznamiętna gra olbrzymich mas. Tego zjawiska jednak, powodowanego prawdopodobnie wyłącznie przez warunki ruchu pchanych przez wiatry mas lodu, porównywać niepodobna do owych straszliwych scen z północnych mórz polarnych, gdzie w ogłuszającym jęku kry wspinają się jedne na drugie, gdzie siła wzajemnego parcia tak jest wielka, iż wyrzuca w powietrze bryły lodu. Zresztą statek nasz, siedząc w środku olbrzymiéj płyty, o 2—3 kilometrowéj średnicy, nawet od takiego ciśnienia był zabezpieczony.

Zrzadka tylko, jak np. pod koniec maja 1898 r., płyta nasza pękała, a okręt, znalazłszy się w szczelinie, wytrzymywał lekkie uściski lodów; kończyło się jednak na słabém trzeszczeniu statku; szczeliny wkrótce się zalutowywały nowym lodem, i nieprzerwana powierzchnia lodowa znów otaczała naszą siedzibę. Wprawdzie przy końcu zimowania, gdyśmy stali u samego brzegu naszego pola lodowego, okrętowi od lodów groziło poważne niebezpieczeństwo; ale było to zjawisko od właściwego ciśnienia zupełnie odmienne.

Natychmiast po zamarznięciu statku wzięto się do uporządkowania naszego gospodarstwa odpowiednio do nowych warunków bytu. Rozgatunkowano węgiel — ciągle ten węgiel! — oddzieliwszy grubsze masy od miału i umiejscowiwszy jedne i drugie we właściwych przedziałach okrętu; robota ta trwała cały tydzień. Rozklasyfikowano zapasy żywności, aby wszystko mieć pod ręką i aby zyskać trochę wolnego miejsca na urządzenie pracowni i kuchni, która na pokładzie mieścić się już nie mogła. Wyjęto garderobę zimową, sanki, *sky* i *snowshoes*. Międzymoście pokryto dachem, ubezpiecza-

jąc je w ten sposób od zamieci. Obrzucono boki statku śniegiem, by nie tracił zbyt wiele ciepła podczas mrozów: praca zbyteczna zresztą, bo wkrótce powierzchnia packu zrównała się prawie z kadłubem okrętu.

Wkrótce też praca naukowa przyjęła określony plan i rutynę. Przez cały pobyt nasz w lodach prowadzona była systematycznie, o ile tylko warunki na to pozwalały.

Pole lodowe wraz z nami, acz w wąskich granicach, zmieniało przecież ciągle swe położenie. Podstawą wszystkich poszukiwań i rękojmią ich wartości była znajomość każdorazowego położenia naszego; trzeba było bowiem wiedzieć, z którego punktu globu pochodziły zbierane dane i okazy. Tą podstawową a zmudną pracą zajął się p. Lecointe. Skoro tylko obserwacya astronomiczna była możliwa, wychodził on ze swym sekstantem lub teodolitem lub z jednym i drugim na mróz, na przeszywającą zimnem wichurę. Z czasem wystawił sobie budkę drewnianą na lodzie, która jemu wprawdzie wiele ciepła dawać nie mogła, ale zabezpieczała przyrządy przed wiatrem i zamiecią. Wogóle więcéj się zdawał dbać o swe instrumenty, niż o siebie. Aby nie narażać chronometrów na zimno, przeprowadził drut telegraficzny od budki do pokoju na statku, do którego przysyłał swemu asystentowi „top!” Po śmierci p. Danco prowadził w dalszym ciągu jego poszukiwania nad magnetyzmem ziemskim.

P. Rakowica pracował ustawicznie i bardzo regularnie. Przez cały czas urządzał połowy fauny morskiéj na większą i mniéjszą skalę w przerębli; ważył, mierzył i opisywał okazy fok, pingwinów i ptastwa powietrznego, badał temperaturę ich ciała, zwyczaje, preparował szkielety i skóry, wydobywał z ciężarnych fok zarodki, badał pasożyty. Odkąd powierzchnia morza pokrywa się nieprzerwanym całunem lodu, fauna morska staje się bardzo skąpą. Promienie słońca nie ożywiają już odtąd głębi morza; rośliny morskie zamierają; za niemi giną lub przenoszą się na północ wszystkie zwierzęta, bezpośrednio od roślin zależne; pozostają tylko mięsożerne drapieżniki, ale stan taki wiecznie trwać nie może. Każda zima musi być tu straszną katastrofą dla istot w morzu żyjących. Pod koniec jesieni pack się wyludnia: gromady pingwinów, ptaki latające, foki, balenoptery, wszystko to śpieszy na północ, na krawędź pola lodowego, gdzie więcéj wody niezamarzłéj.

P. Cook, lekarz wyprawy, badał wpływ braku słońca i nienormalnych warunków życia na fizyologię człowieka, licząc systematycznie nasz puls i mierząc ciepło wewnętrzne organizmu za pomocą

odpowiednich termometrów. Jako lekarz, nie mógł się skarżyć na brak klienteli: pacyentów nie brak było nigdy, a spora apteczka, którą z sobą przywiózł, ciągle miała odbyt. Ten niezmiernie ruchliwy człowiek był to prawdziwy podróżnik z profesyi: umiał sobie radzić zawsze i wszędzie, przystosować się umiejętnie do wszelkich warunków, umiał wszystkie rzemiosła, naprawiał nam i ulepszał sanki i łyżwy, sam sobie urządził stół, krzesełka, okulary ciemne na spacery. Zawsze widziałem go przy jakiejś robocie; nie umiał on pozostawać w bezczynności. Uczył się języka plemion indyjskich, zamieszkujących Ziemię Ognistą, pragnąc z powrotem do Ameryki południowéj dokończyć poszukiwań antropologicznych i etnograficznych, które był zaczął podczas naszéj podróży w kanałach téj wyspy.

Klimat krajów antarktycznych z powodu zupełnego braku systematycznych danych meteorologicznych, zupełnie jest nieznany. W obszerniejszych pracach ogólnych, dotyczących klimatu globu np. w pięknéj książce *Handbuch der Klimatologie* J. Hann'a, autorowie obszerną dziedzinę Antarktyku kilkoma zbywają wierszami... Oddawna już żadnych świeżych danych w téj kwestyi nie posiadamy; zaś obserwacye, czynione ongi, za czasów Ross'a, były dorywcze, robione nie w jednéj określonéj stacyi przez dłuższy czas, lecz podczas żeglugi, w coraz innem miejscu; prócz tego są one bardzo niekompletne, gdyż obejmują tylko porę letnią.

Trzeba było więc skorzystać z mimowolnego zimowania, aby urządzić stacyę meteorologiczną w tych stronach i drogą systematycznych, ciągłych obserwacyi dostarczyć nauce jaknajwiększéj ilości danych za cały rok. Cel ten w pewnéj mierze osiągnęliśmy; z wyjątkiem dwutygodniowéj przerwy w lutym r. 1899, podczas któréj walka z żywiołami, w któréj wszyscy udział brać musieli, pozwalała zaledwie na obserwacye co cztery godziny, podczas całego pobytu w lodach spostrzeżenia czynione były regularnie co godzinę, z doby na dobę. Pracy téj podjęli się p. Arctowski i ja; ja brałem przeważnie dwunastogodzinną wartę dzienną, on zaś wolał zwykle nocną; bardzo często pomoc w téj pracy uprzejmie ofiarowywali nam pp. de Gerlache, Lecointe, Cook, Amundsen i Melaerts.

Warunki fizyczne, w jakich znajdowała się nasza stacya, nie należały do najodpowiedniejszych do jéj celu. Pomijam niedogodność, pochodzącą z ustawicznego przesuwania się stacyi, która powinna być stałą, z jednego miejsca na drugie; okoliczność to niewielkiéj wagi, gdyż pack poruszał się w granicach względnie wąskich. Najważniejszą niedogodnością było istnienie czynników, sil-

nie wpływających na klimat badanéj okolicy, których ani przewidzieć ani obliczyć, często nawet wykryć było niepodobna. Zimowaliśmy na pełném morzu, nie zaś na lądzie. Wprawdzie pack może być uważany zupełnie jako kontynent; atoli pewnego dnia tworzą się w nim, w rozmaitych punktach, w rozmaitéj ilości, szczeliny, zapełnione wodą płynną, która zgęszczając się w mgły, nadaje klimatowi charakter mniéj lub więcéj morski.

Prawie zawsze obfity szron, a podczas wiatrów z cieplejszéj północy często drobniutka dżdża osadza się na kulkach termometrów: naturalnie te ostatnie nie pokazują już wtedy temperatury powietrza, jeno temperaturę lodu lub wody, na nich osiadłych; trzeba je czyścić na kilka minut przed obserwacyą, a to nie zawsze się udaje. Budki meteorologicznéj nie można umieścić na lodzie; jest to niebezpieczne wobec niepewności lodów; tak, w środku maja 1898 r., pole lodowe zaczęło nagle pękać, i ledwie udało mi się uratować kilka przyrządów, na lodzie umieszczonych. Zmuszeni więc byliśmy do urządzenia całéj stacyi na okręcie, którego ciepło, acz w nieznacznym stopniu, wpływało przecież na termometry. Daléj, znajdowaliśmy się w zupełnéj nieznajomości geografii naszéj okolicy, rozmieszczenia lądów i mórz: na wschód od nas miała być Ziemia Aleksandra, o któréj konturze zachodnim nic się wszakże nie wié; na zachód nic prócz wyspy Piotra nie było nam wiadome; co zaś się znajdowało na południe od nas, o tém najmniejszego nie mieliśmy pojęcia. Wszystko to przedstawiało czynniki, dla klimatu danéj okolicy pierwszorzędne, a nam zupełnie niewiadome. Wreszcie promienie słoneczne, odbijając się od białéj powierzchni lodów, zawsze znajdują w budce meteorologicznéj otwory, przez które dostają się do jéj wnętrza i działają w ten sposób na termometry; to też wszystkie temperatury powyżéj zera, otrzymane podczas lata, są wątpliwe.

Mierzenia głębokości morza, jak również temperatury wody morskiéj w rozmaitych głębokościach, oraz wydobywanie próbek téj wody i badanie jéj chemicznego składu i ciężaru właściwego, odbywały się dość często podczas zimowania. Sondowanie wskazało stopniowo zmniejszającą się głębokość morza ku południowi; być może, jest to znak obecności ziemi na południe od miejsca naszéj hibernacyi, która może nawet łączy się z korpusem Ziemi Aleksandra. Czynne sprawdzenie tego przypuszczenia, niestety, było niepodobieństwem. Większych wycieczek w packu nie można było robić, wskutek niepewnéj jego spójności. Od czasu do czasu pole lodowe pękało tu i tam, otwierając szczeliny, często bardzo szerokie; szcze-

liny takie mogły odciąć powrót do okrętu podróżnikom, jak to rzeczywiście miało raz miejsce, gdy pp. Lecointe, Amundsen i Cook. wybrawszy się na tygodniową wycieczkę, z powrotem napotkali szeroką i długą szczelinę, niedaleko od okrętu, nad którą musieli czekać, aż towarzysze, pozostali na statku, niespokojni o ich los, znaleźli ich i przebyć szczelinę pomogli.

Prócz tego, pomiędzy głównemi częściami packu mógł istnieć ruch względny; w takim razie odnalezienie okrętu byłoby rzeczą niemożliwą. Wobec zaś szczupłéj garstki ludzi, poświęcenie kilku jednostek dla takiego sportu byłoby równoznaczne z poświęceniem całéj wyprawy.

Zorza południowa ukazała się już w połowie marca. Notowaniem, dość systematycznem, tego zjawiska, zajmował się p. Arctowski. Występowała ona głównie w swéj postaci zubożałéj czyli „normalnéj”, to jest w postaci smug łukowych koncentrycznych. Snopy promieni, powstających, znikających i przesuwających się, zjawiały się stosunkowo rzadko. Rzadziéj jeszcze występowała forma fałdzista, i to słabo zaznaczona.

Zajęcia załogi były bardzo jednostajne. Z rana majtkowie wychodzili na lód „po wodę”: rąbali zbitą warstwę śniegu, kawały kładli na sanki i zawozili na statek. Tu, w dużéj kadzi, z maszyny wyjętéj, zamieniano śnieg na wodę. Potém, prawie zawsze mieli sporo roboty z oczyszczaniem statku ze śniegu, którym zamieć często literalnie zagrzebywała pokład. W pracowni, służącéj jednocześnie do prania bielizny i ubrania, dłubał cieśla; w kajucie — ten zajęty był naprawianiem i szyciem żagli, reperacyą sznurów, ów wiązał siatki do połowu fauny morskiéj, inny porządkował kajutę. Maszyniści pracowali przy kowadle i pilniku.

Rozrywki nasze, naturalnie, nie były ani liczne ani wyszukane.... Ślizgawka na „sky” i polowanie należały do najpowszechniejszych. Ślizganie się na dwumetrowych łyżwach norweskich jest sportem bardzo przyjemnym; urządziliśmy nawet konkursy łyżwiarskie: nagrodę otrzymał ten, kto najzręczniéj, bez utknięcia nosem w śnieg, zjechać umiał z wierzchołka poblizkiego iceberga... Wszyscy prawie chodzili na polowanie. Zwierzynę naszą stanowiły wyłącznie pingwiny i foki, dostarczające nam wybornego, bo świeżego mięsa. Pingwiny — z wyjątkiem ich najroślejszéj odmiany, pingwina królewskiego, dziobem sięgającego prawie do piersi człowiekowi dorosłemu, — zazwyczaj wędrowały gromadami. Rzadko bardzo trzeba było psuć na nich proch. Najczęściéj wystarczało udawać ich krzyk; co tchu pędziły wtedy ku nam; dobiegłszy, oglądały

ze zdziwieniem nieznaną istotą dwunożną, którą prawdopodobnie brały za rodzaj wielkiego pingwina... Na foki trzeba było zwykle używać kul, choć nie zawsze: często zabijano je kilofami, a doktór czasami nawet przypędzał je kijem aż do statku... P. Rakowica, zapalony myśliwy, strzelał także do ptaków latających. Wśród tych ostatnich, w nielicznych rodzinach błąkających się po Antarktyku, wyróżnia się swą pięknością *Vagodroma nivea*, wielkości gołębia o śnieżno-białém upierzeniu: gdy usiądzie na śniegu, trudno go spostrzedz.

Wieczorami jedni grali w karty lub warcaby, drudzy prowadzili swój dziennik, inni wreszcie spędzali czas na pogadance lub czytaniu. Niedziele rozbrzmiewały muzyką katarynki, pozytywki i harmonijki naprzemian; często fonograf chrapliwym głosem wyśpiewywał nam piosenki europejskich *cafés-chantants*.

Stan zdrowia ogółu nie należał do opłakanych, ale téż nie był wcale świetny. 4 czerwca zmarł nam p. Emil Danco, porucznik artyleryi armii belgijskiéj. Chorował krótko. Choroba, któréj zaczątki musiał zabrać z sobą zapewne jeszcze z Europy, lecz którą rozwinęły bezwątpienia warunki zimowania, miała zahaczyć o trzy organy jednocześnie: o serce, płuca i nerki. Pochowaliśmy go zwyczajem morskim: trupa obszyto w worek z płótna żaglowego, przywiązano ciężar żelazny do nóg i spuszczono do przerębli... Dopiero zimując w krajach polarnych, można się przekonać, że słońce wywiera bezpośredni wpływ dobroczynny nie tylko na rośliny, ale i na organizmy zwierzęce, że brak jego powoduje zaburzenia w ustroju ludzkim. Wprawdzie straszliwy szkorbut omijał nas, ale na innych objawach chorobliwych nie zbywało. Wszyscy bez wyjątku chorowaliśmy na anemię; wszystkim puls bił nienormalnie. Prawie wszyscy cierpieli na anomalię sercową. Wielu z nas nogi puchły. Niektórzy cierpieli na bezsenność. Szkodliwie téż oddziaływa zima polarna na charakter człowieka. Osłabienie woli dało się u wszystkich zauważyć; by wykonać najmniejszy ruch, musiałem często robić wielkie wysiłki. Osłabienie to ogarnia również wolę umysłową; wszelkie operacye umysłowe, gdzie konieczną jest uwaga, skupienia myśli na jednym punkcie, wykonywane są przez mózg niechętnie; najmilszą jego czynnością staje się wolna, niehamowana gra wyobrażeń, marzycielstwo. Wpływ zimy na ciało i duszę uwydatnia się najsilniéj, zdaje się, dopiéro przy jéj końcu; tak ja, np. zacząłem cierpieć na serce dopiéro na wiosnę. Jeden z naszych majtków również dopiéro w téj porze dostał lekkiego pomieszania zmysłów, które, zdaje się, nawet po powrocie go nie opuściło. Na

uwagę zasługuje również wstręt do pokarmów konserwowanych, objawiający się podczas zimy. Czuje się potrzebę pokarmu świeżego. Gdyby nie poczciwe foki i pingwiny, co nam dostarczały wybornéj świeżéj pieczeni, wieluby z nas pozostało na zawsze w Antarktyku...

Nietylko brak słońca, ale również klimat i krajobraz lodowych przestworzy w znacznym stopniu przyczyniać się musi do upadku ducha i apatyi.

Zima właściwie rozpoczęła się już w marcu; w tym bowiem miesiącu nastały już mrozy dwudziestostopniowe, a lód młody w szczelinach szybko zaczął grubieć. Ta pora roku, obejmująca około dziewięciu miesięcy, odznaczała się niezmierną zmiennością wiatrów i temperatury, będącéj tu do pewnego stopnia funkcyą tych pierwszych. Odbywały się przeskoki od —30° C. do 0°, w przeciągu kilku dni. Największą kapryśnością odznaczają się okresy przejściowe między zimą a latem, którym przecież trudno dać nazwę jesieni i wiosny. Środek zimy większą wykazywał stałość: wiatry wiały przeważnie od strony zachodniéj, temperatura nie wahała się tak silnie; tak w lipcu np., miesiącu z najniższą temperaturą przeciętną, za wyjątkiem kilku dni, rtęć trzymała się wciąż w pobliżu — 30° C., niewielkie stosunkowo od tego punktu czyniąc odchylenia. W końcu maja znika słońce i rozpoczyna się 24-godzinna noc polarna, słabym brzaskiem i zmierzchem tylko oświetlana. Pod koniec lipca wraca niechętnie słońce; z początku zaledwie kilka chwil gości na horyzoncie, potém jednak stopniowo przyzwyczaja się do smutnego pustkowia... Najtęższe mrozy mieliśmy we wrześniu, gdy termometr jednéj nocy spadł aż do — 43° C.

O ile w zimie ma się zamało słońca, o tyle w lecie jest go za wiele. Przez pewien okres, odpowiadający zimowéj nocy polarnéj, nie schodzi z horyzontu, przyświecając lodom o północy. Nie wiele jednak ogrzewa powietrze, którego przeciętna temperatura i w lecie leży niżéj zera. Nie tylko nizkie położenie słońca jest tego powodem. Cała prawie siła jego promieni zużytkowuje się na stopienie lodów, a raczéj tylko powierzchownéj ich warstwy. Topienie bowiem lodu odbywa się bardzo leniwie: białe pole lodowe mało pochłania promieni, odsyłając je w przestrzeń. Bezpośrednie promieniowanie słońca, pomnożone przez promienie od białéj powierzchni odbite, ogrzewa silnie przedmioty i ludzi. Często doznaje się tu dziwnego wrażenia podwójnego: twarz brunatnieje od palących promieni, a jednocześnie mrozi ją zimny wiatr... W każdym razie, zimne lato jest cechą klimatu, w którym mieszkaliśmy. Ci, co

w Arktyku daleko bliżéj bieguna, niż my, zimowali, mieli przecież lato daleko cieplejsze. Lato prócz tego odznacza się względną stałością temperatury i wiatrów; dzienna zmienność temperatury zaznaczona była bardzo wyraźnie w téj porze; przeważający kierunek wiatru był wschodni.

Ciśnienie barometryczne bardzo obszernym ulegało wahaniom: spadało do 710 i podskakiwało prawie do 770mm. Burze, wraz z nieodłączoną ich towarzyszką, zamiecią, były częste. Niebo zwykle pochmurne a najczęściéj zamglone; bezobłoczne niebo należało do wypadków wyjątkowych.

Opady atmosferyczne były bardzo częste. Prawdziwy deszcz raz tylko czy dwa razy zanotowałem podczas lata. Gdy temperatura blizką jest zera, kropi dżdża, silniejsza lub słabsza, zazwyczaj w połączeniu z topniejącym śniegiem. Śnieg w kłaczkach, właściwy strefom umiarkowanym, jest tu wyjątkiem i występuje tylko przy temperaturach względnie wysokich; wogóle zaś jest drobny, pada w pojedyńczych kryształikach lub w małych ich aglomeratach. Podczas przykréj pogody, gdy niebo jest czyste, powietrze spokojne, a temperatura nizka, w powietrzu zawisają błyszczące kryształiki lodu, zwane „pyłem dyamentowym" przez podróżników polarnych. Są tak drobne, że tylko blaskami, napełniającemi powietrze, zaznaczają swe istnienie. Taki obłok naziemny powoduje, dzięki załamywaniu się promieni słonecznych w kryształikach go składających, barwne kręgi około słońca, a nawet poboczne tarcze słoneczne, zupełnie w ten sam sposób, co i owe lśniące obłoki jedwabiste, płynące w najwyższych warstwach atmosfery, podobne zresztą, pod względem składu do „pyłu dyamentowego".

Jeżeli kto chce ujrzéć prawdziwą pustynię, niechaj osiedli się w puszczy lodowéj. Pustynie ziemi niczém są w porównaniu do niéj, jest to pustynia nad pustyniami... Pewien urok posiada ten krajobraz tylko podczas jasnych, cichych nocy księżycowych, gdy blade światło, okrywając lody szatą fantastyczną, nadaje im powab tajemniczości. W jasny dzień słoneczny naokoło widza, rozciąga się olbrzymia tarcza biała, zawalona bryłami lodu, niby gruzami skał, podrapana przez wichry, cała w szczerbach, żłobowinach i zmarszczkach; po nad tą niziną, tu i tam sterczą samotne icebergi. Cała chropowata pierś oceanu, niezmiernie wielka i niezmiernie biała drga blaskami od całusów słońca, odsyłając oczom całą jego białość oślepiającą, błyszczącą, jak rozżarzone srebro. Nad horyzontem, wśród smug obłocznych, unoszą się miraże icebergów, oderwanych od płaszczyzny lodowéj, powywracanych, zdwojonych. Ponad tą

równiną zwiesza się kopuła niebios, wytapetowana bladym błękitem, zawsze mętnym, zawsze zakopconym. Ten gmach, z białą posadzką, z blado-niebieskiém sklepieniem, był to cały nasz świat, obejmujący wszystkie nasze wrażenia, uzupełniane tylko przez miraże — fizyczne, umysłowe i uczuciowe, przez mary odległych lodów, pamięci i wzruszeń, często wywrócone lub zdwojone, dzięki refrakcyi w powietrzu, w głowie, w sercu... Takie dni jednak, słoneczne, jasne i ciche, należały do wyjątkowych. Najczęściéj niebo na całéj rozciągłości pokryte było szarym, mglistym płaszczem jednorodnym, przyjmującym biały odcień od śnieżnéj powierzchni lodów. Ponieważ zaś ta ostatnia, skąpo oświetlana przez schowane poza grubą oponą słońce, ciemniała, ponieważ daléj, z téj saméj przyczyny, nierówności jéj wygładzały się, więc niebo i pole lodowe przybierały zupełnie jednakowy wygląd, przechodząc jedno w drugie nieuchwytnie na zamglonym widnokręgu. Jest to szczyt monotonności; krajobrazu jednostajniejszego, bardziéj nużącego, bardziéj przygnębiającego niepodobna sobie wyobrazić. Człowiekowi zdaje się wtedy, jakoby znajdował się we wnętrzu zadymionéj, zakopconéj chaty eskimosa... A podczas burzy, gdy rozjuszone powietrze szarpać zacznie sypką pokrywę śnieżną packu, wzbijając po nad maszt masę rozproszkowanego śniegu, ten mały, niewesoły świat znika zupełnie: czujemy tylko wtedy, że coś nas szarpie, że coś nam piaskiem białym oczy zasypuje, nic jednak nie widzimy, bo patrzeć nie możemy... Przyglądałem się często, po skończonéj burzy, polu bitwy; wygląd jego świadczy o zajadłości walki, jaką wicher stacza z polami lodu. Cała powierzchnia packu przeistoczona; pazury nawałnicy powydrapywały głębokie jamy, o ścianach podrapanych silnie i dość prawidłowo; dawne wyniosłości zniwelowane przez masę napędzonego śniegu; tam gdzie przedtém było zagłębienie, wznosi się obecnie sypkie wzgórze.

Pod koniec zimy zaczęto się przyszykowywać do tak pożądanego powrotu. Na nagie drągi masztów nawinięto żagle; maszyna stanęła w pogotowiu. Niestety! pola lodowe nie pryskały, spójne kry nie rozluźniały się.

Już się miało ku połowie stycznia, a stan rzeczy ciągle pozostawał bez zmiany. Wprawdzie potworzyły się szczeliny zdala od nas; gdybyśmy się znajdowali w ich sieci, moglibyśmy może spróbować szczęścia. Ale jakim sposobem mógł się tam dostać statek, wetknięty w środek olbrzymiéj kry lodowéj? Próby, czynione podczas zimy z materyałami wybuchowemi, dowiodły nam jasno, że na skut-

ki ich działania zupełnie liczyć nie możemy. Dynamit przebija tylko lód na wylot, wcale prawie go nie łupiąc.

Wtedy to zrodziła się śmiała myśl spróbowania czynnéj walki z wrogim żywiołem, narzucenia mu swéj woli zamiast biernego a poniżającego oczekiwania jego łaski. Myśl ta polegała na tém, aby piłami utorować sobie drogę, przebijając kanał od statku do najbliższéj szczeliny.

Było nas tak mało, narzędzia, jakiemiśmy rozporządzali, tak były nieliczne i pierwotne, że bardzo wielu nader sceptycznie do tego planu się odnosiło.

Zrazu wybraliśmy drogę najkrótszą, wynoszącą 500 metrów z górą, od przodu statku. Plan saméj roboty był następujący: trzeba było rozciąć lód pomiędzy okrętem a szczeliną w dwóch liniach, tworząc w ten sposób bardzo wydłużoną krę trójkątową, w któréj wierzchołku znajdowałby się statek, a któréj podstawa opierałaby się na szczelinie; potem należało pociąć tę krę olbrzymią na kry mniejsze, któreby się następnie wydalało po kolei do szczeliny. Zazwyczaj lód morski składa się z czterech warstw: pokrywy ze śniegu, warstwy lodu błękitnego, ziarnistego, łatwego do rozkopywania, warstwy lodu twardego, który jednak podziurawiony jest znacznie i porujnowany, wreszcie grubéj warstwy spodniéj, złożonéj z lodu bardzo rozmiękłego. Skorzystaliśmy z téj znajomości składu lodu dla ułatwienia pracy piłowania. Na linii, po któréj miała się posuwać piła, zdejmowaliśmy naprzód za pomocą łopaty warstwę śniegu; następnie kilofami rozbijaliśmy pierwszą warstwę lodu, wyrzucając ją zaraz łopatą na brzeg bruzdy. W ten sposób zmniejszaliśmy trochę grubość przeznaczonego dla piły lodu. Mieliśmy cztery piły, jedną mniejszą i lżejszą, a trzy dłuższe i cięższe. Długość ich nie dochodziła do 2 m.

Z początku piłowanie, rozpoczęte od szczeliny, szło jako tako. Wkrótce jednak natrafiono na lód 5 i 6-cio metrowy... Trzeba było dać za wygraną. Tydzień mozolnéj pracy zakończyło kompletne *fiasco*.

Nie zraziliśmy się jednak tém niepowodzeniem. Jak każda chybiona próba, tak i ta nauczyła nas wielu rzeczy, obznajmiła nas z naturą lodu, z narzędziami i ich doniosłością, wreszcie uczyniła nas przezorniejszymi. Przedewszystkiém, staraliśmy się przekonać, czy w rzeczy saméj obrana przedtem droga była niemożliwa, czy nie możnaby było obejść grubego lodu. W tym celu dokonano szeregu pomiarów grubości warstwy lodowéj; okazało się, że trzeba było zaniechać pracy w dawném miejscu. Pozostawała jedyna możliwa ze

względu na odległość — przestrzeń: od prawéj strony statku. Na zasadzie dostatecznéj liczby pomiarów grubości lodu, wytknięto nową drogę, krętą, długą — bo aż 700 z górą metrów wynoszącą, ale za to pewną: lód był tu o wiele cieńszy, najczęściéj jednometrowy. Zabraliśmy się do pracy z większą pewnością siebie. Maszyniści znitowali dwie piły w jedną, trzymetrową, skuteczniejszą.

Odtąd co dzień, o 8-éj z rana, wszyscy wychodzili na pack, do roboty; na statku pozostawał tylko p. Michotte, kucharz, który wołał nas trąbą na obiad w południe i na kolacyę o 6-éj wieczór, oraz odpoczywająca warta nocna. O 7-éj wieczorem zmieniała nas ta ostatnia i pracowała przez całą noc. Piły były bez przerwy w ruchu.

Po przepiłowaniu konturów kanału wzięto się do rozcinania wstęgi lodu na kry mniejsze. Tu stanęliśmy wobec ważnego zagadnienia: w jaki sposób przeprowadzać cięcia poprzeczne? Trzeba było uczynić zadość dwom zasadniczym warunkom: po pierwsze, dla zaoszczędzenia czasu i pracy, pożądaną była jak najmniejsza ilość linii poprzecznych; po drugie, wielkość i forma wycinanych kawałów lodu powinny były być takie, aby z łatwością można je było wyciągać po kolei do szczeliny. Po kilku próbach chaotycznych, wpadliśmy na właściwą metodę, polegającą na przeprowadzaniu skośnych linij poprzecznych, z których każda następna łączyła się z poprzednią w pobliżu bocznego konturu kanału. Kry, w ten sposób utworzone, wypychało się na wolną wodę za pomocą drągów, oddając je wiatrowi wschodniemu, co je już sam prowadził do szczeliny.

Po dwóch tygodniach nieustającéj pracy, na słońcu, co nam paliło twarze, na wietrze, co nam mroził nosy i uszy, częstokroć po kolana w wodzie, doszliśmy już pod sam statek. Kanał był na ukończeniu; pozostawały tylko dwie czy trzy małe kry tuż przy okręcie.

I oto, gdy już bliżéj byliśmy tryumfu, szczeliny poczęły się zwężać coraz silniéj, aż znikły prawie zupełnie. Niedość tego: wkrótce olbrzymia kra, w któréj środku byliśmy uwięzieni, pękła, tworząc wązką szczelinę, idącą od przodu statku w kierunku południowo-wschodnim aż do szczątkowych szczelin poblizkich; jednocześnie nasz kanał począł się także zwężać...

Zaczęliśmy przygotowywać się do powtórnego zimowania. Z powodu szczupłéj ilości zapasów żywności, wydzielono każdemu porcye dzienne chleba, sucharów, masła i cukru: porcye naprawdę mikroskopowe...

Dnia 11-go lutego wiatr północno-zachodni sprowadził za sobą rozszerzenie się szczelin i naszego kanału. Nie mogliśmy jednak skorzystać natychmiast z téj sposobności, gdyż kanał pokrył się lo-

dem, niegrubym wprawdzie, wszakże uniemożliwiającym ruch statku. Wzięliśmy się przeto do oczyszczania kanału z młodego lodu.

W cztery dni późniéj „Belgika” ruszyła tyłem ku szczelinie. Pierwszy raz, od roku, stanął majtek przy sterze... Po kilku godzinach żółwiego marszu stanął statek, zatrzymany przez drobiazg lodu, z którego oczyścić kanał było niepodobieństwem.

Nazajutrz, o g. 2-iéj z rana, kanał rozszerzył się znacznie, okręt wykręcił się, żwawo ruszył naprzód ku szczelinom i po chwili już znajdował się w ich sieci. Tu krętemi drogami począł się posuwać ku północy, często własnym ciężarem torując sobie drogę po przez węższe kanaliki. Nad wieczorem kry znów się skupiły; musieliśmy stać w miejscu przez całą noc. Na drugi dzień rano pack się rozluźnił, i statek przeciskał się szczęśliwie przez szczelinę przez cały dzień i przez całą noc. Dnia następnego jednak wiatr północno-wschodni zwęził i zatamował kanały. Okręt musiał stanąć, tym razem na czas dłuższy.

Przez te trzy dni, według obliczeń robionych na oko, posunęliśmy się o jakie 15 mil morskich ku północy. Były zjawiska, które pozwalały nam przypuszczać, że znajdowaliśmy tuż przy granicy packu. Pierwszém było stałe ciemne zabarwienie nieba na północy: znak, że morze wolne znajdowało się niedaleko. Powtóre, ilość icebergów zwiększała się bardzo szybko w kierunku północnym; olbrzymy te, których ongi zaledwie kilka było widać około naszéj dawnéj siedziby, teraz otoczyły nas setkami. Wreszcie kry drobniały coraz bardziéj; już nie było widać tych kilkuwiorstowych płyt lodu; pack stawał się coraz luźniejszy, coraz bardziéj potłuczony. I krajobraz jakże się zmienił! Jakże był dla nas świeży, uroczy! Zamiast owego całunu śnieżnego, bez przerwy, bez końca, gdzie wszystko się stapia w jednorodną masę białą, gdzie nic się nie widzi, nic, prócz śniegu, gdzie nawet nierówności powierzchni nikną, ginąc w mgle i jednostajności kolorytu; zamiast téj monotonii nużącéj — śliczna mozaika czerni i bieli, gdzie kontury jednéj i drugiéj zarysowywują się ostro, wyraźnie, jak krédka czarna na białym papierze, białe wysepki o kształtach najrozmaitszych, otoczone czarnemi liniami kanałów i kanalików. A po nad tym gminem poziomym górują pułki icebergów, strażników packu. I wszystko to nie stoi w miejscu, lecz porusza się, porusza się względem nas i względem siebie... Jakże musiała być nam przyjemną taka zmiana otoczenia!

Położenie jednak nasze bynajmniéj się nie polepszało; owszem, zdawało się pogarszać coraz bardziéj.

Wystarczyło dwóch tygodni, aby ten piękny, różnorodny, uśmiechający się krajobraz zamienił się na lodową pustynię jednostajną, w zupełności nam przypominającą ów całun obrzydły, od którego uciekliśmy.

Kry, wolne przedtém, ściskały się nieznacznie, powoli, ale stale. Kanały i jeziora zwężały się coraz bardziéj, aż znikły. Proces ściskania się szedł daléj, a kry, nie mając już między sobą wolnéj przestrzeni, poczęły walczyć z sobą na obwodach, łamiąc sobie boki i tworząc w miejscach dawnych szczelin, gruzy humoków, rosnące szybko. To fatalne duszenie się wzajemne lodów spowodowane było przez ciągłe wiatry od strony wschodniéj, które dla przyczyny zagadkowéj zawsze prowadzą za sobą ściskanie się packu.

Odkąd stanęliśmy w tém miejscu, zauważyliśmy wszyscy rozszerzanie się i zwężanie peryodyczne szczelin, które jednego dnia było silniejsze, drugiego ustawało. Po tygodniu, wszyscyśmy oglądali po raz pierwszy od tak dawna prawdziwe falowanie lodu, bardzo silne. Bliskość morza nie mogła ulegać wątpliwości.

W rzeczy saméj, jednocześnie dostrzeżono z gniazda bocianiego morze, — prawdziwe, wolne morze, rozpościerające się szerokiém pasmem czarném na widnokręgu północy. Odległość tego morza, oceniana na oko, nie była większą od dziesięciu mil morskich... A więc znajdowaliśmy się na saméj granicy packu, tuż przy morzu, od którego marne 10 węzłów nas oddzielało — i nie mogliśmy się wydostać!

Niedość tego: mieliśmy nawet ładną perspektywę zatonięcia okrętu w 10-ciomilowéj odległości od wolnego morza... Dłuższe bowiem oczekiwanie w tém miejscu groziło statkowi niemałém niebezpieczeństwem. Dostaliśmy się do dziedziny packu żyjącego, falującego, jak morze. W braku ciśnienia we właściwém wyrazu tego znaczeniu, powodowanego przez prąd, którego tu nie było, mieliśmy ciśnienie *sui generis*, które w skutkach swych mogło być daleko od pierwszego gorszém. W ciśnieniu właściwém parcie jest ciągłe, odbywając się w tym samym ciągle kierunku: okręt jest ściskany, duszony coraz silniéj. Przy falowaniu zaś, przy peryodycznem podnoszeniu się i zniżaniu poziomu lodów, co pół minuty powtarza się uderzanie mas lodowych o okręt. Takie uderzenia, zdaniem marynarzy, bardzo szybko psują statek. W początkach marca, drobiazg lodu, który przedtém oddzielał boki okrętu od otaczających go dużych płyt lodowych i, grając rolę poduszki, osłaniał nas od zbyt silnych uderzeń, został wyparty, a kry zbliżyły się do samego statku, zczépiając się z nim bezpośrednio. Odtąd w ciągu całéj doby dawało

się słyszéć złowrogie trzeszczenie okrętu. By uchronić się od niebezpieczeństwa, piłowano większe kry i rozsadzać się je starano dynamitem.

Taki stan trwał przez cały tydzień.

Około 10 marca zamarzliśmy. Falowanie ustało; szczeliny mróz zalutował, i otoczyła nas biała puszcza, ciągła, zarzucona humokami, ogrodzona półkolem nieruchomem icebergów od północy. Przygotowani byliśmy wszyscy na konieczność przedłużenia naszego zimowania co najmniéj o rok...

Atoli 11 marca, przy słabym powiewie z południa, łono packu znów zaczęło potężnie falować. Oddawna już nie widzieliśmy tak olbrzymich fal! Pierś packu wyginała się, jak ciało olbrzymiego gadu, w prawdziwe góry, poprzedzielane głębokiemi dolinami.

Prysnęło słabe spoidło, zaczepiające kry.

Płyty lodu poczęły się rozłazić. Szerokość szczelin stała się dostateczną do przebijania się przez lody. Niestety, ta wspaniała okazya nadeszła już po zachodzie słońca, gdy cienie pokryły pack i uniemożliwiając oryentowanie się, uniemożliwiały żeglugę.

Nazajutrz nad ranem, falowanie zaczęło ustawać, a szczeliny zwężać się powoli... Próby poruszania się były daremne.

13 marca lody znów zaczęły się rozluźniać. Już o 2-iéj rano można było, uparłszy się, sprobować żeglugi. Półkole północne icebergów zbliżało się do nas szybko.

O 3-ciéj zahuczała maszyna. Sternik, telegrafista i dowodzący wartą stanęli przy swych czynnościach. Zagrzmiały rozkazy. Statek znowu rozpoczął walkę z lodami: rozpychał kry, łamał im boki, cofał się, to znów nacierał .. Ciężka była robota, jednak szła. Minęliśmy wkrótce zaczarowane półkole icebergów.

Po za tem półkolem pack nieznacznie zmieniał swą budowę. Pośród lodu przeszłorocznego lub z jeszcze dawniejszych czasów pochodzącego, coraz liczniéj zjawiać się poczęły płyty świeżego lodu, o postaciach bardzo charakterystycznych. Przy najrozmaitszym obszarze, przy różnorodności konturów, młode kry wykazywały cechy wspólne, tkwiące zarówno w półłokciowych maleństwach, jak i w tablicach o dziesiątkach metrów średnicy. Czy to był wielobok, zbliżony do kręgu, czy czworobok nieregularny, czy romboid niezmiernie wydłużony, czy trójkąt, zawsze brzegi były okrągławe, czasami nawet faliste, a rogi zawsze zaokrąglone; prócz tego, brzegi były pozawijane lekko do góry; stąd bardzo często wygląd talerzyków. Cechy te pochodzą napewno od potrącania się i obcierania wzajemnego płyt i płytek.

Minęliśmy gromady icebergów. Pack zelżał: małe tegoroczne płyty i talerzyki stały się prawie wyłącznemi. To téż okręt szedł aż miło. Wesoło nam było patrzéć się na szybki ruch statku pośród pospólstwa drobnego lodu.

Wreszcie ku południu, weszliśmy do „morza”. Czarne, piękne morze, na nim tylko wyspy lodu, coraz mniejsze, coraz rzadsze. Fale przewalały już okręt z boku na bok. Niektórzy dostali już choroby morskiéj...

Wraz ze zmianą podłoża zmieniało się niebo. Jak przedtém, odbijając śnieżną białość lodów, zawsze miało ono koloryt brudno białawy, zaś odległe morze zaznaczało swą obecność pręgą ciemną, omraczającą horyzont północy, — tak teraz w południowéj części ciemnego płaszcza matowego zarysowywał się błyszczący, brudno-białawy segment, cień packu....

Wyszliśmy z więzienia...

V.

Powrót.

Przez całą drogę, aż do zachodnich brzegów Ziemi Ognistéj, sprzyjały nam żywioły. Mieliśmy szczęście prawdziwie wyjątkowe. Przebyć przestrzeń od lodów Antarktyku aż do okolic przylądka Horn, należącą do najburzliwszych na kuli ziemskiéj, w marcu, miesiącu w tych miejscowościach najgorszym, — bez burzy, pchani przez umiarkowane wiatry, zawsze przyjazne, — jest to coś bardzo zadziwiającego.

Dopiéro zetknięcie się z lądem przyprawiło nas o kłopoty. 26 marca ujrzeliśmy pierwszy ląd — wyspy i skały na zachód od Ziemi Ognistéj, z wielką radością, ale też i z wielkim strachem, bo burzliwy wiatr pchał nas wprost na skały. Dostaliśmy się przecież ku wieczorowi do zatoki wyspy Noire, gdzie stanęliśmy na kotwicy. Nazajutrz wszyscy zbudzeni byliśmy trzeszczeniem łańcucha kotwicowego. W zatoce, niedostatecznie osłoniętéj, ryczała burza. Nigdy nie widziałem burzy tak gwałtownéj. Uderzenia wiatru były tak raptowne, że z fal podnosiły się słupy kurzu, a morze stało się podobne do pustyni piaszczystéj podczas huraganu. Siła wichru spłaszczała wierzchołki bałwanów... W końcu kotwica się zerwała, a z nią 75 sążni morskich łańcucha poszło na dno.

Szczęśliwie jakoś, bez większych uszkodzeń, wydobyliśmy się na otwarte morze. Burza stopniowo ucichła. Ku południowi weszliśmy już do cichych kanałów Ziemi Ognistéj.

Na drugi dzień, około 8-éj zrana, ujrzeliśmy zdala port Punta Arenas...

Podczas piętnastomiesięcznéj nieobecności naszéj, stary nasz znajomy zmienił się niesłychanie. Pomiędzy drewniane domki wpakowały się wielkie budowle murowane, z olbrzymiemi sklepami. Znaleźliśmy bruki na ulicach, chodniki, oświetlenie elektryczne...

Po trzech tygodniach ci z nas, którzy już nic więcéj do roboty na statku nie mieli, zaczęli się rozjeżdżać. Naprzód wyjechali pp. Arctowski i Amundsen—i ja z nimi, potém pp. Cook i Rakowica.

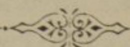
Statek, wymagający reperacyi i odświeżenia, wróci do Antwerpii prawdopodobnie dopiéro w sierpniu.

Taka jest krótka historya naszéj podróży.

Opowiadanie powyższe nie jest pisane dla uczonego lub historyka wypraw polarnych, lecz dla przeciętnego czytelnika. Jest w niém dużo braków, pochodzących po części z wąskich ram artykułu, po części z winy samego piszącego.

Kończąc, nie mogę się powstrzymać od zwrócenia uwagi czytelnika na jedną prawdę, którąm zdobył przez własne doświadczenie, a która, być może, ułatwi mu w pewnéj mierze niezbędne dopełnienie w umyśle powyższego zarysu. Życie nie składa się z zarysów ogólnych, ze streszczeń lub uogólnień, lecz ze szczegółów konkretnych. Błędem byłoby wyobrażać sobie, że awanturnicze napozór życie podróżnika różni się od zwykłego, przeciętnego życia. Wprawdzie wrażenia często są silniejsze i żywsze; ale wypadki te toną w powodzi drobiazgu codziennego, toną tak zupełnie, że, naprawdę, pod względem przeciętnego polotu życia, między podróżnikiem, obracającym się wśród przygód, a porządnym, liczącym grosze kupcem korzennym wcale nie wielka istnieje różnica... Szara powszedniość, zabijająca umysł i serce, wlecze się, jak cień, za człowiekiem, nawet w lodach podbiegunowych nie odczepiając się od niego... Człowiek wszędzie pozostaje człowiekiem...

A. Dobrowolski.



Jerzy Gordon lord Byron.

Z nietłomaczonych poezyi.

Gdy Cię żegnałem *)

Gdy Cię żegnałem
W milczeniu i łzach,
Z sercem zbolałem
Po rozwianych snach —
Zimną twarz była twa,
Całus zimniejszy:
Wróżyła chwila ta
Gorycz dzisiejszéj.

Chłodnéj mi rosy
Padł na czoło szron —
Jak gdyby losy
Moje — przeczuł on.
Twe przyrzeczenia
Zdeptałaś i cześć...
Twego imienia
Dziś mam hańbę nieść.

*) Wiersz ten był napisany do Mary Chaworth, zamężnéj Musters.
(*Przypisek tłómacza*).

Pogrzebny słyszę
Dzwon, gdy Cię kto zwie;
Dreszcz mną kołysze —
Czemum kochał Cię?
Czyż wiedzieć mogą,
Jak-em Ciebie znał —
Tyś mi zbyt drogą,
Bym to wyznać miał.

Los skrycie działa —
Skrycie ból mam znieść,
Żeś mnie umiała
Zapomnieć i zwieść.
Gdy znów Cię kiedy
Ujrzę, losów grą, —
Powitam wtedy —
Milczeniem i łzą.

Nie przypominaj! *).

Nie przypominaj mi uroku
Téj ukochanéj zniknéj chwili,
Gdy twojem serce moje było...
Téj chwili, co nie zginie w mroku,
Aż czasu fala nie przesili
I mnie i Ciebie pod mogiłą.

Czyż zapomnimy to oboje,
Gdym igrał z złotem Twych warkoczy
Jak szybko serce biło drżące...
Przebóg! Ja widzę jeszcze twoje
Piersi czarowne, mętne oczy,
Usta miłością niemą tchnące.

I tak oparta na mém łonie
Z źrenic wyrzutu ciskasz strzały,
Od których żądzą pierś wybucha,

---

[1]) Wiersz ten był pisany do Mary Chaworth, zamężnéj Musters.
(Przypisek tłómacza).

I coraz bliżéj chylim skronie
A usta płoną, jakby chciały
Śród pocałunków oddać ducha.

Więc nie wspominaj mi uroku
Chwil, co—choć znikły jak omamień
Sen — mogą wrócić na snu fali...
Dopóki w zapomnienia mroku
Nie zginiem, martwi, jak ów kamień,
Głoszący, żeśmy żyć przestali.

Prysł czar...

Prysł czar!... rozwiały się uroki!
Zwykły to życia bieg: weselem
Chcemy zagłuszyć ból głęboki...
Szał jest najlepszym zwodzicielem.

Lecz budzi każda myśli strzała
Ból, co z przyrody praw wynika,
I ten, co jako mędrzec działa,
Ma jednak żywot męczennika.

Ateny 16 stycznia 1810 r.

Pisane po przepłynięciu z Sestos do Abydos.

Jeśli Leander strzały lotem
Miał próć w grudniowéj nocy mroki
(Ach! któreż dziewczę nie wie o tem)
Twój Hellesponcie nurt szeroki —

Jeśli na rychłéj burzy znaki
Nie bacząc, śpieszył do swéj Hero,
A prąd i wtedy był już taki —
To mi obojga żal, Wenero!

Dziś skarlałego rodu dziecię,
Lubo nurt w maju przepłynęło...

Mdłe członki swe napręża przecie
I sądzi, że to wielkie dzieło.

On jednak — jak nam głoszą wieszcze —
Aby umizgać się do lubéj
Dążył... i Bóg wie na co jeszcze...
On dla miłości, ja dla chluby.

Komu łaskawszą dola była
Trudno w moralnym orzec sensie:
Mnie zawiódł kaprys... jego siła...
On zginął... a mnie febra trzęsie *).

Stanze do muzyki **).

Z cór piękności któraż w dziale
Ma podobny tobie czar...
Melodyjnie, jak wód fale,
Twój mi dzwoni słodki gwar;

---

*) W dniu 3 maja 1810 r., podczas gdy „Salfette“ (kapitan Bathurst) stała na kotwicy w cieśninie Dardanelskiéj, lejtenant tejże fregaty Ekenhead wraz z autorem niniejszego wiersza przepłynęli z europejskiego brzegu na azyatycki, ściśléj powiedziawszy z Sestos do Abydos. Cała przestrzeń od miejsca skąd odpłynęliśmy aż do miejsca wylądowania na przeciwnym brzegu, uwzględniając i to, że nas silny prąd znosił z prostéj linii, podług zdania osób, znajdujących się na pokładzie fregaty, stanowi przeszło cztery mile angielskie, podczas gdy w prostéj linii odległość ta jednéj mili nie przenosi. Siła prądu jest tak wielka, iż żadna łódź w prostym kierunku prześliznąć się nie może i wskutek tego jedni przebywają przestrzeń tę w 1 g. i 5 m., drudzy zaś w 1 g. i 10 m. Woda wskutek topnienia górskich śniegów była bardzo zimna. Już przed trzema tygodniami w kwietniu czyniliśmy próbę, że jednak tegoż ranka przebyliśmy konno całą przestrzeń od Troady, a woda lodowato zimną była, uważaliśmy za konieczne odłożyć to na późniéj, dopóki jeszcze fregata stać będzie na kotwicy pod zamkami. Jakoteż i przebyliśmy cieśninę w sposób wymieniony, przyczem odpłynęliśmy z miejsca położonego znacznie wyżéj od europejskiego fortu, wylądowaliśmy zaś o wiele niżéj od azyatyckiego. Chevalier twierdzi, że pewien młody żyd dla widywania się z ukochaną przestrzeń ową przepływał, Oliver powiada to samo o jednym Neapolitańczyku. Zresztą wielu majtków z „Salfetty“ przepływało większą przestrzeń; to jedno tylko dziwi mnie, iż gdy poczęto wątpić o prawdziwości wycieczki Leandra, żaden z podróżników nie starał się przekonać o możliwości uskutecznienia tego. *(Przypisek autora).*

**) Wiersz ten napisany został dla żony w czasie miodowych miesięcy.

Jakby morza toń uśpiła
Czarodziejska jego siła...
Senne fale błyszcząc gwarzą,
A uśpione wiatry marzą.

Księżyc snuje w nocną ciszę
Srebrną przędzę na wód tle,
Których łono się kołysze,
Jak pierś dziecka w lubym śnie;
Tak przed Tobą duch się chyli,
By Cię wielbić w każdéj chwili,
I z przejęciem słuchać tkliwie,
Jak szemrania fal w przypływie.

Stanze pisane na drodze pomiędzy Florencyą i Pizą.

Nie głoście mi imion wsławionych przez dzieje.
W młodości i sława zarazem jaśnieje...
A mirty i bluszcze na skroni młodzieńczéj
Są godne wawrzynu, co sławną skroń wieńczy.

Czem laur jest, gdy czoło zmarszczone oplecie?
To w rosie majowéj umarłe jest kwiecie...
Precz zatem z wawrzynem w sędziwych lat porze...
Cóż wart on, gdy sława dać więcéj nie może.

O Sławo! Jeżelim pił kiedy z Twéj czary,
To nie tak dla hucznéj Twych dźwięków fanfary,
Jak raczéj, by patrząc w toń drogich mi oczu,
Żem godzien miłości w ich czytać przezroczu.

Tam tylko mi Twoje płonęły promienie...
Najświetniéj z Twych blasków Jéj *) lśniło wejrzenie...
Gdy ono jaśniało w dnie życia łaskawe
Jam wtedy czuł razem i miłość i sławę **).

---

*) Poeta ma tu na myśli Teresę hr. Guicciolli.

**) O wierszu tym pisze Byron w swym pamiętniku, w Pizie dnia 6 listopada, 1821 r.

„Strofy te (z wyjątkiem czwartéj, dodanéj obecnie) napisałem przed paru dniami na drodze pomiędzy Florencyą i Pizą“.

(Przyp. tłom.)

Stanze napisane do indyjskiéj melodyi *).

Osamotnione ty moje wezgłowie!
Gdzie jest mój luby? O! gdzie jest mój luby?
Czym w śnie łódź jego widziała —dla zguby
Kędyś na morskie rzuconą pustkowie?

Osamotnione ty moje wezgłowie!
Tu gdzie on leżał, ja konam z tęsknoty...
Jakże jest długą ta noc bez pieszczoty!
Głowa opada... jam martwa w połowie!

Smutne ty moje, samotne wezgłowie!
Za te łez zdroje bezsennych mych nocy
Ześlij sny lube i dodaj mi mocy;
Póki nie wróci — zachowaj mi zdrowie!

Wtedy samotnem nie będziesz wezgłowie!
Niech go znów w uścisk obejmą ramiona
I niech się życie z rozkoszy dokona!
Serce samotne! — Samotne wezgłowie!

Epigram **).

Na zgromadzenie bronzowników, które postanowiło wręczyć adres królowéj Karolinie.

Bronzownicy zdaje się właśnie nad tém radzą,
Że adres w miedź odziani od siebie podadzą...
Gdzie lord Harry—cóż po tym zbytecznym mozole...
Nie jednego tam ujrzę o miedzianém czole!

---

*) Wiersz ten został napisany przez poetę na krótko przed wyjazdem do Grecyi i stanowi tekst do indyjskiéj melodyi: „Alla Malla Punca“, którą ze szczególnem upodobaniem śpiewała hr. Guiccioli. *(Przypisek tłómacza)*.

**) Podanie adresu przez brązowników było jednym z najkomiczniejszych epizodów w skandalicznym procesie rozwodowym królowéj Karoliny. *(Przypisek tłómacza)*.

Epigramaty na Castlereagh'a *).

O Castlereagh! — Tyś stał się patryotą.
Kato za kraj swój zginął, jak ty oto,
On zginął wprzód nim miał się Rzym zniesławić,
A tyś się zarznął, by kraj mógł się zbawić.

Więc Castlereagh się zarznął?... ach! dlaczego
On nierozpoczął od gardła swojego?

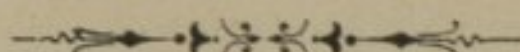
Więc on się zarznął przynajmniéj! On! Kto?
Ten co tak długo męczył ziemię swą.

Przełożył z angielskiego
Władysław Nawrocki.



*) Castlareagh — wyrodny Irlandczyk, sekretarz do spraw irlandzkich — do końca życia swego, a nawet i po samobójczéj śmierci był celem zgryźliwych epigramatów Byrona i Moore'a. (*Przypisek tłomacza*).

Arcydzieło neo-romantyzmu.



Edmond Rostand. „Cyrano de Bergerac", comédie héroïque en cinq actes en vers. 182-e mille. Paris, librairie Charpentier et Fasquelle, 1899, p. 225.

Pięcioaktowa komedya bohaterska wierszem, *Cyrano de Bergerac*, przedstawioną była po raz pierwszy w paryskim teatrze *de la Porte Saint-Martin* dnia 28 grudnia 1897 r., i od téj daty, w ciągu kilkunastu miesięcy nie schodziła prawie z afisza, „budząc zachwyt i uwielbienie widzów". Wydana w książce, „rozeszła się ona w olbrzymiéj, przez najpoczytniejsze powieści najpoczytniejszych autorów nieosiągniętéj liczbie — dwukroć stu tysięcy egzemplarzy"... Przytaczając te fakta, Włodzimierz Zagórski, jeden z pięciu tłomaczów „Cyrana" na język polski, mniema, że już sama ta statystyka świadczy o niepospolitéj wartości dzieła, albowiem — powiada — „jedynie tylko utwór znakomity i górujący nad całą literacką produkcyą chwili bieżącéj, przedewszystkiém zaś utwór, w którym społeczeństwo odczuje żywe tętno swojego ducha, a więc utwór posiadający wszelkie warunki arcydzieła, może osiągnąć powodzenie tak niezwykłe"...

Rozumowanie nie zupełnie jest ścisłém i przekonywającém. Historya literatury powszechnéj zna niemało zjawisk olbrzymiego doraźnego rozgłosu — bez trwałości dalszéj. Sławy szybkie szybko niekiedy przechodzą. W téj saméj chwili, kiedy Edmund Rostand

sprzedaje 200,000 egzemplarzy swego Cyrana, jego współrodak, Jerzy Ohnet, wydaje elukubracye powieściowe, rozchodzące się w 284,000 egzemplarzy, więc celniéj zapewne jeszcze trafia w żywe tętno ducha swoich współczesnych. Zdarzają się, i wcale nie rzadko — epoki tak wielkiego, tak głębokiego upadku pojęć i wyobrażeń, gustów, że wśród nich już nie tylko samopas puszczona kaczka prześcignie spętanego orła, lecz lada osioł dzielniéj i rozumniéj ryknie i bryknie od najwspanialszego lwa osadzonego w swém otoczeniu jak w klatce. Zagórski jest krytykiem zanadto wykształconym i doświadczonym, aby o tém nie wiedział; że zaś, obok tego, w danym wypadku, znakomicie się przyczynił wraz z Maryą Konopnicką, do uzyskania dla Cyrana nobilitacyi w piśmiennictwie naszém, tém samém przeto, udostępnił ogółowi polskiemu wniknięcie w istotną, wewnętrzną wartość komedyi Rostanda, niezależnie od mniéj lub więcéj szerokich i doniosłych jéj tryumfów zewnętrznych, najzwykléj przygodnych i jak wszelki bieżący stosunek idei do wymagań życia — zagadkowych, często nic zgoła nieokreślających.

Dzieło sztuki jest zawsze pewnym wyrównanym zlewkiem pierwiastków różnorodnych, — spiżem, który tém wymowniéj, tém dźwięczniéj do nas przemawia im aliaż w składowych swych częściach bogatszy, im skala tonów rozleglejsza, im ściśléj wiążą się one w całość harmonijną. Estetyczny ten ogólnik w bohaterskiéj komedyi Rostanda uplastycznia się nader obfitym zasobem owych zasadniczych, pierwiastkowych wiązanek, ale ich pełnia napięta stylowo, bardzo nieraz wysoko, nie do każdego ucha wpada doraźnie, nie w każdéj świadomości znajduje oddźwięk jasny, czysty, bezpośredni,—jak to spostrzedz możemy z zestawienia naczelnych motywów oryginału z odpowiedniemi ustępami czterech dotąd dokonanych przekładów polskich: Maryi Konopnickiéj i Włodzimierza Zagórskiego (Warszawa, nakład „Gazety Polskiéj”, tomów dwa, 1898), Bolesława Londyńskiego (Warszawa, 1898, w drukarni Karpińskiego), Maryi Chwalibóg (Warszawa, 1899, w drukarni Noskowskiego) i Jana Kasprowicza (Lwów, 1899, nakładem dyrekcyi teatru hr. Skarbka).

Komedya — a właściwiéj dramat Rostanda, trzyma się w swéj wyniosłéj, wielopiętrowéj a wiotkiéj budowie realnością środkowéj swéj kolumny. Realizm to niezaprzeczenie książkowy, autobiograficznie-historyczny, ale w naszych uksiążkowionych czasach wywierać on zaczyna wrażenie większe, niż wysnuty z postrzeżeń życia bieżącego, współczesnego. Bądź co bądź, dobry to omen, że pomimo psychologii wyjątkowéj, wyszukanéj, bohater główny, Cyrano, nie wyrosł z głowy autora: postać to rzeczywista, wydobyta

i oczyszczona z archiwalnego kurzu piśmiennictwa francuskiego, jak nas pouczają pp. dr. Juliusz Bandrowski i Ludwik Heller w przedmowie do przekładu Kasprowicza. Savinien de Cyrano, ze szlacheckiego gniazda Bergerac'ów w Gaskonii, urodzony 6 marca 1619 r., wychowywał się do lat 13-tu życia na wsi, następnie w Paryżu i już na ławach szkolnych, gdzie zawarł ścisłą przyjaźń z Henrykiem Lebret'em, późniejszym wydawcą jego dzieł, odznaczał się nieumiarkowaną popędliwością do walki i bijatyki, do szukania zaczepek i przygód niezwykłych. Mając lat 18, opuścił collegium i zaciągnął się do licznego pocztu uczniów popularnego w owéj dobie filozofa sensualisty Gassendiego, poprzednika Locka. Za przykładem i namową Lebret'a, wstąpił w roku 1638 do kompanii gwardyi królewskiéj, zostającéj pod dowództwem i w części na żołdzie kapitana Carbon de Castel-Jaloux. Tu się zaczyna zawód, którego przebieg faktyczny stanowi dosłowną niemal treść sztuki Rostanda. Charakterystykę zawadyackich tych „kadetów" gaskońskich skreślił autor w scenie siódméj aktu drugiego, słowami Cyrana, podczas prezentacyi kompanii hrabiemu de Guiche, wpływowemu kuzynowi wszechwładnego kardynała Richelieu: „To są kadeci z Gaskonii Karbona de Kastel Żalu! Najpierwsi do łgarstwa i broni, — to są kadeci z Gaskonii... Szlachectwo im bije ze skroni, choć w każdym łotrzyków jest dwu, — to są kadeci z Gaskonii Karbona de Kastel Żalu. Chód czapli, wzrok orli się płoni, a zęby wystarczą i lwu: gdy wgryzą się w podłość, już po niéj! Chód czapli, wzrok orli się płoni, czupryna jak grzywa u koni, choć kołpak, że rzucić go psu! Chód czapli, wzrok orli się płoni, a zęby wystarczą i lwu. Wal—pyski, Pruj — brzuchy, tak oni z krwawego mianują się chrztu. Ich dusze skąpane w chwał toni, — Wal-pyski, Pruj-brzuchy, — to oni! Gdzie drą się i tłuką, tam goni z nich każdy jak wściekły, bez tchu. Wal-pyski, Pruj-brzuchy, tak oni z krwawego mianują się chrztu. Oto kadeci z Gaskonii, co budzą rogali ze snu. Kobietko! któż ciebie obroni? — oto kadeci z Gaskonii! Mąż w zęby z zazdrości niech dzwoni, — hej grajcie, śpiewajcie: ku! ku! — oto kadeci z Gaskonii, co budzą rogali ze snu"... Przytoczyliśmy tłómaczenie Kasprowicza; ale i inni nie dali sobie w kaszę nadmuchać. Spójrzmy np. na waryant Zagórskiego (strofka druga): „Wzrok orli, czapli chód, lwie kłaki, wąs rysi, głód wilczego kłu! W puch walą podły gmin wszelaki — wzrok orli, czapli chód, lwie kłaki. Ich kapelusze to przetaki, lecz za to chód od dyabłów stu! Wzrok orli, czapli chód, lwie kłaki, wąs rysi, głód wilczego kłu!" Drugiéj téj i trzeciéj zwrotki nie powstydzi się też i Marya Chwalibóg: „Orle oko, chód bociani,

rysie wąsy, wilczy ząb; biada temu kto ich gani, orle oko, chód bociani. Czapka w dziury, pióro na niéj, — jeden w drugi chłopak-dąb: orle oko, chód bociani, rysie wąsy, wilczy ząb. Wal-po-trąbie, Płataj-brzuchy, tak się oni słodko zwą. Sławy wiecznie żądne duchy, Wal-po-trąbie, Płataj-brzuchy! Gdzie się tłuką, biją zuchy, tam kadeci lecą ćmą. Wal-po-trąbie, Płataj-brzuchy! — tak się oni słodko zwą"... Dla porównania weźmy wreszcie czwartą zwrotkę oryginału i w przekładzie Londyńskiego:

Voici les cadets de Gascogne
Qui font cocus tous les jaloux!
O femme, adorable carogne,
Voici les cadets de Gascogne!
Que le vieil epoux se renfrogne:
Sonnez, clairons! chantez coucous!
Voici les cadets de Gascogne
Qui font cocus tous les jaloux!

Gaskońscy to kadeci są,
Więc stary mężu, precz co tchu!
Choć żonka jędza, skuszą ją;
Gaskońscy to kadeci są!
Fujarki, piosnkę grajcie swą,
Kukułko śpiewaj im ku-ku!
Gaskońscy to rycerze są
Więc z drogi im precz, precz co tchu!

Wśród hulaszczéj i zabijackiéj téj zgrai Cyrano odgrywa sam jeden wszystkie role, jakie stary Dumas przypisał sławnym niegdyś swoim trzem muszkieterom. Bije się z całemi tłumami jak Podbipięta Sienkiewicza, żga rożenkiem jak Wołodyjowski, prawi słodkie lub moralizatorskie słówka, o jakich się nie zamarzyło Skrzetuskiemu, a jest dowcipnym, jak u nas będą dopiero może praprawnuki Zagłoby, gdy grubą, kuchenną sól staropolskiego animuszu przetłuką na miałki, subtelny pyłek krasomówstwa ateńskiego i blagi paryskiéj... Niewielki dobrze namalowany portrecik francuskiego tego królika szermierki ręcznéj i językowéj, najskładniéj za autorem powtórzyła, z pierwszéj sceny pierwszego aktu, Marya Chwalibóg: „Za wzór go nie obierze, to rzecz niezawodna, muza pana de Champagne, poważna, łagodna: dziwaczny, nadzwyczajny, zuchwały, uparty, fantastyczny, gwałtowny, dziwne stroi żarty; ale byłaby z niego wielce ryba gruba dla nieboszczyka pana de Callot Jakóba, z którego pracowni nie wyszedł warchoł tak szalony: pióropusz ma potrojony, a płaszcz podniesiony z tyłu szpikulcem szpady jak ogon koguta,

kaftan o sześciu połach, — przytem taka buta, że wszystkich tych zuchwalców, których Gaskonia matka od wiek wieków rodzi, — on o sążeń przechodzi. Głowę otacza kryza, a na twarzy przedzie wiedzie on nos przed sobą... ach, jaki nos wiedzie. O, kto spotka takiego nosa nosiciela, ten musi wydać okrzyk: „panie, to zawiele!" — a potem: „on go zdejmie niebawem!" — Tak, ale pan de Bergerac nosa nie zdejmuje wcale"... Ten nos bergeracowski jest również autentycznie historycznym, przynajmniéj tak zapewniają pp. Juliusz Bandrowski i Ludwik Heller, on był sprawcą niemal wszystkich awantur prawdziwego Cyrana, on jest najwalniejszą dźwignią i najmocniejszą sprężyną nieskończenie ruchliwéj akcyi w dramacie Rostanda. Za ułomnością fizyczną szła w Cyranie pewna, — jak na jego czasy za rzadka, zbytnio wygórowana nadczuła wrażliwość obyczajowo-moralna. Ten rubacha i rębajło, siejący jak z rękawa rymowane policzki, stawał się tkliwym, nieśmiałym, delikatnym, bojaźliwym idealistą platonikiem wobec płci słabéj, pięknéj. Nos poskramiał krewkość jego temperamentu w sprawach galanteryi powszedniéj, — natomiast wzniecał burze nieukrócone, zawzięte, ilekroć ktokolwiek z męzkiéj połowy rodzaju ludzkiego zawadził o tę niewinną narość na twarzy — zupełnie naturalną i nawet pospolitą zapewne jak na Gaskonię i południowy jéj klimat, lecz cokolwiek być może za pokaźną i poważną w Paryżu i w północnéj Francyi. Wówczas Bergerac'a do żywego bodły nie tylko umyślne do jego nosa przytyki, lecz nawet mimowolne w t ę s t r o n ę spojrzenia przeciwników. Zapalał się wraz jak proch, wygłaszał szorstkie admonicye ofiarom swym, skazanym bądź na śmierć, bądź na ciosy tylko— i zaraz brał się do operacyi. „Płazie, płaskołbie, ścinku niedołężny!— (woła np. do pacholika, który w teatrze zagadnął go ni w pięć ni w dziewięć) — wiedz, że się szczycę wypukłością taką! Wielki nos bowiem, czémże jest? — oznaką serca, dobroci, grzeczności, słodyczy, swobody, męstwa, — a dziczy równie hultajskiéj jak ty — nie przystoi... Próżno dłoń moja na téj pyzie twojéj (uderza go w twarz) rada znaleźć polot, okazałość, liryzm, kunszt, iskrę i nos — jako całość... (Odwraca go tyłem i zarządza wspaniałe kopnięcie nogą)... Ciesz się, że but mój coś z ciebie o c h a p i e... (Pacholik zmyka, wołając: „ratunku, ludzie!" — a Bergerac zwraca się do tłumu): — Dowiedźcież się, gapie, że ktobądź dworuje ze środka méj twarzy, jeżeli szlachcic to wnet go oparzy — zanim w sromocie zapragnie dać nura — z przodu i wyżéj, — ż e l a z o n i e s k ó r a"... (według tłómaczenia B. Londyńskiego).

Ma się rozumieć — na nosie i na szabli zadzierzga się też główny supeł intrygi. Na przedstawieniu, zerwaném przez Cyrana z powodu urazy do głównego aktora trupy królewskiéj Jakóba Montfleury (i ten także szczegół — historyczny), znajduje się hrabia de Guiche i jego dworzanin wice-hrabia de Valvert, za którego w nieskromnych widokach osobistych de Guiche pragnie wydać przepiękną Roksanę, kuzynkę Bergerac'a, przedmiot kryjomych jego zachwytów, niebotycznych westchnień, poetyckich metafor. Podniecony przez Guicha, Valvert zbliża się do Bergerac'a i mówi mu wprost, bez ogródki i zachodu: — „Waść masz nos wielki... bardzo wielki"... — „Ścisłyś, młokosie, — odpiera Bergerac — możnaby podać rzecz w obfitszym sosie" — i po wygłoszeniu cyklopio-pracowitéj, rozpaczliwie długiéj i uciążliwéj tyrady na temat, w jakichby to barwach należało mówić o nosie, — 1) zaczepnie, 2) przyjaźnie, 3) malowniczo, 4) ze zdumieniem, 5) wdzięcznie, 6) drażliwie, 7) ostrzegawczo, 8) czule, 9) uczenie, 10) roztropnie, 11) przesadnie, 12) tragicznie, 13) z uznaniem, 14) z podziwem, 15) lirycznie, 16) po wiejsku, 17) po wojskowemu, 18) praktycznie, 19) klasycznie...—Bergerac zniewala w końcu Valverta do wydobycia szpady. Że zaś, jak wiemy, Cyrano nasz garbuje skórę i płata figle nie gorzéj od obecnego przy zajściu d'Artagnana i bawiącego chwilowo na Litwie Kmicica razem wziętych, jednocześnie zaś szafuje końcówkami chyżéj, niż kiedykolwiek Dumas lub Sienkiewicz szafowali prozą, — przeto z góry zapowiada Valvertowi, w co go naniże na swój rożenek, i kiedy mianowicie, co do sekundy, cios śmiertelny mu zada. Dla obu celów służy zaimprowizowana ballada, którą Bergerac wygłasza do wtóru z gestami, cięciami i obrotami rozpoczynającego się pojedynku. Kunsztowne, lilipucie to cacko poetyckie przetłumaczone zostało na wszystkie żyjące języki i znane jest dziś na całéj powierzchni kuli ziemskiéj; nie weźmie przeto czytelnik za złe, gdy je w pięciu chociaż tylko odmiankach przepiszemy dla „Ateneum".

Wł. Zagórski: „Pełnym wdzięku ruchem dłoni rzucam moje w kąt manatki, i płaszcz zwlekam, co mię słoni, i... dobywam mojéj szpadki. Grzeczny, lekki, zwinny, gładki, trwam, mój Aść, przy słowach mych, że przy końcu méj balladki tym szpikulcem dam ci sztych! Sam bies aści nie ochroni, choć mam kłopot iście rzadki, jaki cel wziąć dla méj broni: brzuch, czy serce téj dzierlatki?... Sieje broń ma skrawe płatki, niby roje muszek pstrych, ach tak! — z końcem méj balladki w brzuszek dam Waszmości sztych. Tu mi rymu brak na oni; waść pobladłeś jak opłatki, bym mógł rzec: ha, w piętkę goni!... Czach!... odbiłem sztych w przysiadki, i rznę młyńca

wprost z paradki, gładko, równo jak pod sztrych!... Czuj duch! idzie kres balladki, a przy końcu będzie sztych!... Módl się waszeć!... Idą jatki, za spełniony żałuj grzech; prima!... tercya!... kres balladki... Tusz!... Mówiłem, będzie sztych"... Bol. Londyński: „Z wdziękiem pilśń odrzucam precz, teraz zdjąwszy płaszcz powoli, jako tu zbyteczną rzecz, ciągnę szpadkę, starciu gwoli, w Scaramuccia skocznéj roli, jak Celadon staję w słup... Mirmidonku, strzeż swéj doli, bo w przesłance będzie trup! Trusią byłeś, teraz skrzecz! Gdzie szpikować wskaż mi koléj, czy pod pasek wtłoczyć miecz, czy jendorek w serce woli? Mój cios — muszka, nie zaboli... Szpadki grają: ciup, ciup, ciup! To głos dzwonu, on wyzwoli, bo w przesłance będzie trup! Cóż, że rymu brak na e c z! — bielszym jesteś waść od soli. Tchórzu! musisz runąć wstecz. Gdzie twój spryt, gdzie mózgu oléj? Pilnuj szpady, werwy doléj! Wiatrak, kwinta — szkoda prób! Larydona mgła okoli, ciach! — w przesłance będzie trup! Módl się, giniesz mimowoli! Nogi w kwartę, siły skup!... Z grobem podstęp cię zespoli... Tu cię mam! — W przesłance trup!" Jan Kasprowicz: „Z gracyą zrywam pilśń z mych skroni i powoli płaszcz ten złożę, który ciało moje słoni. Dobyć szpady się nie trwożę! Nic ci tu już nie pomoże, karłowaty mój rarogu! Zwinny, zręczny w każdéj porze, ja-ć dogodzę w epilogu... Pocoś ciekaw mojéj broni? Gdzież cię nadziać mój jędorze? W bok cię zmacać, aż zadzwoni moja stalka w tym ferworze? Lub pod wstęgę, w serce może? Wiem już, wiem już — dzięki Bogu! Patrz jak macham!... brzuch otworzę, dogadzając w epilogu. Tu mi rymu brak na o n i... Zbladło twoje liczko hoże, bym mógł rzec, iż tchórz przegoni twą odwagę... Na złym-ś torze: z parowaniem się nie dożę — brzęk! i jesteś w kozim rogu! Trzymaj pręcik swój, potworze, boć dogodzę w epilogu! „Panie w niebie, ja ć się korzę," — tak się skrusz u Jego progu... Kwarta!... finta!...—Masz, nieboże!... Dogodziłem w epilogu". Marya Chwalibóg: „Wionął mi kapelusz z czoła, gładko płynie wiersz ballady i płaszcz zsunął się dokoła, więc dobywam mojéj szpady, grzeczny, zwinny, pełen swady. Dowiedz się, mój dudku-wrogu, któryś ze mną szukał zwady, że cię zmacam w epilogu. Po co wtykać palce w koła? — teraz nie ma na to rady, że cię moja szpada goła naszpikuje do nasady. Wstęgi, taśmy i zakłady na twem sercu, mój rarogu? — by ukarać twe brawady, w brzuch cię trafię w epilogu... W tem mi przepadł rym na o ł a, aleś ty jak płótno blady, bym mógł rzec, że tchórz dokoła cię obleciał, — szepcąc rady... Brzęk! paruję twoje zdrady, gdy już jesteś w kozim rogu. Wzywaj Marsa lub Pallady, lecz cię zmacam w epilogu... Idzie chwila twéj zagłady, mości

panie, zleć się Bogu! Finta, sztyszek dla parady... Tusz!... Ot koniec epilogu!" Edmund Rostand: „Je jette avec grâce mon feutre, je fais lentement l'abandon du grand manteau qui me calfeutre, et je tire mon espedan; elégant comme Céladon, agile comme Scaramouche, je vous préviens, cher Mirmydon, qu'à la fin de l'envoi je touche. Vous auriez bien dû rester neutre; où vais-je vous larder, dindon?... — dans le flanc, sous votre maheutre? au coeur, sous votre bleu cordon?... — Les coquilles tintent, ding-don! — ma pointe voltige: une mouche! Décidément... c'est au bedon, qu'à la fin de l'envoi, je touche. Il me manque une rime en eutre... Vous rompez, plus blanc qu'amidon? C'est pour me fournir le mot pleutre! — Tac! je pare la pointe dont vous espériez me faire don;—j'ouvre la ligne,— je la bouche... Tiens bien ta broche, Laridon! A la fin de l'envoi, je touche. Prince, demande à Dieu pardon! Je quarte du pied, j'escarmouche, je coupe, je feinte... Hé! là donc... à la fin de l'envoi, je touche".

Przepięknie, przewytwornie. Wszelakoż, nie warto byłoby brudzić stalki w kałamarzu, gdyby wszystkie takie wysilenia ozdobniczo-złotnicze, rzeźbiarskie, koronkarskie, zacierające granice między sztuką a sztuczką i sztucznością, wytrzaskać się i wybłyskać miały na owe eleganckie ciup-ciup-ciup i ciach-ciach-ciach pięści, klingi lub fantazyi. Bizantynizm nie przestaje wprawdzie być bizantynizmem, czy wyhaftujesz na jego krosienkach chustkę do nosa, podwiązkę, chorągiew bojową lub ornat; wyznajemy jednak, że u Rostanda wolimy ornat, niż chustkę. Tymczasem, oto jest jeszcze akt trzeci: pocałunek Roksany. Otrzymuje go, — ów pocałunek, czyli, według boskiego przekładu Konopnickiéj, ów

maleńki ust zadatek na serca rachunek,
punkt różowy po słowie kocham postawiony,
sekret luby nie uchu lecz ustom zwierzony;
moment wieczności, który brzęczy niby pszczoła,
komunia lilii białéj z ust wzięta anioła,
sposób, by dyszeć chwilkę słodką serca wonią,
i pokosztować duszy z warg, co ci się kłonią —

otrzymuje ten pocałunek najmłodszy z kadetów gaskońskich, Chrystyan de Neuvillette, którego, na prośbę Roksany, Cyrano bierze pod swoją protekcyę, pisuje za niego, w jego imieniu i na jego dobro miłosne listy do kochanki, w chwili zaś stanowczéj, gdy przychodzi do deklaracyi ustnéj, chowa się w cieniach nocy pod balkonem ukochanéj kochanki i z po za pleców Chrystyana, wciąż za niego i dla niego składa wyznanie miłości,—rozkoszne sam na sam,—powiadając do siebie, na

odgłos „maleńkiego ust zadatku", spływającego z balkonu: „Aj, jak w sercu kole! Otom Łazarz zgłodniały przy bogacza stole... Lecz i mnie okruszyna z stołu tego spada... Tak... I Łazarz w téj uczcie cząstkę swą posiada, — bo wszak na jego ustach Roksana całuje moje słowa, moją duszę... Ja to wiem... ja czuję"... Spieszymy dodać, dla osłodzenia goryczy wszelkich na świecie nochalów, mańkutów, kulasów, garbusków, ślepych Pawłów i głuchych Gawłów, że bez porównania większa jeszcze okruszyna spadła... na czoło Cyrana w kilkanaście lat późniéj, kiedy już Chrystyan de Neuvillette zginął na wojnie, pod Arras, unosząc z sobą jedynie pomieniony przed chwilą „zadatek" (chociaż historycznego dowodu na to nie ma, misterna zaś kombinacya Rostanda o efektach wodewilowych nie składa przekonywającéj pod téj względem rękojmi), — kiedy Roksanie, pędzącéj żywot klasztorny, jeszcze nie stary i po dawnemu jary pan Bergerac przynosił co tydzień, o jednéj najregularniéj dnia porze, wieści ze świata, ze stolicy, ze dworu królewskiego, jak to „dziewiętnastego, w sobotę, król objedzion zbytnio powidłami, dostał gorączki; dwoma lancetu cięciami uśmierzono ją przecież, i chociaż źle z głową, najjaśniejszy puls znowu bije prawidłowo; u królowéj na balu, spalono w niedzielę siedmset sześćdziesiąt cztery pochodnie; don-Juan austryacki pobity nareszcie, czterech czarnoksiężników powieszono w mieście, pieskowi pani d'Athis lewatywę dano... — we środę hrabiemu de Fiesque powiedziała zmienna Monglat: nie; czwartek, bal u kardynała, młody król do północy brał udział w zabawie, — piękna Mancini Francyi królową, lub prawie; w piątek znowu: tak— rzekła Monglat do hrabiego; a w sobotę"... (tłóm. Zagórskiego).

Co się stało w ostatnią sobotę, opiewają to nam, na podstawie świadectw historycznych, pp. dr. Juliusz Bandrowski i Ludwik Heller. Nie tyle wskutek nadwątlonego zdrowia i ciężkiéj rany, otrzymanéj pod Arras, ile z zamiłowania do nauk, porzucił Cyrano tak chlubnie rozpoczętą karyerę wojskową. Nie zmniejszyło to jednak jego niepowściągliwéj żądzy walki, którą teraz przeniósł głównie na pole stosunków literacko-towarzyskich. Codzień prawie miał jakiś pojedynek, a jeśli liczba zatargów zwolna się zmniejszała, to nie tyle z jego przyczyny, jak raczéj z powodu coraz mniejszéj liczby przeciwników, których na wodzy trzymała jego sława jako nieustraszonego i niezwyciężonego... Z pomocą nieustannych studyów i różnorodnéj działalności autorskiéj zdobył obszerną i gruntowną wiedzę, szczególniéj w zakresie filozofii i nauk przyrodniczych. Poetą-publicystą czyniła go żywa, silna, śmiała, czasami dzika jego wyobraźnia. Nie mógł dla niéj znaleźć dość wyrazu w szczególnych pomy-

słach, wyskokach myśli, jako też w dziwacznych obrazach i porównaniach. Jednakże, rzutka, odważna myśl i bezwzględna miłość prawdy wieje ze wszystkiego co pisał... Mimo ubóstwa, w czasie gdy każdy trzymał się tylko klamki pańskiéj, nie brakło mu przyjaciół, którzy nad nim czuwali, — nie brakło i współczucia, „szczególniéj ze strony jego pięknéj krewnéj Magdaleny Robineau, baronowéj z Neuvillette (Roksany), która po bohaterskim zgonie swego męża (Chrystyana), przyoblekła szaty zakonne". Ale nie brakło też panu Bergerac'owi i wrogów zawistnych... „Pewnego dnia, gdy wracał do domu, przypadkiem czy też umyślnie rzucona, spadła mu na głowę ciężka kłoda; odniósł wskutek tego śmiertelną ranę, któréj już uledz musiał"... Było to późną jesienią 1665 r., w sobotę...

W sobotę, jak zwykle, czekano w klasztorze na przybycie Cyrana i jego „gazetki"... Słychać zegar bijący godzinę. Roksana czémprędzéj zasiada w parku klasztornym do krosienek, na które, zmieszana, spuszcza swe oczy: ni razu jeszcze od zgonu męża nie podniosła ich na Cyrana. Jesień. Dużo cienia wśród wspaniałych alei i chodników, wijących się dokoła kaplicy, widniejącéj z pośród gałęzi. Wszystkie krzewy, po nad świeżymi zielonymi trawnikami, są poczerwieniałe. Ciemne plamy bukszpanów i cisów mocno odbijają na tle grubego kobierca zżółkłych pod niemi liści, do połowy zaścielają taras i ławki... Streszczamy tu daléj Kasprowicza:

Roksana (sama) Gdzież moje motki?... Wybiła godzina... A!... jakto?... więc mój przyjaciel spóźniać się zaczyna?... To mu się nie zdarza... Eh, snadź siostra-furtyana... gdzież znowu ten naparstek?... z nim się przekomarza... Tak z pewnością! — on przecież spóźnić się nie może... liść zwiędły?... (strąca palcami liść spadły na krosna). Zresztą... a gdzież są, ach mój Boże, nożyczki?... prawda, w worku... Lecz, czyliżby miano rzeczywiście mu przeszkodzić?... A?... *Jedna z sióstr* (zjawiając się na tarasie): Pan Cyrano! (Ukazuje się Cyrano, bardzo blady, w kapeluszu głęboko naciśniętym na czoło i po odejściu siostry, która go przyprowadziła, zaczyna schodzić z tarasu, powoli, z widoczném wysileniem, aby się utrzymać prosto, opierając się na lasce). *Roksana* (haftując daléj, do siebie) O czémże to mówiłam?... Te zblakłe kolory! — jakby je tu odświeżyć? — Stare, piękne wzory!... (zwraca się do Cyrana, w tonie przyjacielskiéj wymówki)...

Tak jest, — powiedzmy to nareszcie od siebie — tak jest, tym razem to co innego. Rozmowy te przedśmiertne Cyrana z Roksaną, te zakonnice, milknące z przerażenia na widok nadludzko stłumionych bólów śmierci i kochania, ten list Chrystyana z kroplami krwi i łez, od

lat tylu noszony na wdowiéj piersi kobiety i do odczytania dany wielbicielowi-poecie, dopiero gdy dogorywa; czytanie to, wśród coraz gęściéj sypiących się liści jesiennych i zapadającego nocnego mroku,— na głos: „Roksano, bądź zdrowa, mnie umrzeć sądzono — dziś, pod wieczór zapewne, a choć niewysłowioną miłością wzbiera serce rzewne, ja umrzeć muszę, i nigdy już, nigdy z upojenia od twych słów, skinień, uśmiechów, słodkiego wejrzenia, co w błękit niosą zachwyconą duszę, całować cię nie będę pragnienia oczyma, które drżąc i płonąc w twoich, płaczą gdy cię niema"; te zmartwychwstające nad krawędzią grobu wspomnienia zatajonych tęsknot, zaginionych snów, ta w ciemnościach świtająca świadomość przeznaczeń złamanych niepowrotnie, ten okrzyk zbudzonego z letargu niewieściego przeczucia, które naraz widzi, czyja krew naprawdę, łza czyja spoczęła na zbutwiałym liście, to omdlałe, gasnącym wargom odmawiające posłuszeństwa zaparcie się jego: „łza moja, krew Chrystyana",— tak zaiste, niewątpliwie, to już zupełnie tym razem co innego. Obecnie to już nie piramida tryoletów z ciastek lub podsłonecznych kopnięć nogą, — to rzetelny poemat nieśmiertelnych wzlotów ludzkiego ducha ku przyszłości, która teraz, w epilogu, przy zamknięciu obrachunków Cyrana z życiem, w tym jego ostatnim pojedynku z wrogiem „płaskonosym" — z widmem nadchodzącéj śmierci i jéj wiernych ziemskich służek, pochlebstwa, przeniewierstwa, podłości, zdrady, — sieje istotnie szekspirowskie, — archanielskie niemal błyski: — „Zdaje mi się, że spoziera... że z ukosa na mój nos... śmie patrzeć, ta: beznosa! (Dobywa szpady). Co po-wia-dasz?... — że bez celu?... że mój kres już teraz blizki?... żeś nie sama, że was wielu?...— Phi, gościniec ten mój ślizki znam od dziecka. Nic nie wskóra tu zdradziecka z losem zgoda... Tyłu nigdy duch nie poda! Tem wspanialsza wyjścia brama, że nadzieja w niéj zamiera!... (Tnie). Masz podstępie — to za chamstwo!... Masz przesądzie — to za zyski!... A? i ty tu, stare kłamstwo?... twój, obłudo, wzrok padalczy? (tnie).. twoja, nędzo, twarz ponura?.. twój, głupoto, pokłon nizki?... (słania się). — Nie! nie ginie świat gdy walczy! (pada)"...

Co za szkoda, że jeden, choćby stropowy słup, gmachu nie tworzy, ani szczyt, choćby najwyżéj podniebny, za pełne i całe arcydzieło nie starczy! Może zresztą sama ta wyniosłość stropów i dachu w utworze Rostanda narzuca nam złudne wrażenie, jakoby podwaliny w komedyi téj czy w tym dramacie wspierały się na figlarnych podpórkach z młynków, które Cyrano dla parady zadaje innym, i z prztyczków, które sam, przy pierwszéj znajomości otrzymuje od Chrystyana, — i jak gdyby zamiast ścian były tu tylko karmelkowo

rymowane rusztowania, — gatunek muru pruskiego, wypchanego jedwabnemi słówkami bilecików miłosnych, splecionemi po offenbachowsku obchodami zaślubin małżeńskich, lub przepisami z „kucharki litewskiéj": jak się w gospodzie poetów robią liry z konfitur i kremy mazgajskie (w tłómaczeniu B. Londyńskiego):

Ubij kilka w swą kopiankę
Jaj na piankę,
Zaś do pianki téj
Cytrowy sok wolniusienieczko
Wléj,
I słodkie migdałowe mleczko.

Ciasta zwykłych bab kawałek
Weź pod wałek
I na cząstki krusz,
Zaś brzeżki ich ostrożnie wielce
Złóż...

Oczywiście — na widelce. Potrzebne to wszystko — powiadają nam — dla zaznaczenia znamiennych rysów XVII stulecia. Ale kto tam, gdzie i kiedy słyszał u nas o tym XVII wieku we Francyi. W gzemsach dekoracyjnych, w giętych i łamanych *à la rococo* liniach ornamentyki utworu, jużcić czuje się niejaka różnica z romantyką głośnéj niegdyś w ciągu kwartału „Córki Rolanda" i rozchwytywanego przez jeden sezon zimowy „Człowieka, który się śmieje". Kilka esów i floresów, rozwieszonych dokoła postaci Cyrana, zdają się nieźle trzymać jego koguciego płaszczyka, ale i to jedynie dla tego, że część ich spora wysnutą została z jego podmiotowości, z jego jaźwi i forsownie uprzedmiotowiona, ba! — uscenizowana nawet. Pomysł może szczęśliwy, ale wykonanie doszczętnie niekiedy chybione. Cyrano np. miał pisać, czy też napisał, między innemi, „Podróż na księżyc". Gdyby Rostand z pustego tego kapelusza chciał był wyciągnąć wstążkę, no, to jeszcze; ale wywlec kropidło, kapucyna, kościół, morze, niedzwiedzicę wielką... — nie, to przechodzi nawet p. Rybki siły. Idzie o to, aby hrabiemu de Guiche zagrodzić drogę do mieszkania Roksany w czasie obrzędu zaręczyn jéj czy téż ślubu z Chrystyanem, a wpuścić go akurat wtedy i po to, aby s k u t k o m ceremonii w porę zapobiedz. Autor każe swemu bohaterowi wskakiwać na drzewo przed pałacykiem uroczéj kuzynki—i w chwili nadejścia de Guiche'a spadać przed nim plackiem na ziemię, u progu. Poczém, dla zabawienia natrętnego gościa, Cyrano urządza gadanie o tém, jak z księżyca runął — i jak się wpierw dostał był na księżyc. Jest sześć — na to drugie — sposobów. *Primo*, „mogę nagi,

jak turecki święty, uzbroiwszy się w flaszki pełne srebrnéj rosy, którą w majowy ranek spłakały niebiosy, wyjść na żar słońca, iżby potężną swą siłą ssąc rosę i mnie z rosą wessało, wypiło... *Secundo*, mogę — mechanik tęgi, jak się patrzy — grzbiet szarańczy, o cynglach ze stali, dosiadłszy, strzał po strzale z saletry dając, użyć jazdy po tych błękitnych błoniach, gdzie się pasą gwiazdy... *Tertio*, i z dymem mogę, co rwie się do góry, zamknąwszy go w glob mocny, zerwać się pod chmury"... Dzięki potędze odtwórczego talentu Konopnickiéj daje się to czytać — i z przyjemnością. Ale trzebaby połknąć całego Michelet'a wraz z olbrzymią jego „Historyą Francyi", ażeby się dowiedzieć, czy mógł być kiedykolwiek nad Sekwaną — już nie książe krwi królewskiéj, lecz prosty tragarz, co by się dał wziąć komu na takie bajanie, na taki kawał.

Bezwątpienia, wyjątek reguły nie stanowi. Są w sztuce Rostanda godniejsze, poważniejsze wzory objektywizacyi estetycznéj i psychologicznéj. W obrębie sposobów elementarno-illustracyjnych, wcale niepoślednie miejsce zajmuje u niego nuta lokalnego patryotyzmu francuskiego, ujętego w dziejowe ramy okresu, który do niedawna jeszcze nie cieszył się bynajmniéj sympatyą publiczności europejskiéj. Jak wiadomo, pogodzono się nieco z wiekiem XVII u nas i na Zachodzie dopiero w ostatnich czasach, odkiedy, w następstwie kilku prac specyalnych, przekonano się dowodniéj, że epoka owa, frondystowska nie w jednym tylko, wstecznym sensie, była, obok tego, jakby zaraniem, jakby zawcześną, przedzimową orką dla zasad i kierunków, których rozkwit i plon pierwszy tak wybujał późniéj, w wielkim przełomie z końca wieku XVIII. Owionęło i Cyrana parę ziarnek z téj siejby przednówkowéj. Nie wielki z nich jednak dla nas pożytek. Warunki etnograficzne i cywilizacyjne, odmienne nieco we Francyi, niż gdzieindziéj, tudzież skutki polityczne, zupełnie, inne w ojczyźnie Bergerac'a niźli w ojczyźnie np. Zagłoby, sprawiły, że o ile na punkcie owego kolorytu lokalnego, raz po raz w utworze Rostanda występującego na wierzch soczystemi plamkami archaizmów, Francuz słusznie utrzymywać może, że w nowem dziele pozyskał pełen blasków okaz realizmu historycznego, o tyle znowu dla nas, dla postronnych, blaski te wszystkie dziwnie jakoś zdają się maleć i zasępiać obcością szarą, niepoddającą się najmisterniejszéj próbie przyswojenia. Ten, co przygody Cyrana przebiega lotnym wzrokiem, myślą, ominie szkopuł, przeinaczy to i owo i z pomocą współczującéj wyobraźni, w duszy resztę dośpiewa; ale najsprawniejsza dykcya artystyczna, utknie chyba z niemocy na deskach teatral-

nych w takich nawet prześlicznych miejscach, jak scena aktu czwartego, gdzie Cyrano, ku pociesze i pokrzepieniu towarzyszów broni, umierających z głodu pod Arras, każe staremu lutniście grać dla nich melodye ojczyste, langwedockie, i woła (w języku Kasprowicza), wskazując na grajka:

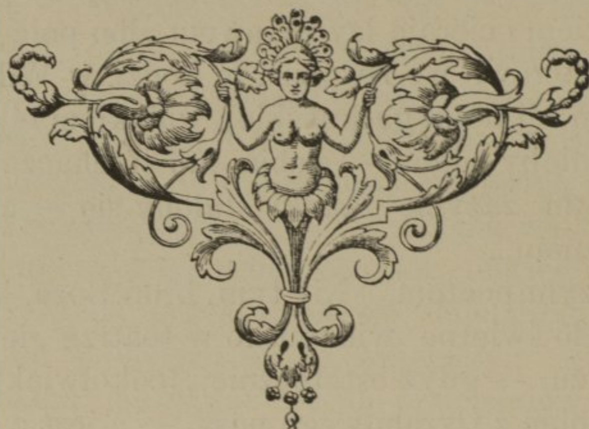
Słuchajcie, Gaskończycy! to nie gwizd bojowy
Wytryska mu z pod palców, to fletnia dąbrowy.
To nie jest poświst walki. To łagodny, świeży
Odgłos prostéj fujarki tych naszych pasterzy.
Słuchajcie! to doliny, stepy, las, zagony,
Pastuszek ogorzały w czapeczce czerwonéj.
To łąki, które wodą swą Dordonia zrasza —
Słuchajcie Gaskończycy, to Gaskonia nasza.

Libretto zaznacza w tem miejscu, że wszyscy pochylili głowy, wszyscy ukradkiem ocierają łzy rękawem albo połą płaszcza. Konia z chomontem aktorowi we Lwowie, w Łodzi, w Wilnie lub Warszawie, co odgłosem téj fletni gaskońskiéj, widokiem téj czapeczki czerwonéj, rozrzewnićby zdołał — siebie lub słuchacza — choć do stopnia, przy którym zażycie tabaki stałoby się — albo potrzebnem, albo też zbytecznem...

Łatka naszym poetom. Nie tym, broń Boże, których nieco za tłumnie ściągnęło świetne widowisko w teatrze de la Porte-Saint-Martin w Paryżu, — gdyż ostatecznie, (cokolwiekby głupi krytyk wydłubał tam sobie z Cyranowego nosa, — a jest z czego! — utwór Rostanda nie przestanie być dziełem wykwintném, w dobrym smaku i wpływowém, jako od początku do końca utrzymane na stosunkowo wysokim poziomie utalentowanych, a uczciwie pojętych zadań i obowiązków pisarza, myśliciela, przewodnika swojego społeczeństwa. Przestroga dotyczy pozostałych — i tych *à venir*. Bo czyliż dziś trzeba perswadować swoim, że z wyjątkiem twórczości i mitologii ludowéj, gminnéj, zawierającéj w sobie skarby stwardniałych, skrystalizowanych, kopalnych wzruszeń i rzutów ducha człowieczego w zaświat — to jest, względnie do stacyi wyjścia, w stronę przyszłości; tudzież, z wyjątkiem takichże, ale już na tegoczesną modłę skoncentrowanych w sobie prądów myśli, uczucia, woli i wyobraźni, — prądów zagarniających i utowarzyszających całą rodzinę ludzką ku skierowaniu, wspólnemi usiłowaniami, wspólnym geniuszem, niemych we wszechświecie, ciemnych, bezdusznych potęg przyrody fizycznéj na drogi upragnionych, uprawnionych i uświadomionych dążności do ładu, prawdy, sprawiedliwości i powszechnie a nieśmier-

telnie trwałego szczęścia, — z wyjątkiem, powiadamy, tych dwu dziedzin, poezya polska, — po Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim, po Goszczyńskim, Zaleskim, Lenartowiczu, Syrokomli, Ujejskim, Asnyku — u żadnych postronnych i efemerycznych źródeł natchnienia zapożyczać się nie potrzebuje — i być może — nie powinna.

Kazimierz Włostowski.



Unia kobiet chrześciańskich

w Anglii.

Czy dobroczynność jest znamieniem mądrości społecznéj, stanowi to jedną z kwestyi spornych, zaprzątających umysły socyologów, kwestyą zyskującą na doniosłości w miarę, jak ludzkość rozrasta się i ciasno się robi w staréj Europie, jak warunki bytu stają się trudniejsze, walka o chléb powszedni sroższą, jak tysiączne zakłady dobroczynności obarczają ogół niemałym ciężarem. Podnoszą się głosy, wśród których najgłośniéj grzmi apostół skrajnego indywidualizmu, .Nietzsche, prorokujące zgubne następstwa systematycznéj i rozgałęzionéj dobroczynności. Wszelako społeczeństwa rozstrzygnęły tę kwestyę zgodnie z duchem chrystyanizmu, a przedewszystkiém zgodnie z przyrodzonym, humanitarnym popędem, który nie pozwala człowiekowi zamknąć oczu na niedolę bliźniego, odwrócić się obojętnie od nieszczęścia, które może dotknąć jego samego I niby jak prostaczek, zapychający szpary lepianki swéj chrustem i gliną, ludzkość poczyna sobie z gmachami społecznemi, głucha na wywody teoretyków, którzy muszą mozolnie zaszczepiać swe poglądy w organizm społeczny, oddziaływać silnie na umysł zbiorowy i wywalczać dla swych dogmatów prawa obywatelskie.

We wszystkich zbiorowiskach cywilizowanych panuje wiara w zbawienny skutek zorganizowanéj dobroczynności, lubo nikt bodaj nie łudzi się, aby jałmużna była radykalnym środkiem leczniczym na pauperyzm. I z tego źródła wiary wyłaniały się coraz to nowe i inne instytucye i towarzystwa, częścią upaństwowiane, częścią spoczywające wprost na barkach ogółu tak, iż dzisiaj jesteśmy świadkami ogromnego wzrostu takich związków i już samo wyszczególnienie kategoryi, na jakie rozpadają się, zajęło-by kilka stronnic.

Zanim jeszcze człowiek przyjdzie na świat, już społeczeństwo gotuje mu przyjęcie, otaczając opieką matki. Czuwa ono nad niemowlęciem, przygarnia podrzutka, troska się o wyrostka, by nie przeciążano go pracą, i nie spuszcza go z oka, gdy doszedł do pełni sił i zajął stanowisko. Jak w zaraniu, tak i w zimie życia jest on przedmiotem troskliwości ogółu. Chorzy, rekonwalescenci, nędzarze, wyjątkową dotknięci biédą ludzie, potrzebujący opieki lub informacyi, wydziedziczeni, nawet zbrodniarze odbierają pomoc z jego ręki. Wreszcie społeczeństwo usiłuje zapobiedz złemu wszelakiéj natury. Jakoż na każdym kroku odkrywamy objawy bujnéj wegetacyi miłosierdzia.

Wiadomo powszechnie, że W. Brytania wyprzedziła inne kraje w tym kierunku. Już w zeszłém stuleciu gorliwie zajmowano się bytem warstw nieuprzywilejowanych, jak świadczą o tem między innemi uwagi ks. Izabelli Czartoryskiéj z r. 1789 w jéj pamiętniku, znanym niestety tylko ze skąpych cytat. W roku 1815 wydawała Anglia sama 16 milionów f. szt. rocznie wyłącznie na utrzymanie ubogich, czyli trzecią część budżetu zjednoczonego królestwa. W dalszym ciągu ustawodawstwo borykało się z nędzą nieustannie; bardzo wysoki podatek na ubogich t. z. *poor-tax* wpływa do skarbu państwa na domy robocze t. z. *work-houses*. Niezależnie od tego społeczeństwo wydaje sumy, z pewnością przewyższające kilkakrotnie *poor-taxes*, na szpitale, przytuliska, ochronki, szkółki, łaźnie, czytelnie bezpłatne, sale koncertowe, biura informacyjne i stręczące pracę oraz tyle innych instytucyi, które na ziemi angielskiéj istnieją jedynie dzięki inicyatywie prywatnéj i dobrowolnym składkom.

Fakt ten wyda się naturalnym, jeśli weźmiemy na uwagę liczbę gęsto zamieszkałéj ludności i dobrobyt, atoli zastanawia, gdy zważymy, że ma on miejsce w kraju, gdzie indywidualizm i *self-help* zapuściły głęboko korzenie, gdzie niby na progu dantejskiego piekła rozsiadł się cerber egoizmu, *fiera crudele e diversa*.

Skutkiem tego miłosierdzie w Anglii posiada swą odrębną cechę ogólną. Płynie ono nie tyle ze wzruszeń, z sympatyi, która winna splatać w jedno ognisko dzieci ziemi, ogrzewając je ciepłem miłości bratniéj, lecz głównie z poczucia obywatelskiego, co w tym wysoko uspołecznionym narodzie stawiło sobie pomniki trwalsze od spiżu. Albowiem przewaga pierwiastku rozumowego nad uczuciowym ujawnia się w charakterze narodowym, a świat i życie tak wyziębiły i ukształtowały współczesnego człowieka, iż zamiast widzieć w innych swych braci, czuje w nich instyktownie rywali i uczucia obawy, niechęci czy ostrożności nie może wyzbyć się względem bliźniego nawet wówczas, gdy tenże jest niemocą złożony. W tym stanie duszy człowiek jest niezdolny iść za podszeptem serca. Powtóre w społeczeństwie kupieckiém, a więc zmateryalizowaném, które nauczyło się wielbić sukces tak, że on jeden może spowodować pewien zawrót trzeźwéj głowy, metafizyczny instynkt każe odwracać się od ubóstwa, upadku i nieszczęścia, jako od widoku nieestetycznego. Niebuhr twierdzi, że „w Anglii jest występkiem nie być bogatym”, albo powiedzmy właściwiéj „nie mieć powodzenia”, co w tym razie wychodzi na jedno, dlatego osoba dotknięta losem w ten lub ów sposób, chociażby położenie jéj nie dało się przypisać własnéj winie, nie przemawia do strun sercowych. Najwięcéj szczerego uczucia otacza tych, co nie mogą ani szkodzić, ani blaskiem swym zaćmić — niemowlęta i zwierzęta. Inni, w pojęciu anglika-indywidualisty, winni byli cios przewidzieć, zapobiedz mu lub ubezpieczyć się na wszelki wypadek.

A zatém z punktu widzenia chrystyanizmu, nie można miłosierdzia w Anglii poczytać za wielką zasługę. Nie poruszy ono bram niebieskich. Zasługa zaś tém mniejsza, skoro stan materyalny pozwala przeciętnemu obywatelowi na jałmużnę bez znacznego uszczerbku, w dodatku anglik nie jest z natury ani skąpy ani drobiazgowo oględny w wydatkach.

Atoli, jak powiedzieliśmy, brak uczuciowości i wrażliwości na niedolę zastępuje poczucie obywatelskie oraz ogromna duma narodowa, która wzdryga się na widok wykolejonego ziomka i podsyca dążność do pracy dla dobra społeczeństwa. A anglik wogóle nie robi nic przez pół; oddaje się on swéj idei niepodzielnie, często w usługach jéj posuwa się nawet do śmieszności. Wszelako ów fanatyk, oryginał i śmieszny maniak, jakiego nieraz napotykamy nad Tamizą, nie zasługuje na pogardliwy uśmiech i lekceważenie, bo nie przestaje być pożytecznym członkiem społeczeństwa. Nie jeden z nich też przyczynił się do rozkwitu dobroczynności, poruszył umysły ziom-

ków, zapoczątkował lub dźwignął instytucye, budzące dzisiaj podziw i uznanie.

Prócz cech specyficznych współdziałają na niwie téj w Anglii pobudki, jakie spostrzegamy w życiu wszystkich nowoczesnych społeczności, a mianowicie próżność. Lecz charakter narodu uwydatnia się nie mniéj w dziełach jego, ich zakroju i przeprowadzeniu. I tak, nie zapominając o chorych, biednych, dziatwie, wyrzutkach i zbrodniarzach, duch obywatelski i rozum społeczny nakazują otàczać troskliwą opieką i chronić przed upadkiem, zarazą moralną i spaczeniem te masy ludności, co pracując, chcąc i mogąc pracować, stanowią jądro narodu, rękojmię dobrobytu, a są wystawione zewsząd na niebezpieczeństwo.

„Stowarzyszenie młodych kobiet chrześciańskich" jest jedném z najświetniejszych dzieł społeczeństwa angielskiego i może za wzór posłużyć w krajach, gdzie ogół poczyna dopiero liczyć się z kobietą, jako czynnikiem społecznym [1]).

---

[1]) Warszawa zdaje się należeć do tych większych centrow, gdzie daje się uczuć brak podobnéj instytucyi. Do wniosku tego upoważnia artykuł w 36-tym numerze r. z. „Głosu" w którym *ex-re* zdarzenia, jakie przytrafiło się kobiecie w Skierniewicach, czytamy następujące uwagi:

„I my też mamy bony i nauczycielki, pozbawione opieki rodziny. Któż się niemi opiekuje? Przypomnijmy sobie nauczycielkę w Skierniewicach uciekającą przez okno od napaści, przypomnijmy sobie pannę T. w Kowlu, która wyrzucona przez chlebodawców w chorobie, zmarła jak pies pod płotem, nie mając przy sobie w ostatniéj chwili nikogo, żadnéj twarzy życzliwéj! (Głos 1896 Nr. 22). Pomyślmy o tém, że zastępy kobiet, zmuszonych do zarobkowania, zwiększają się coraz szybciéj i tym należało-by ułatwić swobodę ruchów przez niesienie im pomocy w podróży i w nagłych wypadkach, kiedy jedna wskazówka, chwilowe podanie ręki może kobietę na nogi postawić — coś w rodzaju pogotowia ratunkowego dla chorych.

„Jak szpitale wobec pogotowia, tak istnieć powinny niezależne instytucye specyalne dla kobiet pracujących: biura, stowarzyszenia pomocy, ale obok nich potrzeba instytucyi ratunkowéj dla kobiet, znajdujących się w szczególném położeniu np. w podróży i wogóle po za miastem rodzinném, któraby przez rozsianych wszędzie członków informowała i pomoc niosła doraźną.

„Opieka nad dziewczętami, pragnącemi pracować uczciwie, należy do pierwszorzędnych obowiązków tego coraz większego grona kobiet, wstępujących na drogę pracy obywatelskiéj. W Warszawie łatwiéj stosunkowo znaleźć dziewczętom pomoc, ale po wsiach i miastach drobnych zostawiane są losowi, często bezlitośnemu. Tymczasem rodzi się konieczność rozsiedlania kobiet pracujących po całym obszarze kraju. Warszawa z powodu nadmiaru kobiet staje się otchłanią rozpusty, rynkiem żywego towaru na Europę i Amerykę. Wynajdywać trzeba ro-

I.

Instytucya tak ogromna i tak szerokie ogarniająca niwy, jak *Young Women Christian Association* musiała kiełkować długo, jak ziarno w ukryciu, zanim wystrzeliła i rozwinęła się bujnie. Powstała ona ze zjednoczenia dwóch towarzystw, duchowo spowinowaconych, a pędzących samoistny żywot.

W połowie bieżącego stulecia istniała kongregacya kobiet, mająca na celu wspólną modlitwę, czytanie pisma świętego oraz działalność w duchu chrześciańskim. Przy boku zaś tego grona nabożnych niewiast rozwijała się wielka organizacya, zakładająca ochronki i instytuty dla kobiet, naprzód w Londynie, a późniéj w wielu znacznych miastach zjednoczonego królestwa. Te dwa stowarzyszenia podały sobie ręce w roku 1877 i, przybrawszy miano „chrześciańskiego stowarzyszenia młodych kobiet" rozwinęły działalność wspólnemi siłami, pod zarządem odnośnych założycielek i przełożonych: pani Pennefather i lady Kinnaird. A niebawem instytucya rozrosła się do tego stopnia, iż ogarnęła Szkocyę, Irlandyę i Walię i, odłączywszy Londyn od prowincyi, ukonstytuowała się w pięć osobnych „departamentów", dążących do „duchowego, moralnego, socyalnego i intelektualnego dobra młodych kobiet". Przygarnia ona pod swe skrzydła opiekuńcze owe nieprzebrane zastępy pracujących kobiet, napływających tłumnie do wielkich miast za chlebem, rzucanych w wir, pochłaniający tyle ofiar, pozbawionych opieki, towarzystwa i podpory moralnéj, a mianowicie panien, zatrudnionych w sklepach, szwaczek, nauczycielek freblowskich, sług domowych tudzież guwernantek.

Przyjmując wszystkie chrześcianki, bez uprzedzeń sekciarskich, w poczet członków, stowarzyszenie stawia im za jedyny warunek, aby nie uchylały się od praktyk religijnych, pozostawiając im zresztą zupełną swobodę. Prócz tych kobiet, zamieszkujących w specyalnych domach stowarzyszenia i korzystających z instytutów, wchodzą w skład unii t. z. stowarzyszeni członkowie, kobiety życzące sobie pozostać pod wpływem instytucyi i, w razie gdy przenoszą się z miejsca na miejsce, zapewnić sobie pomoc i odpowiednie to-

---

botę po wsiach i miasteczkach i wypychać kobiety z Warszawy, ułatwiać im podróż i opiekować się tam niemi. Na to potrzeba stowarzyszenia się kobiet.

„Przydałoby się również jakieś towarzystwo zapobiegania upadkowi dziewcząt przez zakładanie dla robotnic i szwaczek szkół niedzielnych, szerzenie po szwalniach i warsztatach książek umoralniających" i t. d.

warzystwo, daléj członkowie czynni, biorący udział w rozlicznych pracach unii. Czwartą kategoryę stanowią członkowie honorowi.

Główne siedlisko departamentu londyńskiego — którym będziemy się wyłącznie zajmować — mieści się w najruchliwszéj części zachodniéj dzielnicy (przy: 26. George street. West) w nadzwyczaj okazałym domu, który nietylko robi wrażenie ze wszech miar dodatnie, ale uderza wytwornością, dając świetne wyobrażenie o rozmiarach i zasobach materyalnych unii. Tutaj łączą się téż wszystkie nici całéj instytucyi: wszystkich pięciu sekcyi oraz „stowarzyszenia światowego”. Zwiedzając gmach ten, poweźmiemy już niejakie wyobrażenie o tém, jakiemi drogami dąży stowarzyszenie do osiągnięcia celu, określonego powyżéj ogólnikowo.

Opodal wejścia wije się wzdłuż ściany przedsionka stół zasłany wydawnictwami peryodycznemi i książkowemi, naprzeciwko znajduje się główne biuro pracy, daléj biuro wpisowe i duża sala gimnastyki. Na piętrach mieszczą się czytelnia i pokój przeznaczony do zebrań towarzyskich, biura sekcyi londyńskiéj i instytutu centralnego oraz klub dam, sympatyzujących z unią, które opłacają 21 szyl. rocznie, tutaj się zbierają i w razie potrzeby zamieszkują w pokojach na ostatniém piętrze, dla nich wyłącznie przeznaczonych. Na czwartém piętrze znajdujemy biura wydziału kolonialnego i „stowarzyszenia światowego”. Wreszcie w obszernych suterynach kryje się biuro wydawnictw, pokój jadalny, kuchnia i t. d. Przez cały dzień panuje tutaj ruch jak w ulu, a wieczorem gmach przybiera inną fizyognomię, zamienia się w wielki zakład wychowawczy.

Pod zarządem domu centralnego stoją trzy domy mieszkalne, położone w téj saméj dzielnicy, jeden zawierający 56 sypialni i przeznaczony dla panien sklepowych, opłacających po 4—4$^1/_2$ szyl. tygodniowo, a drugi dla guwernantek i studentek o 70 pokojach. W ostatnich czasach przybył trzeci *home* tego rodzaju o 26 sypialniach, tak iż w jednym punkcie miasta może znaleźć stosunkowo tanie i przyzwoite pomieszkanie — jak z dumą podnosi to uprzejmy sekretarz sekcyi londyńskiéj Mr. Kidner — około stu pięćdziesięciu kobiet. A popyt na mieszkania jest tak wielki, że stowarzyszenie krząta się około otworzenia nowych *home*'ów w pobliżu.

Niemniéj w innych częściach miasta napotykamy domy, których latarnie noszą napisy *Y. W. C. A.*, ale centralny instytut przy George street odpowiada finansowo tylko za trzy wzmiankowane *boarding houses*. Wszystkie inne zaś pozostają pod opieką osobnych komitetów, które składają się z obywateli odnośnéj parafii, zobowiązujących się pokrywać ewentualny niedobór w kasie. Niemal wszyst-

kie te *home*'y zamykają rachunki deficytem, co tłomaczy się wysokością czynszu, usługi i nizką ceną pokoi. Powtóre usiłowania komitetów rozbijają się o skałę kastowych uprzedzeń: i tak np. w domu zajętym przez sługi domowe nie chcą mieszkać sługi z garkuchni, a tém mniéj szwaczki, uważając się za osoby stojące wyżéj w hierarchii społecznéj. Ten śmieszny objaw kastowości i angielskiéj *respectability* zniewala zarząd do ograniczania się na przyjmowaniu tylko jednego zawodu kobiet. Wreszcie nie wszystkie domy urządzono tak, aby przyciągały interesowaną klasę, która jest materyalnie dobrze postawioną i posiada odpowiednie wymagania.

W dzielnicy ubogich, w braku komitetu lokalnego, co zdjąłby kłopot i ciężar z ramion stowarzyszenia, sekcya londyńska musi ponosić koszta. W skutek tego głównie roczny deficyt jéj wzrasta do siedmiu lub ośmiu tysięcy fun. szt., jak mówi Mr. Kidner. Dla dobra zatrudnionych w fabrykach kobiet stowarzyszenie nic nie przedsięwzięło w tym kierunku, gdyż w tym wypadku należało-by chwycić się zupełnie innéj metody: budować odpowiednie domy i t. d. A kwestya pomieszkań dla proletaryatu jest dotąd nierozstrzygnięta, być może, iż dopiéro ruch, jaki wrze obecnie w społeczeństwie angielskiem, rozjaśni ją i wskaże właściwą drogę postępowania. Istniejące bowiem domy dla robotników nie znajdują u nich uznania. Powtóre dla klasy roboczéj pracują na wyścigi specyalne stowarzyszenia (ze skutkiem niestety arcywątpliwym), a stowarzyszenie kobiet chrześciańskich ma na oku przeważnie płeć żeńską stanu średniego.

Przy wielu domach mieszkalnych urządzono restauracye dla członków tak, że nawet w godzinach obiadowych nie brak im towarzystwa. Odpowiadają one pod każdym względem wymaganiom panien sklepowych, a że powstały pod naciskiem rzeczywistéj potrzeby, dowodzą wykazy statystyczne, z których okazuje się, że np. w jednéj restauracyi bywało dziennie w przecięciu sto sześćdziesiąt kobiet. Powodzenie owo zawdzięczają te lokale jeszcze téj okoliczności, że nie w każdym punkcie miasta znajdują się restauracye przystępne dla kieszeni szwaczek, a do garkuchni odwiedzanéj przez dorożkarzy uczęszczać by one nie chciały.

Stosownie do regulaminu kobiety mieszkające w *home*'ach unii zbierają się w sobotę wieczorem na wspólną modiltwę, a na wykłady pisma świętego mogą uczęszczać do t. z. instytutów, które stowarzyszeniu nadają wyraźny charakter edukacyjno-religijny. Posiada ono w Londynie dwadzieścia pięć instytutów i taką samą ilość *home*'ów z restauracyami, a sto *home*'ów na prowincyi. Zakła-

dy te nie przypominają w niczém pokrewnych instytucyi na lądzie stałym; ukształtowano je bowiem w duchu, odpowiadającym zasadniczym poglądom Anglików na wychowanie. Nie istnieją one przeto w tym celu, aby nauczyciele ładowali gwałtem wiedzę książkową w umysły nieprzygotowane, znużone całodzienną pracą, które z tym balastem nie wiedzą co począć, nie mogąc przetrawić go duchowo. Mają one zadość uczynić trzem najważniejszym postulatom młodych kobiet pracujących, mają dostarczyć im: 1) dobrych znajomości, 2) dobrych książek i 3) rozrywki po pracy.

Aby dać dokładne pojęcie o téj cennéj instytucyi unii, przytaczam plan wieczorów w domu centralnym. Po zamknięciu biur bowiem gmach ten nie stoi pustką; w jednym pokoju odbywa się lekcya kroju, w biurze inném lekcya stenografii, z trzeciego pokoju dochodzą dźwięki fortepianu. I tak w niedzielę: wspólna modlitwa, lektura biblii, po podwieczorku śpiewanie psalmów.

W poniedziałek: śpiew chóralny, język francuzki. We wtorek: zebranie towarzyskie dziewcząt a raz w miesiąc wieczorek. W środę: lekcya gotowania, lekcya gry na gitarze. *Meeting* pracujących dla dobra robotnic kobiet oraz *meeting* bractwa wstrzemięźliwości i t. d.

Lekcye muzyki i gimnastyki odbywają się codziennie, tak wielka liczba kobiet zapisuje się na nie. Od czasu do czasu urządza stowarzyszenie wykłady z dziedziny historyi, sztuki i innych przedmiotów, nie objętych planem, oraz gremialne przechadzki po muzeach i galeryach. W ogóle wydział edukacyjny, którego pieczy oddano instytuty, stara się uprzystępnić naukę i zachęcić młode umysły do kształcenia się. Jakoż płeć żeńska, będąca pod wpływem Stowarzyszenia, jak wszyscy ludzie, których umysłów za młodu nie przeciążano, uważa książkę za swą wierną przyjaciółkę. Powszechnie wiadomo, że w Anglii rozchodzą się gazety w ogromnéj ilości egzemplarzy, mimo znaczną cyfrę analfabetów, dlatego nie zdziwi nikogo, że jeden z miesięczników stowarzyszenia odbija się w 75,000 egzemplarzach, a trzy inne czasopisma liczą po kilka lub kilkanaście tysięcy czytelników. Cena ich nie przechodzi jednego pensa. Oprócz tych wydawnictw istnieją czasopisma przeznaczone dla sekretarzy i członków czynnych, tudzież niezliczony szereg broszur i książek. Nadto w każdym zakładzie stoją otworem dla członków bezpłatne czytelnie.

Przy jednym z instytutów londyńskich powstał t. z. *Preparation home*, który wychowuje armię kobiet zdatnych do pracy dla dobra swych sióstr. Zasługuje on na podkreślenie. Dobra wola, zapał, miłość idei i ludzkości nie wystarczają wcale misyonarzom; ileż

to razy widzieliśmy w życiu społeczném, iż z ziarna pszenicy kąkól wyrasta. Doświadczenie jest najlepszym nauczycielem i najlepszą rękojmią pomyślnego skutku, bo, chcąc oddać bliźnim rzeczywiste usługi, trzeba poznać zblizka ustrój psychiczny, sposób rozumowania i istotne potrzeby odnośnéj warstwy lub klasy ludzi, trzeba wiedziéć, jak zbliżać się do niéj; a wówczas dopiéro, przystąpiwszy do pracy chociaż bez entuzyazmu, można liczyć na dobre owoce. Doświadczenia, którego nic nie zastąpi, mają sposobność nabyć adeptki w przygotowawczym zakładzie, który nie ogranicza się na teoretyczném przysposobianiu, ale szczególny kładzie nacisk na praktyczną stronę swéj działalności. Mieszkając i przestając z wypróbowanemi szermierkami, młode siły dojrzewają same przez się, a uczęszczając w ich towarzystwie na zebrania, stawiając pierwsze kroki pod ich okiem, postępując według wskazówek i korzystając z doświadczenia innych, wyrabiają się w daleko krótszym czasie na dzielne apostołki i nauczycielki.

Indywidualnym ich zamiłowaniom i popędom nikt nie stawia hamulca; obierają sobie specyalną gałąź działalności i oddają jéj się wyłącznie. Jedne nauczają dziatwę w wieczornych szkółkach, inne urządzają w fabrykach krótkie *meetingi* w godzinie obiadowéj, inne uczęszczają do klubów dla dziewczyn zatrudnionych w przedsiębiorstwach przemysłowych i t. d.

O instytutach Stowarzyszenia panuje jednozgodne przekonanie, iż odpowiadają swemu założeniu i nieoszacowane oddają usługi pracującym kobietom i społeczeństwu. Tutaj uciekają one przed osamotnieniem i nudą, tutaj chronią się przed wpływem kobiet, co uważają pracę za karę niebios, a mężczyzn za drabiny, po których można się wspiąć do eldorado, do używania życia i przepychu, i mimowoli sprowadzają kobiety, zmuszone do zarobkowania z drogi, jaką mogą zapewnić sobie uczciwe utrzymanie. W instytutach oddychają one zdrowém powietrzem, nabierają poczucia godności osobistéj, wyrabiają charakter, zdobywają siłę odporną na czyhające zewsząd pokusy, wzmacniają ciało, kształcą umysł i znajdują rozrywkę. A lubo stowarzyszenie wyciska na członkach pewien wyraźny stempel, nie zabija w nich indywidualności. Nie grozi im pod tym względem niebezpieczeństwo.

Charaktery angielskie mają tak silnie i dobitnie narysowane kontury, że nie uginają się, nie przeistaczają pod naciskiem. Zarówno tradycya, sposób wychowania, jak ustrój społeczny, podsycają poczucie niezależności duchowéj, wytwarzają z jednostki osobny

cosmos, co nie zna pana [1]). A więc arbitralne postępowanie zarządu zraziłoby młode kobiety i obróciło w niwecz wysiłki stowarzyszenia. Ale dyrekcya nie przybiera wobec członków dyktatorskiéj postawy; rządzi w duchu angielskim t. j. republikańskim. Anglosasi, bodaj jedyni w rzędzie cywilizowanych narodów, przychodzą na świat z głębokiém poszanowaniem indywidualności. Jakoż anglik i yankes nie wymaga od żony, aby wymodelowała się na wzór jego ideału, nie wywiera na jéj skłonności nacisku, który nie prowadzi do niczego lub wydaje złe skutki, lecz uznaje jéj prawo do życia własném życiem, do posiadania odrębnych upodobań i indywidualnych cech charakteru czyli innemi słowy poczytuje ją za równego sobie człowieka. Dzięki téj właściwości, wyłaniającéj się z pozytywizmu angielskiego, płeć żeńska stanęła na tak wysokim szczeblu uspołecznienia.

Być może spoglądając z ubocza na te instytuty wychowawcze, bylibyśmy skłonni krytykować działalność zarządu w niektórych szczegółach. Wszelako należy zważyć, że zarys instytutów wyszedł z pod pióra osób, które w ciągu wielu lat obracały się między pracującemi kobietami, że interesowane sfery same nadały idei odpowiednią dla siebie formę. Jak w Anglii piastuje najwyższą władzę nie królowa, ale opinia publiczna, tak w stowarzyszeniach kobiet chrześciańskich zarząd instytutów jest poprostu wykonawcą woli *gremium* członków.

II

Na pytanie, jakiemi drogami dąży unia do osiągnięcia celu, odpowiedzieliśmy dotąd tylko w części. Bo działalność stowarzyszenia rozstrzeliła się w rozlicznych kierunkach i powstał cały szereg sekcyi i kongregacyi, stanowiących integralne części unii. Ogólne pojęcie o ogromie zadania téj instytucyi, która nie ma sobie równéj, da nam wykaz pojedyńczych biur.

Pierwsze z nich zajmuje się choremi, rekonwalescentkami oraz uprzystępnieniem wakacyjnych podróży;

2) wydawnictwami;

3) instytutami wychowawczemi;

---

[1]) Charakterystycznym objawem tego stanu są strejki żaków, wywołane niepopularnym przepisem władzy szkolnéj.

4) emigracyą kobiet;
5) dostarczaniem pracy;
6) szerzeniem ducha ewangelii;
7) robotnicami;
8) rozdawaniem kwiatów;
9) kobietami po za obrębem W. Brytanii;
10) innoszczepowemi kobietami w W. Brytanii;
11) udzielaniem rad i wskazówek dziewczętom;
12) zachęcaniem do kształcenia się w domu;
13) małoletniemi;
14) czytelniami;
15) kobietami w Indyach;
16) „ pielęgnującemi chorych;
17) ratowaniem bezdomnych i zrozpaczonych;
18) restauracyami;
19) nauczycielkami;
20) zachęcaniem do oszczędności, do przestrzegania schludności i porządku domowego;
21) propagowaniem wstrzemięźliwości od gorących trunków.

Pod auspicyami stowarzyszenia stoją: związek „kobiet wspomagających robotnice” oraz towarzystwo pomocy w podróży. Prócz tego grupują się wkoło unii i stałe utrzymują z nią stosunki inne związki, jak np. międzynarodowa liga „przyjaciółek młodéj kobiety”, stowarzyszenie chrześciańskie oficyalistek urzędu pocztowego i t. d.

Niezawodnie zwróci uwagę czytelnika na téj liście misya, zajmująca się „rozdawaniem kwiatów” i nie znając Anglii i Anglików, można by zagadnąć: „nie chleba?” Nie; walka z nędzą nie wchodzi w zakres działalności unii, a służące i robotnice, którym dostają się raz w tydzień bukieciki kwiatów, nie cierpią wcale niedostatku, ale nie zawsze mogą ponieść nadzwyczajne wydatki chociaż drobne, nie mogą nabyć kilku kwiatów, które zdobią surdut odświętnie przywdzianego robotnika z *East-end'u*. Bo wszystkie stany rozmiłowały się w kwiatach tak, że nigdzie handel kwiatami nie przybrał takich rozmiarów jak w Anglii. Służące przeto i robotnice nie są wcale obojętne na drobne podarki, jakiemi unia pragnie im sprawić przyjemność; przeciwnie same przypominają się „misyonarkom”, które przypisują kwiatom niemal magiczny wpływ na ludzi, jakby woń „posłańców miłości” budziła w sercach, oschłych w prozie codziennego życia, tkliwe tony i zaszczepiała w nich coś z niewinności kwiatu. Sekcya ta nie uszczupla funduszów stowarzyszenia wcale, bo kwiaty nadsyła regularnie grono dam do głównych siedlisk. Przy

układaniu ich w bukieciki biorą udział także panny z wyższego towarzystwa, które tym sposobem zbliżają się do uspołecznionych żywiołów, przypominają sobie może o istnieniu zarobkujących sióstr. Okazuje się przeto, że nawet ta sekcya, która na pierwszy rzut oka wyda się czczą zabawką, posiada swą doniosłość. A rozdając kwiaty, członkowie czynni mają pożądaną sposobność przyjrzéć się nieokrzesanym kobietom przy pracy i poznać je bliżéj.

Najważniejsze zadanie spoczywa na osobach, wchodzących w skład pierwszéj sekcyi, które czuwają nad zdrowiem cielesném pracujących legionów niewieścich, starając się nietylko usunąć lub zmniejszyć zło, istniejące już, ale i zapobiedz mu. Chore kobiety mają zapewnioną pomoc ze strony grona znanych lekarzy oraz niewiast oddających się zawodowo pielęgnowaniu chorych. Rekonwalescentki zaś wysyła unia do tak zw. *Convalescent homes*, domków wiejskich z ogrodami, położonych w pobliżu Londynu.

Okoliczni obywatele, sympatyzując ze spracowanemi mieszczankami, wyposażają *home'y* w fortepiany, sprzęty domowe, zasilają bibliotekę, przesyłają kwiaty, jarzyny i owoce. Domki te w malowniczém położeniu, urządzone dostatnio, są istotném dobrodziejstwem dla wielu osób, zwłaszcza że całe utrzymanie tygodniowe wynosi tylko dziesięć szylingów (pięć rubli). Naturalnie nie brak w nich nigdy gości; tutaj zbiedzona szwaczka zapoznaje się ze wsią, z życiem wśród przyrody, blada buchalterka z City, szuka powietrza, ruchu i zagubionego rumieńca. Ponieważ wakacye nie są w Angli przywilejem pewnych klas pracujących i zgłasza się ogromna ilość kobiet do tych przystani spoczynku, stowarzyszenie nie mogąc zadość uczynić samo wszystkim petycyom, poleca potrzebujące wytchnienia kobiety specyalnym związkom, utrzymującym na wybrzeżach morskich tego rodzaju *home'y*. W razie, gdy kto nie jest w możności pokryć kosztów utrzymania, unia udziela mu zapomogę pieniężną. A znaczna liczba kobiet dostaje zaproszenia na ferye ze strony zamożniejszych przyjaciółek z instytutów.

Unia przykłada rękę do wysyłania na wieś kilkuset kobiet corocznie. Nadto urządza co tydzień jednodniowe wycieczki, wielce popularne. Majówki te zyskują szczególny powab i interes przez to, iż odbywają się w pięknych siedzibach magnatów, którzy chętnie otwierają swe wille i parki spragnionym świeżego powietrza pracownicom.

Społeczeństwo, zajmując się gorliwie kwestyą zdrowotnosci od lat wielu, wytknęło drogoskazy i ułatwiło zadanie towarzystwom, działającym w tym kierunku. Natomiast w walce z kwestyą pracy,

z którą boryka się ogół, napróżno szukając jéj rozwiązania, napotyka Stowarzyszenie kobiet chrześciańskich nieprzezwyciężone trudności. A smutniejszy widok od schorzałego przedstawia człowiek zdolny do pracy a pozbawiony zajęcia, cięży on na sumieniu społeczności, jako żywy objaw chorobliwego stanu. Wszelako w Anglii zawiła kwestya robotnicza inną przybrała postać, a trudności, z jakiemi ma do walczenia unia, nie polegają na umieszczaniu kobiet w domach prywatnych, szwalniach i magazynach, ale na dostarczaniu rąk chlebodawcom. Pewne światło na te stosunki rzucają cyfry, wyjęte z listy sekcyi pracy. Liczba zapisanych na niéj chlebodawców wynosi około pięciu tysięcy a obok niéj figuruje tylko cztery tysiące poszukujących miejsca, z których bardzo znaczna część .— jak można wnosić na podstawie doświadczenia—nie zdolną jest pełnić obowiązków, jakich się pragnie podjąć. Mianowicie daje się uczuć ogromny i coraz większy brak sług domowych, pomimo że pomiędzy ludem wiejskim panuje stały ruch emigracyjny do miast i ów „*rural exodus*" rozciąga się także na płeć żeńską. Pochodzi to z téj przyczyny, że służba domowa dąży do swobody za jakąbądź cenę i pokojówki szukają zajęcia w kawiarniach, lub szynkach, chociaż dzieje się to z ich uszczerbkiem materyalnym. W kawiarni bowiem pobierają ośm do dwunastu szylingów tygodniowo bez jedzenia i utrzymania, które mają w domach prywatnych przy prawie takich samych zasługach. A chlebodawczynie przestrzegają, aby służby nie przeciążano pracą, i pozostawiają jéj dużo wolności; wogóle jeżeli uda się pani domu dostać sługę, odpowiadającą chociaż jakokolwiek wymaganiom, czyni wszystko w swéj mocy, aby ją u siebie zatrzymać. Mimo tak korzystne warunki wstręt do służby domowéj nie ma granic, bo... lada kelnerka patrzy z góry na pokojówkę, uchodzi wobec niéj za osobę lepszego towarzystwa! Można powiedzieć, że w Anglii nie ma już prawie wcale kobiet, tylko—damy, *ladies*. Skutkiem tych aspiracyi oraz niekompetencyi lub wygórowanych wymagań służebnic, sekcya pracy nie może poszczycić się, aby wynik jéj usiłowań odpowiadał oczekiwaniom.

W porównaniu z klasą służebną, z rękodzielnikami i robotnikami los osób z wyższém wykształceniem nie przedstawia się wcale świetnie. Pod dobremi pozorami kryje się często biéda, bo walka o byt ujawnia się w najstraszniejszéj postaci pomiędzy inteligencyą. Z jednéj strony widzimy bezwzględność, wyzysk, butę i nepotyzm, z drugiéj służalczą uniżoność, pochlebstwo i niewolę. W pogoni za zarobkiem niezależny Anglik gubi swą niezależność, bo gdy wchodzi w grę stanowisko, staje się skłonnym do kompromisu, jak za-

ręcza znany pisarz, Grant Allan, z téj przyczyny nazywając swych ziomków „tylko Anglikami”. Dlatego zastępy emigrantów rekrutują się głównie z téj klasy.

Płeć żeńska jednak okazuje się lękliwą, potrzebuje zachęty i pomocy ze strony towarzystw w rodzaju *British Women's Emigration Society*, aczkolwiek złożyło się wiele przyczyn na to, aby ją do wychodźtwa nakłonić. Według ostatnich obliczeń z przed lat kilku mieszka w W. Brytanii 1,200,000 więcéj kobiet niż mężczyzn, w Londynie na jednego mężczyznę przypada pięć kobiet, w Nottingham — dziewięć, a ten nienormalny stosunek liczebny obu płci zaostrza się bez przerwy. Tymczasem w koloniach rzecz się ma przeciwnie, nawet takie ziemie, jak Australia i Nowa Zelandya, do których emigracya mężczyzn ustała z przyczyn ekonomicznych, nęcą ku sobie pracujące kobiety. W życiu społeczném antypodów grają kobiety bardzo wybitną rolę, zdobyły sobie prawa, o jakich niewiele skrajnych emancypantek w Europie marzy, w życiu towarzyskiém i przy ognisku domowém zajmują stanowisko tak uprzywilejowane jak amerykanki, wreszcie mają tam lepsze widoki znaleźć lukratywne zajęcie — i męża. W świeżo dla cywilizacyi zdobytych terytoryach jak np. w Rhodezyi panuje ogromny brak kobiet, oddziaływający źle na kolonię.

Sekcya emigracyjna stowarzyszenia przychodzi emigrantkom z pomocą pod każdym względem: zapewnia im opiekę w podróży, przyjęcie na miejscu przeznaczenia a nawet stara się dla nich o pracę w koloniach. I wówczas nie spuszcza z oka swych przyjaciółek.

W każdém położeniu kobieta szanująca się może liczyć na stowarzyszenie, które z troskliwością przezornéj matki chroni ją od złego. W skład unii wchodzi kilka sekcyi opiekuńczych, a ręka w rękę z niemi działa Towarzystwo pomocy w podróży. Nie łatwo pojąć ludziom, co zżyli się z życiem miejskiém, jakie wrażenie robi gorączkowy ruch w labiryncie ulic na dziewczynie, przeniesionéj z cichego zakątka wiejskiego w wir miejski, na jakie niebezpieczeństwa jest ona narażona przez swą prostotę, naiwność i zaufanie do ludzi. Aby ominąć zdradliwe prądy, potrzebuje pilota i tu Towarzystwo pomocy w podróży oddaje wielkie zasługi. Gdy w porcie lub na dworcu kolei urzędnik spostrzeże kobietę bez oparcia i bez przyjaciół, wysyła ją do najbliższego biura téj instytucyi, która daje jéj przytułek i zajmuje się dalszemi jéj losami. A przytrafia się bardzo często, iż podróżujące kobiety skutkiem nieprzezorności własnéj lub krewnych, skutkiem braku pieniędzy albo nieprzewidzianych okoliczności znajdują się w przykrém położeniu, z którego nie widzą

wyjścia. Dla tego na wielkich stacyach dróg żelaznych bywają codziennie osoby z ramienia tegoż towarzystwa i przygarniają do siebie opuszczone i bezradne istoty. Nadto dzięki rozgałęzionym stosunkom instytucya zapewnia podróżującym opiekę w drodze, udziela wskazówek co się tyczy hoteli i t. d.

Wogóle kobiety opuszczone, zrozpaczone i bezdomne leżą na sercu stowarzyszenia, które ustanowiło osobny wydział zajmujący ratowaniem wykolejonych niewiast (*Park Mission*). Działalność téj sekcyi polega na rozdawaniu kart z adresem stowarzyszenia i w tym celu założonego przytułku osobom, które zdają się potrzebować podpory. Zwłaszcza w parkach londyńskich błąkają się niewiasty w rozpaczliwém położeniu i tutaj zarzucają sieci ratunkowe członkowie unii. W tym samym duchu działa Armia Zbawienia z tą różnicą, że przyjmuje pod swe skrzydła także upadłe kobiety, któremi unia równocześnie zajmować się nie może ze względu na żywioły, jakim głównie służy. Natomiast posiada ona *home*, w którym uczą się służby domowéj dziewczęta i przyjmuje do niego za małém wynagrodzeniem służące bez miejsca.

Przy boku niemal wszystkich sekcyi stoją instytucye, będące wcieleniem ich myśli przewodniéj. Jakoż wydział dwudziesty nie ogranicza się na gołosłownem zachęcaniu do oszczędności, schludności, porządku w mieszkaniach i do zabezpieczania sobie starości, ale ustanowił przy swych instytutach wychowawczych kasy oszczędności t. z. *Penny Banks*, na wzór kas rządowych, istniejących przy urzędzie pocztowym, wszedł w styczność ze współką, zabezpieczającą na wypadek choroby, a przestrzegając w domach mieszkalnych porządku, przyzwyczaja młode kobiety do czystości i wyrabia w nich estetyczne poczucie. Nie pozostaje to bez zbawiennego wpływu na moralną stronę człowieka, bo kobieta, która troszczy się o ład i porządek w swém otoczeniu, pragnie również rozłożyć swoj czas i ukształtować życie na taką samą modłę.

W zakres działalności téj sekcyi wchodzi także zachęcanie do wstrzemięźliwości od gorących napojów. A troska to wcale nie zbyteczna, jak może się wydawać nad Wisłą, przeciwnie aż nadto uprawniona w społeczeństwie, w którém płeć żeńska pragnie dorównać mężczyznom nawet przy piwie i wódce. Pijaństwo między kobietami grasuje jak szarańcza, pochłaniając tysiące ofiar. Najjaskrawiéj maluje stan rzeczy fakt, że przed kilkunastu laty zaszczytnie znana lady Jeune utworzyła bractwo wstrzemięźliwości dla dam z arystokracyi. W istocie największe niebezpieczeństwo grozi kobiecie z téj strony; przeciętna angielka przy swéj chłodnéj rozwa-

dze, swym zdrowym rozsądku, pozytywnym zakroju umysłu, przy swéj znajomości natury ludzkiéj i jasnym na świat poglądzie steruje pewną ręką po falach życia, ale alkohol wytrąca jéj wiosła, zabija godność osobistą, rzuca ją na pastwę losu. Zdając sobie sprawę z tego, stowarzyszenie założyło bractwo wstrzemięźliwości, liczące kilka tysięcy członków.

Z pośród biur i kongregacyi służących poszczególnym kategoryom kobiet pracujących wyróżnia się przez swój cel, znaczenie i rozwój *the Factory Girl's Union*, stowarzyszenie, które utworzyło się w łonie téj instytucyi w r. 1866 i stanowi poniekąd samodzielną unię w unii. Z natury rzeczy wynika, że przybrało ono poważną postać, bo owe tysiące dziewcząt zatrudniane w pralniach, w fabrykach zapałek, płótna, papieru i innych wołają o moralną podporę. Proletaryat londyński przedstawia obraz może bezprzykładnéj nędzy moralnéj, nie wytrzymuje porównania z ludem innych wielkich centrów ani pod względem zdolności i ukształcenia, ani pracowitości i przezorności. Próżno szukalibyśmy w nim dodatnich cech charakteru, zdobiących oświecone warstwy. A przyczyna tego nie leży w nędzy materyalnéj; lubo podział kapitału w Anglii nie jest prawidłowy, byłoby błędném przypuszczenie, iż niziny społeczne pogrążone są jeszcze w kałuży niedostatku. Wybiły się one na wierzch i zjednoczone w wielkie a sforne związki t. z. *trades-union'y* zawładnęły sytuacyą. Ufne w swą potęgę *trades-union'y* zajęły stanowisko zaczepne i tak bezwzględne, iż zadają przemysłowi angielskiemu ogromne i niepowetowane klęski. Ponieważ dyrekcye zakładów przemysłowych są absolutnie zmuszane przyjmować robotników, należących do związku, i płacić im zasługi ustanowione przez *trades-union*, robotnik nie ma żadnego interesu w produkcyi, żadnéj podniety do kształcenia się, jego zapał stygnie, i staje się najgorszym robotnikiem. Tylko wolna konkurencya wytwarza dzielny i postępujący naprzód z czasem stan rzemieślniczy i roboczy, natomiast monopol sprowadza zastój, zabija energię. W dzisiejszych warunkach bytu robotnik angielski spoczywa na wawrzynach, dla tego też pod względem biegłości w zawodzie i ukształcenia technicznego stoi bez porównania niżéj od robotnika zagranicznego. A zwycięstwa odniesione w walce z kapitalizmem przejęły go bezgraniczną pewnością siebie. Wszystkie humanitarne zakusy klas wyższych poczytuje za oznakę słabości, a wpływ umoralniający spływa po nim jak po skale. Jakoż tytaniczne wysiłki ogółu w tym kierunku wydają tylko nikłe, a często niezdrowe owoce. Atoli płeć żeńska proletaryatu okazuje się wrażliwszą na wpływ idący z góry i członko-

wie unii pomagającéj robotnicom mają nieco wdzięczniejsze zadanie od związków pracujących dla dobra robotników.

Działalność unii „*of Factory Helpers*" polega przedewszystkiém na odwiedzaniu pralni i fabryk z pozwoleniem chlebodawców. Tutaj w godzinach obiadowych i podwieczorkowych urządzają członkowie krótkie zebrania religijne, połączone z przemową, wnosząc z sobą powiew z innego świata. Aby utrwalić i wyhodować zaszczepione w duszach poczucie moralności, związek stworzył kilka instytutów i wieczornych zbiorowisk, gdzie dziewczyny mogą spędzić wieczór na pożytecznéj nauce i rekreacyi, słuchać wykładów biblii i zawrzeć znajomość z sympatycznemi osobami, gotowemi podać im rękę w każdém położeniu. *Factory Helper's union* odwiedza 300 fabryk, około 200 pralni i wchodzi w styczność z około dwudziestu tysiącami dziewczyn, a jak bardzo leży na sercu kobiet angielskich dola dziewczyn klasy robotniczéj, dowodzi fakt, iż w tym samym duchu i kierunku pracuje nie mniéj jak ośmdziesiąt i jedna misya. W zakładach, utrzymywanych z funduszów téj unii, dziewczyny mają sposobność nauczyć się szyć i gotować i spędzić czas przyjemnie na śpiewaniu i gimnastyce. W jasnych i ciepłych pokojach snują się téż zwykle tłumy robotnic, korzystających chętnie z dobrodziejstw instytucyi. Przestając z niemi, członkowie usiłują zaszczepić w nie zdrowe zasady, odzwyczaić je od gorących napojów i zachęcić do regularnego, hygienicznego trybu życia. W razie choroby pierwsza sekcya stowarzyszenia kobiet chrześciańskich spieszy z pomocą, dostarczając lekarstw i wysyłając chore lub spracowane robotnice do wiejskich i nadmorskich *home*'ów.

Niektóre z wydziałów unii pomijam milczeniem jako pozbawione z natury swéj większéj doniosłości lub wyrosłe na gruncie specyalnie lokalnych stosunków i skutkiem tego nie przedstawiających interesu dla społeczeństwa warszawskiego. Wszelako należy się kilka słów sekcyom o międzynarodowym charakterze.

Poczęte z ducha humanitarnego stowarzyszenie nie mogło zamknąć się w granicach geograficznych. W Brytanii i przedewszystkiém musiało zwrócić oczy na masy ciemnoskórnych kobiet pod berłem cesarzowéj Indyi. Aby wytworzyć łącznik pomiędzy płcią żeńską W. Brytanii a hinduskami oraz zbliżyć je do cywilizacyi europejskiéj, utworzyła się potężna liga t. z. *Loving Service League* z wielu ogniskami w Indyach. A przed czterema laty stanęło przy boku unii „światowe stowarzyszenie młodych kobiet chrześciańskich" (*World's Y. W. C. A.*) celem zaopiekowania się cudzoziemkami na ziemi angielskiéj, angielkami przebywającemi na lądzie

stałym, tudzież współdziałania z pokrewnemi związkami zagranicą. Niejednokrotnie członkowie téj unii wyjeżdżają na kontynent na wezwanie komitetów zakładających podobne instytucye, które pragną korzystać z doświadczenia i dobrych chęci dam pracujących dla dobra sióstr bez względu na ich narodowość i wyznanie [1]).

Gazety zapisują często wypadki, na jakie wystawiają się młode kobiety pozbawione opieki i znajomości zwabione do obcych miast przez ogłoszenia obiecujące złote góry. Wpadają w zastawione pułapki, z których w najlepszym razie wydostają się na wolność sponiewierane i pobite. Gdzie mają się zwrócić po pomoc i radę?

Stowarzyszenie światowe kobiet i zjednoczona z niém „*union international des amies de la jeune fille*", mająca główne siedlisko w Neuchâtelu, oddają kobietom zarobkującym zdala od rodziny ogromne usługi. Polecają one swéj opiece wzajemnie młode osoby w tém położeniu, starają się o stanowiska i czuwają nad ich losem. Każda kobieta, chcąc przyjąć miejsce w nieznaném mieście, może zasięgnąć wiadomości o swych przyszłych chlebodawcach od stowarzyszenia, jakby od biura wywiadowczego. Jeżeli wybiera się w podróż przed otrzymaniem posady, powinna zapytać się w stowarzyszeniu o odpowiednie dla siebie pomieszkanie i adresy dam, które należąc do stowarzyszenia, służą radą samotnym.

Członkowie unii, opłacający rocznie pięć szylingów, podają również nazwiska swych znajomych, którzy chcą podjąć się opieki nad emigrantkami, tak iż na wypadek nieobecności członka dziewczyna nie pozostaje bez podpory. Przy wielkiéj liczbie członków, rozsianych po całéj niemal Europie, udało się unii ułożyć listę osób zaufanych w najodleglejszych zakątkach i przygotować się na wszelką ewentualność. Nadto gorliwsi członkowie utrzymują stosunki osobiste lub za pośrednictwem listów z młodemi kobietami, które przyjęły obowiązki w ich miejscu zamieszkania, mając na względzie, że młode te istoty mogą czuć się osamotnione, potrzebować przyjacielskiego słowa i sympatyzującéj z ich losem opiekunki. Na pozór drobna to przysługa, a przecież jak wysoko musi ją sobie cenić stęskniona za domem dziewczyna? A list lub słowo mogą

---

[1]) W r. b. Miss A. M. Reynolds, generalna sekretarka téj unii, wzięła czynny udział w założeniu tego rodzaju instytucyi w Pradze, przemawiając po niemiecku na zebraniach i udzielając komitetowi wskazówek praktycznych na podstawie doświadczenia. W danym razie przyłożyłaby także rękę do takiego dzieła w Warszawie.

nieraz przyjść w krytycznym momencie, gdy szczęście i przyszłość się ważą.

Każda sekcya, misya i liga i wszystkie razem, spojone węzłem miłości pracującéj kobiety, służą dobréj sprawie, a unia młodych kobiet chrześciańskich nie ustaje w wysiłkach; pragnie ogarnąć coraz to większe zastępy niewiast, wniknąć nawet tam, gdzie nie sięga władza Anglii, zjednoczyć płeć żeńską pod jednym sztandarem. A że ten posiew wydaje piękny plon, dowodzą dziękczynne listy, napływające zewsząd nieustannie do zarządu. Większéj zaś pochwały i zachęty nie może unia otrzymać nad poklask i uznanie tych sfer i ludzi, dla których istnieje.

Mogłoby się wydawać, iż wytknąwszy sobie cel tak ambitny a rozstrzeliwszy się na wiele wydziałów, instytucya osłabia się i nie dość intensywnie może pracować. Wszelako należy pamiętać, że pod skrzydłami unii skupiło się kilkaset tysięcy kobiet, rozpadających się stosownie do stanowiska i wykształcenia na różne klasy, że potrzeby ich są rozmaite, a w skład członków czynnych wchodzą osoby o różnych skłonnościach i uzdolnieniach, które unia chce wyzyskać z jaknajwiększą korzyścią dla interesowanych osób. Nie skierowuje przeto zapału do pracy społecznéj w jeden lub kilka kanałów, w których nie każdy członek mógł-by rozwinąć indywidualny talent, lecz pozostawia im zupełną swobodę, zachęca do otwierania nowych sekcyi i dróg wiodących do wspólnego celu — zdrowia cielesnego i duchowego pracującéj płci żeńskiéj.

Postępując tak unia okazuje się wierną zasadom indywidualizmu czyli woluntaryzmu, zapomnianym przez dzisiejszy świat polityczny, owiany socyalizmem, a przekazanym Anglii przez dawne czasy i złożonym w dziełach nieśmiertelnego Edmunda Burke'go. Wogóle unia wydaje się wcieleniem tych zasad, którym W. Brytania zawdzięcza swój rozkwit.

Nosząc cechę chrześciańską, instytucya nie odwraca się od niechrześcianek — istnieje dla wszystkich uczciwie pracujących młodych kobiet. Ta tolerancya religijna przyczyniła się niemało do tak świetnego rozwoju i zjednała stowarzyszeniu mnogich przyjaciół we wszystkich obozach.

Powtóre, dlatego jeszcze można uznać unię za dziecko indywidualizmu i ducha angielskiego, że wymaga zawsze osobistego współudziału, tylko w wyjątkowych wypadkach przyjmując kobiety do swych wiejskich domów bezpłatnie. Zapomogi zaś, udzielane dość często, wywierają zbawienny wpływ na młode kobiety, bo zaznawszy raz przyjemności życia wiejskiego, starają się one zaoszczędzić

sobie kwotę pieniędzy, która dozwoliła-by im wypocząć i poratować zdrowie następnego roku. Na podstawie doświadczenia i bacznéj obserwacyi zarząd powziął przekonanie, że zapomogi są doskonałym bodźcem do oszczędności i pracy. A cała działalność instytucyi skierowaną jest tak, aby wyposażyć młode żywioły w energię, wytrwałość i hart ducha.

Inne towarzystwa dobroczynności zwracają się z jałmużną tam, gdzie wyciągają się do nich ręce, przyzwyczajając ludzi do liczenia na pomoc obcych, do opieszałości i żebrania, albo też wspomagają podupadłych wtenczas dopiero, gdy smutne okoliczności wyssały z nich soki żywotne i nie mogą już ani podnieść się i stanąć na nogach, ani też dorzucić cegiełki do gmachu społecznego. A dobroczynność jednostek, podobna do fantazyi z zawiązanemi oczyma, błąka się bez steru niezbadanemi drożynami i niestety zwykle zagląda do tych, co najmniéj warci pomocy.

Tymczasem stowarzyszenie to idzie za głosem serca i — rozumu szerokim gościńcem życia przed dzielnemi zastępami kobiet, oczyszcza drogę z kamieni, zasypuje wyboje, zagrzewa szeregi męzkiem słowem, pomaga tym, co najwięcéj na to zasługują, bo sami starają się sobie pomódz a są skarbem narodu, pracuje dla pracujących i żyje dla życia.

M. Wierzbiński.



Własność rolna w Galicyi.

Reformy ustawodawcze, czy zmiana kultury rolnéj?

I.

Maksyma dawniejszego liberalizmu, zalecająca usuwanie się rządu od udziału w regulowaniu stosunków gospodarczych, nie znajduje obecnie tak powszechnego, jak niegdyś posłuchu. Na miejsce jéj występuje coraz wyraźniéj to, co nazywają polityką socyalną; jest to dążenie, mające na celu przystosowanie się społeczeństwa do wytworzonych przez kapitalizm warunków bytu a to za pośrednictwem szeregu reform, zaprowadzenie ładu i systemu tam, gdzie dawna zasada *laisser faire* wywołała dezorganizacyę i walkę żywiołów sobie sprzecznych, stworzenie możności współżycia dla warstw ludności rozdzielonych dążnością ekonomiczną.

Przejawia się to w całym szeregu reform, które zacząwszy od ustawodawstwa przemysłowego i praw ochronnych dla robotników, objęły również i sprawy agrarne. Tu, nie mniéj jak w zakresie przemysłu, potrzebują pomocy i ochrony interesy różnych warstw społecznych, a więcéj jak w przemyśle, domaga się jéj materyalny substrat tych interesów, ziemia. Bo kiedy w walce drobnego prze-

mysłu z wielkim, wytwórczość sama doskonali się i wzmaga, a ofiarą pada tylko część wytwórców, kiedy zagrożoną jest tylko samodzielność przedsiębiorstw drobnych, które ideą w służbę wielkiego kapitału, albo się z nim poprostu zlewają, to rolnictwo niewiele skorzystało na tém przeobrażeniu, którém zagrożone są wszystkie stany, zarówno własność większa, jak i drobna.

Galicya, jako kraj należący do większéj całości państwowéj, prowadzić nie może samodzielnéj polityki agrarnéj; każda ustawa wydaną być musi najprzód zasadniczo dla całego państwa, zanim poszczególne kraje wprowadzać ją u siebie poczną. Nie to jest przecież główną przyczyną opóźnienia u nas ustawodawstwa agrarnego, bo Galicya nie była nigdy pierwszą w szeregu krajów, które korzystają z prawa zaprowadzenia reform. Winne tu raczéj pewne ospalstwo władz krajowych, znany austryacki szlendrian, mała wrażliwość na korzyści, które z reform wyniknąć mogą, a na dnie tego wszystkiego wyziera brak funduszów. Owa osławiona galicyjska biéda wszystko opóźnia i wszystkiemu staje na przeszkodzie. Zamożność zaś wzrastać i rozpowszechniać się nie może, o ile we wszystkich przejawach życia publicznego zawsze się spóźniamy i stoimy za innymi w tyle. Każda reforma przecież, czy będzie nią oddawna niezbędna komasacya gruntów, czy uregulowanie sprawy gruntów wspólnych, czy rozszerzanie instytucyi kredytowych, czy też na szeroką skalę prowadzone melioracye i popieranie kultur intensywnych, wymaga przedewszystkiém nakładu pieniężnego. Kraj przy wydatkach autonomicznych skazany jest na odwoływanie się do kieszeni swych współobywateli, dodatki do podatków pokrywać je wszystkie muszą, a jak wykazały rezultaty poborów podatku osobisto-dochodowego, skala zamożności w kraju jest przerażająco nizką.

Odbieglibyśmy od naszego przedmiotu, omawiając jego rezultaty, trudno przecież powstrzymać się od przytoczenia cyfr najważniejszych. Jak w każdym kraju tak i w Galicyi nie został prawdopodobnie wykazany cały dochód, bo nie jesteśmy zapewne społeczeństwem sumienniejszém od innych, wszędzie zaś kontrybuenci starają się obniżyć swoje dochody, a przez to i świadczenia do kasy państwa. Nie mamy wszakże żadnego powodu przypuszczać, aby utajanie dochodów dokonywało się u nas w większéj mierze, niż gdzieindziéj, zwłaszcza, że sprawdzały je komisye szacunkowe. Choćbyśmy jednak sumy dochodów przyjęli o dwa lub trzy razy większe (co wcale nie jest niemożebném, jak wykazują przykłady

innych krajów), stosunek dochodów, a zatém i zamożności Galicyi do innych krajów austryackich, pozostanie bez zmiany.

Podatkowi osobistemu podlegają jedynie dochody, począwszy od 600 złr. rocznie, a zatém niższe dochody nie są wcale uwzględnione w cyfrowych rezultatach. W Galicyi na 7,217,907 mieszkańców tylko 55,731 osób, czyli 0,78% całéj ludności posiada więcéj niż 600 złr. dochodu, w Czechach zaś wyższe dochody wykazało 169.818 osób, t. j. 2.77% całéj ludności, a w Austryi Niżnéj 266.575 osób, czyli 9% całéj ludności. Obliczając te stosunki na 1000 mieszkańców okazuje się, że w Galicyi 7 osób na 1000 ludności ma dochód wyżéj 600 złr., w Czechach cztery razy więcéj to jest 28, a w Austryi Niżnéj 21 razy wyższa cyfra to jest 90‰. Cały dochód surowy do opodatkowania wynosił w państwie austryackiem 1337 milionów, z tego na Galicyę wypadało 112 milionów, czyli 8.39%, a po potrąceniu pozycyj na długi, podatki, asekuracye, liczbę dzieci i t. d. 90 milion. rocznego dochodu czyli 7.81% całego dochodu w państwie.

Miasta galicyjskie są ubogie, wykazują w porównaniu z innemi miastami Austryi ubóstwo stanu średniego i małą liczbę ludzi bogatych, ale to samo zjawisko powtarza się i na wsi, a więc wśród naszego ziemiaństwa. Potrąciwszy miasta większe: Lwów, Kraków, Przemyśl, Stanisławów, Tarnów, Tarnopol i Kołomyję, na całą resztę Galicyi przypada 33.727 osób opłacających podatek osobisty, których dochód wynosił 50.981.759 złr. Na miasta wypada tedy na 100 kontrybuentów opłacających podatek 39.6, dochód ich zaś stanowi 43.3% całego, gdy na resztę Galicyi 60.4% opłacających podatek i 56.7% dochodu [1]).

Porównanie stosunków w Galicyi z innemi krajami austryackiemi, świadomo, że Austrya pod względem zamożności stoi na szarym końcu Europy, dowodzi wielkiego zubożenia społeczeństwa, a świadczy, że czas najwyższy pomyśleć o ratunku. Nie mamy miast wielkich, ani przemysłu, nie jest tedy niespodzianką, jeżeli powiemy, że ludzi bogatych o dochodzie wyższym niż 6000 rocznie żyje w Wiedniu 8149, w Pradze 1076, a we Lwowie tylko 290, bo Lwów jest jakieś 15 razy mniejszy od Wiednia, a $1^1/_2$ raz mniejszy, niż Praga. Ale bardziéj przygnębiającém jest, że nasza wieś uboższą jest od miast i że licząc wraz z drobnemi miasteczkami nie ma ona nawet takich dochodów wśród kategoryi zamożniejszych mieszkańców, jak miasta małoludne.

---

[1]) Cyfry podane podług artykułu Witolda Lewickiego: „Zamożność Galicyi” Słowo polskie z 27/1 1899 r.

W świetle tych suchych cyfr budzi się wyrozumiałość, gdy rozwój naszego społeczeństwa powolniejszemi, niż gdzieindziéj postępuje drogami, ale powstaje również krytyka gospodarki, która do podobnego stanu doprowadzić mogła.

Okres reform dawno już nastał, prowadzić je należy choćby kosztem najwyższych wysiłków i to nie ograniczając się do pracy ustawodawczéj, ale czynnie regulując i pobudzając w odpowiednim kierunku produkcyę, zwłaszcza, że dopomaga w tém państwo, asygnując zwykle sumę takiéj saméj wysokości jaką daje kraj.

II

Przedewszystkiém reform i zmian domaga się własność włościańska. Stan jéj obecny, stosunek do własności tabularnéj i wynikające z dzisiejszego podziału roli następstwa staraliśmy się przedstawić w pierwszéj części téj pracy. Już i tam jasno występowało wyosobnienie stanu włościańskiego, nie mającego nawet lokalnéj instytucyi, w któréjby się z bardziéj oświeconą i zamożniejszą warstwą ziemiaństwa spotykał. Istniejące dotąd w Galicyi obszary dworskie, to przeżytek nie spotykany w żadnym z krajów austryackich, forteca szlachetczyzny, któréj stronnictwo konserwatywne broni dotąd zacięcie, jakkolwiek czuje, że przez to zupełne wyosobnienie pozbawiło się wpływu na stan włościański i że stan ten w miarę, jak wzrastać będzie jego oświata, uświadomienie polityczne i zamożność, coraz więcéj wyodrębniać się musi, a kto wié, czy nie stanąć we wrogim wprost do własności większéj stosunku.

Potrzebę reformy gminnéj odczuwają dziś wszystkie stronnictwa, ale gdy stronnictwa ludowe żądają zniesienia obszarów dworskich (socyaliści), połączenia ich z gminami (ludowcy) co jest równoznaczném, gdy nawet należący do Związku chłopskiego [1]), poseł Stanisław Potoczek stawiał (dnia 7/III 1892 r. wniosek wcielenia obszarów dworskich do związku gmin [2]), to stronnictwo konserwatywne proponuje dogodniejsze dla wielkiéj własności utworzenie

---

[1]) Związek chłopski oparł się na zasadach katolickich, na jego czele stoją księża, cel—odpieranie prądów radykalnych, zakładanie i czynne popieranie towarzystw przemysłowych, kółek rolniczych i t. p.

[2]) „dla wzmocnienia gmin wiejskich i małomiejskich przez pomnożenie ich siły podatkowéj i równoczesne przydanie im członków więcéj wykształconych“.

ciał zbiorowych autonomicznych, do których należałyby obszary dworskie i gminy [1]).

Ostatecznie sejm obradował nad projektem prawicy, postawionym przez J. E. posła Dunajewskiego o zaprowadzenie gminy zbiorowéj, albo okręgowéj, czyli administracyjnéj, w któréj skład weszłoby kilka gmin i obszarów dworskich, przyczém gmina miałaby jeden głos, a każdy obszar dworski również jeden. Takie niezaprzeczone faworyzowanie większéj własności (obszar dworski reprezentuje zwykle pojedynczego właściciela, gdy gmina jest ciałem zbiorowém) mogłoby włościanom przynieść korzyść tylko w tym razie, gdyby w zbiorowéj gminie nie występował antagonizm interesów dwóch odrębnych stanów, ale chęć zamożniejszéj, a często i oświeceńszéj braci w dopomożeniu mniéj zaradnym i uboższym. Ponieważ dotychczasowe doświadczenia nie wykazały w niczém tak humanitarnych stosunków, a obywatelstwo, zwłaszcza we wschodniéj części kraju, raczéj wrogo, niż przyjaźnie wobec chłopa jest usposobione, trudno od zamierzonéj reformy oczekiwać korzystnéj zmiany stosunków. Reforma gminna jest przecież konieczną, dotychczasowa gospodarka gmin ulega ogólnéj krytyce, ale celem byłoby tu wyrabianie ludzi, wskazywanie im kierunku i pracowanie dla ich dobra, nie zaś korzystanie ze zmiany aby włościan nowéj opiece i władzy szlachty poddać.

Stworzenie taniego i dostępnego kredytu dla włościan, to kwestya pierwszorzędnéj doniosłości. Po części rolę tę spełniają towarzystwa zaliczkowe, które, oprócz składek członków, rozporządzają od 1890 r. 500.000 złr. rocznego kredytu w banku krajowym, w części zaś kasy gminne, lub kasy oszczędności. Niema już dziś prawie powiatu bez kasy oszczędności lub zaliczkowéj, a lichwa, tocząca do niedawna bez podzielnie włościaństwo w Galicyi, została ograniczoną prawnie i w części zastąpioną przez pożyczki, instytucyi kredytowych. Powiaty zakładają dziś kasy z własnéj inicyatywy. Tak np. w latach 1896 i 1897 powstały kasy w Gródku, Nowym Targu, Horodence, w Lisku, w Sokalu, w Dobromilu, w Kolbuszowie, w Tarnobrzegu, w Białéj, na żądanie saméj że ludności.

Nie tu miejsce opisywać stosunki kredytowe w instytucyach, które mają głównie na celu udzielanie pożyczek włościanom, powiedzmy raczéj, jakim powinien być kredyt, aby istotnie odpowiadał ich potrzebom.

---

[1]) Wniosek Tadeusza Pilata z 27/IV 1893 r.

Przedewszystkiém, jak każdy kredyt rolny, tak i pożyczki dawane włościanom powinny być długoterminowe i umarzane ratami. Obok hypotecznych potrzebne są i osobiste, a jak jedne, tak i drugie powinnyby schodzić aż do sum najmniejszych. W banku krajowym np. prawne *minimum* pożyczki jest 500 złr., często jednak koniecznemi są pożyczki niższe, czego dowodem, że na 1410 pożyczek hypotecznych wypłaconych w ciągu 1889 roku włościanom, 257 wahało się między kwotą 250 — 500 złr. [1]). Gdyby ustanowioném było niższe *minimum*, prawdopodobnie nie omieszkaliby włościanie zeń skorzystać, bez uszczerbku dla banku. Włościanin bowiem, o ile tylko może, często z uszczerbkiem najpierwszych wygód życiowych, stara się spłacać swoje zobowiązania. Jako typowy przykład téj sumienności przytoczyć można fakt, że powiatowa kasa w Trębowli zażądała w banku krajowym oddzielnego kredytu 47,000 złr. w celu dopomożenia ludności włościańskiéj i wypożyczyła tę sumę na 387 weksli akceptowanych i poręczanych przez miejscowych włościan w kwotach 20 — 100 złr. Żaden z powyższych wekslów zaprotestowanym nie był [2]). Włościanie zatem rozumieją przyjęte zobowiązania i nowoczesną ich formę, a korzystaliby znacznie częściéj z kredytu, gdyby był on przystosowany do ich potrzeb.

Najodpowiedniejszą tu instytucyą zdaje się być tak spotwarzona w ostatnich czasach kasa gminna. Gminnych kas pożyczkowych było 1896 r. 3,427, czyli przeszło połowa gmin (z 6,234) w Galicyi posiadała kasy, których kapitał wynosił z końcem 1895 roku 6,080,433 złr. Na zachodzie kraju, gdzie włościanie chętnie korzystają z pomocy towarzystw zaliczkowych, gminne kasy pożyczkowe rozwijają się słabo.

I tak np. w powiecie	Chrzanów	gmin	84	kas	4
„	Wadowice	„	111	„	4
„	Myślenice	„	67	„	7
„	Żywiec	„	70	„	2

Tymczasem w pow.	Tarnopol	gmin	81,	kas 81	z kapitałem	256,000 złr.
„	Brzesko	„	112	„ 109	„	253,000 „

Kapitał kas podwoił się w powiatach Tarnopol, Bóbrka, Skałat (z 63,965 złr. do roku 1895 wzrósł do 139,895 złr.). W Czortkowie, Dąbrowie, w Mielcu szkontrum kasy wykazazało rezultaty bardzo dodatnie [3]).

---

[1]) Alegat 171 (do rozpraw sejmowych) rok 1890.

[2]) Tamże.

[3]) Alegat 245 do sprawozd. z sesyi sejmowéj z 1898 r.

Nie można tedy twierdzić, aby kasy gminne były instytucyą która przy odpowiedniéj reformie i sumiennem prowadzeniu potrzebom kredytu włościańskiego odpowiedzieć nie może. Przeciwnie kasy gminne mają dla Galicyi specyalnie wiele stron dodatnich. Przedewszystkiém są instytucyą już znaną włościanom, gdy każda inna musi dopiero zżyć się ze stosunkami miejscowemi, zarządzane są przez samą zwierzchność gminną i, o ile ta składać się będzie z ludzi zaufanych i światłych, na co oddziaływać trzeba, i kasa może być dobrze administrowaną. Przytém, udzielając pożyczki włościanom, należy mieć na oku nie tylko jéj spłatę, a więc interes saméj kasy, lecz także i pieczę nad dłużnikiem, aby istotnie użył pieniędzy według ich przeznaczenia, na melioracye, zakupno ziemi, narzędzi, przedsiębiorstwo jakieś i t. p. Włościanin potrzebuje wielekroć wskazówek i wychowania, a zadaniu temu najlepiéj odpowiedzieć mogą instytucye lokalne[1]).

Kasy gminne przeciwstawia się dziś w Galicyi kasom systemu Raiffeisena, których dotąd założono 15-cie. Te lokalne instytucye kredytowe posiadają istotnie właściwości dodatnie kas gminnych, a przewyższają je tém, że przyjmują udziały i oszczędności od członków. Zarząd ich jest bezpłatny, a poręka członków nieograniczona. Ostatni ten warunek przecież, zarówno jak niezbędne dla rozwoju kasy inteligentne i chętne siły są powodem, że tworzenie się kas Raiffeisena postępować musi bardzo powoli, przedewszystkiém tam, gdzie brak kas gminnych. Na ich założenie wyasygnował tegoroczny sejm milion złotych płatnych w ciągu lat pięćdziesięciu.

Niewłaściwémby też było znosić kasy gminne, o ile funkcyonują poprawnie, aby na ich miejsce założyć kasę Raiffeisena. Obie instytucye istnieć mogą w kraju jednocześnie, a najważniejszą każdéj z nich zaletą jest zaopatrywanie potrzeb lokalnego kredytu. Kasy Raiffeisena obejmują nie jedną, lecz zwykle kilka gmin.

Wogóle sprawa kredytu włościańskiego nie schodzi z porządku dziennego i zaprzeczyć nie można, że się dla niéj coś robi, że nawet jest na dobréj drodze, tylko, że nie dość energicznie jest popieraną. Na daleko idących postanowieniach nie zbywa, a działa się powoli i półśrodkami. Postanowiono np. (uchwałą sejmową z 15 lutego

---

[1]) Charakterystyczny fakt opowiadał poseł Wachnianin podczas zeszłorocznéj sesyi sejmowéj: Pewien włościanin otrzymawszy w banku pożyczkę 400 złr. połowę użył na bieżące wydatki, drugą połowę zaś schował na spłatę rat bankowych. Gdy pieniądze wyszły, zaciągnął pożyczki lichwiarskie w tym samym celu.

1897 r.), aby bank krajowy wydawał obligacye kredytu komunalnego do 10 milionów złr. dla kas gminnych, towarzystw zaliczkowych i in. mających głównie na celu kredyt włościański. Rząd nie zatwierdził dotąd téj uchwały, ale czy nie jest ona wogóle przedwczesną, gdy ze sprawozdań bankowych widzimy, że i kwota półmiliona (patrz wyżéj) nigdy nie była wyczerpaną i schodziła często aż do 250,000 złr. Ten sam sejm z 1897 r. uchwalił dotacyę 5,000 złr. na zapomogi kas zaliczkowych i gminnych do rozporządzenia Wydziału krajowego. Z dotacyi na r. 1896 pozostało 3,100 złr. jako zaoszczędzenie, z 1897 r., w którym Wydział krajowy rozporządzał już 8,100 złr., pozostała oszczędność 5,786 złr. [1]).

Wiadomo, że oszczędność jest chwalebną cnotą w życiu prywatném, ale stanowi często dowód braku inicyatywy w działalności publicznéj.

Zresztą powolnemu szafowaniu kredytem dziwić się nie można, dopóki nie zażądają go w zwiększonéj mierze sami interesowani. Ci zaś wobec ostrożności właściwéj charakterowi chłopskiemu, żądać i potrzebowaćby go w znacznych rozmiarach mogli tylko w takim razie, gdyby otwierały się przed nimi widoki nowéj i wielce intratnéj działalności. Nowe pola produkcyi, przedsiębiorstwa przystosowane do warunków, w jakich żyje wieśniak galicyjski, mogą go dopiero wyrwać z apatyi, a rezygnacyę wobec biedy zamienić na przedsiębiorczość i energię. Naturalnie że pomysł i inicyatywa o ile oddziałać mają na całą ludność włościańską, muszą być dziełem polityki społecznéj prowadzonéj energicznie i wytrwale, która nie ogranicza się do reform prawnych, ale na nowe tory samą produkcyę wprowadza.

Przypatrzmy się przedewszystkiém, co zostało już dokonaném i czego od najbliższéj przyszłości oczekiwać możemy.

Za pierwszy krok w uregulowaniu stosunków własności włościańskiéj uznano komasacyę gruntów, sprawy gruntów wspólnie używanych w gminach, oraz ograniczenie podzielności ziemi włościańskiéj. Ustawy odnośne, dawno już wydane przez rząd centralny, doczekały się wreszcie w 1897 r. przedłożenia sejmowi przez wydział krajowy.

Komasacya (o którą już w 1885 r. dopominały się u nas kółka rolnicze) przeprowadzoną już jest na Morawach, w Karyntyi, Krainie i na Szlązku. W Galicyi zaś, wskutek nieustannych zmian, ja-

---

[1]) Sprawozdanie z czynności Wydziału krajowego za r. 1897.

kim podlega własność włościańska, stała się więcéj palącą, niż gdziekolwiek. Jak powiada T. Pilat, uzasadniając wniosek wydziału, przybywa rocznie koło 100,000 nowych parcel, często tak małych, że nie można ich uwydatnić na mapie kadastralnéj. Wynika z tego układ gruntów, nie nadających się często pod uprawę, tak są rozrzucone i drobne. Po skomasowaniu zaś, jakkolwiek pociąga ono za sobą znaczne koszta przez konieczność dokładnych pomiarów i oceny gruntów, wartość ich wzrośnie o $^1/_3$ a nawet połowę. Przed rokiem (18 lutego 1898 r.) ustawa o komasacyi została przyjętą i odesłaną do Wydziału krajowego. Za minimum parceli uznano 25 arów dla pól, a $1^1/_2$ hektara dla lasów. Ogrody mogą być dowolnéj wielkości. Od komasacyi wyłączone będą grunta budowlane, winnice, sady, gdyż bez szkody przenieśćby ich nie można na innego właściciela, zasadą zaś jest, aby właściciel otrzymał tę samą przestrzeń, jaką stanowiły jego parcele. Ponieważ niezawsze jest to możliwe, najwyższa różnica dochodzić może do 20%. Komasacya udawała się tylko tam, gdzie postanowiła ją prosta większość interesowanych, dla Galicyi przyjęto zatém tę samą zasadę. Mogły się pojawić głosy, żądające pewnych zmian powyższéj ustawy w szczegółach jéj wykonania, w zasadzie przecież każdy uznać musi jéj słuszność, tembardziéj, że przedewszystkiém zależy od zgody samych uczestników.

Poważniejsze wątpliwości nasuwają się w kwestyi uregulowania i podziału gruntów wspólnych, jakkolwiek dotychczasowa gospodarka gmin ogólnie uznana jest za wadliwą. Pozbawić gminy własności gruntowéj przez podział jéj między członków znaczyłoby naruszyć zdawna istniejące prawo i zwyczaj, a jednocześnie wywołać spory i niezadowolenie. To téż gdy w 1891 r. wydział krajowy rozesłał do powiatów kwestyonaryusz dotyczący gospodarstwa na gruntach wspólnie używanych, znaczna mniejszość oświadczyła się za ich przymusowém podzieleniem, wszystkie zaś oprócz powiatu Zbaraskiego, głosowały za uregulowaniem gospodarstwa gminnego. Te 617,000 mg. gruntu, które wobec małorolności włościan galicyjskich olbrzymie dla nich mogłyby mieć znaczenie, dziś, jak mówiliśmy o tém wyżéj, żadnego prawie nie przynoszą dochodu, a nawet raczéj ujemnie, niż dodatnio oddziaływają na uprawnionych. Włościanin bowiem właśnie dla tego, aby jak najwydatniéj zużytkować swoje prawo do pastwiska, trzyma więcéj bydła, niż może wyżywić, a przez to ma krowy małomleczne, a koniki chude, które zdają się być całkiem innym gatunkiem zwierzęcia, gdy postawimy je obok meklenburskich koni pociągowych, lub pięknego arabczyka. W sprawie

gruntów wspólnie używanych należałoby tedy oddziałać na gminę, aby racyonalniejsze na nich prowadziła gospodarstwo, zamieniała je w sady, lub dobrze utrzymane pastwiska, nie dopuszczała do rabunkowego gospodarstwa po lasach, a pomimo nieudolności i przysłowiowego niedbalstwa, z jakiém gospodarstwa gminne są często prowadzone, możnaby przecież łacniéj oddziałać na ciało zbiorowe, publiczne, niż na drobnego, prywatnego przedsiębiorcę włościanina. Ostatni nietylko odnosiłby korzyści z umiejętnéj gospodarki na obszarach, których jest współwłaścicielem, lecz nawet wzorowaćby mógł na nich własne kultury.

Tymczasem ustawa, nad którą sejm obradował w roku zeszłym, zawiera reformę prawodawczą, a ustanawiając udziały w stosunku do całości, reguluje prawa użytkowników. Dzieleniu podpadać mają grunta sporne między gminą i obszarem dworskim i t. zw. własność spółek, to zn. obszary dawniéj jednolite, które przeszedłszy do kilku właścicieli nie zostały podzielone. Ponieważ każdy rości sobie do nich jak najwięcéj praw, a nikt praw swoich na czas dłuższy nie jest pewnym, gospodarka obliczoną nie jest na jak najwyższą wydajność przez dłuższy przeciąg czasu, lecz często wprost rabunkową. Niewątpliwie, że ustawa usunąć tu może spory i przywrócić niejednego do praw mu należnych, ale nie wzmoże produkcyi, o co w stosunkach galicyjskich wszędzie i zawsze przedewszystkiém chodzić powinno.

W sam rdzeń kwestyi włościańskiéj chcą trafić projekta do ustaw o ograniczeniu dowolności dzielenia gruntów włościańskich, rozpoczęte wnioskiem Grocholskiego jeszcze w 1883 r. a wypracowane ostatecznie wraz z dwoma poprzedniemi przez Wydział krajowy w 1897 r. Rozumowanie jest mniéj więcéj tego rodzaju. Ustawa z 1868 r. pozostawiła właścicielowi gruntu zupełną swobodę dzielenia pomiędzy spadkobierców, traktując ziemię na równi z kapitałem pieniężnym. Następstwem téj ustawy jest dzisiejsze nadmierne rozdrobnienie posiadłości włościańskich, *ergo* ograniczenie prawa spadkowego niezbędném się stało jako środek zaradczy.

Statystyka i oparte na niéj reformy, wypracowane w ścianach biurowych gabinetów, niejednego już zaprowadziły na manowce, jakkolwiek nawet wykazywały najlepszą wolę swego twórcy. Ze stanem wytworzonym przez coraz daléj idący podział gruntów włościańskich zgodzić się dziś musimy o tyle, że posiadanie najmniejszéj choćby zagrody chroni często włościanina od zupełnéj zagłady. Własność karłowa przy dzisiejszym stanie uprawy jest klęską dla kraju, gdyż jak widzieliśmy zmusza ludność do najniższéj skali życiowéj, obniża

zarobki, nie pozwala prowadzić intensywnéj gospodarki rolnéj, a niekiedy uniemożliwia ją prawie. Czy jednak można ustanowić jakąś kategoryę posiadłości, którychby prawo dzielić nie pozwalało? Przedewszystkiém musiałyby to być zagrody obejmujące *minimum* niezbędne do prowadzenia samodzielnéj gospodarki. Znaną jest norma 20 morgów, jaką dla Królestwa postawił p. Ludwik Górski. Przyjąwszy nawet *minimum* 15 morgów nie znalazłoby się prawie w Galicyi zagród włościańskich w tym obszarze, chyba w górach wschodniéj części kraju, gdzie o właściwém gospodarstwie rolnem nie ma prawie mowy. To już pierwsza trudność. Drugą nie mniéj wielką stanowiłyby spłaty współspadkobierców, na które włościanin galicyjski bardzo rzadko posiada środki. Trzecią wreszcie najważniejszą, a przynajmniej nie mniéj ważną byłaby okoliczność, że podniosłaby się liczba bezrolnego proletaryatu wiejskiego, dla którego absolutnie niema sposobów utrzymania. Nic téż dziwnego, że podczas obrad ankiety agrarnéj, która zasiadała we Lwowie w grudniu 1897 r., głosy delegatów włościańskich, nie znających wprawdzie zasad ekonomii politycznéj, ani ustawodawstwa agrarnego Niemiec, na którém wychowali się galicyjscy politycy agrarni, ale za to rozumiejących i odczuwających potrzeby włościan, odzywały się stanowczo przeciw ograniczeniu swobody dzielenia.

A jednak zaprzeczyć trudno, że dzisiejsza dowolność jest zgubną, że pod jéj działaniem ziemia się proszkuje, a właściciel, karłowy rolnik, musi być istotą, dla któréj najważniejszym problematem myślowym jest jak ograniczyć potrzeby swéj rodziny, nie mającéj możności korzystania z najniższych nawet zdobyczy cywilizacyi współczesnéj. Pomimo to ograniczenie dowolności dzielenia jest eksperymentem nader ryzykownym.

Stwórzmy możność zarobkowania po za gospodarstwem rolném przez rozwój przemysłu, dajmy włościaninowi tani i dogodny kredyt, któryby umożliwił spłaty współspadkobierców, a wtedy jeżeli samodzielenie się nie zatrzyma, czas będzie nałożyć prawne ograniczenia.

Te wszystkie względy stwarzają wśród opinii publicznéj kraju silną opozycyę przeciw ograniczeniom prawa dzielenia gruntów. Ta negatywna opinia nie oddziaływa przecież na obecne położenie drobnéj własności, a położenie to gwałtownie domaga się środków zaradczych.

Na wzór Niemiec pragną niektórzy politycy galicyjscy stworzyć samodzielną własność włościańską przy pomocy t. zw. włości rentowych. Projekt tego rodzaju wniesiony został w październiku

1893 r. do wiedeńskiéj Rady państwa, w kilka miesięcy potém przedstawiał go sejmowi krajowemu poseł Pilat, a jakkolwiek nie przyszedł jeszcze pod obrady, wielekroć poruszany był w prasie, w krakowskim klubie konserwatywnym i podczas ankiety agrarnéj. Instytucya włości rentowych łączy się z odpowiednim bankiem. Pomysł utworzenia banku rentowego wysunął w sejmie poseł Połoczek (8/V 1893 r.), należący do konserwatywnego związku chłopskiego.

Bank rentowy miałby udzielać włościanom pożyczek na kupno, na spłatę współwłaścicieli i na wykupno ciężarów gruntowych. Pożyczka wypłacana w 4%-owych obligacyach służyłaby na kupno włości, któréj spłata dokonywała by się w ciągu 28½ lat, po 6% od pożyczonéj sumy. Włości rentowéj nie wolno sprzedać, wydzierżawić, ani zaciągnąć na nią długu, oprócz pożyczki w obligacyach rentowych. Posiadacz byłby tedy zupełnie zabezpieczonym i po 28½ latach staćby się mógł panem gospodarstwa samodzielnego. Instytucya tego rodzaju korzystną byłaby raczéj dla jednostek, aniżeli dla milionowéj masy, którą z dzisiejszego położenia wybawić trzeba. Środkiem zaradczym na włościańską biedę bank rentowy stać się nie może, jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że w niektórych wypadkach bardzo użytecznie mógłby działać.

Gdyby akcya energiczna w jednym kierunku nie musiała z konieczności oddziałać niekorzystnie na inną, która prowadzoną być powinna równolegle, a nawet przedewszystkiem projekt włości rentowych, które przy pewnym nadzorze staćby się mogły wzorowemi fermami dla włościan, powitaćby można sympatycznie. Galicya nie jest przecież polem odpowiedniém dla spokojnych eksperymentów, ale raczéj wycieńczonym chorym, który co najprędzéj domaga się wzmocnienia i posiłku, bo inaczéj wszystkie dokonywane na jego ciele operacye udadzą się doskonale, a chory przecież skona.

III.

Rozpatrując istniejące stosunki i zamierzone reformy, zadać sobie musimy pytanie, czy w ogóle reformy prawodawcze dla poprawy bytu drobnéj własności w Galicyi wystarczą, czy dość wytworzyć instytucye kredytowe, aby stały się dostatecznym środkiem do podniesienia dobrobytu?

Przedewszystkiem bowiem liczyć się musimy z faktem olbrzymiego rozdrobnienia posiadłości włościańskich, a stąd małego ich rozmiaru i ogromnéj liczby posiadaczy, którzy dotychczas skazani

są na wielką nędzę, a którym w zakresie tych posiadłości dopomódz trzeba? Jest tu tylko jeden sposób: podnieść produkcyjność ziemi i zaprowadzić takie rodzaje kultury, które na małéj przestrzeni daćby mogły wysoki dochód, gdzie użyteczném i konieczném byłoby zastosowanie dużéj ilości pracy, zamieniając czysto rolniczy typ gospodarki na rolniczo-przemysłowy i handlowy. Już w ciągu téj pracy wskazywało się na to, dając przykład krajów, które potrafiły zużytkować wielkie rozdrobnienie ziemi tak, że nie stało się ono, jak u nas, powodem zubożenia ludności, ale nawet oddziałało na podniesienie dobrobytu.

Potężnym i dającym się szeroko zastosować środkiem byłoby rozpowszechnienie uprawy ogrodniczéj. Uzasadniając to powtórzyć nam wypada argumenty, których użyliśmy przed paru miesiącami na inném miejscu, a które niedostateczny znalazły wtedy oddźwięk [1]). Mylném jest mniemanie, jakoby uprawa ogrodnicza udawać się mogła tylko w bliskości miast. Przeciwnie każdy produkt ogrodniczy albo jego przeróbka znosi nawet najdalszy transport, tak np. niektóre warzywa jak kalafiory, główki kapusty, przybywają do Galicyi z Włoch lub Węgier. Odpowiednie zapakowanie owoców pozwoli na najdalszy ich przewóz. Zresztą im lepszy jest gatunek warzywa, czy owocu, tém większą jego cena, przyczém opłacają się koszta przewozu i opakowania. Przy produkcyi nasion zaś do *minimum* redukowałyby się koszta i trudności przewozu, gdyż cena nasion jest z reguły wysoką, względnie do ich objętości. Kwiaty przybywają do nas przez całą zimę z Włoch i Nicei, nie będą one przecież nigdy odpowiednim dla gospodarstwa włościańskiego artykułem.

Odległość od miast nie jest szkopułem dla kultury ogrodniczéj. Brak arteryi komunikacyjnych, takich jak koleje żelazne, jak nie jest ostatecznym argumentem przeciw rozwojowi przemysłu, tak nie będzie nim przeciw powstaniu ogrodnictwa. W obu wypadkach powstać one mogą, jako zjawisko wtórne wywoływane przez rozwój gospodarczy.

Nie dla wszystkich gospodarstw rolnych zalecać można kulturę ogrodniczą, ale właśnie dla najdrobniejszych. Ich właściciele stają prawie w jednym rzędzie z proletaryatem chałupniczym, a dla braku przemysłu w robotników przemysłowych zamienić się nie mogą. Na posiadłości kilkunastomorgowéj, a nawet przy obszarze 8

---

[1]) Słowo Polskie № 155 i 181 z 1898 r.

lub 10 morgów uprawa ogrodnicza nie byłaby możliwą, gdyż włościanin musiałby utrzymywać obce siły pomocnicze, gdy najłatwiéj mu jest zużytkować pracę członków własnéj rodziny. Dałby się zapewne uczuć brak nawozu, który jest koniecznym, aby uprawa ogrodnicza wydajną była. Zbytecznêm byłoby również zalecać prowadzenie ogrodnictwa w tych gospodarstwach podmiejskich, gdzie główny nacisk położono już na mleczarstwo. Taki włościanin jak wykazują istniejące już w saméj Galicyi przykłady (np. pod Krakowem) nie tylko nie sprzedaje ziarna, ani paszy, ale jeszcze dokupuje dla bydła i świń. Sprzedaż świeżego mleka, masła, prosiąt lub wieprzy przynosi bardzo dobry dochód, a hodowla ich daje pracę wszystkim członkom rodziny, a czasem i sile najemnéj.

Uprawa ogrodnicza nie będzie tedy jakimś powszechnym środkiem zaradczym dla gospodarstw włościańskich, gdyż nie należy jéj zalecać, ani tam, gdzie dostateczny obszar pozwala na intensywną kulturę rolniczą, ani w tych osadach, które prowadzą gospodarstwo nabiałowe lub przeważnie opasowe.

Same warunki odżywiania naszego ludu świadczą, jako mało rozpowszechnionêm jest ogrodnictwo: używanie owoców świeżych a têm mniéj suszonych, nie wchodzi do jego kuchni, jarzyn, oprócz kapusty, ziemniaków i grochu nie używa prawie. Lepsze i więcéj urozmaicone pożywienie byłoby pierwszą korzyścią z rozpowszechnienia kultury ogrodniczéj.

Jak widzieliśmy kultura ogrodnicza zajmuje w Galicyi bardzo małą przestrzeń. Jednak i te 109,259 hektarów stanowiłyby pewne bogactwo, gdyby te ogrody nie składały się przeważnie z sadów zarosłych przez zdziczałe drzewa, z zagonów warzywnych, zwykle niezdrenowanych, nawet w okolicach podmiejskich, zarosłych kapustą na długich jak bociany nogach, lub innêm takiêm i źle utrzymanêm warzywem. W całéj Galicyi liczono na 100 hekt. przestrzeni rolnéj 1.40 ogrodów. Według stref rozdzielały się one w następujący sposób. W Krakowskiêm 1.2%, na Powiślu 0.4, na glinkowatych pagórkach zachodnich 0.96, na podgórzu zachodniêm 0.7, na wschodniêm Podgórzu 0.65, w porzeczu Sanu i Dniestru 1.5, w powiatach wschodnich i środkowych 1.7, w powiatach północno-wschodnich 1.9, na Podolu 2.96.

N. Cybulski [1]) wspomina o trzech powiatach (Mielec, Tarnobrzeg i Turka), w których sadownictwo wcale nie istnieje, a o in-

---

[1]) Cyt. wyżéj s. 141 i 142.

nych 12-tu, w których bardzo mało ma być rozpowszechnioném. W Saksonii np. istnieje nietylko mnóstwo sadów, ale drogi i nieużytki obsadzone są drzewami owocowemi, Galicya nie wywozi dziś już owoców, które parę dziesiątków lat wstecz płynęły całemi galarami choćby do Królestwa. Warzywa i owoce są drogie, a przez to małą odgrywają rolę w spożyciu nawet u klas zamożniejszych, stąd niewielki zbyt, a przez to mały zarobek. Dziś kiedy minęła wiara w znaczenie mięsa, jako jedynego pokarmu odżywczego, kiedy wiadomo nam, że dobre i silne pożywienie polega głównie na umiejętnym doborze i mieszaniu jego składników, jarzyny i owoce, produkowane na wielką skalę, mogłyby właśnie przynieść korzyść.

Ogrodnictwo nie wymaga specyalnych warunków gleby. Na wielkich przestrzeniach do gleby stosować trzeba odnośne rośliny, gdyż zmiana gleby wymagałaby w przeciwnym razie wielkiego nakładu pracy i kapitału, co nie zawsze opłacićby się mogło. Ogrodnictwo prowadzoném bywa zwykle na małéj przestrzeni, gdzie łatwiéj sztucznie stworzyć odpowiednie dla roślin warunki gruntu. Zależy tedy nietyle od gleby, co od klimatu. Przez dodanie wapna, gliny, piasku, marglu lub humusu i odpowiednie nawożenie zmienić możemy każdą prawie ziemię na ogrodową, tém bardziéj, gdy dla podjęcia téj pracy mamy odpowiednią ilość rąk, co może mieć miejsce w rodzinie włościańskiéj. Nawozy zdobywa najdrobniejszy nawet rolnik, o ile umiejętnie wziąć się do tego potrafi. Należy tu zużytkowanie odpadków, robienie kompostów, skrzętne zbieranie nawozów po drogach, namuliska [z rowów i stawów (tak zw. stawarka). Wszystko z pomocą bydlęcego nawozu wytworzyć powinno nawet zdaleka od miast dostateczną ilość nawozu na ogrody i sady. Należałoby również zwalczyć przesąd, nie pozwalający używać za nawóz kału ludzkiego, tego najlepszego z nawozów, który nieocenione daćby mógł bogactwo. Nie byłoby to tak trudném, gdyż sami włościanie we wsiach pod Krakowem, takich jak Bienanów, Bronowice lub Dąbie używać poczęli kloacznego nawozu.

Różnice klimatu niekoniecznie stanowią przeszkodę, ale są warunkiem, do którego rodzaj ogrodniczéj kultury zastosować należy. Galicya, jak widzieliśmy wyżéj, posiada różnorodne warunki klimatyczne, ale niema krańców temperatury, któreby wzrost roślinności uniemożliwiały. Stosując się do tych warunków wytwarzaćby mogła prawie wszystkie rodzaje owoców i warzyw i prowadzić produkcyę nasion na wielką skalę. Mamy przecież pas południowy dokoła Zalenczyk, gdzie kultura moreli stanowi poważny przemysł. Klimat górski sprzyja hodowli śliwek, w zachodniéj części kraju udają

się wyborne jabłka. Nasze brzoskwinie, morele, śliwki i gruszki stanowićby mogły poważną konkurencyę dla Węgier. Różnice klimatu w różnych częściach kraju dopomogłyby do urozmaicenia różnorodnych nasion.

Za kulturą ogrodniczą w Galicyi przemawia jeszcze rozbicie parcel gruntowych, wiele niw włościańskich ma zaledwie 6—10 metrów szerokości, a komasacya zajmie w każdym razie długie lata. Dla ogrodnictwa szkopuł to znacznie mniejszy, niż dla uprawy rolnéj. Każda parcela użyć się da pod odrębne warzywo. Ogrodnictwo potrafi nawet dostrzedz dla siebie korzyść w owém rozbiciu, mianowicie przy hodowli nasion. Sadząc plantacye nasienne o kilka lub kilkadziesiąt sążni, ogrodnik będzie bezpiecznym, że mu się rośliny nie pokrzyżują. Przy grodzeniu, o ile ogrody, choćby różnych właścicieli, przytykają do siebie, płot może być wspólny, a więc wypada znacznie taniéj.

Oprócz znanéj i wielkiéj wydajności za kulturą ogrodniczą przemawiają względy ogólniejszéj natury. Przedsiębiorstwo drobne pomyślnie tu współzawodniczy z wielkiém, gdyż z natury swojéj równie dobrze, a niekiedy lepiéj prowadzoném być może na małéj, jak i na wielkiéj przestrzeni. Ogrodnictwo nie wyjaławia gruntu, ale go przeciwnie poprawia. Już samo kopanie, poruszanie gruntu, rozbijanie brył polepsza fizyczne jego właściwości. Przy uprawie tępi się szkodliwe dla roślin pędraki, myszy, podjadki; wyrywając i wybierając chwasty zmniejsza się ich liczbę. Silne nawożenie zwiększyć też musi płodność gruntu i mierną rolę nawet zamienić na pierwszorzędną, gdyż raz wszedłszy na tor ogrodnictwa, włościanin zastosuje również nawozy sztuczne a ulepszenie gruntowe łatwiéj dostępném mu się stanie.

Kultura ogrodnicza wymaga przeważnie roboty ręcznéj, jak sadzenie, pielenie, okopywanie, podlewanie i nieustannego a pieczołowitego nadzoru. Warzywnicza uprawa ogrodu na jednéj mordze wymaga mniéj więcéj 3 robotników. Uprawa ogrodnicza drobnéj nawet posiadłości dawałaby tedy zajęcie całéj rodzinie włościańskiéj. Robota odmienna przy każdym gatunku warzywa równomierniéj byłaby podzieloną na całą wiosnę i lato. Zbiór owoców, przyrządzanie roli, zbiór warzyw, sortowanie, pakowanie, suszenie owoców, robienie powideł, regulówka zajęćby musiały jesień. W zimie przyszłoby wyrabianie palików, kołów, koszów, robienie mat, czyszczenie, oskrobywanie i cięcie drzew, słowem rok cały zajęłyby zajęcia użyteczne i do tego samego skierowane celu.

Równomierniejszemu podziałowi robót odpowiadałby również powolniejszy, a stały wpływ dochodu. Dziś jeżeli gospodarstwo włościańskie ma cośkolwiek do sprzedania, sprzedaje odrazu. Przypuszczając rzadki, a korzystny wypadek, że uzyskanego dochodu nie pochłonęły podatki i lichwiarz, chłop posiada go jednorazowo, przez co powstaje pokusa jednorazowych zbytkownych wydatków. Naturalnie, że cały rok pokutować za nie musi. Przy uprawie ogrodniczéj zyski są większe, a obrót kapitału szybszy ciągle się powtarza, zamożność wzrasta. O ile nagłe zbogacenie, jak to np. widzimy wśród chłopów-nafciarzy, mały wpływ kulturalny wywiera na rodzinę włościańską, to stałe podniesienie dochodów zmienićby mogło zupełnie stopę życiową. Dokona się to tém prędzéj, że ogrodnik musi być poniekąd przemysłowcem i handlarzem. Sprzedaż owoców i jarzyn, wyszukiwanie dla nich rynków zbytu, rozbudzą ruchliwość i przedsiębiorczość, której właśnie brak naszym wieśniakom. Tu nie wystarcza już automatyczne sadzenie kartofli lub sianie zboża tak jak czynił dziad i ojciec, ogrodnik musi mieć inicyatywę, musi natężać nietylko ręce, ale i myśl. Im wyższym będzie otrzymywany lub spodziewany dochód z ogrodu, tém intensywniejsza pobudka do czynu. Kultura ogrodnicza więcéj od rolnéj zbliża się do zajęcia przemysłowego, wymaga umiejętności, przygotowania, staranności i pracy. Nie sądzimy, aby tych dodatnich przymiotów brakowało naszemu wieśniakowi. Przeciwnie przejawiają się, ilekroć się do tego nadarzy sposobność. Pod Bochnią, np. gdzie dziś już całe wioski zajmują się ogrodnictwem, wynajdują nawet proste a doskonałe sposoby uprawy, wytwarzają nowe gatunki ziemniaków, starając się o ile możności zataić swoją umiejętność. Wioski te, pomimo wielkiego rozdrobnienia gruntów, (kto posiada 8 morgów uważany jest za bogacza) cieszą się dobrobytem, a ludność niezwykle jest inteligentna, zdarzały się przypadki, że wieśniacy tamtejsi wykupywali posiadłości niemieckich kolonistów.

Przykładów takich przytoczyć można więcéj:

W Krzywczycach pod Lwowem pomimo rozdrobnienia posiadłości włościańskich zamożność jest niezła dzięki spieniężaniu wszelkich produktów rolnych, a szczególniéj nabiału i warzyw. W pow. Żydaczowskim, gdzie wogóle uskarżają się na biedę, wyjątek stanowi gmina Rozdół, której mieszkańcy z zamiłowaniem i niepoślednią znajomością rzeczy sadownictwem się zajmują i u których stanowi ono wybitne źródło dochodu.

W pow. Brodzkim, gdzie wogóle zamożność jest nizka, wyróżnia się gmina Załoźce, posiadająca rozległe sady po kilka i kilkana-

ście morgów. Składają się one z doborowych gatunków grusz, jabłoni, śliw i wiśni „amaryle" zwanych. Ostatnie rozsyłane bywają nawet do miast niemieckich. Właściciele sadów mają téż znaczne dochody.

W gm. Bartniki (pow. kołomyjski) sadownictwo stanowi jedną z najważniejszych gałęzi dochodu; w gm. Sowliny (pow. limanowski) przynosi sporą korzyść gospodarzom, to samo powtarza się w Męcinie, Szecyrzycach, gdzie sadownictwo zaprowadzili Cystersi, w Krasnéj Zasocicy, w Stroniu, w Kamienicy, Porębie i Małéj Kamionce. Niektóre z tych gmin zaniedbują nawet gospodarstwo rolne, a starannie prowadzą sady, które są dla nich główném źródłem dochodów. Podobne stosunki panują w niektórych gminach pow. Myślenickiego [1]. Włościanie sami dali zatém początek kulturze ogrodniczéj.

W porównaniu z zajęciem przemysłowém ogrodnictwo i sadownictwo mają tę wyższość, że nie czynią z ludzi kółek maszyny, nie obezwładniają ich monotonią i jednostronnością zajęcia. Wieśniak nasz zamieniony w przemysłowca domowego łatwo traci rzeźwość i zdrowie, a przytém zarabia bardzo niewiele. Ogrodnik więcéj jest samodzielny, może osiągnąć większy dochód, a tak samo jak rolnik pracuje na świeżém powietrzu, nie zmienia więc trybu życia. Do zajęć przemysłowych w ogrodnictwie zaliczyć należy hodowlę nasion i przygotowywanie przerobów owocowych i warzywnych.

Galicya wydaje rocznie koło 5 mil. złr. na nasiona [2]. Czy te 5 milionów nie powinnyby zostać w kraju, zasilając ubogie kieszenie chłopskie? Dziś węgierski przekupień (bo nawet nie hodowca) Mauthner ma w Galicyi cztery tysiące odbiorców na swoje nasiona. Pozornie przygotowywanie nasion wydaje się zbyt trudną dla chłopskich mózgów i zbyt delikatną dla rąk chłopskich robotą. Jest jednak inaczéj. Chłop francuski pod względem rozwoju umysłowego nie stoi wyżéj od naszego, choć przewyższa go zasobem wiadomości technicznych, które przy staraniach i pracy i u nas rozpowszechnić się dadzą. Otóż wieśniak francuski jest właściwie wytwórcą nasion, które Francya w wielkiéj liczbie rozsyła po Europie. Główny, a prawie że jedyny na całą Francyę przedsiębiorca nasion, firma Vilmorin

---

[1] Cyt. prawie dosłownie wedł. sprawozdania Zarządu głównego Tow. kółek rolniczych za r. 1895.

[2] Wedł. referatu p. Szarka, wypowiedzianego w r. z. w krakowskiém Tow. Ogrodniczém.

w Paryżu, skupuje nasiona od chłopów, prowadzących specyalnie w tym celu kultury ogrodnicze. Agenci jego zamawiają nasiona po całéj Francyi. Nasiona czyszczone są u hodowców przy pomocy maszyn lub też na miejscu pod Paryżem, tu również wysiewa się je na próbę na kilkunastu przeznaczonych na ten cel morgach, a sprawdziwszy wartość puszcza się w sprzedaż. Taki przedsiębiorca prywatny nawet w Galicyi mógłby nietylko zrobić majątek, ale zużytkować siły tysięcy gospodarstw włościańskich.

Więcéj gwarancyi, niż spekulacya prywatna, dałaby inicyatywa kraju, lub kółek rolniczych, które zajęły się już sprowadzaniem nasion zbożowych. Dla produkcyi nasion ogrodniczych kraj wytworzyćby musiał specyalistów, aby udzielali włościanom odpowiednich wskazówek. To chyba ważniejsze od kształcenia ogrodników dla większych właścicieli ziemskich, ku czemu się dotąd główne zwraca usiłowania.

Mówiąc o przerobach owocowych i warzywnych mieć należy na uwadze najprostsze, które i dziś wyrabiaćby można. Kwaszenie ogórków w odpowiednim czasie, przygotowywanie powideł na zbyt, to tajemnice poczęści już wieśniakowi znane, do których potrzeba mu tylko większéj ilości ogórków i śliwek. Dodaćby można suszenie owoców w piecach po chlebie i robienie pasty owocowéj. Konserwy warzywne, czy owocowe wymagają już dokładniejszéj roboty, oraz kapitału na blachy, słoiki, etykiety. Wyrób ten w chłopskiéj chacie napotykałby na wielkie trudności, a spodziewać się można, że produkcya fabryczna wzrosnąć powinna. Poprzedzić ją, a przynajmniéj towarzyszyć jéj musi hodowla owoców i warzyw, na których brak uskarżają się dziś istniejące suszarnia warzyw w Bochni i fabryka konserwów w Lubyczy królewskiéj.

Do rozpowszechnienia ogrodnictwa konieczną jest pomoc kraju i towarzystw ogrodniczych. Zorganizowane i wytrwałe usiłowania w postaci szkół ogrodniczych, nauki ogrodnictwa w szkole ludowéj, sadów i ogrodów wzorowych, jakie powstaćby mogły u nauczycieli lub na gruntach gminnych, rozrzucanie broszur i pisemek i t. p. skierowaćby mogły włościan na tę nową, a tak odpowiednią dla nich drogę [1]). Największe znaczenie mogłaby tu mieć systematyczna

---

[1]) Postanowioném jest już założenie szkoły ogrodniczéj dla włościan w Zaleszczykach. Co zaś do nauczycieli ludowych, których do ich przyszłéj roli przygotować trzeba, to akcyę w tym kierunku rozpoczęło już Towarzystwo Ogrodnicze w Krakowie: 10 nauczycieli kształci się co roku.

nauka ogrodnictwa, jako przedmiot obowiązujący w szkołach ludowych dla chłopców i dziewcząt. Ogrodem demonstracyjnym i naukowym mógłby być ogród nauczyciela, obrabiany przez dzieci. Istnieją przykłady np. w Ujściu Solném pod Bochnią, że zajęcia ogrodnicze nie przeszkadzały bynajmniéj nauce czytania i pisania.

Ogrodnictwo byłoby tedy najdostępniejszym może sposobem zaprowadzenia intensywnéj kultury wśród najdrobniejszéj własności. Mleczarstwo bowiem, zdaniem znawców, wymaga już urządzeń i maszyn, które dostępnemi są zaledwie dla spółek włościańskich, lecz nigdy dla posiadaczy gospodarstw karłowych. Intensywne gospodarstwo rolne możliwém jest zaledwie w nieznacznéj części gospodarstw włościańskich większych, które co do obszaru swego należą do samodzielnych.

Że jednak intensywna uprawa rolna i zamożność stanu włościańskiego możebną jest nawet przy wielkiém rozdrobnieniu ziemi, o tém świadczą stosunki w innych krajach. Jako przykład weźmy tutaj Francyę.

W 1892 roku własność rolna we Francyi dzieliła się na następujące kategorye:

Przedsiębiorstw rolnych	Ilość posiadłości w 1892 roku	Zajmowana przestrzeń w hektarach w 1895 r.
Poniżéj 1 hektara	2,235,405	1,327,253
od 1 — 5 „	1,829,259	5,489,200
„ 5 — 10 „	788,299	5,755,500
„ 10 — 40 „	711,118	14,313,417
Powyżéj 40 hektarów	138,671	22,493,393 [1])

Wśród tych 4,814,870 przedsiębiorstw rolnych spotykamy wprawdzie dość poważną liczbę osad (od 5 do 10 hektarów), które przy uprawie czysto rolniczéj, nawet tak prowadzonéj, jak u nas, zaliczoneby być mogły do samodzielnych i przedstawiać stan chłopski. Ale obok nich istnieje wszakże przeszło 4 miliony osad, które nie dosięgają przestrzeni 5 hektarów, a zatem 20 morgów, a pomimo to stan włościański jest we Francyi zamożny. Porównywając rezultaty statystyki z lat 1882 i 1892 widzimy w pierwszéj kategoryi (poniżéj 1 hektara) wzrost o 67,738, w drugiéj zaś (od 1 — 5 hekta-

---

[1]) Statistique agricole de la France. Resultats généraux de l'enquête decennale de 1892, s. 357.

rów) obniżenie się liczby osad o 36,619[1]). Trudno zatém powiedzieć nawet, czy rozdrobnienie własności wzmaga się lub zatrzymuje. W każdym razie nie jest zjawiskiem nowém, a Levasseur powiada, że „przedsiębiorstwa rolne nie były bardziéj rozdrobnione w XVIII stuleciu, niż są obecnie" [2]). Rozmiary uprawy przetrwały tedy od stu lat przeszło, ale zmieniło się zupełnie położenie ludności wiejskiéj. Jeszcze lat temu pięćdziesląt rolnik francuski nie mniejszym był od naszego nędzarzem. Jak powiada Leroy Beaulieu „dwie trzecie ludności obywało się bez mięsnego pożywienia, a nawet bez pszenicznego chleba, żyjąc chlebem żytnim, kartoflami, kukurydzą i kasztanami. Dziś podstawę pożywienia stanowi chleb pszeniczny, a mięso i wino lub cydr codziennie zjawiają się na stole" [3]). Ten wzrost zamożności przypisać należy intensywniejszéj uprawie roli, a przyrost najniższéj kategoryi gospodarstw (do 1 hektara, czyli 4-ch morgów) wraz z tém co wiemy o rozwoju ogrodnictwa we Francyi świadczy, że owa intensywniejsza uprawa roli musiała być ogrodniczą. Dzisiejsze stosunki w Galicyi, co do stopy życiowéj ludności, panowały we Francyi przed 50-u laty; porównywając płace zarobkowe cofnąćbyśmy się musieli jeszcze daléj. I tak przeciętny dochód roczny wyrobnika rolnego w Galicyi według wykazów kas chorych był 90 złr. rocznie. We Francyi roczny dochód robotnika rolnego wynosił według de Forille'a w 1700 roku 180 franków (a zatém 90 złr.). W 1813 roku 400 franków, a w 1882 r. 880 [4]).

Kultura ogrodnicza w żadnym kraju europejskim nie jest tak rozpowszechnioną, jak we Francyi. Jak oblicza Baltet [5]) same warzywa zajmują 430,000 hektarów, a dzięki téj wielkiéj wytwórczości „spożycie warzyw rozpowszechnioném jest wśród wszystkich warstw społeczeństwa, targi warzywne potworzyły się po wszystkich miastach, dobroć warzyw się podniosła". Wieśniak francuzki obok gospodarstwa rolnego hoduje szparagi, karczochy, kapustę, groch, fasolę, rzepę, osiągając przytém wysokie zyski. I tak np. karczochy dają czystego dochodu z hektara 2,000 franków, szparagi, zależnie od miejscowości 3, 4 a nawet 5,000. Warzywa francuskie wywożą

---

1) Tamże, oraz Resultats de l'enquête decennale de 1882, s. 280.

2) „La culture (je ne dis pas la proprieté) n'était assurément pas moins divisée un XVIII siècle que de nos jours". Des progrès de l'agriculture française... Revue d'économie politique. Styczeń 1898.

3) Traité d'économie politique. Paryż 1896.

4) Cyt. u Leroy Beaulieu t. II s. 305.

5) L'horticultureq dans les cinq parties du monde.

do Hiszpanii, Algieru, Belgii, Stanów Zjednoczonych A. P. Od 50 lat suszenie i prasowanie jarzyn okazało się wybornym środkiem ich konserwowania, pozwalając rozszerzać skalę przedsiębiorstw. Do 10 milionów klg. jarzyn przerabia się corocznie na konserwy. Uprawa truskawek olbrzymio jest rozpowszechnioną i daje od 1½—2 tysięcy franków czystego dochodu z hektara [1]). Ogrodnictwo we Francyi nie jest zależnem od bliskości miast, jakkolwiek najwięcéj rozwinęło się pod Paryżem, gdzie powstały podmiejskie fermy, poświęcone wyłącznie kulturze jednego gatunku. Olbrzymią pomoc znajduje jednak w wybornych środkach komunikacyi, które wywołały powstanie sadów i stacyj owocowych, a wśród nich fabryki przerobów na wielką prowadzone skalę. Znaczna ilość sadów należy do wieśniaków, a jak powiada cytowany już autor „kasy oszczędności po wsiach liczą tém więcéj wkładek, im bardziéj rozpowszechnione są sady i łąki".

Nie tyle piękny klimat Francyi, bo wszak i Hiszpania cieszy się dobrym klimatem, co opieka, jaką rząd i stowarzyszenia otaczają ogrodnictwo, przyczyniła się do olbrzymiego rozpowszechnienia tegoż. W szkołach rolniczych wyższych i departamentalnych ogrodnictwo stanowi obowiązkowy przedmiot, wzorowe fermy służą do nauki hodowli warzyw, stacye agronomiczno-ogrodnicze zaopatrzone są w laboratorya, departamentalne wykłady rolnictwa i ogrodnictwa odbywają się z 200 katedr, a wreszcie do szkół gminnych wprowadzono ogrodnictwo, jako przedmiot obowiązkowy, który nauczyciele i nauczycielki znać muszą.

Téj akcyi rządowéj odpowiada inicyatywa prywatna w postaci szkół rolniczych i ogrodniczych oraz stowarzyszeń centralnych i lokalnych. W zakładach rolnych dla sierot ogrodnictwo jest przedmiotem równorzędnym z rolnictwem. Porównywać Galicyę z jéj trzema młodemi Towarzystwami ogrodniczemi i jedyną szkołą w Tarnowie, z dzisiejszą Francyą byłoby śmiesznem. Ale warunki bytu ludności wiejskiéj na tyle są podobne, że za wzór postępowania Francyę postawić sobie można.

Jak dotąd pomoc ze strony kraju i rządu skierowana ku podniesieniu intensywności gospodarstw rolnych idzie jeszcze w całkiem

---

[1]) W 1891 r. świeżych jarzyn wywieziono z Francyi 37½ mil. kilogr., suszonych i prasowanych 12.7 mil. kil. (Baltet, cyt. wyż.).

innym kierunku. Główną uwagę zwrócono na bydło rogate [1]) i na gospodarstwo zwierzęce wogóle.

Dla własności większéj, a nawet dla włościańskiéj samodzielnéj jest to niewątpliwie bardzo ważne, témbardziéj że chodzi o wytworzenie przystosowanéj do warunków kraju rasy bydła. Najmniejsi właściciele korzystają z tego przecież nader mało, są zbyt ubodzy, aby prowadzić hodowlę bydła wymagającą znacznych wkładów kapitału. Na intensywną uprawę zaś, na ogrodnictwo i sadownictwo kraj i państwo dawały dotąd nadzwyczaj małe sumy.

I tak w sprawozdaniach Towarzystw rolniczych krakowskiego i galicyjskiego (pierwsze obejmuje zachodnią Galicyę, drugie wschodnią) za rok 1897 wypada z subwencyi rządowych i krajowych na

1. gospodarstwo zwierzęce 99.502
2. wydawnictwa, cele naukowe, nauczycieli wędrownych 16.612
3. uprawę rolną (nasiona, nawozy sztuczne, próbne uprawy) 10.069
4. ogrodnictwo tylko 4.552

Blizko połowa z wydatków na ogrodnictwo bo 2000 idzie na szkołę ogrodniczą, pozostaje minimalna 2,552 złr., suma która w roku 1898 wzrosła, daleką przecież jeszcze od zaspakajania istotnéj potrzeby rozpowszechniania kultury ogrodniczéj.

V.

W nagłówku części drugiéj niniejszéj pracy postawiło się pytanie: Reformy ustawodawcze, czy zmiana kultury rolnéj? Pytanie to niezupełnie ściśle oddaje właściwą myśl naszą. Nie chodzi tu o wybór między rozporządzeniami ustawodawczemi, a samopomocą, zdążającą do przeobrażenia nizkiéj kultury rolnéj w wysoką handlową, lecz o taki szereg działań wśród organów ustawodawczych, stowarzyszeń, wreszcie ludzi i stronnictw, zajmujących się sprawą agrarną, któreby na pierwszym planie postawiły sprawę podniesienia wydajności gospodarstw włościańskich. Na drodze samopomocy wśród włościan, o ile nie będzie ona zwróconą w określonym kie-

[1]) Ponieważ różne importowane rasy bydła, jak np. szwajcarska, okazywały się niedość wytrzymałe na warunki klimatu w Galicyi, chodziło o wytworzenie lub odnalezienie rasy krajowéj, przystosowanéj do warunków. Uczynił to prof. Adametz, który odnalazł krajową, silną i mleczną rasę czerwonego bydła.

runku, zasilaną odpowiednim kapitałem, o ile nie usunie się przeszkód w rodzaju rozbicia parcel gruntowych, nie zaprowadzi melioracyi, nie ułatwi zbytu produktów, marzyć nie można o dokonaniu czegokolwiek. Najlepszym tego dowodem stan dotychczasowy, pomimo dawno już trwającéj i wzmagającéj się nieustannie potrzeby zmian. Droga ustawodawstwa, droga idącéj z góry reformy społecznéj jest jedyną i konieczną, ale droga ta może być różną.

Reforma społeczna w sprawach agrarnych zdążała dotąd przeważnie do zmiany niektórych punktów stanu prawnego, wśród którego żyje dzisiejsza ludność włościańska. Dawało to rezultaty w postaci szeregu przepisów administracyjnych, które nie zawsze oddziaływały dodatnio, ale przeciwnie odczuwane były dość często, jako wielkie przeszkody w działalności [1]. Zgódźmy się przecież na to, że ogólna ich tendencya jest dobra, lecz tylko stosunki włościańskie niezawsze do nich przystosowane. Po za niemi stoi dostarczanie włościanom taniego i dogodnego kredytu, niewątpliwie jeden z najważniejszych sposobów poprawy doli włościańskiéj. Jak się już powiedziało, nie jest on wystarczającym, skoro się nie wskaże włościaninowi użytkowania pożyczki w sposób produkcyjny. Ograniczanie praw do rozporządzania własnością krępuje swobodę jednostek, które do inicyatywy pobudzićbyśmy chcieli, a po za tém, jak to staraliśmy się wykazać, jest w istniejących stosunkach prawie niemożliwém.

Wszystkie te reformy ustawodawcze stoją, że tak powiemy po za włościaninem. Mogą mu ewentualnie wytworzyć łatwiejsze warunki pracy, ale nie oddziaływują bezpośrednio na samą tę pracę. Zadanie to spełnić są w stanie tylko reformy gospodarcze, skierowane wprost do podniesienia wydajności gospodarstw, a zatém: nauczanie nowych sposobów uprawy gruntu, rozpowszechnianie wiadomości o najwłaściwszéj dla drobnych gospodarstw kulturze, (zdaniem naszém ogrodniczéj), dostarczanie nasion, sadzonek, szczepków, wyszukiwanie miejsc zbytu, budowanie dróg żelaznych i wodnych, które stanowiłyby niezbędne środki komunikacyi, wreszcie ułatwianie i pouczanie o stronie handlowéj przedsiębiorstw. Przy każdéj z tych reform powinnaby być przedewszystkiém brana pod uwagę szeroka masa włościaństwa, które dzisiaj ginie ekonomicznie i dziczeje w odosobnieniu. Reformy administracyjne i gospodarcze mu-

---

[1]) Dość przypomnieć przepisy sanitarne o świadectwach dla bydła, po które o parę mil nieraz chodzić trzeba.

siałyby tedy współdziałać ze sobą, a przedewszystkiém mieć wytyczną postępowania:

Wskazać odpowiedni kierunek gospodarstwa, przy którym wzrosłaby szybko jego wydajność, zająć wszystkie ręce odpowiednią i nie odbiegającą od dzisiejszego sposobu życia pracą, pobudzić inicyatywę i energię przez pouczanie, a umożliwić przeobrażenie przez dostarczanie środków pieniężnych i ułatwianie zbytu produktów, oto jak się zdaje, kierunek, w jakim postępować muszą reformy ustawodawcze ręka w rękę z gospodarczemi, a dodajmy i kulturalnemi, bo oświecony włościanin łatwiéj pojmie korzyść własną.

Ani rząd, ani instytucye autonomiczne, jak sejm i ciało wykonawcze, Wydział krajowy, nie podjęło w tym kierunku szerokiéj, a poważnéj akcyi. Panuje na tém polu wszechwładny system oszczędności: jakaś szkoła parobków lub uprawy lnu, ani parę szkół rolniczych, czy ogrodnicza jedyna szkoła w Tarnowie, nie podołają takim zadaniom. Rozwiniętą być musi jednolita akcya, podjęta przez niewielki, a energiczny zarząd, złożony z kilku ludzi fachowych, których działanie poprze znaczny (krociowy) kredyt. Kreślenie programu nie leży w założeniu pracy niniejszéj, ale obowiązkiem jéj autorki było zwrócić uwagę na pierwszorzędne znaczenie téj sprawy, gdyż od jéj trafnego rozstrzygnięcia zależy dobrobyt milionów.

Kraków, dnia 25/II 1899.

Dr. Zofia Golińska.



Terytoryum dawnej ziemi Brzeskiej.

Sed fugit, interea fugit irreparabile tempus. Vergl. Georg. 3 284.

Brześć Litewski, pierwej Berestie, wchodził w skład Podlasia, Podlachii, t. j. szmatu ziemi, graniczącej z Lachami, czyli województwami rdzennie polskiemi, jak utrzymuje N. Daszkiewicz [1]). Podlasie to utworzyło się z następujących miast ze swojemi powiatami lub ziemiami: Brześć, Bielsk, Drohiczyn, Kobryń, Kamieniec (naturalnie t. z. Litewski) i Mielnik. Najdawniejsze z tych wszystkich miast jest zapewne Brześć, wspominany już w XI wieku w t. z. Ławr. Kronice, a mianowicie pod rokiem 1019 przy opisie walki Wołodimierowiczów, Swiatopełka z Jarosławem [2]) w ziemi Jadźwingów, której granice nie dadzą się teraz dokładnie określić.

W XIII stuleciu ziemie te należały, jak wiadomo, do posiadłości książąt wołyńskich z rodu Romana Mścisławowicza, ale stanowiły osobną całość, mającą swoje osobne dążenia i ideały polityczne, punktem zaś centralnym tych miejscowości był właśnie Brześć [3]). W takiej postaci zostały te ziemie zawojowane przez Gedymina [4]) i odtąd datuje się doba litewska w dziejach tych krajów. Jak wia-

---

[1]) cfr. Zamêtki po istorii Lito.-rus. gosudarstwa, Kijów 1885.

[2]) Law. Lêtp. 62, 114.

[3]) cfr. Ipatv. Lêtp. Petersburg 1871, p. 599 et seq.

[4]) cfr. Antonowicza, očerk istorii velik. kniaž. litow. p. 64, 65.

domo także, ziemie te oddał Gedymin (z wyjątkiem Kobrynia) Kiejstutowi, jako dodatek do księstwa Trockiego a następnie, przeszły one do Witołda; lecz gdy ten książe w 1390 r. został stronnikiem krzyżaków i stracił, czasowo, swoje posiadłości, od tej chwili zaczyna się rozdrobienie Podlasia, w obszerném tego słowa znaczeniu, na kilka drobnych i od siebie już niezależnych części i wtedy to wykazuje się osobna odrębność ziemi Brzeskiej, która niewiele wspólnego już miała z Podlasiem i innemi jego częściami, których tu uwzględniać nie będziemy, ponieważ nie wchodzą teraz w zakres naszego opisu. Nazwa „ziemi berestejskiej" ściąga się potém już tylko do znacznie mniejszego terytoryum, znajdującego się następnie w granicach województwa Trockiego; to terytoryum zarządzane było przez osobnego namiestnika, tworząc osobny okrąg sądowo-administracyjny a ten namiestnik niezależny był prawie od wojewody w Trokach, nosząc od r. 1507 nazwę starosty Brzeskiego [1]). Takich namiestników-starostów wylicza Boniecki [2]) od r. 1441 do końca XVI w. (1591) czternastu, zaczynając od Naczki, a kończąc na Janie Kiszce.

W drugiej połowie szesnastego stulecia (1566) utworzone zostało województwo Brzeskie, na sposób polskich urządzeń tego rodzaju, które zaliczono do Litwy, stąd i nazwa Brześć-Litewski. Województwo nasze składało się z dwóch powiatów - ziem: brzeskiego i pińskiego. Nas tu wyłącznie zajmuje terytoryum dawnej ziemi Brzeskiej, wygląd jej i granice przeważnie w XVI stuleciu.

Obszar dawnej ziemi Brzeskiej obejmował nietylko prawie cały teraźniejszy powiat tej nazwy w gubernii [3]) Grodnieńskiej (z wyjątkiem północno-wschodniej jego części t. j. Kamieńca-Litewskiego z okolicami, co stanowiło dawny powiat Kamieniecki), ale także prawie dwa całe powiaty gubernii Siedleckiej, Włodawski i Bialski, z małemi kawałeczkami powiatów sąsiednich tejże gubernii [4]). Miejscowości tego obszaru, znane już w XV—XVI stuleciu, mogą być wytycznemi punktami całego terytoryum dawnej ziemi Brzeskiej i dlatego te miejscowości szczególnie uwzględnić należy.

---

[1]) cfr. Wolff, Senatorowie i dygnitarze W. X. L. Krak. 1885, p. 9.
[2]) cfr. Poczet rodów Litewskich p. XXVI.
[3]) cfr. *M.* Lubawski, Obłastnoje dêlenie i mêstnoje upravlenie litovs. rus gosudarstva, Moskwa, 1892, p. 181 et seq.
[4]) Konstantynowski, Radzymyński.

Zaczynamy od osad w teraźniejszej gubernii Grodzieńskiej w powiecie Brzeskim, naturalnie nie wyliczamy wszystkich, lecz tylko bardziej znane i ważniejsze [1]).

C z e l e j ó w albo Czelejewo na północ od Lśny (alias Leśny), niedaleko od jej połączenia się z Bugiem; bliższych szczegółów o tej miejscowości nieznamy.

C z e r n i a w c z y c e albo Czarnawczyce należały do Nemera Wołczkiewicza, a przez zamianę, przed rokiem 1477, dostały się Iwaszce Iliniczowi [2]), od których przeszły do Radziwiłłów, jak utrzymuje „Słownik geograficzny".

D o b r o n i ż, zwany niekiedy Dobronieżem, niedaleko od koryta Bugu; w XVII wieku posiadłość Sapiehów [3]).

M i l e j c z y c e, miasteczko w północnej powiatu Brzeskiego części, dawniej rozległa włość bardzo, w obszarze której miał sobie nadaną posiadłość w 1510 r. przez króla Zygmunta Andrzej Łozko, tak powiada Lubawski (p. 181), a na innem miejscu (p. 587) twierdzi, że Andrzej Łozko w 1510 r. kupił Milejczyce (może jaką inną część) od niemca Hanusza Hejnisza.

Ród Łozków niebardzo znany dokładnie; nawet niewiadomo, jakim pieczętowali się herbem. Boniecki, l. c. mówi, że przy końcu XV w. żył Borys Łozko, mający dwóch synów—Jura i Andryja; ten ostatni był leśniczym brzeskim, a potem wojskim, więc należał do osiadłej szlachty tamtejszej. Wiadomo także, że Łozkowie mieli innych przedstawicieli i inne dobra w tej ziemi, np. Rohacze, albo Rogacze (teraz powiat Brzeski, w gminie tejże nazwy)—a oprócz tego jeszcze inne, z któremi się spotkamy. Ów Andrzej Łozko w 1534 r. już nie żył, zostawiwszy syna Wasyla i córkę Hannę. Tyle Boniecki. Jeszcze trochę mamy szczegółów o tej rodzinie u Wolffa [4]): powiedziano tam, iż Wasyl Michajłowicz Sanguszko, z linii Kowelskiej żonaty był z Zofią, córką Andrzeja Borysowicza Łozki, wojskiego brzeskiego (mogłaby to być druga córka Andrzeja, który, podobno miał nawet jeszcze trzecią), wdową po Piotrze Bohowitynie Szumbarskim. Wasyl Sanguszko umarł r. 1558, nie zostawiwszy potomstwa z Łozczanki; wyżej zaś wzmiankowana córka Andrzeja Łozki, Hanna, była 1-voto za Lwem Potejewiczem, — protoplastą głośnej ro-

---

[1]) Wyliczamy te miejscowości, trzymając się dzieła Lubawskiego, l. c., który czerpał o tem wiadomości bezpośrednio z Metryki litewskiej.

[2]) cfr. Archiwum Sławuckie I, 73.

[3]) cfr. Monografia o Sapiehach III p. 138.

[4]) Kniaziowie Litewsko-Ruscy, p. 450.

dziny Pociejów, i matką znakomitego następnie metropolity Kijowskiego Adama-Hipacego Pocieja (żonatego z Anną Hołownianką-Ostrożecką), — a 2-voto za Dominikiem Pacem, kasztelanem Smoleńskim, podkomorzym brzeskim [1]).

Pechów czy Piechów nad Lśną. O tej miejscowości wspomina tylko Lubawski.

Pożeżenin albo Pożeżyn nad Rytą nadany także wyżej wspomnianemu Andrzejowi Łozce. W powiecie Brzeskim są dwie miejscowości tej nazwy; nieumiemy powiedzieć, o której tu mowa. Jeden Pożeżyn niedaleko od stacyi Aleksandryi, kolei żelaznej Brzesko-Kijowskiej.

Radowanicze nad Rytą, teraz Radwanicze Kościelne o cztery mile od Brześcia. W XVII w. posiadłość Gosiewskich; z tych Maciej, stolnik Nowogr. Siewiers., otrzymawszy ten majątek od Teresy z Gosiewskich Sapieżyny, przedał g 1708 r. Kazimierzowi Sapieże, a ten w parę lat później—Jakóbowi Flemingowi [2]) a od Flemmingów dobra te przeszły do Czartoryskich [3]).

Terebuń nad Lśną; naprzód były te dobra w posiadaniu owego słynnego starosty Czerkaskiego i Kaniowskiego, Ostafiego Daszka, † 1535, a w następnym roku nadane zostały Iwanowi Dymitrowiczowi kniaziowi Szujskiemu.

Kniaziowie Szujscy, potomkowie książąt Suzdalskich, nazwę swoją wzięli od miasta Szui, obecnie w gubernii Włodzimierskiej; jeden z nich, Iwan Dymitrowicz, wyemigrował, jednocześnie z kniaziem Szymonem Bielskim i Iwanem Lackim, na Litwę i tam otrzymał od króla w kwietniu 1536 r. Terebuń w ziemi Brzeskiej; żoną jego była Maryna Bohdanówna Bohowitynówna (Bohdan, syn Lwa, cześnik litw. 1501). Kniaź Iwan musiał umrzeć około 1560 r. żona zaś

---

[1]) cfr. Boniecki l. c. p. 246 i Wolffa Pacowie p. 33.

[2]) Flemmingowie, rodzina pomorska, do Polski zawitała dopiero z Sasami. Jakób F., koniuszy W. L., żonaty z Franciszką Sapieżanką, córką Franciszka i Anny Lubomirskiej, potężny wpływ wywierał przy Auguście II. Z Sapieżanką się rozwiódł i ożenił się z Teklą Radziwiłłówną; umarł bezpotomnie i ta linia, starsza hrabiowska, wygasła, w 1772, po mieczu, lecz została młodsza, podskarbiowska, z której był ów głośny Jerzy, Podskarbi W. L, 1699 — 1771, potem wojewoda pomorski, żonaty z dwiema Czartoryskiemi, córkami Michała, kanclerza W. L.; jedyna jego córka, Izabella, wyszła za Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Jerzy, przyjąwszy katolicyzm, rezydował zwykle w Terespolu nad Bugiem. Ojciec zaś Jakóba Flm., także Jerzy żonaty był z Agnieszką Flemg, matką hrabiny Waldstein, a tej córka Eleonora, wyszła za Michała Czartor. cfr. Żychliński XI p. 92.

[3]) cfr. Sapiehowie II 201, 202, 205.

jego w 1563, wdowa, nazwana także dziedziczką Koroszczyna (także w Brzeskiem). Około r. 1580 wymieniona jako właścicielka Terebunia Hanna z Irzykiewiczów Szujska, żona Manuiła Iwanowicza. Syn ich Jan, piastujący różne w tej ziemi urzędy, który † ok. 1610 r., uposażył cerkiew w Koroszczynie (Słow. Geog. nazywa go Piotrem). Ten Jan zostawił kilku synów, którzy w XVII w. przyjęli katolicyzm i zarzucili tytuł kniaziowski, trzymali się jednakże swego gniazda w ziemi Brzeskiej. Jeden z nich, także Jan chorąży Brzeski, dziedzic Terebunia umarł 1643 r., a później te dobra były w ręku Konstantego - Jana, pisarza Brzeskiego, 1666; ten Szujski był żonaty, 1-voto, z Zofią Brzozowską, która mu wniosła Jasnohorodkę w Kijowskiém. Syn ich Dominik-Jan zeszedł z tego świata 1720 r., zostawiwszy syna Dominika-Ignacego, pana na Terebuniu i Janowie w Brzeskiem i na Jasnohorodce i Chabnem w Kijowskiém. Córka ich Aniela poślubiła Wojciecha Szujskiego, z innej linii tegoż rodu, szambelana Stanisława Augusta; oboje pomarli przy końcu zeszłego stulecia, a po nich zostały trzy córki tylko, które wniosły majątki Szujskich, przez kądziel, w inne familie [1]).

Tryszyn nad Muchawcem w XVI w. dobra pisarza Fedora Januszkowicza podług Lubawskiego; miejscowość ta leży na wschód od Brześcia o parę kilometrów,

Bonicki zna ród Januszkowiczów albo Januszkiewiczów hrb. Lubicz; z tych ów Fedor pisarzem był koło 1505 r., a umarł około 1508; był także starostą łuckim i marszałkiem ziem wołyńskich.

Turna czyli Turnie o kilka kilometrów od Czerniawczyc, losy których dzieliła następnie, należała także do Radziwiłłów, a teraz do hr. Grabowskich (Słow. Geogr).

Wahanowe, w gminie wysokolitewskiéj, jest gniazdem rodziny Wahanowskich, pieczętujących się Gozdawą i Syrokomlą. Fedor Michajłowicz Wahanowski, wojski kamieniecki, otrzymał od króla Zygmunta 1535 r. pozwolenie na założenie tu miasta [2]), jak twierdzi Lubawski.

W XVII w. dobra w Brzeskiem Wychanowo należały do Witkowskich hrb. Poraj; z tych Tomasz, chorąży mielnicki, zapisał te

---

[1]) cfr. Wolffa, Kniaziowie Litewsko-Ruscy p. 520 et 199.

[2]) Fedor Michaj. Wahanowski był wojskim 1533 — 1541; na potrzeby wojenne dawał 19 koni; Aleksander W. marszał. i pisarz krl. 1569, cfr. Boniecki. Ojcem owego Fedora może był Michał Hrehorowicz, koniuszy Wileński, którego córka, Olena, była żoną Fedora Fedorowicza kniazia Konopli-Sokolińskiego. cfr. Wolff. l. c. p. 169.

dobra—i Swiatycze albo Switycze—żonie swojéj, Zofii Konopackiéj, kasztelance chełmińskiéj; chorąży mielnicki † 1675 r., a żona jego poszła powtórnie za Konstantego-Jana Szujskiego, pisarza brzeskiego (była drugą jego małżonką) podług Wolffa [1]).

Późniéj o te dobra—Wyhanów i Switycze—prowadzono liczne procesa, aż nakoniec w 1758 Sapiehowie, którzy od r. 1686 rościli sobie prawa do tych posiadłości, spłaciwszy innych pretendentów, ostatecznie zostali panami tych majątków, a mianowicie Aleksander-Józef Sapieha, wojewoda Połocki [2]).

Słow. Geogr. nie zna Wahanowa w powiecie Brzeskim, ale wymienia tam Wyganowo albo Wyhanowo w gminie Wysokolitewskiéj, dodając, że ta wieś razem z wielu innemi okolicznemi, należała do dóbr Sapiehów na Wysokiém-Litewskiém; Lubawski umieszcza swoje Wahanowo także w gminie Wysokolitewskiéj, więc prawdopodobnie jest to taż sama miejscowość.

Wielena albo Wielona, na granicy z powiatem Kobryńskim, gdzie W. X. L. Kazimierz nadał Nasucie „szereszowe łowiszcza". Boniecki wspomina o Nasutach: Janie, namiestniku brzeskim 1475 i Mikołaju Nasucie-Szeinparcie, który otrzymał od Witołda 1380 r. Szereszewo w Kamienieckiéj włości; a Kojałowicz (Herold Polski I, p. 252) mówi pod herbem Rawicz, że Wołmińscy, używający tego herbu, są z domu Nasutów.

Wistycze nad Lśną w XV w. także dobra Nasutów, z których Jan zbudował tu kościół w 1471 roku i uposażył gruntami plebanię [3]). Następnie ta posiadłość, jak się zdaje, przeszła do kniaziów Massalskich (potomków książąt Czerniehowskich) z linii na Drui, do nich właśnie należał Buczeml (o kilkanaście jakich kilometrów odległy od Wistycz, z któremi stanowił jedną całość). Kniaź Wasyl Iwanowicz Massalski, Pan na Buczemlu, Drui, Podbiałéj etc. podkomorzy Brasławski, † 1623 (Żychliński), zostawiwszy czterech synów; zapewne jeden z nich sprowadził Cystersów do Buczemla r. 1665 r. [4]). Lubawski twierdzi, że jakiś czas Wistycze należały do Iliniczów, zapewne przed Massalskimi w XVI stuleciu, a po Massalskich w posiadaniu Tyszkiewiczów i Eustachy Tyszkiewicz,

---

[1]) Wolff l. c. p. 527.

[2]) Sapiehowie, III, 369, 370.

[3]) Wizyty kanoniczne, w kopii w ręku piszącego, z r. 1803, 1818, 1820, kościoła w Wistyczach nazywają fundatora kościoła wojewodą trockim, ale był on, o ile wiadomo, tylko namiestnikiem brzeskim.

[4]) cfr. Wizyty kościoła w Wistyczach.

podkomorzy Brzeski, żonaty z Izabellą Daniłłowiczówną, właściciel Wistycz, przeniósł Cystersów z Buczemla do Wistycz, ostatecznie ich tam uposażywszy w 1678 roku. Podkomorzy zeszedł z tego świata bezpotomnie; sprowadzeni przez niego O.O. Cystersi byli w Wistyczach do roku 1832.

Wołczyn, miasteczko nad Pulwą, jak się zdaje już w XV w. należał do Sołtanów. Na początku XVI stulecia dziedzicem Wołczyna nazywa Lubawski Aleksandra Sołtanowicza.

Sołtanowie lub Sołtanowicze przyd. Pereświt hrb. Syrokomla odm. głośni są bardzo i znani w XV w. Ów Aleksander w 1515 r. był marszałkiem królewskim, żonaty z kniażną Bujnicką (Bujniccy, potomkowie książąt połocko-witebskich, nazwę wzięli od Bujnic w Mohylewskiem), nieznaną z imienia, lecz córką Lwa, wspominanego w 1495 — 1506 r. [1]); na potrzeby wojenne dawał 37 koni (Boniecki). Syn Aleksandra, Iwan, miał za żonę kniażnę Maryę Sołomerecką (Sołomereccy są potomkami książąt Smoleńskich), córkę Wasyla Iwanowicza i Anny Władyczanki, i był jéj drugim mężem (pierwszy Włodzimierz Jurewicz Holszański-Dubrowicki, potomek książąt litewskich przed Gedyminem, † 1545). Iwan Aleksandrowicz Sołtan zostawił bardzo liczne potomstwo; jeden z jego synów, Jarosław, starosta Ostryński, z żoną swoją Maryą w 1586 r. uczynił zapis na cerkiew w Wołczynie [2]) pod wezw. św. Mikołaja i Hieronima. Syn ich nazywał się Hieronim; są o nim wzmianki w 1604 r.

W XVII stuleciu Wołczyn jest w ręku Gosiewskich albo Gąsiewskich, hrb. Ślepowron; z tych Teresa, córka Wincentego, 1-voto Józefowa Słuszczyna, kasztelanowa Wileńska, hetmanowa p. L., wyszła powtórnie za mąż za Kazimierza Sapiehę, wojewodę Wileńskiego i zapisała mu Wołczyn (z folwarkami Szczytniki, Hrymiacze, Luta, Siehniewicze etc.) w 1708 r. i sama prędko po tém przeniosła się do lepszego świata, a wojewoda we dwa lata póżniéj, przedał te dobra Jakóbowi Flemmingowi, koniuszemu W. L. i jego małżonce Franciszce Sapieżance. Od Flemmingów przeszła ta posiadłość do Czartoryskich, a od nich do Poniatowskich (tu się téż rodził d. 17 stycznia 1732 Stanisław August), lecz 1744 r. Poniatowski odprzedał je znowu Czartoryskim, od których nabyli, na krótko, Pusłowscy, a potém poszło to w inne ręce [3]).

---

[1]) Wolff l. c. p. 13, 494.

[2]) cfr. Dzieje Dobroczynności III p. 283; w tym dokumencie są bardzo ciekawe szczegóły.

[3]) cfr. Monografia o Sapiehach, Petersburg 1890 — 1894, II 201, 205, III 74, 147, 171, 301.

Wyłoczki nad Muchawcem; wspomina o nich tylko Lubawski; nieznana zresztą bliżej miejscowość.

Telatycze, na południe od Milejczyc, teraz w gminie Rohaczewskiej, nadane w 1502 r. szlachcicowi Lewszy (Lubawski).

O tym Lewszy czytamy u Bonieckiego, że był dworzaninem Aleksandra Jagiellończyka; syn jego, Mikołaj, ciwun wileński 1507, otrzymał potwierdzenie tego nadania od króla Zygmunta. Jestto gniazdo rodziny Lewszów-Telatyckich hrb. Bielina, o których wspomina Borkowski w swoim spisie nazwisk szlachty polskiej. W XVII wieku należały Telatycze do Sapiehów z Wysokiego-Litewskiego, które nabył Paweł Sapieha, wojewoda wileński w 1647 r. od Andrzeja Wojny, a które przedtem było w posiadaniu Jodkiewiczów i Pietkiewiczów [1]).

Kajałowicz wspomina w 1587 roku w województwie Brzeskiém Jana Telatyckiego i kilku innych [2])

Zbunin nad Bugiem. Jest miejscowość téj nazwy o milę od Domaszewa, na północ, i jest Zbunin wchodzący niegdyś w skład dóbr Kodeńskich; czyby to było toż samo — nie możemy rozstrzygnąć.

Żyrowica i Kamienica nad Zahorzem dobra Iwaszki Litawora Chreptowicza na początku XVI stulecia, a może i wcześniej.

Chreptowiczowie hrb. Odrowąż, z tych Jan, *vulgo* Iwaszka, był synem Bohdana,—podskarbi, namiestnik nowogrodzki, uciański etc., poseł do Moskwy, — po potyczce nad Wiedroszą dostał się do niewoli, z której dopiero powrócił w 1508 r.; miał on bardzo wiele nadań od królów polskich i W. X. litewskich, zaczynając już od r. 1487, w różnych miejscach, lecz przeważnie na Polesiu. Zygmunt I osobnym przywilejem potwierdził mu na wieczność wszystkie te dobra (w powiecie drohickim, nowogródzkim, słonimskim, pod Trokami, a pomiędzy niemi i w Brzeskiém dwór i miasto Żyrawica i Kamieniec, zwany także i Kamienicią, a nawet Kamionką). Podskarbi umarł koło 1517 r. (niektórzy mniemają r. 1513), a ponieważ syn jego, Kazimierz, prędko żyć przestał, córki więc Anna i Zofia, wniosły dobra ojcowskie w inne domy (Ostyków i Oborskich). Podskarbi był żonaty z księżniczką Holszańską, córką Aleksandra i Zofii Sudymontowiczówny, a siostrą rodzoną Pawła, biskupa Wileńskiego, niewiastą charakteru niespokojnego, chciwą

---

[1]) cfr. Sapiehowie II p. 80.

[2]) Herold Polski I. 24.

władzy, procesującą się i warcholącą ze wszystkimi, nawet z własnemi córkami i zięciami; umarła ona przed rokiem 1541, darowawszy swoją schedę z posiadłości mężowskich królowéj Bonie i sporządziwszy ten testament na kilka lat przed śmiercią.

Na opiece tych Chreptowiczów był Aleksander Sołtan, o którym wyżéj była mowa, pan na Wołczynie; przyszedłszy do pełnoletności, rozpoczął on proces z Chreptowiczami (o tém procesowaniu się wspomina także Boniecki, które się skończyło po śmierci już Iwanki Chreptowicza na korzyść Sołtana; otóż z przebiegu tego procesu widać, że do tego Aleksandra Sołtana należał także Nieśwież, czemu autor artykułu o Nieświeżu w Słowniku geograficznym zaprzecza, cytując jednakże przytém bezimienną broszurę wydaną w 1862 roku p. t. „Aleksander Sołtan, szambelan Karola Zuchwałego, w któréj jest także mowa o władaniu Nieświeża przez tego Aleksandra Sołtana i wogóle Sołtanów.

Teraz, miejscowość ta nazywa się Żyrawicka Kamienica i dobra te należą do Tokarskich [1]).

Miejscowości dawnéj ziemi Brzeskiéj w teraźniejszéj gubernii Siedleckiéj.

P o l u b i c z e, teraz w powiecie włodawskim, nadane w 1503 r. kniaziowi Wasylowi Andrejewiczowi Połubieńskiemu herbu Połubieńczyk albo Jastrzębiec odmienny, dworzaninowi królewskiemu [2]). Pochodzenie kniaziów Połubieńskich niewiadome. Autor znakomitego dzieła o litewsko-ruskich kniaziach twierdzi [3]), że nazwę swoją otrzymali albo od Połubieńska pod Lidą albo od owych Polubicz podlaskich i dodaje, iż może to byli potomkowie jakich książąt litewskich. Ten kniaź Wasyl był potém marszałkiem hospodarskim, starostą mścisławskim etc. i umarł 4 marca 1550 r., zostawiwszy dwóch synów i córkę; od brata zaś Wasyla poszło znowu pięć oddzielnych gałęzi tego rodu.

S o s z n o, teraz Suszno, nad Bugiem w powiecie także włodawskim, darowane przez króla Kazimierza Sanguszkom, Aleksandrowi i Michałowi [4]).

Kniaź Sanguszko Fedkowicz—Fedko zaś był jednym z synów Fedora Olgierdowicza, miał czterech synów; dwaj z nich wcześnie

---

[1]) cfr. Pamiętnik rodu Chreptowiczów, drukowany w „Kronice Rodzinnéj" 1890, Wolff, l. c. p. 105, Słownik Geograficzny.

[2]) cfr. Lubawski l. c. 337.

[3]) cfr. Wolff l. c. p. 369.

[4]) cfr. Archiwum Sławuckie I № XCVI.

żyć przestali, a Aleksander i Michał, wyżéj wzmiankowani, są protoplastami tego rodu, który się podzielił z czasem na trzy linie: na Niesuchoiżach, pochodzącą właśnie od Aleksandra i syna jego Andrzeja, i ostatnim jéj przedstawicielem był Roman (także niekiedy Fedorem zwany) Romanowicz, wojewodzic Bracławski, † przy końcu 1591 r., bezpotomnie i bezżennie; na Koszersku prowadzoną przez Michała, syna Aleksandra, wygasłą w osobie Adama-Aleksandra, wojewody wołyńskiego, † 1613, pochowanego w kolegiacie Pułtuskiéj; i na Kowlu, idącą od Michała Sanguszkowicza (Kowel nadany im od W. K. L. Aleksandra, ale w 1543 r. zamieniany z królową Boną na Obole, Horwol, Smolany etc., lecz nazwa Kowelskich pozostała nadal przy téj linii) i istniejącą jeszcze.

Bracia Sanguszkowicze, Aleksander i Michał, tak się podzielili dobrami, że Soszno wział Aleksander razem z Włodawą [1]) i innemi w tamtych stronach posiadłościami. Soszno, jak się zdaje, pozostało w posiadaniu linii na Niesuchoiżach [2]).

S o ł o w i a t y c z e, teraz Sławatycze nad Bugiem w powiecie Włodawskim (Słow. Geogrf. pow. bialski) nadane w 1499 r., Wołoszynowi Urszulowi, który w r. 1516 zapisał tę posiadłość Bohuszowi Bohowitynowiczowi, podług Lubawskiego.

Boniecki zna ród Wołoszynów: Wasyla, co miał otrzymać od Aleksandra Jagiellończyka Czernsko w ziemi Brzeskiéj, późniéj przez Zygmunta potwierdzone jego synowi Iwanowi; wymienia jeszcze dwóch z tego rodu, ale wyżéj wyrażonego dziedzica Sławatycz nie cytuje.

Ród zaś Bohowitynów *alias* Bohowitynowiczów herbu Korczak, już w XV stuleciu niejednokrotnie się spotyka. Protoplastą ich jest Bohowityn, mający dwóch synów Lwa i Bohusza, namiestnika przełajskiego, który umarł na początku XVI w., zostawiając kilku synów, z których jeden nazywał się Bohusz-Michał, † 1530 (zdaje się, że powyższy zapis uczyniony był Bohuszowi I), podskarbi ziemski, marszałek hospodarski (zwany zwykle Bohuszem Bohowitynowiczem), sporządził w 1529 r. testament, mocą którego żonie swojéj,

---

[1]) Włodawy, która leżała także w województwie Brzeskiém, przy ujściu Włodawki do Buga, Lubawski nie zalicza do terytoryum dawnéj ziemi Brzeskiéj, ani o milę od niéj leżącéj Rożanki, sławnéj siedziby Paców, chociaż, jakby się zdawało, obie te miejscowości mogły się znajdować także w dawnéj ziemi Brzeskiéj.

[2]) cfr. Wolff l. c. o Sanguszkach.

Fedorze Andrejewnie Sanguszkównie z linii na Niesuchoiżach, zapisał 1000 kóp groszy, ubezpieczając tę sumę na Sławatyczach, Dołhoborodach i innych swoich dobrach podlaskich. Z tego małżeństwa były tylko córki, które te dobra w inne przeniosły rody. Brat rodzony podskarbiego, Iwan, marszałek także hospodarski, żonaty powtórnie z Anną Kopciówną, kupił potém od brata swego stryjecznego, także Iwana, Wortel (o czém niżéj) i umarł w 1551 r. starostą krzemienieckim. Lew zaś, rodzony brat Bohusza I, cześnik litewski 1501 r., miał 3 synów: Iwana na Wortelu, Bohdana (córka jego Maryna za Szujskim), który nabył Koroszczyn, i Bohowityna II. Przez kądziel przeszły Sławatycze do Leszczyńskich i Radziwiłłów [1]).

Kamplinosy, teraz Kapłonosy, w powiecie włodawskim, które Kazimierz Jagiellończyk nadał jakiemuś Chodzce Liskowi i Ondruszce, bliżéj nieznanym.

Koroszczyn, powiat bialski; o nim pierwszą napotykamy wzmiankę w 1500 r. pomiędzy nadaniami Mikołajowi Jundziłłowi [2]); potém te dobra — Koroszczyno, a niekiedy Koroszczyce zwane, zostają w ręku Tworyana Dremlika, wojskiego-brzeskiego [3]), który je, z braćmi, w 1516 r. sprzedał Hrehoremu Ościkowi, krajczemu litewskiemu, panu bardzo majętnemu, wystawiającemu na potrzeby wojenne 116 koni, kasztelanowi potem wileńskiemu, a ten, w 1525 r., zbywa tę posiadłość Bohowitynowi, którego córka wnosi ją w dom Szujskich, jakieśmy to już wyżéj mówili. Do końca XVIII w., dobra te były w ręku Szujskich [4]).

Długobrody alias Dołhobrody, w powiecie bialskim, w gminie Sławatyckiéj, w 1500 r. należały do tegoż M. Jundziłła, potém w posiadaniu Bohowitynów, o czém było już wyżéj [5]).

Hajna, teraz Hanna, nad Bugiem w powiecie bialskim, jakoby jedna z najstarszych nad tą rzeką osad, a także Bereście, bliżéj nie znane, nadane przez Aleksandra Jagiellończyka temuż M. Jundziłłowi, podług Lubawskiego.

Protoplastą zaś Jundziłłów herbu Łabędź, miał być Raczko, ten miał syna Jundziłła (Jundiła), który znowu zostawił czterech synów: Mikołaja, Jana, Pawła, Szymka. Mikołaj, kuchmistrz Hele-

---

1) cfr. Boniecki l. c. p. 10 et syg. i Słow. Geogrf.
2) cfr. Boniecki p. 112, Lubowski 154.
3) cfr. Boniecki p. 50.
4) Słow. Geograf.
5) Słow. Geograf., Boniecki l. c.

ny W. K. L., otrzymał właśnie wszystkie wyżéj cytowane nadania, ale potomstwa nie miał, dobra więc owe, przynajmniéj niektóre, musiały przejść na braci, z których jednakże Jan tylko i Szymon doczekali się potomków [1]).

Pole, teraz Opole w powiecie włodawskim, nadane Tworyanowi Dremlikowi w 1510 r., ale już w 1511 r. wznowiona tu erekcya cerkwi przez Wasyla Kopcia, w rodzinie którego te dobra miały zostawać do XVIII w., a potém przeszły do Sierakowskich [2]).

Kopciowie, ród senatorski herbu Kroje odm. (tuż są także herbu Lubicz), dzielili się na dwie gałęzie: smoleńską i witebską. Wasyl Iwanowicz, ze Smoleńskiéj, miał nadania w ziemi smoleńskiéj od Kazimierza Jagielończyka, zostawił syna Michała-Kopota, który, po stracie dóbr smoleńskich, otrzymał posiadłości w Brasławszczyźnie; był pisarzem litewskim 1506 i marszałkiem hospodarskim, żonaty z Kroszyńską Maryą [3]); córka ich Fedja była za kniaziem Iwanem Połubieńskim; (taż sama, w inném miejscu nazwana Rainą); w 1541 r. ten kniaź procesował się ze szwagrem swoim, Fedorem Kopciem, o Opole i Rusiły [4]). W r. 1643 fundował tu kościół Aleksander-Ludwik Kopeć, kasztelanic Brzeski [5]).

Kijowiec nad Zelwą w powiecie bialskim, gdzie Zygmunt August erygował cerkiew; w XVII stuleciu królewszczyzna [6]).

Łomazy także nad Zelwą, powiat bialski; w 1447 roku odłączone od starostwa Parczowskiego i przyłączono do Litwy; Zygmunt August nadał temu miastu prawo magdeburskie [7]).

Kodeń w powiecie bialskim znany od bardzo dawnych czasów, jak to powszechnie wiadomo; w posiadaniu Sapiehów od początków XVI stulecia prawie do początku niniejszego. T. zw. Iwaszko Sopieżyc, który nabył wiele majątków w Brzeskiém, kupił

---

[1]) Boniecki p. 112.

[2]) Słownik geogr.

[3]) Kniaziowie Kroszyńscy, herbu Widła, nieznanego są pochodzenia; z tych Konstanty Fedorowicz, skarbnik smoleński, utraciwszy w Smoleńszczyznie swoje dobra, przeniósł się na Litwę i w Grodzieńskiém Dubno otrzymał w 1506 r.; żonaty był z Anną, córką Iwana Koszki; ich córka Marya była żoną Kopcia Wasylewicza, zmarłego 1531 roku, a który był także dzierżawcą Miednickim i Przewalskim. Synéw jego, znanych trzech: Fedor, Iwan, Wasyl, córka zaś Fedja, niekiedy zwana Rainą, ale może to jéj siostra. Cfr. Wolff p. 188, 374.

[4]) cfr. Boniecki l. c.

[5]) Słow. Geograf. i Pacowie p. 88.

[6]) Słow. Geograf., Sapiehowie III p. 31.

[7]) Słow. Geograf.

także od braci Ruszczyców *alias* Romczyców miejscowość nad brzegiem Bugu, zwaną Toden, późniejszy Kodeń, i, przyłączywszy do tego niektóre okoliczne wioski, otrzymał w 1511 roku, przywiléj na założenie w Kodniu miasta, gdzie zbudował zamek, następnie murowany, otoczył go murem i uczynił tam swoją rezydencyę, w któréj wiele jego rodu pokoleń przesiedziało; dzieje Kodnia jednakże dobrze są znane, więc dłużéj o tém się nie rozwodzimy [1].

Dobryń nad Zelwą, powiat bialski, zwany niekiedy Dobrzyniem; w XVIII w. należał także do Sapiehów [2].

Neple nad Bugiem, powiat Konstantynowski, w XVI w. dobra Lwa Bohowitynowicza, cześnika litewskiego, o którym było wyżéj. Potém należały do Skaszewskich, następnie do Niemcewiczów [3].

Wortel, teraz Ortel, nad Zelwą, powiat bialski, w 1501 r. nadany Lewkowi Bohowitynowiczowi, który w 1487 r. był klucznikiem Brzeskim i miał trzech synów, z tych Iwan sprzedał tę posiadłość bratu stryjecznemu, jakieśmy o tém już wyżéj mówili. Na początku XVII stulecia nabył te dobra Lew Sapieha (od Jana Bohowityna Kozieradzkiego [4]).

Cecebor, teraz Cicibor, w powiecie bialskim, nadanie Kazimierza Jagiellończyka dwóm braciom Juszce i Orłaszkowi, zkądinąd wcale nie znanym; mówi o tém tylko Lubawski l. c.

Wohin, Wohyń, niegdyś Woin, istniejący już, jakoby, w XIII wieku [5]; Lubawski umieszcza go w powiecie Włodawskim, a Słownik geograf. w Radzyńskim; od XVII stulecia zaliczony do Litwy.

Horbów *alias* Horbowo nad Zelwą w powiecie bialskim; Lubawski powiada, że Kazimierz Jagiellończyk nadał tę posiadłość Daszce Barsobiczowi—osobistości zresztą nieznanéj.

Horbów jest gniazdem rodziny Zaranków herbu Korczak, a potém Horbowskich, ziemian brzeskich i drohickich. W r. 1519 Jan Horbowski procesuje się o równy dział na Horbowie z synowcami [6]. Kościół tu fundowany w 1516 r. [7]).

---

[1]) cfr. Sapiehowie I p. 13.

[2]) Lubowski l. c. i Sapiehowie III, 102.

[3]) cfr. Lubowski l. c. i Słow. geograf.

[4]) cfr. Sapiehowie I p. 163, Boniecki, Lubawski l. c.

[5]) Barsow, Istoriczeskaja geografia, Warszawa 1885.

[6]) cfr. Boniecki p. 85.

[7]) cfr. Słownik geograf.

Do roku 1600 Horbowo było w ręku Horbowskich i dopiéro Andrzej Sapieha, wojewoda połocki, 1601 r., kupuje tę posiadłość od Przecława Horbowskiego, pisarza grodzkiego brzeskiego i żony jego Katarzyny z Bohowitynów Kozieradzkich [1]). Następnie Horbowo przeszło do Czartoryskich [2]).

Biała, teraz miasto powiatowe w guberni siedleckiéj, należała na początku XVI stulecia do Jura Iwanowicza Ilinicza, tak twierdzi Lubawski. Toby potwierdzało, poniekąd, mniemanie Bartoszewicza, który, opierając się na podaniu, cytuje jakiegoś Ilinicza, wojewodę brzeskiego, nieznanego zresztą w historyi, i nazywanego ostatnim dziedzicem Białéj z tego rodu („Zamek w Białéj"), nie dopuszczając przytém dziedzictwa na Białéj Kiszków. Słownik zaś Geograficzny utrzymuje, że założycielem téj miejscowości był Piotr Janowicz, zwany Białym; jednakże takie przezwisko dają jednemu z Kiszków i Piotrowi Janowiczowi Mondygirdowiczowi, wojewodzie trockiemu 1491 r., hetmanowi etc., który miał się przenieść do wieczności w 1497 r. [3]). Córka jego była za Stanisławem Kiszką, zmarłym około 1514 r., a syn, Piotr, ożeniony z Hanną Jurówną Iliniczówną, wojewoda połocki, † 1535 r. [4]). Koligacye więc i związki pokrewieństwa pomiędzy tymi rodami były. „Starożytna Polska" podaje wiadomość, że Biała od Iliniczów przeszła do Radziwiłłów, mianowicie po bezpotomnéj śmierci Jerzego Ilinicza, syna Feliksa, ożenionego z Zofią Radziwiłłówną (córką Jana II Brodacza i Kiszczanki), † 1541 r.; panem na Białéj, pisał się Mikołaj-Krysztof Sierotka, 1549—1616, pierwszy ordynat na Nieświeżu, syn Mikołaja Czarnego i Elżbiety Szydłowieckiéj. Ale tu znowu zachodzi kwestya: Feliksa Ilinicza nie zna Boniecki, chociaż go podaje Żychliński (Złota księga XI p. 167). Ponieważ nie mamy wyczerpującéj monografii rodu Iliniczów, przeto nie możemy nic stanowczego wyrzec w téj sprawie [5]).

---

[1]) Sapiehowie I p. 133.

[2]) Słownik geograficzny.

[3]) cfr. Senatorowie i Dygn. W. Ks. L.

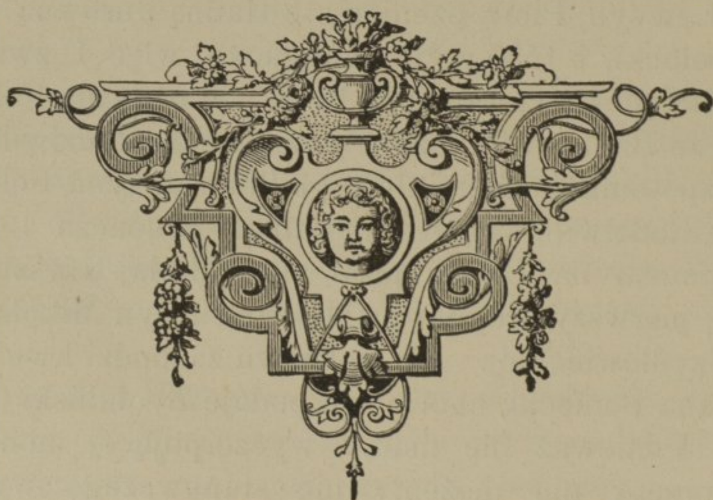
[4]) cfr. Boniecki l. c.

[5]) To, co wiemy o Iliniczach z Niesieckiego — nie wystarcza; Boniecki podał nam stosunkowo, więcéj o nich wiadomości.

Ilinicze, podług niego, pochodzą z Mohylowskiego; pieczętują się Korczakiem; protoplastą tego rodu był Ilia, żyjący za czasów Witolda; dzieci tego Ilii przyjęły rodową nazwę Iliniczów; z tych historycznie znany Iwaszko 1475 r., namiestnik drohicki, potém witebski i smoleński w późniejszych czasach. Tego Iwaszki dwóch synów dzieje wspominają: Mikołaja i Jura, oraz jedną córę. Mikołaj,

Granice więc ziemi Berestejskiéj — mniéj więcéj dałyby się w ten sposób określić: na południu terytoryum tego obszaru zaczęłoby się trochę daléj na zachód od Wohyna i, zostawiwszy Parczów koronny na stronie, ciągnęłoby się aż do Suszna; granica zachodnia byłaby na północ od Wohyna, mijając Międzyrzec (w ziemi Mielnickiéj, w prostéj prawie linii przez Białę do Wołczyna, (daléj na zachód—ziemi Drohicka, klinem wchodząca na terytoryum brzeskie); północna granica rozpoczynałaby się gdzieś około Milejczyc i szłaby do Wahanowa (daléj na wschód już dawny powiat Kamieniecki); wschodnia, półkolem, przez Wahanów, Wielonę, Radwanowicze, Pożeżenin dążyłaby do Suszna.

Marek Gozdawa.



---

namiestnik miński, marszałek hospodarski, na początku XVI w., zostawił syna także Mikołaja i kilka córek; Jur zaś Iwanowicz, starosta brzeski, † 1527 r., żonaty był z Zabrzezińską, wojewodzianką trocką, przez którę Szereszów Ilinicze otrzymali; Jur miał zostawić czterech synów i dwie córy, lecz losy ich—nie znane. Ilinicze posiadali dość obszerne włości, nietylko na Podlasiu, ale i w innych województwach, w trockiém, mścisławskiém i t. d. Jerzego Ilinicza nazywa Kojałowicz hrabią na Mirze; czyby to była identyczna osoba z owym Jurem Iwanowiczém—stanowczo twierdzić nie możemy. Cfr. Boniecki p. 96, Herold polski, I. p. 93.

Z LITERATURY POLEMICZNÉJ

XVI wieku.

Niedalecy bylibyśmy od prawdy, nazwawszy XVI wiek naszéj literatury epoką polemiki religijno-społecznéj. Niewiele można odnaleźć jednostek, które na modłę Horacyuszowską *procul negotiis* drapują się w klasyczną togę stoika, usunąwszy się od życia politycznego: takim jest Kochanowski, Szymonowicz, takim byłby może Sęp Szarzyński, „by był doszedł do lat swoich".

Zresztą, począwszy od Reja a skończywszy na Skardze, przez całe pół stulecia polemika bujnie rozkwita we wszystkich dziedzinach naszéj myśli. Weźmy takiego Orzechowskiego, to postać psychologicznie i społecznie typowa i ze wszech miar godna uwagi, największy krzykacz i warchoł w całéj naszéj literaturze ówczesnéj, ale zarazem najzdolniejszy publicysta. Ten jest nieodrodném dziecięciem swego wieku, czy w szlacheckiéj bucie i samowoli opluwa paszkwilami rodzinę królewską, czy piorunuje na księży, niewypełniających swych ślubów, czy jak Bellerofon nowy wyjeżdża na harc ze Stankarem - Chimerą, czy gromi protestantów, usiłujących zachwiać sztuczną budową jego quincunxa, rozgorączkowany, pełen

sprzeczności i fałszów, prawdziwy mistrz w paradoksie. Jego animusz rycerski nigdy nie opuści; wypowie fałszywą zasadę bez zająknienia, wesprze ją całym szeregiem argumentów, nie zawsze przekonywających, ale wypowiedzianych z wielką siłą przekonania, napiętrzy gmach bez pomocy pionu - logiki — chyli się i trzeszczy cała struktura — nic to! jemu to wystarcza, a o poklask tłumów nie trudno.

A Rej? to postać odmienna nieco, ale również typowa. Ten nie bawi się w subtelności dyalektyczne, bo też tego genialnego samouka nie stać na cytaty, argumenta, rozumowania, teorye. Już bo w teoryi plącze się najfatalniéj, nie mogąc się wywikłać ze sprzeczności, o co go zresztą głowa nie boli: nie umie pogodzić kalwińskiego dogmatu „przejrzenia", t. j. predestynacyi, z nauką o wolnéj woli, téj ostatniéj ze wszechmocą Bożą, téj znów z astrologicznemi bredniami o wpływie gwiazd na charakter i losy ludzi, a wszystkiego tego z teoryą „gołéj tabliczki", jak nazwał duszę ludzką na 100 lat przed Lock'em nasz domorosły filozof.

Że to wszystko wikła się i kłóci, nic to dziwnego, ale Reja nie wytrąca to bynajmniéj z równowagi i nie pozbawia dobrego humoru. Gdzie mu zaś do filozofii? skalpelem logiki badać zagadki bytu i myśli i ważyć na czułych ważkach krytycyzmu! nasz Rej ma na to za ciężką głowę i za ciężką rękę. To też rąbać tylko potrafi, ale jak rąbie! pleban tłusty, chciwy a gnuśny, mnich „ponury, jak Kartuz", szlachcic strojny a butny, istna „szara pycha", opiły i obżarty, „pani duszka", trwoniąca pieniądze na stroje zbytkowne, głupiec nadęty, gbur nieobyczajny wszystkim dostają się uczciwe cięcia, a nasz satyryk ręki nie żałuje.

Doniosłość obyczajowa dzieł Reja zbyt jest znaną, by się nad nią rozwodzić; dość powiedzieć, że cała niemal działalność pisarska autora „Wizerunku" od „Krótkiéj rozprawy" do „Zwierciadła" nosi charakter polemiki żywéj, gorącéj, nie przebierającéj w wyrazach, w rubasznéj, zgruba ciosanéj formie: czy chodzi o dogmaty religijne, czy o śmiesznostki szlacheckie, Réj zawsze kuflem trąci. Ale, że obok tego jest śmiałym w wytykaniu wad tych nawet, których Klonowicz pod lwią skórą nie śmiał zaczepiać, że jest dowcipnym przy całéj swéj rubaszności, że jest obserwatorem tak bystrym, jakich mało, że ma wielki talent satyryka karykaturzysty, umiejącego kilku sztrychami nakreślić postać w pełni ruchu i werwy komizmu, przeto nigdy nie staje się płaskim i trywialnym, jak epigonowie jego z wieku XVII, autorowie brudnych i cuchnących paszkwili w rodza-

ju „Testamentu luterskiego” lub „Listu o kozakach polskich do D. Martyn Luter”.

A Skarga—czyż to nie wielki polemista? Prawda, iż przyświeca mu wzniosły ideał miłości i dobra kraju rodzinnego, prawda, że skupiło się w nim całe gorzkie doświadczenie epoki walki o egzekucyę, wyrywając mu z ust proroctwa Danielowe, prawda, że rozum polityczny, a zwłaszcza uczucie polityczne dochodzi w nim do zenitu, ale bądź co bądź góruje u niego ton polemiki nie tylko przeciw tym, których uważał za wrogów porządku społecznego, ale także przeciw tym, którzy w rzeczach wiary myślą inaczéj; stąd narzekania na akt tolerancyi religijnéj z roku 1573, stąd podobna, jak i u Orzechowskiego, skłonność do wyprowadzenia logicznych wniosków z fałszywych przesłanek w tych kazaniach, w których przemawia z kaznodziei bardziéj mnich-jezuita, aniżeli Polak-obywatel.

Nazwaliśmy barwę literatury XVI wieku tonem polemiki religijno-społecznéj. W saméj rzeczy dwa te pojęcia w owym czasie w dziwny na pozór, a w saméj rzeczy w łatwy do wytłomaczenia sposób zespoliły się jak najzupełniéj. A pochodzi to stąd, iż w owéj epoce sprawy „egzekucyi” od sprawy reformacyi nie odłączano zupełnie; jedna i druga miały jednakowo społeczny charakter. Kto więc zabierał głos w rzeczach, dotyczących religii, musiał mimowoli potknąć się i o kościół narodowy, i stanowisko duchowieństwa w państwie szlacheckiém, i dziesięcinę, i świętopietrze, i jurysdykcyę duchowną i t. d.,— i odwrotnie.

Polemika ta nie przebierała w środkach — wszystkie drogi były dla niéj dobre, wszystkie formy — równouprawnione: ulotne broszurki, pisemka, wierszyki, poematy, traktaty polityczne lub obyczajowe, nawet dyalogi.

Forma dyalogowana zwłaszcza była ulubioną. Używał jéj Rej w „Krótkiéj rozprawie”, „Warwasie“ i w „Kupcu”, Orzechowski w „Dyalogu około egzekucyi“ i w „Quincunxie“, Górnicki w „Rozmowie Polaka z Włochem“, Kochanowski we „Wróżkach“. Wygodna to forma, gdyż pozwala na przytoczenie wszystkich kontrargumentów, przynajmniéj łatwiejszych do zwalczenia, i zwycięskie ich obalenie.

Do tegoż odłamu literatury należą „Rozmowy polskie“ Wita Korczewskiego (1553 r.), stające w obronie katolicyzmu i duchowieństwa, jak również i bezimienne dyalogi „Komedya o mięsopuście” i „Prostych ludzi w wierze nauka“, nie mówiąc już o takim wstrętnym paszkwilu na katolicyzm i papieża, jak „Tragedya o mszy”.

Wszystkie te dyalogi mają jedną wspólną cechę, wyróżniającą je np. od komedyi rybałtowskiéj, t. j. że poza samą formą dyalogu niema w nich nic, coby przypominało dramat i scenę; bo téż i nie dla sceny były one pisane: ani węzła dramatycznego, ani akcyi, ani charakteryzacyi osób—słowem dramatu tu jeszcze mniéj, niż w „Józefie“ Rejowym lub w „Dyalogu Częstochowskim“.

Do tych dyalogów polemicznych przybyły nam obecnie trzy, wydane przez d-ra Zygmunta Celichowskiego z egzemplarzy biblioteki Kórnickiéj (Poznań, nakładem Biblioteki Kórnickiéj, 1899). Zostały one odnalezione w okładce téj saméj „Postyli" Seklucyana, z któréj w zeszłym roku dr. Celichowski wydobył „Kupca" Rejowego i litewski przekład pieśni *Te Deum laudamus*, uskuteczniony przez M. Moswida w roku 1549, oraz polski przekład tejże pieśni. Cenna to okładka dla dziejów naszego piśmiennictwa!

Według przypuszczenia wydawcy, wszystkie trzy dyalogi pochodzą z jednego czasu (około r. 1549) i wyszły z jednéj drukarni (może Jana Weinreicha w Królewcu).

Pierwszy z dyalogów wydawca zatytułował „Rozprawa krotka a prosta o niektorich Ceremoniach a Ustawach kośćielnych", odnalazłszy taki tytuł w spisie utworów Jana Seklucyana u Jerzego Krzysztofa Pisańskiego w jego *Entwurf einer preussischen Literargeschichte* (Królewiec, 1886). „Jest to satyra — pisze Pisański—na zabobonne ceremonie papiestwa w rozmowie między studentem, wracającym z Wittenbergi do ojczyzny, do Polski, a między jego rodzicami, księdzem miejscowym i innemi osobami".

W założeniu więc dyalog ten przypomina pierwszą „Rozmowę polską" Wita Korczewskiego; bo też prawdopodobnie ta ostatnia jest odpowiedzią na nasz dyalog ze strony obozu katolickiego. Chociaż przechował się tylko fragment z naszego dyalogu, zdaje się nie ulegać najmniejszéj wątpliwości, że to właśnie pisemko miał na myśli Pisański.

Na ogłoszony przez d-ra Celichowskiego urywek składa się utarczka słowna między Studentem, który powrócił właśnie z Wittenbergi, przywiózłszy pełną głowę „nowinek" a miejscowém duchowieństwem katolickiém, Plebanem, Kacermistrzem, Gwardyanem, Altarystami i Prebendarzami. Młody zwolennik Lutra i Melanchtona z łatwością pokonywa swych przeciwników, prawiąc wymownie o adoracyi świętych, o postach, mszy, eucharystyi, klątwie i mnichach; tylko o czyśćcu nie chce się rozwodzić:

O czyścu się ja nie pytam,
W ewangelii tego nie mam.

Tém łatwiéj mu przychodzi wygrana, że księża wcale się nie bronią, przyznając się otwarcie do nieuctwa:

Jaciem bibliej nie czytał,
Jeden ze sta bodaj ją znał.
Co też umiem, to powiadam,
A pismem się nie zabawiam.
Tak my sobie przepisujem
Sexterniki, z których każem,

mówi Pleban, tłomacząc się tem samem, co i ów pleban z dyalogu „Prostych ludzi w wierze nauka", — brakiem środków.

Wtrąca się do rozmowy i Gospodarz, skarżąc się na chciwość księży: są i tacy, co komunii chłopu nie udzielą, póki nie zapłaci kolędy i świętopietrza, chociaż w chacie u niego nędza okrutna.

„Ubogim, nie mam czem płacić,
„Musiałbych dziecię zastawić" —

tłomaczy się biedak napróżno!

Jeden tylko Klecha nie przyjmuje udziału w dyspucie, nie dbając o jéj rezultat: nie ma *beneficia*, nie ma więc nic do stracenia, pozostaje też od początku do końca rozmowy obojętnym i bezstronnym. To najbardziéj wypukła i dramatyczna figura w całym dyalogu.

Kończy rozmowę Ojciec studenta, przyznając mu słuszność, a zarazem błędność dotychczasowych swych wierzeń, Matka zaś spłaca dług wdzięczności księżom za trud poniesiony:

I my też wam dziękujemy
Żeście syna nauczali.

Dr. Celichowski rzuca przypuszczenie, że może autorem niniejszego dyalogn jest Rej, Seklucyan zaś tylko wydawcą. W całém atoli dziełku prócz jawnéj niechęci ku duchowieństwu katolickiemu niema absolutnie nic, coby przypominało rubasznego twórcę „Zwierciadła". Przypuszczenie to podlega więc wielkiéj wątpliwości.

To samo można powiedzieć o fragmencie następnego dyalogu, zatytułowanego dowolnie przez wydawcę: „Pokusy szatańskie". Jest to rzecz jeszcze suchsza i bezbarwniejsza, niż poprzednia; w rozmowie przyjmują udział Szatan i Grzesznik. W saméj rzeczy jest

to traktat teologiczny, podzielony na rozdziały, (zatytułowane pokusy), jak zwykle tego rodzaju utwory. W ocalałym fragmencie przechowały się: koniec rozdziału trzeciego, cały czwarty i część piątego. Rzecz cała polega na tém, iż Szatan stara się wykrętami dyalektycznemi zachwiać w Grzeszniku równowagę jego wierzeń, ten jednak trzyma się odpornie i nie daje się uwieść pozornéj prawdziwości dowodzeń kusiciela, powołującego się nawet na Pismo św. Najciekawszy jest rozdział piąty, w którym czart „kusi mszą, aby ją najmował a w niej nadzieję pokładał, świeczki stawiał, pielgrzymował a z czyśca dusze wybawiał"; jest to, jak widzimy, krytyka obrządków kościoła katolickiego i duchowieństwa, które kupczyło świętościami na swoją korzyść. Kończy się karykaturalnym obrazkiem procesyi i uczty księży po odprawieniu nabożeństwa, zupełnie w stylu Rejowym.

Ten ostatni ustęp naprowadza nas na mniemanie, że rzeczywiście Rej jest autorem tego dyalogu, ale scholastyczny układ dziełka, bezbarwność języka, niedołężne rymy, a wreszcie postawienie pod zarzutem dogmatu „przemierzenia Bożego" (predestynacyi), którego Rej gdzieindziéj bronił z uporem, każe nam raczéj przypuścić, że autorem niniejszego dziełka jest ktoś, co znał „Krótką rozprawę" Reja i przeniósł z niéj żywcem niemal scenę odpustu do swego dyalogu.

Trzeci dyalog — to dysputa teologiczna między Księdzem rzymskim a ruskim, w którym ten ostatni pokonywa swego interlokutora. Myliłby się jednak, ktoby sądził, iż chodzi tu o stosunek obu kościołów. Autor nie stoi bynajmniéj na stanowisku Kościoła Wschodniego; jest on protestantem i tylko przez nienawiść do katolicyzmu daje palmę zwycięstwa stronie przeciwnéj. Ta sama tu więc krytyka komunii pod postacią chleba, bezżeństwa duchowieństwa, spowiedzi usznéj, dogmatu o czyśćcu; podaje się wreszcie w wątpliwość tradycya o założeniu biskupstwa rzymskiego przez św. Piotra. Wyróżnia się ten dyalog od poprzednich i formą: gdy tamte pisane są średniowiecznym 8-zgłoskowym wierszem, ten składa się ze strof 5-wierszowych szematu: 8 a + 8 a + 8 a + 8 b + 6 b. Rymy o wiele staranniejsze i gładsze.

W przedmowie do tego dyalogu wydawca z większą już śmiałością stawia hypotezę o autorstwie Reja, raz dla prowincyonalizmów czerwonoruskich: obiednia, przaśnica, nożny, a powtóre dla niektórych właściwych Rejowi wyrażeń, jak: łuczyć, kłusać, puścić

na szrot, dubiel, stoi za jaje. Nie chcemy téj kwestyi przesądzać, tembardziéj, iż ogłoszony egzemplarz dyalogu niniejszego jest bez początku i bez końca, a więc bez karty tytułowéj, przedmowy i t. d. Zastrzegamy się tylko, że kilka oddzielnych wyrazów, będących zresztą w mowie potocznéj u całéj szlachty, nic jeszcze dowodzić nie może.

Henryk Galle.



Rozbiory i Sprawozdania.

Maciej Wierzbiński. Nowelle, z przedmową Teodora Jeske-Choińskiego. (Biblioteka dzieł wyborowych № 90). Warszawa, 1899.

Nazwisko p. Wierzbińskiego względnie mało znaném jest naszéj publiczności. Przyczyną tego warunki życia młodego autora. Pochłonięty przez pracę zawodową kupiecką, musiał przezwyciężać w sobie żyłkę pisarską, a odcięty od kraju i społeczeństwa od lat wielu, nie mógł dać się poznać swym ziomkom. P. Wierzbiński przebywa obecnie od dłuższego czasu w Londynie, zżył się z tamtejszém społeczeństwem do tego stopnia, iż nawet zaczął pisać po angielsku, od lat dwu dopiero zaczął drukować i po polsku korespondencye, sprawozdania i nowelle. Niniejszy zbiorek jest pierwszą książką jego, wydaną w kraju.

Nic więc dziwnego, że wobec takich warunków, utwory pana Wierzbińskiego są dla nas tak dalekie, tak obce. My nie znamy ani tego życia, ani tych warunków, ani tych ludzi, jakich nam autor w swych obrazkach maluje. Mogą więc one zająć polskiego czytelnika tylko o tyle, o ile strona artystyczna w nich odpowiada wszelkim wymaganiom.

„Nowelle" niniejsze są po większej części portretami, w których wysuwa się na pierwszy plan jedna tylko postać, tło zaś zostaje zaledwie zaznaczone.

Takim jest np. „Błazen", sięgający do ciemnych tajników kulisów cyrkowych. Biedny clown Jack pod śmieszną szminką i bła-

żeńskim strojem kryje serce czułe i kochające; miłość jego zwraca się ku dwum istotom: karemu kucykowi Fifi i pięknéj konnojezdce cyrkowej, zwanej „*la belle Clotilde*". Ale urocza Klotylda oddaje swe serce oficerowi jazdy belgijskiéj, Jacka zaś tyranizuje, smaga szpicrutą i wyłudza ostatnie pieniądze—dla tamtego. W chwilę po téj scenie widzimy Jacka na arenie, wykonywającego szalony skok przez dziesięć koni i padającego bez życia. Samobójstwo czy przypadek? to jedno trochę niejasne — zresztą nowelka ta — jedna z lepszych.

Portretem jest również „Przekupień gazet i myśli". Stary Andrzej, wystający codziennie bez względu na pogodę obok dworca kolei Charing Cross na Strandzie w Londynie, sprzedaje nie tylko gazety, ale i tematy do oryginalnych obrazów — snać nie prostym jest on przekupniem, i kiedyś może... ale o przeszłości swojej nigdy nie mówi. Mógłby być zamożnym, bo malarze, chorujący na bezpłodność myśli, wynagradzali go sowicie, cóż kiedy wszystko rozdawał biedniejszym od siebie, na swoje potrzeby zostawiając bardzo niewiele. Wreszcie umiera, a po śmierci jego z zatartego napisu na ryngrafie, który nieboszczyk nosił na piersi, okazuje się, że był on Polakiem, emigrantem, może człowiek wielki duchem, a na poniewierkę skazany.

Takim samym portretem jest obrazek p. t. „Gentleman John" drukowany w r. z. w „Ateneum". Przedstawia on człowieka, wytrąconego ze swojéj skromnéj sfery i przez to prawdziwie nieszczęśliwego, pomimo że dobrobyt ma zapewniony.

Nowelka pod tytułem „Ironie życia" to obrazek na temat, jak świat, stary sprzeczności teoryi z praktyką. Mis Florence Williams jest kobietą postępową, sekretarką klubu kobiet postępowych, pisze nawet traktat w sprawie wyzwolenia kobiet, cóż kiedy jej spokój i równowagę zakłóca widok, jaki przedstawia się jej w przeciwległém oknie. Jest to mieszkanie młodego śpiewaka Jerzego Oswalda, który naznacza tam schadzkę swéj narzeczonej. Sercem sekretarki klubu kobiet postępowych miotają najsprzeczniejsze uczucia; gniew, oburzenie, chęć ocalenia dziewczyny i chęć odwetu nad mężczyzną — może zazdrość. A wreszcie, przekonawszy się, że młoda para połączyła się węzłem małżeńskim, szepce znękana: „zbankrutowałam"...

Tymczasom „wieczór zapadł, i głęboki cień smutku osiadł na licach staréj panny."

Ostatnia, najdłuższa nowelka p. t. „Dora" jest zarazem i najsłabszą. Tu znowu wprowadza nas autor za kulisy operowe i przedstawia

miłość śpiewaczki do jakiegoś Polaka, zabłąkanego do stolicy mgły i spleenu. Miłość smutno się kończy, gdyż śpiewaczka truje się — niewiadomo tylko poco i dlaczego. Okrasza obrazek, pisany jakby bez planu, zdawkowy sarkazm Montegiusza Montego, kantorzysty, filozofa - sceptyka i szekspirologa zarazem, jednego z nieodrodnych synów Hamleta.

W „Nowelkach“ p. Wierzbińskiego jest więc kilka udatnych obserwacyi, kilka dobrze pochwyconych typów. *H. Galle.*

Wilhelm Feldman. „Sądy Boże“ dramat w 4-ch aktach z życia żydowskiego. Warszawa, nakładem Jana Fiszera, 1899.

Laury „Małki Szwarcenkopff“ stały się bodźcem dla kilku autorów do wystąpienia w dziedzinie dramatycznéj. Nadzwyczajne powodzenie owéj pierwszéj próby wprowadzenia na scenę życia, obyczajów i typów żydowskich, zachęciło dramaturgów i przedsiębiorców teatralnych do eksploatacyi téj bogatéj pod każdym względem kopalni.

Jedném z ostatnich usiłowań w tym kierunku jest dramat p. Feldmana p. t. „Sądy Boże“, grywany w obecnym sezonie na jednéj ze scen ogródkowych, podobno z wielkiém powodzeniem.

Rzecz się dzieje w małém miasteczku w Galicyi. Do bogatego kupca Manesa przyjeżdża syn jego Józef, który dopiero co ukończył studya lekarskie w Krakowie. Przyjeżdża w wilię święta kuczek i odrazu natrafia na skandal, który pachnie kryminałem: ojciec jego bowiem wziął w depozyt od szanowanego w całem miasteczku talmudysty Jochai 8000 gul., kiedy ten wyjeżdżał do Palestyny; z téj sumy oddał 800, reszty zapiera się. Rewers zaginął, nie ma sposobu dowiedzenia mu przestępstwa.

Józef więc znajduje się w takiém samém położeniu, jak syn „Marcina Łuby“ w dramacie Sewera, tylko, że działa zupełnie inaczéj. Wprawdzie z początku oburza się na postępowanie swego ojca, grozi mu nawet, że stanie po stronie starego Jochai, ale w końcu staje się wspólnikiem ojca, chociaż serce jego brzydzi się tego rodzaju sprawkami. Przyczyną téj zmiany są czarne oczy sąsiadki jego, o dwa lata starszéj od niego Rózi Eisenówny, którą znał jeszcze z czasów dzieciństwa. Nie kocha ona wprawdzie Józefa, ale gotowa wyjść za niego, byle zrobić karyerę; wie doskonale o sprawkach starego Manesa, a gdy się one odkryją, jéj przyszły teść straci pieniądze, stanowisko i znaczenie w miasteczku — trzeba więc temu zaradzić.

Manes gotów jest popełnić krzywoprzysięstwo, że 8000 nie otrzymał, gdy wtém w ostatecznéj chwili przybiega Józef z rewersem w ręku, który znalazł w książce, pożyczonéj od zięcia Jochai (nie miał w téj chwili nic lepszego do roboty, gdy ojciec jego składa krzywą przysięgę, jak wertować stare książki), ale w czas przybywa i Rózia, by wymódz na nim ów nieszczęsny papier — obietnicą małżeństwa. Manes składa uroczystą przysięgę przed Torą, a Jochaja, dowiedziawszy się o téj nowéj zbrodni, pada rażony apopleksyą. W następnym, i zarazem ostatnim akcie Manes dostaje pomieszania zmysłów na grobie swego skrzywdzonego wierzyciela.

Akcya to zbyt szczupła na 4 akty. To też technika dramatyczna pod pewnemi względami pozostawia wiele do życzenia. Najbardziéj scenicznym jest akt II przed kuczką — żywa i dramatyczna utarczka pomiędzy Manesem a Jochają wobec zgromadzonego na uroczystość całego tłumu żydowskiego. Akt I — to przydługa trochę ekspozycya, III — prócz wysoce niesmacznéj sceny między Józefem i Rózią składa się z samych prawie monologów; IV akt wreszcie, na cmentarzu żydowskim, jest również mało scenicznym, gdyż wobec tego, iż w III wyczerpuje się właściwa akcya, jest on tylko rodzajem epilogu, wypełnieniem „Sądów Bożych“ na ziemi.

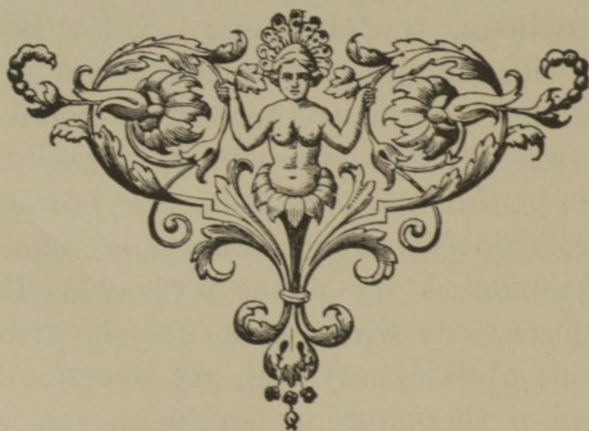
Sceniczność więc niniejszego dramatu polega nie tyle na zręcznie przeprowadzonéj akcyi, ile na wiernem odtworzeniu scen zbiorowych z ruchliwym i wrzaskliwym tłumem żydowskim. Autor zna życie hasydów, zna je, o ile możemy sądzić, wybornie, dał więc wiele scen i obrazów rodzajowych z téj mało znanéj nam dziedziny. Czy przedstawia traktament, który Manes wyprawia dla kapotowéj hałastry w swéj kuczce, czy wprowadza nas do synagogi i pokazuje obrządek składania wielkiéj przysięgi, czy wreszcie daje obraz cmentarza żydowskiego o tle ponurém i smutném, jak zawodzenia płaczek na hasyckich pogrzebach, zawsze wzbudza zainteresowanie w widzu czy czytelniku.

Materyał obserwacyi, którym rozporządza p. Feldman, pozwala mu kreślić udatne sylwetki typowych postaci drugorzędnych, wyrwanych wprost z tłumu żydowskiego, taką jest np. żona Manesa, istota bierna, zahukana przez męża aż do zupełnéj utraty samodzielności, uroczysty dajon, zastępca rabina, i ruchliwy Mendel, posługacz synagogi, wiecznie narzekający na biedę i ciężkie czasy, ciężkie dla wszystkich, a najbardziéj dla niego.

Za to postacie główne znacznie mniéj udały się autorowi. Jeszcze Manes, zacięty i gwałtowny cały pochłonięty, przez żyłkę spekulacyi, doprowadzającéj go do zbrodni i krzywoprzysięstwa, jeszcze

Jochaja, czczony przez całą gminę starzec, wielkiéj wiedzy talmudycznéj i gołębiego serca, byliby nieźli, gdyby nie melodramatyczne trochę przedstawienie ich końca, świadczącego o wielkiéj delikatności ich nerwów. Ale dwoje młodych, Józef i Rózia, ci są naszém zdaniem zupełnie chybieni: on bez woli, bez energii, dramatycznie załamujący dłonie nad torturami, które mu los stawia, a dający się powodować w chwili stanowczéj przywiędłéj piękności z przeciwka, ona — choć niby wyższa od swego otoczenia, ale w saméj rzeczy ohydniejsza od innych, w swej chęci zrobienia dobréj partyi nie cofająca się przed żadnemi środkami.

Autor „Sądów Bożych" ma jak widzimy pewne warunki na autora dramatycznego: duży zmysł obserwacyjny i ruchliwość w scenach zbiorowych, ale powinien udoskonalić jeszcze swą technikę sceniczną i bardziej uzasadniać psychologię postaci, pomiędzy którémi nawiązuje intrygę. *H. G.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Skończyły się żniwa, a wraz z niemi ustaje w dziennikach długa, a bardzo zajmująca dyskusya o wychodźtwie robotnika polskiego do Niemiec.

Jest to jedna z tych kwestyi, do których przystępować się powinno ze świadomością, iż każdém poruszaniem pióra można zadrasnąć tak silne i drażliwe uczucie, jakiém jest troska o chléb dla swoich, troska o gniazdo rodzinne.

Chłop chce mieć na zimę ciepłą strawę. Idzie więc na ciężką pracę tam, gdzie widzi zyskowniejszy zarobek. Myśl wzdryga się przeciw wszelkiemu zatrzymywaniu go przemocą. Ale z drugiéj strony obszary wielkiéj własności nie mają rąk do zbiérania plonów. Gazeta pisze o wolności zarobkowania, a tam w polu giną kłosy. Tém większa odpowiedzialność piszącego, tém trudniéj o bezstronność.

Jak o nią trudno, przekonać się można z głosów, które od czasu do czasu odzywają się w prasie. Wszak pracę na roli niemieckiéj nazwano już nawet hańbą narodową! Rzecz dziwna zaiste, że nikt jeszcze nie nazwał hańbą wysłania do Niemiec transportu pszenicy, która tam ma karmić hakatystowskie żołądki! Spotykaliśmy się z szyderczemi uwagami o tombakowym zegarku emigranta, tak jak gdyby kupienie zegarka w Niemczech przestawało być czynem niemoralnym dopiero wówczas, gdy to jest zegarek złoty.

Ci, co na emigracyę nie patrzą niechętnie, zwracają przedewszystkiém uwagę na znaczny napływ pieniędzy, przysyłanych i przywożonych przez wychodźców do kraju. Posłuchajmy co mówi o tem w „Gazecie Warszawskiéj“ p. J. Chr., znający widocznie te sprawy z bezpośredniéj obserwacyi: „Przed rozkwitem emigracyi letniéj do dzisiejszych rozmiarów, od roku 1893 przez jedną tylko stacyę pocztową w Słupcy przechodziło rocznie do osób niehandlujących przeszło 100,000 rubli. Lwią część tego stanowiły sumy ze Stanów Zjednoczonych; obecnie prąd emigracyjny zmienił się o tyle, że wychodźtwo kieruje się na czas letni raczéj do Niemiec, niż za ocean. Codziennie, począwszy od maja, wszystkie stacye pocztowe w pasie 4-miliowym (mniéj więcéj) od granicy odbierają po kilka a nawet kilkanaście listów pieniężnych z markami niemieckiemi, adresowanych do włościan tutejszych, głównie do kobiet: to mężowie obieżysasi przesyłają po 20 — 30 marek, a ku końcowi lata po 100 i wyżéj. A ileż pieniędzy omija pocztę! Przypuszczam że w najniższym rachunku obieżysasi z pięciu pogranicznych powiatów gub. Kaliskiéj zarabiają w lecie za granicą do 2,000,000 rubli i połowę tego przysyłają lub przywożą do kraju. Oto jest źródło bytu ludności małorolnéj w Królestwie Polskiém, pokrywające deficyty roczne, działy spadkowe, klęski gospodarcze i stałego robaka — lichwę wiejską”.

Do analogicznych wniosków dochodzi w „Gazecie Polskiéj” ziemianin w gubernii Piotrkowskiéj, mówiąc o emigracyi do Niemiec co następuje:

„Głównym zyskiem w Niemczech jest różnica ceny, bo dziewczyna lub wyrostek zarabiają po 44 kop. dziennie. Większa część po kilku latach pracy spłaca długi, dokupuje ziemię i oddaje się najmilszemu zajęciu—pracy na własnym zagonie. Ani namowy agentów, ani ciekawość i chęć szukania przygód, ale potrzeba zarobku, chęć poprawy bytu i zyskanie swobody są powodem wychodźtwa ze wsi”.

Autor, podpisujący się inicyałami *St. S.* powiada w przytoczonym artykule:

„Wychodźtwo ze wsi, wywołane jest nie namowami agentów, ani ciekawością naszego ludu, jak wielu twierdzi, lecz głównie potrzebą zarobku dla poprawienia swego bytu.

„Mieszkając przez długie lata w nadgranicznym powiecie, gdzie ruch emigracyjny na szeroką skalę się rozwinął, obecnie osiedliwszy się w promieniu wielkiego ogniska fabrycznego, miałem i mam sposobność dokładnie obeznać się z temi nowemi prądami, zaznaczy-

ły się one bardzo dotkliwie na mojéj kieszeni, a jednak doszedłem do przekonania, że przynoszą znaczne korzyści krajowi".

Również i na wpływ emigracyi pod względem moralnym nie wszyscy zapatrują się rozpaczliwie. P. J. Chr., któregośmy już cytowali, powiada:

„Obieżysas uczy się bardzo wiele i sam o siebie dbać musi. Nawyka do ogromnego rygoru i ładu, do poszanowania własności prywatnéj i publicznéj, widzi wzorowe gospodarstwa dworskie i chłopskie. Opowiadają po powrocie, że np. na Szląsku Dolnym wszystkie drogi wysadzone owocem, którego nikt nie niszczy i nikt nie pilnuje; że tam narzędzia rolne, całe wozy z uprzężą zostawia się w polu i na noc, a nikt ci nic nie ukradnie.

„Regulamin policyjny co do porządku i czystości, co do jazdy nocnéj z latarką, przestrzegania prawéj strony drogi, kara za wykroczenie każde, np. za pozostawienie woza z końmi bez dozoru na drodze, za pasanie bydła i koni w nocy choćby na własnéj roli, z początku go gniewa, lecz następnie widzi w tém rzecz zbawienną".

Z innego ustępu w bardzo sumiennym elaboracie tego samego autora widzimy, że nawet nad losem dziewcząt, idących na zarobek, nie zawsze trzeba biadać. Oto jego słowa:

„Poszła do Prus z braćmi 18-letnia dziewczyna. Zaopatrzyła się dostatnio w garderobę, niby ekonomowa, albo gospodyni z folwarku, opłaciła podróż w obie strony, pasport roboczy kosztował 3 rub. z kop., faktor rubla i zostało się w gotowiznie *180 marek* (około 83 rubli). W roku bieżącym wybiera się znowu w to samo miejsce, a w r. 1900 dostanie zasobnego gospodarskiego syna za męża w swéj własnéj parafii. Że to nie fantazya, podaję nazwisko i miejscowość: Franciszka Bajdkówna z Rosochy w powiecie Konińskim, gub. Kaliskiéj".

Pesymiści widzą przedewszystkiém niezmiernie małą różnicę między zarobkami u nas, a w Niemczech, następnie zaś stwierdzają wielce demoralizujący wpływ, jaki wędrówki wywierają na lud. Lekarstwo upatrują głównie w przymusowém powstrzymaniu emigracyi. Robotnik korzysta dziś z pewnych ulg przy przekroczeniu granicy. Należy go więc tych ulg częściowo pozbawić.

Już w numerze „Gazety Polskiéj" z dnia 8 marca mówi p. J. K., że „jako środek niezbędny, a konieczny i pilny, pożądane jest bezwarunkowe wzbronienie wydawania kart emigracyjnych nieletnim.

W dwa miesiące potém bo 16 maja r. b. powtarza tę radę pan B. G. w „Gazecie Warszawskiéj", wołając że siłą należy powstrzymać owe 30,000 wychodźtwa.

Najdokładniéj sformował tę myśl p. A. D. dnia 16 sierpnia w „Słowie" mówiąc:

„Wniosek nasz tedy taki, że robotnikom, mającym już cokolwiek więcéj roztropności, przyznane ulgi pozostawić należy, dając im możność zwiększenia zarobków. Natomiast tłumnéj włóczędze niedorostków koniec położyć należy przez odpowiednie przepisy, względnie odjęcie ulg nadzwyczajnych, robotnikom wogóle przyznanych. Nie pójdziemy chyba za daleko, jeżeli jako granicę postawimy pełnoletność. Wobec nieletnich społeczeństwo ma prawo stosowania środków pedagogicznych, bo oni potrzebują wychowania".

Środek ten byłby niewątpliwie środkiem skutecznym. Zewsząd słyszymy, że do Niemiec wychodzi przedewszystkiém młodzież. Gdy dziewucha wyjdzie za mąż, traci ochotę do wędrówki. Powstrzymanie wszystkich, którzy nie doszli pełnoletności złamałoby z pewnością prąd emigracyjny, ale czy wraz z tém, wszystko niłoby się na lepsze?

Smutny jest niewątpliwie obraz moralności w gromadzie wychodźców, odmalowany barwnie piórem p. Donimirskiego w „Słowie" ale czy moralność wielkiéj rzeszy robotniczéj, pozostającéj w kraju jest wyższa? Mamy wszelkie powody twierdzić, że nie.

Nie wiem, czy są jakiekolwiek wskazówki, iż ziemianie, biadający nad ubytkiem rąk roboczych, doczekają się częściowego zamknięcia granicy dla robotnika polskiego, szukającego zarobku w Prusach. O ile wnosić można z dotychczasowego systemu polityki agrarnéj w naszym kraju, wielce jest nieprawdopodobném, iżby wzgląd na żądania właścicieli majątków większych wywołał rozporządzenie tak dotkliwe dla ludności roboczéj. Przypuśćmy atoli, że życzeniom tym stanie się zadość. Jakiż byłby tego skutek? Przedewszystkiém cena robotnika w naszym kraju zniży się znakomicie. Ucierpią na tém nietylko ci, co dziś wychodzą na zarobek do Prus, ale i ci, co obecnie zostają w domu. Zapłata zmaleje na całéj linii. Zamiast licytacyi *in plus* zacznie się licytacya *in minus*. Widmo niedostatku, które z niejednéj chałupy ustąpiło w okresie wyższych zarobków, zawita do niéj znowu.

Ale nie skończyłoby się na tém. Jednym z dobroczynnych skutków emigracyi jest niewątpliwie baczniejsza uwaga, jaką ziemiaństwo nasze zwraca na położenie materyalne téj ludności robo-

czéj, która się z rąk wymyka, a którą każdy ziemianin, dbały o przyszłość własnego zagona i własnéj rodziny, stara się na miejscu zatrzymać. Lękamy się, żeby nagłe obniżenie ceny robotnika nie oziębiło w niejednéj okolicy tych filantropijnych zapędów. Bolejemy nad demoralizacyą jaką zauważono między naszymi robotnikami w Niemczech; ale niech nam wolno będzie zapytać się, co robimy w kraju, ażeby zapobiedz takiéj saméj, lub gorszéj demoralizacyi w wielkich ogniskach pracy, w zbiorowiskach ludu roboczego po miastach, na plantacyach buraków, przy budowlach. Chcemy, żeby niedorostek nie chodził zagranicę? Zobaczmyż, co go czeka, gdy szuka zarobku w Warszawie.

Oto, jak człowiek fachowy opisuje los chłopaka wiejskiego, zajętego przy mularce w Warszawie:

„Mając powierzony sobie dozór nad robotami mularskiemi, zauważyłem, że chłopcy noszą wapno, ważące razem z szaflikiem około 40—50 funt., wyłącznie na lewém ramieniu.

„Pracują tak przez dzień cały, to jest 10 godzin

„Zaproponowałem jednemu z nich, żeby nosił kolejno na obu ramionach, sądząc, że łatwiéj mu będzie wykonywać tę robotę. Odpowiedział mi, że nie jest przywyczajony do dźwigania na prawém ramieniu.

„Obok stojący mularz potwierdził jego słowa i jął mi tłómaczyć to w ten mniéj więcéj sposób:

„Nim się chłopiec przyzwyczai do dźwigania takiego ciężaru upływa parę tygodni. Z początku idzie mu to trudno: trudno mu utrzymać równowagę: odgniata sobie obojczyk, skórę na ramieniu przeciera sobie do czerwoności, do krwi nieraz... Ale zczasem skóra na ramieniu robi się twarda, jak na dłoni, kości się przyzwyczajają — i pracuje chłopiec lepiéj, niż dorosły, bo jest lekki, zwinny, wdrapuje się po rusztowaniu, gdzie trzeba. Stary nie dałby temu rady".

„Miejcież litość nad nimi — rzekłem. — Przyprawiacie o kalectwo te dzieci.

„Prawda — odparł. — One są przepracowane, zachudzone, zabiédzone, nigdy dobrze nie wyrastają, i w wieku dojrzałym prawa łopatka zawsze jest wyżéj podniesiona od lewéj. Za to taki dzieciak zarabia po 45 kop. dziennie. Dawniéj, jeszcze przed laty 5—6 tego nie było. Taki sam szaflik z wapnem nosiło na drążku dwóch chłopców. Zarabiali po 30 kop. Odkąd zaś w Warszawie zaczęło się budować dużo domów—jeden, drugi majster powiada: „Noś sam —zarobisz 45 kop." Głupie to, małe, złakomiło się — i teraz już prawie wszędzie ten obyczaj się praktykuje".

„Dla 15 kop. zwyżki biedne te dzieci przepracowywują się, nieświadome ciężkiéj krzywdy, jaką sobie wyrządzają!"

I my się dziwimy, że lud mając wolny wybór, idzie do Prus.

A przypatrzmy się stosunkom wiejskim. Zobaczmy, jak robotnik tam mieszka. Cesarz Wilhelm powiedział niedawno, że we wschodnich prowincyach Prus robotnicy rolni mają mieszkania gorsze od chléwów. A u nas? Czy niejedna rodzina nie zazdrości tym robotnikom pruskim?

Nie wyobrażajmy sobie zresztą, że jesteśmy wyspą na oceanie bezbrzeżnym. Emigracya do Niemiec znana jest i w Galicyi. Przybrała tam rozmiary tak wielkie, że namiestnik zarządził szczegółowe zbadanie téj sprawy. Obecnie wydział krajowy ogłasza obszerne sprawozdanie, posiłkując się danemi, dostarczonemi przez namiestnictwo.

Cyfry odnoszące się do emigracyi robotniczéj z Galicyi do Niemiec, są bardzo niedokładne. Z lat 1896, 1897 i 1898 tylko pewna część powiatów, jest wykazami objęta. Za rok 1899 wykazuje rząd 26,283 czasowych wychodźców z 21 powiatów.

Przyczyną tego zwiększonego ruchu jest większy popyt w Niemczech za galicyjskim robotnikiem z powodu jego taniości, z drugiéj strony korzystne doświadczenia, jakie robotnicy galicyjscy poczynili za granicą, znalazłszy tam oprócz dobrego utrzymania, zarobek prawie dwa razy większy, niż w kraju. Przykład tych robotników którzy wracając do domu, przynoszą z sobą zarobione pieniądze, umożliwiające utrzymanie rodziny przez zimę i na przednówku, działa zachęcająco w szerokich kołach ludności, która też nawet co raz częściéj obywa się bez pośrednictwa biur stręczeń i agentów.

Emigracyę do Niemiec uważa namiestnictwo galicyjskie wogóle za objaw dodatni.

O tém zaś, jak chłop polski zapatruje się na emigracyę, świadczy rozmowa korespondenta „Gazety Polskiéj", p. B. Świdy, z deputowanym Jakóbem Bojką:

„Ale przecież ziemianie wasi skarżą się na brak rąk roboczych.

„Tak, i słusznie, odpowiada Bojko.—Ale wychodźtwo jest usprawiedliwione ekonomicznie, różnica płac bowiem jest tak znaczna, że chłopi nasi oszczędzają dużo i oszczędności te do kraju przywożą. Nie mam w téj chwili pod ręką cyfr ogólniejszych, ale mogę panu służyć danemi z mojéj gminy i sąsiedniéj. W Gręboszewie, na pocztę w ostatnich 2½ miesiącach przyszło około 11.000 złr. od obieżysasów, którzy nie czekając powrotu i pamiętając o rodzinach, zasilają

je swemi oszczędnościami. W gminie Jadownikach Mokrych wychodźcy przynoszą co rok około 8 — 10,000 zł., oprócz ubrania, naczyń itp. Są to cyfry bynajmniéj nie wyjątkowe. Wszędzie tam, gdzie istnieje wychodźtwo, odbywa się ten przypływ pieniędzy, obracany w następstwie na zakup ziemi i inwentarza, ulepszenia gospodarskie, wznoszenie budowli itp. Można ubolewać nad większą własnością ziemską, ale nie nad krajem, który tymczasem z wychodźtwa czasowego ciągnie korzyści.

„Z powodu tegoroczněj, szczególnie ożywioněj w Królestwie emigracyi włościan do Niemiec; dużo mówiono o demoralizowaniu się naszych włościan na obczyźnie. Co pan o tém sądzi?

„Żadněj „demoralizacyi" nie spostrzegłem. Przeciwnie, chłop nasz przynosi z sobą pewne umiejętności gospodarcze, którychby na miejscu nabyć nie mógł, mianowicie: nietylko nowe metody rolnicze, ale również umiejętność pracy, rozumną oszczędność, przedsiębiorczość, pojęcie o znaczeniu kapitału i nakładów w gospodarstwie. A rozszerzenie widnokręgów umysłowych również jest coś warte".

Jest to jednostronne — zgoda! Ale dopiero z zestawienia zdań jednostronnych można wysnuwać wnioski.

A teraz pomyślmy co za ogrom goryczy nagromadziłby się w tych umysłach, gdyby po kraju gruchnęła wieść, że panowie chcą biédnym ludziom utrudniać zarobek, który im tak jest potrzebny i miły.

Jeżeli więc siłą powstrzymać robotnika się nie da, cóż zrobić, by większą własność ochronić od braku sił roboczych?

Na pytanie to daje nam między innymi odpowiedź p. Franciszek Górski w „Kraju". Artykuł ten zbliżony biegiem rozumowania do artykułów p. J. Chr. w „Gazecie Warszawskiéj", ma dla nas tém większe znaczenie, iż, nie rozszerzając zbytecznie zakresu reform, szuka środków leczniczych w saméj sferze gospodarstw dworskich.

Autor nie mówi o ograniczeniu wolności szukania zarobku. „*Glebae adscripti* dziś już Bogu dzięki nie istnieją, jedynym zatem sposobem zatrzymania i przywiązania ich do majątku, jest zrozumienie słusznych ich potrzeb i zadosyćczynienie tym potrzebom. Rodziny u nas są liczne, mogą dostarczyć znacznéj ilości robotnika, trzeba jednak, aby znalazły warunki odpowiednie: żeby syn i córka nie potrzebowali gdzieindziéj zarobku szukać, ale mogli stale zarabiać w majątku, w którym ojciec jest w obowiązku".

Nie owijając myśli w bawełnę, występuje autor do walki z egoizmem kastowym, mówiąc: „Jeżeli właściciel ziemski tylko swoją

egoistyczną korzyść ma na celu, stara się z ziemi i z pracy ludności wiejskiéj wydusić tyle zysku, ile tylko się da, o obowiązki, ze swém stano iskiem złączone, nie dba, to pytam, czém się różni od spekulanta i aferzysty, który goni za groszem wszędzie, gdzie go znajdzie, byle się tylko z paragrafem kodeksu karnego nie spotkał?"

Z wielką siłą przekonania mówi autor o potrzebie mieszkań dla służby dworskiéj. Z talentem prawdziwego belletrysty opisuje dzisiejsze wnętrze izby mieszkalnéj i wytwarzające się tam stosunki. Nadmienić by zaś można, że bywają wypadki, w których w izbie takiéj mieści się chwilowo po dwie i trzy rodziny. Tylko, że chwila taka trwa nieraz niesłychanie długo.

P. Górski nie poprzestaje na tém. „Oprócz tego, — mówi — nadzwyczaj ważną jest sprawa — przyznaję, że bardzo trudna — o któréj lud nasz mało myśli, ale my, pracodawcy, i wszystkie oświecone klasy społeczeństwa myśleć powinni, to jest zabezpieczenie na starość i wypadek kalectwa. Sprawa ta musi być uregulowaną; gdy nie będzie uregulowaną dobrowolnie przez chlebodawców, to z pewnością przyjdzie czas, może blizki, że będzie uregulowaną w drodze przymusowéj, prawodawczéj. Inaczéj być nie może, bo korzystać z sił człowieka, póki pracować może, a jak się stanie do pracy niezdatnym, puścić go w świat szeroki, to jest straszny wyzysk, którego żadne cywilizowane społeczeństwo tolerować nie może. Że robotnik powinien, a często może zaoszczędzić, to prawda; ale jak nie zaoszczędzi? czyż wówczas wzbogaciwszy innych swoją pracą, ma na starość z głodu ginąć?"

„Tyle obecnie majątków przechodzi w ręce spekulantów, aferzystów parcelacyjnych i t. d. Cóż ich obchodzi los starych i niedołężnych sług i robotników wiejskich? Temu młocarnia rękę urwała, temu drzewo nogę zgruchotało; cała ta spracowana i niedołężna ludność z niczém, z torbami wychodzi".

Głos prezesa Stowarzyszenia siedleckiego dodaje otuchy. Wyznaję, że nie wierzę ani w przyszłe wydanie przepisów, utrudniających emigracyę, ani w zbyt wielkie takich przepisów skutki. Ustałaby wprawdzie emigracya, ale zmniejszenie zarobków nie podziałałoby z pewnością umoralniająco na lud, w sercu chłopa pozostałby silny żal do tych, którzy prosili o obostrzenia, a te same objawy niemoralności, które dziś widzimy między ludem polskim w Niemczech, widzielibyśmy między zgłodniałym tłumem proletaryatu wiejskiego, cisnącym się po zarobek do miast.

Natomiast wierzę, że emigracyę jedno tylko jest w stanie zmniejszyć na stałe, a mianowicie zrównoważenie korzyści, jakie

nasz robotnik widzi za granicą, innemi korzyściami, ofiarowanemi mu w kraju. Tę drogę wskazuje rolnikom p. Fr. Górski, ciernista to droga, ale wiedzie do postępu.

A któż zaprzeczy, że postępujemy? Gdyby wszystko zawiodło, gdyby los nie dopisał żadnemu przedsięwzięciu, to nawet i w takim razie za dowód postępu będziemy uważali nieustanną ewolucyę naszéj myśli społecznéj, nieustanne pogłębianie się naszych sądów o sobie samych, nieustanny, acz powolny wzrost zdrowego krytycyzmu.

Co za przemiana! Nie zdajemy sobie z niéj sprawy, gdyż odbywa się zwolna, niepostrzeżenie, wśród częstego cofania się wstecz. Jak dziecko, dopiero gdy przywdzieje zeszłoroczne sukienki, spostrzega, że urosło, tak my, dopiero przypomniawszy sobie nasze własne sądy z przed lat kilku, widzimy, co się z nami stało.

Gdzież się podziało to błogie zadowolenie z własnych cnót, z własnego męstwa, z własnéj doskonałości, to błogie upajanie się własnemi zaletami, w którém tonęliśmy jeszcze tak niedawno. Przejrzyjmy pisma wszelkich odcieni, wszelkich przekonań i obozów, a zdumiejemy się, widząc ile tam się mieści prawdziwéj chęci zbadania własnych chorób, zanalizowania własnych przywar i ułomności. Zdania, za które lat temu dziesięć palonoby gazetę na stosie, przyjmowane są, jako wolny wyraz przekonań, których nikt nie jest obowiązany taić.

Nic nie może dorównać pogardzie, z jaką szlachcic polski patrzał na łokieć i miarkę. Demokracya nasza w wieku bieżącym wyparła się oczywiście téj pogardy, a jednak bezwiednie przejęła jéj w spadku niezmiernie wiele. O handlarskich plemionach Zachodu mówiono u nas z obrzydzeniem, połączoném z przymieszką politowania. Nuta ta odzywa się bardzo często w naszéj literaturze romantycznéj. Gdy następnie wypadło samemu stanąć za ladą kupiecką, lub pójść pracować w fabryce, wyobrażaliśmy sobie, że wnosimy tam niesłychany zapas przymiotów, nieznanych gdzie indziéj. Wydawało się nam to rzeczą całkiem naturalną, że skoro raczymy się zniżyć do tak plugawych zajęć, to będziemy się wśród ludów europejskich wyróżniali, jak merynosy wśród owiec Niepodobieństwem było pomyśleć, żeby słowność, rzetelność, punktualność nie były zaletami polskiego kupca lub przemysłowca. Wszak jeszcze parę lat temu powtarzaliśmy z namaszczeniem, że nawet w pozytywizmie kupieckim „zaznacza się rdzenna różnica między zachodnimi Europejczykami, a krwią słowiańską”. Różnica ta wychodzi oczywiście nam na korzyść, bo „kto się kończy na s k i albo w i c z,

nie może włożyć w pieniądze całéj duszy i na tém wyłącznie poprzestać". Miałby się był z pyszna, ktoby śmiał zaprzeczyć.

I cóż się stało?

Oto właśnie w ciągu ostatnich tygodni pisano wiele o moralnéj stronie stosunków handlowych w naszym kraju. Kupiectwo nasze spolszczyło się do niepoznania. Przemysł wszedł na drogę ku spolszczeniu i czyni na niéj postępy. Czy rzeczywiście nasze cnoty rodowe zajaśniały tak, jak się spodziewano? Niestety, czytając pisma nasze, nie możemy dojść do takiego wniosku.

Same skargi i skargi. Nie dotrzymujemy słowa, gonimy za zyskiem nadmiernym, stronimy od rzetelnéj roboty, zbywamy odbiorców fuszerką, nie chce nam się odpowiadać na listy! Doprawdy szereg grzechów niemały. A skargi te nie płyną z jakiegoś ciasnego kółka, z jakiejś koteryi lub kliki. Spotykamy je równie w „Kraju", jak w „Głosie". Naród czyta to i nie obraża się. Czy przejmie się temi morałami, nie wiemy. Sądzimy, że bądź, co bądź, zacznie nad tém rozmyślać, a to jest pierwszym i niezbędnym warunkiem zmiany na lepsze.

Bo trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że wraz z legendą o naszych cnotach, nieznanych innym narodom, żyło w społeczeństwie silne przekonanie, że właśnie te nasze cnoty są powodem naszych niepowodzeń ekonomicznych. Dziadunio, który, korzystając z zaprowadzenia hypoteki, obdłużył czémprędzéj wioskę dziedziczną, mawiał nieustannie, że szlachtę muszą wziąć dyabli, bo dziś tylko szachrajom dobrze na świecie; Tatulo, który hypotekę wyrównał po brzegi, powtarzał do śmierci, że w dzisiejszych czasach, kto kraść nie umié, musi umrzeć z głodu. I jakże się tu dziwić, że wnuk, który się tego nasłuchał od dziecka, a dziś ciężką pracą w kantorze lub fabryce na chléb zarabia, nie jest odrazu wzorem sumienności i ścisłości kupieckiéj.

Wnukowi zwolna otwierają się oczy. Porównywa to, co go otacza, z tém co widzi za granicą, i przekonywa się, że go źle uczono. Dziadek nie dlatego wpadl w długi, że się nie nauczył szachrować, ale dlatego, że za wiele polował. Ojciec nie dlatego wyleciał ze wsi, że był człowiekiem uczciwym, ale dlatego, że miał zanadto dobrego kucharza. Przypatrując się tym, którzy po krótkiem powodzeniu runęli w przepaść, i tym, którzy pewnym krokiem wznoszą się zwolna, lecz stale ze szczebla na szczebel, powiada sobie ostatecznie, że etyka praw swych nie zmieniła, że szachrajom nie zawsze się wiedzie i że chcąc uniknąć śmierci głodowej, nie potrzeba być koniecznie rozbójnikiem.

Nie szacherką i okpiszem dźwignęły się wielkie ogniska przemysłu i bogactwa. Nie szacherką doszła Anglia do swéj niezrównanéj potęgi, i nie wydrwigroszom zawdzięcza Paryż swe stanowisko na kontynencie. To samo powtarza się wszędzie, bo jednostka może się czasem wyłamać z pod ogólnego prawidła, ale całe społeczeństwo nigdy.

Bylibyśmy nieuleczalni, gdybyśmy woleli żyć w kalectwie, niż jawnie się przyznać do choroby. Kalectwo nie uszłoby oka ludzkiego. Skoro więc zataić go nie można, lepiéj, że głośno radzimy o poprawie. Niewątpliwie bardzo jest wiele goryczy w słowach „Głosu", gdy mówiąc o nierzetelnych przemysłowcach, powiada: „Byli to Polacy niekiedy powołujący się na znaczne pochodzenie rodowe, ludzie przeważnie szanowni, lecz wyobrażający sobie, że handel polega na szwindlu; postępowali oni tak, jakgdyby po każdym załatwionym interesie miał nastąpić potop; co będzie jutro, czy klient wróci — o to nie troszczyli się zgoła"... ale za to najzupełniejsza prawda mieści się w słowach, że w społeczeństwie cywilizowaném i zdrowém tylko samobójcy posiłkują się szacherką i niesumiennością.

Brak zalet kupieckich nie jest jedyną wadą, którą ostatniemi czasy — zbyt późno niestety — odkryto. Odwaga, z jaką ośmielamy się mówić rodakom prawdę w oczy, dochodzi do tego, że dzienniki zdobyły się nareszcie na wytknięcie Warszawiakom braku dobrego wychowania. I ziemia mimo to nie wykoleiła się z właściwego toru! Gdyby tak, ubiegłemi laty, ktoś się ośmielił bryznąć Paryżanom pólnocy podobnym zarzutem w oczy! Dziś, jak widzimy, ustala się przekonanie, że nie posiadamy należytych form towarzyskich, przekonanie najzupełniéj słuszne.

„Tygodnik Illustrowany" żali się na pewną część towarzystwa za zachowywanie się w Dolinie Szwajcarskiéj — „Głos" gani brak grzeczności dla kobiet w wagonach tramwaju, „Gazeta Warszawska" wspominała niedawno o brzydkim zwyczaju zwracania się z przesadném ugrzecznieniem do jednych, a z lekceważeniem do drugich, w tym samym zaś artykule jest również mowa o niegrzeczności, arogancyi i pyszałkowatości w zetknięciu się ludzi obcych czy to w cukierni, czy to w teatrze, czy przy oglądaniu mieszkań, czy na ulicy wreszcie, przyczém powstają nieraz przykre zajścia niejednokrotnie z groźnemi następstwami. Podobne utyskiwania spotkaliśmy niedawno w odcinku „Słowa".

Czy ci, co tak dotkliwie ranią naszą próżność w punkcie niezmiernie drażliwym, mają słuszność? Niewątpliwie.

Po co okłamywać siebie samych, kiedy jest rzeczą oczywistą, że pod względem form towarzyskich. Jakieś zdziczenie rozpościera się na naszych zebraniach, na miejscach publicznych, na zabawach, naradach i widowiskach.

I gdybyż przynajmniéj na usprawiedliwienie nasze można było powiedzieć, że wychowani do pracy, nie czujemy potrzeby ogłady; gdybyż można było zasłonić się przynajmniéj nieświadomością! Ale nie! Nasza niegrzeczność to nie jest owo bezwiedne, mimowolne prostactwo, z jakiém spotykamy się naprzykład w niemieckich kantonach Szwajcaryi. Nasza szorstkość, nasza opryskliwość, nasze „pozwalanie sobie" wynikają w połowie wypadków ze śmiesznéj i głupiéj chęci imponowania innym, zadzierania nosa, pokazywania otoczeniu, że je lekceważymy.

Rzecz oczywista, że nie działoby się to, gdybyśmy ogładę towarzyską uważali nie za ciężką pańszczyznę, któréj ulegamy szemrając, ale za niezbędną potrzebę, bez któréj tak samo żyć nie można, jak bez powietrza i wody. Widocznie zbyt wielu między nami jest takich, dla których uprzejmość bywa tylko nieznośnym przymusem, utrapieniem, narzuconém przez społeczeństwo.

O ileż życie byłoby dla nas znośniejsze, gdybyśmy się oduczyli tego nieszczęsnego, parafiańskiego nadrabiania miną i przybierania tonów, gdybyśmy oduczyli się udawania przed ludźmi, że tylko przypadkiem zabłąkaliśmy się między nich i że, przyzwyczajeni do oddychania inném powietrzem, dusimy się w ich atmosferze.

Są jeszcze pewne szczególne powody, dla których to aroganckie nadawanie sobie tonów zdarza się w jednych ogniskach życia towarzyskiego częściéj niż w drugich. Słabości téj ulegają przedewszystkiém dwie kategorye ludzi: ci co pragną przekonać wszystkich, że są dzisiaj jeszcze tém samém, czém byli wczoraj, i ci, którzy chcą, żeby świat wierzył, że są już dzisiaj tém, czém mają nadzieję zostać dopiéro jutro. Warszawa, która jednych wynosi, a drugich miele na proch, która równocześnie zjada i stwarza fortuny, obfituje w przedstawicieli obu tych kategoryi. Ani jedni, ani drudzy nie podnoszą poziomu naszéj uprzejmości towarzyskiéj.

Widzimy to na każdym kroku. Wchodzimy do teatru i zajmujemy miejsce w krzesłach. Po lewéj ręce mamy rodzinę, która — ach! — jeszcze pół roku temu chodziła tylko do loży, a dziś poczytuje sobie za obowiązek pokazywania sąsiadom, że gdyby nie smutna konieczność, z pewnościąby się tu nie znalazła. Ależ téż za

to po prawéj mamy rodzinę, która dotąd bywała tylko na paradyzie, a teraz wysila się, aby nam pokazać, że krzesła nic a nic jéj nie imponują. Miło jest w takim razie znaleźć się w samym środku, między młotem i kowadłem.

Cóż na to, poradzić? Rada byłaby łatwa, gdybyśmy posiadali tę zdolność grupowania się, któréj wynikiem w drobnych wypadkach jest przyzwoitość towarzyska, a w ważnych opinia publiczna. Gdyby każdy, kto się zachowa brutalnie wobec kobiety, wiedział, że przeciw niemu zgrupuje się natychmiast cała publiczność, gdyby każdy komu przyjdzie fantazya zabawiania się głośną rozmową podczas przedstawienia, wiedział, że będzie miał przeciw sobie całą salę teatralną, z pewnością wszelkie wybryki zdarzałyby się rzadziéj, zachowywanoby się przyzwoiciéj.

To samo da się powiedzieć o solidarném występowaniu przeciw większym zdrożnościom. Mówiliśmy wyżéj o braku rzetelności kupieckiéj. I to możnaby poskromić solidarném zachowaniem się wobec niepoprawnych. Gdyby rzemieślnik, kupiec lub fabrykant, nielubiący dotrzymywać słowa, wiedział, że opinia publiczna napiętnuje go solidarnie jako człowieka niesumiennego, przecież by się może poprawił.

Tylko pamiętać trzeba, że opinia publiczna, a plotkarstwo pokątne: to dwie rzeczy różne. Plotką, choćby najdowcipniejszą, najdokuczliwszą, najzjadliwszą, nie naprawia się charakterów. Powiemy więcéj. Plotka i opinia publiczna: są to czynniki wyłączające się wzajemnie. I może właśnie dlatego jest u nas tak mało téj ostatniéj, że tak wiele jest tamtych. Plotka szarpie po kolei wszystkich. Nikt jéj ostatecznie nie wierzy, nikt się z nią nie liczy, a po jakimś czasie nikt się jéj nawet nie boi. W społeczeństwie, nad którém rozpostarła rządy, występek śmieléj podnosi głowę. Gdzie nikt nie jest pewien, czy jego dobre imię nie będzie jutro przez złe języki kalane, tam człowiek, który się dopuścił złego uczynku, pociesza się myślą, że w najgorszym razie spotka go to samo, co spotyka codzień ludzi zupełnie czystych. On się głosów ludzkich nie lęka, bo któż tam dojdzie, że między dziesięciu zelżonymi znajdował się jeden, którego sponiewierano słusznie.

Co innego opinia publiczna. Ta nie skrada się chyłkiem po pod płoty, lecz wytacza sprawę w biały dzień — jawnie, na forum, dociera do dna; skoro zaś nareszcie wyrok ostateczny wyda, ma dosyć siły i powagi, by wyroku tego bronić, a powstrzymać wszelkie pokątne przeciw niemu protesty. Opinia publiczna to umiejętność

solidarnego wydawania sądu; plotkarstwo to bezładna ruchawka, w któréj każdy wyrokuje wedle własnego widzimisię.

Czy ta prawdziwa opinia publiczna wytworzy się kiedyś w naszym kraju? Nie wątpimy o tém ani na chwilę. Skargi i narzekania, któreśmy dopiero co przytoczyli, dowodzą, że ogół za nią już zatęsknił. To pierwszy warunek poprawy, pierwszy krok ku reformie obyczajów.

Tad. Smarzewski.



Korespondencya.

Spółpracownik nasz, pan Włostowski nadesłał nam pismo następujące:

Na żądanie Redakcyi „Ateneum”, gdyż inaczéj nie zwróciłbym na to uwagi, oświadczam, że przypisane *mi* w „Tygodniku ilustrowanym” (Nr. 32, str. 632,) w artykule p. t. „Protest”, słowa z „Testamentu” Słowackiego, należą do Słowackiego, nie do mnie, jak o tém przekonać się można z książki Méyeta, o któréj w kwietniowym zeszycie „Ateneum” pisałem — i dziwię się tylko, że zachodziła pod tym względem jakakolwiek wątpliwość.

Kazimierz Włostowski.

Sprostowanie.

W zeszycie lipcowym „Ateneum” w artykule p. Julii Krzymuskiéj (str. 172 w. 15 od góry) zamiast Maryi Konopnickiéj powinno być Maryi Komornickiéj.



Wydawcy: ***Wł. Spasowicz*** i ***St. Łaguna.***
Redaktorowie: ***Wł. Spasowicz*** i ***Stanisław Wydżga.***

Дозволено Цензурою. Варшава 17 Августа 1899 года.

DLA MILIONA.

(Dokończenie).

XXVII.

— Mamo, nie mogę czytać dłużej! zawołała panna Zofia, odkładając książkę z wyrazem zniechęcenia.

— Dlaczego? — zdziwiła się pani Bratkowska, która z robótką w ręku słuchała powieści, — przecież to twój ulubiony autor.

— Znudzą się i słodycze. Zawsze i wiecznie to samo w kółko, on ją kocha, ona jego, między nimi setki, tysiące przeszkód nastroszonych, które w ten lub ów sposób przezwyciężą i zatryumfują...

— Cóż w tem złego? — spytała matka, — przynajmniej w książkach dobre otrzymuje nagrodę, a złe karę.

— Lecz jeśli to marzenie powieściowe przeniosę w życie, widzę rozdźwięk wszędzie i zawsze... Od powieści żądam czego innego...

Matka spojrzała na nią zaciekawiona, pytając:

— A czegóż chcesz, prócz chwil zapomnienia o przykrościach życia codziennego?

— Powieść pisze przecież artysta, który ma wzrok bystrzejszy, słuch doskonalszy, duszę wrażliwszą, więc niechże ja czytając dostrzegę w mem zwykłem życiu widnokręgi dalekie, niech dosły-

szę harmonię świata, niech moje myśli i uczucia nie zrywając z rzeczywistością, ujrzą i odczują piękną, nieśmiertelną prawdę życia w oświetleniu artystycznem.

— Stawiane przez ciebie wymagania od powieści są dla mnie dowodem, że w teraźniejszem twem życiu odczuwasz niepokój, brak równowagi i harmonii pomiędzy pragnieniami a rzeczywistością.

— Ależ mamo, mówiłam tylko o powieści — zawołała lekko zmieszana.

— Moja Zosiu, dawniej to nasze życie, ciche i skromne zadawalniało ciebie, dziś inaczej.... Już dosyć dawno chciałam z tobą pomówić szczerze, jak przyjaciółka z przyjaciółką — mówiła matka składając robótkę, — chodźmy do ogrodu, tam nikt nam nie przeszkodzi.!

Usiadły na ławeczce w cieniu rozłożystego kasztana. Żar dnia pogodnego od czasu do czasu przesuwał swą leniwą falę gorąca po przez cieniste drzewa, zwieszały się liście zmęczone, a kwiaty na poblizkiej grządce otwierały szerzej swe wonne kielichy.

— Moje dziecko powiedz mi szczerze, jak ci się podobał pan Haecht?

— Tak mało go znam...

— Był u nas jednak coś z osiem razy... możesz więc wiedzieć coś o nim.

— Lubię jego towarzystwo, on wnosi do nas inną atmosferę, może świata obcego, ale różną od tej, w której się tu obramy. Jest inteligentny, rozumny...

— Moja Zosiu, i nic więcej?

— Ach mama myśli, że jestem w nim zakochana, — zaśmiała się swobodnie, — od podobania do miłości daleka droga. Lubię go to prawda, bo w jego towarzystwie zapominam o Drohobyczu...

— Szkoda, że on cudzoziemiec — westchnęła matka.

— W każdym razie, nie Niemiec, — zawołała panna Zofia może zbyt gorąco.

— Tak, zapewne; ale on zawsze obcy.

— I dlatego są dla mnie interesujące jego wrażenia kraju i ludzi.

— Byleś się nim zbyt nie interesowała moja Zosiu, gdyż on pewno wkrótce wyjedzie... i tak jestem zaniepokojona plotkami krążącemi po mieście z powodu jego częstych wizyt.

— Plotki zawsze będą, bo to mała mieścina, a o moją opinię jestem spokojna.

— Zawsze lepiej nie dawać cienia pozorów...

— Moja mamo, cóż w tem złego, że młody człowiek bywa u nas przecież nie jesteśmy zakonnicami, i nie ukrywamy jego wizyt.

— Młoda jesteś i nie wiesz, jaki świat zły i podejrzliwy...

— Czy my jednak moja mamo żyjemy w tym świecie, czy ten świat zasługuje na to, by wyrzec się dla jego opinii najmniejszej przyjemności?

Po dłuższem milczeniu odezwała się matka:

— Taka jestem Zosiu niespokojna... Od trzech dni stryj powinien był przysłać pieniądze, pilnuje się zawsze tak terminu, a teraz nic nie pisze.

— List może gdzieś być na poczcie... Czy niema mama już pieniędzy?

— Na jakiś czas wystarczy mi jeszcze... ach ta zależność od tych przesyłek! — westchnęła z żalem.

— Skończy się, moja mamo, skończy. Po wakacyach dyrektorka szkoły obiecała mi napewno posadę. Moja pensya i lekcye wystarczą nam zupełnie, zwłaszcza że Karol sam na siebie zarabia korepetycyami... i wówczas podziękujemy stryjowi za pomoc, dobrze moja mamo?

— I ja pragnę tego, bo nie chciałabym nadużyć jego szczerej dobroci, ale nie mogę wkładać na ciebie tak ciężkich obowiązków.

— Pomówimy o tem moja mamo, jak otrzymam miejsce nauczycielki — zaśmiała się wesoło.

Matka spojrzała się na nią rozkochanym wzrokiem mówiąc:

— Żebyś tylko dosyć sił miała, moja Zosiu, tak mi was żal moje dzieci, że w lecie w takiej spiekocie musicie siedzieć w mieście...

— Tu w ogrodzie, nie czujemy mamo przykrości miasta.

— Nie wmawiaj we mnie Zosiu, i w tej chwili rozgrzane powietrze przynosi aż tutaj zapach fabryk i dymu.

— Nic łatwiejszego mamo, jak uniknąć tego, chodźmy na spacer za miasto, już dość dawno nie byliśmy w polu.

— A jeśli pan Haecht przyjedzie? — zaśmiała się matka.

— Pan Haecht? Przyjedzie i odjedzie, nie zastawszy nas w domu.

— A jeśli zastanie?

— Pójdzie razem z nami.

— Jeśli mamy iść, należałoby się przebrać.

— Może mama weźmie inną suknię, bo ta zbyt wyszarzana, ja zostanę w tej sukience.

— Nie weźmiesz liliowej, tak ci w niej dobrze...

— Szkoda mi liliowej, że nie będę swobodną, a dziś chcę dojść nareszcie do tego samotnego krzyża w polu.

— Tak daleko?

— Pójdę z Karolem, a mama z Tadziem zaczekają na nas.

— Chodźmy Zosiu do pokoju.

— Zaraz mamo... zdaje mi się, że zaturkotał powóz... tak, to pan Haecht — kończyła różowiejąc pod wzrokiem matki.

— Może zostaniemy Zosiu?

— Dlatego że on przyjechał, nie wyrzeknę sie spaceru, tu istotnie duszno.

Poprzez liście drzew i krzewów widać było spiesznie idącego chemika, który spostrzegłszy panie skłonił się z rozpromienioną twarzą:

— Sądziłem, że nie zastanę pań, tem milsza niespodzianka dla mnie.

— Właśnie wybieramy się na dalszy spacer, — mówiła panna Zofia, podając białą rękę na powitanie. — Pan z nami?

— Najchętniej, upał czyni miasto nieznośnem, tem milsze są pola.

— W braku morza, — zażartowała pani Bratkowska.

— Ach dziś przydałoby się morze, wiatr morski oczyściłby tę zatęchłą atmosferę.

— Poprzestańmy jednak na mnszem i idźmy w pole, — uśmiechnęła się panna Zofia. — Na chwilę zostawiamy pana samego, idziemy się przebrać.

Pan van Haecht skłoniwszy się w milczeniu patrzał prawie z zachwytem na chód i ruchy panny Zofii i w niecierpliwem oczekiwaniu przechadzał się od węgła domu i grządek kwiatowych i napowrót.

Wyszła panna Zofia w towarzystwie brata, w pasterce ubranej modrakami, smukła, zgrabna, w sukience popielatej mieniącej się w promieniach słońca, z blond włosami z odblyskiem złota, i pan van Haecht patrzał na nią zdziwiony jak gdyby po raz pierwszy ujrzał ją i ten wdzięk właściwy kobietom, mającym już z urodzenia formy wykwintne. Szła ku niemu jasna, promienna słońcem i młodością, rzucając pytanie z uśmiechem:

— Czy długo?

— Widząc panią jestem już nagrodzony,

— I ta nagroda zadawalnia pana, chociaż nie w brzęczącej monecie?

— Nie mówmy o pieniądzach.... Chciałbym za sobą zostawić wszystko materyalne, pieniężne... Patrząc na panią, mam wrażenie, że żyłem gdzieś kiedyś na dworze królów czy książąt, i oto przez panią przeżywam te dawne, piękne minione czasy.

— Czy jestem podobną do prababek pana? — zaśmiała się szczerze.

— Nie znam i nie widziałem mych prababek, ale może dusza moja żyła w owych czasach, i dziś odżyło dawne wspomnienie.

— Aby pana złudzenie było zupełnie, każę panu zerwać dla mnie kilka kwiatów — zawołała żartobliwie.

— Rozkaz pani uszczęśliwia mnie — odpowiedział tym samym tonem.

Zbliżył się do kwiatów, zerwał kilka i podał siedzącej na ławeczce.

— Jak silnie pachną! — mówiła odbierając kwiaty.

— Tam nad grządką odurza prawie ich zapach; słońce całuje kielichy, a one odwzajemniając się oddają swe wonie...

— I giną...

— W upojeniu miłości. Tak chciałbym zginąć, nie czułbym goryczy i strachu przed próżnią zagrobową.

— Próżnią??

— Takie mam przekonanie. Teraz wiem, że żyję, myślę, czuję, a po śmierci? Może jestem jak ów kwiat, który oddał słońcu swoją duszę, swój zapach, a sam zostawia drobne nasionko, a może jestem tylko koroną, która więdnie, a ziarno jest wieczne i niezmienne.

— Nie mów pan o śmierci w tak pięknym dniu.

— Cień towarzyszy światłu, a śmierć miłości i... życiu.

— Takie rozmyślania dobre są w nocnej ciszy, a teraz idziemy między ludzi, w ruch, w życie — mówiła i wstała, by zbliżyć się do nadchodzącej matki.

Wyszli na ulicę Samborską.

Zbliżający się zachód zmniejszył upał dnia letniego. W ogródkach przed dworkami, na gankach i w oknach otwartych używali mieszkańcy świeższego powiewu powietrza, a wystrojone mieszczki, żony urzędników i przemysłowców szły w kierunku ogrodu publicznego. Panie Bratkowskie, a może więcej pan Haecht, którego dochody olśniewały, a chemiczny wyrób wosku pszczelnego rozsławił, zwracali na siebie powszechną uwagę.

Ubrania pań Bratkowskich, tych zabłąkanych szlachcianek, były poddawane surowej krytyce: gorszono się swobodą obejścia

a oburzano się takiem „afiszowaniem” stosunków z młodym człowiekiem, który przecież będąc bogatym inżynierem, nie ożeni się z biedną zbankrutowaną szlachcianką, zapewne jest tylko kochankiem.

I cnotliwe niewiasty, zwłaszcza matki obdarzone dorosłemi córkami, odwracały się z lekceważeniem, polecając i córkom unikanie tak gorszącego widoku.

Pani kasyerowa, spotkawszy na rogu panią kontrolerową, szły wspólnie do publicznego ogrodu.

— Czy pani kasyerowa zauważyła ich skandaliczne zachowanie? — spytała sznurując usta do wzgardliwego uśmiechu.

— Ta któżby nie widział takiego zgorszenia... Nie będzie można wyjść na ulicę z porządnemi panienkami — odpowiedziała z godnością, wskazując parasolką na swe dwie córeczki.

— To okropne, — mówiła pani kontrolerowa, — bo sama matka ułatwia romans! Czy wie pani kasyerowa, on codziennie tam chodzi, a wraca późno nocą, mówiła mi to Małka, która nosi bułki.

— Wiem ja o lepszych rzeczach, moja pani kontrolerowo, tam poprostu Sodoma i Gomora — mówiła ciszej, by córeczki nie posłyszały tych słów.

— Powinien magistrat wdać się w tę sprawę, — zawyrokowała pani kontrolerowa, — nie można dopuszczać takich rzeczy.

— A wie pani, ona, taka skompromitowana panna, stara się o miejsce nauczycielki w naszej szkole!

— Ładnychby rzeczy nauczyła, — zaśmiała się pani kontrolerowa zjadliwie, — chyba nie dopuszczą do tego, całe miasto podniosłoby gwałt.

— Dziś mówiłam z panią naczelnikową, ta panna miała udzielać lekcyi tej młodszej córeczce, pani ją zna?

— Czy ta z krzywemi nogami?

— Ta sama, to taka kapryśnica, że żadna służąca nie może wybyć kwartału; ale mama zaślepiona w córeczce, i dochowa się ona pociechy, dochowa! — kończyła z ironią, rzucając wokoło ciekawe spojrzenia.

— Tak bywa, gdy matka zbyt kocha, unieszczęśliwia i dziecko, i siebie.

— Otóż moja pani, byłam dziś u niej, i naczelnikowa stanowczo oświadczyła, iż po tych zajściach z tym Francuzem nie przyjmie tej panny do swego domu.

— I bardzo słusznie, pani kasyerowo, bo czy to sens bratać się z jakimś Francuzem, bo to farmazony bez czci i wiary.

— Mówią, że on dobrze zarabia, a od Krausberga wziął pięć czy dziesięć tysięcy.

— A żeby on był cały złoty, nie pozwoliłabym mu bywać i starać się o moją Emcię!

Pani kasyerowa uśmiechnęła się skrycie z tych zastrzeżeń, bo wiadomo, że panna nieładna i złośnica, ale odpowiedziała z pobożnem westchnieniem:

— To racya! Wielka racya! On nawet nie śmiałby zrobić wizyty u nas!

Teraz przyszła kolej uśmiechu ironicznego na panią kontrolerową, bo wiadomo, że do panien kasyerówien ciągną każdego, ale napróżno, dodała jednak z uznaniem:

— Gdzieżby się on odważył, on wie, co gdzie wolno!

Na tę ujemną opinię o paniach Bratkowskich wpłynęło nietylko plotkarstwo, czepiające się zawsze chętnie bagna i brudu, ale i hardość tych pań, które nie umiały ocenić i uznać małostkowych odcieni majątku, znaczenia i wpływu pań miasteczkowych. Zemsta dla małych ludzi bywa zawsze słodką, a tem słodszą, gdy przy tej sposobności można siebie przedstawić w świetle korzystnem i cnotliwem.

Nie znając tych gromów, zaledwie przeczuwając niechęć ze spojrzeń i uśmiechów złośliwych, panie Bratkowskie w towarzystwie pana van Haechta i dwóch młodych synów dążyli za rogatki miejskie.

Przed nimi białą wstęgą ciągnął się gościniec, ujęty w dwa rzędy wysmukłych włoskich topoli, stojących w tej chwili przedzachodniej cicho, bez szelestu i ruchu. Z lewej strony gościńca, rozrzucone w nieładzie bieliły się domki przedmieszczan z po za sadów licznych. Z prawej rozciągały się pola uprawne na wzgórkach przerzniętych wązkiemi łąkami, odbijającemi świeżą zielenią, podsycaną strumykami przepływającymi. Na miedzach stały gdzieniegdzie grusze, a w małych jarkach czerniły się przysadkowate wierzby; kopy zżętego zboża złociły się w promieniach słońca, a na polach było ludno i gwarno od żniwiarek i żniwiarzy; tam wybiegła piosnka, ówdzie pastuszek gwizdał na fujarce, nawoływał gospodarz do szybszej roboty. Cała okolica tchnęła spokojem, pracą bez wysiłku, harmonią pomiędzy naturą a ludźmi.

— Chyba i w ojczyźnie pana nie znalazłby się piękniejszy krajobraz, —mówiła panna Zofia idąca przodem z panem Haechtem, gdy matka wysłuchiwała uważnie dziejów wycieczki koleżeńskiej opowiadanej przez Karola.

— W mojej ojczyźnie? — odpowiedział chemik rozglądając się wokoło. — U nas inaczej, nasze pola orne wyglądają jak ogrody żyzne, każde ujęte w ramki drzew, poprzecinane działkami różnych zbóż. Na każdym kroku widać umiejętną i zabiegliwą pracę człowieka, który ze wszystkiego korzysta. A tu, bezmierne pola, obfitość ziemi, uprawa niedostateczna, mnóstwo nieużytków...

— Gdzież pan widzi te nieużytki? — spytała podrażniona.

— Spójrz pani na te wązkie łąki podmokłe strumykiem wijącym się dowolnie; na te wierzby grube, rosochate, rzucające cień w około; na te gruszy dzikie, bezużyteczne...

— Czytałam, a teraz słyszę od pana o tej waszej ziemi ujętej w karby niewolnicze. Całej naturze, jak i waszym parkom, nadajecie piętno waszych gustów, zamiłowań, zachcianek. Zdaje mi się, że tam u was ziemia musi wyglądać jak stary, spracowany człowiek... A nasza przyroda, nasze krajobrazy, mają wdzięk młodości, swobodnego działania sił przyrody, nieujętych systemem i niewolą służby, tu czuć powiew wolności!

Słuchał, rozkoszując się melodyjnym dźwiękiem jéj głosu, błyszczącemi oczyma, zmiennością wyrazu jej pięknej twarzy.

— Pani sądzi nas fałszywie i z uprzedzeniem.

— Ja?

— My właściwie możemy mówić o wolności, bo człowiek tem bliższy jest wyzwolenia, im bardziej zwycięża siły natury i nad niemi panuje. A my wydarliśmy morzu nasze pola, ogrody, łąki... z mokrych, nieurodzajnych piasków i gliny wytworzyliśmy urodzajną rolę, to też drogą jest nam każda piędź ziemi, każde drzewo, każdy kwiat, bo drogo i szaloną pracą całych pokoleń zdobyliśmy to wszystko — widząc ją słuchającą w skupieniu i z uwagą, mówił dalej podniecony. — Powiedziała pani, że tu w tym krajobrazie czuje pani powiew wolności, ależ to zaledwie daleki odbłysk wyzwolonych z pęt sił przyrody, to lampa, a u nas słońce, bo my mamy morze bezmierne.

— Czy pan bardzo lubi morze?

— Bardzo i nie wiem co wybrałbym, kochankę daleką na kontynencie, czy morze?

— Aż tak dalece! — uśmiechnęła się.

— Pani nie widziała, nie zna morza, ale wierz mi pani, że patrząc na nie, doznaje się już rozkoszy. Czasem bywa ono rozpromienione jak kochanka; lub chmurne i posępne jak zbrodnia, a szalejące jak namiętność; czasem zbliża się do pani falą cichą, łagodną, ponęt-

ną i posłuszną jak dziecko, albo uderza z druzgocącą wściekłością, a zawsze jest żywe, zmienne, barwne...

— Bardzo pragnęłabym zobaczyć morze, w słowach pana czuję prawdę, a jeśli morze jest takie, nie dziwię się, że pan w niem zakochany.

— Wiedziałem, że prędzej czy później przyjdę z panią do zgody — uśmiechnął się.

— Z uznania piękności morza niech pan nie wnioskuje, że krytykuję nasze krajobrazy, — przemówiła z żywością, — pan nie wsłuchał się, nie wpatrzył, nie odczuł naszej ziemi. Nie widział pan naszej zimy iskrzącej się brylantowo, naszej jesieni mglistej, naszych wiatrów, które huczą, wyją, szaleją, a czasem łkają i płaczą w kominach jak tylko rozpacz potrafi. Zdaje mi się, że wszędzie zatęskni łabym na śmierć bez mego kraju.

— Tak się mówi proszę pani, ale gdy przyjdzie konieczność życia lub uczucia, człowiek poświęca pobyt w kraju rodzinnym i wyjeżdża.

— Z nadzieją powrotu.

— Naturalnie.

— A ja myślałam o pożegnaniu wszystkiego na zawsze.

— Dotychczas sądziłem, że słowa „zawsze" można używać tylko w obliczu śmierci i grobu, a dziś...

— Cóż dziś?

— Dzisiaj dochodzę do przekonania, iż są uczucia tak trwałe, silne, bezwzględne, które muszą mieć bliższe określenie w słowie zawsze.

Panna Zofia nie chciała pytać o rodzaj uczucia tego, obawiała się go nawet, odgadując że on mówi o swej miłości, zwolniła kroku, aby się zrównać z matką.

— Zamiast o uczuciach mówić, — zaczęła po chwili, — rozmawiajmy o krajobrazie... Czy panu nie podoba się pewna fantazya widoczna np. w tych odosobnionych gruszach, w nachylonych nad wodą wierzbach, w tym samotnym krzyżu w polu...

— Fantazya przypadkowości! — zaśmiał się, — a ja wolę mieć do czynienia z fantazyą czynu, odbierającego olbrzymowi morzu jego dno, uwielbiam po prostu zwycięstwo ludzi nad przyrodą. W mojej pracowni chemicznej miewam chwile takich zwycięstw i czuję się dumny.

— Nad czem pracuje pan obecnie? Czy jeszcze zawsze nad naftą.

— Zdaje mi się, że jak na dzisiejsze maszyny, któremi tu rozporządzam, lepszej rafineryi dać nie mogę, i za tydzień będę już zwolniony z obowiązku fabrycznego.

— A to winszuję panu powrotu do Belgii, — mówiła z odcieniem mimowiednego żalu. — Czy wie mama, pan van Haecht odjeżdża za tydzień.

— I naturalnie cieszy się z tego, — rzekła równając się z idącymi.

— Czy się cieszę? Tak być powinno, a jednak nie jest. Tam nikt mnie nie oczekuje, nikt nie tęskni, nikt nie myśli o mnie, po za krajem, do którego mam nostalgię, będę tam samotny.

— Niema pan rodziny, krewnych?

— Są tacy, dla których jestem najzupełniej obojętny i niepotrzebny; bliżsi w grobie.

— A koledzy, przyjaciele?—dopytywała się pani Bratkowska.

— Są nimi póki na oczach... Dusze bratnie, pokrewne są tak rzadkie, nadzwyczajne, że tylko bardzo lekkomyślny porzuca je i rozłącza się z niemi.

— Więc znalazł pan jednak taką bratnią duszę, —uśmiechnęła się panna Zofia.

— Mam to złudzenie, i dlatego... żal mi porzucać ten kraj.

Słowa te wypowiedział poważnie, podkreślając spojrzeniem ich znaczenie, zrozumiane przez pannę Zofią, że ta cała zaróżowiona spuściła oczy, a matka odezwała się prawie szorstko:

— Radzę panu nie dowierzać złudzeniom.

— O ile potrafię, — odpowiedział z uśmiechem uprzejmym, — zastosuję się do rady pani.

— Może pójdziemy tą polną drogą, mamo, tu podnosi się kurz.

Istotnie z pól i zagonów zjeżdżały na gościniec ładowne snopami wozy, podnosząc pył drożny, wracały z pastwisk trzody krów i owiec, szły gromady żeńców z sierpami błyszczącymi w promieniach zachodzącego słońca. Weszli na wązką drożynę.

— Czy chcesz Zosiu dojść do tego krzyża?

— Jeśliby mama pozwoliła, poszłabym z panem Haechtem Karolem; mama zmęczyłaby się nadto.

— Nie moja Zosiu, pójdziemy wszyscy — a widząc idącego po ściernisku pana Haechta z powodu wązkiéj drożyny przystanęła i szła za nimi z synem.

Zbliżali się do krzyża.

— Czy nie wie pani, na jaką pamiątkę postawiono go?

— Nie wiem... widzę jednak tabliczkę, może ona objaśni.

Na blasze były czytelne jeszcze wyrazy: Na chwałę Jezusowi Chrystusowi za uratowanie zbłąkanego wśród zamieci śnieżnej. Gdy mu przetłómaczyła napis, rzekł z westchnieniem:

— Szczęśliwy człowiek, zazdroszczę mu!

— Czego?

— Został uratowany, a ileż razy błąkam się bezradny i nikt mi drogi nie wskaże.

— Uwierz pan, a spełni się cud.

— Nie powtarza się cud w tej samej formie. Na morzu kierują się żeglarze gwiazdami...

— Można to samo zrobić na lądzie, — uśmiechnęła się.

— Teraz na widnokręgu mego życia zajaśniała gwiazda...

— Więc pan uratowany — rzekła wesoło.

— Byle mi jej chmury nie zakryły, a będę szczęśliwy.

XXIX.

Pan van Haecht od dłuższego czasu pracował w chwilach wolnych od zajęć fabrycznych nad cerezyną.

Rozbiór chemiczny wosku wskazywał mu zawartość cerezyny, dochodzącą do osiemdziesiątego procentu, gdy w dotychczasowej fabrykacyi pan Winter dochodził do czterdziestu dziewięciu najwyżej. Szukał sposobu ulepszonego przerabiania wosku i znalazł nadwyżkę pięciu procentów przy tych samych maszynach z małą zmianą filtrów.

Nie zadowolnił się jednak tym rezultatem, rozumował bowiem, że brakujące procenta cerezyny po przeróbce wosku są naturalnie utajone w t. zw. „asfalcie“, masie gęstej, czarnej, łatwo twardniejącej, którą z kotłów i filtrów wyrzuca fabryka na hałdy, jako rzecz bezużyteczną, obciążającą koszt dobywania cerezyny.

Tę masę poddawał działaniu różnych czynników, a w tej chwili był zajęty badaniem zmian w asfalcie pod wpływem siarku węgla. Wprawdzie w retorcie uzyskał był już część cerezyny, ale procent był zbyt mały, i środki za kosztowne, gdyby jednak siarek węgla rozpuścił cerezynę zawartą w asfalcie zagadnienie byłoby rozwiązane.

Obok pięknej panny Zofii, która weszła mu już w krew i serce, stała mu się bardzo drogą, kochaną i pożądaną, zabłysły krocie i miliony jako następstwo jego wynalazku. U jéj nóg złoży całe góry złota, a gdy go zobaczy tak pokornym, cierpliwym i kochają-

jącym, zmięknie jej serce, pokocha go i będą zawsze razem, szczęśliwi, swobodni, bogaci.

Z marzeń zbudziło go wejście pana Krausberga.

— Panie inżynierze, ja przyszedłem z wielkiem zmartwieniem.

— Co się stało?

— Pan inżynier może mi tylko pomódz. Mój dyrektor Winter wyjeżdża, on wraca do Niemiec, on nie chce być dłużej.

— Poszukaj pan innego dyrektora.

— Ja przyszedłem do pana inżyniera, niech mi pan zrobi tę łaskę i zostanie dyrektorem w mojej fabryce.

— Nie przyjmę.

— To niech mi pan poleci kogo, ja z ręki pana przyjmę każdego.

— Namyślę się, poszukam w pamięci i dam panu znać.

— Aj żebym ja miał takiego dyrektora jak pan inżynier, ja byłbym bogaty, moja cerezyna byłaby najpierwszą.

— Ja panu podam sposób wzbogacenia się — uśmiechnął się chemik.

— Jaki panie inżynierze?

— Zaraz powiem, ale wpierw chciałbym zapytać pana, czy wie pan dokładnie, jaki procent cerezyny ma pan z wosku?

— Ja wiem, bo to przecież moja fabryka.

— A więc?

— No, czterdzieści osiem.

— Teraz posłuchaj pan mnie uważnie. Pan przerabia 20,000 centnarów rocznie i ma pan 9,600 centnarów cerezyny. Ja podam panu sposób zwiększenia produkcyi o pięć procent, czyli będzie pan miał rocznie tysiąc centnarów więcej.

— Aj, aj, to byłoby dobrze, — wymknęło się panu Krausbergowi, ale zapanował wkrótce nad swoją radością i mówił: — Tysiąc centnarów to pieniądz, ale pewno całą fabrykę trzeba byłoby przerobić, to już byłby mały zysk.

— Nie panie Krausberg. Należałoby tylko zmienić jeden nieznaczny oddział za jakie tysiąc guldenów.

— Panie inżynierze, a co to za sposób?

— Zapłać pan, to powiem.

— A ile panie inżynierze?

— Pięćdziesiąt tysięcy guldenów.

— Co? Tyle? To nie dla mnie interes.

— Jak pan chcesz, dla mnie to obojętne, kupi inna fabryka, puści taniej cerezynę i was poderwie.

— Panie inżynierze, taka suma to żarty, niech pan powie swoje słowo.

— Już powiedziałem.

— Nu, a jeśli dowiedzą się inne fabryki, i zrobią to samo, co mi przyjdzie z tego?

— Ja nie powiem, a jeśli kto odkryje ten sposób, fabryka wprowadzi u siebie to ulepszenie.

— Pięćdziesiąt tysięcy! Nie... ja nie mogę.

— A drugie pięćdziesiąt zarobi pan w jednym roku.

— Tak wygląda, ale nie mogę dać takich pieniędzy.

— I ja nie mogę taniej.

Po chwili milczenia odezwał się pan Krausberg:

— Panie inżynierze, ja panu coś powiem.

— Słucham.

— Ja dam 50,000, ale pan inżynier będzie dyrektorem mojej fabryki, i będzie pan brał pieniądze w miarę dochodu z tych pięciu procentów cerezyny.

— Nie panie Krausberg, prawdopodobnie wyjadę wkrótce i żądam gotówki.

— Jakto może być, aby pan wyjechał? A ta piękna panna zostanie sama?

— Jaka?

— Nu, panna Bratkowska.

— Pan ją zna? — spytał z żywością.

— Ja znam ją, i jej matkę, i ojca znałem.

— Jaki był jéj ojciec?

— On był niczego człowiek, ale nie znał się na interesie. On stracił pieniądze swoje, a ich zostawił w biedzie.

— To tam jest bieda?

— Co tu gadać, czy taka nauczycielka może być bogata, żeby jeść miała, to dobre. Teraz będzie jej gorzej...

— Dlaczego?

— Ona potraci lekcye, któremi zarabiała na życie.

— Ale dlaczego? — dopytywał się głosem zmienionym.

— Ja nie wiem... tak mówią na mieście..... Panie inżynierze ile pan chce? — spytał spostrzegłszy wrażenie, które wywołały jego słowa.

Zaniepokojony wiadomością o utracie lekcyi, doszukując w myśli powodu, odpowiedział zniecierpliwiony:

— Już raz powiedziałem panu.

— Nu po starej znajomości, ja powiem tak. Ja może i dam pięćdziesiąt tysięcy, ale pan inżynier przez miesiąc musi prowadzić sam moją fabrykę, pan nauczy mego syna jak się to robi, i ja zapłacę.

— Ale połowa pieniędzy zaraz.

— Ja dam po próbie, niech zobaczę. A to nowe przerobienie fabryki odbędzie się kosztem pana inżyniera.

— Niech i tak będzie. Jutro zacznę robotę.

— Panie inżynierze, zacznij pan po wyjeździe Wintera, on zobaczy i powie Niemcom.

— Masz pan słuszność.

Pan Krausberg uśmiechnął się rad z umniejszenia wymaganej sumy, gdyż miesiąc bezpłatnej roboty i koszta przeróbki fabryki zostały mu w ręku. A możeby użyć panny Bratkowskiej, aby ona zmiękczyła inżyniera, błysnęło mu w umyśle, ale nie, one są złe na niego, nie chcą go znać, nawet lekcyi nie daje u niego, chociaż on płaciłby jej regularnie. Lepiej nie zaczynać z temi kobietami. Pan Krausberg wstał z krzesła, mówiąc na odchodnem:

— Panie inżynierze, ja mam słowo pana. Pan inżynier miesiąc jeden kieruje moją fabryką, nauczy pan mego syna sposobu, a pokaże się więcej cerezyny, pięć procent, ja zobaczę i zapłacę.

— A umowa?

— My zrobimy notaryalną, to za wielka suma.

Po jego wyjściu przeszedł chemik do swej pracowni, by zbadać dalsze działanie siarku węgla, jednak taki wielki niepokój ogarnął go o ukochaną dziewczynę, że kazał zaprzęgać konie, aby dziś jeszcze zobaczyć ją i dowiedzieć się o szczegółach.

Właśnie matka z córką, smutne i zgnębione siedziały przy pracy, gdyż przed kilku dniami otrzymały list bezimienny, kalający ich dobrą sławę, a dziś dyrektorka nie przyjęła ich u siebie, jakkolwiek widziały ją w oknie.

— Moja Zosiu, nie martw się, to złe minie, sprawa się wyjaśni, i wszystko wróci do zwykłego trybu, — uspakajała matka nie wierząc sama w te słowa.

— Idzie mi tylko o zmartwienie mamy, te ohydne plotki muszą ustać, bo nie poczuwam się do żadnej winy.

— Wiem moje dziecko, ale niechże to na przyszłość będzie ci nauką, aby unikać i nie dawać pozorów najlżejszych. Opinia panny to pył motyla, raz starty z trudnością wraca. Nie tyle w tem twojej winy, ile mojej i jego.

— Jego?

— Powinien był bywać rzadziej, nie zajeżdżać powozem...

— Ależ on nic nie winien, — broniła córka, — cudzoziemiec ani wiedział, ani przypuszczał nawet, aby stosunki towarzyskie pociągały za sobą takie plotki.

Matka spojrzała na nią badawczo i odezwała się wzdychając:

— Zanadto go bronisz, boję się o ciebie...

— Jestem tylko sprawiedliwą.

— Za obcym nie przemawia się tak gorąco.

— Bo mi też obcym nie jest, zawdzięczam mu tyle przyjemnych wrażeń.

— I żałujesz, że wyjedzie?

— Tak mamo, żałuję, bo znów wrócą smutne, jednostajne dnie.

— Więc ty go kochasz? -- spytała matka z odcieniem obawy i żalu.

— Nie wiem mamo. Jego towarzystwo jest mi miłe, widuję go chętnie, lubię go słuchać, bo mówi rozumnie i pięknie, ale nic więcej....

— I to dosyć moja Zosiu, wystrzegaj się go, o cierpienie tak łatwo.... Jeśli dłużej tu zostanie, muszę go prosić o mniej częste bywanie u nas.

— Dlaczego mama chce mu zrobić taką przykrość,—zawołała czerwieniąc się, — i tak wyjeżdża, niechże ma dobre wyobrażenie o gościnności polskiej.

— Nie moja Zosiu, to mój obowiązek strzedz cię przed obmową.

Do pokoju wpadł syn Karol mówiąc:

— Mamo, Zosiu, pan Haecht przyjechał.

Córka wstała i całując rękę matki prosiła szczerze:

— Moja droga mamo, niech ta wizyta jego będzie bez wymówek mamy. On i tak za tydzień wyjeżdża.

Matka westchnęła głęboko mówiąc:

— Ulegam twej prośbie, chociaż czuję, że źle robię.

— Ten jeden, jedyny raz mamo.

— Dobrze, już dobrze. Idź, przygotuję tu herbatę i przyjdę.

Po przywitaniu, pan Haecht, widząc jej pobladłą twarzyczką, spytał z większem współczuciem, aniżeli zamierzał:

— Co pani jest panno Zofio? Była pani chorą? Miała pani zmartwienie?

— Drobnostka — uśmiechnęła się.

— Więc to prawda, co mi mówiono, — zawołał wpatrując się uważnie w jej twarz i oczy podsiniałe.

— Cóż mówiono? — spytała zaniepokojona.

— Że pani traci lekcye...

— Dotychczas żadnej, może w przyszłości, a i to tylko przypuszczenie.

— Jeśli mógłbym w czemkolwiek pomódz, poradzić, rozkazuj pani, jestem przecież przyjacielem państwa.

— Dziękuję panu, nic nam nie potrzeba.

— Ale powiedz mi pani przynajmniej przyczynę tej gadaniny o lekcyach.

— Zwykłe plotki małomiasteczkowe, które na razie bolą i są przykre, a z czasem umilkną.

— Należałoby jednak im zapobiedz, usunąć powody, wyjechać...

Uśmiechnęła się słuchając go i rzekła weselszym tonem:

— Powód sam się usunie, a wyjechać nie możemy.

— Tak pragnąłbym widzieć panią szczęśliwą, wesołą, bez trosk i kłopotów, że nie zawahałbym się przed żadną ofiarą, bo ja bardzo.., kocham panią — kończył drżącym głosem szukając jej oczu.

Słuchała go pobladła, poważna i po chwili rzekła:

— Ulega pan wrażeniu chwili, jest pan daleko od kraju, wśród obcych, i przyjaźń bierze pan za miłość.

— Ma pani słuszność, bo nie rozumiem miłości bez przyjaźni, a tej bez szacunku, ale ja wiem, że szczerze i serdecznie kocham panią, że na myśl o jej utracie wszystko ciemnieje wokoło, brzydną mi ludzie, świat, życie; boś pani moim celem, moją gwiazdą, mem słońcem. Nie rozumiem, jak mogłem żyć tak długo, nie znając ciebie, nie wiem czy potrafię żyć, gdy mi odmówisz swej ręki, gdy znów zostanę sam, z tem przeświadczeuiem, że byłem tak blizko szczęścia i utraciłem je.

Wziął jej rękę, której mu nie broniła i prawie szeptał:

— Ja panią kocham, uwielbiam i szanuję. Złożę u nóg twoich wszystko, co dotychczas miłowałem, będziesz moją panią, będę cię zawsze czcił i wielbił, tylko nie odtrącaj mnie... Żaden skazaniec nie czekał z takiem drżeniem i trwogą wyroku, jak ja w tej chwili, o powiedz, powiedz.

— Ale ja nie wyjadę, nie porzucę mego kraju, — powiedziała patrząc mu w oczy.

— Już powiedziałem, żeś ty moją panią, ty rozkazujesz—ja słucham. Zrobię co tylko każesz, przyjmę wszystkie warunki i cze-

kam wyroku, czy chcesz iść wspólnie przez życie, uszczęśliwić mnie, zostać moją żoną? Powiedz, powiedz.

— Chcę — szepnęła.

Rzucił się przed nią na kolana, całował jej ręce, suknię, mówiąc:

— Kocham, kocham, i jestem szczęśliwy, a tak bardzo się bałem, że zniknie mi gwiazda moja, słońce moje!

— Wstań pan, — rzekła z uśmiechem rozpromieniającym jej twarz, — i pomówmy rozsądnie.

Posłuszny usiadł obok, a ona zaczęła:

— Pierwszy warunek, że zamieszkujemy stale w moim kraju, co nie przeszkadza nam wyjeżdżać do Belgii, o ile będą fundusze...

— O te będą zawsze!

— Tem lepiej dla nas, tylko znów powtórzę, że ja niemam żadnego posagu.

— Słyszałem, i tem szczęśliwszy jestem, że sam otoczę cię zbytkiem i przepychem.

— Następnie dzieci nasze muszą się kształcić początkowo tu, u nas...

— Zgadzam się najmilsza.

— I dom prowadzimy polski, bo mieszkając tu, musisz pan nauczyć się po polsku.

— Dobrze, ale pod warunkiem, że pani będziesz moją nauczycielką.

— Przyjmuję ten obowiązek — odpowiedziała z powagą.

— A teraz moje warunki, — zawołał pan Haecht, — jest jeden, ale starczy za wszystkie.

— Jaki?

— Kochaj mnie — i całował jej ręce.

— Czyż nie kochając, zgodziłabym się zostać żoną pana?

— Więc mnie kochasz? Powiedz, powtórz...

— Kocham.

— Teraz dopiero jestem pewny mego szczęścia — zawołał i znów chciał uklęknąć, wstrzymała go mówiąc:

— Trzeba mamę uprzedzić.

— Ja powiem, bo chciałbym wołać głośno, aby słyszeli wszyscy, że jestem bardzo szczęśliwy.

— Teraz mogę powiedzieć powód plotek i utraty lekcyi.

— Jaki?

— Zbyt częste wizyty pana.

— Moje? A cóż one szkodziły ludziom?

— Ludziom nie, ale nam zaszkodziły, później dam panu do przeczytania listy, które nam nadesłano.

Weszła pani Bratkowska i chmurna spojrzała na gościa siedzącego blizko córki, ten wstał i mówił po przywitaniu:

— Mam zaszczyt prosić o rękę córki pani, którą bardzo kocham.

— Pan?

— Od dawna pragnąłem wyjawić moje uczucia, ale dopiero dziś miałem dość odwagi zajrzeć w oczy memu losowi i jestem szczęśliwy...

— Zosiu! — zwróciła się do córki, która zarumieniona skinęła głową.

— W téj chwili niemam majątku, ale zawsze mam tyle, aby pannie Zofii nie zbywało na niczem. Całe moje życie poświęcę, aby tylko była szczęśliwą. Czy pani uznaje mnie godnym tego wielkiego szczęścia?

— W tej sprawie może rozstrzygać tylko Zosia, ja z mej strony nie widzę powodu sprzeciwiania się, jeśli ona widzi w tem swoje szczęście.

— Zawsze będę panią czcił i kochał, jak rodzoną matkę, bo słowa pani dopełniły mego szczęścia. Panna Zofia przyrzekła mi swoją rękę.

Córka widząc trochę smutną twarz matki zbliżyła się szybko, a matka tuląc ją do siebie szeptała ze łzami w oczach:

— Daj ci Boże, byś była szczęśliwą!

XXX.

Dwie wiadomości poruszyły giełdę pod apteką, pierwszą przywieziono ze Schodnicy, drugą z Borysławia.

Kupcy i pośrednicy byli mocno zainteresowani nowiną, że do Schodnicy zjeżdża wysoki dygnitarz Spółki kopalnianej, który na miejscu ma zbadać stan interesów i sprawdzić słuszne żale, skargi i narzekania innych przemysłowców nafcianych, ponoszących wielkie straty z powodu gospodarki pana Floryańskiego.

Druga wiadomość zaalarmowała przedewszystkiem Borysław, gdyż na domach, słupach, latarniach, rozwieszono afisze z podpisem: Jan Łasica prezes Związku Robotników, wzywające wszystkich robotników na zgromadzenie ogólne, aby się porozumieć jakich środków należy użyć na właścicieli kopalń, odmawiających Związkowi

kam wyroku, czy chcesz iść wspólnie przez życie, uszczęśliwić mnie, zostać moją żoną? Powiedz, powiedz.

— Chcę — szepnęła.

Rzucił się przed nią na kolana, całował jej ręce, suknię, mówiąc:

— Kocham, kocham, i jestem szczęśliwy, a tak bardzo się bałem, że zniknie mi gwiazda moja, słońce moje!

— Wstań pan, — rzekła z uśmiechem rozpromieniającym jej twarz, — i pomówmy rozsądnie.

Posłuszny usiadł obok, a ona zaczęła:

— Pierwszy warunek, że zamieszkujemy stale w moim kraju, co nie przeszkadza nam wyjeżdżać do Belgii, o ile będą fundusze...

— O te będą zawsze!

— Tem lepiej dla nas, tylko znów powtórzę, że ja niemam żadnego posagu.

— Słyszałem, i tem szczęśliwszy jestem, że sam otoczę cię zbytkiem i przepychem.

— Następnie dzieci nasze muszą się kształcić początkowo tu, u nas...

— Zgadzam się najmilsza.

— I dom prowadzimy polski, bo mieszkając tu, musisz pan nauczyć się po polsku.

— Dobrze, ale pod warunkiem, że pani będziesz moją nauczycielką.

— Przyjmuję ten obowiązek — odpowiedziała z powagą.

— A teraz moje warunki, — zawołał pan Haecht, — jest jeden, ale starczy za wszystkie.

— Jaki?

— Kochaj mnie — i całował jej ręce.

— Czyż nie kochając, zgodziłabym się zostać żoną pana?

— Więc mnie kochasz? Powiedz, powtórz...

— Kocham.

— Teraz dopiero jestem pewny mego szczęścia — zawołał i znów chciał uklęknąć, wstrzymała go mówiąc:

— Trzeba mamę uprzedzić.

— Ja powiem, bo chciałbym wołać głośno, aby słyszeli wszyscy, że jestem bardzo szczęśliwy.

— Teraz mogę powiedzieć powód plotek i utraty lekcyi.

— Jaki?

— Zbyt częste wizyty pana.

— Moje? A cóż one szkodziły ludziom?

Uśmiech dumnego zadowolenia zajaśniał na ciemnej, opalonej od wiatrów i słońca twarzy, pogładził brodę i rzekł:

— Tego Floryańskiego trzeba bić jego własną bronią. On chce nam przeciwstawić gojów i robi zmowę z nimi, my obróćmy tych gojów na niego, niech oni ze sobą się pobiją.

— Aj to mądrze!

— Ten Lejzor, to głowa!

— Ty tylko gadaj!

— My róbmy swoje, aby on stracił kredyt, a na niego, kiedy jest sam prezes Spółki kopalnianej, trzeba posłać gojów. To jest tak, robotnicy zbierają się w niedzielę, my możemy tam posłać naszych lepiarzy i innych, niech i oni będą z robotnikami, czy im nie wolno?

— Dlaczego nie? Lejzor ty mów, my słuchamy!

— Tam będzie wielkie gadanie na wyzyski wszystkich co mają pieniądze, nu a kto ma największe kapitały? Floryański... Od kogo można zabrać najwięcéj? Od niego. Kto nie daje zarobku tragarzom i furmanom? On, bo zrobił sobie rury. U kogo są w niewoli? U niego, bo im nie wolno pić i jeść gdzie sami chcą, tylko u jego nastawników... Czy rozumiecie?

Kiwali głowami potakująco, dziwiąc się jego wielkiemu rozumowi.

— Tak, tak, my już wiemy! — mruczeli.

— Nasi to zrobią.

— Lejzor, ty zapomniałeś, że tam będą żandarmi, policya, — rzekł z namysłem pan Kernstein.

— Na zgromadzeniu będą, ja wiem, ale po karczmach nie będą siedzieli, a jak chłopi nie będą mieli za co pić, oni polecą do Floryańskiego; a zresztą nasi mogą to zrobić po cichu, czy zaraz trzeba gwałtu krzyczeć? — kończył uśmiechając się wyniośle.

— Kernstein, ty daj spokój, Lejzor dobrze radzi — odezwali się inni.

— My już to zrobimy — dogadywali słuchacze.

— Jak prezes zobaczy — zaczął znów pan Krausberg, gestykulując rękami — że na Floryańskiego są wszyscy, i my, i robotnicy, którzy zrobią mu szkodę w jego zbiornikach, rurach, fabrykach, on sobie pomyśli, na co mi trzymać takiego człowieka, i wypędzi Floryańskiego.

— To będzie najlepiej, — zawołano radośnie.

— Lejzor ty powinieneś być ministrem!

— Lejzor ty mądra głowa!

Członkowie giełdy, załatwiwszy w ten sposób dwie te sprawy ogólnego znaczenia, rozprószyli się kończąc inne interesa pieniężne.

— Lejzor, — przemówił p. Kernstein, przystępując do stojącego na uboczu, — czy ty masz innego dyrektora cerezyny?

— Ja mam.

— To ten od rafineryi? — a na potakujące skinienie głową, mówił dalej: — On ciebie kosztuje bardzo drogo, ja słyszałem o tem, ty Lejzor uważaj.

— Czy ty myślisz, że ja nie szanuję moich pieniędzy? ale jak jeden gulden robi drugiego guldena, to ja nie pożałuję.

— Lejzor, ale mówią na mieście, że ty mu dałeś aż dwadzieścia pięć tysięcy!

— Ja mu dam jeszcze raz tyle, — rzekł z dumą bogacza.

— Lejzor! — zawołał zdziwiony p. Kernstein, chwytając się ręką za pejsy.

— Kernstein, ja tobie dobrze radzę, jak tobie kto daje sto, ty możesz mu dać pięćdziesiąt, ty zawsze zarobisz i będzie dobrze.

— Ja to wiem.

W tej chwili zadźwięczały podkowy na bruku rynku, poznano powóz pana Floryańskiego, który według obiegających wieści wiózł prezesa Spółki kopalnianej. Jakkolwiek pan Floryański znał niewielu żydów, a gość żadnego, jednak większość kupców i pośredników odsłaniała głowy z wrodzonego szacunku przed pieniędzmi.

— Miasto, panie profesorze, — mówił pan Floryański, — prócz przedmieść jest przeważnie w rękach żydowskich, a Borysław cały.

— A gdzież dawni właściciele? — spytał profesor, zwracając swe oczy przesłonięte okularami na mówiącego.

— Większość zmarniała, inni jak właściciele gruntów borysławskich są w służbie u nabywców.

— To źle dyrektorze, zatem wasza Spółka jest pierwszą placówką w tej gałęzi przemysłu.

— Prawie. Były co prawda dawniejsze usiłowania, ale upadały pod naciskiem solidarności tutejszych kupców.

— A jakże wy sobie radzicie?

— Dotychczas jesteśmy górą, i będziemy jak mam nadzieję, chociaż ich szkodliwą rękę czuję na każdym kroku, i tu, i w bankach starają się zaszkodzić Spółce.

Profesor zwrócił ku niemu swą wychudłą, pomarszczoną twarz i kręcąc delikatną ręką siwiejącą brodę spytał z lekkim naciskiem:

— Dyrektorze, to wasze zwycięstwo opierasz na rachunku, czy na wierze?

— Jedno i drugie, mamy kapitały i kredyt wielki, kopalnię urządziłem i prowadzę o ile mogę, według wszelkich wymagań nauki i praktyki podobnych zakładów zagranicznych, mam już naftę, rafinuję i wyprę z kraju produkta amerykańskie i kaukaskie.

— Hm... a co mówią rachunki dyrektorze?

— Pierwsze wkłady są zawsze znaczne, ale z czasem zamortyzujemy.

— Szczerze życzę wam powodzenia, — mówił podając dyrektorowi swą rękę delikatną, nerwową. W głosie jego dosłyszał jednak pan Floryański pewien niepokój, uśmiechnął się i rzekł tonem wesołym i swobodnym:

— Nie obawiaj się profesorze o nas, Spółka zarobi miliony, i przynajmniej ten przemysł naftowy będzie krajowym po kilku latach pracy.

— Aby was tylko nie zjedli żydzi.

— O to niema obawy, — zaśmiał się pan Floryański, — mają za małe kapitały, aby prowadzić kopalnię tak jak my i urządzać takie fabryki, nie boimy się ich konkurencyi. Pan profesor sam zobaczy jak porządnie idzie u nas robota, bo uprzedzam, że po za studyami geologicznymi, musi profesor zwiedzić wszystkie nasze zakłady.

— I owszem, i owszem, bardzo tego pragnę, — odpowiedział serdecznie, — a to jaka fabryka?

Przejeżdżali obok rafineryi z jednej strony gościńca, a fabryki cerezyny z drugiej.

— To nasza rafinerya! — rzekł z pewnem dumnem zadowoleniem pan Floryański, śledząc wyraz twarzy swego gościa.

Profesor poprawił okulary i patrzał z zajęciem na wielkie budunki rafineryi, błyszczące w zachodzącem słońcu nowością i dokładnem wykończeniem. Obok stały ładne, z pewną elegancyą i komfortem zbudowane domy urzędników rafineryi.

— Bardzo ładna, ale też musiała drogo kosztować, dyrektorze.

— Jak zwykle każda rzecz dobra.

— Dowozisz dyrektorze surową naftę?

— Nie, to koszt i kłopot. Bezpośrednio ze zbiorników w Schodnicy sprowadzam tu rurami.

— Ho, ho, — zdziwił się profesor, — to już zupełnie po amerykańsku.

— Daleko nam jeszcze profesorze do Anglików i Amerykanów, to dopiero początek — westchnął szczerze pan Floryański.

— I produkujecie dobrą naftę?

— Na razie najlepszą możliwą. Sprowadziłem z Belgii chemika specyalistę pana van Haechta, on udoskonalił rafineryę.

— Van Haecht?.... van Haecht? A tak, tak, czytałem jego ciekawy artykuł o epoce oligocenicznej, bardzo dobrze napisał.

Profesor spojrzał na prawą stronę, na fabrykę pana Krausberga, niezgrabną, brudną, z przybudówkami nieforemnemi, z lichą kamieniczką mieszczącą biura i mieszkanie dyrektora.

— Jaka to fabryka?

— Cerezyny.

— To pierwsza w naszym kraju... i taka niepozorna, czy dobrze idzie?

— Podobno nieźle, dawniej była licha cerezyna, ale obecnie sprytny żyd wziął na miesiąc van Haechta i ma wyborny produkt z większą wydajnością wosku. To doskonały interes, Krausberg dorobi się majątku.

— Jakto? Zdawało mi się, że van Haecht był u was.

— Był tak długo, póki nie udoskonalił rafineryi, taką miał umowę. Zapłaciłem dosyć drogo, ale za to mam naftę wyborną.

— I taka fabryka może opłacić van Haechta? — mówił zdziwiony profesor.

— Widocznie opłaca, i van Haecht mógłby był wziąć znacznie więcej za swoje odkrycia, tylko że on niebardzo praktyczny.

— Tak?

— Od Krausberga, właściciela fabryki, wziął tylko pięćdziesiąt tysięcy, i to w dwóch ratach, z miesięczną, bezpłatną pracą dyrektora, a dał mu zarobku rocznego sto tysięcy, a bodaj czy nie więcej.

— Hm.... ano niepraktyczny jak każdy uczony, ale zawsze wziął ładny grosz.

— Który w części zostanie w kraju — kończył pan Floryański.

— Jakto? Zakłada fabrykę?

— Chyba dzieci, — zaśmiał się wesoło administrator — bo żeni się z Polką, panną Bratkowską, ładną panną, już są po słowie.

— Żeni się?... No, proszę, taki mądry człowiek, chyba musi być młody — dziwił się bezżenny przeciwnik małżeństw.

— O, młody, lat ze trzydzieści.

— A, w takim razie nic dziwnego.... no, a pan, panie dyrektorze, jakże z żeniaczką?

— Nasza kopalnia wystarczy mi za żonę.

— Masz słuszność, kłopoty jednakowe, a zawsze człowiek spokojniejszy, bo to dyrektorze uczucie w życiu zaważy dużo, bardzo dużo, ale tak ogólne, społeczne, nie dla jednej czy dwóch kobiet.

Przez jakiś czas rozmawiali o tej kwestyi i zgodzili się obaj, że najlepszą i najwierniejszą kochanką jest nauka i praca społeczna.

Dojeżdżając do Borysławia, spotkali przy drodze znaczną ilość żebrzących, byli tam ślepcy, kulawi, bez ręki, ogłupiali idyoci z wiecznym uśmiechem na bezmyślnej twarzy.

— Borysław musi być litościwy, bo ściąga do siebie żebraków, — zauważył profesor.

— To dawni robotnicy, — objaśnił dyrektor — tu stracili zdrowie, tu szukają ocalenia od śmierci głodowej.

— Tak?? Jakże z kwestyą robotniczą u was?

— Wyzyskują ich żydzi, a rząd za słaby, nie przeciwdziała energicznie.

— No, a u was?

— W naszęj Spółce, robotnicy stosunkowo mają się lepiej, ale to kropla w morzu. Była już u mnie delegacya Związku robotników i zażądała pieniędzy na rzecz ich kasy.

— Cóż? Daliście?

— Odmówiłem, bo na pijatykę nie chcę dawać, i ci naczelnicy nie budzą we mnie zaufania.

— Cóż oni na to?

— Grożą, jak zwykle. Kazałem też pilnować fabryk, przyrządów, domów, bo robotnicy to proch palny, lada iskra rzucona przez lada kogo, i wybuch gotowy.

— Jest agitacya? jakieś zorganizowanie?

— Niby, jednak to dopiero kiełkowanie czegoś, gdyby to był normalny, zdrowy ruch społeczny, tem lepiej dla nas; ale to zdaje mi się, zwykły wyzysk sprytniejszych, nic więcej.

— Cóż na to żydzi?

— Drwią i słusznie.

— Jednak z tymi żydami może źle się skończyć; chłop cierpliwy, ale mściwy, mówi przypowieść. Kto wie, czy nie doczekają się tego, że nagle pewnego dnia zerwie się burza, i zwieje ich jak zeschłe liście z drzewa, to będzie straszny dzień sądu i kary.

— Sami idą w tym kierunku, bo wyzyskują wszystko i wszystkich haniebnie, wyodrębniają się z rozmysłem, i drażnią bez miary. Nędza Galicyi, to przedewszystkiem ich robota i ich wyzysk.

— Dziwne zaślepienie, — rozmyślał profesor, — bo przecież doświadczyli następstw takiego postępowania w Egipcie, skąd ich wypędzono bez względu na wiek i płeć.

— Tyle lat.... zapomnieli!

W najbliższe święto po obejrzeniu wszystkich zakładów Spółki, zawiózł pan Floryański swego gościa do fabryki rafineryi nafty, a po zwiedzeniu zapytał:

— Teraz profesorze, czekam twego sądu.

— Czy mam być szczery?

— Proszę o to.

— Hm.... Widzi pan, z całości odniosłem wrażenie, że wy budujecie bardzo wspaniały i piękny okręt, jednak nie zbadaliście wody, po której on ma płynąć.

— Nie rozumiem.

— Uważa pan... Galicya to mały, ubogi kraj, to płytka, często bagnista woda i wy z waszym wspaniałym okrętem możecie utknąć, a żydowskie łódki popłyną daléj.

— To już pesymizm!

— *Ut falsus vates sim*, — zacytował profesor wzdychając.

— Panie administratorze, — zawołał dyrektor wbiegając do pokoju, — surowica przestała płynąć!

— Surowica? Zostawiłem przecież trzy pełne zbiorniki surowej nafty w Schodnicy. Telefonuj pan!

— Drut zerwany!

— Tak??? W takim razie pękła gdzieś rura i przerwała drut obok biegnący.

— Prawdopodobnie.

— Jedźmy profesorze do Schodnicy, ach gdyby oni tam dowiedzieli się w czas o tem.

— Duża strata?

— Około stu tysięcy, jeśli wypłyną zbiorniki.

— Niema czasu do stracenia, jedźmy!

W zbiornikach zaledwie małą część surowej nafty zatrzymano kranami, reszta spłynęła rurą rozbitą przez wzburzonych robotników borysławskich.

Profesor, słuchając sprawozdania z przebiegu przyczyn i następstw mściwego rozerwania rur mruknął z westchnieniem:

— To pierwsza mielizna!

XXXI.

— Przyszedłem wcześniej dzisiaj, czy jesteś zadowolona Zosiu? — mówił pan Haecht, witając narzeczoną w małym saloniku.

— Więcej aniżeli kiedykolwiek, byłam bardzo niespokojna o ciebie i już chciałam prosić Karola, aby pojechał do ciebie, i przywiózł mi wiadomość.

— Skądże ten niepokój bardzo pochlebny i miły dla mnie?

— Zdawało mi się, że już nie żyjesz.

— Aż tak dalece!? — zaśmiał się: — Czy byłabyś przesądną?

— Miałam straszny sen, ale tak wyraźny, tak tchnący rzeczywistością i prawdą, że do tej chwili jestem pod jego wrażeniem i dziwię się i cieszę, że cię oglądam zdrowego i żyjącego.

— Zaraz przekonam cię moja najmilsza, że wiara w sny i przeczucia, to tak dobry przesąd, jak niechęć do liczby trzynaście. Wpierw jednak opowiedz mi twój sen, i może pozwolisz mi usiąść — mówił wesoło, całując jej białą rękę.

Usiedli oboje blizko na kozetce, a pan Haecht pieszcząc jej rękę rzekł:

— Opowiadaj Zosiu, będę słuchał, ale twej rączki nie puszczę.

— Jak się zaczął mój sen, nie pomnę. Wyobraź sobie pokój wielki, pięć razy, sześć razy większy od tego... pełen jasnego, dziennego światła, białe ściany, duże okna, ale prawie pusty. Stołek, czy stół w kącie, ławka przy ścianie, i nic więcej. Wiem, widzę, doznaję takiego uczucia, jak gdyby to było nasze, a przecież jakież to dla mnie obce, nowe, nieznane. Stoję na środku bezradnie, niby oczekując na coś, niby szukając czegoś zapomnianego. Po pokoju chodzi mój ojciec zamyślony, milczący, smutny, ze spuszczoną głową. Nie rozumiem, dlaczego nie zdaję sobie sprawy, nie dziwię się, że twarz ojca jakaś inna, wydłużona, bez zarostu, chuda... Ogromne, szerokie podwoje stoją rozwarte na oścież, za niemi kawałek przyćmionego nieba, powietrze ciche, uroczyste, bez oddechu, trochę mroczne, jak kiedy słońce schowa się za większy obłok. Widzę w jednej i tej samej chwili, stanąwszy za rozwartemi drzwiami, na prawo, u ściany, że dom nasz stoi na niewielkiem wzgórzu, i że dokoła niego rozpościera się płaszczyzna bezmierna, zrzadka tu i owdzie zasiana białemi, murowanemi siedzibami ludzkiemi, nie mogę odgadnąć dlaczego ludzkiemi, skoro ani okien, ani dachów nie było na nich widać. Pusto, bezludnie wszędzie, tylko zdala na całej przestrzeni słychać wyraźne, ostre, aczkolwiek zresztą pod żadnym względem nie przykre, owszem zwyczajne, otuchy niemal dodające psów szczekanie—długie, ciągłe, nieustające...

— Nic dziwnego Zosiu, musiał pies ujadać pod oknem, w ogrodzie, a inne mu odpowiadały — uśmiechnął się.

— O nie, nie... słuchaj co się stało dalej. Patrzę, i nagle spostrzegam o jakie kilkadziesiąt kroków...

— Co tobie? Drżysz cała, blada jesteś, ależ uspokój się. Zosiu, moja najmilsza, najdroższa.

— To nic, to tylko teraz wydaje mi się takie okropne, wstrętne, brudne... we śnie nie uczułam najmniejszego przerażenia, skamieniałam, byłam całkowicie spokojna, wiedziałam na pewno, że już po mnie, że zginę niechybnie, że ginę...

— Moja ukochana, to opowiadanie rozdrażnia ciebie, daj spokój, nie mówmy o tem.

— Przeciwnie ty i przedewszystkiem ty musisz mnie wysłuchać,—zawołała rumieniąc się.

— Ależ słucham, cóż dalej?

— W tym śnie musi być prawda jakaś, przestroga, to świat niewidzialny stał się dla mnie we śnie widzialny.

— Zaciekawiasz mnie, mów!

— Nic nie zmyślam, nic nie dodaję... Po drodze przed nami, na nasz dom, pędził jak wicher, prosto ku nam żubr olbrzymi, straszny, wściekły... wydał mi się zdaleka zwinnym, silnym, barczystym... Potężne, zwoiste rogi na łbie; wypukłe błyszczące źrenice... nagle uskoczył w bok trochę... i teraz najdokładniej, najwyraźniej, w jednem mgnieniu oka spostrzegłam, że to nie był żubr... Nie miał łba, tylko gatunek—ot takiej, niby pokrywy plugawej kadzi; coś w rodzaju tarana osiekającego, pieniącego się; coś jak tarcza mięsista, płaska, kudłata, skorupiasta—najeżona tysiącem kłów i wąsów, barwy ciemno-ryżej, śliskiej, ohydnej, zerkającej, i na jednym z kłów wisiało coś białego, martwą białością, z przyklejonymi włosami, ociekłego brudną masą. Z tym łbem kadłub... cielsko olbrzymie, wydęte, klocowate, pokarbowane, oślizłe, miękkie, czołgające się po ziemi, o trupim, zgniłym kolorze potwornego raka... Parło to najprościej w kierunku drzwi przy mnie. Rozległ się zduszony łomot. Tuż przedemną, cudem jakimś, nie dotykając mnie wcale, wciskał się ten potwór w podwoje, z syczeniem i szelestem niewypowiedzianie odrażającym, żebra, boki, klejby, łapy, monstrualnego tego pluskwo-wołu—mokre, czerwone, kosmate, odurzająco cuchnące. Parło się to w drzwi widocznie ciasne — i kurczyło się, uginało, grzebiąc się, chwytając wstrętnemi racicami za próg. We mnie nic nie drgnęło, nic nie zamarło, oburącz tylko usiłowałam odepchnąć od siebie połówkę podwoi, które mię teraz zaczęły przypierać do ściany, oddechu, powie-

trza mi brakło, chociaż zaczął przez drzwi przezierać błękit nieba i promienie łagodne, powiewne, gojące i uśmierzające. W pokoju za mną zalegała cisza grobowa, głęboka, bezmierna... Przypomniałam sobie, że na jednym z kłów coś wisiało... spojrzałam... i w tej chwili ten wstrętny potwór rzucił na środek pokoju coś białego, okrągłego, splamionego ciemną masą... to było żyjące, drgało, patrzało głębokimi oczo-dołami, i poznałam... to była twoja ukochana głowa, twoje rysy, twoje włosy...

Wybuchła łkaniem gwałtownem, on trochę zmieszany, zaniepokojony, tulił ją szepcąc:

— To tylko sen, to dzieciństwo, przecież żyję, kocham cię, tulę do siebie...

— Nie, nie, w tem jest rzeczywistość, jej przeczucie...—mówiła załzawiona i pełna smutku.

— Ale jaka?—uśmiechnął się z przymusem.

— Nie wiem, może ten potwór, to owa nienasycona gorączka milionów, która zabiła mego ojca; może to jakaś dżuma, epidemia grożąca wszystkim; może to jakiś człowiek straszny, bezwzględny, okrutny...

— Dzieciństwo! Na twoją pociechę powiem ci, że skończyłem z Krausbergiem jeden interes, a zawiązałem drugi.

— Jaki?

— Zapłacił mi dziś resztę należności dwadzieścia pięć tysięcy, a teraz piszą u notaryusza nowy kontrakt.

— ??

— Przyjmuję u niego miejsce dyrektora za pięć tysięcy rocznie, i wszystkie odpadki z fabrykacyi cerezyny są tylko moją własnością, w ciągu kilku lat będziemy mieli miliony, prawdziwe miliony.

— Jakim sposobem?

— Z tych resztek fabryki, wyrzucanych na hałdy, już osiągnąłem siedem procent cerezyny, czyli przy przeróbce 20,000 centnarów wosku, mam na czysto tysiąc czterysta centnarów cerezyny płaconej dziś po sto guldenów.

— I Krausberg się zgodził?

— Z wielką chęcią, gdyż nie wie, że mam sposób wydobycia czystej cerezyny z wyrzucanych resztek fabrykacyi.

— Ach, tak się boję tego Krausberga, już ci mówiłam, że on zgubił mego ojca.

— Ale mnie nie zgubi! — zaśmiał się. — To zemsta losów, logika przeznaczenia, zabrał ojcu majątek, odda dzieciom dziesięćkroć.

— Ach mój drogi, mój miły, czy nie mógłbyś ominąć tego Krausberga i jego fabryki? Taki niewytłómaczony lęk mnie ogarnia, tak się boję...

— Dziecińᴢtwo! Jesteś rozdrażniona, zdenerwowana snem, ale to minie — i całował jej ręce wpatrując się rozkochanym wzrokiem w jej twarz pobladłą i smutne oczy: — Jakaś ty zawsze piękna, dobra, słodka... Kocham cię w radości i smutku, w szczęściu i cierpieniu, tu na ziemi i tam za grobem, boś ty mojem marzeniem, rozkoszą, życiem, wszystkiem!

Słowa jego miłości i zachwytu ukołysały jej niepokój, i już uśmiechnięta przemówiła weselej:

— Chciałabym, abyś i po ślubie zachwycał się mną tak, jak teraz, ale...

— Zawsze, zawsze będziesz dla mnie najmilszą, najukochańszą! Twemi oczami chcę patrzeć na świat, twem sercem odczuwać i razem, nierozdzielnie iść z tobą nietylko przez to życie, ale i tam w zagadkowym i tajemniczym świecie duchów — znów całował jej ręce, co raz namiętniej.

— Dosyć, dosyć mój panie — śmiała się usuwając ręce,— wracajmy do rzeczywistości.

— Tyś moją rzeczywistością i marzeniem, i chcę, byś jaśniała jak brylant najkosztowniejszy, którego zazdrościliby mi wszyscy i każdy nim się zachwycał.

— Pragnę tylko twego zachwytu.

— Czyż nie odczuwasz, jak dalece jestem oczarowany twą pięknością i dobrocią?... Ale świat podziwia drogie kamienie wówczas, gdy są oprawiane w złoto, i ja cię obsypię i zasypię złotem uczuć moich i złotem zdobytem moją pracą.

— Słuchając ciebie, mam złudzenie, że istotnie nasza przyszłość będzie jasną, bez chmur i burzy.

— I taką będzie, boś ty dla mnie słońcem, tym błogosławionym i dobroczynnym promieniem, od którego taje mróz rozczarowań, przykrości i egoizmu.

— Mówisz jak poeta.

— Może jestem poetą w uczuciach, ale w życiu jestem praktyczny.

— A dowody? — uśmiechnęła się.

— Mam w tej chwili 60,000 guldenów, z tych dziesięć wyniosą koszta przyrządów do uzyskania cerezyny z resztek fabrycznych, a dwadzieścia przeznaczam na urządzenie wewnętrzne naszego domu, już część pokojów jest wytapetowana i posiada nowe posadzki,

meble zamówione, czy jeszcze ci mało mej praktyczności?... Pozostaje mi trzydzieści tysięcy, i mam wielką prośbę do ciebie, przyrzeknij, że spełnisz, proszę cię o to.

— Nie wiedząc jaką, nie mogę się zobowiązać; ale powiedz, jeśli tylko będę mogła, chętnie ją wypełnię.

— Wiesz, nie mogę być stróżem moich pieniędzy, pilnować ich i bać się złodziei, otóż one sprawiają mi ten wielki kłopot, zechciej więc przyjąć je i rozrządzaj niemi, jak własnymi.

— O co to, to nie! Pieniądze te są twoje, a nawet jako żona nie będę niemi rozrządzała, nie mieszaj do naszych uczuć kwestyi pieniężnej.

— Zosiu, proszę cię, błagam, weź!

— Ach jaki ty dziwny!? Czy nie rozumiesz, że ja jako biedna, bezposażna, nie przynosząca żadnych pieniędzy do wspólnej kasy, nie mogę nic przyjąć. Te pieniądze piekłyby mnie, bolały, drażniły, zdawało by mi się, że mnie kupiono, zapłacono mi moją miłość, że masz do mnie prawa właściciela... Nie, nie przyjmę.

— Ależ Zosiu, przecież nasz ślub za sześć tygodni, ty powinnaś dbać o nasz wspólny majątek...

Weszła pani Bratkowska, a widząc córkę zarumienioną, a narzeczonego z wyrazem prośby na twarzy, spytała z uśmiechem:

— Czy zaczynają się już spory? Może zawcześnie?

— Pani jako praktyczna osoba,—przemówił chemik,—zechce rozstrzygnąć sprawę między nami.

— Wiem doskonale, że mama...

— Przepraszam, — zawołał narzeczony, — wpierw ja przemówię, bo ja oskarżam. Otóż mojem zdaniem, żona powinna ponosić przykrości na równi z mężem, jako mąż mam na głowie fabrykę, mam urządzenie mieszkania, zaś moja przyszła żona, powinna przynajmniej strzedz przed możliwą utratą pieniądze zarobione, czy nie tak?

— Zgadzam się z panem, o cóż idzie?

— Tymczasem napróżno proszę mej przyszłej żony, aby się podjęła tego obowiązku, i wzięła w swoją opiekę odebraną dziś sumę trzydziestu tysięcy, odmawia i naturalnie stanie się przez to przyczyną naszego zubożenia; a teraz czekam wyroku — uśmiechnął się tryumfująco.

— Jestem tak pewną, że mama będzie po mej stronie, iż nie przemówię w mej obronie.

— Poglądy pana na obowiązki małżonków są bardzo słuszne i sprawiedliwe,— zaczęła pani Bratkowska, — i miałabym za złe Zo-

si, gdyby się usuwała od ich spełnienia, ale zachodzi w tym wypadku, ta okoliczność, że nie jesteście po ślubie, ona nie jest jeszcze żoną, a pan mężem... więc ona ma słuszność.

— Tego nie spodziewałem się zupełnie,— zawołał prawie zgorszony, — nasza miłość i dane słowo są ważniejsze od ślubu.

— Może, i o to nie będę się spierała, ale tytuł i prawa żony liczą się dopiero od chwili ślubu.

— Wiedziałam, że mama tak zdecyduje.

— Zatem zgoda, — powiedział całując rękę pani Bratkowskiej, — wyrok przyjmuję, bo nie mam wyższej apelacyi; jednak w takim razie proszę panią, jako naszą matkę, abyś wzięła te pieniądze na przechowanie, bo istotnie mogą zginąć z mego mieszkania.

— Czy nie ma pan kasy? jakiego schowka?

— Za mało pieniędzy na kasę ogniotrwałą — zaśmiał się swobodnie,— a o pożar fabryki tak łatwo, i moje otoczenie nie wzbudza we mnie zaufania.

— Mama może przyjąć, sama nawet pomogę pilnować, ale ja nie wezmę.

— Oto są, proszę pani, proszę przeliczyć, — mówił podając pakiet papierów, — wziąłem je dziś od Krausberga.

— Od niego?.... Jego pieniądze nie przynoszą szczęścia, — westchnęła, przypomniawszy sobie męża.

— To już zakrawa zupełnie na przesąd,—zaśmiał się z ironią,— Krausberg nie jest zły człowiek, to zwykły typ handlarza dorabiającego się pieniędzy; zimny, oszczędny, rachunkowy...

— Pan go nie zna, tak jak my, — odezwała się matka, — on przynosi ze sobą nieszczęście.

Uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Ja wierzę jednak, że są ludzie, którzy dla swego otoczenia są błogosławieństwem, a inni przekleństwem — mówiła zamyślona panna Zofia.

— To zależy od ich etycznego wykształcenia, — rzekł chemik tonem wyjaśnienia.

— A mnie się zdaje,— zaczęła panna Zofia — że prócz etyki działa tu jakaś inna siła, bo są przecież w dziejach ludzie, którzy na kształt dżumy, siejąc potworne zbrodnie, przeszli przez ludzkość, zostawiając za sobą krwawy pas nieszczęść, taki Kaligula, Neron, Torskwemada, książe Alba... i tylu, tylu innych.

— Wyrzutki albo maniacy.

— Nie sądzę, bo jeśli na ziemi, w naturze samej, istnieją miej-

scowości, któreby można nazwać siedliskiem cierpień, chorób i śmierci, mogą być i tacy ludzie.

— Metafizyka! — uśmiechnął się z pobłażliwością. — Miejscowości takie są uwarunkowane glebą, klimatem, prądami powietrznymi, a tacy źli ludzie są wytworem środowiska, wśród którego żyją, i rodzajem zajęcia, któremu się oddają.

— Zosiu daj mi pióro — odezwała się pani Bratkowska ukończywszy liczenie pieniędzy, — chcę napisać kwit dla pana Haechta.

— Kwit? W jakim celu? — spytał.

— Poświadczający przyjęcie tej sumy na przechowanie i zarazem moje zobowiązanie oddania tej sumy na każde zażądanie.

— Przecież pani matką, a pieniądze należą do córki, a mojej przyszłej żony.

— Może tak będzie, ale czy kto z nas wie, co nas czeka?

— Mnie szczęście! — mówił patrząc rozkochany na narzeczoną.

— Pana może, ale ja mogę dziś umrzeć, za godzinę, i zawsze bezpieczniej zostawić dowód.

— Ma pani słuszność, zapomniałem nawet o śmierci, tak mi teraz dobrze, taki jestem szczęśliwy.... Ostrożność jednak nie zawadzi nigdy.

Po otrzymaniu pokwitowania rzekł.

— Pozwoli mi pani papieru i pióra, mam napisać słów kilka.

— Proszę pana, tu na biurku...

Siadł, i na wszelki wypadek rozporządził całym swym majątkiem, a tegoż dnia przy podpisaniu sześcioletniej umowy z p. Krausbergiem u notaryusza, zażądał od tegoż poświadczenia swego podpisu.

XXXII.

Pan Lejzor Krausberg wracając z Wolanki wstąpił do swej fabryki. Z bramy skręcił na lewo do biur i rękami zgrabiałemi z zimna otworzył drzwi do pokoju wielkiego, z białemi ścianami, o trzech oknach przez które wpadało światło dnia zimowego. Na środku pokoju stał wielki stół dla pisarzy, i jedno biurko stare pod ścianą dla samego właściciela.

Pokój mimo rozpalonego pieca, z powodu nagości ścian, ubóstwa sprzętów, białego światła odbitego od śniegu, robił wrażenie jakiegoś zimna, chłodu, smutku i opuszczenia.

Z trzech pisarzy, siedział przy stole jeden, zgarbiony nad papierami.

— Szaja gdzie tamci? — spytał właściciel wskazując na puste krzesła.

— Jeden liczy krążki cerezyny, a drugi pojechał za interesem fabrycznym do miasta.

— Co ty robisz Szaja?

— Piszę list z obstalunkiem kwasu siarkowego.

Fabrykant zbliżył się i przez ramię piszącego odczytywał list, spostrzegłszy na stole list w zamkniętej kopercie, spytał:

— A to co za list?

— Przyniósł go dyrektor, aby wysłać z naszemi listami.

— Ty nie wiesz Szaja, — mówił biorąc list w rękę i odczytując adres, — czego chce dyrektor od fabryki Sprengla.

— Ja nie wiem.

Panu Krausbergowi zaświeciły się oczy z ciekawości, nie mógł rozstać się z listem. Co może dyrektor van Haecht pisać do fabrykanta? Może zdradza jego fabrykę? Donosi o nadużyciach mieszania do cerezyny gipsu, kaoliny... może napisał o miejscach zbytu... Różne podejrzenia snuły mu się po głowie, i postanowił bądź co bądź ten list odczytać. Spojrzał na pisarza z niedowierzaniem:

— Szaja daj mi twój list; ja sam oddam na pocztę, i jeden i drugi.

— Zaraz panie Krausberg.

Odbierając list z rąk pisarza, wydał rozporządzenie:

— Szaja, kiedy kończysz twój list?

— Już skończony, tylko wybiję nasz stempel.

— Szaja, idź i zawołaj mi tu Icka.

— A jeśli on nie skończył zapisywania cerezyny, co on zrobi?

— Ty Szaja, możesz go zastąpić.

— Po jego wyjściu, patrzał uporczywie w list dyrektora, świdrując oczyma kopertę, wreszcie uległ palącej go niecierpliwości, wyjął scyzoryk i rozciął kopertę. Dyrektor van Haecht pisał do fabryki Sprengla .....dostarczony mi siarkek węgla był za słaby do ekstraktowania cerezyny, proszę o przysłanie silniejszego, bardziej skoncentrowanego...

Na co ten siarek węgla, zrozumiał pan Krausberg natychmiast, on go używa do eksploatacyi resztek fabrycznych. Westchnął z żałością i uśmiechnął się gorzko na myśl, że jego własny wosk, taki drogi, zdobywany z takim trudem, służy drugiemu do wzbogacenia się, ten van Haecht okrada go przecież, wyzyskuje okropnie,

bo to własność fabryki, wszystko powinno należeć do niego, do Krausberga. Bolały go nietylko zarabiane przez dyrektora pieniądze, ale jeszcze bardziej, że on Krausberg, którego nikt, nigdy nie wywiódł w pole, którego współwyznawcy nawet obawiali się i uznawali spryt nadzwyczajny, który od samego Floryańskiego umiał wyciągnąć pieniędzy, on, Krausberg został przechytrzony przez takiego młodego inżyniera! Zapłacił mu nietylko pięćdziesiąt trzy tysięcy guldenów, ale zrobił z nim umowę na sześć lat, odstępując mu resztki fabryczne, na których ten przebiegły człowiek zarobi miliony, te miliony kradnie w jasny dzień, zupełnie prawnie, i on musi na to patrzeć, widzieć tryumf tego człowieka.

Czuł się głęboko upokorzony, stracił wiarę w siebie, zaufanie w swój rozum i szczęście. Nienawidził tego człowieka i do szału gniewu doprowadzała go myśl, że bezczynnie musi patrzeć na wyzysk dyrektora, bo jest bezsilny.

Wszedł Icek pisarz, nizki, z twarzą szeroką, z zarostem rudym, kępiastym, spojrzał małemi, zielonkowatemi oczkami badawczo na właściciela pytając:

— Co pan Krausberg każe?

— Ja chcę wiedzieć, czy napisałeś już do Wurma, że niżej 105 guldenów nie oddam mojej cerezyny.

— Wczoraj poszedł list.

— Czy ty Icek zważyłeś moją cerezynę?

— Ja już zważyłem panie Krausberg, i cerezynę pana i dyrektora.

— Ile jest na składzie?

— Jest panie Krausberg naszej dziewięćdziesiąt siedem, a dyrektora pięćdziesiąt trzy centnary.

— Ty się mylisz Icek, on ma tyle cerezyny? To nie może być.

— Panie Krausberg tak jest, ja się nie mylę, mnie samego serce boli, ale on ma tyle za dwa tygodnie fabrykacyi.

— Czy ty wiesz Icek, że on za dwa tygodnie zabrał z naszej fabryki pięć tysięcy trzysta guldenów!

Uśmiech złośliwy zamigotał na szerokich ustach, podniósł twarz piegowatą w górę i rzekł:

— Panie Krausberg, on zarobi na pańskiej fabryce miliony, taki Francuz, taki goj chrześciański.

Fala nienawiści, gniewu, pasyi, zazdrości napłynęła tak silnie na pana Krausberga, że ciemna twarz jego zżółkniała, zatrząsł się,

odetchnął głęboko, jak w obawie uduszenia i zamruczał srogie przekleństwo. Mimo chłodu panującego poczuł gorąco, rozpiął chałat, a gdy i to nie pomogło, aby siebie uspokoić, szukał czapki, by wyjść na podwórze.

— I pomyśleć panie Krausberg, — zaczął Icek pokornie, ale tonem bardzo szczerej zazdrości, — że pięć kociołków, ogrzewanych naszą parą, w naszej fabryce, dają mu taki dochód, to można zwaryować.

— Ty Icek masz racyę! — mruknął.

— Żebym ja tylko wiedział, co on leje do asfaltu naszego, ja sam zrobiłbym cerezynę!

Pan Krausberg, będąc już blisko drzwi, spojrzał z ciekawością na pisarza mówiąc:

— Jak ty się dowiesz Icek, ty zrobisz?

— Zrobię panie Krausberg, a jeśli nie ja to Srul dozorca, on mi to sam mówił, bo nas boli wszystkich ten jego zarobek.

Na podwórzu fabryki, zawalonem śniegiem brudnym, porzniętym kołami, osypanem pyłem węgla stanął pan Krausberg i patrzał wokoło bystrem okiem, czy gdzie nie wyśledzi nadużycia.

W głębi spostrzegł stojącego dyrektora van Haechta, odwrócił się od niego z pogardą i nienawiścią.

Robotnicy, otulając się w kożuchy i świtki, wychodzili z fabryki, ociężali, senni, smutni.

Właściciel skierował swe kroki do magazynu.

— Nu Szaja, co robisz? — spytał pisarza.

— Ja zapisuję panie Krausberg.

— Co ty zapisujesz Szaja?

— Ja już zapisałem panie Krausberg dwieście centnarów wosku, to ładny majątek, szkoda, że on cały nie należy do pana Krausberga.

— Jakto nie należy? Szaja to mój wosk!

— Ja to wiem, ale cerezynę zabiera i dyrektor.

— Bodajby on przepadł, — mruknął właściciel z zawziętością.

— Bodaj przepadł, — powtórzył pisarz jak echo.

Dzień zimowy miał się ku końcowi, chmury na niebie zaczęły nabierać fioletowego koloru, prusząc lekkim śniegiem. Pan Krausberg przechodząc spotkał dyrektora.

— Dobrze, że spotykam pana, panie Krausberg, chciałem uprzedzić pana, że przez dwa dni nie będę w fabryce.

— A dlaczego panie dyrektorze?

— Jutro mój ślub.

— Z panną Bratkowską?

— Tak. Czego się pan tak dziwi?

— Pan dyrektor robi zły interes, ta panna niema posagu.

— Za to ja mam pieniądze. Za sześć lat będę miał milion, co najmniej.

— Jakto panie dyrektorze?

— Bardzo prosty rachunek. Z ostatniego ekstraktowania resztek mam już dziewiąty procent, a doprowadzę napewno do dwudziestego, a gdy zwiększymy ilość wosku surowego do trzydziestu tysięcy, będę miał mojej własnej cerezyny sześć tysięcy centnarów.

— To jest bardzo piękny interes — zaśmiał się nerwowo pan Krausberg.

— Zobacz pan teraz, jak świetnie działają moje filtry — mówił dyrektor idąc w kierunku budynku fabrycznego.

— Ja mogę zobaczyć panie dyrektorze.

Weszli do oddziału filtrów, pan Krausberg niebardzo rozumiejąc urządzenia potakiwał rozmownemu dyrektorowi, którego podniecała blizka chwila ślubu z ukochaną. Od filtrów przeszli do kotłów z woskiem rozgrzanym do 320°.

— Panie dyrektorze, ja nie mogę — wołał pan Krausberg — mnie tu dusi.

— Za chwilkę wyjdziemy, muszę zobaczyć, czy nie zapaliły się gazy w kotłach.

Szedł dalej, prowadząc za sobą pokaszlującego właściciela.

Weszli na platformę.

Dyrektor van Haecht zbliżył się do wrzącego kotła, który zwolna miał ostygnąć do 160 stopni, umożliwiających przeniesienie cieczy do filtrów. Stanął nad nizką baryerą, zatykając usta chusteczką, by bezpośrednio nie wdychać zamraczających gazów, obok stał pan Krausberg wpatrując się w brudną ciecz kotła.

— Chodźmy, — rzekł dyrektor—płomyki nigdzie nie błyszczą.

— Panie dyrektorze, zdaje mi się, że tam się pali — zawołał pan Krausberg nachylając się nad kotłem.

— Gdzie?

— Tam, na prawo...

Dyrektor wychylił się do połowy ciała przez nizką baryerę, i nagle nogi oparte na oślizłej blasze posunęły się i pan van Haecht

został własnym ciężarem przerzuconym na stronę kotła. Jedną ręką chwycił się krawędzi kotła i zawisł na chwilę. Twarz jego wyrażała straszną, przedśmiertną walkę, była w niej obawa, strach, rozpacz i prośba o pomoc.

Pan Krausberg już wyciągnął rękę, zniżył się, ale w jednej sekundzie wyprostował się, patrzał bezlitośnie na spadającego, potem odwrócił się i wyszedł zwolna innemi drzwiami mrucząc:

— Bóg tak chciał.

Artur Gruszecki.

KONIEC.



Jan Wolfgang Goethe

(w setną pięćdziesiątą rocznicę urodzin poety).

Wielki ten poeta należy do zjawisk rzadkich nietylko w niemieckiem, lecz i w powszechnem piśmiennictwie, jeżeli bowiem rozmaici poeci rozmaitych czasów i narodów przewyższają go potęgą talentów na poszczególnych polach twórczości poetyckiej, (tak np. Szekspir, jako dramaturg), to wszakże stoi on samotny na niedosięgłej wyżynie, jako taki, co na wszystkich polach stworzył rzeczy niepospolite i jak żaden inny poeta, w ojczystem piśmiennictwie rozpoczął nową erę i wywarł olbrzymi wpływ na literaturę wszystkich niemal narodów świata, utwory jego bowiem nawet na języki turecki i chiński przekładane były. Zjawisko to nie daje się wytłómaczyć samym talentem Goethego, pomimo całej jego potęgi; przypisać je raczej należy pewnej właściwości ducha poety, polegającéj na rozwoju wszystkich jego sił i doskonałem ich zharmonizowaniu się. To też wielkość Goethego najwyraziściej zarysowuje się przy zestawieniu go z Rafaelem, który podobnież wielkim malarzem był dlatego, że w nim wszystkie poszczególne właściwości jego talentu rozwinęły się w równym stopniu i w dziełach jego pojawiły się wszystkie w doskonałej harmonii... żadna z nich nie występowała silniej ze szkodą innych. Podobnie, jak u Rafaela założenie i wy-

konanie, ogólna kompozycya i wykończenie szczegółów, rysunek i koloryt, wyraz twarzy i postawa występujących osób, jednem słowem wszystko taką odznacza się doskonałością, że byłby on już bez wątpienia wielkim artystą, gdyby jedną tylko z tych zalet posiadał, każda zaś z nich zyskuje jeszcze na znaczeniu, stanowiąc organiczną część całości i nie wyróżniając się z niej bynajmniej, wraz z niemi w harmonijną doskonałość się zespala — tak i u Goethego rozwój i ścisłe zlanie się wszystkich jego sił duchowych nadaje jego poezyi ten niepospolity urok i ponad wielu innych poetów go wynosi.

Spróbujemy udowodnić to następnie obszerniej, przedtem wszakże zwrócimy uwagę na dzieje jego życia.

Jan Wolfgang Goethe urodził się w dniu 28 sierpnia 1749 roku we Frankfurcie na Menem, gdzie jego ojciec, doktór prawa, obdarzony tytułem radcy cesarskiego, wiódł spokojny żywot zamożnego obywatela. Jakkolwiek był on wszechstronnie wykształcony, zajmował się nauką, poezyą i sztuką, z powodu swej powagi i surowości nie umiał pozyskać takiego wpływu na syna, jak matka, córka miejskiego burmistrza Textora, której pogoda ducha, wesołość i żywa wyobraźnia, tem większe jeszcze na pierworodnego syna musiały wywierać wrażenie, że sama ona była jeszcze niemal dzieckiem, liczyła bowiem w dniu jego przyjścia na świat zaledwie lat dziewiętnaście. Po ojcu odziedziczył poeta zamiłowanie piękna formy, siłę woli, a zwłaszcza to niepospolite dążenie do nadania każdéj rozpoczętej pracy możliwej doskonałości, po matce zaś pogodę ducha i żywą wyobraźnię [1]); ruchliwe życie ojczystego miasta, jego pomniki, odznaczające się i dziejową i artystyczną wartością, a przytem takie uroczyste wydarzenia, jak np. koronacya Józefa II-go, nie pozostały również bez wpływu na małego chłopca, który już w młodocianych latach, dzięki zamiłowaniu do czytania, posiadł mnóstwo wiadomości. Napastujące go w dziecinnym wieku choroby, odrywające od książek i zabaw oraz wyrabiające w nim skłonności do rozmyślań, umocniły w nim jeszcze te nabyte wiadomości. Młody Goethe poczynał ósmy rok życia, kiedy wybuchła wojna siedmioletnia, która również w pewnym stopniu przyczyniła się do ukształtowania jego umysłu. Kiedy bowiem Francuzi w 1757 roku zajęli Frankfurt,

---

[1]) Vom Vater hab' ich die Statur,
Des Lebens ernstes Führen,
Vom Mütterchen die Frohnatur
Und Lust zum Fabuliren.

a w domu rodziców Goethego zakwaterował się królewski komisarz hrabia Thorane, wielki miłośnik sztuk pięknych, poczęli go odwiedzać liczni artyści-malarze z Frankfurtu i Darmstadtu, u których hrabia mnogie poczynił obstalunki. Młody Goethe, który i przedtem niejednokrotnie odwiedzał pracownie frankfurckich artystów, bywał obecny i przy zamawianiu obrazów i przy wydawaniu sądu o nich, miał sposobność swoje zdanie wypowiadać, dzięki czemu poczucie piękna i zmysł krytyczny szybko się w nim wyrabiały. W ciągłych stosunkach z hrabią Thorane i jego otoczeniem, nabrał wielkiej wprawy w języku francuskim, którym odtąd biegle władać począł; jeszcze więcej korzyści odniósł z odwiedzania teatru francuskiego, dzięki czemu tak się rozmiłował w sztuce dramatycznej, że począł w niej sił swych próbować, jako poeta i aktor. Babka Goethego posiadała teatr maryonetek, dla którego tworzył on sztuki i wystawiał je wraz z towarzyszami zabaw swoich.

Wraz z zawarciem pokoju i do domu rodziców przyszłego poety powrócił spokój i zwykły porządek. Ojciec nastawał na regularny tryb zajęć i gruntowne nabycie niezbędnych wiadomości. Języki, muzyka, rysunki były głównymi przedmiotami nauki. Pomysł zapoznania się z językiem hebrajskim był z tego względu ważnym dla Goethego, że go zapoznał z życiem wschodu w czasach patryarchów, co go znów zachęciło do poetyckiego odtwarzania biblijnej historyi i charakterów, ogólnie tylko u Mojżesza zarysowanych. Jak jeszcze podczas pobytu Thorane'a zajmowały go historya Józefa i w obszerniejszej pracy nakreślił z niéj dwanaście obrazów, z których parę przedstawił w owym teatrze maryonetek, tak obecnie temu samemu przedmiotowi poświęcił skreślony prozą epicki poemat, będący pierwszą jego poetycką próbą o większym zakroju. Ów religijny kierunek wzmocnił się w nim jeszcze po zapoznaniu się z Messyadą Klopstocka, co właśnie w tych czasach nastąpiło, oraz dzięki stosunkom z zaufaną przyjaciółką jego matki, panną von Klettenberg, której wdzięk w połączeniu z głęboką i szczerą religijnością oddziałał silnie na wrażliwy jego umysł; jej to pamięć w późniejszych latach poeta godnie uwiecznił w „Wyznaniach pięknej duszy". W tym też mniej więcej czasie powstały jego ody treści duchownej, z których jedną p. t. „Poetyckie myśli o zejściu Jezusa Chrystusa do otchłani piekielnych", znajdujemy zachowaną w jego dziełach.

Nowym bodźcem poetyckiego nastroju, w jakim naówczas Goethe się znajdował, stała się miłość, która młodzieńczą jego istotę objęła tem potężniej, że była czysto duchowej natury; niedługo

wszakże sądzonem mu było upajać się pierwszemi jej wzruszeniami; przeciwieństwa, które stały się dlań źródłem licznych trosk i smutków, oderwały go od boku ukochanej; wspomnienie pierwszej tej miłości uwiecznił w postaci Klarci w Egmoncie, imię zaś jej (Gretchen) potomność w Fauście znajduje. W części przez ojca do tego zachęcony, w części zaś idąc za własnym popędem, począł się coraz bardziéj odosabniać od świata i jego rozrywek, przygotowując się z zapałem do wstąpienia na uniwersytet. Dla odpoczynku odbywał odległe wycieczki, wiele rysując po drodze; w tym téż czasie zbliżył się więcej do siostry swej Kornelii, późniejszej małżonki księgarza Schlossera. W jesieni 1777 r. udał się młody Goethe do Lipska, ażeby tam, stosownie do życzenia ojca, studyować umiejętności prawne, do których pod jego kierunkiem już się w domu był zaprawiał, — że mu jednak do usposobienia nie przypadły, nie zajmował się niemi wcale lub też im bardzo mało czasu poświęcał; z wykładających na uniwersytecie lipskim ani Gellert, ani Ernesti nie zajęli go na dłużej. Poznał za to, obcując z miejscowem towarzystwem, paru młodzieńców, których trafny sąd krytyczny odbił się korzystnie na poetyckiej jego twórczości. W wyższym jeszcze stopniu przypisać to należy nowej miłości, której najszczęśliwsze godziny życia zawdzięczał; przedmiotem jej było starsze od niego o parę lat dziewczę, obdarzone żywem usposobieniem i serdecznem uczuciem, interesujące się wszystkiem tem, co młodego poetę zajmowało. Pogodny ten stosunek, dzięki kaprysom i zazdrości Goethego, został niebawem doprowadzony do zerwania. Przezwyciężając ból, nurtujący w jego piersi, odtworzył tę kartę żywota swojego w komedyi „Kaprysy zakochanego”, najstarszem z dochowanych jego dzieł dramatycznych, rozpoczynających kierunek, który go przedewszystkiem charakteryzuje: wszystkiemu temu, co go do głębi wstrząsało, nadawać kształt poetycki. Na tym samym gruncie powstali i „Współwinni”, w których Goethe dał nam obraz ówczesnego mieszczańskiego życia, zewnętrznie wesoły i przyzwoity, smutny wszakże pod względem moralnym. Dzięki znajomości z Oeserem, który już przedtem znaczny wywarł wpływ na Winckelmanna, obudziło się w nim na nowo zamiłowanie sztuki; pod jego kierunkiem począł studyować znakomitsze dzieła, przedmiotowi temu poświęcone, i odbył wycieczkę do Drezna, ażeby, poznawszy znajdujące się tam arcydzieła sztuki, własny sobie o nich sąd wyrobić. Próbował nawet sił w miedziorytnictwie, nabawił się wszakże nieostrożnem wdychaniem szkodliwych wyziewów ciężkiej niemocy, od której czuł się niezupełnie jeszcze wol-

nym, opuszczając Lipsk, jako dziewiętnastoletni młodzieniec, w dniu swych urodzin, 28 sierpnia 1768 r.

Pobyt w rodzicielskim domu znowu nawiązał bliższe stosunki z panną von Klettenberg, że zaś jeszcze podczas choroby swej w Lipsku wiele się zajmował religijnemi rozmyślaniami, tem łatwiej udzielił mu się teraz jej nastrój mistyczny; namówiony przez nią począł studyować Teofrasta, Paracelsa oraz inne dzieła z zakresu mistyki i alchemii, a wkrótce potem zajął się robieniem doświadczeń. Aczkolwiek otaczały go w domu miłość i zupełne oddanie się matki oraz siostry Kornelii, coraz przykrzejszym z dnia na dzień stawał się stosunek z ojcem, który nie był zadowolony z jego postępowania, a mianowicie nie mógł mu wybaczyć, że się w Lipsku tak mało prawem zajmował, to też młody poeta chętnie zgodził się na propozycyę ojca, który mu poradził udać się do Strassburga i tam studya prawne kontynuować. Nastąpiło to z wiosną 1770 r.; pomimo to, iż teraz z większą pilnością studyował umiejętności prawne, pozostało mu wszakże jeszcze dość czasu na zajęcie się chemią i niektóremi gałęziami medycyny. Wzrastało w nim i zamiłowanie do sztuki, w części dzięki codziennemu obcowaniu ze wspaniałą katedrą, w części dzięki tej okoliczności, że podczas przejazdu przez Strassburg późniejszej królowej, Maryi Antoniny, miał sposobność oglądać obicia, wygotowane podług kartonów Rafaela. Niezwykłej wagi dla późniejszego jego rozwoju były i znajomości, które naówczas w Strassburgu pozawierał, tak np. wśród innych z Henrykiem Jungiem, który się następnie wsławił pod nazwiskiem Stillinga. Najbardziej wszakże w następstwa płodną okazała się znajomość z Herderem, dzięki któremu poglądy Goethego na sztukę wogóle i poezyę w szczególności zupełnemu uległy przeobrażeniu, rozmiłowany bowiem dotychczas we francuzczyźnie poeta zwrócił się do Szekspira i poezyi ludowéj i na tych nowych wzorach smak swój urabiać począł. Podczas pobytu w Strassburgu, na jednej z podmiejskich wycieczek poznał Goethe młodszą córkę pastora Brion'a z Sesenheimu, do której rozgorzał miłością; aczkolwiek jednak pozyskał jej wzajemność, przekonał się po niejakim czasie, że związek z ukochaną ani jej, ani jemu nie zapewniłby szczęścia, zerwał więc wszelkie z nią stosunki, choć mu to serce zakrwawiło. Wkrótce potem w r. 1771 po napisaniu rozprawy pozyskał stopień doktora praw i do domu rodzicielskiego powrócił. Pobyt we Frankfurcie nie nastręczył mu nic nowego; w nieopodal położonym Darmstadzie poznał Mercka, którego wysoko rozwinięty zmysł krytyczny wywarł zbawienny wpływ na młodego poetę; spotkał tam również Herdera i Lavatera, zbliżył

się z Klingerem i, obcując z nimi coraz bardziéj, dochodził do przekonania, że poezya nie jest zależną od żadnych zewnętrznych warunków i okoliczności; porwany w wir t. zw. okresu „burzy i wrzenia” umiał się wszakże ustrzedz, dzięki wpływowi Mercka, od przesady. W r. 1772 udaje się Goethe do Wetzlaru dla odbycia praktyki w miejscowej Izbie głównej sądu apelacyjnego, poznaje się z Gotterem i wchodzi przezeń w stosunki z literackiem kołem „*Hainbund*”. Ważne następstwo pociągnęło za sobą zapoznanie się poety z Karoliną Buff, która była już naówczas zaręczona z późniejszym mężem swoim Kestnerem, sekretarzem hanowerskiego poselstwa. Przeświadczenie, że powiększająca się z dniem każdym jego miłość ku niej mogłaby zniweczyć i jej i jego szczęście, zmusilo go do opuszczenia Wetzlaru nagle, bez pożegnania. Odbywszy wycieczkę wzdłuż wybrzeży Renu, podczas któréj poznał Zofię de La Roche i zbliżył się z Fr. Jacobim, Goethe powrócił do Frankfurtu, gdzie wziął udział w redagowanem przez J. G. Schlossera, narzeczonego siostry jego Kornelii, piśmie: „Frankfurckie wiadomości naukowe” i wykończył dawniej już rozpoczętego „Goetza von Berlichingen”, który takie znalazł uznanie, że ukazał się w przedruku, zanim wszystkie egzemplarze pierwszego wydania rozesłane zostały. Jeszcze większe powodzenie zdobyły sobie „Cierpienia młodego Wertera”, które się w rok potem ukazały, a w których unieśmiertelnił pamięć ukochanej Lotty. W tym samym mniej więcej czasie powstał szereg utworów satyrycznych, zapamiętale biczujących zgubne, jego zdaniem, kierunki w życiu i w literaturze, że wymienimy tu choćby satyrę: „Bogowie, bohaterowie i Wieland”. Jedynem następstwem nowej miłości, której sprzyjała matka poety, było napisanie w przeciągu tygodnia „Claviga”. Rok 1774 zakończył się obfitemi w następstwo znajomościami (Klopstock, Knebel, książęta Wejmarscy) i nową miłością, której przedmiotem byta Elżbieta Schönemann, opiewana przezeń pod imieniem Lili, że jednak rodzice jego nie byli zadowoleni z tej skłonności, namówili go więc do towarzyszenia braciom Stolbergom, którzy, udając się w podróż po Szwajcaryi, właśnie naówczas przez Frankfurt przejeżdżali. Wprawdzie rozłąka bynajmniej na jego miłość nie wpłynęła, że jednak po powrocie poczęły pomiędzy zakochanymi wynikać rozmaite nieporozumienia, Goethe począł myśleć o opuszczeniu rodzinnego miasta, w którem w takich warunkach pobyt nie mógł być przyjemnym i, przyjąwszy zaproszenie młodego księcia Wejmarskiego, w dniu 7 listopada 1775 r. zawitał do Wejmaru. Dostojny gospodarz poznał się niebawem na wysokiem uzdolnieniu młodego poety i postanowił pozyskać go dla

siebie i dla swojego państwa, nie tylko bowiem w jego towarzystwie doznawał wielkiej rozkoszy, lecz ponieważ był przeświadczony i o tem, że Goethe na służbie państwowej będzie pracował z wielką dla kraju korzyścią. Przewidywania nie zawiodły młodego księcia, odkąd bowiem młody poeta pozyskał pewien wpływ na rządy, uczynił wiele dobrego dla małego kraiku i podobnież jako poeta, tak i jako mąż stanu, rozwinął obfitującą w następstwa różnorodną działalność, interesując się zarówno rzeczami wielkiej wagi, jak i drobiazgami, przykładając rękę zarówno do rozwoju uniwersytetu, jak i do założenia nowej straży ogniowej [1]. O ile wiemy, nie ukazał się jeszcze dokładny obraz jego urzędowej działalności, a praca ta bardzo byłaby pożądana, dostarczyłaby bowiem niejednego przyczynku do wyjaśnienia jego dzieł, zawartych w nich idei i poglądów; dopiero wtedy dałyby się ostatecznie odeprzeć zarzuty, z jakimi nieraz przeciw niemu występowano, jakoby zupełnie obcą mu była miłość ojczyzny i współczesne dążenia do wolności. Przynajmniej z tych ogólnych danych, tyczących się jego działalności urzędowej, które posiadamy, napewno wnosić to można.

Goethe z początku nie był zdecydowany pozostać na dłużej w Wejmarze i, jak pierwiastkowo, pomijając okoliczności, które go do wyjazdu z Frankfurtu skłaniały, udał się tam głównie dla poznania dworu, tak i ofiarowany sobie urząd objął w chęci obeznania się z państwowymi stosunkami. „Dworu już spróbowałem, teraz chcę rządu spróbować, i tak dalej" pisał w dniu 8 marca 1776 r. do Mercka. Z tego też względu całe jego zachowanie się na dworze było zgoła pozbawione przymusu i swobodne pomimo wybitnego stanowiska, jakie zajmował, poeta nieraz popuszczał cugli humorowi swemu i swawoli, tak że i w samym Wejmarze i po zagranicami miasta opowiadano wiele złego o szalonem życiu dworskiem. Klopstock, zgorszony dochodzącemi go wieściami, wystosował do Goethego surowy list z napomnieniem, na co ten mu w rozjątrzeniu ostro odpowiedział. Dopiero, kiedy poeta postanowił osiedlić się w Wejmarze na stałe, wtedy i konduitę swoją przystosował do godności zajmowanego tam wysokiego stanowiska; nie dało się to wszakże dokonać

[1] Herder podziwia go zarówno w roli męża stanu, jak i poety, a może nawet w tej pierwszej jeszcze bardziej. Jest to wszechstronny duch (Schiller w liście do Köznera d. 12 sierpnia 1787 r.) „Moje zajęcie literackie — pisze Goethe w roku 1780 do Rostaera — są poddane nowym warunkom życia, pozwoliłem sobie wszakże, idąc za przykładem wielkiego krola, który codzień po parę godzin na flecie grywał, ćwiczyć się czasami we właściwym mi talencie.

bez odpowiedniego przejścia, dlatego też w r. 1779 już po otrzymaniu godności tajnego radcy, wybrał się z księciem do Szwajcaryi, ażeby po powrocie rozpocząć poważniejszy tryb życia. Już podczas pierwszych lat swego pobytu w Wejmarze Goethe zapałał miłością ku pięknej pani von Stein; starając się z początku w obcowaniu z nią zapomnieć o Lili, przekonał się niebawem, że w tej kobiecie, pełnej przymiotów serca i umysłu, znajduje daleko więcej, aniżeli tam utracił; czystość jej duszy i siła woli nie tylko umiała utrzymać w szrankach namiętny wybuch jego miłości, lecz i złagodzić go, aczkolwiek bynajmniej z tem się nie kryła, że i ją miłość ta szczęśliwą czyni. W obcowaniu z nią i pod jej wpływem Goethe wyrobił w sobie spokój ducha i łagodność charakteru, które niesłusznie za chłód uważano, podczas gdy w istocie było to tylko przezwyciężeniem z trudnością dającej się pohamować namiętności.

Jego urzędowa działalność bynajmniej nie stawała na przeszkodzie pracy literackiéj. Jeszcze przed podróżą do Szwajcaryi pracował w dalszym ciągu nad „Faustem" i „Stellą", rozpoczął „Wilhelma Meistra" i „Ifigenię". Po powrocie zajął się napisaniem „Listów ze Szwajcaryi", które należą do jego najlepszych utworów prozaicznych, poczem zasiadł do pracy nad „Tassem". Na jego twórczość dramatyczną korzystnie oddziałało powstanie w Wejmarze teatru amatorskiego, dla którego napisał szereg drobnych utworów, jak np. *Rybaczka*, *Erwin i Elmira*, *Klaudyna* i w. in.

Co raz bardziej wzrastające zatrudnienia po r. 1782 (został prezydentem Izby i otrzymał szlachectwo od cesarza) nie pozwalały mu ziścić dawno wymarzonych pragnień, oderwać się od wszystkiego i żyć przez pewien czas sztuką wyłącznie. Nareszcie w jesieni 1786 r. doprowadził je do skutku; poeta udaje się do Włoch i pozostaje tam do wiosny 1788 r.

Pobyt jego w tym pięknym kraju, zwłaszcza zaś w Wenecyi, Rzymie, Neapolu i Sycylii, dokładne zapoznanie się z arcydziełami sztuki starożytnej i Odrodzenia, obserwacya południowego życia, obcowanie z artystami tej miary, co Wilhelm Tischbein [1]), Filip Hackert, Henryk Meyer, z takim rzeźbiarzem, jak Trippel, wreszcie z całym szeregiem wybitnych mężów — wszystko to rozwarło przed nim nowe światy, że zaś Goethe potrafił wyzyskać na swoją korzyść naukę

---

[1]) Artysta ten wymalował podczas pybytu Goethego w Rzymie jego portret, przedstawiający poetę w postaci naturalnej wielkości, jako podróżnego, spoczywającego na obelisku i podziwiającego rozrzucone w głębi ruiny Rzymskiej Kampanii.

i doświadczenie otaczających go osób, więc podróż włoska wywarła olbrzymi wpływ na jego działalność poetycką. Wprawdzie ćwiczenie się w rysunku i w malowaniu, podobnież jak i próby modelowania doprowadziły go do wniosku, że na tem polu laury nie będą jego udziałem, lecz i ta praca nie pozostała bez wielkiego pożytku, o czem nadmienimy. Te wielostronne zatrudnienia nie usunęło go bynajmniéj od poezyi, przeciwnie, teraz właśnie przekonał się może więcej, niż kiedykolwiek, że jest ona jego przeznaczeniem. Podczas pobytu we Włoszech opracował Goethe wierszem „Ifigenię”, wykończył „Egmonta”, rozpoczął „Nauzikaę”, pisał w dalszym ciągu „Wilhelma Meistra” i przerobił „Erwina i Elmirę” oraz „Klaudynę”.

W d. 18 Czerwca 1788 r. powrócił poeta do Wejmaru, gdzie na jego własne życzenie książę uwolnił go od wielu zajmowanych obowiązków; i w stosunkach Goethego z otoczeniem zaszła wielka zmiana — począł się mianowicie coraz bardziej odosabniać od życia dworskiego, w części, ponieważ potrzebował ciszy i skupienia się, niezbędnych dla przetrawienia wrażeń i myśli, z Włoch wywiezionych, w części, ponieważ wkrótce po powrocie zawiązał z młodą Krystyną Vulpius, siostrą znanego w Niemczech autora sensacyjnych romansów, stosunek miłosny, czem wielu oburzył na siebie, zwłaszcza gdy po urodzeniu się syna zamieszkał z nią pod jednym dachem, nie biorąc ślubu, który odbył się dopiero w r. 1806. I w Rzymie pozostawał Goethe w miłosnym stosunku z pięknem, młodem dziewczęciem. „Rzymskie elegie”, pisane po części tam, po części po powrocie do Wejmaru, odbijają w sobie stopione w jedną całość wrażenia, wyniesione z obcowania z jedną i drugą. Po za tem pracował w dalszym ciągu nad „Faustem”, wykończył „Rzymski karnawał” i wierszem „Tassa”, oraz napisał „Wielkiego Koftę”. W r. 1790 Goethe znowu się udał do Wenecyi dla spotkania się tam z księżną Amelią wejmarską; „Weneckie Epigrammata” stały się pięknym owocem tej wycieczki.

Wybuch rewolucyi francuskiej na razie został przyjęty przez poetę radośnie, podobnież, jak przez Klopstocka, Wielanda i w. in. Widzimy to z następujących wierszy z Hermana i Doroty:

„Komuż silniej się pierś nie wzniosła błogiem uczuciem,
Gdy blask słońca nadziei jutrzenką zajaśniał nad światem,
Gdy chodziły posłuchy, że ludzie radzą o sobie,
O swobodzie powszechnej, o prawach i bratniej równości!
Wtedy każdy wyglądał nowego życia; te więzy,
Co sobkostwa je duch narzucił krajom i ludom,

Rozpryskiwać się zdały, i wszyscy z tęskną nadzieją
Spoglądali na Zachód, ku wielkiej świata stolicy.
Czyż nazwiska tych mężów, zwiastunów wieści radosnej,
Sławą nie rozbrzmiewały na całym ziemi obszarze?
Czyż nie przybyło każdemu otuchy w sercu i wiary?"
(przekład L. Jenikego).

Lecz i jego przeraziły późniejsze wypadki rewolucyi. „Okropności jej— mówił do Eckermanna — budziły we mnie boleść i oburzenie, z dnia na dzień i z godziny na godzinę, podczas gdy dobroczynne jej skutki nie dawały się jeszcze wtedy dojrzeć". Tem więcej też zamykał się poeta sam w sobie i, nawet towarzysząc księciu wejmarskiemu w r. 1792 w wyprawie do Szampanii, pilnie się zajmował badaniami przyrodniczemi. Po powrocie do Wejmaru Goethe objął dyrekcyę teatru, lecz już w następnym roku został od spokojnego i pracowitego żywota oderwany przez księcia, który zapragnął mieć go przy sobie w obozie podczas oblężenia Moguncyi. W tym roku i w latach następnych, bądź to jako kierownik teatru, bądź to pod wpływem innych okoliczności, poeta napisał Obywatela — Generała Powstańców i Rozmowy Wychodźcy; w tym również czasie powstał i Reinecke Lis.

Rok 1794 nie tylko dla Goethego, lecz i dla całego rozwoju niemieckiego piśmiennictwa był nadzwyczaj obfitym w następstwa, ponieważ jest rokiem zawiązania przyjaznych stosunków pomiędzy Goethem a Schillerem, które przetrwały do śmierci tego ostatniego. Niżej o tych stosunkach pomówimy obszerniej, ponieważ są one osią nietylko dalszej działalności obu największych poetów niemieckich, lecz i całej literatury współczesnej. Tu napomkniemy tylko, że pobudziły one Goethego do nowej pracy, tak, że nie tylko wykończył Wilhelma Meistra, lecz opracował Autobiografię Benvenuta Celliniego, Epigrammaty, Epistole, Alexysa i Dorę, a także i dzieło niepospolitéj wartości: Hermana i Dorotę. Wzbierająca z każdym dniem w piśmiennictwie niemieckiem powódź pospolitości wywołała Xenie, na które składali się obaj poeci i w których wydawali surowy, nieraz może zbyt surowy wyrok o dziełach i autorach. W tym właśnie czasie powstały i „Ballady" Goethego. Przedsięwzięta w r. 1797 wraz z artystą H. Meyerem podróż do Szwajcaryi przerwała tę owocną czynność, poczem i lata następne zostały przeważnie poświęcone pracy nad kierownictwem teatru, zajęciom naukowym, zwłaszcza na polu sztuki i przekładom (Mahomet i Tankred Woltera), za pomocą których Goethe usiłował przywrócić poważne i godne traktowanie dramatu. Dla

osiągnięcia tegoż celu została napisana i pierwsza część Córki naturalnej, która wszakże nie obudziła wielkiego zajęcia.

Śmierć Schillera w r. 1805, zdawało się, złamie siły Goethego; rok 1806, który niejako wzywał do odważnych i rozsądnych czynów, znów mu siły te przywrócił, z początku na zewnątrz, kiedy się zaś burza uciszyła, i w nim obudziła się chęć do pracy twórczej, której, poza różnorodnemi naukowemi studyami, zawdzięczamy Powinowactwa z wyboru oraz Z mojego życia. Prawda i fantazya. Już w podeszłym wieku na nowo obudziła się w nim liryczna siła twórcza — siedemdziesięcioletni starzec zgotował całemu światu niespodziankę swym Zachodnio-wschodnim Dywanem, w przeciągu pięciu lat wykończonym. W tymże czasie powstały Lata wędrówki Wilhelma Meistra i szereg prac drukowanych w czasopiśmie *Sztuka i Starożytność*. Letni pobyt w Maryenbadzie w latach 1822, 1823 i 1824 natchnął go do Elegii i raz jeszcze rozpalił w nim płomień namiętnej miłości do panny von Levezow, którą nawet przez niejaki czas myślał poślubić. W d. 7 Listopada 1825 r. cały Wejmar święcił uroczyście pięćdziesiątą rocznicę jego pobytu w tem mieście i działalności urzędowej. Była to ostatnia pogodna i podniosła chwila w życiu poety — w następnych latach cios za ciosem uderzał w pierś starca... zmarł przyjaciel jego i towarzysz lat młodocianych, wielki książę wejmarski, Karol August, w ślad za nim jego małżonka, w Listopadzie zaś 1829 r. utracił Goethe jedynego syna. Wprawdzie i tym razem przemógł poeta niemoc, w jaką go to pogrążyło, i zdobył się jeszcze na tyle siły, że mógł wykończyć drugą część Fausta oraz Z mojego życia, a także zająć się ostatniem zbiorowem wydaniem dzieł swoich — lecz siły jego życiowe z każdym dniem słabły i, kiedy na wiosnę 1832 r. lekko się przeziębił, stało się to przyczyną jego zgonu, który nastąpił w d. 22 Marca.

Zanim przejdziemy do charakterystyki poetyckiej twórczości Goethego, zastanowimy się nad stopniowym jej rozwojem i zwrócimy uwagę na te warunki i okoliczności, które szczególny wpływ wywarły na tak bujny rozkwit jego ducha i talentu. Przybywając do Lipska, Goethe już posiadał wiele różnorodnych wiadomości i już niejednokrotnie próbował sił swoich, jako poeta. Lecz jego poglądy poetyckie nie wznosiły się po nad zwykły szablon owych czasów, oparty na francuskiej kulturze, pod której wpływem pozostawały naówczas wyższe warstwy społeczne. I w Lipsku żadna prawie pod tym względem nie zaszła zmiana, aczkolwiek bowiem od wielu lat znał już Klopstocka, a Lessing również zwrócił na siebie jego uwa-

gę, to wszakże zaszczepiono w nim w rodzicielskim domu respekt dla gładkiéj formy francuskiej zbyt głęboko, ażeby teraz tak łatwo można go było wykorzenić. Choć jej wszakże wiernym pozostał, ów pobyt w Lipsku pod wieloma względami wywarł wpływ na jego talent, który odtąd obrał sobie kierunek, charakterystyczny dla całej twórczości poetyckiej Goethego. „Przy obojętności mych kolegów i profesorów — mówi on (Z mojego życia — prawda i fantazya) — przy usuwaniu się od udziału w takich sprawach wykształconych mieszkańców miasta, wobec wreszcie braku piękności natury, musiałem wszystkiego doszukiwać się sam w sobie. Ilekroć dla poezyi swoich potrzebowałem rzeczywistego podkładu, uczucia lub refleksyi, musiałem sięgać do piersi własnych Tak powstały drobne wierszyki moje w formie pieśni; wybłysłe z refleksyi, opiewają one to, co minęło, i mają zwykle zacięcie epigramatyczne. Rozpoczął się tym sposobem ów kierunek, z którego później przez całe już życie zboczyć nie mogłem, kierunek, polegajacy na tem, że wszystko co mnie cieszyło, dręczyło lub w inny jaki bądź sposób zaprzątało, zmieniałem w obraz, w utwór poetycki, aby nietylko pojęcia swoje o rzeczach zewnętrznych ustalić, ale zarazem i wnętrze ducha własnego uspokoić. Zdolność potemu dla nikogo może nie była potrzebniejszą, niż dla mnie, który przerzucałem się ciągle z jednej ostateczności w drugą. Próbki też takie są tylko urywkami wielkiej spowiedzi mojej, którą książka niniejsza uzupełnić usiłuje". Pewien wpływ wywarł na niego profesor Elodius zwróceniem mu uwagi na dotychczasowe nadużywanie mitologii. Odtąd Goethe zarzucił cały mitologiczny panteon, i odtąd Amor i Luna były jedynemi bóstwami, występującemi w drobnych jego utworach.

O wpływie, wywieranym na niego przez utalentowanego malarza Oesera, pomówimy niżej obszerniej; zresztą nie wpływał on na niego bezpośrednio, kiedy więc Goethe Lipsk opuścił, choć czuł, że pod wieloma względami postąpił naprzód, lecz wogóle, jak już zresztą o tem mówiliśmy, nie wyszedł jeszcze po za granice francuskiej kultury, co przyjąć należy za charakterystyczną właściwość pierwszego okresu poetyckiej jego twórczości.

Drugi jej okres rozpoczyna się wraz z wyjazdem do Strassburga, gdzie blizkie zetknięcie się z francuskiem oraz niemieckiem życiem nastręczyło mu sposobność do porównania jednego z drugiem— porównania, które wypadło na korzyść tego drugiego. Jeżeli wszakże dzięki tej obserwacyi zachwiała się w Goethem wiara w doskonałość kultury francuskiej, to zniweczył ją do szczętu Herder, którego wpływ na poetę może dlatego tylko był tak dobroczynny, że,

jako starszy o pięć lat i zajmujący wysokie stanowisko, zdobyte wszechstronnem głębokiem wykształceniem, z góry i nieraz może zbyt surowo go traktował; spotykając się dotychczas zawsze u przyjaciół swych z bezwzględnym podziwem, Goethe musiał się czuć dotkniętym takiem postępowaniem Herdera i postanowił zdobyć sobie i jego uznanie. Herder wypowiadał mu swe poglądy na poezyę i jej naturę, a Goethe, który, aczkolwiek pochodził z miejskiego patrycyatu, był przyzwyczajony patrzeć na lud zupełnie innem okiem, jak poddani monarchii, uznał, że poezya nie jest przywilejem wyróżnianych jednostek, lecz stanowi niezaprzeczoną własność całej ludzkości i że się dla tego w tych jej warstwach najwyraźniéj przejawia, które są wolne od sztucznego pokostu, t. j. śród ludu; stało się jego przeświadczeniem, że poeta winien stać u wiecznie bijącego źródła ludowej poezyi, wsłuchiwać się w jej właściwości, przyswajać je sobie i że podobnież, jak u ludu, tak i u poety najwyższem prawem jest natura, wolna od wszelkich więzów i przymusu. Odtąd Goethe począł studyować Szekspira, Ossyana, Homera, a zwłaszcza pismo święte, w które wczytywał się od dzieciństwa ze szczególnem upodobaniem. Przytem Herder zwrócił jego uwagę na konieczność artystycznego traktowania przedmiotu poetyckiego, co znalazło u niego oddźwięk tem chętniejszy, że całe jego dotychczasowe kształcenie się polegało na rozwijaniu zmysłu piękna. Młodzi poeci, stanowiący najbliższe otoczenie Goethego, uważali prawdę za jedyne hasło sztuki poetyckiej, a wszelkie reguły sztuki za krępujące ową prawdę więzy, z których prawdziwy poeta wyzwolić się powinien; aczkolwiek i Goethe w poezyach swych i recenzyach był wyznawcą tego samego *credo*, to wszakże jego zmysł piękna tak był już wtedy wykształcony, że, pomimo jego woli, przejawiało się to we współczesnych jego utworach. Z otoczenia Goethego najlepiej poznał się na tem Merck, wskazał mu to oraz zwrócił uwagę na różnicę zachodzącą pomiędzy nim a otaczającymi go poetami. Lecz ów płomień młodzieńczy zbyt jeszcze był niepohamowany, wpływ przyjaciół, którzy właśnie dla siły tego płomienia tak wysoko wynosili poetę, zbyt jeszcze potężny, a pogląd, że sama prawda jest najwyższem zadaniem poezyi, zbyt jeszcze rozpowszechniony na to, ażeby mogła być mowa o przystosowywaniu jej do wymagań sztuki; ów drugi okres poetyckiej twórczości Goethego, rozpoczynający się wraz z jego wyjazdem do Strassburga, a niknący bez śladu po powrocie z powtórnej podróży do Szwajcaryi, charakteryzuje się raczej tem, że jego poezye i co do treści, i co do formy stają w zupełnej sprzeczności z przyjętemi regułami, piętnując je jako szkodliwe więzy, prze-

ciw którym powstaje natura, usiłująca wywalczyć na nowo prawa swe przyrodzone. Tak należy rozumieć pierwsze arcydzieła Goethego: „Goetza von Berlichingen” i „Wertera”; ta myśl rządziła nim przy rozpoczynaniu „Fausta”, przy tworzeniu „Mahometa”, „Prometeusza”, „Wiecznego Żyda”, a także i gorzkiej satyry: „Bogowie, bohaterowie i Wieland”. Aczkolwiek jednak pogląd ten ożywia i charakteryzuje wszystkie wymienione jego dzieła, stale z nich wszakże wyziera pewne, z początku nieświadome, później zaś coraz silniejsze dążenie do pojednania przeciwieństw, przyczem wielkiego tu znaczenia nabiera ta okoliczność, iż Goethe wielu z tych utworów nie kończył wcale, inne znów znacznie później i to w znacznych przerwach czasu, z czego wynika, iż od założenia niejednego z nich z biegiem czasu znacznie się oddalał, a wreszcie zupełnie je porzucał, jak tego zresztą dowodzi dalszy ciąg oraz koniec „Fausta”, stające z początkiem w zupełnej sprzeczności.

Należałoby tu również pomówić o stosunkach, łączących Goethego z ówczesnymi jego przyjaciółmi, ponieważ ci i osobistem obcowaniem, i wymianą listów, wreszcie i pismami swojemi wywierali na niego znaczny wpływ — nie czynimy jednak tego z dwu względów; po pierwsze, że takie szczegóły, jako należące do specyalnych dziejów życia i rozwoju twórczości poety, zaprowadziłyby nas zbyt daleko, powtóre, że wyraźnym i określonym jest tylko wpływ Herdera i Marcka, innym zaś swym przyjaciołom, jak Lavaterowi, Jacobi'emu, Lenzowi, Klingerowi, i w. in. zawdzięcza Goethe raczej drobne napomknienia, aniżeli rzeczywisty określony wpływ, i że istotnie tembardziej od nich wszystkich się oddalał, im silniéj rozwijała się jego organizacya poetycka. Stąd też w następującym okresie, w którym zakończył się jego rozwój i w którym największe stworzył arcydzieła, znajdujemy go zamkniętego w samym sobie i samemu sobie tylko oddanego; stał on się wtedy obcym nawet wejmarskim swym przyjaciołom, a przynajmniej odosobnił się od nich. Wprawdzie ze względu na stosunki, łączące go z księciem i z dworem wejmarskim, był on zmuszony wiele czasu życiu towarzyskiemu poświęcać, lecz, jak już w samym początku pobytu w owem mieście pisał o tem przyjacielowi swemu Merckowi: (5 stycznia 1777 r.) „Żyję zawsze w szalonym świecie i jestem zawsze zamknięty sam w sobie”, to samo i to w wyższym jeszcze stopniu daje się powiedzieć o latach późniejszych. Wreszcie zanikł w nim ostatni ślad okresu „Burzy i wrzenia”, i poeta doszedł do przeświadczenia, że talent przyrodzony tylko wtedy może się rozwinąć w całej potędze i stanąć na najwyższym stopniu twórczości, kiedy się podda surowym wymo-

gom sztuki. Osiągnął on spokój i pewność siebie, do których dążył tak dawno, fantazya jego, nie tracąc nic ze swojego ognia i twórczej siły, złagodniała; spełniając obowiązki, z zajmowanem przezeń stanowiskiem związane, miał sposobność poznać ludzi i życie, obserwował naturę w najróżnorodniejszych jéj przejawach, wkładając w to wiele miłości i życiowej siły; wreszcie coraz głębiej pogrążał się w studyowanie sztuki i tą drogą talent swój tak podniósł i wzmocnił, całą duchową swą istotę tak wszechstronnie i harmonijnie rozwinął, że mógł sięgać po najwyższe zadania i podołał im. A nie polegały one na niczem innem, jak na pogodzeniu ze sobą koniecznych praw natury i sztuki i to w sposób, tak zadziwiająco osiągnięty przez Greków, których sztukę studyował też Goethe ze szczególnem zamiłowaniem. Dążąc wszakże do tego celu i szczęśliwie go zdobywając, poeta zarazem umiejętnie pośredniczył pomiędzy usiłowaniami Lessinga a okresu „Burzy i wrzenia", zlewając je jaknajfortunniej w pełną życia jedność. Ażeby się jednak wznieść do upragnionej wysokości, trzeba było wyłącznie do siebie należeć i zwolnić ducha ze wszelkich więzów, polot jego krępujących. Pomimo usilnego zamykania się w sobie, życie dworskie i związane z urzędem obowiązki, nie dawały mu potrzebnego spokoju; ażeby go osiągnąć w całej pełni, pośpieszył do Włoch, które były od lat wielu wymarzoną dlań krainą i gdzie, podług własnego przeświadczenia, swój zmysł piękna mógł rozwinąć jaknajświetniej! Jużeśmy wyżéj o tem wspominali, jak wszechstronnie czynnym był on we Włoszech i jak tam powstała część jego arcydzieł, w których stanął na szczycie, zapewniającym mu nazawsze miejsce śród największych poetów wszystkich czasów i narodów.

Po powrocie rozpoczął pracę w dalszym ciągu, przerwał mu ją wszakże niebawem wybuch rewolucyi francuskiej, przyczem zresztą nie małą rolę zapewne odegrał i smutek, którego musiał doznawać, widząc, że właśnie najdoskonalsze jego utwory, tchnące całą potęgą jego talentu, uważane przezeń za skończone dzieła sztuki, przyjmowane były przez naród z chłodem, z obojętnością graniczącym. Przez długi szereg lat poeta zajął się wyłącznie badaniami przyrodniczemi, albo też tworzył dramata i opowiadania, które już z tego względu nie mogły stanąć na wysokości innych dzieł jego, że nie przezwyciężają tendencyi, która je wywołała; i jakkolwiek niektóre z nich są w szczegółach doskonałe, to wszakże o całości powiedzieć można tylko to, że powstała w chwilach wytchnienia po męczącej pracy, której przed laty się oddawał. I w samej rzeczy cały ten czas od r. 1790 do 1795 w twórczości jego poetyckiej jest niejako wypoczyn-

kiem, przerwanym dopiero po bliższem nawiązaniu stosunków z Schillerem, i z tem większą pewnością twierdzić możemy, iż jego nowa owocna działalność jest szczęśliwem następstwem bliższego obcowania z Schillerem, że sam Goethe mówi o tem najwyraźniéj. Oto, co pisze do swego brata-poety w d. 6 stycznia 1798 r. „Dzięki tobie jestem po raz wtóry młodym i czuję się znów poetą, którym tak dobrze jak być przestałem" — w rok zaś potem w d. 6 maja 1799 r. „Nie przestawaj być mi pomocnym siłą twego ducha w złej i dobrej godzinie“ [1]).

Rzecz wiadoma, że obaj najwięksi poeci Niemiec, których szczęśliwy los zbliżył ku sobie, z początku od siebie wzajem stronili, i że lata przeszły, zanim nastąpiło zbliżenie; zrozumiemy to, jeżeli wspomnimy, jak odległe były wtedy ich stanowiska w stosunku do sztuki. Schiller doskonale to charakteryzuje, pisząc w d. 12 września 1788 roku, po pierwszem bliższem zetknięciu się z Goethem do przyjaciela swego Körnera. „Wogóle powiedziawszy, po osobistem poznaniu się z nim, wielkie moje o nim wyobrażenie nie zmniejszyło się w istocie; wątpię wszelako, czy się kiedy bliżej zejdziemy. Nie jedno, co mnie jeszcze zajmuje, czego się jeszcze spodziewam i sobie życzę — on już przeżył; on mnie tak (nie tyle latami, ile życiowem doświadczeniem i rozwojem) wyprzedził, że się nigdy na drodze nie spotkamy; cała jego istota już od początku, inaczej jak moja ukształtowaną została, jego świat nie jest moim, nasze wyobrażenia zdają się być zupełnie różne". W podobnyż sposób wypowiada się i Goethe [2]). Atoli leżący pomiędzy nimi, a wyżej przez Schillera określony przedział z każdym rokiem się zmniejszał, aż zniknął wreszcie; historyczne, a jeszcze bardziej filozoficzne studya, którym się Schiller z zamiłowaniem oddawał, zastąpiły doświadczenie życiowe i rozwój Goethego, stawiając obu coraz bliżej siebie, tak, że gdy po latach szczęśliwe zrządzenie losu znowu spowodowało spotkanie się dwu tych geniuszów, obaj się przekonali, że przedzielająca ich dotychczas przepaść wypełnioną została. I oto rozwinęła się wspólność życia, pracy i usiłowań, z roku na rok coraz bliższa, a dla obu tak owocna; widoczniej wprawdzie dla Schillera, lecz niezaprzeczenie i dla Goethego, jak się do tego zresztą w powyżej zacytowanych wyjątkach

---

[1]) Goethe sam wyznaje: „Obcowanie z Schillerem wyprowadziło mnie z naukowej kostnicy do wonnego ogrodu życia“.

[2]) Wielkiej pod tym względem wagi jest wspomnienie Goethego „Pierwsze poznanie się moje z Schillerem“, a przytem wiele ciekawych szczegółów znajdujących się u Eckermanna, na które zwracamy uwagę czytelnika.

z listów w serdecznych, wzruszających wyrazach przyznaje. Temu wpływowi Schillera zawdzięcza Goethe, że, zwróciwszy się z obudzoną na nowo miłością ku poezyi, stworzył szereg arcydzieł, mogących godnie stanąć obok tych, które pochodzą z czasów podróży do Włoch. Wpływ Schillera odbił się bezwątpienia na ostatnich kartach „Wilhelma Meistra"; wspólnemi siłami były tworzone „Xenie", któremi chciano zapobiedz zastojowi i upadkowi piśmiennictwa. Goethe napisał szereg pięknych lirycznych i epicznych utworów, śród których znajdujemy wspaniałe idylle i ballady; powstał „Herman i Dorota" oraz „Córka naturalna", została rozpoczętą „Achilleis", snuł się dalszy ciąg „Fausta", pojawiły się przekłady z Woltera: „Mahometa" i „Tankreda" i niejedno jeszcze dzieło godne uwagi, którego tu nie wymieniamy. We wszystkich tych utworach panuje ta sama artystyczna miara, co i w poprzednich, a nawet rzec można, dbałość o artystyczne wykończenie daje się uczuć jeszcze bardziej, aż w końcu przeważać poczyna, z czego widzimy najwyraźniej, jak wbrew wywieranemu nań przez młodego przyjaciela wpływowi całą porywającą czarodziejską jego mocą—Goethe zachował w zupełności swą samodzielność, a może jeszcze ją umocnił, czując to, że ów wpływ przy jego młodzieńczej jeszcze wrażliwości mógłby się dlań stać zbyt niebezpiecznym, gdyby się przeciw niemu nie bronił.

Wspólna działalność Schillera i Goethego była z początku przeważnie polemicznej natury; chłód, z jakim przyjmowano arcydzieła Goethego, nadzwyczajne powodzenie, jakiem się cieszył Kotzebue i jemu podobni, wskazało obu poetom, że publiczność musi być wprzód wykształconą dla czegoś lepszego, zanim będzie mogła zasmakować w dziełach rzeczywistej wartości. Ponieważ zaś w tymże czasie i obaj Szleglowie wytężali swe usiłowania w tym samym kierunku, przykładając się zwłaszcza do tego, ażeby arcydzieła Goethego mogły znaleźć zrozumienie, nie występowali więc dwaj dioskurowie przeciw nim, aczkolwiek w estetycznych zapatrywaniach w żaden sposób z nimi zgodzić się nie mogli, zwłaszcza zaś Schiller, który z każdym dniem coraz bardziej od nich się oddalał, choć nie zupełnie mógł się oprzeć wpływowi ich na duchową swą istotę. Kiedy zaś po śmierci Schillera szkoła romantyczna potężniała coraz bardziej, zagarniając wszystkie duchy—i Goethe nie mógł się ostać przed jej przeważnym wpływem. I wtedy to, wraz z jego oddaniem się romantyzmowi, rozpoczął się czwarty i ostatni okres jego poetyckiej twórczości, charakteryzujący się stopniowem zarzucaniem artyzmu i, wraz z rosnącą świadomością zaniku siły twórczej, oddaniem się refleksyi oraz szerokim rozwojem myśli—wzorem romanty-

ków, którzy, pozbawieni zmysłu artystycznego, szukali poezyi w pełni treści. Dowodzą tego mianowicie „Lata Wędrówki Wilhelma Meistra" oraz druga część „Fausta", z której już w r. 1800 znaczną część napisał, wcieloną następnie w całość, jako akt trzeci, pod charakterystycznym tytułem: „Helena, klasyczno-romantyczna fantasmagorya". To skłonienie się ku refleksyi wraz z jednoczesnem osłabieniem siły twórczej zapowiadało się już zresztą w poprzednich jego pracach. Jeszcze tylko na polu lirycznéj twórczości poetycka jego siła i w późniejszych latach występowała w całej swej wspaniałej pełni, tak np. w „Zachodnio-wschodnim dywanie", który wprawdzie tu i owdzie rozpływa się w refleksyach i romantycznej symbolice, w wielu wszakże pieśniach dyszy iście młodzieńczą siłą. Stąd też „Dywan" jest najwybitniejszem dziełem starczego wieku Goethego; z niem rozpoczyna się w niemieckiej poezyi oryentalny, kierunek, uprawiany następnie z wielkiem powodzeniem przez Rückerta, Platena i Bodenstedta. Wraz z tym „Dywanem" rozpoczyna się również coraz silniej występujące ciążenie Goethego do obcych i kształtująca się wraz z tem myśl o literaturze powszechnéj, której urzeczywistnienie poeta uważał za możliwe przy pomocy niemieckiego języka i piśmiennictwa. Ale właśnie tu widzimy, w jakiej Goethe staje sprzeczności z zajmowanem poprzednio stanowiskiem. Jego poezye, z drugiego okresu pochodzące, dążyły do podchwycenia ludowej nuty, i, aczkolwiek w trzecim okresie pozwolił się powodować względom sztuki, to wszakże dzieła jego posiadały duszę nawskroś niemiecką, przy swojej antycznej formie; tak „Ifigenia", jak „Herman i Dorota" ze względu na język, myśl i założenie poetyckie, mogły być napisane tylko przez niemieckiego poetę i dlatego też są to arcydzieła, ponieważ dowodzą, że można, posługując się skończenie doskonałą grecką formą, nie zatracić ni języka, ni właściwości narodowych. Przeciwnie, pomysł literatury powszechnéj dąży do zatraty wszystkich pierwiastków narodowych; podług Goethego, Niemiec miał zostać tłómaczem dla całego świata, a język niemiecki pośrednikiem, łączącym wszystkie piśmiennictwa. Aczkolwiek nie da się zaprzeczyć, że w tej utopii rola Niemiec wielce byłaby zaszczytną, trudno wszakże nie przypuścić, że nie oparłyby się one naciskowi całego świata i zatraciły swoje własne „ja", czego i w dziejach tego kraju liczne spotykamy przykłady i co Goethe sam zapewne czuć musiał, mówiąc: „Teraz, kiedy się zapowiada rozwój literatury powszechnej, prawdę powiedziawszy, Niemiec ma najwięcej do stracenia; dobrze też uczyni, jeżeli o tej przestrodze pamiętać będzie".

Kreśląc dzieje rozwoju poetyckiej twórczości Goethego, poświęciliśmy niejedną uwagę jej charakterowi; to wszakże, cośmy o nim powiedzieli, zbyt słabe jeszcze daje pojęcie o jego potędze i znaczeniu; postaramy się odtworzyć ogólny jego obraz. Zanim to wszakże uczynimy, musimy jeszcze pomówić o niejednem, co posłuży do zrozumienia istoty poety. Goethe mianowicie z wielu względów źle był rozumiany, i, aczkolwiek względy te z poetyckiem jego znaczeniem nie wiele mają wspólnego, niejednokrotnie bezkarnie z nich korzystano dla obniżenia jego wartości, jako poety. Zwłaszcza jego poglądy polityczne nieraz służyły za powód do udzielania mu nagany, a nawet do gorzkich wyrzutów. Zastanówmy się, czy jedno i drugie słusznie go spotykało.

Goethe nie tylko sam znacznie naprzód posunął ogólną duchową kulturę swego narodu, lecz więcej, niż inni współcześni mu, położył zasług w sprawie rozwoju i wznowienia narodowego zmysłu i poczucia; on pierwszy krzepką dał podwalinę mglistym pomysłom. Klopstocka, jego „Götz von Berlichingen” zaprowadził Niemców z fantastycznych wyobrażeń rzymskich czasów w kraj rzeczywisty i przed ich oczami po raz pierwszy roztoczył dokładny obraz niemieckiej siły i ducha, wzmacniając tem nieskończenie więcej poczucie narodowe, aniżeli to uczynił Klopstock swymi mglistymi *bardita-mi*. Jego owiana młodzieńczym zapałem rozprawa „O budownictwie niemieckiem” obudziła zmysł sztuki narodowej, i śmiało uważać ją można za źródło, z której wytrysło tak bogate w zakresie sztuki piśmiennictwo niemieckie. Jego poezya, przemawiająca żywym językiem ludu i życie ludu odtwarzająca, obudziła poczucie narodowe i umocniła je daleko silniej, niż poezya wszystkich jego poprzedników. Uczucie narodowe, będące dotychczas raczej zewnętrznej natury i ograniczające się do deklamowania nadętych frazesów, rozwinęło się tą drogą z najgłębszych tajników narodowego życia, odtąd stało się ono przyrodzonem uczuciem każdego Niemca, kiedy przedtem sztucznie było hodowane. Widzimy więc, jak niesłusznym jest zarzut braku miłości dla narodu i ojczyzny, wymierzony przeciw poecie, którego cała twórczość polega na głębokiem poznaniu swego narodu. Wprawdzie Goethe zeszedł potem z tej narodowej podwaliny, która sprawiła, że pierwsze jego wystąpienie tak było owocnem, i, nie mówiąc już o czem innem, nie umiał się w późniejszym wieku poznać na wysokiej wartości staro-niemieckiej sztuki: daje się to wszakże wyjaśnić i wytłómaczyć przesadą, w jaką wpadła sztuka niemiecka, naigrawając się z wszelkich wymagań piękna i szukając dróg dla siebie w bezdusznem naśladowaniu starych form gotyckich

Błąd ten był wynikiem marzycielstwa, które wówczas całe Niemcy opanowało, Goethe wszakże, w wysokim stopniu zmysłem prawdy obdarzony, obcy był wszelkiemu marzycielstwu, przejawiającemu się bądź to w zakresie sztuki, bądź też w życiu. To też i wobec wszystkich ruchów politycznych, wstrząsających, poczynając od roku 1813, jego ojczyzną, zachował się obojętnie, ponieważ przenikał wieszczym swoim wzrokiem, że są one na czczych marzeniach oparte [1]).

Niezależnie od braku uczucia narodowego zarzucano Goethemu i obojętność, a nawet i nienawiść względem swobodnego rozwoju ludów—lecz i to niesłusznie. Nie chcemy się tu powoływać na poszczególne miejsca z jego poezyi, ponieważ mogłaby nas spotkać odpowiedź, że przemawia tam Goethe-poeta, a nie Goethe-człowiek [2]), możemy się wszakże powołać na to, że głównie dzięki jego wpływowi nastąpiło wezwanie do Jeny Fichtego, o którym dobrze wiedział, że był on autorem kacerskiego na owe czasy dzieła: „Przyczynki do osądzenia rewolucyi francuskiej". Nie mniej znamienne jest pod tym względem jego zbliżenie się z Schillerem, jakkolwiek ten napisał już wtedy „Don Karlosa" i „Dzieje odpadnięcia Niderlandów" i jeszcze na krótko przed śmiercią stworzył „Wilhelma Tella". Goethego przedewszystkiem odstręczyła od Schillera nie jego wolnomyślność, lecz, jak wiemy, znaczna różnica w estetycznem wykształceniu, kiedy zaś ona znikła, a przynajmniéj przestała być zbyt dotkliwą, Goethe uczynił pierwszy krok do zbliżenia się, aczkolwiek nie było mu obcem, jak umiłowaną była wolność przez Schillera. Wogóle Goethe pod żadnym względem nie był zacofany, ani nawet, że skorzystamy z powszechnie używanego określenia, konserwatywny; był on wolnomyślny w duchu Mösera, któremu i w późniejszych latach chętnie przyznawał wywieranie znacznego wpływu na jego poglądy polityczne. W istocie był on wrogiem rewolucyi; aczkolwiek jednak uważał za zgubne wywoływanie ich, bynajmniej nie przeczył, że nieraz okoliczności mogły tego wymagać. Jego polityczne poglądy znajdujemy najjaśniej wypowiedziane w poszczególnych miejscach jego „Rozmów z Eckermannem". Sądzimy, żeśmy

---

[1]) Niżej przytoczymy wyznanie Goethego, w którem obojętność swoją wobec tak nazywanych walk o wyzwolenie tłómaczy innymi powodami, mającymi wszakże z powyżej zaznaczonymi wiele wspólnego.

[2]) Oprócz powyżej przytoczonego miejsca z „Hermana i Doroty" cytujemy tu jeszcze jedno zdanie z „Goetza von Berlichingen", wielce dla nas w tym wypadku znamienne: „Głowę dać za powszechne szczęście — oto byłoby życie!"

je tu powinni przytoczyć, rzucają bowiem odpowiednie światło na rozpowszechnione mniemanie, jakoby Goethe wrogo był usposobiony dla sprawy wolności. „Napisałem „Niespokojnych" podczas rewolucyi francuskiej i rzecz ta może być pod pewnym względem uważana za moje polityczne wyznanie wiary z owych czasów. Hrabinę wyobraziłem tam, jako przedstawicielkę szlachty, i za pomocą wyrazów, w usta jej włożonych, wypowiedziałem, jak szlachta właściwie myśleć powinna. Hrabina właśnie powraca z Paryża, gdzie była świadkiem rozruchów, poprzedzających rewolucyę, i niezłą z tego dla siebie wyciągnęła naukę. Przekonała się, że lud wprawdzie można ciemiężyć, ale go uciemiężyć nie podobna i że rewolucyjne ruchy niższych warstw są następstwem niesprawiedliwego postępowania warstw wyższych; tak myślałem wtedy — i tak dziś jeszcze myślę". „Trzeba tylko czytać „Egmonta" — powiada Eckermann — „ażeby się przekonać, jak pan myślisz. Nie znam żadnej sztuki niemieckiej, któraby więcej od tej była poświęconą wolności ludu". „I znowu — mówi Goethe dalej — dla narodu to jest tylko dobrem, co wynika z własnego jego rdzenia i z własnych jego potrzeb, bez małpowania drugiego. Stąd też szalonemi nazwać trzeba wszystkie usiłowania, dążące do zaprowadzenia zagranicznych nowości, a nieuzasadnione tkwiącą w głębi narodowego rdzenia potrzebą; wszelkie rewolucye, mające to na względzie, kończą się nieszczęśliwie, nie sprzyja im bowiem Bóg, zawsze stroniący od każdej fuszerki. Jeżeli jednak zachodzi rzeczywista potrzeba przeprowadzenia wielkiej reformy w narodzie, Bóg skłania się ku temu i wszystko pomyślnym wieńczy się skutkiem. Widocznym tego przykładem jest pojawienie się Chrystusa i pierwszych jego wyznawców, ponieważ głoszenie nowej nauki, opartej na miłości, stało się potrzebą narodów. Równie widocznym przykładem jest ukazanie się Lutra — wtedy taką potrzebą i to niemniejszej wagi stało się oczyszczenie owej nauki, przez kler skażonej. A wszak obie nauki nie sprzyjały ówczesnym urządzeniom". I nie można powiedzieć, ażeby słowa te, wypowiedziane w cztery oczy do zaufanego, stawały w sprzeczności z jego niejednokrotnemi oświadczeniami w życiu publicznem; jest rzeczą powszechnie wiadomą, że paryską lipcową z roku 1830 rewolucyę traktował on z zaznaczonego wyżej punktu widzenia i że go ucieszyła, podczas gdy najbliższe jego otoczenie i wielu wybitnych mężów, jak np. Niebuhr, widzieli w niej przyjście do rządów barbarzyństwa. Obszerniej roztrząsać nie możemy politycznych zapatrywań Goethego, dodać wszakże tu musimy, że z jednej strony „nigdy nie miał wielkiego respektu dla władzy nieograniczonej, z drugiej

zaś, że najgłębsze uszanowanie wzbudzał w nim dzielny człowiek, z ludu wychodzący, i że się nieraz o tem odzywa w sposób, do jakiego jesteśmy tylko u Jean Paula przyzwyczajeni.

Chętnie zatrzymalibyśmy się jeszcze nad religijnymi i moralnymi poglądami Goethego, które, podobnież jak i polityczne, bywają niejednokrotnie nie uwzględniane i zniesławiane; zaprowadziłoby to nas wszakże zbyt daleko; niech tu wystarczy uwaga, że jego religijne i moralne poglądy spoczywały na najgłębszem przekonaniu, że jednak i w nich, podobnież zresztą jak i we wszystkiem innem, obcym był wszelkiemu fanatyzmowi i obłudzie, i że z tego względu fanatycy i obłudnicy wrogo przeciw niemu występują.

Charakter poezyi Goethego z łatwością wogóle określić można; oddawna na to wyraz znaleziono, ponieważ sam go wypowiedział. Że był przedmiotowym poetą w całem znaczeniu tego słowa, jest to rzeczą tak powszechnie uznaną i tak często powtarzaną, że można byłoby tu już o tem nie mówić. Jużeśmy wyżej dostrzegli, jak ta właściwość rozwijała się w nim, poczynając od lat najwcześniejszych. Jak widzimy z przytoczonych tam własnych słów poety, kierunek ten tłómaczy on sobie tem, że nie miał innej treści, jak ta, której mu życie dostarczało, jest to jednak tylko po części słusznem. To dążenie do przedmiotowości leżało w całej jego naturze; jest to tem pewniejsze, że dostateczną wskazówką do wgłębiania się myślą w ulubioną materyę odebrał Goethe od współczesnych poetów: Klopstocka, anakreontyków i wielu innych. Jeżeli tego nie czynił, było to dowodem, że sprzeciwiał się swej nawskroś poetyckiej naturze. To przyrodzone usposobienie zostało wzmocnione już w rodzicielskim domu zajmowaniem się sztukami pięknemi, a później w Lipsku rozwinęło się jeszcze bardziej dzięki obcowaniu z Oeserem. Można nawet powiedzieć, że już wtedy nabrał Goethe przeświadczenia, że studyowanie sztuk pięknych wywrze błogosławiony wpływ na rozwój jego poetyckiego talentu. „Pracownia wielkiego artysty"—pisze on już w dniu 9 listopada 1768 r. do Oesera—rozwija młodego filozofa, młodego poetę więcej, niż aula mędrca lub krytyka". I w tem samem znaczeniu mówił później do Eckermanna: „Przedmiotowość mojej poezyi zawdzięczam przecie owej wielkiej uwadze i ćwiczeniu oka — i wysoko stawiam tą drogą nabyte wiadomości [1]).

[1]) To ostatnie wyznanie Goethego rozciąga się i na jego przyrodnicze studya, które nawet i we Włoszech prowadził w dalszym ciągu; myśl o metamorfozie roślin obudziła się w nim poraz pierwszy w Sycylii.

Jeszcze bardziej zdeklarowanym stał się ten przedmiotowy kierunek, kiedy Goethe dzięki Herderowi poznał rzeczywistą istotę poezyi; można nawet twierdzić, że dopiero odtąd począł być świadomym własnej swej natury, albo też, że ona, jak to już wyżej powiedzieliśmy, odniosła w nim zupełne zwycięstwo nad dotychczasowemi przyzwyczajeniami. Odtąd poeta trzymał się wyłącznie natury, życia i realizmu; odtąd widział coraz jaśniej, że poezya nie polega na frazesach i formułkach, lecz na jasném rzeczywistem przedstawieniu przedmiotu. „Przeznaczeniem poety jest obrazowanie" powiada w swych „Maksymach i refleksyach". Najwyższym jego tryumfem jest to, kiedy współzawodniczy z prawdą, t. j. kiedy obrazy tak są duchem prawdy ożywione, że każdemu wydawać się może, iż patrzy na nie. Dlatego téż, ponieważ pierwsze utwory Goethego: „Götz" i „Werter" na tej prawdzie oparte były, natychmiast po ukazaniu się wywarły tak głębokie i powszechne wrażenie, że już w parę lat po swem pierwszem wystąpieniu był on bez zaprzeczenia uważany za największy talent poetycki owych czasów. Lecz wtedy nie zdawano sobie z tego jeszcze dokładnie sprawy, na czem polega właściwa jego wielkość, cieszono się jego twórczością, jak wiosennym kwiatem, nie zastanawiając się bynajmniej nad jej pochodzeniem. Tylko jego przyjaciel Merck patrzał głębiej i dlatego też pisał do niego jeszcze w młodzieńczych latach: „Twoje dążenie, twój nieprzeparty kierunek ma na celu przyobleczenie prawdy w kształt poetycki; inni starają się o urzeczywistnienie tak nazywanej poetyczności, imaginacyjności — i wynikiem tego jest głupstwo". W tem znaczeniu powiada też Goethe do Eckermanna: „W ogóle nie było to moim rodzajem dążyć, jako poeta, do ucieleśnienia czegoś abstrakcyjnego. Duchowa moja istota odbierała wrażenia, i to wrażenia rozmaitego rodzaju, jakich tylko dostarczyć mogła żywa siła wyobraźni; i, jako poeta, nie miałem nic innego do czynienia, tylko wrażenia te artystycznie zaokrąglić i wykształcić dla tak żywego ich wyobrażenia, ażeby inni odbierali te same wrażenia, słuchając moich wyobrażeń albo też je czytając. Kiedy zaś chciałem, jako poeta, wyrazić jaką ideę, czyniłem to w małych wierszach, gdzie mogła panować zupełna jedność. Jedynem dziełem większej objętości, gdzie z zupełną świadomością starałem się przeprowadzić pewną ideę, były Powinowactwa z wyboru. Powieść wskutek tego stała się bardziéj dostępną dla rozumu, lecz nie chcę twierdzić, że dlatego stała się lepszą".

Jakkolwiekbądź, Goethe posiadał przenikającą się nawzajem rzadką siłę wrażliwości i produkcyjności, nie byłby wszakże dosię-

gnął tych wyżyn niezrównanych, które w dziełach jego podziwiamy, gdyby przyrodzonego geniuszu swego nie był rozwinął aż do doskonałości zapomocą usilnej pracy. Wiemy, ile czasu i mozołu poświęcił studyowaniu sztuk pięknych, wiemy, że głęboko i gruntownie zajmował się naukami przyrodniczemi, i, aczkolwiek nie miał przytem na względzie poetyckiej swej twórczości, nie pozostało to bez korzystnego na nią wpływu. We wszystkich bowiem jego poezyach tchnie duch przyrody, wszędzie podziwiamy ją w całéj jéj prawdzie i piękności; wszystkie obrazy, wszystkie porównania znamionują znawcę, mistrza, który podsłuchał najskrytsze jéj tętno. Dla tego téż i poezye, napisane przezeń w dojrzałym wieku, tchną jeszcze całą świeżością, właściwą tylko wiekowi młodzieńczemu, tak np. prześliczny wiersz p. t. „Wczesna wiosna", napisany przezeń w 54-ym roku życia. Jego pilność zwracała się wszakże i ku temu, co się bezpośrednio tyczyło sztuki poetyckiej; przyswoił sobie wszelką duchową i mechaniczną wprawę, ponieważ wiedział o tem, że to, co tkwi w nim, tylko wtedy w doskonałej postaci przejawić się może, kiedy w zupełności zapanuje nad wszelkimi środkami, niezbędnymi do wyobrażania. I, jak w pierwszych utworach już występuje, jako największy poeta swoich czasów, tak w późniejszych widzimy w nim największego artystę, w którego dziełach sztuka i natura zlewają się w całość tak doskonałą, że niepodobna wprost określić, gdzie się jedna kończy, a druga rozpoczyna. I właśnie ta wybitna właściwość jego poezyi, ta przedziwna powściągliwość, która mu nigdy wyjść nie pozwala po za granicę piękna i prawdy, jest podobnież owocem jego natury i jego talentu, jak i wysokiego artystycznego wykształcenia; ową powściągliwość spotykamy już w najbardziéj swobodnych i swawolnych utworach jego młodości, aczkolwiek nie ukazuje się ona w tak łagodnej formie, jak w późniejszych jego dziełach.

Cały skarb doświadczenia, zdobyty nieustannem obserwowaniem zjawisk życiowych i przyrody, nieprzebrane bogactwo wiadomości, osiągniętych usilną pracą — wszystko to stało się podwaliną owej godnej podziwu wszechstronności, która stawia go na czele wszystkich poetów. Nie mamy tu zamiaru wglądać w jego niestrudzoną działalność, która w podeszłym wieku była niemniejszą, niż w latach młodzieńczych i dojrzałych [1]; nie chcemy wykazywać, że,

---

[1]) Doskonale mówi Sorel w swych: „Notice sur Goethe" (Genève 1832): „son ésprit était resté créateur, observateur et productif jusqu'a à la fin, et ne s'arrêtait dans son action que là, où s'arrêtaient les forces physiques; celles ci étaient tout ce qu'elles pouvaient être à cet âge".

jako biograf, badacz przyrody, krytyk, archeolog, estetyk, a nawet i krasomówca, tworzył rzeczy niepospolite... chcemy tylko jednym rzutem oka ogarnąć jego dzieła poetyckie, które same zawierają tak wielką różnorodność formy i treści, że je prawie uważać trudno za utwory jednego i tego samego poety. Na tem bowiem polega istotna różnica pomiędzy Goethem a wszystkimi innymi, choćby i największymi poetami, że prawie każde słowo, z pod pióra jego wychodzące, nosi na sobie stempel jego geniuszu — że jednak niemożliwem jest określenie z jego dzieł charakteru jego ducha i umysłu. W każdym utworze Schillera najwyraźniej przejawia się cała jego osobistość — o żadnym utworze Goethego nie można powiedzieć, że on w nim występuje, spotykamy go bowiem w każdym innym w zupełnie odmiennej postaci, a jednak wszędzie, we wszystkiem jest to niewyszukany, naturalny prawdziwy — cały Goethe [1]).

Jest to przedewszystkiem wszędzie wielki poeta, który stosownie do potrzeby treść kształtuje, ożywia ją twórczym swym duchem i zarazem tchnie w nią właściwe życie, tak, że skreślone przezeń postacie wydają nam się organicznymi, na wewnętrznej konieczności opartymi tworami. Tak w „Götzu" i w „Egmoncie" poeta przenosi nas o parę wieków wstecz i odtwarza owe czasy przed naszemi oczami z taką prawdą, że żaden historyk nie mógłby nam tak wiernie wyobrazić ni pojedyńczych osób, ni usposobienia ludu, ni poszczególnych stanów, chociażby rozporządzał tym samym, co Goethe, materyałem. I zaledwie w tak świetny sposób zapowiedział się światu, jako dramaturg, gdy nagle w „Werterze", zaprowadziwszy nas w bardziej ograniczone szranki, otwiera sam najskrytsze tajniki serca ludzkiego i w całej okropnej prawdzie odtwarza niszczącą potęgę namiętności. Potrzebujemyż jeszcze dla wykazania jego przedziwnej siły twórczej dodawać, że w „Ifigenii" odtwarza świat starożytny w całej jego pełni i piękności, że w „Tassie" z taką prawdą maluje życie poety w przeciwieństwie do otaczające-

---

1) „W mojej poezyi — powiedział raz do Eckermanna — „nigdzie niema afektacyi. Czego nie przeżyłem, co mnie do głębi nie przenikało i nie zmuszało do tworzenia, tegom nigdy w poezyi swej nie wypowiedział. Miłosne poezye pisałem tylko wtedy, kiedym kochał. Jakże byłbym mógł pisać pieśni nienawiści, nie nienawidząc! A między nami powiedziawszy, ja nie nienawidziłem Francuzów, choć dziękowałem Bogu, kiedyśmy się od nich uwolnili. Jakżeż ja, dla którego tylko kultura i barbarzyństwo mają znaczenie, mógłbym nienawidzieć naród, należący do najbardziej cywilizowanych na świecie, któremu zawdzięczam tak znaczną część mojego wykształcenia".

(Z rozmów z Eckermannem).

go życia rzeczywistego, iż niepodobna się wprost oprzeć kuszącej nas myśli, że „Tassem” jest on sam, pozostałemi osobami Wejmarskie jego otoczenie? Mamyż jeszcze przypominać, że w „Hermanie i Dorocie” ówczesne życie ludu niemieckiego tak z antyczną formą zespolił, że ona zdaje się z niego brać początek? Mamyż jeszcze przytaczać „Fausta”, w którym w tak wązkich ramach rozwinął przed nami najbardziej skończony i wszechstronny obraz życia ludzkiego podług wewnętrznych i zewnętrznych jego zjawisk? — mamy dalej mówić o „Wilhelmie Meistrze”, „Powinowactwach z wyboru” i wielu innych? Przekroczyliśmy o wiele granice, pracy naszej zakreślone. Wystarczy przypomnienie wszystkich tych arcydzieł, ażeby czytelnik uświadomił sobie genialną wszechstronność tego poety i artysty.

Rzecz naturalna, że i językiem ojczystym władał Goethe po mistrzowsku — jego czystość i piękność starał się zachować już w najpierwszych swych utworach — później zaś dzięki usilnej pracy osiągnął nad nim zupełne — i to niepodzielne — panowanie. W pierwszych utworach opierał się świadomie na języku ludowym i temu właśnie zawdzięcza, że z biegiem czasu wyrobił sobie język przedziwnie piękny, czysty, a przytem nawskroś niemiecki, którym już współczesnych czarował i który nigdy nie przestanie być dla Niemców niedoścignionym wzorem.

Wobec potęgi i głębi tego olbrzymiego talentu, nic dziwnego, że Goethe już po pierwszem swem wystąpieniu zdobył rozgłos i niepodzielne panowanie w ojczystem piśmiennictwie. Ilekroć zwracał się do nowego przedmiotu i nadawał mu nową, stworzoną przez samego siebie formę, porywał za sobą w tym kierunku całe Niemcy, jego dzieła bowiem nie tylko wywoływały liczne naśladowania, lecz, jak to mianowicie miało miejsce z „Werterem”, docierały do głębi życia narodowego.

Przechodząc do omówienia lirycznych poezyi Goethego, nadmieniamy, że, jakkolwiek jest on wielki we wszystkich pozostałych działach poezyi, nie wahamy się wszakże twierdzić, że, jako liryk, stoi najwyżej i że się w poezyi lirycznej talent jego przejawia w całej swej pełni i wspaniałej sile; na tem polu żaden inny poeta mierzyć się z nim nie może ani pod względem bogactwa treści, ani też pod względem rozmaitości gatunków i form. Zwłaszcza drobne jego wiersze obfitują w taką różnorodność form i tonów, że graniczy ona wprost z nieskończonością. Wielu nawet bardzo wybitnych poetów w raz potrąconą strunę, jeśli ta odgłos znalazła, uderzało aż do znudzenia, wpadając w pewną manierę; a Goethego każdy wiersz

posiada własną istotę, każdy jest odmienny. Każdy wyszedł z głębiń jego duszy, a żyje, zda się, własnem samoistnem życiem, tak że twórca znika zupełnie z uwagi czytelnika. Wszystkie jego liryczne wiersze odznaczają się najwyższą doskonałością i zarazem zupełną prostotą, nigdzie bowiem niema ani śladu sztuczności — ni w myśli, ni w wyrazie, ni w języku, ani też w budowie wiersza. We wszystkich swych wierszach lirycznych Goethe wykazał skończone mistrzostwo obrazowania, którego czarowi oprzeć się niepodobna. Aczkolwiek widzimy u niego nadzwyczajne bogactwo różnorodnych form, są one wszakże przeważnie wzorowane na formach pieśni ludowych; dostrzegamy tylko jedyną próbę antycznej budowy strofy („Hymn Mahometa" w Getyńskim almanachu muz z r. 1774), pozatem często posługuje się hexametrem i elegijnym rozmiarem wiersza.

To, cośmy powiedzieli wogóle o charakterze liryki Goethego, daje się najzupełniej powtórzyć o jego *pieśniach*; to je wyróżnia od pierwszego wejrzenia pomiędzy utworami innych poetów, że, bez względu na rodzaj przenikającego je uczucia, wypowiadają je z taką prostotą i prawdą, jak gdyby się bezpośrednio w wyrazy przybierały. Przytem spotykamy u niego takie bogactwo rymów, taką swobodę i mistrzostwo w posługiwaniu się nimi, że pieśni jego już dzięki temu samemu, mają czar nieprzeparty.

Właściwości te występują już po części w jego pierwszych próbach, doszłych do naszych czasów, a które się ukazały w r. 1769 p. t. „Nowe pieśni, pod muzykę podłożone przez Bernarda Teodora Breitkopfa"; Goethe w zbiorowych swych dziełach niektóre z nich zupełnie pominął, inne zmienił, inne znów pozostawił bez zmiany. Rosenkranz niektórym z nich zarzuca, że tchną pewną niemiłą przedwczesną dojrzałością, lecz zarzut ten, słuszny zresztą, spotyka właśnie pieśni, pominięte następnie przez Goethego. Trudno również przemilczeć, że w znacznej części przypominają one wcześniejszy rodzaj pieśni z XVIII w., są bowiem przeważnie oparte na refleksyi. Lecz już i w niektórych, jak np. w „pieśni weselnej", którą wcielił następnie do zbioru dzieł p. t. „Noc poślubna", znajdujemy już wszystkie znamiona Goethego. Pieśni te wyróżniają się zresztą, z wielką dla siebie korzyścią, śród innych współczesnych tem, że autor wykluczył z nich wszelką obczyznę i uczoność, któremi naówczas w poezyi powszechnie pyszniono się i popisywano.

Jak zresztą na cały jego kierunek i twórczość poetycką, tak i na talent liryczny, znaczny wpływ wywarł pobyt poety w Strassburgu i obcowanie z Herderem. Odtąd wyzwolił się raz na zawsze z pod wszelkich obcych wpływów i wstąpił na drogę, na której nie-

miecka liryka dzięki niemu tyle pysznego kwiecia zebrała. Wziął też i formę z pieśni ludowej, oddawna zapomnianej i wzgardzonej przez wykształcone sfery, i wypowiedział najgłębsze uczucia, duszą jego wstrząsające, z młodzieńczą świeżością i prawdą, które wzorowi swemu zawdzięczał, jak to widzimy w wierszach „Wieczorna pieśń myśliwego" i „Ocalenie"; że zaś już wtedy dążył nieprzeparcie do odtwarzania przyrody w swych poezyach, dowodzi tego piękny jego wiersz „Pieśń wieczorna artysty". Wprawdzie z czasem ludowy pierwiastek w formie jego utworów coraz bardziej zanikać począł, lecz i śród późniejszych jego pieśni spotykamy niejedną, która zdaje nam się być pieśnią ludową, tak np. „Skarga pasterza owiec", „Pociecha w łzach" i w. in.

Goethe powtarzał niejednokrotnie, że wszystkie jego poezye powstały bezpośrednio pod wpływem okoliczności i stosunków, w jakich żył; choćby tego nie był powiedział wyraźnie, musielibyśmy to zaznaczyć, jako charakterystyczny rys jego pieśni, ponieważ tem tylko tłómaczy się ich prawda objektywna, ich chwytająca za serce bezpośredniość. To też nawet wiersze, pozbawione ogólniejszego znaczenia, jak np. „Szczęśliwi małżonkowie", otrzymują tym sposobem ogólno-ludzkie piętno, dzięki któremu chętnie poświęcamy uwagę naszą roztrząsanemu w nich przedmiotowi.

Ilość pieśni Goethego tak jest wielką, treść ich, w kształt poetycki ujęta, tak bogata i różnorodna, że tylko praca, specyalnie poświęcona lirycznej jego twórczości, mogłaby wszystkie jej strony wyświetlić. Jakież bogactwo i rozmaitość spotykamy w jego poezyach miłosnych, w których dzwonią wszystkie struny uczucia, poczynając od żartobliwéj miłostki aż do wyrazu porywającéj namiętności, w których zawsze z nieprzepartą siłą i urokiem przemawia czyste i prawdziwe uczucie, czy to kiedy kreśli szczęście kochającego serca, dla którego nawet w oddaleniu blizką jest ukochana, czy też kiedy maluje siłę wspomnień znikłego szczęścia młodzieńczej miłości. Jakżebyśmy oddać mogli wszystkie odcienie, leżące pomiędzy tym krańcowymi punktami, kiedy z miłosnych poezyi Goethego dałby się ułożyć cały, bogaty w treść romans, któryby może nawet i objąć nie mógł wszystkiego tego, co się w owych poezyach przesuwa przed naszemi oczami w przedziwnej prawdzie i rozmaitości. Podobną różnorodnością odznaczają się i jego „Pieśni towarzyskie", w których się naprzemiany wypowiada to śmiała, lekkomyślna, młodzieńcza swawola, chętnie szukająca oparcia na jędrnym ludowym dowcipie, to znów poważny pogląd na świat i życie. A przytem co za rozmaitość treści, dla której poeta zawsze znaleźć umie jedyny

odpowiedni ton, tak że nas poprostu jakaś moc czarowna otacza kreślonymi przez niego obrazami! Musielibyśmy jednak wszystkie te pieśni nazwać i przytoczyć, chcąc wykazać całą ich piękność, głębokość, świeżość, całą ich poetyczność. Musimy się też ograniczyć do kilku uwag o zbiorze, wydanym przez Goethego p. t. „Zachodnio-wschodni dywan". W r. 1813 pobudzony dokonanymi przez Hammera przekładami z Hafiza pracował nad nim Goethe z wielkiem zamiłowaniem przez lat parę. Pomyślany zupełnie w duchu wschodnim, tak, że się każdy wiersz stosuje do obyczajów, poezyi i religii Wschodu, nie czyni wszakże „Dywan" ten, z wyjątkiem paru pieśni, bynajmniej wrażenia cudzoziemczyzny, jak to ma miejsce ze wschodniemi poezyami późniejszych poetów, ponieważ tak szczęśliwie zespala pogląd dalekiego wschodu z poglądami zachodnimi, że nie wywierają one wrażenia sztucznie złączonych. Powiedzielibyśmy, że Goethe przebudził na nowo do życia z dawna drzemiące u ludu niemieckiego wschodnie elementy i tylko zapożyczył od poetów wschodnich takich barw, jakie są i niemieckim właściwe. Z dwunastu ksiąg, na które „Dywan" się rozpada, najbardziej doskonałą jest księga „Zulejki"; godną jest uwagi ta tkliwość i namiętność, z jaką w tak późnych latach Goethe umiał jeszcze miłość malować. A jednak nie wiele z tych poezyi poszczycić się może tym tajemniczym urokiem, który nas w jego wcześniejszych pieśniach tak nieprzeparcie porywa; aczkolwiek bowiem posiadają wszystko, co poezya i sztuka dać może, czujemy wszakże, że nie są one krwią z jego krwi i kością z jego kości, jak to sam o Goetzu powiedział. Nie wypłynęły one z głębi jego duszy, lecz, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, powstały z pobudek zewnętrznych; rozumiemy też dobrze, dla czego Goethe mógł potem powiedzieć, że pieśni z „Dywanu" nie mają już z nim nic wspólnego, że podobnież, jak i ich oryentalizm, tak i namiętność zamarły dla niego i że są dla niego tem, czem dla węża skóra, porzucona przy drodze.

Jak w pieśniach, z których każda sama w sobie melodyę nosi i ze względu na swą prostotę, podobnie jak pieśń ludowa, najsilniejsze wywiera wrażenie, wielkim jest Goethe i w elegiach, z których każda jest skończonem arcydziełem. Założenie i wykonanie, myśl i język, wiersz i obrazowanie, całość i pojedyncze szczegóły — wszystko tam jest zarówno doskonałe; wszędzie starożytna forma zespala się szczęśliwie ze współczesnem życiem w jedną doskonałą, organiczną całość, i stosunki współczesne dzięki temu samemu otrzymują podnioślejszy nastrój, że tchnie z nich duch starożytności, nigdzie bynajmniej nie mrocząc istoty nowożytnego świata. W tem

przejęciu starożytnego ducha znajdujemy tę samą wielkość, co w „Dywanie”, z tą różnicą, że elegie nie powstały, jak on, z pobudek zewnętrznych, tylko istotnie stanowią krew z krwi poety. Śród nich „Rzymskie elegie” nie ze względu na doskonałość (bo cóż może być wspanialszego, niż „Alexys i Dora”, „Nowy Pauzias“ i w. in.), lecz ze względu na objętość zajmują pierwsze miejsce, ponieważ dwadzieścia części, z których się składają, stanowi zaokrągloną całość, każda znów poszczególna część własnem tchnie życiem, każda bowiem stanowi doskonały obraz pewnej sytuacyi, tak jasno i wyraziście oddany, że się, jak to zwykle ma miejsce u Goethego, wobec rzeczy samej, zapomina o artyście. „Rzymskie elegie” spotykały się z licznymi zarzutami ze strony surowej moralności, i niejednokrotnie usiłowano je zestawiać z pospolitymi wytworami drugiej poetyckiéj szkoły szląskiej. Jakaż jednak olbrzymia różnica zachodzi pomiędzy nią a Goethem. Gdy u Szlązaków wszystko opiera się na pospolitéj zmysłowości, natchnieniem poety jest szczera rozkosz, widokiem piękna spowodowana; kiedy tam wszystko w brudzie się tarza, u Goethego panuje najwyższa subtelność, i nawet najdrażliwsze sprawy są traktowane z wdziękiem, smakiem i wytwornością.

Z pozostałych elegii wymienimy tu tylko jedną—„Amyntas”, ponieważ zdaje nam się, że jest ona mniej cenioną, niż na to zasługuje. Już sama myśl poświęcenia się w miłości jest podniosłą i w dalszym jéj rozwoju, w którym dusza i zmysły ściśle się splatają, jest to utwór niepospolitej piękności poetyckiej.

W inny sposób opiera się poeta na starożytności w swych „hymnach”, lecz i tu z tą samą samoistnością, którą w elegiach podziwiamy. Prostota, z powagą połączona, szczery a zarazem wzniosły, miejscami dytyrambowego polotu sięgający ton, odznaczający się najwyższą dźwięcznością rytm antyczny, tak, że się braku rymów bynajmniéj nie uczuwa — wszystko to przypomina nam najdoskonalsze wytwory liryki greckiej; a jednak o ileż jest to wszystko inne: występuje tu nawskroś nowożytny pogląd na świat i cała pełnia kultury chrześcijańskiej. Hymny te są tylko owiane poetycznem tchnieniem starożytności; zdaje nam się, że jeden z największych poetów greckich w całej potędze swego talentu przeżył aż do naszych czasów i w dziele tem zespolił w harmonijną i pełną życia całość czarowne nieśmiertelne piękno sztuki greckiej z bogatym dorobkiem chrześcijańskiej kultury, na którą całe wieki się składały. Aczkolwiek jednak na tem wyłącznie polega charakter wszystkich utworów, do tego rodzaju należących: wcześniejszych, w których Goethe raczej przeczuwał i odgadywał ducha starożytności, oraz później-

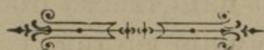
szych, w których występował, opierając się na szerokiej podwalinie swych pracowitych studyów nad sztuką starożytną — jakże bogatym i różnorodnym wydaje nam się szereg tych utworów, jakież mnóstwo idei i poglądów rozwija w nich poeta przed naszemi oczami! I one stanowią doskonałe odbicie jego poetyckiego żywota, i, kiedy w „Prometeuszu" rozpoznajemy całą tytaniczną wyniosłość jego młodości, w „Granicach ludzkości", w „Ganimedzie" i we wspaniałym hymnie „Boskość" występuje, jak to zauważył Schäfer w swym żywocie Goethego, „uczucie pokory i świadomego granic bytu oddania się wieczności i bóstwu, rządzącego prawami przyrody i ludzkimi czynami, ku któremu człowiek tylko w tem się zbliża, że tworzy dzieła pożyteczne i sprawiedliwe".

Goethe był zbyt wielkim artystą na to, ażeby zajmować się igraszkami romantyków i naśladować rozmaite południowe formy poetyckie, które na długo wszystkie inne wyparły. Posługiwał się tylko często włoską oktawą, lecz czynił to z mistrzowstwem, jakie widzimy we wspaniałym wierszu „Poświęcenie", otwierającym zbiór jego pism z roku 1787, a dającym doskonały obraz jego poetyckich działań i dążeń. Znacznie późniéj zwrócił się Goethe do sonetu, do którego przez długi czas nie mógł w sobie niechęci przezwyciężyć, ponieważ, jak sam powiada w jednym z sonetów, formę tę uważał za szranki zbyt ograniczone, ażeby w nich się swobodnie można było poruszać. Jednak źródło tej niechęci leżało może raczej w tem, że nie chciał używaniem tej południowej formy wpływać na jej rozpowszechnienie i że stronieniem od niej pragnął zapobiedz jej nadużyciu. Kiedy wszakże ową niechęć przezwyciężył, stworzył szereg sonetów, należących do najlepszych, jakimi szczyci się poezya niemiecka... sonetów, w których, jak sam w jednym z nich słusznie powiada, natura jaknajściślej zlewa się ze sztuką; dał w nim tem samem doskonały obraz poetyckiej swej twórczości.

K.



Mechanika społeczna*)



Teorya rodziny i własności.

I.

Niechaj nam wolno będzie w formie wstępu powiedzieć słów kilka o mechanice wogóle. Ostatnimi czasy przeciw tej nauce wymierzone zostały liczne pociski krytyczne, które, zdaniem naszem, bynajmniej jej nie nadwyrężają. Wszyscy bowiem krytycy ostatecznie się zgadzają, iż mechanika jest swego rodzaju logiką — i to najdoskonalszą logiką, jaka do układów zastosowaną być może. Mechanika pozwala nam ujmować związki, istniejące między faktami, wprowadza je w porządek, w syntezę, ale przez to bynajmniej charakteru samego faktów ani ich zawartości empirycznej nie zmienia. Wyobraźmy sobie aptekę: flakony ustawione są w niej w pewien sposób logiczny, możnaby je ustawić jeszcze na dziesięć

---

*) Por. poprzednie nasze prace o „Mechanice społecznej". Ateneum, grupzień 1897, kwiecień 1898, luty 1899, maj 1899.

innych sposobów tegoż rodzaju, i przez to zawartość flakonów nie zmieniłaby się. Możnaby wreszcie ustawić te flakony bez żadnego ładu i porządku, i wówczas nicby w nich się nie zmieniło, tylko aptekarz nie byłby wstanie niczego znaleźć.

Otóż mechanika gra rolę właśnie ładu, porządku, wprowadzonego do zjawisk i niczego więcej. Jestto, jak słusznie Mach [1]) powiada, pewnego rodzaju ekonomia naukowa, która pozwala obejmować wielkie obszary zjawisk jednym rzutem i zapewnia oszczędność pracy, pamięci, wysłowienia. Oczywista rzecz, iż ta ekonomia naukowa wymaga na każdym kroku wprowadzenia etykiet, imion, nazw ogólnych, które istoty faktów nie zmieniają, lecz pozwalają właśni ustanawiać je w należytym, jaknajbardziej ekonomicznym porządku.

Możemy inaczej jeszcze myśl naszą uwidocznić. Mechanika jest planem i rusztowaniem, których używamy, chcąc wybudować jakiś gmach nauki. Gdy gmach jest skończony, możemy rusztowanie rozwalić i plan schować, gdyż wówczas budowa sama już się trzyma.

W takiem właśnie znaczeniu można zastosowywać mechanikę do wszelkiej dziedziny wiedzy. Czy ciążenie kosmiczne istnieje w rzeczywistości, czy nie, to jest nam rzeczą obojętną — sam Newton powiada tylko, iż rzeczy odbywają się tak, j a k g d y b y o n o i s t n i a ł o — dość, że ta abstrakcya pozwala nam krótko, jasno i ekonomicznie ująć całą dziedzinę odnośnych objawów i zastosować do nich pomiary ilościowe. Tak samo jest nam na razie rzeczą obojętną, czy ciążenie między istotami tegoż gatunku istnieje faktycznie, czy nie, przyjmujemy tę abstrakcyę — i wogóle całą teoryę energii — gdyż ona pozwala nam wprowadzić ład logiczny w zjawiska społeczne i zastosowywać do nich pomiary ilościowe [2]). Uznajemy tylko fakty, ale fakty same jeszcze nauki nie stanowią, muszą być uporządkowane, wprowadzone w system, pozwalający je mierzyć. Otóż system ten w socyologii nie może być dany przez logikę zwykłą, lecz tylko przez mechanikę.

Logika zwykła operuje dotychczas naiwnemi kategoryami przyczyny i skutku, prowadzącemi do różnych teoryi, opartych na wierze w „główne czynniki rozwoju": umysłowy (Comte), ekonomiczny (Marx), moralny (de Roberty) i t. d. Otóż metoda ta oczy-

---

[1]) Dr Mach: „Die Prinzipien der Waermelehre", Lipsk 1896.

[2]) Por. „Energię społeczną" Ateneum, Maj 1899.

wiście nie jest naukową. Wszelki rozwój jest procesem przekształcenia energii, do którego powyższe kategorye zastosowane być nie mogą. Probowano także zastosować do społeczeństw logikę biologiczną, utożsamiając je z organizmami, ale był to sposób postępowania zbyt specyalny — organizmy bowiem nie wyczerpują całej natury, tymczasem należy mieć logikę najogólniejszą, któraby mogła być zastosowaną do wszelkich układów. Wreszcie analogie biologiczne dotychczas nie doprowadziły i doprowadzić nie mogły do żadnych pomiarów ilościowych, pozostawały więc całkiem platoniczne.

Co się tyczy materyalistów ekonomicznych lub historycznych czyli marxistów, to większość ich sama przyznaje, iż najsłabszą stroną ich teoryi jest właśnie metoda logiczna, której używają, oparta w zupełności na metafizyce Hegla, operując dotychczas przestarzałemi kategoryami tezy, antytezy i syntezy. Zresztą błędna w zasadzie teorya ekonomiczna Marxa [1]), sprowadzająca wartość jedynie do pracy średniej wyrobnika, oddzielająca niepotrzebnie wartość użytkową od zamiennej i odmawiająca wartości wszystkiemu, co pracy w sobie nie zawiera (zabawne są przytem wyjaśnienia Marxa np. z powodu prostytucyi, iż są rzeczy, mające tylko wartość „fikcyjną”, „wyobrażalną”) odcięła marxistom wszelką możność zastosowania pomiarów do większości dóbr niematerealnych i do wartości człowieka, jako wytworu naturalnego, z istniejącemi w nim różnicami rasowemi (bo takowy według Marxa wartości nie posiada).

Tymczasem ekonomia matematyczna [2]), rozszerzona przez nas do systemu mechaniki społecznej, operując pojęciami energii potencyalnej i kinetycznej, pozwala ująć wszystkie procesy społeczne w jeden system i zastosowywać do nich — we wszystkich bez wyjątku objawach, bądź materyalnych, bądź duchownych — pomiary ilościowe.

Możnaby na to zarzucić, iż ta logika wyrachowania mogłaby co najdalej być zastosowaną do ludzi ukształconych, którzy na rachunku ekonomicznym mniej więcej opierają swe postępowanie, ale że ona jest nieodpowiednią dla ludzi pierwotnych, dla chłopów chociażby, żyjących nie wyrachowaniem, lecz uczuciem, przesądami i t. d. Zarzut ten dowodziłby tylko zupełnego niepojmowania naszego stanowiska. Dla mnie uczucia, zabobony, wierzenia i t. p. są objawami energii życiowej, do której zastosowuję ogólne równania

---

[1]) Por. naszą krytykę III-go tomu „Kapitału“. Ateneum 1898.

[2]) Por. „System ekonomii matematycznej“. Ateneum, grudzień 1997.

ruchu Lagrange'a, zupełnie tak samo, jak to czyni Boltzman względem elektryczności[1]). Okazuje się, iż elektryczność, siła nieświadoma, w ruchach swych postępuje tak, iż rezultaty tego postępowania w zupełności są zgodne z najściślejszym naszym świadomym rachunkiem — i na tem właśnie opiera się możność zastosowania pomiarów ilościowych do elektryczności. Absolutnie toż samo można powiedzieć o energii biologicznej i o takich jej objawach, jak uczucia, zabobony, wierzenia, przesądy i t. p. W nich wszystkich zawiera się pewna ukryta logika, która jest toż-samą z logiką mechaniki, z logiką wyrachowania — i dlatego właśnie one mierzone być mogą.

Trzeba więc sobie raz na zawsze powiedzieć, iż w świecie całym, materyalnym i duchowym, wszystko oparte jest na rachunku najściślejszym, i, gdyby jakiś idealny rachmistrz mógł sprawdzić ten rachunek we wszystkich jego szczegółach, przekonałby się, iż świat nie może w danej chwili być innym, aniżeli jakim jest, a to dlatego, że wszystko w świecie oparte jest na zasadzie najmniejszego wysiłku, którą na każdym kroku życia sprawdzić możemy: gdy woda stacza się po pochyłości, wybiera miejsca wyżłobione, gdzie może to czynić z najmniejszym wysiłkiem. Toż samo dzieje się ze wszystkiemi ciałami, ożywionemi, lub nie: wszystkie znajdują się wciąż w ruchu i w ruchu tym dążą w stronę najmniejszego oporu, gdzie zachowują największą swą energię. Ta zasada elementarna, będąca podstawą całej mechaniki, jest zarazem podstawą wszelkiej logiki, wszelkiego wyrachowania. Ponieważ jednak świat jest starszy od człowieka, więc logika i wyrachowanie ludzkie są tylko na równi z instynktami, uczuciami i przesądami, częścią mechaniki. Czyż to wszakże każe przypuszczać pewną świadomą celowość w społeczeństwie ludzkiem? Nie koniecznie. Społeczeństwo jest układem materyalnym, znajdującym się w ruchu, ulegającym tym samym

---

[1]) Niewidzialna energia elektryczności może być doskonale badaną za pomocą metody rzutów uogólnionych Lagrange'a. Porów. Clerk Maxwell, *Electricity and Magnetism* (część IV roz. 5 i 6), a także ostatnie dzieło Boltzmana o elektryczności. Zupełnie w ten sam sposób staramy się postępować względem niewidzialnej energii życiowej. Najlepszem dziełem ogólnem w tych kwestyach est: Watson and Burbury: „*Generalised Coordinates*“. Dodajmy, iż w myśl zasady Lagrange'a, stanowiącej podstawę całej mechaniki, każda cząsteczka najbardziej złożonej całości porusza się w ten sposób, by akumulacya energii ogólnej, stanowiącej summę energii częściowych, istniejących w mechanizmie podczas wszystkich jego stanów, w danym przeciągu czasu, była *maximum*.

prawom ogólnym ruchu, co i wszelkie inne układy materyalne. A ponieważ ruch układu możemy rozłożyć na szereg stanów równowagi, przyczem ciało, znajdujące się w stanie pierwszym, musi się zastosować w ruchu wszystkich swych punktów do przejścia do stanu drugiego, trzeciego i t. d., więc można powiedzieć, iż każdy układ na początku swego rozwoju zawiera już w sobie możliwość ostatniego stanu, do którego w ruchu swym dojść musi—jest więc mechanicznem zastosowaniem teraźniejszości do przyszłości, które możnaby nazwać celowością. Nauka współczesna, jak wiadomo, wyrazu tego już się nie obawia. Zresztą chodzi tu nie o wyrazy, lecz o rzeczy. Mechanika pozwala nam ująć układy społeczne w systematycznym ich rozwoju — zestawiać fakty z warunkami, niezbędnymi do ich wywołania — i zastosowywać do nich pomiary ilościowe, a to jest najważniejszę. Wprawdzie pomiary te znajdują się jeszcze w dzieciństwie, gdyż powinny być rzeczą nie osób, ale instytucyi statystycznych, nam atoli chodzi tu o teoretyczne uzasadnienie ich możliwości i konieczności, o nakreślenie planu do przyszłej nauki społecznej i założenie rusztowania. Z tego, że po wybudowaniu gmachu należy zniszczyć rusztowanie i schować plan, nie wolno wyprowadzać wniosku, iż rusztowanie i plany wogóle są zbyteczne, gdyż w takim razie mieć będziemy nie gmach, lecz kupę surowych materyałów. Niestety, ten dziki przesąd o zbyteczności planów coraz bardziej w naszych czasach się rozpowszechnia. Coraz bardziej panoszy się przesąd, iż ideałem wiedzy jest „opis" — pochlebia to demokratycznej słabości myśli, bo oczywiście opisywać i kompilować z napuszoną pedanteryą może każdy, a zarazem zdobyć sobie tanim kosztem tytuł „poważnego uczonego" — złożyło się na to także, bez wątpienia, i panowanie Bismarkowskiej pięści na to bałwochwalcze schylanie się przed realizmem i faktem.

Po tych wyjaśnieniach wstępnych przejdźmy do właściwego przedmiotu naszej pracy.

Widzieliśmy [1]), iż życie sprowadza się do głodu i miłości, że wszystkie inne potrzeby stanowią tylko części składowe tych dwu zasadniczych i z nich pochodzą. Głód i miłość dążą do swego zaspokojenia przyciąganiem materyi ożywionej i nieożywionej i ich asymilacyą, spożyciem, ku czemu prowadzą, jako środki pomocnicze i pośredniczące wszelkie inne potrzeby. Nie należy więc twierdzić,

---

[1]) Por. „Mechanikę społeczną" Ateneum, kwiecień, 1898 i „Równowagę estetyczną", luty 1899.

iż u podstaw życia społecznego znajduje się reprodukcya życia materyalnego i że na tej podstawie wznosi się nadbudowa idealna, jak to czyni Marx [1]), a w ślad za nim i De Greef [2]), lecz, że życie społeczne nie jest w gruncie niczem innem, jak reprodukcyą gatunków, t. j. przyciąganiem wzajemnem materyi ożywionej i nieożywionej, mającem na celu asymilacyę, prawidłowym cyklem ich obiegu czyli równowagą ruchomą przyciągań materyalnych, przyczem wszystkie potrzeby, prace i instytucye ekonomiczne, polityczne, moralne, prawne, estetyczne, naukowe i t. d. są tylko środkami, za pomocą których ta reprodukcya [3]) jednostek i gatunków się odbywa.

Oto czemu rozpatrujemy całą energię społeczną, jako wydawaną tylko na zaspokojenie tych dwu celów czyli potrzeb zasadniczych, głodu i miłości, rozumiejąc, iż ona przybiera w tem dążeniu wszystkie możliwe formy energii biologicznej, po drodze. Uprościwszy w ten sposób zadanie, bierzemy najprzód dwie osoby albo też dwie grupy, znajdujące się w stosunkach i w walce o zaspokojenie głodu i miłości, o swą reprodukcyę, jako jednostek i jako gatunków, by zobaczyć, w jakich warunkach ogólnych one dopiąć mogą równowagi swych dążeń [4]) t. j., swego trwania osobistego i reprodukcyi gatunkowej i następnie dopiero możemy tę ich energię wziętą *en bloc* rozdzielić według ich coraz specyalniejszego znaczenia, potwierdzonego przez dane statystyczne, pomiędzy potrzeby osobne i po-

---

[1]) Błędem zasadniczym Marxa i jego szkoły jest przytem ta okoliczność' iż upatruje w reprodukcyi życia materyalnego, t. j. środków wytwarzania, techniki, główny motor rozwoju społecznego, gdy, naszem zdaniem, tym motorem jest reprodukcya gatunku, t. j. w ostatecznym rezultacie trwanie keimplasmy (nasienia) — przyczem energia potencyalna biologiczna, w niem zawarta, może pozostawać niezmienną albo też stawać się mniej lub więcej natężoną, co znowu zależy od wytępiania jednych ras przez drugie i od warunków ich krzyżowania. Tu należy szukać istotnych źródeł rozwoju społecznego, które są czysto biologiczne. Co się tyczy rozwoju materyalnego, rozwoju techniki, to on sam oczywiście zależy od stanów odpowiednich energii biologicznej: nie każde odkrycie może być zrobione przez wszelką rasę. Bogactwo materyalne, jak i niemateryalne, wchodzą tylko w koszta wytwarzania gatunków. Gatunki zaś same rozwijają się samorzutnie w zależności od przyciągań i odpychań, t. j. od walk i związków, które między nimi zależnie od ich energii biologicznej istnieją. Zresztą reprodukcya jednostek jest tylko fazą przejściową i podrzędną reprodukcyi gatunków, od której wszystko zależy.

[2]) De Greef. Introduction à la Sociologie, 2 vol.

[3]) Odżywianie jest asymilacyą, dążącą do reprodukcyi części ciała jednostki, gdy dziedziczność jest asymilacyą, dążącą do reprodukcyi całej jednostki.

[4]) Por. Dodatek do pracy niniejszej p. t. „Równania rodziny i własności"

szczególne. Ale wszystkie te rozpodziały wtórne nie mogą oczywiście zmienić rezultatu ogólnej równowagi społecznej, opartej na badaniu głodu i miłości czyli rodziny i własności, one mogą się tylko doń przystosować, stanowiąc jego części składowe i umieszczając się w określonych granicach struktury ogólnej [1])

Ponieważ wszystkie potrzeby pochodzą, jak widzieliśmy, z głodu i miłości i są ich częściami składowemi, więc cała działalność społeczna ma wciąż za cel zaspokojenie tych dwu potrzeb zasadniczych, a za ich pośrednictwem zapewnienie reprodukcyi jednostek i gatunków. Zaspokojenie tych potrzeb polega na spożyciu, pojętem w sposób najobszerniejszy. Spożycie obejmuje więc nie tylko asymilacyę bezpośrednią pokarmów, ale także tę, która odbywać się będzie systematycznie w przyszłości, to jest własność; do spożycia należy także obcowanie płciowe, które jest także asymilacyą [2]), nie tylko bezpośrednie, każdorazowe, ale odbywające się regularnie systematycznie, t. j. rodzina. Własność i rodzina stanowią więc dwie zasadnicze formy społeczne, które odtwarzają się automatycznie, procesem krystalizacyi, przyciągania, przyswojenia, zależnym od natężenia energii rasowej osób, od ilości mężczyzn i kobiet i pokarmu. Pokażemy w dalszym ciągu [3]), jak się ustanawia równowaga społeczna dla tych popędów zasadniczych. Równowaga ta jest więc teoryą spożycia społecznego. Co się tyczy innych potrzeb, czynności i form społecznych, to one wszystkie bez wyjątku wchodzą do teoryi produkcyi społecznej [4]). A ponieważ produ-

---

[1]) W pracy niniejszej zajmujemy się wyłącznie tą ogólną strukturą społeczną, zależną od stosunków pomiędzy głodem a miłością, wziętemi *en bloc*; co się tyczy dalszych i specyalniejszych ich rozpodziałów, to one stanowić będą przedmiot prac późniejszych.

[2]) Porów. „Energię społeczną“ Ateneum, maj 1899.

[3]) Porów. Dodatek do pracy niniejszej.

[4]) Należy pamiętać, iż spoglądamy na społeczeństwo, jako na instytucyę, mającą na celu produkcyę mniej więcej dresowanej rasy ludzkiej, gdyż człowiek cywilizowany jest dla nauki współczesnej tylko zwierzęciem dresowanem. Ten pogląd, który jedynie pozwala nam odnaleźć logikę w zjawiskach społecznych, pozwala nam zastosować do społeczeństwa zupełnie takąż samą rachunkowość, jaką każdy hodowca bydła zastosowuje do swego zakładu. Oczywiście, iż wszystkie instytucye społeczne, z tego punktu widzenia, wchodzą tylko w koszta produkcyi i dresowania zwierzęcia ludzkiego. Rolę hodowcy społeczeństwa gra zasada najmniejszego wysiłku czyli maksymalnej energii, która jest podstawą całej mechaniki i zarazem postulatem wszelkiego myślenia logicznego. W ten sposób społeczeństwo automatycznie dopina wciąż takichże rezultatów, jakie przy danych warunkach mogłaby dopiąć świadoma planowość.

kcya zastosowana jest do spożycia, przeto ceny, t. j. stopy przekształcenia energii, ustanowione w tej ostatniej, są zasadnicze, a wszelkie inne stopy od nich zależą [1]). Państwo, moralność, sztuka etc. mogą być uważane z jednej strony za dobra niemateryalne, z drugiej za dobra instrumentalne, społeczne, i ich wartość, t. j. ilość energii, którą społeczeństwo na nie wydać może, zastosowuje się wciąż do potrzeb głodu i miłości, a zatem do potrzeby trwania i reprodukcyi jednostek i ras. Do własności i rodziny zastosowują się i z nich pochodzą więc formy ekonomiczne, polityczne i t. d. Dotychczas mieliśmy do czynienia z równowagą społeczną: teorya kapitalizacyi pozwala nam wreszcie wprowadzić pojęcie rozwoju, gdyż w niej mamy do czynienia z energią zaoszczędzoną lub utraconą (+, —). W ten sposób socyologia czysta wchodzi w ekonomię czystą, obszernie pojętą [2]). Istotnie, śród dóbr znajduje się człowiek ze wszystkiemi jego właściwościami: najmując człowieka do pracy, płacimy mu za jego moralność i t. d., za wszystkie właściwości: człowieka niemoralnego nie przyjmujemy nawet do pracy. I, jak w ekonomii cena produktu równa się kosztom wytwarzania, tak samo w socyologii cena produktów gotowych, t. j. jednostek i ras nowowytworzonych równa jest w energii wszystkim wydatkom społecznym. Działalność społeczna (prawo, państwo, estetyka i t. d.) jest więc tylko łożeniem wydatków, mającem na celu produkowanie nowego pokolenia, które odtwarza energię poprzedniego, zwiększoną lub zmniejszoną.

Objaśnijmy wszystko to przykładem. Weźmy osobę rasy określonej, posiadającą w swym organizmie 100 jednostek energii biologicznej. Dla przyciągnięcia pewnej ilości środków utrzymania wbrew naturze i innym ludziom, którzy także chcą nimi owładnąć, musi ona wydać, dajmy na to, 40 jednostek energii. [10 na pracę ręczną (energia ekonomiczna), 5 na odparcie egoizmu innych osób tejże grupy, które chcą tymże pokarmem owładnąć (energia prawna), 5 na obronę przeciw egoizmowi osób z innych grup lub ras wrogich (energia polityczna), 10 jednostek na myśl i przebiegłość, które należy rozwinąć w tej pracy i walce, (energia umysłowa) i 10 jednostek na dobroć i uczciwość, które trzeba przestrzegać,

---

[1]) Wykazanie tej prawdy jest jedną z zasług Walrasa („Element d'économie politique pure" 1896).

[2]) Stąd wypływa możność zastosowania pomiarów ilościowych, pieniężnych do wszystkich zjawisk społecznych.

by wyjść zwycięsko z zadania (energia moralna)] i 60 jednostek pozostałych energii na przyciągnięcie jednej kobiety i utrzymanie jej i jej dzieci, co jest warunkiem niezbędnym zachowania ich przy sobie. Te 60 jednostek będą wydane, dajmy na to, w sposób następujący: mężczyzna musi użyć 10 jednostek swej energii na piękno i przebiegłość płciową (energia estetyczna), 20 na pracę niezbędną dla utrzymania rodziny (energia ekonomiczna), 10 na wychowanie dzieci, 10 na przestrzeganie czystości obyczajów rodzinnych (energia moralna) i 10 pozostałych zamieni się na mistycyzm, jeżeli np. potrzeby płciowe mężczyzny i kobiety nie są dostatecznie w tej organizacyi zaspokojone.

Przykład ten znakomicie uprzytamnia nasz sposób zapatrywania się. Jak każda gwiazda w swym obiegu wraca pod wpływem sił ciążenia wciąż do swego punktu wyjścia, tak samo każdy z nas w swym przebiegu życiowym odtwarza wciąż siebie samego: przyciąganiem pokarmów i przetrawieniem ich odtwarza swe ciało — jak fizyologia nas poucza — co miesiąc lub rok, a przyciąganiem kobiet odtwarza się w przyszłości bardziej odległej, w dzieciach. Można zarzucić, iż, jako jednostka, żaden z nas nie pozostaje z wiekiem niezmienny, iż nasza energia z czasem gaśnie, ale to się dzieje zwykle już po odtworzeniu się w dzieciach. A jeżeli z biegiem czasu rasy gasną, to wszak toż samo powiedzieć można o gwiazdach, a nawet o świecie całym, który W. Thompson porównywa z lampą zapaloną i który dlatego z czasem zgasnąć musi...

W przykładzie powyższym dochód jednostki — odrodzenie siebie samego — jest równy wydatkom w energii. Jeżeli grupa—przy tych warunkach — się składa z 100 mężczyzn i 100 kobiet, to należy pomnożyć wydatki osobiste przez 100, by otrzymać odpowiednie wydatki społeczne, które wcielą się w instytucyach specyalnych. Rzecz pozostaje niezmienna, jeżeli przypuścimy, iż każda jednostka, zachowując całą swą energię, specyalizuje się w jednym jakimś kierunku [1]) i że wymienia swe produkty i usługi z innemi osobami, dążąc wciąż do zachowania swego *maximum* pierwotnego energii. Równowaga społeczna może się wyrazić w tych warunkach za pomocą monogamii i drobnej własności prywatnej.

Przypuśćmy teraz, iż grupa powyższa znajduje się w warunkach naturalnych tak niedogodnych, że mężczyzna na swoje własne, najskromniejsze utrzymanie musi wydać 70 lub 80 jednostek energii,

---

[2]) Objaśnienie podziału pracy i specyalizacyi z punktu widzenia mechaniki podamy w innej pracy. Tu przyjmujemy je za fakt istniejący.

a ponieważ każdy według założenia posiada 100, więc tylko troje, czworo lub więcej mężczyzn będzie posiadało dość energii, by przyciągnąć i utrzymać razem jedną kobietę. W takich warunkach z łatwością może się ustanowić nieład płciowy, jeżeli natura sama rasy nie staje temu na przeszkodzie [1]). Ten stan rzeczy mógł mieć miejsce u niektórych ras ludzkości pierwotnej, gdzie dzieci płci żeńskiej były zabijane dla braku środków utrzymania, i odtwarza się poczęści w naszych miastach, wśród warstw uboższych, gdzie na kilku mężczyzn, nie mogących utrzymać rodziny i skazanych przeto na korzystanie z prostytucyi, przypada jedna kobieta, którą wspólnemi siłami utrzymują.

Dotychczas mogło się wydawać, iż czynnikiem, decydującym w rozwoju rodziny, są materyalne środki utrzymania. Ale tak bynajmniej nie jest, bo powróćmy do poprzedniego przykładu grupy monogamicznej o energii takiej, iż dochód ściśle równy jest wydatkom.

Przypuśćmy teraz, iż grupa ta składa się wskutek podboju — nie z jednej rasy, lecz z dwu o różnem natężeniu energii biologicznej, przyczem niższa zawiera 90 osób, wyższa 10. Jeżeli natężenie energii życiowej tej ostatniej rasy jest kilkakroć większe, niż pierwszej, to ogólna suma pokarmów i kobiet, którą układ posiada (po 100 jednostek) podzieli się między mężczyznami odpowiednio do ich energii: wyższa rasa zagarnie 40 lub 50 kobiet i odpowiednią ilość pokarmów, zaś 90 mężczyzn rasy niższej zachowa tylko 60 lub 50 kobiet i zmniejszoną odpowiednio ilość pokarmów, t. j. skazaną zostanie na bezład płciowy i na komunizm własnościowy w większym lub mniejszym stopniu, za pomocą którego starać się będą przeciwdziałać nędzy, gdy 10 osób rasy wyższej żyć będzie w poligamii i w stosunkach własności prywatnej.

Zauważmy, że ten podział bogactw i kobiet pomiędzy mężczyznami różnej rasy odbywa się procesem także automatycznym, jak proces fizyczny krystalizacyi. Jednem słowem, formy własności i rodziny przedstawiają pierwsze i zasadnicze krystalizacye społeczne, gdyż wypływają bezpośrednio z własności życia, które jest przyswojeniem materyi ożywionej i nieożywionej za pomocą głodu i miłości. Formy rodziny i własności, razem wzięte, zależą od stosunków ras, t. j. od natężenia ich energii biologicznej i od ilości pokarmu (która jest funkcyą środowiska naturalnego i techniki, ta ostat-

---

[1]) O tych przeszkodach mówimy pod koniec niniejszego rozdziału.

nia jednak zależy głównie od rasy: technika jest tylko zbiorem kanałów, które rasy mniej lub więcej elastyczne przekładają sobie dla łatwiejszego przyciągania materyi ze świata zewnętrznego i jej assymilacyi.

Powyższe formy społeczne, gdzie u dołu społeczeństwa istnieją resztki bezładu płciowego i komaunizmu, a u góry poligamia, znajdujemy poczęści u niektórych plemion australijskich. Formy te były prawdopodobnie najbardziej rozpowszechnione w czasach przedhistorycznych, będąc zawarunkowane z jednej strony ubóstwem, a z drugiej — wielkiemi różnicami w natężeniu energii biologicznej ras każdego układu.

W społeczeństwach historycznych zaszła różnica dwojakiego rodzaju: z jednej strony zmniejszyła się różnica potencyału biologicznego — gdyż dobory społeczne wytępiały i rasy najniższe i te, które swą zbytnią wyższością nie były zastosowane do potrzeb ewolucyi socyalnej [1]) — a z drugiej strony miały miejsce postępy ciągłe techniki, a co zatem idzie i bogactw, wytwarzanych z wysiłkiem coraz mniejszym. W ten sposób rasy niższe, które niegdyś skazane były na bezład i komunizm, z czasem doprowadzone zostały do punktu, gdzie monogamia i własność prywatna stały się dla nich możliwemi [2]). Co się tyczy przedstawicieli ras wyższych, praktykują oni i w czasach historycznych poligamię — nawet dotychczas w sposób mniej więcej zamaskowany, — tylko, zamiast utrzymywać swe żony do końca ich życia, jak to się u bogatych Turków dzieje, rzucają je na pastwę prostytucyi, z której korzystają mężczyźni ubodzy, nie będący w stanie utrzymać rodziny.

Widzimy więc w rezultacie, iż dotychczas istnieją pod najrozmaitszem przykryciem też same zasadnicze formy rodziny i własności, które istniały w ludzkości pierwotnej i które spotykamy we wszystkich okresach historycznych: w rzeczywistości zawsze dzieje się tak, iż rasy wyższe pod względem energii biologicznej zagarniają więcej własności (w sposób dozwolony lub nie) i uprawiają poligamię (otwarcie lub skrycie), rasy, średnio uposażone w zdolności, zadawalać się muszą monogamią i średnią lub drobną własnością, i wreszcie rasy niższe, skazane na wytępienie uciekają się do solidarności społecznej, która w naszych czasach przybiera formy dobroczynności publicznej (mnisi, kalecy, starce i t. d.), a niegdyś

---

[1]) Por. nasze „Dobory społeczne". Dodatek do „Przeglądu Tygodniowego" 1897.

[2]) Bliżej o tem mówimy pod koniec niniejszego rozdziału.

mogła być komunizmem, i do prostytucyi (pierwotnego bezładu), będącej właśnie najpotężniejszym środkiem ich eliminacyi. Z biegiem czasu tylko stosunek ilościowy tych form się zmienia, ale zasadniczo zostają one niezmiennemi. I właśnie trwałość, z jaką wciąż się odradzają, dowodzi, iż w nich, t. j. we własności i rodzinie mamy zasadnicze formy społeczne.

Siły przyciągania i siły odpychania istnieją nie tylko w świecie fizycznym, ale także w świecie społeczno-ludzkim. Powiemy więcej nawet: jeżeli w pierwszym są tylko hypotezą, w drugim mamy prawo uważać je za fakty doświadczenia bezpośredniego—działamy wszyscy pod wpływem egoizmu i altruizmu, złości i dobroci. Różne gazy wymagają warunków nie jednakowych, by się zamienić na ciała ciekłe i twarde, t. j. by siły zwartości zdobyły przewagę nad siłami odporności cząsteczek. Tak samo różne rasy wymagają niejednakowych warunków, by ich uczucia odpychania zamieniły się na uczucia sympatyi. Rasy różnią się pomiędzy sobą natężeniem swego egoizmu i altruizmu, które nie są rzeczami odrębnemi, lecz dwoma stanami tej samej energii biologicznej. „Dobro", „obojętność" i „zło", jako stany ludzkiego organizmu, różnią się między sobą mniej więcej, niż lód, woda i para wodna: ze zmianą warunków (ciśnienia, temperatury) toż samo ciało przybiera trzy stany rozmaite, gdzie bądź siły zwartości, bądź odpychania mają przewagę, bądź też się równoważą.

Różne ciała rozmaicie pod tym względem się zachowują: mają punkty zamarzania, skraplania i kipienia rozmaicie położone. Woda już zamarza (rozwija przewagę sił przyciągania) w warunkach, gdzie alkohol pozostaje jeszcze cieczą (zachowuje równowagę sił przyciągania i odpychania). Zupełnie toż samo można powiedzieć o rasach: niektóre z nich są już „dobre", w warunkach, w których inne są jeszcze „obojętne" lub „złe". Z tą różnicą, że, jeżeli stany energii fizycznej zależą od ciśnienia i temperatury, to stany energii biologicznej zależą od warunków bardziej złożonych, które jednak mogą być objęte jednym: ilością pokarmów. Istotnie, widzieliśmy[1]), iż wszystkie objawy życiowe, a więc i uczucia sympatyi lub antypatyi, przejawiają się tylko, jako równoznaczniki odpowiednich ilości pokarmów, a raczej energii chemicznej w nich zawartej. Co się tyczy innych warunków zewnętrznych, jak temperatura, klimat i t. d., to ich działalność nieodpowiednia dla człowieka, może teoretycznie być zrównoważona odpowiednim nakładem pracy, t. j. znów pokarmów.

---

[1]) Por. „Energię społeczną", Ateneum, maj 1890.

Tylko — i to jest punkt najważniejszy — energia biologiczna różnych ras rozmaicie się zachowuje przy tej samej ilości pokarmów. Doświadczenie pokazuje, iż rasy wyższe zaczynają być „dobremi" (tj. siły zwartości zaczynają w nich przeważać [1]) dopiero przy warunkach (ilościach pokarmu) daleko lepszych, niż rasy niższe. Porównajmy Anglika i Negra: przy 30 sh. miesięcznego utrzymania pierwszy stanie się rozbójnikiem, drugi będzie uczciwym obywatelem.

Właściwie mówiąc, niema więc ras absolutnie złych ani dobrych. Każda mogłaby się stać dobrą przy nakładzie odpowiednim wydatków. Możnaby rozwinąć siły zwartości społecznej w rasach przeciw-społecznych, występnych, ale to wymagałoby wydatków tak wielkich, iż społeczeństwo woli uwolnić się od nich, gdyż ma pod ręką inne materyały antropologiczne, elastyczniejsze i które przy mniejszym koszcie stają się dobre dla budowy społecznej. Społełeczeństwo używa więc nieświadomie pewnych tablic elastyczności moralnej względem swych ras, zupełnie tak samo, jak to czyni świadomie architekt względem materyałów, używanych do budowy domów.

Należy więc wciąż mieć na uwadze rasy i ilość pokarmów (t. j. warunki otoczenia naturalnego i sztucznego). Przyciąganie między płciami a także między ludźmi i materyą daje automatycznie procesem krystalizacyi społecznej zawsze pewną formę rodziny i własności, przyczem wszystkie uczucia ludzkie i instytucye społeczne są tylko środkami, za pomocą których ta krystalizacya się odbywa (są to fazy jej poprzedzające, jak ruch lub ciepło — w krystalizacyi fizycznej). Uczucia i instytucye zastosowują się do potrzeb tych zasadniczych krystalizacyi społecznych, charakteru czysto materyalnego. Należy jednak pamiętać, iż krystalizacya zasadnicza a zatem i wszystkie uczucia i instytucye pochodne zależą nie tylko od ilości pokarmów, jak tego chcą materyaliści ekonomiczni, t. zw. marxiści, i nie tylko od rasy, jak tego chcą antroposocyologowie, ale od obudwu czynników razem wziętych. To może dać miejsce nieskończonej ilości kombinacyi, które wszystkie objęte są naszemi równaniami [1]). Przedstawiliśmy już niektóre ich illustracye. Teraz, mając się zająć krytyką istniejących teoryi rodziny i własności, przedstawimy sprawę z innego jeszcze punktu widzenia. Pamiętajmy jednak wciąż, iż, jak para przy pewnych warunkach staje się lodem, tak samo uczucia egoizmu, zazdrości, wyłączności zamieniają się w uczucia sympatyi, tolerancyi wzajemnej. Wszak szlachta, zna-

[1]) Por. Dodatek do pracy niniejszej.

na ze swej dumy i indywidualizmu nieugiętego w stosunkach względem niższych, doszła do tego, iż sformułowała przysłowie: „Krew królewska nie kazi”. Uczucia ludzkie zmieniają się więc wraz ze zmianą warunków zewnętrznych, ale zarazem i stosunków rasowych odnośnych osób, natężenia ich energii biologicznej.

Weźmy szereg ras ludzkich, poczynając od najniższych, aż do najwyższych. Oczywiście, iż punkty na hypotetycznym „termometrze rasowym”, gdzie siły zwartości zaczynają przeważać nad siłami rozbieżności, są rozmaicie dla tych ras położone. Przypuśćmy, iż punkty te są położone tem niżej (w zależności nie od temperatury, lecz od ilości pokarmów), im rasa jest wyższą, gdyż doświadczenie pokazuje, iż wilki np. zaczynają rozwijać solidarność tylko przy warunkach zewnętrznych, daleko gorszych, niż np. owce. Należy więc rozróżnić kilka wypadków typowych:

1) Brak zupełny techniki, towarzyszący pierwocinom ludzkości, a zatem ubóstwo pod względem pokarmów: wówczas w niższych rasach siły zwartości rozwijać się będą potężnie i dochodzić aż do bezładu płciowego i komunizmu własnościowego, gdy rasy wyższe mogą żyć w indywidualizmie własnościowym i w poligamii.

2) Technika się rozwija, ilość pokarmów rośnie, stosunki rasowe pozostają niezmienne. Wówczas na całej linii siły rozbieżne się rozwijają, coraz więcej ras przechodzić będzie w ustrój indywidualistyczny i tylko najniższe pozostawać będą w komunizmie rodzinnym i własnościowym.

3) Nareszcie sama natura ras ulega zmianie bądź drogą wytępienia niektórych, bądź też drogą krzyżowań, i znowu zasadnicze krystalizacye społeczne ulegną odpowiednim zmianom.

4) Nareszcie działać będą jednocześnie przyczyny 2) i 3), które mogą iść w kierunkach sprzecznych, jedne wznosząc dane rasy po nad ich punkty „obojętności”, drugie, pozostawiając je poniżej. Każdy stan społeczny jest rezultatem wszystkich tych działań i wszelkie proste rozstrzyganie nie ma wartości naukowej.

II.

Wszelka klasyfikacya form rodziny, która nie opiera się jednocześnie i na rasie (natężeniu energii biologicznej), i na ilości pokarmów, musi być błędną. Tak np. Mac-Lennan i Bachofen [1]), a wślad

---

[1]) John Fergusson Mac-Lennan: „Primitive Marriage“ 1865.
„ „Studies in ancient history“ 1876.
John Jak. Bachofen: „Das Muterrecht“ (1861) i „Antiquarische Briefe“ 2 v.

za nimi i Morgan[1]), przyjmują na punkt wyjścia w ewolucyi rodziny bezładną hordę, nie znającą pod względem srosunków płciowych żadnych ograniczeń wieku, pokrewieństwa i t. d., tak, że każdy mężczyzna należał wrzekomo do każdej kobiety i każda kobieta do każdego mężczyzny. Otóż taki stan amorfny byłby możliwy tylko w przypuszczeniu, 1) iż horda była rasowo zupełnie jednorodną, co mogłoby wywołać jednakową krystalizacyę w całej jej masie, i 2) iż ilość pokarmów była tak szczupła, iż utrzymywała wszystkie hordy bez wyjątku, pomimo nawet ich różnic rasowych, poniżej punktu ich „obojętności” uczuciowej, t. j. w stanie, gdzie siły przyciągania przeważają nad siłami odpychania.

Nie przeczymy, iż stan taki mógł tu i owdzie się urzeczywistnić, ale oczywista rzecz, iż nie był on ogólnym, a według wszelkiego prawdopodobieństwa nie był nawet przeważający.

A mianowicie, jezeli weźmiemy państwo zwierzęce wogóle, to Letourneau [2]) nam pokazuje, iż stosunki płciowe zupełnie bezładne spotykają się tylko u gatunków najniższych. U ssaków już znajdujemy wielką rozmaitość, bezład, związki grupowe, monogamię i poligamię, nie spotykamy tylko jednej poliandryi. Nareszcie pod względem najbliższych poprzedników człowieka, t. j. czterech rodzajów małp antropoidalnych, można powiedzieć, iż żyją one bądź w monogamii, bądź też w poligamii.

Ponieważ rodzaj ludzki składa się z ras, nieraz bardziej odległych od siebie, niż powyższe gatunki małp i innych ssaków, i ponieważ rasy te mieszkały w warunkach nader rozmaitych pod względem pokarmu, wolno przypuszczać, iż ludzkość pierwotna bynajmniej nie przedstawiała jednej tylko formy rodziny — bezładnej hordy, stadeł monogamicznych lub grup poligamicznych, lecz wszystkie te formy razem wzięte.

Tylko, jeżeli człowiek pojawił się na powierzchni ziemi w epoce trzeciorzędowej, jak tego chcą niektórzy autorowie, w klimacie gorącym i w warunkach, podobnych do tych, w których żyją dotychczas małpy antropoidalne, należałoby przypuszczać, iż bezład płciowy wcale się nie spotykał albo też sporadycznie i że formy normalne rodziny były monogamia i poligamia.

„Pośród czwororękich, obecnie istniejących — powiada Darwin [3])—o ile znamy zwyczaje ich życia, samce niektórych gatunków

---

[1]) Lewis H. Morgan: „Ancient Society“.

[2]) Letourneau: „Evolution du mariage et de la famille“.

[3]) Darwin: „The Descent of Man“.

żyją monogamicznie z samicami, ale tylko w ciągu pewnej części roku; inne gatunki (czwororękie indyjskie i amerykańskie) są monogamiczne w znaczeniu ściślejszem, gdyż samce żyją z samicami w przeciągu całego roku; inne gatunki (np. goryl) są poligamiczne, i każda rodzina żyje z osobna; ale nawet w tym razie rodziny, zamieszkujące ten sam okręg, tworzą, prawdopodobnie, nieraz wspólną hordę. Inne jeszcze gatunki (np. niektóre pawiany) są także poligamiczne, ale wielu samców, każdy ze swą rodziną, łączy się w stado. Jest prawdopodobne, iż człowiek żył początkowo w drobnych społeczeństwach każdy mężczyzna ze swą kobietą albo też, jeżeli miał dość siły po temu, z wielu kobietami, których bronił zazdrośnie przeciw wszystkim innym samcom. A może też nie był od początku istotą społeczną i żył samotnie z wielu samicami".

Wszystkie te formy pożycia małp byłyby przypuszczalne i dla człowieka pierwotnego, gdyby on pod względem siły swej czyli energii biologicznej był podobnym do tych przodków swych, o czem nic nie wiemy, i gdyby istotnie żył w warunkach klimatu gorącego i przedstawiającego dość pokarmu, by siły odporności indywidualnej przeważały nad siłami solidarności społecznej, co także jest spornem. Istotnie, jeżeli małpy człekokształtne są silniejsze fizycznie, niż nim był człowiek najpierwotniejszy, to nawet przy jednakowych warunkach otoczenia musiał się on łączyć miejscami w stada solidarne aż do bezładu płciowego. Małpy czwororękie, będąc fizycznie silniejsze, mogą się kontentować brakiem więzów społecznych albo też więzami zaczątkowymi, gdy rasy słabsze człowieka musiałyby się łączyć w stada nader zwarte dla zdobycia pokarmu, a także, by nie stać się pokarmem dla innych gatunków zwierzęcych, silniejszych.

Należy jednak przyznać, iż większem jest prawdopodobieństwo, że człowiek trzeciorzędowy był indywidualistą i poligamistą, niż przedstawicielem solidarności, idącej aż do bezładu płciowego. Te ostatnie stosunki mogły się spotykać tu i owdzie pośród ras niższych i w warunkach zewnętrznych, szczególnie niedogodnych. Pierwsze były panującemi. Ale czyż instynkty indywidualizmu i zazdrości, tak wytworzone, były na tyle potężne, iż czyniły niemożebnem rozszerzenie się bezładu płciowego później, z nastaniem epoki czwartorzędowej i lodnikowej, gdy warunki zewnętrzne stały się niesłychanie uciążliwe, a ilość pokarmu była niesłychanie szczupłą? Bynajmniej. Instynkty ludzkie są, jak widzieliśmy, nadzwyczaj elastyczne i można sobie wyobrazić warunki tak niedogodne, iż wszystkie rasy nawet najbardziej indywidualistyczne znalazły się poniżej punktu „obojętności" i że uczucia indywidulizmu zamieniły się au-

tomatycznie na uczucia solidarności. Wprawdzie to przekształcenie energii łatwiej odbyć się mogło w rasach niższych, gdy wyższe, nie mogąc się zastosować do zmienionych warunków, musiały wyginąć albo też błądziły tu i owdzie w formie samotnych samców, otoczonych rodziną poligamiczną, tuż obok wielkich stad ludzkich, opartych na humanizmie własności i na bezładzie płciowym. Ten ostatni ustrój mógł się spotykać w warunkach szczególniej niedogodnych, wprost, jako wytwór nędzy, i pośród ras niższych, zwłaszcza jeżeli one zmuszone były do zabijania nowonarodzonych dziewcząt dla braku pokarmu. Rasy wyższe, znajdujące się jednocześnie w warunkach dogodniejszych, mogły zachować swój indywidualizm poligamiczny. Wreszcie można także sobie wyobrazić wypadek ras średnich, znajdujących się w warunkach ani dobrych ani złych i dzięki temu pozostających na punkcie „obojętności", co mogło się wyrazić w równowadze hord monogamicznych z własnością prywatną. Teoretycznie mówiąc, ten ostatni wypadek nie był także wyłącznym. Ale jeżeli rozważymy warunki otoczenia epoki czwartorzędowej, to należy przyznać, iż komunizm własnościowy i bezład płciowy w granicach każdej hordy (równowaga Gossenowska) musiały być formami bardzo częstemi, co nie wyłączało zresztą istnienia form innych. Teoretycznie mówiąc, wszystkie te formy własności i rodziny mogły istnieć od początku ludzkości i rozwijać się następnie równolegle: etnografia dostarcza nam dowodów na poparcie wszystkich możliwości wyobrażalnych, i wszelka wyłączność nie tylko Bachofena i Morgana, ale Westermarcka [1]) i Starckego [2]), którzy chcą postawić na miejsce bezładu początkowego monogamię, może być uważana za zupełnie dowolną.

W rezultacie nie widzimy powodu, czemuby bezład ów nie mógł był istnieć do pewnego stopnia w społeczeństwie pierwotnem, ponieważ istnieje dotychczas bądź w formie prostytucyi, bądź też w formie cudzołóstwa, które, jeżeli jest szeroko rozpowszechnione, jak we Francyi, stanowi bezład zaledwie przysłonięty. Sądzimy więc, iż wogóle zbyt wiele wagi przypisuje się tej kwestyi w historyi rodziny. Bądź cobądź przyjrzyjmy się pokrótce śladom owej „*promiscuitas*" pierwotnej, które etnografowie nagromadzili. Przekonamy się, iż większość tych dowodów nie wiele ma znaczenia; to jednak bynajmniej nie zmienia tej okoliczności, iż prostytucya była

---

1) Westermarck: „History of human marriage".

2) Starcke: „Die primitive Familie in ihrer Entstehung und Entwickelung dargestellt".

szeroko rozpowszechniona w czasach pierwotnych, jak nią jest w historycznych. Morgan, jak wiadomo, zwrócił główną uwagę na systemy pokrewieństwa u Irokezów, dowodzące wrzekomo, iż istniała u nich niegdyś forma rodziny grupowej, która już w naszym wieku zanikła. A mianowicie Irokez nazywa nie tylko własne swe dzieci synami i córkami, ale także dzieci swych braci, które go nazywają ojcem. Dzieci jednak swych sióstr nazywa siostrzeńcami, które go zowią nie ojcem, lecz wujem. Irokezka znów znajduje się w analogicznym stosunku względem dzieci swych sióstr, które nazywa swemi dziećmi, i dzieci swych braci, które nazywa bratankami. Ten system pokrewieństwa panuje u Indyan Amerykańskich, u wielu krajowców w Indyach, u Drawidyjczyków Dekanu, poczęści też w Afryce i Australii. Otóż na początku naszego stulecia na wyspach Sandwich (Hawai) istniała wrzekomo forma rodziny, która urzeczywistniała powyższy amerykański system pokrewieństwa, sama jednak miała system pokrewieństwa innego rodzaju, taki mianowicie, iż dzieci braci i sióstr uważane są bez różnicy za wspólne ich potomstwo.

Jeżeli więc system amerykański pokrewieństwa każe przypuszczać formę pierwotną rodziny, nie istniejącą już w Ameryce, to system hawajski prowadzi nas do formy jeszcze pierwotniejszej, gdzie kazirodztwo między braćmi a siostrami było panujące; formy tej nie możemy wprawdzie nigdzie odnaleźć, musiała jednak ona, zdaniem Morgana, istnieć, albowiem inaczej system odpowiedni pokrewieństwa (hawajski) nie mógłby powstać. Teorya ta spotkała ostatnimi czasy bardzo surową krytykę ze strony licznych badaczy, jak Ziegler [1], Starcke [2], Cunow [3], którzy twierdzą, iż systemy hawajskie, a nawet pokrewieństwo amerykańskie, bynajmniej nie dowodzą uprzedniego istnienia odnośnych form rodziny. A mianowicie bardzo często znaleźć można śród narodów cywilizowanych nazwy fikcyjne, nie wyrażające bynajmniej stosunków rzeczywistych pokrewieństwa, ani istniejących, ani zanikłych. Tak mnisi nazywają się wzajemnie „braćmi", a mniszki „siostrami", zięć nazywa często swego teścia „ojcem" i t. d. Są to tytuły honorowe, oparte na grzeczności, na stosunkach wieku, płci, położenia społecznego, a bynajmniej nie na stosunkach pokrewieństwa. Tak podważoną

---

[1] Ziegler: „Die Naturwissenschaft und die socialdemokratische Theorie", 1894.

[2] Starcke: l. c.

[3] Cunow: „Die Verwandtschaft-Organisationen der Australneger".

zostaje po części i teorya zupełnej *„promiscuitas"* pierwotnej, stanu, gdzie płcie obcują ze sobą bez względu na wiek, pochodzenie, pokrewieństwo, dla której ani Bachofen, ani Morgan bezpośrednich dowodów dostarczyć nie mogli, i teorya następstwa po tej fazie pierwotnej t. zw. rodziny „kazirodczej", odpowiadającej systemowi hawajskiemu pokrewieństwa, i rodzina *„punalua"*, odpowiadająca systemowi amerykańskiemu. Istotnie wszystkie te prawidłowe linie demarkacyjne, które Morgan przeprowadził pomiędzy różnemi formacyami rodziny, są zupełnie dowolne. Nie znaczy to bynajmniej, by bezład płciowy nie mógł być rozpowszechnionym, ale, że nie był koniecznym punktem wyjścia ewolucyi rodziny i że ona nie musiała przechodzić regularnie faz, wskazanych przez Morgana.

Również wątpliwem jest twierdzenie Morgana, iż z przypuszczalnej rodziny *„punalua"*, obejmującej szereg kobiet-siόstr, mających szereg wspólnych mężów (braci, czyli przyjaciół t. j. *„punalua"*), wytworzył się z czasem ród macierzyński, obejmujący grupę krewniaków w linii macierzyńskiej wrzekomo dlatego, iż w małżeństwie grupowem ojciec nie mógł być nigdy znanym i pochodzenie mogło być udowodnionem tylko ze strony matki. Bachofen, a w ślad za nim i Morgan nazywają ten rodzaj pokrewieństwa macierzyńskim i stosunki prawne, na niem oparte, prawem macierzyńskiem (*Muterrecht*).

Otóż, wychodząc z założenia, że ród macierzyński pochodzi z rodziny „punalua", Morgan, a za nim Engels [1]) twierdzą, iż rodzina owa musiała istnieć wszędzie, gdzie tylko ród macierzyński wykazać można. Całe to rozumowanie jest jednym wielkim splotem nieporozumień. Naprzód rodzina punalua jest hypotezą, niczem prawie nieudowodnioną; Morgan twierdził, iż istniała ona na początku naszego stulecia w Hawai. Starcke jednak jest zdania, iż „jest więcej, niż wątpliwem, by rodzina punalua istniała kiedykolwiek u ludów polinezyjskich, zwłaszcza zaś na wyspach Sandwich, skąd nazwa ta jest wziętą". Również sceptycznie zapatruje się na nią Brentano [2]), nie upatrujący w nazwach odpowiednich nic po nad tytuły honoryficzne. Co się tyczy pochodzenia rodu macierzyńskiego z owej formy rodziny, to sam Engels robi następujące zastrzeżenie: „Wprawdzie system klas australijskich przedstawia również punkt wyjścia dla tego rodu.

---

[1]) Engels: „Der Ursprung der Familie, des Privateigenthums und des Staats" (1889).

[2]) Brentano: „Die Volkswirthschaft und ihre konkreten Grundbedingungen" Zeitschrift für Soc. u. Wirthschaftsgeschichte 1893).

Australczycy mają **rody**, lecz nie znają jeszcze rodziny punalua. Ich organizacya jest jednak faktem nazbyt wyjątkowym, byśmy mieli z nią się liczyć" [1]). Należy raczej powiedzieć wprost przeciwnie: ponieważ rodzina punalua jest mytem, a klasy australijskie faktem, więc ród macierzyński prędzej z nich mógł wszędzie się wyrobić, niż z rodziny punalua.

Nareszcie, jest rzeczą wątpliwą, by obliczanie pokrewieństwa w linii macierzyńskiej stąd pochodziło, iż ojciec był nieznany dzięki istnieniu małżeństw grupowych. Ziegler, Starcke i inni autorowie słusznie rozpatrują tę opinię za zupełnie dowolną. Tak np. u Iroxenów Ameryki Północnej prawo macierzyńskie istnieje dotychczas; nie pochodzi ono bynajmniej stąd, by ojciec miał być nieznany, albowiem formą rodziny panującą u nich jest momogamia, i ojciec jest legalnie uznany. Również dowolnem zupełnie jest twierdzenie, iż prawo macierzyńskie wszędzie wyprzedzało ojcowskie. I owszem, najniższe szczepy ludzkie, jak Buszmani, znają tylko prawo ojcowskie. A Westermarck pokazuje, iż jest ono conajmniej tyleż starożytne, co i ojcowskie: tak u Narinnyers'ów znajduje prawo ojcowskie, u innych plemion sąsiednich — macierzyńskie. I bardzo słusznie można twierdzić, że prawo macierzyńskie tam, gdzie ono istnieje, może być raczej dowodem współistnienia lub istnienia uprzedniego poligamii, niż małżeństw grupowych: istotnie, w rodzinie poligamicznej ojciec jest znany, co do pochodzenia dziecka z tej strony nigdy sporu być nie może; natomiast może tu często zjawiać się wątpliwość, od której matki dane dziecko — zwłaszcza w wieku późniejszym — pochodzi. Liczenie pokrewieństwa w linii macierzyńskiej mogło więc tylko zapobiegać tego rodzaju niedogodnościom — i nic więcej [2]). Mogły to być tylko tytuły „honoryficzne" w rodzaju powyższych, na których oparto rodzinę „kazirodczą", „punalua" itd. Cały więc gmach, tak misternie wybudowany przez Bachofena, Morgana, Engelsa i in., wydaje się być pozbawionym podstaw. Zdaniem tych autorów, punktem wyjścia ewolucyi rodziny był stan zupełny „*promiscuitatis*", jako faza wspólna całej ludzkości. Widzieliśmy, iż jest to rzecz zupełnie wątpliwa. Co najwięcej, stan ten mógł się spotykać na równi z innymi, jak się dotychczas spotyka — w formie prostytucyi — ale nic więcej. Jako przykład najczystszy owego bezładu pierwotnego, przytaczają też zwykle komunizm płciowy, spotykany w plemieniu indyjskiem Nairów. Ale ich

---

[1]) Engels: „Les origines de la famille" etc., tłóm. franc.

[2]) Tarde: „Les transformations du droit".

kultura nie jest bynajmniej pierwotną. Stanowią oni klasę arystokratyczną, panującą. Starcke słusznie twierdzi, iż jesteśmy tu wobec rezultatu długoletniej ewolucyi, nie zaś wobec punktu wyjścia. Albowiem ich ceremonie weselne dowodzą, iż w epoce poprzedniej trwała i wierna monogamia była im znaną. Z drugiej strony Westermarck uważa dane o ludach dzikich, żyjących wrzekomo jeszcze w bezładzie, za błędne lub conajmniej problematyczne; a nawet, jeżeli niektóre z nich mają pozory prawdopodobieństwa, byłoby błędnem twierdzić, iż te fakty wyjątkowe stanowią fazę konieczną w ewolucyi rodziny. Mają one raczej charakter miejscowy i są wywołane przez okoliczności czasu i miejsca. Tak np. w dolinach Himalanyów dziewczęta rodzą się i dosięgają dojrzałości w liczbie daleko mniejszej, niż chłopcy — dzięki czysto miejscowym warunkom klimatu. Dlatego właśnie znajdujemy w Tybecie i w okolicach polyandryę, którą także chciano wyzyskać na korzyść tezy *promiscuitatiis* pierwotnej, gdyto jest tylko rzeczą przypadku. Nie mają także ogólniejszego znaczenia małżeństwa grupowe, trafiające się na wyspach Karolińskich, ani też organizacya klas australijskich, opisana przez Howitta i Fisona [1]), do której rozbioru przechodzimy.

Ci dwaj misyonarze byli uczniami Morgana, zapatrywali się na zjawiska oczyma swego mistrza, nazbyt uogólniali fakty, nadawali rzeczom miejscowym charakter powszechności, widzieli fazy ewolucyjne w rzeczach czysto czasowych i, opierając się na nomenklaturze pokrewieństw, szukali śladów małżeństw grupowych w nazwach, które były tylko tytułami honorowymi. Badając Negrów australijskich w okolicach Gambier, przyszli do wniosku, iż plemię jest tam podzielone na dwie klasy, Kroków i Kumitów. Stosunki płciowe surowo były zakazane w granicach każdej klasy; ale za to każdy mężczyzna jednej był mężem z urodzenia każdej kobiety z drugiej i odwrotnie. To wrzekomo nie jednostki pobierały się między sobą, lecz grupy całe, klasa z klasą. Nie miały tam istnieć w zasadzie żadne zakazy, oparte na różnicy wieku, ani też na pokrewieństwie specyalnem. Mężczyzna z klasy Kroki jest mężem każdej

---

1) Larimer Fison and A. W. Howitt: „Kamilaroi and Kurnai“ (Melbourne 1880). Nie mają także naukowego znaczenia nazbyt pośpieszne uogólnienia o pierwotnych małżeństwach grupowych, poczynione na zasadzie tego dzieła i dzieł pokrewnych, przez A. Giraud-Teulona: Les origines du mariage et de la famille“ (1884), Kowalewskiego: „Pierwobytnoje prawo“ (1886), tegoż „Tableau de la famille“ etc.

Kumitki, a ponieważ jego własna córka jest także Kumitką dzięki prawu macierzyńskiemu, jest ona przez to samo żoną urodzoną każdego Kroki, a zatem własnego swego ojca. Przynajmniej organizacya klasowa nie staje temu na przeszkodzie. Ale te stosunki pomiędzy rodzicami a dziećmi faktycznie zakazane są przez obyczaje, i położenie obecne przypomina rodzinę kazirodczą.

System ten ma się także spotykać wzdłuż rzeki Darling i w Queenslandzie. Jest więc szeroko rozpowszechniony, nie wykluczając stosunków płciowych pomiędzy braćmi a siostrami.

Inne plemię, Kamilaroï, zrobiło krok dla wyłączenia tych związków kazirodczych organizacyą złożoną z 4 klas, z których każda żeni się *en bloc* z inną, określoną. Dalszy krok na drodze zakazów między krewniakami miał być zrobiony przez plemię Warmenga, podzielone na sześć klas. W zasadzie wszystkiego ma jednak istnieć małżeństwo grupowe, jakkolwiek samiż badacze przyznają, iż małżeństwo to stało się raczej tradycyą, niż faktem realnym. Tylko starcy, szamani i możnowładcy zagarnęli wrzekomo pod tym względem prawa klasowe w formie poligamii, a stosunki płciowe bezładne mają się powtarzać tylko peryodycznie podczas świąt plemiennych.

„Stosunki małżeńskie, istniejące tam, przedstawiają się—powiada Eugels[1]) — spostrzegaczowi powierzchownemu, jako monogamia o więzach dość rozluźnionych obok poligamii, tu i owdzie praktykowanej, i przygodnie spotykającej się niewierności. To tylko Howitt i Fison wykryli prawo istotne, rządzące tymi stosunkami", a mianowicie, że mamy tu wrzekomo do czynienia z małżeństwem grupowem klas całych, jako zasadą kierującą. Otóż nowsze badania wykazały, że „spostrzegacz powierzchowny" lepiejby widział istotę rzeczy, niż Howitt i Fison, którzy dziesiątki lat spędzili na badaniu odnośnych stosunków, a spoglądali na wszystko oczyma Morgana i opierając się na jego przestarzałych szematach. Cunow[2]) mianowicie pokazał, iż ta sławetna organizacya klasowa, oddzielająca różne płcie i różne pokolenia, przyczem każda z tych grup nosi imię odrębne, sprowadza się wprost do systemu nazw powierzchownych, wywołanych po części przez zabobony i praktyki religijne, po części przez ubóstwo języka. Np. mężczyźni, należący do pokolenia doj-

---

[1]) Engels: „Les origines de la famille" etc.

[2]) Heinrich Cunow: Die Verwandschafts-Organisationen der Australneger, Stutgard 1897

rzałego, wydają się być ojcami wspólnymi wszystkich dzieci z pokolenia młodszego, albowiem każde z tych ostatnich nazywa każdego z poprzednich „ojcem", inne tytuły pokrewieństwa noszą takiż wspólnościowy charakter. Uczniowie Morgana upatrywali w tem dowód małżeństw grupowych, które zanikły, pozostawiając, jako ślad, system odpowiedni pokrewieństwa. Cunow jednak pokazuje, iż pierwiastek „ojciec" znaczy tożsamo, co „wielki", „stary", a „dziecko" — „mały", „młody": w ten sposób nazwy pokoleń i „klas" wskazują tylko na różnicę wieku i położenia społecznego — nic więcej. Jestto jeszcze jeden cios, zadany teoryi Morgana, opartej głównie na systemach pokrewieństwa. Cunow zaprzecza, by małżeństwa grupowe praktykowały się gdziekolwiekbądź w Australii, jako wyraz zasady ogólnej: fakty tego rodzaju, stykające się tu i owdzie, nie przedstawiają fazy ogólnej w rozwoju rodziny, lecz są tylko wytworami okoliczności miejscowych. Również wątpliwym jest stały porządek następowania po sobie prawa macierzyńskiego i ojcowskiego, przyjęty przez Bachofena i Morgana i ich uczniów. Cunow pokazuje, iż u plemion niższych istnieje często w Australii prawo ojcowskie, u wyższych macierzyńskie.

Dowodów pierwotnego bezładu i małżeństw grupowych szukano także w niektórych przeżytkach, jak kuwada, polegająca na tem, iż po urodzeniu się dziecka ojciec jego udaje, iż to on odbywa połóg, kładąc się do łóżka, krzycząc i wijąc się. Fakt porodu miał niegdyś być podstawą prawa macierzyńskiego i pewnej przewagi kobiecej, opartej na tem, iż ojciec w małżeństwach grupowych nie mógł być znanym. Z wprowadzeniem monogamii ojciec miał wrzekomo sankcyonować kuwadą swój związek z dzieckiem i swą przewagę społeczną. Tłómaczenie to okazało się jednak zupełnie dowolnem. A mianowicie, gdyby było prawdziwem, to kuwada nie powinna byłaby się spotykać u plemion, u których panuje jeszcze prawo macierzyńskie, tam bowiem nie miałaby ona żadnego sensu, natomiast powinna byłaby być rozpowszechnioną przeważnie śród ludów, gdzie pochodzenie jest już obliczane w linii męskiej, albo też znajdujących się w fazie przejściowej. Otóż tablice statystyczno-etnograficzne, które Ling Roth ułożył, bynajmniej tego wniosku nie potwierdzają: okazuje się, iż kuwada istnieje głównie u ludów macierzyńskich, nie zaś u tych, które znajdują się w drodze przejścia do patryarchatu. L. Roth objaśnia kuwadę wpływami magicznymi szkodliwego charakteru, które, według wierzeń dzikich, zajęcia ojca mogą wywrzeć na dziecko nowo-narodzone. Dlatego też ojciec, kładąc się do łóżka i nic nie robiąc, uwalnia dziecko od mnie-

manego niebezpieczeństwa. Tłómaczenie to wydaje nam się błędnem, gdyż w takim razie ojciec powinien byłby się zachowywać spokojnie w łożu, tymczasem poddawany jest wielu próbom i dokuczliwościom nader uciążliwym. I dlatego bardziej słusznem wydaje się nam tłómaczenie Starcke'go, który, zestawiając kuwadę z innymi zwyczajami, których sens wydaje się być jasnym, sądzi, iż ona ustanowioną została nie w interesach ojca, ani matki, lecz dziecka, na które, według wierzeń pierwotnych, w ten sposób można przenieść brawurę ojca, dając mu możność jej wykazania; trzeba bowiem wielkiej odwagi, by poddać się przepisom tak licznym i uciążliwym. Istnieje jeszcze tłómaczenie, dość fantastyczne Féré'go, który kuwadę tłomaczy nerwowo-patologicznymi objawami t. zw. „sympatyi małżeńskiej", sprawiającej, iż po długiem pożyciu dwojga małżonków wszelkie cierpienia jednego są przez drugiego odczuwane i naśladowane. Bądź co bądź, z powyższego widać, iż w kuwadzie dłużej dowodów bezładu pierwotnego ani prawa macierzyńskiego szukać nie należy.

Toż samo, zdaje się, można powiedzieć o innych przeżytkach w rodzaju prostytucyi świętej kobiet Babylonu i innych miejscowości, które tłómaczone były, jako pozostałości bezładu. Ale, jak słusznie Tarde [1]) zaznacza, prostytuowały się one nie rodakom, lecz cudzoziemcom, i ponieważ to się odbywało w świątyni Afrodyty wolno przypuszczać, że to chęć podobania się bezwstydnej bogini wytworzyła ten zwyczaj, a nic innego.

Zwyczaj ten, nader rozpowszechniony, bo od morza Śródziemnego aż do Gangesu, miał stanowić wykup, za pomocą którego kobieta uwalniała się od praw, jakie ogół męski dawniej miał na nią i zdobywała w ten sposób prawo czystości.

Inne przeżytki prędzej już noszą charakter pozostałości z pierwotnego bezładu. Tak swoboda zupełna stosunków płciowych zapewnioną była dziewczętom u Traków i Celtów starożytnych, u mieszkańców Indyi, u ludów malajskich, wyspiarzy Oceanii, u wielu Indyan amerykeńskich (z południa), a poczęści i w Abisynii. Ale to tylko książęta i kapłani mieli wywierać w ten sposób „pierwotne prawa wspólnoty", a być może były to wprost objawy polygamii. Inne fakty są bardziej charakterystyczne. U wielu plemion amerykańskich mężczyzna, żeniący się ze starszą siostrą, zdobywa tem samem prawa i na wszystkie młodsze. Analogiczne zjawiska lewiratu

---

[1]) G. Tarde: Les transformations du droit.

są także bardzo wymowne. W Kalifornii, świadectwem Bancrofta, niektóre plemiona praktykują podczas świąt bezładne obcowanie płciowe. Mówiliśmy już, iż toż samo miewa miejsce i w Australii. Sam Westermarck przytacza cały szereg przykładów tego rodzaju saturnalii, odbywających się peryodycznie, ale tylko przez krótki przeciąg czasu: u Hosów, Santalów, Cotarów i t. p. plemion indyjskich, śród pewnych szczepów afrykańskich i t. d. Trudno orzec, czy tu mamy istotnie odżywanie chwilowe starożytnej swobody płciowej, a więc instytucyi społecznej, czy też tylko zjawisko natury czysto fizyologicznej, któremu człowiek pierwotny miał podlegać narówni z innemi zwierzętami, zwłaszcza na wiosnę, jak tego chce Westermarck.

Wogóle pisarz ten w swej krytyce teoryi Bachofena i Morgana jest nie mniej jednostronnym, niż oni. Zbijając ich teoryę, bez wątpienia ciasną, rzuca się w krańcowość odwrotną, która jest także dowolną. Zaprzecza on, by małżeństwa grupowe i bezład płciowy wogóle mogły były kiedyś istnieć, by pochodzenie dziecka w linii ojcowskiej mogło być niepewnem. Tymczasem, jak widzieliśmy, fakty bynajmniej nie uprawniają nas do tak obszernego wniosku. Co najdalej można odrzucić p o w s z e c h n o ś ć bezładu w ludzkości pierwotnej, powszechność prawa macierzyńskiego, jako pierwotniejszego. Wszystkie powyżej wyliczone fazy ewolucyi rodziny grupowej: bezład, małżeństwo grupowe i prawo macierzyńskie mogły się były spotykać obok regularnej monogamii lub polygamii, opartych na prawie ojcowskiem—wszak sam Westermarck, jak widzieliśmy, przyznaje objawy bezładu, uważając je tylko za zjawiska przypadkowe. Niema jednak na świecie zjawisk przypadkowych, wszystkie odbywają się na zasadzie praw, chodzi tylko o to, czy są mniej lub więcej liczne, rozpowszechnione. Otóż obecnie istniejący bezład w formie prostytucyi i cudzołóstwa jest dostatecznem potwierdzeniem tego, iż bezład mógł istnieć i w czasach pierwotnych, a zważywszy ówczesne ubóstwo, iż był nawet liczniejszy, niż za czasów historycznych. Jednemu tylko zaprzeczamy, — by rodzina miała przechodzić wszędzie przez jednakową ewolucyę i by etapy jej w czemkolwiek się zbliżały do szematów, nakreślonych przez Morgana i jego uczniów.

Dlatego też uważamy za zupełnie fantastyczne twierdzenie Morgana, iż rodzina „parzysta“ *(syndiasmique)*, obejmująca tylko dwie osoby, ale łatwo rozwiązalna miała się rozwinąć dopiero ze wszystkich poprzedzających faz rodziny grupowej. Miała ona powstać w sposób naturalny skutkiem zakazów obcowania płciowe-

go pomiędzy krewniakami, w miarę tego, jak węzły pokrewieństwa obejmowały coraz większą ilość osób danej miejscowości. „Tak u Irokezów i u większości innych Indyan okresu niższego barbarzyństwa i małżeństwo jest zakazane między wszystkimi krewniakami, których uznaje ich system, a jest ich kilka setek najrozmaitszego rodzaju" — powiada Enych. To jest fakt, nie przyjmujemy jednak w całej jego ogólności wniosku, który autor stąd wyprowadza: „z tymi zakazami małżeństwa grupowe stawały się coraz bardziej niemożliwe: zostały zastąpione przez rodzinę syndiasmiczną. W tej rodzinie mężczyzna żyje z jedną kobietą, ale tak, iż poligamia lub niewierność okolicznościowa pozostają prawem dla niego, ale nie dla kobiety". Z tej formy miała wreszcie z czasem rozwinąć się właściwa monogamia. Taką była ewolucya form rodziny według Morgana.

Przeciw tej teoryi rozpoczęła się opozycya, jak rzekliśmy, głównie dzięki Starckemu i Westermarckowi, rozwinięta zaś była w dalszym ciągu przez Grossego [1]) i Cunowa [2]). Pierwsi dwaj zadawalali się robotą czysto krytyczną, drudzy starają się budować w inny sposób istniejące materyały etnograficzne, ale, właściwie mówiąc, opierają się w znacznym stopniu na tym samym fundamencie, co i Morgan lub Engels, t. j. na rozwoju techniki, na źródłach zarobkowania. Naszem zdaniem, jestto postępowanie błędne, a przynajmniej niewystarczające, gdyż obok ilości pokarmów (zależnej od źródeł zarobkowania, bo pasterstwo jest kilkanaście razy wydajniejsze od myśliwstwa, rolnictwo zaś kilkadziesiąt razy wydajniesze od pasterstwa), należy jeszcze brać pod uwagę rasę, natężenie energii biologicznej ras różnych i płci. Tylko wszystkie te czynniki, razem wzięte, pozwoliłyby dać objaśnienie i klasyfikacyę istniejących form rodziny. Niestety, nie mamy jeszcze praktycznych środków mierzenia energii biologicznej i dlatego musimy się zadawalać teoryą ogólną w rodzaju tej, jaką nasze równania przedstawiają. Opierając się zaś tylko na źródłach zarobkowania, otrzymujemy rzeczy chybione i jednostronne. Czuje to sam Grosse, przyznając, iż nie nastał jeszcze czas ostatecznej klasyfikacyi.

Grosse odróżnia następne źródła zarobkowania: niższe i wyższe myśliwstwo, pasterstwo, niższe i wyższe rolnictwo, na rasę zaś nie

---

[1]) Ernest Grosse: „Die Formen der Familie und die Formen der Wirthschaft".

[2]) Cunow: „Die oekonomischen Grundlagen des Muterrechts".

zwraca żadnej uwagi. Na tę ostatnią zwrócił poczęści uwagę Letourneau, ale on znów nie baczy na źródła zarobkowania. Bądź co bądź pewne cząstkowe oświetlenie kwestyi znajdujemy u jednego i drugiego, jak zresztą i u Morgana. Pozostawiając na stronie hypotezy o czasach przedhistorycznych, Grosse zajmuje się tylko ludami istniejącymi.

Otóż śród tych ostatnich, nawet najniższych, znajduje, jako typ zasadniczy, stadło małżeńskie parzyste. Rozbiór form, poprzedzających ten typ, jeżeli nawet na jego miejscu istniały małżeństwa grupowe, jest jego zdaniem niemożliwy dla braku dowodów. Zresztą niema to nawet znaczenia, albowiem każdy układ powinien i może być wyjaśniony (statycznie, nie zaś genetycznie) tylko działającemi w chwili obecnej siłami. Jeżeli więc chodzi nie o ewolucyę rodziny, lecz o wyjaśnienie form istniejących, przeszłość nie ma żadnego prawie znaczenia. Niestety, jak rzekliśmy, Grosse i Cunow śród tych sił zajmują się wyłącznie źródłami utrzymania, pokarmem.

Otóż pokarm, jak to wiemy skądinąd [1]), pozwala tylko objawiać się energii biologicznej, ale jej nie tworzy. W każdej rasie zawarte są siły biologiczne innego napięcia, dlatego też taż sama ilość pokarmu, też same źródła utrzymania w różnych rasach inne objawy wywoływać będą. Otóż temi siłami wewnętrznemi autorowie nasi wcale się nie zajmują. I na tem polega główna wada ich dociekań.

A mianowicie, nawet kontentując się analizą „źródeł utrzymania", to jest pewnej ilości pokarmu, różnej w okolicznościach rozmaitych, należy jeszcze odróżniać energię biologiczną kobiety i mężczyzny, z których każda przyciąga z otoczenia pewną ilość pokarmu zastosowaną do jej właściwości. Ta płeć, która w pracy tej wyzwala więcej energii i której produkty są przeto społecznie cenniejsze, ma zarazem w równowadze rodzinnej pewną przewagę. Równowaga ta ustanawia się na ogólnych zasadach ekonomicznych i według podziału Jevońskiego. Ustanawia się ona zresztą nie tylko między jednostkami, ale także między grupami, do których jednostki te należą, i wreszcie między rasami, do których grupy te należą.

A więc na najniższym szczeblu rozwoju źródeł zarobkowania, śród Australczyków i Buszmenów, Grosse znajduje wyodrębnioną rodzinę parzystą, w której ojciec jest głową i panem bezwzględnym żony i dzieci. Zamożni żyją w poligamii. Dziwna rzecz, jaką sta-

---

[1]) Por. „Energia społeczna" Ateneum, maj 1899.

łość formy rodziny przedstawiają w ludzkości, przypominając zupełnie procesy fizyczne krystalizacyi, odbywającej się koło punktów rozmaitej energii. Takim punktem jest w rozpatrywanej rodzinie mężczyzna. Nabywa on, t. j. przyciąga jedną lub kilka żon odpowiednio do swych zasobów, zasoby zaś same zależą od jego siły, energii. Objaśnianie form rodziny tylko względem ekonomicznym, ilością zasobów, posiadanych przez mężczyzn w danym razie, nic nie wyjaśnia, gdyż same te zasoby zależą od ich energii; człowiek słaby nie zdobędzie większej ilości zasobów, a więc nie będzie w stanie nabyć więcej żon. A zatem i ilość zasobów i ilość żon zależą razem i równolegle od energii biologicznej. Nie przeszkadza to zresztą, by zależały także jedne od drugich. Raz daną jest ta ogólna krystalizacya całego agregatu rodzinnego, to położenie i prawa każdego atomu, t. j. każdego członka rodziny jest zgóry określone i zależy od jego energii, t. j. od kosztów wytwarzania i usług, które oddaje. W bardzo drobnych gromadkach, któremi rodziny te koczują, poszukując pokarmu, energia mężczyzny społecznie gra pierwszą rolę, gdyż on jest żywicielem i karmicielem; rozporządza bezwzględnie losami dzieci i żony lub żon, gdyż one nie przedstawiają wielkiej wartości społecznej i mogą z łatwością być nabyte, t. j. przyciągnięte lub wytworzone przy odpowiedniem przekształceniu i nakładzie energii. Czemu jednak już na tem stadyum pochodzenie liczy się bądź w linii męskiej, jak u Buszmenow, bądź w żeńskiej, jak u wielu Australczyków? Czemu władza mężczyzny staje się mniej nieograniczoną u ludów żyjących rybołówstwem, niż u mieszkańców zachodniego wybrzeża Ameryki północnej? Oczywiście, iż tu same tylko względy gospodarcze, nie przedstawiające we wszystkich tych wypadkach wielkiej różnicy, wystarczyć nie mogą, jak u Grosse'go, i że tu działają czynniki rasowe, które jeszcze nie zostały wyjaśnione dokładnie.

Istotnie już na najniższych szczeblach rozwoju społecznego śród ludów Nowej Holandyi znajdujemy pokrewieństwo w linii żeńskiej. Cunow objaśnia to nie, jako pozostałość małżeństw grupowych, ani też, jako skutek wyższego położenia kobiet, gdyż przy myśliwstwie mężczyzna ma bezwzględnie pierwszeństwo w zdobywaniu pokarmów, ale jako warunek uniemożliwienia związków małżeńskich między krewniakami w linii macierzyńskiej. Istotnie pokrewieństwo w linii ojcowskiej przy jedno-lub wielożeństwie jest oczywistem, i zakazy odnośne same przez się działają bez żadnej interwencyi obyczaju. Natomiast, ponieważ pokrewieństwo w linii macierzyńskiej przy tym stanie rzeczy bynajmniej nie jest oczywistem, więc dla przestrzegania odnośnych zakazów należało wprowa-

dzić obliczanie w linii macierzyńskiej. Czemu jednak prawo macierzyńskie nie jest w takim razie powszechnem na tym szczeblu rozwoju? Należy wprawdzie przyznać, iż faktycznie nie ma ono wielkiego znaczenia i na istotne położenie kobiety nie wpływa. Taki np. Engels pisze: „obliczanie pokrewieństwa w linii żeńskiej przy niemożliwości wyróżnienia prawdziwego ojca oznacza wysoki szacunek kobiety, t. j. matki. Kobieta ma u dzikich i u barbarzyńców położenie wolne i szanowane. U Irokezów jest to potwierdzone przez misyonarza Artura Wrighta. Jestto także jedno z odkryć Bachofena. Niestety, Bachofen, Morgan i Engels, mówiąc o położeniu kobiety, opierają się głównie na Irokezach lub Malajczykach, którzy znajdują się już na dość wysokim szczeblu rozwoju społecznego. Sprawa jednak przedstawia się zupełnie inaczej, jeżeli wziąć najniżej postawione plemiona Australii, Melanezyi lub Brazylii. Nawet istnienie prawa macierzyńskiego nie zwalnia kobiet śród tych myśliwców od położenia zwykłego bydła roboczego.

U ludów pasterskich dzieje się toż samo, tylko na daleko większą skalę, co i u ludów myśliwskich. Ojciec jest panem bezwzględnym żony lub żon i dzieci, co się oznacza tem, iż jest właścicielem trzód. Pochodzenie prawie zawsze liczy się w linii męskiej, a gdy się spotyka panowanie prawa macierzyńskiego, położenie kobiety przeto się nie poprawia, tak, że zgodzić się należy z twierdzeniem Cunowa, iż pochodzenie w linii żeńskiej nie pociąga za sobą żadnych specyalnych przywilejów dla rodzicielki. Przeciwnie, wszędzie na najniższych szczeblach kultury mężczyzna panuje na zasadzie prawa silniejszego.

(*Dok. n.*)

Dr. Leon Winiarski.
Docent Uniwersytetu Genewskiego.



PRZYCZYNKI

do genezy kilku utworów Z. Krasińskiego z pierwszej doby jego twórczości.

I.

„Grób rodziny Reichsthalów".

Pierwszym dotychczas, przynajmniej, znanym, utworem młodziutkiego jeszcze pióra Krasińskiego jest wydany w Rozmaitościach do Gazety Warszawskiej w 1828 r.: „Grób rodziny Reichsthalów", powieść, jak zapowiada autor, oryginalna, z dziejów wojny trzydziestoletniej. Na tle wypadków tej wojny snuje autor w części pierwszej opowiadanie o dziejach nieszczęśliwej Minny Reichsthal, która, zmuszona przez ojca do oddania ręki Wallensteinowi, odbiera sobie życie, w części zaś drugiej, której akcya odbywa się o lat kilkanaście później, niż w pierwszej, — o zemście brata Minny Allana nad moralnym zabójcą siostry. Wypadki ściśle historyczne łączą się w tej powiastce z opowiadaniem zmyślonem o miłości Wallensteina ku Minnie; bo nie na samych faktach historycznych oparł się autor: one służą mu do dekoracyi sceny, na której odbywa się akcya, ma-

ło wspólnego mająca z historyą. Chcąc więc poznać, jak ta powiastka powstała, należy prócz źródeł historycznych odszukać i źródło literackie: „Odszukanie go, — mówi prof. Antoniewicz [1]) — nie byłoby tylko kwestyą zaspokojenia ciekawości literackiej. Chodzi tu o rzecz, o wiele ważniejszą, bo najpierw o rozstrzygnięcie pytania, co w tej pierwszej znanej nam pracy jest własnością literacką autora polskiej powiastki, a co nieznanego autora obcego źródła", powtóre, „czy wzór, który miał przed oczyma, zmusił Krasińskiego do tej dwoistej kompozycyi, którą już w tym pierwszym znanym utworze napotykamy, i czy ta wadliwa koncepcya da się choć w części wadliwością kompozycyi wzoru usprawiedliwić i wytłómaczyć".

Zanim przystąpimy do wskazania owego źródła literackiego, jeszcze słówko o tej koncepcyi. Treścią pierwszej połowy powiastki, jak słusznie zauważył profesor Antoniewicz, jest samobójstwo Minny, zmuszonej wbrew swej swoli do oddania ręki znienawidzonemu przez siebie Wallensteinowi; osią, około której obraca się część druga, zemsta Allana Reichsthala. Ponad tem wszystkiem jednak ukazuje się motyw, uwidoczniony w tytule „Grób rodziny Reichsthalów", nie wiążący się zresztą ściśle z akcyą i nie wywierający na nią żadnego wpływu. Przecież i ten fantastyczny grób rodu astrologa, „gdzie Adalbert, otoczony rodziną, we śnie śmierci oczekuje na dzień, w którym trąba anioła, wskrzeszając śmiertelnych, ma uwieńczyć cnotę lub ukarać zbrodnię", grób, gdzie zmarła Fatyma, jak zaklęta w czarownej bajce królewna, spoczywa, jak żywa, musiał na Krasińskim niemałe wywrzeć wrażenie, skoro od niego pochodzi cały tytuł. Obok tego głównego szkieletu ciało powiastki nie mało posiada specyficznych znamion, bardzo ciekawych i charakterystycznych, jak np. zaklinanie szatana przez mściciela Minny. Lecz dość już uwag wstępnych, które muszą wisieć w powietrzu; zbudujmy podstawę, a wtedy dopiero będziemy mieli jasny sąd o cechach powiastki Krasińskiego, wtedy będziemy mogli rozstrzygnąć, co jest własnością, a co pożyczką autora.

Ktokolwiek się zajmował najwcześniejszymi utworami Krasińskiego, zwróci przedewszystkiem uwagę na dzieła Skotta. W nim, jak to już dzisiaj na pewno prawie twierdzić można, jest źródło wielu motywów, zużytkowanych przez Krasińskiego w innych młodzieńczych powieściach; w dziełach jego dadzą się odszukać szczegóły drobne, powtórzone przez polskiego autora czy to w „Mściwym

---

[1]) „Z Krasiński i dzieło St. Tarnowskiego" Przegl. Polski, 1896.

Karle", czy we „Władysławie Hermanie"; co więcej, powieściopisarz angielski wpłynął na cały kierunek ówczesnej twórczości Krasińskiego, lubującej się w opowiadaniach fantastycznych, opartych na tle historycznem. Średniowieczne stroje, tak szczegółowo odtworzone piórem Skotta, walki rycerzy, namiętności, nie znające żadnego hamulca, to wszystko działało na Krasińskiego młodą fantazyę. Głównem więc źródłem pierwszej powieści Krasińskiego jest Walter Skott, i to jeden z jego najpiękniejszych romansów — „Łucya z Lamermooru" Ponieważ jednak powieść ta w tłómaczeniu polskiem wyszła dopiero w r. 1828. („Narzeczona z Lamermooru" przeł. przez F. S. Dmochowskiego. Warszawa 1828), wysoce prawdopodobnem jest twierdzenie prof. Antoniewicza, że Krasiński korzystał z Walter Skotta w tłómaczeniu francuskiem. Zobaczmy teraz, co zapożyczył z „Łucyi" Krasiński.

Jakaż jest Minna w przedstawieniu Krasińskiego? „Zdawało się, że dopiero osiemnasta wiosna jej bladawe skronie uwieńcza, ogień młodości, ogień, do błyskawicy podobny, świetniał w jej czarnych oczach, ukrytych pod długiemi rzęsy, a smutek, po nadobnych licach rozlany, bladość zamieniająca na lilie róże, kwitnące niegdyś na twarzy, wydawały uczucie zbolałego serca. Jej włosy w wijących się splotach spadały na około szyi, otoczonej pięknie wyszytą chustką". Taką była Minna. A Łucya? „Luciens ausgezeichnet schöne, doch etwas zu weiche Züge—czytamy u W. Skotta w wyd. Reclama, 489—waren gemacht, Seelenruhe, Heiterkeit und Verachtung des weltlichen Flitters auszudrücken. Ihre dunkelgolden Locken umgaben die blendendweisse Stirne, wie gedämpfter Sonnenschein einen Schneehügel. Der Ausdruck ihres Gesichts war im höchsten Grade freundlich sanft, schüchtern und weiblich... Es lag etwas Madonnenhaftes in ihrer Erscheinung, was vielleicht ihrer zarten Gesundheit und dem Aufenthalte im einer Familie zuzuschreiben war, deren Glieder stolzer, lebendiger und thatkräftiger waren, als sie". Takąż rodzinę dumną i nieugiętą w swej woli ma Minna w osobie swego ojca astrologa. Tymczasem jej miękki charakter — *etwas zu weiche Züge* Łucyi — nie dał jej dość siły do stawiania oporu ojcu. Gdy ją pierwszy raz autor wyprowadza na scenę, czyta książkę o śmierci, napisaną przez jakiegoś protestanta. Mimo gorących przedstawień ojca odmawia ręki Wallensteinowi, chociaż serce jej jest wolne, bo serce jej nie pozwala na połączenie się z człowiekiem, w którym dumna ambicya pierwsze zajmuje miejsce, bo czuje, że z nim nie będzie szczęśliwą, „a pędzić życie z takim człowiekiem zdawało się jej, że jest to zamienić złudzenie i błogie

chwile młodości na męczarnie bezdennego piekła." Toż samo pragnienie gorącej miłości ogarnia i Łucyę [1]). Nieokreślony i niewytłomaczony miłością ku innemu wstręt Minny ku Wallensteinowi, wstręt tak wielki, że przełamanie jego jest powodem jej śmierci, wydaje się nam błędem powieści. Sam opór woli ojca, wogóle woli rodziny wziął Krasiński ze Skotta, ale pominął przyczyny oporu, przez tamtego uwzględnione. Łucya bowiem kocha Rawensvooda wbrew woli swej matki i w miłości ku Ravensvoodowi czerpie siłę do oporu woli matki, czego pozbawioną jest Minna. Obie jednak ulegają w końcu rodzicom. Zniewolona usilnemi prośbami ojca zgadza się Minna na jego życzenie, lecz stawia warunek: „Wallensteinie, jeśli prawdziwie mnie kochasz, uczyń zadość mojej prośbie, poczekaj jeszcze tydzień, a po jego upłynieniu przysięgam, że nigdy mojej ręki nikomu nie oddam, jak tobie". W podobnej sytuacyi znajdujemy Łucyę. W towarzystwie jej matki przychodzi do niej Bucklaw — jak Wallenstein do Minny w towarzystwie astrologa — i prosi o jej rękę. Surowość nieugiętej matki łamie wolę Łucyi, i Łucya godzi się na oddanie ręki Bucklawowi, lecz prosi go o tygodniową zwłokę [2]). Jakkolwiek Krasińskiego Wallenstein pod względem swego charakteru o całe niebo różni się od Bucklawa—Wallenstein naturalnie jest namiętny—przecież obaj zgadzają się na prośbę Minny-Łucyi: „Minno, rzekł Wallenstein, zezwalam na twoje żądanie, i, żeby dowieść ci mojej miłości i poświęcenia bez granic, jeszcze tydzień jeden w najsroższej niepewności dla mnie upłynie, ale potem żadna władza boska ni ludzka nie zdoła mnie powstrzymać". Bucklaw nie z tych działa pobudek, co Wallenstein. On ma serce czulsze i delikatniejsze uczucie. I on zwraca się do matki Łucyi z prośbą o zezwolenie na żądanie córki [3]).

---

[1]) „Ihr geheimes Entzücken waren die alten Legenden, in denen sich heisse Liebe und unverbrächliche Treue mit seltsamen Abenteuern und übernatürlichen Schrecknissen mischten" (l. c. 49).

[2]) „Ich habe Wochen, Tage, Stunden und Minuten gezählt, antwortete miss Ashton, ehenoch eine Woche vergeht, muss ich eine Antwort haben... Bis dahin, Sir, sagte sie, sich an Bucklaw wendend, habe so viel Nachsicht für mich, meine Mutter zu bitten, mich mit dieser Sache zu verschonen" (str. 353).

[3]) „Es soll meine inständige Bitte an Lady Ashton sein, erwiderte Bucklaw. Bei meiner Ehre, Madame, ich achte eure Gefühle, und obgleich es mir nun um so wichtiger ist, die Sache für mich zu einem günstigen Abschluss zu bringen, so würde ich doch, so wahr ich ein Edelmann bin, lieber ganz darauf verzichten, als Euch durh die Verfolgung derselben auch nur einen Angenblick Kummer zu verursachen" (l. c. 353).

List, o którym Łucya mówi, wysłała do Rawensvooda, swego narzeczonego, Minna zaś wysyła list do brata. Tydzień mija, niema odpowiedzi dla Łucyi, ani brat nie przybywa w pomoc Minnie. Tu musimy zauważyć, że Krasiński tragiczny koniec swej bohaterki umieszcza przed ślubem przy podpisywaniu intercyzy, Walter Skott zaś dopiero po ślubie, zgodnie z rzeczywistością, bo zdarzenie u Skotta jest historyczne, — każe umrzeć gwałtowną śmiercią Łucyi. Na obrzęd uroczysty przychodzi Minna bez ślubnego wianka. „Rozpuszczone włosy wiły się bez porządku naokoło śnieżnej szyi. Jedna tylko suknia biała bez żadnych ozdób mogłaby być znakiem godowej uroczystości, gdyby wpół ją (!) nie obejmowała czarna przepaska". Tego opisu nie znalazł Krasiński w swym wzorze. Skott ze znaną owszem skrupulatnością opisuje toaletę Łucyi. Nie trzeba chyba tłómaczyć, dlaczego tak Krasiński postąpił. Wydało mu się bardziej odpowiedniem zastosować ubiór do stanu duszy Minny. Usposobienie jednak Minny wiernie podług Skotta skreślone. U Minny „nie wesele, nie słodkie uczucie radości, nie miłości uniesienia, ale smutek, ale śmiertelna rozpacz malowały się na twarzy, odbijały się w ogniu ponurym jej czarownych oczu". Minna „podobną była do pięknego posągu z marmuru, tylko że na martwym kamieniu rozpacz się nie maluje, a rozpacz władała jej sercem, władała już nie zdrowym rozumem" [1]).

Wprowadzona przez ojca do komnaty ma Minna podpisać akt ślubny. Już go podpisał Wellenstein i Adalbert Reichsthal, „teraz kolej przychodziła na nieszczęsną Minnę. Z obłąkanemi oczyma wzięła pióro, ale zapomniała go umaczać. Astrolog odebrał pióro, zanurzył w kałamarz i oddał córce. Ale Minna nie miała dosyć mocy do podpisania się. Ojciec więc wziął jej rękę i nią kierował. Nareszcie nieczytelne dziewicy imię zaczarniało na pergaminie. Właśnie kończyła ostatnią literę, kiedy usłyszano tętent prędko biegnącego konia, a wkrótce potem kroki w sieni i głos silny. — To on — krzyknęła Minna i pióro wypadło jej z ręki". Podobnież było u Walter-Skotta. Intercyzę podpisał już ojciec Łucyi,

---

[1]) Podobnież Łucya „hörte von den getroffenen Gestalten mit der stummen Gleichgültigkeit der Verzweiflung, oder vielmehr mit einer Fühllosigkeit, die in der Betäubung ihres Gemüts begründet war... (l. c 372)... Es war ein Glanz in ihren Augen und eine Farbe auf ihren Wangen, wie man seit lange nicht an ihr gesehen hatte" (l. c. 388.)

sir William i Bucklaw, jej nowy narzeczony [1]) Ta scena widocznie najbardziej się podobała Krasińskiemu, jako rzeczywiście wzruszająca swą dramatycznością. Poszedł więc też za swym pierwowzorem tak dokładnie, że prawie przetłómaczył angielskiego powieściopisarza [2]). Któż więc przerwał akt ślubny? U Krasińskiego „drzwi się otworzyły i wszedł kapitan Alan de Reichstal. Pióro połamane na czapce, cały ubiór w nieładzie, buty, okryte śniegiem, pot, cieknący z twarzy dowodziły prędko odbytej podróży. Jego ukazanie się wszystkich zdziwiło". I Walter-Skott przybyłego Rawensvooda tak samo opisuje [3]).

---

[1]) „Es war nun an Miss Ashton, die Papiere zu unterzeichnen, und sie wurde von ihrer achtsamen Mutter zu diesem Ende an den Tisch geführt. Beim ersten Versuch begann sie mit einer trockenen Feder zu schreiben und, als dieser Umstand bemerkt wurde, schien sie nach wiederholtem Versuche unfähig, ihre Feder in das silberne Tintenfass zu tauchen, das gefüllt vor ihr stand. Die Wachsamkeit von Lady Ashton half dieser Verlegenheit ab. Ich selbst habe den unseligen Kontrakt gesehen und in den deutlichen Buchstaben, womit der Name von Lucie Ashton auf jeder Seite gezeichnet ist, nur eine sehr zitternde Hand bemerkt, was ihren Gemüthszustand zur Zeit der Unterzeichnung offenbart. Aber die letzte Unterschrift ist unvollständig, verwischt und befleckt, denn während ihre Hand schrieb, hörte man den Hufschlag eines Pferdes am Thor, worauf man Schritte in der äussern Gallerie vernahm und eine Stimme hörte, die in befehlendem Ton dem Widerstand der Dienerschaft Trotz bot. Die Feder fiel Lucien aus der Hand, während sie mit schwachem Schrei die Worte ausstiess: „Er ist gekommen — er ist gekommen". (l. c. 375).

[2]) Tłómaczenie niemieckie, którem, niestety, muszę się posługiwać, jeszcze nie oddaje wierności wpływu tej sceny na Krasińskiego. W tłómaczeniu Dmochowskiego, opartem, jak wiadomo, na przekładzie francuskim, ta scena bardziej odpowiada opowiadaniu Krasińskiego, tak, że zadziwiające to podobieństwo: „Przyszła nareszcie kolej na pannę Ashton. Jej czujna matka sama zaprowadziła ją do stołu i wskazała miejsce, gdzie się ma podpisać. Najprzód, gdy zebrała swoje siły, chciała pisać suchem piórem. Gdy matka ostrzegła ją o tem, usiłowała zamaczać je w kałamarzu, stojącym przed nią, ale nie mogła tego dokazać, a lady Ashton musiała i to jeszcze podjąć starannie. Sam widziałem nieszczęśliwą tę intercyzę. Nazwisko Łucyi Ashton wyraźnie wyczytać można na dole każdej stronnicy, zdaje się tylko, że je drżąca ręka kreśliła. (To miejsce zgadza się więcej z Krasińskim, niż przekład niemiecki). Ale ostatni podpis prawie jest nieczytelnym, a litera t w wyrazie Ashton jest tak postawiona, iż możnaby mniemać, że ją wymazać chciała. Bo w tej właśnie chwili, gdy ją kreśliła, koń, pędzący galopem, stanął przed bramą. W tejże chwili ktoś wszedł do przedsionku, a groźny głos odpowiedział służącym, którzy chcieli wzbronić wejścia do sali. To on! zawołała Łucya, przyjechał! i pióro wypadło jej z ręki.

(l. c. III. 173).

[3]) „Kaum hatte miss Ashton die Feder fallen lassen, als die Thüre des Gemaches aufflog und der Herr von Rawensvood in das Gemach trat. Lockhard und

Zbliżamy się do końca tragedyi. Minna truje się, dostawszy truciznę ze zbiorów ojca, Łucya dostaje pomieszania zmysłów i po ślubie rani sztyletem, który jej dał niebacznie własny brat, Bucklawa, sama zaś wkrótce w obłąkaniu umiera. Rolę mściciela—Allana Reichsthala przyjmuje u W. Skotta brat Łucyi, pułkownik Ashton. Scena między nim a Rawensvoodem, jakkolwiek zupełnie przypomina walkę Wallensteina z Allanem, nie prowadzi, jak u Krasińskiego, do pojedynku, bo Rawensvood ginie śmiercią samobójczą. Tyle o jednym motywie i jednej części opowiadania Krasińskiego.

Czy są jeszcze inne ślady wpływu W. Skotta? Po śmierci Minny miał się Allanowi ukazać szatan. „Mówią nawet, że tej pamiętnej nocy ukazał mu się szatan w całej potędze... Ofiarował mu pan nieszczęścia wykonanie zamiarów, obiecał nieszczęśliwy zgon wroga". Walter-Skott mówi to o Rawensvoodzie [1]).

Opis opustoszałej wieży astrologa również nosi na sobie cechy opisów W. Skotta. Burza szaleje na dworze. Wśród burzy i deszczu do domu astrologa przybywa posłaniec od Wallensteina: „Przybył do stóp wzgórka, na którym się wznosił dom niski, ale tak długi, że wziąćby go można z początku za obszerny pałac. Znikało jednak to złudzenie za zbliżeniem się do niego. Jedna część zupełnie była pusta, okna bez szyb, a nieliczne kawałki szkła, pod niemi leżące, dowodziły, że już wiatr rozwiał inne na wszystkie strony. Belki, niedobrze spojone, uginały się pod wichrem, a deszcz rzęsisty dokonywał dzieła niedbałości i czasu... Wysoka wieża z cegieł, rozmaicie pomalowanych, dopełniła dziwacznego obrazu... Dwie lampy oświecały szeroką komnatę, ale ich światło z trudnością się przedzierało przez gęsty dym, który dopiero się zmniejszył, kiedy Walter drzwi otworzył". W podobną burzliwą noc przybywa Rawensvood do zamku swych przodków [2]). Podobnie jak Walter

---

ein anderer Diener... erschienen auf der Schwelle, wie verblüfft, und die ganze Gesellschaft im Prunkzimmer war es für einen Augenblick nicht weniger... Sein dunkelfarbiger Reitermantel, von der einen Schulter verrückt, hing von der andern in den weihen Falten eines spanischen Mantels herab. Seine übrige, sehr reiche Kleidung war von der Reise beschmutzt und von einem scharfen Riss in Unordnung gebracht".

[1]) „Der Bauer... versichert noch heute, dass in jener Unglücksnacht der Herr von Rawensvood durch bittere Ausbrüche der Verzweiflung irgend einen Teufel beschworen habe, durch dessen furchtbare Macht das Gewebe der folgenden Vorfälle gewirkt worden sei. (l. c. 44).

[2]) „Der blasse Mond, der bisher mit fliehenden Wolken gestritten, trat hell hervor und zeigte ihnen den einsamen, nackten Thurm auf einer in das deutsche Meer hinausragenden Klippe. Auf drei Seiten war der Fels unzugänglich; auf der

z trudnością dostał się do wnętrza wieży astrologa („Słowo daję, że łatwiej się dostać do nieprzyjacielskiego zamku, niż do waszego domu"), tak też było i z Rawensvoodem [1]).

Usposobienie Lesliego, jak je opisuje Krasiński, ma pewne podobieństwo do stanu duszy Rawensvooda po śmierci Łucyi. „Zimne jego serce niczem się nie wzruszyło, chyba, kiedy wlewało w niego gorycz przeszłych zdarzeń przypomnienie. Wtenczas zdawał się odchodzić od zmysłów... Chodził po długich zamku korytarzach, jęczał i wzywał zemsty niebios na wroga". Podobnie Rawensvooda wspomnienie Łucyi wyprowadzało z równowagi [2]).

Motyw „Grobu rodziny Reichsthalów", gdzie jej członkowie nienaruszeni oczekują na trąbę archanielską, przypomina „Pieśni ostatniego minstrela". Tam przybywa rycerz do podziemnego lochu, gdzie, jak mu mówiono, ma spoczywać zmarły pielgrzym:

„Vor ihrem Blick der Zaubrer lag
Als wär'er tot noch keinen Tag.
Sein Bart im Silberglanze wallt,
Er schien wohl siebzig Jahre alt.
Ihn hüllt' des Pilgers lang Gewand,
Umschnürt von spanischen Gürtels Band.
Die Linke hielt das Zauberband,
Ein silbern Kreuz die rechte Hand
Die Lampe stand zu seinen Knieen [3]).

---

vierten, der Landseite war er sonst von einem künstlichen Graben und einer Zugbrücke beschützt gewesen, aber die letztere war zerbrochen und eingestürzt und der erstere war zum Theil ausgefüllt... Die übrige Seite des Vierecks wurde von dem Thurme selbst eigenommen, der eng und hoch von gräulichen Steinen gebaut im Mondlicht erschien, wie ein schimmerndes, ungeheures Riesenscepter. Eine wildere, unheimlichere Wohnung könnte man sich schwerlich vorstellen... Obwohl die Nacht noch nicht sehr vorgerückt war, so bemerkte man doch kein Lebenszeichen in dieser verlorenen Behausung, ausgenommen, dass ein einziger der schmalen Gitterfenster, die unregelmässig in den Wänden des Gebäudes sich zeigten, in einem matten Lichte schimmerte" (l. c. 98—9.

[1]) „Obgleich Rawensvood mit Macht an das niedriege Thor klopfte und mit wiederholten Rufen Caleb aufforderte, aufzumachen und sie einzulassen, währte er doch sehr lange, bis sie eine Antwort erhielten".

[2]) „Sie, Lucie Ashton! —willst du mich töten, Alter, indem du mich zwingst, ihren Namen zu wiederholen" mówi do swego wiernego sługi. (l. c. 405). Późno w noc Kaleb „vernahm die schweren Tritte desselben auf dem Fussboden, die von tiefen Stöhnen unterbrochen wurden; er hörte es, wie er mit dem Absatz seiner schweren Stiefel den Boden stampfte und er erkante in diesen Zeichen die Ausdrücke der heftigsten Verzweiflung" (l. c.).

[3]) (Des letzten Minnesängers Sang, Leipzig. Reclam 24—5).

U Krasińskiego u grobu Fatymy również pali się „srebrna lampa, podsycana najczystszą palestyńską oliwą". Czy jednak to, zresztą piękne i fantastyczne opowiadanie wywołało u Krasińskiego takie wrażenie, że motyw ten szerzej rozwinął, czy też wziął go całkowicie z jakiej innej powieści, nie umiem powiedzieć.

Zdać sobie wreszcie należy sprawę, co właściwie jest własnością Krasińskiego, a co Walter-Skotta. Widzieliśmy, że cała pierwsza część opowiadania oparta jest na „Łucyi z Lammermooru". Znajdujemy więc tu nieugiętego ojca, tam—matkę, piekną, lecz ulegającą woli rodziców, Minnę-Łucyę i ten sam tragiczny jej koniec. Nie brak jednak i różnic. Wallenstein łączy w sobie dwie osoby z Łucyi: Rawensvooda i Bucklawa. Rawensvooda znowu wiele cech dostał Allan, mianowicie jego namiętność uczucia, chociaż jemu, jako mścicielowi siostry, odpowiada u W. Skotta Bucklaw i brat Łucyi, pułkownik Ashton. Jako wspólny motyw, który wszystkie różnice w sobie łączy i skupia, jest złamanie szczęścia córki wskutek woli rodziców. Co jednak W. Skott głęboko i obszernie umotywował, miłością Łucyi ku Rawensvoodowi jej niechęć do Bucklawa, to u Krasińskiego przybiera kształt chorobliwego prawie i nie bardzo wytłómaczonego wstrętu Minny ku Wallensteinowi. Przyjąwszy jednak ten motyw, szerzej rozwinął Krasiński motyw zemsty i wplótł go w fakt historyczny, korzystając z nieznanej, choć historycznie prawdziwej, osoby pułkownika Leslie. Ten więc należy bezwarunkowo oddać Krasińskiemu i przyjąć go za rys charakterystyczny do ocenienia jego działalności pisarskiej. Szczegóły historyczne są prawdziwe; nawet rude włosy historycznego Wallensteina znalazły się u Krasińskiego, nie mówiąc już o dokładnem podaniu dni bitew, zamiłowaniu Wallensteina do astrologii, przepychu prawdziwie królewskim, o jego zamysłach i śmierci. Tylko miłość Wallensteina i pułkownik Leslie — przebrany Allan—są wytworem fantazyi autora, posługującej się pierwowzorem angielskim. Tam znalazł Krasiński to, co było potrzebnem wedle jego zapatrywań do stworzenia powieści historycznej.

II

„Mściwy Karzeł i Masław, książę mazowiecki".

Powieść narodowa.

Krótka ta powiastka, zamieszczona w „Pamiętniku dla płci pięknej" z roku 1830, bez wątpienia jednak napisana wcześniej,

słaba pod względem techniki powieściowej i stylu, jest o tyle znamienną, że rzuca nowy snop światła na młodociany umysł Krasińskiego. Kolorytu romantycznego odmówić jej nie można. O treści szczupłej i strasznej, ma za dekoracyę czerwone chmury, straszliwą burzę, ciemności, lochy podziemne, huczną biesiadę na zamku gozdawskim i pożar. Na tem tle ukazują się nam Joanna z Gozdawy, mordująca dziewice, dziki Masław, który bierze na siebie rolę mściciela, karzeł Joanny, pomocnik w jej zbrodniach, i dwie postacie: Jordana i Zbisławy z Czernic, którzy niewinnie śmierć ponoszą przez spalenie żywcem w zamku razem z Joanną i jej pomocnikiem. Odłóżmy na bok dekoracyę, a zostaną straszne czyny Joanny i kara za nie, jako główna treść powiastki. Skąd ją Krasiński wziął?

W „Dzienniku warszawskim" z r. 1826 (tom VI. 75 — 77) pod tytułem „Miscellanea. Zamek węgierski Kseith", znajduje się następujący artykuł: „W podróży opisowo malowniczej (*pittoresque)* ponad brzegami Waagi przez barona Miedniańskiego drukowanej w Pesth 1826 r., znajduje się następująca historyczna okoliczność. Zamek Kseith nad Waagą przedstawia teraz gruzy i zwaliska. Należał on kiedyś do Mathiasa Korwina i Maxymiliana II i dostał się Elżbiecie Batorównie, synowicy Stefana Batorego, króla polskiego, a żonie Franciszka Nadasdy. Księżniczka ta nadała nieszczęsną sławę temu zamkowi, w którym przez wiele lat dopuszczała się okrucieństwa, jakiego prawie dzieje nie wystawiają przykładu. Kazała ona wychowywać w swoim pałacu ubogie dziewczęta, które wyposażała i wydawała za mąż co rok w czasie niektórych okoliczności; ale karała gwałtownie i srogo najmniejsze uchybienia i zdawała się mieć upodobanie, poglądając na cierpienia tych niewinnych istot. Dnia jednego w szalonem uniesieniu uderzyła gwałtownie jedną z tych nieszczęśliwych tak, że krew bryznęła jej na twarz. Zbliżywszy się do zwierciadła dla otarcia twarzy, zdało się jej, że w miejscu skrwawionem ciało stało się bielsze, piękniejsze i świetniejsze.' Wnet przychodzi jej na myśl, ażaliż nie mogłaby się odmłodnić, we krwi ludzkiej się kąpiąc. Dwie stare służące i karzeł nadworny Fitzko pomagali jej w wykonaniu tak okropnego zamiaru. Młode dziewczęta znikały jedna po drugiej, i, co zaledwie można pojąć, więcej, niż 300, zostało zamordowanych dla kaprysu tej okrutnej niewiasty. Pewien młodzieniec, utraciwszy tym sposobem swoją narzeczoną, powziął podejrzenia, a rozrzuciwszy złoto, wydostał nawet szczątki nieszczęśliwej, którą opłakiwał. Zapalony gniewem, przejęty boleścią, leci do Presburga i napełnia całe miasto wyrzekaniem żałości i rozpaczy. Grzegorz Thurzo, kanclerz kró-

lestwa, widząc, że chodzi o znakomitą osobę, udał się sam na miejsce, zeszedł niespodzianie cztery potwory na gorącym uczynku właśnie w tej chwili, gdy ofiara ostatniego oddawała ducha, opierając się pierwej nadaremnie swoim zabójcom. Natychmiast uformowano proces, którego akta zostały wydrukowane dla zaspokojenia powszechnej ciekawości i oburzenia. Dwie owe kobiety skazano na ucięcie prawej ręki i głowy, karła na utratę ręki i spalenie żywcem. Księżnę wtrącono do ciemnego więzienia, w którem po trzech latach umarła roku 1614."

W tym artykule mamy całe opowiadanie Krasińskiego. Joanna z Gozdawy była to można i bogata pani, opowiada Krasiński, ale okrutne jej serce raczej pod żelaznym pancerzem, niźli pod rąbkiem niewieściego stroju, bićby powinno. Wdzięki jej mało równych zapewne miały na świecie, a przecież nie zdobiły one przed laty Joanny; nie zbywało jej zaprawdę na kształtności rysów i wspaniałości postawy, ale płeć twarzy nadzwyczaj śniada niweczyła całą piękność. Lubiła potężna pani zgromadzać do domu swojego młode dziewice. W ich gronie znajdowała się Elżbieta... Czarowne jej wdzięki wielbiła cała okolica; zazdrosnem na to spoglądała okiem Joanna, i przyszła jej myśl piekielna sprzątnąć ze świata Elżbietę. Karzeł jej wezwany był do spełnienia tych zamiarów. Ułożono daleką podróż, Elżbieta towarzyszyła swej pani. Na pierwszym noclegu związano dziewicę, i sama Joanna męczyła ją różnymi sposobami. Wtem kropla krwi padła na jej twarz śniadą. Joanna, zbliżywszy się do srebrnego zwierciadła, obmywać ją zaczęła, i zaraz potem spostrzegł karzeł dziwny rodzaj radości i zadowolenia w jej okrutnem spojrzeniu. Skinęła na karła ręką, a ten, zbliżywszy się, dostrzegł z niemałem zdumieniem, że miejsce, skąd krew otarła, bieliło się, jak śnieg na górach. Joanna spojrzała na sztylet karła, lecz nim jeszcze słowo wyrzec mogła, już Elżbieta u nóg jej bez duszy leżała. Joanna rzuciła się na ciało dziewczyny i w ciepłej krwi twarz swoją myła. Trzeba było widzieć jej radość, gdy, zbliżywszy się do zwierciadła, nadzwyczajną białość płci ujrzała... Gdy Joanna namiętnie pokochała Masława, księcia na Mazowszu, wtenczas często już trzeba było powtarzać zbrodnicze kąpiele. Ginęły dziewice jedna po drugiej. Właśnie w dniu, w który nas wprowadza autor, miała zginąć Zbisława z Czernic. Karzeł, dotychczasowy pomocnik Joanny, odepchnięty przez nią i zionący zemstą, wydaje wszystko Jordanowi z Bordan, narzeczonemu Zbisławy. Złoty łańcuch, rzucony mu pod nogi przez Jordana, nie wpłynął na jego zdradę, bo osobista ku Joannie nienawiść główną jest sprężyną zemsty. Lecz w opowiadaniu z Pamiętni-

ka Warszawsk. czytał zapewne Krasiński i zapamiętał złoto, rozrzucane przez młodzieńca. Właśnie w chwili, gdy już Zbisława miała upaść pod ciosem zbrodniczego sztyletu, ocala ją od śmierci Jordan (w wyżej wymienionem opowiadaniu łapią zbrodniarkę w chwili, gdy jej ofiara już umiera) i razem z nią udaje się do Masława. Ten, odepchnięty przez Zbisławę, w której chce mieć następczynię Joanny, każe przywiązać do kamiennych słupów zamkowych Joannę z jej pomocnikiem karłem, Zbisławę i Jordana i spalić wszystkich żywcem. Na tem kończy się opowiadanie.

Nie ulega chyba najmniejszej wątpliwości, że powieść Krasińskiego na wskazanem opiera się źródle. Dla charakterystyki jednak autora trzeba słów parę powiedzieć o jego sposobie korzystania ze źródła. Pierwszem pytaniem, które tu należy postawić, jest, czy powieść ta ma prawo do noszenia tytułu narodowej. Bezwarunkowo nie. Jako osoba historyczna, występuje tu Masław, jednem zdaniem autora bliżej określony, jako: podczaszy na królewskim dworze, a teraz książę płocki i srogi łupieżca ucieczką Ryxy zaburzonej Polski. „Zuchwałość, połączona z chęcią panowania, strasznym go czyniła nawet odległym sąsiadom, i może nie było wówczas w całem Mazowszu człowieka, któryby się poważył wszechwładnej woli jego oprzeć." Nawet kolorytu historycznego nie zachował Krasiński w charakterystyce Masława, który, jak mówca dzisiejszy, do swych rycerzy woła: „Panowie!..." Historyczną więc ta powiastka nie jest, chociaż młody autor chciał, aby była historyczną, nietylko bowiem wplótł w kanwę opowiadania osobę historyczną Masława, lecz zlokalizował całe opowiadanie na Mazowszu. Wszystkie mianowicie miejscowości, wspomniane przez autora, jak Czernice, Bordany, Gozdawa, leżą na Mazowszu i to w pobliżu Opinogóry, siedziby Krasińskich. Zewnętrznemi więc cechami chciał Krasiński zrobić z tej powieści powieść narodową i historyczną. „Mściwy karzeł" jest też pod tym względem o wiele niższy od „Władysława Hermana", w którym mimo fabuły przejętej od angielskiego powieściopisarza dość jest miejsca na podmalowanie tła rzeczywiście historycznego, chociaż jeszcze nie wszędzie odpowiadającego rzeczywistości.

Główny motyw opowiadania (bielenie skóry krwią dziewic) również nie odnosi się do żadnej z osób historyi polskiej. Dlaczegoż więc autor przesadził fakt, stanowiący chyba bardzo ciemną plamę w charakterze narodowym, na grunt polski? Nie możemy przypuszczać, żeby autor nie wiedział, że może się spotkać z protestem histo-

ryka, występującego w obronie narodowego charakteru [1]), i że protest ten będzie najzupełniej szłuszny. Tak strasznych zbrodni nikt nie zechce przeszczepiać wbrew prawdzie historycznej na grunt swojski nawet w powieści. Tłómaczy autora ówczesna ogólna dążność do stworzenia w Polsce powieści historycznej. Miał fakt, straszny swą zwierzęcą prawie dzikością, lecz pociągający fantazyę grozą, a chciał, jak wielu innych, przyczynić się cegiełką do budowy powieści swojskiej. Oblókł go więc, jak umiał wtedy, w szaty polskie, nie troszcząc się o to, że czyni się tem krzywdę pewną przeszłości narodowej, i był pewny, że stworzył powieść narodową. Miał zresztą i obronę gotową.

Zdarzenie, zaszłe w wieku 17 w kraju obcym, przeniósł wprawdzie do Polski, ale przeniósł do wieku jedenastego. A to już stanowi pewną różnicę. Zbrodnia w wiekach średnich, najstraszniejsza nawet, znajduje, jeżeli nie usprawiedliwienie, to przynajmniej wytłómaczenie i złagodzenie w braku cywilizacyi i delikatności uczuć, więc mniej razi, niż ta sama zbrodnia, popełniona w wieku XVII. Szczęśliwy też pomysł autora wprowadzenia Masława do powieści pozwala na koloryt o wiele ciemniejszy, bo i czasy Masława, czasy ostatniego powrotu pogaństwa w Polsce, zgodzićby się mogły z największą zbrodnią. Nie dlatego jednak wprowadza nas autor w wiek XI. Powód znajdujemy w fantazyi autora, lubującej się w mgle średniowiecznej, w której dziwnie romantycznie i pięknie przedstawiają się rycerze, zamki, lochy podziemne i t. d. Też nawet w „Grobie rodziny Reichsthalów" z wieku XVII-go woli nas autor prowadzić do opustoszałej wieży astrologa z trupią czaszką na stole a balsamowanym trupem w podziemiu, niż do nowego i spokojnego domu mieszczanina Egry.

Poza Joanną z Gozdawy, skreślonej według gotowego źródła, wśród innych osób zasługuje na uwagę pomocnik jej, karzeł Gonda. Jego osobista nienawiść do Joanny staje się powodem katastrofy. Obsypany przez swą panią łaskami w nagrodę za pomoc w zbrodni uczuł się bardzo dotkniętym, gdy się wyrzec ośmieliła, że wyrodek ludzkości, że jemu podobna potwora niepotrzebna na jej dworze. Przysiągł jej zemstę. „O Joanno z Gozdawy! szerokie masz dobra, liczne włości, wielkie dostatki i bogactwa w skarbcach i skrzyniach i niemałą potęgę w ręku; mury otaczają twój zamek, zbrojni go

---

[1]) Por. Gawarecki: Wieś Gozdawa w powiecie płockim. Bibl. warsz. 1852. IV.

strzegą żołnierze, a przecież musisz zginąć, bo ani dostatki, ani żołnierze, ani te mury nie potrafią cię zakryć przed zemstą Gondy, tego karła, tej poczwary, tego wyrodka ludzkości. Wyzwałaś mię do walki, będziesz ją miała, Gonda dotrzyma ci placu. Mściciela znajduje w Jordanie [1]), któremu wydaje zbrodnie swej pani. Skazany na śmierć przez Masława postępuje wprawdzie w milczeniu, a na jego twarzy malowała się straszliwa bojaźń cierpień przyszłego żywota i godnych zbrodni swojej udręczeń. Lecz była to słabość tylko chwilowa (a może niezręczność autora młodego). Pragnienie zemsty i radość na widok cierpień Joanny usuwa przestrach z jego twarzy, a „gdy już ogień przedsionki obejmować zaczął: „Ha! ha!— zawołał piekielnym głosem — jak się świetnie pani moja w płomieniach wydaje. Na szatana! płeć jej od lilii bielsza! szkoda, że ją dym okopci! krwi trochę! krwi trochę!... To były ostatnie jego słowa". Ta jedyna postać, która obok Joanny posiada dość wybitnie odcinający się od powszedniości charakter, żyje tylko zemstą, a z tytułu możemy wnioskować, że, chociaż nie występuje w akcyi, miała być i była ważną jej sprężyną. Obok motywu zbrodni strasznej mamy motyw zemsty, który przewija się przez całą tę powieść i spokrewnia ją z innemi powieściami Krasińskiego. A co ciekawsza, to, że, podczas gdy osoby o charakterze szlachetnym nie występują dość plastycznie, postaci, zbrodniarki Joanny i karła, żyjącego zemstą, odcinają się wyrazistością przedstawienia od tamtych. W plastyce charakterów mściwych ćwiczył się Krasiński od początku swego zawodu pisarskiego.

III.

Przyczynek do genezy „Władysława Hermana".

Po rozprawie prof. Antoniewicza o „Władysławie Hermanie" niewiele można dodać szczegółów do poznania, jakie okruchy złożyły się na powieść Krasińskiego. Wiemy, że oparł się na Naruszewicza Historyi i „Kenilworth" Walter-Skotta. Kilka uwag, które tu zrobię, niech służą do pełniejszego wykończenia obrazu.

Mimo bardzo szczegółowego korzystania z dzieła historyka polskiego przesunął Krasiński wiele faktów, zresztą prawdziwych, w je-

---

1) Łańcuch złoty rzuca mu Jordan. Przyjęcie łańcucha przez karła psuje jednolitość jego charakteru, lecz Krasiński przejął to ze źródła.

dną epokę, biorąc za punkt wyjścia rok 1089, jako czas tragicznego zgonu Mieczysława. Nie mówi Naruszewicz nigdzie w swem dziele, jakoby Zbigniew starszym był od Mieczysława, nie mówi nic ani wogóle o jakiemkolwiek małżeństwie Zbigniewa, ani tem więcej o tajemnem małżeństwie, nie daje najmniejszej podstawy do nazywania króla Władysława starcem. Czytamy jedynie u Naruszewicza, że Władysław Herman „był schorzały, a dla słabości zdrowia oddawna domu pilnujący”, co też Krasiński niejednokrotnie podnosi. W roku 1089 nie był Zbigniew, według Naruszewicza, jeszcze uznany przez króla za syna, nie mieszkał też w Płocku i nie był nazywany księciem. W tym roku też nie prowadził Zbigniew żadnej walki z Pomorzanami. Wszystkie te drobne szczegóły, prawdziwe i u Naruszewicza podane, odnoszą się do lat po r. 1095. Krasiński przesunął je w epokę o wiele wcześniejszą zupełnie dowolnie. Jest-to jedna z cech ówczesnej powieści historycznej, której już wielką było zaletą, gdy nie tylko miała osoby o nazwisku historycznem, lecz i posługiwała się zdarzeniami historycznemi, choć wbrew prawdzie złączonemi w jedność. Tak postępowali inni pisarze, za nimi poszedł i Krasiński. Wśród innych miał Krasiński i tu poprzednika, którego powagę musiał uznawać. Był to Niemcewicz.

W roku 1819 wyszła z druku tragedya Niemcewicza p. t. „Zbigniew”, której bohaterem jest syn Władysława Hermana. Nie ulega chyba wątpliwości, że Krasiński dzieła Niemcewicza wogóle znał. Z tragedyi Niemcewicza „Władysław pod Warną” umieścił nawet wyjątek, jako motto drugiego rozdziału swej powieści. Otóż we wstępie do „Zbigniewa” mówi Niemcewicz to samo, cośmy przed chwilą mówili o prawdopodobnych zapatrywaniach Krasińskiego na zadanie powieści historycznej. „Oddalone tylko przez lat kilka w życiu Zbigniewa wypadki — pisze Niemcewicz — zawarłem w jednem objęciu i jednym czasie. Charakter jego niespokojny, burzliwy zdał się niepospolicie teatralnym. Od poranku życia aż do smutnego zgonu szalona żądza panowania, najazdy, zdrady, spiski, zmowy z postronnymi napełniały dni Zbigniewa”. Takie zwrócenie uwagi na postać historyczną skłoniło zapewne Krasińskiego do ubrania jej w szaty hrabiego Leicestra z Kenilworthu. Wspomniałem wyżej, że źródła nic nie mówią o małżeństwie Zbigniewa. To, coby w ostateczności uszło Krasińskiemu w „Grobie rodziny Reichsthalów”, nie uszłoby w powieści, tyczącej sie dziejów polskich. Wobec tego musiał Krasiński oprzeć się na powadze autora szanowanego. „Przydałem—pisze dalej Niemcewicz — żonę Zbigniewowi, tkliwą, pełną słodyczy i rozsądku, by burzliwą męża zaciętość tem mocniej

wystawić". Mając już żonę Zbigniewa, mógł Krasiński bez wielu skrupułów zrobić ją żoną, potajemnie zaślubioną, by nie oddalać się od swego wzoru. Ale i tu nawet pomógł mu Niemcewicz, który, wyliczając osoby, wymienia: „Dobrosława, żona Zbigniewa, potajemnie mu zaślubiona". Co więcej, Niemcewicz poucza nawet czytelnika, gdzie ma szukać wiadomości o Zbigniewie: „Ci, co o prawdzie przytoczonych czynów przekonać się zechcą, bez szperania w dawnych kronikarzach znajdą je w 3-im tomie historyi uczonego i niespracowanego Naruszewicza". Niemcewicz więc mógł poddać Krasińskiemu źródło, i od niego mógł przyjąć Krasiński fakt niehistoryczny tajemnego małżeństwa Zbigniewa. Nie można wprawdzie nawet spodziewać się znaczniejszego wpływu tragedyi Niemcewicza, zbyt drobnej, na obszerną powieść, i tu jednak dadzą się wykazać pewne rysy wspólne.

Zbigniew jest u Niemcewicza tak samo żądnym zemsty nad Bolesławem i tak samo go nienawidzi (str. 10), jak w powieści Mieczysława. Jedno słowo niebaczne wprawia go w uniesienie. Porównajmy np. zachowanie się tych dwu Zbigniewów w obu utworach. Gdy w liście cesarza czyta Zbigniew, że Bolesław grozi mu okowami, nagle wzmaga się chęć zemsty:

„W okowach! na myśl tę gniew mój, zemsta zapalczywa,
Głos jędz piekielnych w sercu mojem się odzywa". (l. c. 42).

Podobnież i Zbigniew Krasińskiego rzuca się na samą myśl o tem, że ktoś mógłby się starać go przestraszyć: „Przestraszyć, — zawołał książe, brwi marszcząc i rękę kładąc na pałaszu — Bóg chyba, kiedy w dzień sądu ostatniego zejdzie na chmurach pośród piorunów i burzy, zdoła mnie przestraszyć". Mimo dumy i namiętnej żądzy panowania przebija się u obu Zbigniewów pewna podatność na łagodne upomnienia. Pod wpływem perswazyi, w powieści—króla, w tragedyi—Bolesława, Zbigniew i tu i tam jest już gotów odstąpić od walki i pogodzić się z bratem. Lecz rolę Mestwina przyjmuje Gniewomir, odwodząc obaj swych panów i przyjaciół od tego zamiaru, a grają tylko na ich dumie. Gwałtownie i śmiało mówi Gniewomir, namawiając Zbigniewa do zemsty:

„Idź, niepomny na dawne zaszczyty i chlubę.
Tego, co płaszcz królewski miał nosić na sobie,
Niech kryje włosiennica w pokornej żałobie".

Tak samo gwałtownie i z równie pomyślnym, jak Gniewomir, skutkiem, woła Mestwin do Zbigniewa: „Zrzuć już zbroję, synu

i wnuku tylu królów, zawieś oręż nad łożem rozpaczy, przywdziej suknię niewieścią".

Takież ogólne podobieństwo charakterów okazuje Dobrosława z Hanną. Obie odznaczają się cichem poddaniem się nieszczęściu, miłością dla męża i kraju. Dobrosława napomina Zbigniewa, by nie toczył bratobójczej walki z Polakami i kończy:

„Te rady daje, takie zdanie ci odkrywa
Żona, matka twych dzieci i Polka prawdziwa (l. c. 22).

Tak i Hanna, odwodząc męża od walki, mówi: „Ależ, mężu mój, oni Polacy, a ja córka Wszebora" (l. c. 70), a na innem miejscu: „Tak, wykonam obowiązek i Polki, i żony, i córki" (l. c. 207).

Rozmowa Dobrosławy ze Zbigniewem przypomina treścią scenę między Hanną z Ciechanowa a Zbigniewem:

Dobrosława:

„Ja nad wielkość związki prawe
I słodycz wolę kochania. (l. c. 23)

Zbigniew:

Nad miłość przekładam sławę,
I blask świetny panowania".

Tak Zbigniew u Krasińskiego, gdy mu Hanna wyrzuca, że zezwolił na to, by ją uważano za jego kochankę, odpowiada, że chodzi mu przedewszystkiem o pokonanie nieprzyjaciół (l. c. 71).

Wpływ tragedyi Niemcewicza ogranicza się więc na ogólnej charakterystyce Zbigniewa, Dobromira i Dobrosławy i odpowiednich osób z powieści i na przejęciu faktu tajemnego małżeństwa Zbigniewa. Rozumieć więc należy tak bieg myśli Krasińskiego. Z tragedyi zapoznał się ze Zbigniewem, jego stosunkami ogólnie, może Niemcewicz też podsunął mu myśl pogłębienia wiadomości przez przestudyowanie Naruszewicza. Stało się to w każdym razie dopiero wtedy, gdy w Kenilworcie znalazł hr. Leicestra w odpowiedniej sytuacyi i podobnie scharakteryzowanego, jak u Niemcewicza Zbigniew. W przedmowie pisze Niemcewicz, że nakłaniał innych do napisania tragedyi o Zbigniewie. Myśl ta podobała się zapewne Krasińskiemu: ponieważ tragedya już była, wziął się do pisania historycznej powieści, również bardzo tragicznej, o tymże samym Zbigniewie.

IV.

Pierwsze ślady wpływu Byrona na Krasińskiego.

Meteor, który jasno, lecz krótko świecąc, zabłysnął na horyzoncie literackim Europy na początku XIX wieku, olśnił swym promieniem i koryfeuszów naszej literatury. Byronizm — to cecha, którą prawie z góry ujrzeć się spodziewamy w każdym utworze z przed roku 1830, o ile do nowej już należy szkoły. Tem dziwniejsza, że u Krasińskiego wpływu tego w pierwszych jego pracach literackich nie dojrzysz: zapalony wielbiciel i naśladowca Walter-Skotta o nim tylko rozprawiał z młodymi towarzyszami dyskusyi literackich, jego tylko naśladować się starał. Pod tym wpływem powstały powieści historyczne Krasińskiego „Wilczki", „Grób rodziny Reichsthalów", „Władysław Herman", „Mściwy karzeł". Wrażliwy jednak charakter Krasińskiego nie mógł nie odczuć piękności pióra Byrona, zwłaszcza, gdy w duszy jego już nastała odpowiednia pora do przyjęcia pesymizmu. Wypadek w uniwersytecie, wyjazd na obczyznę wśród takich stosunków musiał bez wątpienia zostawić w duszy poety nasiona goryczy i zrobić ją podatniejszą dla wpływu pism Byrona. Dodajmy do tego nowe otoczenie w Genewie, literatów z zawodu, dyskusye literackie w salonach, w których literatura wcale nie była obcą, a utworzy się środowisko, w którem zrozumiały jest wpływ poety angielskiego. Z tego, cośmy powiedzieli, nie wynika jednak, by Krasiński Byrona zupełnie nie znał przed wyjazdem zagranicę. Owszem, mamy we „Władysławie Hermanie" cytatę „Snu" Byrona w tłómaczeniu Mickiewicza. (Rozdział XXVI). Przypuszczać więc należy, że tu główny wpływ wywarło imię Mickiewicza, z którego tyle cytat mamy porozrzucanych po pierwszych powieściach Krasińskiego. Widoczny wpływ Byrona daje się spostrzedz na małym, lecz ciekawym dla charakterystyki autora utworze, który się ukazał w „Pamiętniku dla płci pięknej" z r. 1830, w zeszycie z 15 czerwca p. t.: „On, ułamek z pamiętników życia młodzieńca". Już gdzieindziej udowodniłem [1]), że autorem tego utworu jest Krasiński; tu starać się będę wykazać, że „On" powstał przeważnie pod wpływem lektury Byrona i to przedewszystkiem dwu jego utworów. Pierwszym jest „Sen".

---

[1]) Zygmunt Krasiński jako współpracownik „Pamiętnika dla płci pięknej". Lwów 1894.

Już zewnętrzna strona obu utworów jest podobna, mianowicie co do sposobu rozdzielania rozdziałów od siebie. U obu poetów powtarza się zdanie, kończące jedną, a zaczynające drugą zmianę snu. U Krasińskiego brzmi ono: „Właśnie w tej chwili nowa nastąpiła zmiana“, poczem następuje opis coraz innej części życia młodzieńca, przy końcu „Żadnej już zmiany nie było“. Byron zaś mówi (w tłóm. Mickiewicza): „Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia“, a wreszcie: „Nie ma więcej zmian w scenach mojego marzenia“.

Co do sposobu ujęcia tematu, zauważyć należy, że obaj autorowie korzystają ze snu, by przedstawić życie młodzieńca. U Krasińskiego widzimy przeszłość śnioną, Byron sam opowiada nam, jak w widzeniu sennem widział całe życie młodzieńca i dziewicy. Tak więc w zmianie trzeciej u Krasińskiego widzimy młodzieńca wśród pięknej okolicy, gdzie „niebo uśmiechało się do ziemi, i kwiecia i łąki uśmiechem za uśmiech odpłaciły... I on był wśród tych wszystkich piękności, lecz już nie sam — na jego ramieniu opierała się dziewica i oboje wchodzili na górę i za każdym krokiem w nową krzepił się, dotąd nieznaną siłę, i im bliżej dochodził wierzchołka, tem bliżej mniemał się nieba, bo ona szła z nim razem, bo w jej oczach czerpał strumienie wielkości i uniesienia“.

Od tego też zaczyna Byron swoje opowiadanie:

„Widziałem w kwiecie wieku młodych ludzi dwoje,
Chłopca i dziewkę: stali na wzgórku oboje,
A wzgórek był zielony, pochyłej urody,
Niby jaki przylądek: tylko zamiast wody
Wkoło żywy krajobraz i powiewna fala
Kłosów i sianożęci .. ...
W obojgu rzeźka młodość, w niej piękność rozkwita,
W obojgu młodość, ale młodość rozmaita;
Chłopiec był laty młodszy, lecz starsze nad lata
Serce jego. Wzrok jego w całym kręgu świata
Jedynie tylko widział ukochane lice
I widział je przed sobą: w niem utkwił źrenice,
I nie mógł ich oderwać: nie było w nim ducha,
Ona była mu głosem, — on swych oczu nie ma,
Ona mu była okiem, bo ścigał oczyma
Jej spojrzenia i wszystkie ogląda przedmioty
W świetle, od niej odbitem: on nie ma istoty,
Nie ma życia: w nią przelał całe życie swoje,
W niej, jako w Oceanie, wszystkie myśli zdroje
Pogrążył....

Tu się drogi obu poetów pozornie rozchodzą. Młodzieniec Byrona czuje się nieszczęśliwym, bo nie jest kochany, a ulubiona jego

wychodzi za innego; Krasińskiego „On“ wpada w rozpacz, bo pani jego myśli rozłącza się z nim — z jakiego powodu, tego autor nie podaje. Że tu Krasiński odstąpił od swego wzoru, tłómaczy nam to, że w ułomku tym działała i fantazya i rzeczywistość. Wydaje się bowiem bardzo prawdopodobnem przypuszczenie, że Krasiński chciał przedstawić swoją rozpacz po odjeździe miss Harry, z którą się poznał w Genewie. Byron więc, jako autor tylko, występujący, przedstawia boleść młodzieńca w kilku fazach, Krasiński, który sam czuł to, co pisał, nie mógł rozwlekle swego stanu przedstawić, wolał rozpacz młodzieńca w jednej przedstawić zmianie, lecz za to nagromadzić tu tyle efektownych obrazów, by ta jedna zmiana wystarczyła. To, co Byron, jako widz, z pewnym filozoficznym opowiada spokojem, ubiera Krasiński w barwy namiętne i jaskrawe, dodaje od siebie wiele rysów, by ten straszny ból młodzieńca tem straszniejszym się wydał. Korzystając z kilku delikatnych wzmianek Byrona, stara się fantazyę czytelnika przerazić widokiem obrazów okropnych, które przecież nie mogły wzruszyć nieszczęściem znieczulonego umysłu młodzieńca: „Dziwne, pomieszane i tłumne kształty przesuwały się przed jego wzrokiem... wśród miast i pustyń, wśród wesołych zabaw i smętnych okolic, wszędzie nosił z sobą własne nieszczęście... Zimnem patrzał okiem na zgon cudzych nadziei, bo już sam przyzwyczaił się żadnej nie mieć na ziemi. Wdzierał się na skały—przebywał spiekłe pustynie, żmijom zostawione w podziale, gdzie promienie słońca członki jego paliły, i krew, z ran ciekącą wysuszały w powietrzu, nim spadła na piaski... a wszędzie, wszędzie szła za nim rozpacz... i jedną myślą zajęty z wszystkiemi innemi rozbrat uczynił i, jeśli działał, to działał bez chęci, bez rozumu, bez namiętności.

A u Byrona:

Chłopiec dorósł młodzieńca. W obce pokolenia,
W dalekie zbłądził kraje i pod wschodniem słońcem
Poił duszę płomieniem. On wiecznym był gońcem
Na lądzie i na morzu. Dokoła postaci
Podobne jemu krążą — przyjaciół czy braci?...
Tu mnóstwo scen okropnych snuło się odrazu,
I ów chłopiec był cząstką każdego obrazu.
Ujrzałem go nakoniec. Dziwacznie przebrany,
Gdzieś daleko, w obozie wschodniej karawany,
Śród połamanych kolumn, na gruzie pomników,
Co przeżyły imiona swoich budowników,
Leżał.

Korzystał także Krasiński z innej „zmiany“ Byrona:

Młodzieniec był pielgrzymem, jak widać z odzienia.
Kształty, przy nim krążące, znikły z senną marą

Lub wojnę z nim toczyły. On stał się ofiarą
Nienawiści swych wrogów; zewsząd zguby blizki
Postrzega sidła zdrady lub zemsty pociski.
Stoły jego zgryzota, jak harpia, plami,
On, jak dawny Mitrydat, karmił się jadami;
A trucizna nie była szkodliwą dla niego
I służyła mu nakształt chleba powszedniego.
Co innym śmiercią było, tem życie przewlekał,
Zbrzydził społeczność ludzką, w pustynie uciekał,
Żył w przyjaźni z górami, myślą do gwiazd lata,
Wdał się w rozmowę z wielkim geniuszem świata.
Wzbogaconemu nauk czarodziejskich zbiorem
Tajemna księga nocy stanęła otworem;
Jego klątwą wyzwane z głębokości ziemi
Duchy go otoczyły — i został się z nimi.

Byron wypełnił więc znaczną część tej młodzieńczej autobiografii, dodał wiele palnego materyału do wzburzonego odjazdem Henryety serca Krasińskiego. To, co Krasiński czuł, m gło być zapewne bolesnem dla niego, mogło nim wstrząsnąć do głębi i obezwładnić zdolności jego myślenia w innym kierunku na pewien czas; że jednak ten sen młodzieńca jest trochę za jaskrawy swym kolorytem beznadziejności, to pewna, jak jasnem, że część jej należy odnieść do snu Byrona. Ale część tylko. Już wyżej wspomniałem, że pewne „zmiany“ utworu Krasińskiego, że wstęp i zakończenie nie noszą na sobie cech Snu Byrona, który wypełnia środek; zresztą Sen Byrona jest pisany w tonie, o wiele spokojniejszym. Niema u Byrona tej rozpaczy i zwątpienia, niema tylu jaskrawych barw w sposobie obrazowania i niema chęci sztucznego draźnienia fantazyi czytelnika. Byron we śnie, co zresztą u niego jest dość rzadkie, podaje czytelnikowi materyał do myślenia, obrobiony literacko i wycieniowany, ale podaje to dość spokojnie jakby mówił: Gdy ci poruszy fantazyę, czytelniku, to, co ci dałem, będziesz miał pełny obraz nieszczęść miłosnych, jeśli nie, to i to, co przeczytasz gotowego, wystarczy, byś to nieszczęście w jego różnych fazach odczuł. Krasiński tu zrobił przeciwnie, może dlatego, że się w pewnej części identyfikował z tym młodzieńcem. Nie dość, że przejął od Byrona wiele rysów do skreślenia bólu młodzieńca, nie dość, że go posyła, jak Byron, na spiekłe pustynie, i każe, jak tamten, nieczułym być na wszystko; dodał jeszcze tyle barw jaskrawych, a we wstępie tak go scharakteryzował, że jego młodzieniec stał się podobnym do typu ogólno-byronowskich postaci. Weźmy np. jego dumę i dumne oczy, całkiem niepodobne do gniewem płonących oczu Allana Reichsthala,

czy Wilczka, czy Zbigniewa lub innych znanych dotychczasowych osób. Tamci są dumni przedewszystkiem w stosunku do ludzi, ten nie boi się natury. Ten zwrot zawdzięcza Krasiński Byronowi, a przedewszystkiem jednemu z najpiękniejszych jego dramatów, Manfredowi. W czasie pobytu swego w Szwajcaryi poznał Krasiński dzieła Byrona, a mianowicie Manfreda dokładnie. Towarzysz jego wycieczki w góry, Odyniec, opowiada w swych listach w podróży (IV, 324), że Krasiński deklamował zaklęcia z Manfreda. Dowód to jasny, że dramat ten wrył się w jego pamięć.

Młodzieniec Krasińskiego od chwili, gdy miał pewność, że nie ujrzy swej kochanki, stracił spokój duszy. To samo stało się z Manfredem po śmierci Astarty. Jak Krasińskiego dziewica była dlań wszystkiem, bo „w jej oczach czerpał strumienie wielkości i uniesienia, bo czuł, że serce, bijące w blizkich piersiach, na wieki z nim się połączy łańcuchem, którego każde ogniwo niebieską będzie myślą i wzniosłą nadzieją“, tak i Manfred dlatego tak cierpiał po stracie Astarty, że

„Równie, jak ja, lubiła samotne dumania,
Pielgrzymki i zgłębiania tajemniczych nauk
I, jak ja, miała duszę, zdolną świat ten pojąć. (II. 2.)

Po odjeździe dziewicy rozpacz ogarnęła młodzieńca. „Wszędzie, wszędzie szła za nim rozpacz, w domu siadała przy rodzinnem ognisku, w nocy krępując się u łoża, zarzucała na sny jego łańcuchy i w dzień towarzyszką nieodstępną mu była.“ Tak samo mówi o sobie Manfred:

Od owej godziny —
Ale słowa są wiatrem — patrz na mnie w śnie moim
Lub czuwaj z czuwającym. Pójdź i zostań przy mnie.
Samotność samotnością dla mnie być przestała,
Jędze ją zaludniły. Zgrzytałem zębami
Przez całą noc od rana. Przeklinałem ciebie
Aż do słońca zachodu. (I. II. 2.)

Krasińskiego młodzieniec nic nie zawinił wobec swej miłej. O niczem więcej nie słyszymy, coby mówiło o jakiejkolwiek winie jego. Niezrozumiałem więc jest dla nas, dlaczego owładnęła nim boleść, „która, podobna do wyrzutów sumienia, na zawsze w sercu jego zasiadła i w żelazne ujęła okowy.“ Zrozumiemy jednak ten zwrot niejasny, gdy zajrzymy do dramatu Byrona. Tam Manfred winnym był śmierci Astarty, zabił ją bowiem swą miłością. W śpie-

wie też ducha siódmego, który się ukazał pod postacią pięknej kobiety (I. 1.), czytamy groźby jej:

„Okropne słowa tajemniczej siły
Straszną, wieczystą, klątwą cię ochrzciły;
Jest duch w powietrzu, co cię pęty swemi
Ujął, usidlił i skrępował niemi:
Będziesz głos słyszał w pośród wiatrów życia
Który ci zmiesza wszelką rozkosz życia,
Noc na to swoim cieniem cię pokryje,
By w piersiach twoich jątrzyć zgryzot żmiję,
A dzień ci będzie wydawał się wieczny
Tak cię zdręczy blask słoneczny.

Jak na młodzieńcu perzyny miast, klęski ludzkości nie zrobiły żadnego wrażenia, bo stał się już nieczułym na wszystko, tak i Manfred mówi o sobie:

Wrzałem nienawiścią,
Żaden wróg mię nie przemógł, wielu z nich poległo,
Lecz i to nadaremnie. Dobre lub zle — życie
Potęga — namiętności, wszystko to, com w innych
Widział, było tem dla mnie, czem jest deszcz dla piasku
Od owej bezimiennej chwili. (I. 1.)

Młodzieniec, „okiem rozpaczy, okiem, w którem nadzieja żadnego nie miała ołtarza, spozierał na fale, coraz bardziej z wichrem bój toczące, i czuł jakąś radość, bo już spodziewał się, że już nadchodzi zaguba i że przynajmniej w trumnie z morskich bałwanów odzyska spokojność i ciszę, dawno straconą na ziemi“. Nie inaczej Byron przedstawia Manfreda:

„Nie znam trwogi,
Czuję klątwę nieznania człowieczej bojaźni,
Ni tych silnych uderzeń serca za nadzieją,
Życzeniem lub miłością czegoś bądź na ziemi“.

Jak młodzieniec rzucił się w bałwany wody, by tam znaleźć śmierć, lecz jezioro się uspokoiło, nie chcąc go przyjąć w swe fale, tak i Manfred szukał nieraz śmierci.

Szukałem wszędzie śmierci—lecz w szturmie żywiołów
Wody się, jak zaklęte, cofały odemnie,
Co mi śmierć przynieść miało, minęło bez śladu. (II. 2.)

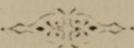
Przed samą śmiercią młodzieńca umysł jego uspokoił się, I Manfred w monologu III. 1. przed śmiercią mówi:

„Jakiż pokój w mej duszy! Niepojęta cisza!
Nigdy podobnej jeszcze nie doznałem w życiu
. . . . . . dobrze choć raz w życiu takiej doznać ciszy:
O jedno czucie moją rozszerzyła duszę.

Śmierć kończy cierpienia obu; śmierć u obu nienaturalna. Manfreda duszę porywa duch, młodzieńca statek pogrąża się w jeziorze mimo ciszy i spokoju w naturze. Przed śmiercią młodzieniec błagał Stwórcę, by mu umrzeć dozwolił przed zachodem słońca; podobnie Manfred kazał słudze swemu przyjść do siebie przed słońca zachodem, (III. 2.) aby słońce pożegnać. I Krasiński i Byron kładą też w usta swych bohaterów pożegnanie słońca, pełne uczucia i wzniosłych słów.

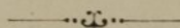
Dodajmy do tych dwu źródeł byronowskich trzecie, mianowicie wypadki rzeczywiste, otrzymamy wszystkie części, z których składa się utwór Krasińskiego. Rrzeczywistość ma tu może najmniejsze znaczenie. Byron dał autorowi wszystkie rysy, z których ten obficie czerpał. Dla charakterystyki działalności pisarskiej wpływ Byrona jest ważny, bo odgranicza utwory, pozostające pod wpływem W. Skotta od późniejszych dzieł Krasińskiego. W utworach młodzieńczych przeważa żywioł romantyczno-rycerski, opisowy, w następnych—żywioł refleksyjny, filozoficzny. W poprzednich powieściach historycznych czynyśmy widzieli skreślone piórem jeszcze nieudolnem, choć silącem się nieraz na barwne oddanie chwili, teraz idee, myśli zajmują pisarza. Nie spodziewać się jeszcze po próbach jego w tym kierunku tej biegłości w oddaniu psychicznego stanu człowieka, jaką spotykamy w „Nieboskiej" lub „Irydyonie", nie znać cieniowania delikatnego, jak np. w charakterystyce Hrabiego, jeszcze pociągnięcia są grube, bez linii okrągłych, ale i te już wskazują, że z tych prób powstać mogą dzieła, zadziwiające głębokością myśli. Jak w poprzednim okresie od bardzo słabych prób w „Grobie rodziny Reichsthalów" widzimy wielki postęp we „Władysławie Hermanie", tak i w tych postęp od prób, umieszczanych w „Pamiętniku dla płci pięknej", do „Nieboskiej" jest olbrzymi. Dla tego postępu okres szwajcarski, gdzie się Krasiński poznał z Byronem, jest wagi bardzo wielkiej. Byron prócz innych zapewne autorów zapłodnił jego umysł myślami filozoficznemi, Byron też może stał się powodem, że w dziełach późniejszych jego dramatycznych więcej „idee się ruszają, niż ludzie".

Maryan Reiter.



BRAK PRACY

w świetle nauki i faktów społeczno-ekonomicznych *).



Jedną z najbardziej żywotnych i palących kwestyi społeczno-ekonomicznych na Zachodzie, a niezawodnie najbardziej zawiłą jest

---

*) W powyższej pracy posiłkowano się następującą literaturą:

John Schikowski, Ueber Arbeitslosigkeit und Arbeitslosenstatistik. Leipzig, 1894; Zur Methode der Arbeitslosenstatistik, Leipzig, 1895.

Zeitschrift für die gesammte Staatswissenschaft, Jahrg. 51: *Frhr. O. von Boenigk*, Die Versicherung gegen die Arbeitslosigkeit.

Georg Schanz, Zur Frage der Arbeitslosen-Versicherung, Bamberg, 1895; Neue Beiträge zur Frage der Arbeitslosen-Versicherung, Berlin, 1897.

Lujo Brentano, Die Arbeitergilden der Gegenwart, Leipzig 1871 — 1872; Über die Ursachen der heutigen socialen Nat., Leipzig, 1889.

Documents sur la question du chômage. Office du travail (Ministère du commerce, de l'industrie...), Paris, 1896.

Second and Third annual Report of the Labour Department of the Board of trade, London, 1895, 1896.

The Labour Gazette (The Journal of the Labour Department). London.

Bulletin de l'Office du Travail (Ministère du commerce...), Paris.

Archiv für Sociale Gesetzgebung und Statistik, Bd. I, 43 ff.; IV, 563 ff.; IX, 79 ff.

Geoffrey Drage, The Unemployed, London, 1894.

Arbeitslosigkeit und Arbeitsvermittelung in Industrie—und Handelsstädten (Schriften des Freien Deutschen Hochstiftes), Berlin, 1894.

zagadnienie mimowolnego bezrobocia [1]). Niektórzy z niemieckich polityków społecznych nie cofają się przed nadaniem kwestyi bez-

---

Socialpolitisches Centralblatt.
Sociale Praxis.
W. Jutzi, Die Arbeitslosigkeit und ihre Bekämpfung. Darmstadt, 1895,
Économiste français, 1889.
Statistisches Jahrbuch der Stadt Berlin, Jahrg. XIX, XXI.
Hector Denis, La dépression économique et sociale et l'histoire des prix. Bruxelles, 1895.
Jahrbücher für Nationalökonomie und Statistik, III Folge, XI Bd., 3 Heft.
Arthur Curti, Bericht uud Gutachten an das h. Schweizer. Industriedepartement betreffend Arbeitslosigkeit und Arbeitsnachweis, Zürich, 1896.
Zeitschrift des Königl. Preussischen Statistischen Bureaus, Jahrg. 1896.
Vierteljahrshefte zur Statistik des Deutschen Reichs.
Jahrbuch für Gesetzgebung, Verwaltung und Volkswirtschaft, Jahrg. XIX, 633; XX, 189.
Th. Frhr. von der Golz, Die ländliche Arbeiterklasse und der preussische Staat, Jena, 1893.
Hermann Losch, Nationale Produktion und nationale Berufsgliederung, Leipzig, 1892.
Georg Adler, Über die Aufgaben des Staates angesichts der Arbeitslosigkeit, Tübingen, 1894.
Handwörterbuch der Staatswissenschaften (*Conrad...*).
Max Schippel, Das moderne Elend und die moderne Übervölkerung, Leipzig, 1883.
Karl Marx, Das Kapital, 4 Aufl. Hamburg, 1890.
Julius Wolf, Socialismus uud kapitalische Gesellschaftsordnung, Stuttgart, 1892.
H. Herkner, Die sociale Reform, als Gebot des wirtschaftlichen Fortschrittes, Leipzig, 1891; Die Arbeiterfrage, Berlin, 1894.
Eugen Schwiedland, Kleingewerbe und Hausindustrie in Österreich, Leipzig, 1894.
Adolf Wagner, Grundlegung der politischen Ökonomie, 1892.
Henry George, Sociale Probleme, Berlin, 1885.
Allgemeines statistisches Archiv. Jahrg. 1890.
Statistische Monatsschrift, Jahrg. 1893.
Karl Bücher, Die Entstehung der Volkswirtschaft, 1893.
Drucksachen der Kommission für Arbeiterstatistik, Erhebungen № VI (Kellner), Berlin, 1894.
Gustav Maier, Der Kampf um Arbeit, 1896.
Report on Agencies and Methods for dealing with the Unemployed, London, 1893.
Schriften des Vereins für Socialpolitik, Bd. 61.
Ludwig Gall, Was könnte helfen? Trier, 1825.

[1]) By z góry zapobiedz nieporozumieniom, zaznaczamy, że słowa „bezrobocie" użyto w niniejszej pracy jednoznacznie z *die Arbeitslosigkeit*, *le chômage*, nie zaś, jak to się u nas często dzieje, w znaczeniu: zmowy robotniczej, strejku.

robocia miana: *„die sociale Frage"*. Nie schodzi ona już z programów zebrań ludowych i obrad parlamentów, bije z ksiąg i łamów prasy, zaprząta w mniejszym lub większym stopniu ludzi prywatnych i organy państwowe, uczonych i laików, ba, zradza specyalne kongresy! Wszędzie, gdzie nowoczesna gospodarka dzierży berło, sprawa braku zajęcia domaga się rozwiązania, tak w opancerzonych cłami Stanach Zjednoczonych, jak w opoce wolnego handlu— Anglii, zarówno w republikańskiej Francyi, jak i monarchicznych Niemczech, tak w krajach, stojących na względnie nizkim szczeblu rozwoju ekonomicznego, jak i znajdujących się w pełni rozkwitu.

Czemu przypisać tę okoliczność, ze całe zastępy ludzi, ożywionych szczeremi chęciami i zdolnych do zarobkowania, nie mogą wynająć swej siły roboczej na rynku pracy? Czy klęska ta jest jedynie zjawiskiem sporadycznem, towarzyszącem innym wypadkom, i z nimi znika, jak z nimi przyszła? Tak twierdzą jedni. Czy też jest stałą plagą życia dla klasy robotniczej Zachodu i wypływa z istoty ustroju ekonomiczno-społecznego, jak twierdzą inni? Jednem słowem, czy mimowolne bezrobocie jest normalną fizyologiczną funkcyą obecnego ustroju, czy też tylko patologicznym przejawem?

Zanim przystąpimy do rozpatrzenia powyższych pytań, wprowadzających w samo sedno zagadnienia, należy, popierwsze, wyświetlić, k o g o uważać za bezrobotnego (*arbeitslos*), następnie zbadać r o z m i a r y bezrobocia. Wszak i dzisiaj jeszcze można usłyszeć zdanie, że każdy, kto chce, znajdzie sobie zajęcie, a tak zwane bezrobocie bywa płaszczykiem próżniaków, żebraków i podobnych pasorzytów, żyjących kosztem społeczeństwa. Czy więc ów zastęp rąk, skazanych na bezczynność, czy owe głosy: *panem et laborem!* nie są przesadą, bańką li tylko, wzdętą przez demagogicznych szalbierzy do rozmiarów, rażąco odskakujących od rzeczywistości?

I.

Odpowiedź na pytanie: kogo zaliczać do bezrobotnych? nie tak jest łatwa, jak może się wydać na pierwszy rzut oka. O pojęcie bezrobotnego kruszyło już kopie niemało zapaśników, bynajmniej nie przypominających doktorów średniowiecznej scholastyki. Nie-

ustalenie dotychczas tego pojęcia wypływa mianowicie z chwiejnej natury samego przedmiotu, ujawniającej się najjaskrawiej przy przejściu na pole działalności praktycznej: wiele prób przeciwdziałania lub zaradzenia klęsce rozbija się właśnie o trudność odgraniczenia grupy bezrobotnych. W istocie, czyż mamy zaliczyć do nich wyrostka lub nieudolnego starca w równym stopniu, jak robotnika w pełni sił, o ile tak jeden, jak i drugi, nie mają zajęcia? Czy należą do grupy bezrobotnych chorzy, rekonwalescenci, kalecy, żebracy, włóczęgi oraz rój pasorzytów z różnych sfer społeczeństwa? Czyż możemy postawić tu obok zwykłego najemnika bez zajęcia lekarza, napróżno wyczekującego pacyenta, urzędnika bez posady, strejkującego robotnika albo takiego, który niedawno dopiero przywędrował do danego miasta w poszukiwaniu pracy, robotnika sezonowego podczas martwego sezonu i t. d., i t. d.?

Sama mowa potoczna nie pozwala bez różnicy nadawać miana bezrobotnych całej powyższej galeryi. Przez bezrobotnych w jak najszerszem pojęciu słowa rozumiemy zwykle ludzi, którzy poszukują zajęcia, a nie mogą go znaleźć, w odróżnieniu od niepracujących, — bądź to w skutek niechęci (rentyerzy, włóczęgi i t. p.), bądź z braku niezbędnych fizycznych i umysłowych warunków, by módz przyjąć udział w pracy społecznej (dzieci, starcy, kalecy i t. p.). Znajomość liczby wszystkich tych, którzy jedynie przez niezależne od siebie warunki, przez „społeczną niezdatność do pracy” (wyrażenie Wilhelma Roschera) skazani są każdorazowo na bezczynność, byłaby nader ważną zdobyczą dla nauki, nowym przyczynkiem do odsłonięcia spółczesnej budowy społecznej. Atoli, traktując bezrobocie, jako kartę z księgi zawiłej kwestyi robotniczej, polityka społeczna zacieśnia koło bezrobotnych i pozostawia w jego obręczy jedynie tych, u których w parze z bezrobociem kroczy brak środków do życia, zatem, ogólnie mówiąc, bezrobotnych, należących do klasy najmitów. Tak daleko posuwają się zazwyczaj politycy społeczni, rozbierając nasze zagadnienie. Wychodząc jednak z dopiero co wzmiankowanego założenia, należy, mniemamy, iść konsenkwentnie po obranej drodze i uznać za bezrobotnego każdego najmitę, jak powyżej, który nie może znaleźć odpowiedniej jego uzdolnieniu pracy. Bo i cóż pomoże murarzowi bez zajęcia, że w fabryce zegarów wakują miejsca? Możnaby wprawdzie zarzucić, że bezrobocie w ostatnim wypadku jest nader względne, analogicznie do lokalnego bezrobocia wobec braku robotnika tegoż zawodu w innych miejscowościach, że idzie raczej o nieodpowiednie ugrupowanie zawodowe klasy robotniczej, które prę-

dzej czy później unormują same prawa rynku pracy. Dopływ rąk do przepełnionych zawodów zwolni biegu i skieruje część swych fal w niepełne koryto innych działów pracy. Lecz lokalnemu bezrobociu łatwo zapobiedz przez wskazanie miejscowości poszukujących właśnie robotników tej samej gałęzi; tymczasem w drugim wypadku sprawa się wikła. Nagła zmiana zawodu często nie daje się uskutecznić, wymagając przygotowania, rutyny, specyalnego uzdolnienia lub siły; tu mowy być nie może o doraźnem normowaniu liczby robotnika. Dokonywa się ono drogą powolnego procesu, przytem bywa zakłócane przez zmienne warunki produkcyi oraz zbytu. Że niemożność znalezienia pracy, odpowiedniej uzdolnieniu szukającego, jest rdzenną cechą bezrobocia, przebija się np. ze statutów wielu miejskich kas ubezpieczenia od bezrobocia i biur pośredniczenia w pracy: jest w nich mowa o udzielaniu zapomogi na wypadek bezrobocia, o ile „dana instytucya nie nastręczy „odpowiedniego" (*„passend“*) zajęcia". Francuski Departament pracy w swej definicyi bezrobocia wyraźnie kładzie nacisk na to pojęcie [1]).

Doszliśmy zatem do następującego określenia bezrobotnego w ścisłem pojęciu słowa: b e z r o b o t n y j e s t t o n a j m i t a, c h ę t n y i z d o l n y d o p r a c y, k t ó r y n i e m o ż e z n a l e ź ć o d p o w i e d n i e g o s w y m k w a l i f i k a c y o m z a j ę c i a. Posiłkując się powyższem kryteryum, możemy wyodrębnić grupę bezrobotnych — ideologicznie, życie realne nie daje ująć się w szemat: w przędzy jego zjawisk pasma zachodzą jedne na drugie i giną dla oka ludzkiego. Czyż posiadamy praktyczną skalę wieku lub warunków fizycznych i umysłowych dla bezrobotnego? Czy daje się ściśle odgraniczyć najmita w subtelnej hierarchii pracy?

Z pośród bezrobotnych w ścisłem pojęciu słowa — o takich jedynie będzie mowa poniżej — na szczególną uwagę zasługują strejkujący oraz robotnicy sezonowi. Pierwszych przeważnie wykluczają z grupy bezrobotnych, motywując ten w życiu praktycznem bogaty w następstwa wyrok (np. przy ubezpieczeniach) twierdzeniem, że wszak podczas zmowy robotnicy mogą pracować, jeśli zechcą, że ogólna podaż i popyt na siły robocze nie uległy zmianie. Ani słowa! Nie zapominajmy tylko, iż możność pracy bywa tu często złudną. W pewnej liczbie wypadków motywem zmowy jest samoobro-

---

[1]) „On peut définir le chômage professionnel, qu'elles qu'en soient les causes, la situation de l'ouvrier qui, vivant habituellement de son travail dans une certaine profession, se trouve actuellement sans travail *dans sa profession*". (*Documents sur la question du chômage*. Office du travaill, Paris, 1896).

na, odrzucenie mających uledz zmianie warunków najmu, na jakich zatrudnieni nie zawarliby od samego początku umowy. Takich strejkujących możemy śmiało zaliczyć do bezrobotnych, podobnie jak w wypadku zawieszenia pracy (*lock out*), jednego ze środków, polegającego na zamknięciu fabryki na pewien czas przez samego przedsiębiorcę. Oczywiście, ten, a nie inny punkt wyjścia skłonił kilka białych kruków z dość pokaźnej już liczby municypalnych biur pośredniczenia w pracy do zamieszczenia w statutach osławionego „*Streikparagraph'u*"; głosi on, iż w razie wybuchnięcia zmowy lub zawieszenia pracy obie strony sporne winne przedstawić sprawę na rozstrzygnięcie sądu zawodowego i że biuro zawiesza swą działalność na niekorzyść strony, uchylającej się od wyroku.

Jeszcze mniej można przystać na wyłączenie z grupy bezrobotnych najmitów sezonowych w czasie martwego sezonu. Niezaprzeczenie wyższa płaca w wielu zawodach stanowi do pewnego stopnia równoważnik ograniczenia zajęcia do pewnego tylko okresu w roku. Lecz z drugiej strony w licznych gałęziach (np. w budowlanej dla wyrobników, w konfekcyi i in.) zarobek jest często nikły, zaś sezon martwy długi, i robotnikowi, nie mającemu w tym czasie pobocznego zajęcia, wreszcie braknie odłożonych groszy.

Robotnik podczas przypływu pracy spogląda w przyszłość różowo, liczy na krótsze bezrobocie, niż ma ono następnie miejsce w istocie, i nie ujmuje zawczasu swych potrzeb w karby tak dalece, by wyżyć przez cały okres bezczynności. Często niema co w karby ujmować, gdyż nawet w sezonie pracy starczy zaledwie na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb życia. Minęły czasy królowej angielskiej Elżbiety, kiedy sędziowie pokoju i magistraty normowały płacę w ten sposób, by „najmita miał dość na czas dostatku i niedostatku".

II.

Już powyższy zarys wykazuje, jak trudno w praktyce rozstrzygnąć, czy poszczególne jednostki należy podciągnąć pod rubrykę bezrobotnych w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Gdy dodamy, że w dotychczasowych próbach bądź śledzenia, bądź jednorazowe-

go uchwycenia rozmiarów bezrobocia brak jedności, zgodnych założeń, wspólnej metody zbierania i opracowywania materyałów, a niekiedy niezbędnej przedmiotowości, — należy przyjąć, że cyfry, podane niżej, posiadają tylko przybliżoną, niekiedy nawet wprost wątpliwą wartość. W jednym spisie znajdujemy strejkujących pośród bezrobotnych, w innym nie; to samo dzieje się względem najmitów sezonowych, nawet chorych: jeden podaje nam procent bezrobotnych, inny — stan bezrobocia (stosunek czasu bezrobocia do czasu zajęcia w ciągu roku ogółu robotników, jaki miałby miejsce w danym zawodzie przy normalnych warunkach) itd. W braku jednak lepszych danych musimy się niemi posiłkować; młoda statystyka bezrobocia nie wyszła jeszcze z okresu niemowlęctwa.

Najwybitniejsze miejsce w dziedzinie statystyki bezrobocia, a nawet, śmiało rzec można, prawie jedyne zasługujące na baczniejszą uwagę, zajmowała aż po ostatnie czasy Anglia. Dopiero odnośne próby, podjęte w ostatniem dziesięcioleciu w Niemczech, ograniczyły dotychczasową wyłączność Wielkiej Brytanii. Kolebką statystyki bezrobocia w Anglii są: *trade union*'y, jej poczęciem—wciągnięcie w zakres działalności wspierania członków bez zajęcia. Procent ostatnich daje się w wielu związkach uchwycić aż po szóste dziesięciolecie 19 wieku np. w *Amalgamated society of engineers* (najwyższy stan wynosił w 1879 roku 13,3% ogólnej liczby członków, najniższy w 1872 roku 0,9%) i in [1]). Założony w r. 1886 Departament pracy w angielskiem ministeryum handlu (*Labour Department of Board of Trade*), dzięki oględnej taktyce, stał się w krótkim czasie ośrodkiem angielskiej statystyki pracy wogóle, *a trade union*'ów w szczególe. Dopięciu powyższego celu sprzyjało większe zaufanie w Anglii, niż na kontynencie, jakiem się cieszą spisy, wywiady i podobne przedsięwzięcia rządu zarówno ze strony fabrykantów, jak i robotników. W ten sposób organ departamentu pracy, „*The Labour Gazette*”, jest w możności informować też o stanie bezrobocia i podaje od roku 1887 co miesiąc stosunek przeciętnej liczby wspieranych bezrobotnych w około stu *trade union*'ach do ogólnej liczby ich członków w poszczególnych miesiącach. Procent bezrobotnych wynosił według zestawienia danych, nadsyłanych do departamentu przez związki zawodowe [2]).

---

[1]) Dalsze dane u G. Schanz— *Zur Frage der Arbeitslosen-Versicherung*, Bamberg, 1895.

[2]) *Third annual Report of the Labour Department of the Board of Trade* (1895 1896), p. 67.

W końcu miesiąca	1887	1888	1889	1890	1891	1892	1893	1894	1895	1896
Stycznia	10.3	7.8	3.1	1.4	3.4	5.0	10.0	7.0	8.2	4.5
Lutego	8.5	7.0	2.8	1.4	2.6	5.7	9.5	6.3	7.9	3.8
Marca	7.7	5.7	2.2	1.7	2.8	5.7	8.7	6.5	6.5	3.5
Kwietnia	6.8	5.2	2.0	2.0	2.7	5.4	6.9	6.1	6.5	3.2
Maja	8.5	4.8	2.0	2.0	3.0	5.9	6.2	6.3	6.0	3.3
Czerwca	8.0	4.6	1.8	1.9	2.9	5.2	5.8	6.3	5.6	3.2
Lipca	8.5	3.9	1.7	2.3	3.3	5.0	6.2	7.4	5.3	3.1
Sierpnia	8.3	4.8	2.5	2.3	4.2	5.1	7.1	7.7	5.2	3.4
Września	7.5	4.4	2.1	2.6	4.5	6.2	7.3	7.6	4.9	3.6
Października	8.6	4.4	1.8	2.6	4.4	7.3	7.3	7.4	4.9	3.3
Listopada	8.5	3.1	1.5	2.4	3.8	8.3	7.2	7.0	4.3	2.9
Grudnia	6.9	3.3	1.7	3.0	4.4	10.2	7.9	7.7	4.8	3.0
W przecięciu	8.2	4.9	2.1	2.1	3.5	6.3	7.5	6.9	5.8	4.0

Powyższa tabelka dowodzi ścisłej zależności liczby bezrobotnych od ogólnych koniunktur rynku. Rok 1887 zaznacza się w Anglii po kilkoletnim zastoju przemysłu i handlu sprzyjającą koniunkturą: przemysł i handel podnosi się. Jednak już w 1891 roku przypływa odwrotna fala i paraliżuje gospodarkę narodową. W roku 1895 położenie rynku polepsza się ponownie. To falowanie koniunktur odbija się wyraźnie na rozmiarach zastępu bezrobotnych. W roku 1887 odsetek ich dosięga poważnej liczby 8.2%, lecz w następnych latach szybko opada i wynosi w latach 1889 i 1890 zaledwie 2.1%. Już w 1891 r. horyzont rynku poczynają zasłaniać chmury, jednak sprzyjająca koniunktura lat poprzednich podtrzymuje w dalszym ciągu przemysł i handel, a jednocześnie nizki stan bezrobocia, — lecz na krótki czas tylko: w następnym roku nowy zastój odbija się na odsetku bezrobotnych, — wzrasta on prawie w dwójnasób: z 3.5% do 6.3%. W roku 1895 powraca sprzyjająca koniunktura, a z nią obniżenie procentu pozbawionych zajęcia do 5.8% w 1895 i 4% w 1896 roku. Następnie tabelka potwierdza ogólne doświadczenie, iż bezrobocie dosięga najniższego poziomu w lipcu, zaś najwyższego w styczniu — lutym, zatem w porze, zawieszającej w części lub w całości pracę pod gołem niebem.

Dane „*The Labour Gazette*" są nader szacownym materyałem, atoli nie zasługują jeszcze na miano statystyki bezrobocia w An-

glii — są one dopiero jej zawiązkiem. Przedewszystkiem rozciągają się się tylko na małą cząstkę klasy, mianowicie robotników zorganizowanych, i to nie w całości. Zaś *trade union*'y stanowią arystokracyę klasy, najmniej wystawioną na niedolę „społecznej niezdatności do pracy". Kiedy ilość robotników płci męskiej w Anglii wynosiła w 1894 r. około 10 mil., należało do związków zawodowych około 1,400,000 zatem mniej więcej $^1/_7$, a Departament pracy powiadamia nas zaledwie o 400,000 — 450,000 z owych 1,400,000. Następnie, zapomoga zostaje przyznawana tylko na pewien określony przeciąg bezrobocia — nie przewyższający 26 tygodni w roku, zwykła norma 6-14 — i sprawozdania, nadsyłane co miesiąc przez *trade union*'y do Departamentu, nie wliczają takich członków, którzy przestali czerpać z kasy związkowej, ani tych, którzy stosownie do przepisów, wymaganych przez technikę ubezpieczeniową, jeszcze nie uzyskali prawa na zapomogę (karencya). Wreszcie należy dane o bezrobotnych trade unionistach i dlatego przepuszczać przez sito ścisłości naukowej, że wchodzi tu w grę obawa związków, by przedsiębiorcy, mając każdorazowo dokładne informacye o liczbie rąk bez zajęcia, nie wyzyskiwali natychmiast pomyślnych dla nich koniunktur rynku pracy. Cyfry, udzielane przez *trade union*'y, można raczej uważać za zbyt nizkie, niż za tendencyjnie zwiększone, tembardziej, iż, jak wszelka zresztą inna statystyka, nie uwzględniają częściowego bezrobocia, wypływającego ze zmniejszonej ilości godzin pracy dziennej lub dni w tygodniu. Po za powyższymi brakami *„The Labour Gazette"* podaje jedynie mniej ważną statystykę bezrobotnych, a nie bezrobocia, gdyż nie przytacza ilości dni bez zajęcia, pozycyi najrdzenniejszej. W ostatnim kierunku rozpoczęto poszukiwania i zebrano dosyć pewne dane z okresu 1887—1892 o *Amalgamated Society of engineers* okręgów Manchester i Leeds, głównej siedziby fabrykacyi maszyn. Posiłkowano się przedewszystkiem t. zw. *„vacant book"*, księgą, do której zobowiązany jest wpisywać codziennie swe nazwisko każdy z członków związku przez czas korzystania z zapomogi na wypadek bezrobocia. Departament pracy jest obecnie zajęty rozszerzeniem tych poszukiwań na ogół robotników fabrykacyi maszyn, należących do *trade union*'ów.

Z powyższego wynika, że zdobycze dotychczasowe departamentu angielskiego rzucają zaledwie słabe światło na przedmiot naszego badania. A jednak przewyższają one wiele innych, niekiedy ściślejszych i na szerszą skalę podejmowanych prób pokrewnych jedną wybitną cechą — swą ciągłością. Choć w szczupłych ramach, choć niepełny, daje nam wszelako statystyka w *„The Labour Gazette"* obraz przebiegu, ustawicznego dopływu i odpływu przez

szereg lat bezrobocia, daje możność wnioskowania poniekąd o charakterze zjawiska. Do ostatniego punktu wrócimy jeszcze, a teraz rozpatrzmy się w dalszym ciągu w materyale statystycznym.

Za przykładem Anglii poszła Francya, gdzie ministeryum handlu podaje od roku 1894 w swem „*Buletin de l'Office du Travail*" podobne — choć mniej wyczerpujące i ściśle — dane o bezrobociu w związkach zawodowych (*Syndicats professionnels),* jak „*The Labour Gazette*" o *trade union*'ach. Od 15. VI. 1894 do 15. VI. 1895 liczono średnio 11—12% ludzi bez zajęcia. W przeciągu dłuższego szeregu lat francuski Departament pracy przyjmuje dla ogółu robotników przemysłowych Francyi 10% bezrobocia włącznie z chorymi, zaś bez ostatnich 7,5%; co do czasu — 4 miesiące bezrobocia na bezrobotnego, 5—6 tygodni na robotnika. Podług 13-go sprawozdania Newyorskiego biura statystycznego z pośród 927 związków robotniczych o 180,231 członków 848, podało jako bezrobotnych w lipcu 1895 roku 32,237 na 164,497 członków, czyli 19.6%, w lipcu 1894 24.4%. Lecz i te wyniki są tylko cząstkowe, jeszcze mniej ściśle i naukowe, — na możności ujęcia rzeczywistej, pełnej liczby bezrobotnych oraz jej falowań na całym obszarze jakiegokolwiek kraju aż po ostatnie czasy zbywało zupełnie. Wnioskowano ze zjawisk symptomatycznych życia społecznego, podejmowano nawet prywatnie próby zapełnienia tak ważnej luki w statystyce pracy, lecz do istotnych rozmiarów nie docierano. I nie dziw: do podobnego dzieła niezbędny jest potężny aparat rządowy z jego środkami i jego władzą.

Tak np., wnioskując z liczby zamkniętych fabryk oraz zatrudnionych w nich robotników, M. C. Wright przyjmuje w sprawozdaniu amerykańskiego Departamentu pracy $7^1/_2$% bezrobotnych w roku 1885 w rolnictwie, przemyśle i handlu Stanów Zjednoczonych, w 1893 — roku wielkiej depresyi — 25% ludności przemysłowej. Gompers, prezydent „*American federation of Labour*", oblicza ilość ludzi bez pracy w Stanach wkrótce po zamknięciu wystawy w Chicago na 3 mil., w samem Chicago miało ich być w końcu 1893 roku przeszło 100,000. Jeden z najlepszych znawców nędzy angielskiej, Charles Booth, twierdzi, iż na samym Londynie ciąży około 350,000, zaś na całem Królestwie do 2 mil. ludzi bez zajęcia lub z braku stałej pracy żyjących w ustawicznej biedzie. Keir Hardie, znany przywódca robotniczy, w swych oświadczeniach przed komisyą parlamentarną angielską 1895 roku, która miała na celu zbadanie stanu bezrobocia oraz środków zapobiegawczych, podał liczbę sporadycznie bezrobotnych na skutek zmian atmosferycznych na 1,300,000, zaś ilość osób — włącznie z rodzinami — dotkniętych nędzą bezro-

bocia na 6 mil. Twierdzenie swe opierał Hardie, zdaje się, na wynikach wywiadów, podjętych w styczniu 1895 r. — zatem w miesiącu, najmniej sprzyjającym pracy — przez *Trades Council* w dzielnicy londyńskiej West Ham; okazało się, że 44,690 robotników, na których rozciągnięto wywiady, 28,383 miało stałe zajęcie, 6,176 dorywczo, zaś reszta — 10,131 była skazana na zupełną bezczynność. G. Michel podawał liczbę bezrobotnych w Anglii przed dwunastu laty — po wyłączeniu t. zw. *paupers*—na 800,000. Opierając się na statystyce angielskiej, H. Herkner dochodzi do wniosku, iż pośród robotników zawodowych procent bezrobotnych wynosi w przecięciu 7%, pośród wyrobników—najmniej 15%. Znany wydawca *Finanz-archiv*'u, G. Schanz, który w ostatnich latach zwrócił swe badania szczególnie na kwestyę bezrobocia, twierdzi, iż w zawodach sezonowych na robotnika wypada przeciętnie 50 dni bez pracy (poniżej zwykłej normy), w pozostałych—15. Do mniej lub więcej smutnych wyników dochodzą inni badacze, posiłkując się pośredniemi źródłami w rodzaju statystyki próśb o wsparcie, biur pośredniczenia w pracy, kas ubezpieczenia od bezrobocia, od chorób, kryminalistyki, robót, podejmowanych dla zażegnania nędzy, które w ostatnich czasach nie schodzą z budżetów miast itd. itd. Atoli tego rodzaju wskazówki ujawniają jedynie niewątpliwy fakt istnienia bezrobocia; można z nich wnioskować o mniej lub więcej sprzyjających koniunkturach rynku pracy, lecz rzeczywista statystyka domaga się bardziej wyraźnych i ścisłych danych.

Nowy okres zaznaczyły państwowe spisy bezrobocia w Niemczech. Dotkliwa nędza, która w tym kraju smagała klasę robotniczą na początku bieżącego dziesięciolecia, szczególnie w czasie zimy, zrodziła próby oznaczenia ilości sił roboczych, pozbawionych zajęcia; chciano tą drogą wymusić od rządu środki zapobiegawcze. Posypały się ankiety robotnicze jedna za drugą; przez szpalty prasy robotniczej poczęły przeciągać obrazy, pod względem cyfr ponurych prześcigające się nawzajem, — wtedy dopiero przystąpiły do dzieła organy miejskie, a zwolna i ogólnopaństwowe. Należało sprawdzić wyniki spisów samych zainteresowanych i w razie przesady sprowadzić na grunt rzeczywistości.

Z wywiadów, przedsiębranych przez robotników, najwięcej zasługują na uwagę urządzone w 33 miastach zimą 1892/3 przez kartel związków zawodowych socyalno-demokratycznych. Ujawniły one, że 7% z ogółu liczonych w danym czasie nie miało zajęcia, i że na każdego bezrobotnego przypadało przeciętnie po 10 tygodni bezczynności. Oczywiście, jak inne pokrewne próby prywatne, tak

i pomieniona posiada wątpliwą wartość naukową: często zaliczano do bezrobotnych chorych, włóczęgów i t. p., często zainteresowani świadomie ubarwiali swe odpowiedzi, niekiedy miano do walczenia ze wstydem i niechęcią „wykazania czarno na białem własnej nędzy". Nadto przyjmowali udział w wywiadach przeważnie robotnicy zorganizowani, podobnie jak to się dzieje w Anglii, zatem najmniej podpadający bezrobociu. Pomimo jednak wszelkich wad spis kartelu związków robotniczych posiada doniosłą wartość, jako pierwszy podjęty w Niemczech na szerszą skalę, jako bodziec do spisów państwowych z 1895 roku oraz przyczynek do metodologii statystyki bezrobocia.

Dwukrotny spis niemiecki z roku 1895, mianowicie 14-go czerwca w połączeniu ze spisem zawodowym oraz 2-go grudnia, jako dodatek do spisu ludnościowego, jest najobszerniejszym z pośród wogóle przedsiębranych dotychczas. Szczególnej wagi nabiera on przez tę okoliczność, że objął wszystkich robotników — nie tylko wykwalifikowanych albo zorganizowanych—kraju całego, a jako odbyte jeden w lecie, drugi w zimie, uzupełniają się nawzajem. Myliłby się jednak, ktoby mniemał, że zdobyte rezultaty podają nam najniższy, względnie najwyższy stan masowego bezrobocia, jakie ma wogóle miejsce w ciągu roku. Doświadczenie uczy, iż stan ten dosięga najniższego poziomu w lipcu — sierpniu, zaś najwyższego w styczniu — lutym. Zwłaszcza mało miarodajnym jest spis grudniowy: choć wiele gałęzi pracy, jak np. budowlaną, rolną i inne owiewa już o tym czasie mroźnym tchem zima i wytrąca na szereg miesięcy kielnię czy cep z rąk robotnika, z drugiej strony blizkość Bożego Narodzenia ożywia inne i zwiększa na krótki czas popyt na siły robocze. Poza tem listopad i grudzień 1895 r. odznaczały się wyjątkowo łagodną pogodą, a cały rok ten w okresie od 1889 nie ma równego sobie pod względem pomyślności dla niemieckiego przemysłu i handlu. Liczne wystawy roku 1896 nie pozostały też bez wpływu na ożywienie rynku pracy.

Wyniki obu spisów są zawarte w „*Vierteljahrshefte zur Statistik des Deutschen Reichs, Jahrgang 1896, Ergänzung zum vierten Heft*". Dowodzą one wielkiej wadliwości planu podjętego dzieła; nie należy jednak zapominać, że, jako pierwsze, zakreślone na tak szeroką skalę, musiały walczyć z brakiem doświadczenia, przydatnych wzorów i... *last not least*... z niedostatecznem przejęciem się sprawą sfer miarodajnych. Ileż to np., traci na wartości całe przedsięwzięcie przez niestwierdzenie poszczególnych przyczyn bezrobocia! Nie ulega wątpliwości, że spisy miały na celu nie zaspokojenie próżnej

ciekawości, nie osiągnięcie doświadczenia naukowego, ale odsłonięcie nędzy bezrobocia w celu zaradzenia złemu. Lecz jak jąć się terapii bez uprzedniej dyagnozy!? Niezbędność ostatniej bije w oczy; tymczasem zamiast wstąpić na jedynie niezawodną drogę, mianowicie początkowo postawić w ogólnych formularzach spisów zawodowego i ludnościowego tylko wstępne pytanie: czy dana osoba jest bez zajęcia, czy nie? i dopiero w razie twierdzącej odpowiedzi skierować drugi specyalny formularz, zarzucono ten projekt w komisyi parlamentarnej, jako wprawdzie najlepszy, ale za trudny do wykonania. Spis bezrobocia zbyto po macoszemu: przyczepiono go do spisów zawodowego i ludnościowego i zredagowano odnośne pytania w generalnych formularzach, jak następuje:

Dla robotników, służących, czeladników i pozostałych najmitów obojga płci, zarówno dla trudniących się domowym przemysłem oraz wyrobników domowych, wyłączając stale i zupełnie niezdatnych do pracy		
czy chwilowo ma robotę (miejsce) Tak czy nie?	od wielu dni bez roboty (zajęcia)	czy bez roboty (miejsca) wskutek chwilowej niezdatności do pracy Tak czy nie?

Najmici, podający w ogólnym formularzu swój zawód za główny, (zatem np. nie żony lub córki dorywczo tylko zarobkujące), mieli wypełnić też powyższe trzy szpalty. Zadowolono się prostem stwierdzeniem, czy zapytany był bez zajęcia wskutek choroby czy dla innych powodów, zatem w ostatnim wypadku — właściwego bezrobocia—zakończono pytaniem, które należałoby przyjąć za punkt wyjścia szczególnych wywiadów. Co do samej bezbarwnej liczby bezrobotnych, należy wziąć pod uwagę, że z jednej strony z powodu dopiero co omówionej kardynalnej wady spisu, z drugiej na skutek niedość ścisłego i przystępnego sformułowania pytań, zachodziły często nieporozumienia ku wielkiej szkodzie całego dzieła. Wliczano np. osoby, bynajmniej nie podpadające pod rubrykę bezrobotnych, jak służące, które zamieniły dotychczasowe miejsce na inne, żony, młodych ludzi, opuszczających fabrykę dla wstąpienia w szeregi armii i t. d. Zachodziły nawet takie nieporozumienia, jak np. że

osoba, która podała się jako „służąca" za bezrobotną od roku, po sprawdzeniu okazała się od roku krawcową i w nowym zawodzie była bez zajęcia zaledwie od dwu tygodni. Inne osoby znowu przypadkowo nie zostały objęte przez spis, jak wędrowni czeladnicy w poszukiwaniu pracy, częściowo bezrobotni; chorych, którzy bezpośrednio przed zapadnięciem na zdrowiu, byli bez zajęcia, zaliczano do chorych i t. d. W ten sposób „ogólny obraz został uchwycony jedynie w jak najgrubszych zarysach" (Schanz).

Rezultat przedstawia się, jak następuje:

	14-go czerwca	2-go grudnia
Wogóle bezrobotnych	299,352	771,005
mężczyzn	218,603	553,578
kobiet	80,749	217,427
Bezrob. wskutek choroby	120,348	217,365
mężczyzn	85,886	153,561
kobiet	34,482	63,804
Zdrowych (właściwych) bezrob.	179,004	553,640
mężczyzn	132,737	400,017
kobiet	46,267	153,623

Ludność państwa wynosiła 14-go czerwca 1895 r. 51,770,284, 2-grudnia 52,246,589 osób; ilość rozpatrywanych wogóle najmitów — 16,146,671 (31.19% ludności), względnie 16,295,226 (31.19% ludności). Więc właściwi bezrobotni stanowili:

14-go czerwca	0.34% ludności
2-go grudnia	1.06% „
14-go czerwca	1.11% najmitów
2-go grudnia	3.40% „

Niestety praca statystycznego biura rzeszy robi różnicę pomiędzy chorymi a zdrowymi tylko w pierwszej części tabel (trwanie i przyczyny bezrobocia), w drugiej zaś (wiek i stan rodzinny bezrobotnych, też zależni od nich niezarobkujący krewni) operuje sumarycznie zdrowymi i chorymi. Gdy jednak przyjmiemy za podstawę stosunek obu grup bezrobotnych, dowiemy się, że włącznie z niezarobkującymi członkami rodzin było dotkniętych następstwami bezrobocia osób w dziale

		14-go VI	2-go XII
wogóle	bezrobotnych	512,543 (0.99% ludności)	1,474,251 (2.82% ludności)
zdrowych (właściwych)	„ około	306,500 (0.59% „)	1,059,000 (2.02% „)

Co do wieku, godnem jest zaznaczenia, że na ludzi w pełni sił (lat 20—50) przypada 62.21% wzgl. 60.97% ogółu bezrobotnych (zdrowych i chorych), liczono bowiem

lat	14-go. VI	2-go XII	cała ludność I. XII. 1899
14—20	60,781 (20.30%)	144,798 (18.78%)	17.76%
20—30	89,475 (33.23 „)	231,999 (30.09 „)	24.15 „
30—50	86.760 (28.98 „)	238,107 (30.88 „)	34.52 „
50—70	46,068 (15.39 „)	141,913 (18.41 „)	19.44 „
70 i więcej	6,268 (2.10 „)	14,188 (1.84 „)	4.13 „

Co do trwania bezrobocia, z pośród stu liczonych było już bez zajęcia w grupie właściwych bezrobotnych

	14-go czerwca	2-go grudnia
od 1 dnia	2,104	15,791
2 — 7 dni	17,471	70,589
8 —14 „	39,659	154,206
15 —28 „	19,782	98,180
29 —90 „	39.398	132,810
91 i więcej „	25.256	39,051
niewiadomo	35,334	42.013
	179,004	553,640

Zatem mniej, niż 29 dni—55% względnie 66.4% bezrobotnych, ponad cztery tygodnie 45% względnie 33.6%.

Na szczególną uwagę zasługuje kolosalny wzrost liczby ludzi bez zajęcia w grudniu; oczywiście lwia część bezrobocia jest wypływem mroźnej pory roku, ograniczającej pracę w wielu zawodach, a nawet stawiającej jej zupełnie tamę na szereg miesięcy. Wejrzenie w kolumny cyfr poszczególnych zawodów potwierdza to zdanie (patrz też tabelę bezrobotnych *trade union*'istów w poszczególnych miesiącach, str. 527). Naprzykład w grupie A (rolnictwo, ogrodnictwo, hodowla bydła, leśnictwo, rybołówstwo) liczba bezrobotnych podniosła się od czerwca o 846.03%, mianowicie z 19,204 do 162,472 osób czyli z 0.33% do 2.80% ogółu najmiów tej grupy, w gałęzi budowlanej o 747.74%, mianowicie z 19,408 do 145,121 osób i t. d. Z drugiej strony w wielkich miastach, ogniskach przemysłu i handlu, liczba pozbawionych pracy mniej podlega wahaniom, niż w więcej zależnych od pory roku gminach wiejskich i małych miasteczkach.

	mieszkańców 14.VI	mieszkańców 2.XII	bezrobotnych 14.VI	bezrobotnych 2.XII
Wielkie miasta (10,0000 m. i więcej)	7,027,790	7,272,400	78,911	116,801
Gminy o 10,000 — 100,000 m. . .	8,524,363	8,771,439	38,624	88,349
„ poniżej 10,000 m.	36,218,131	36,202,750	61,469	348,490

	Na 1000 mieszk. bezrobotnych 14.VI	Na 1000 mieszk. bezrobotnych 2.XII	Na 1000 najmitów bezrobotnych 14.VI	Na 1000 najmitów bezrobotnych 2.XII
Wielkie miasta	11.2	16.9	33.8	50.5
Średnie „	4.5	10.7	7.6	33.2
Drobne gminy , . . .	1.7	9.6		

Jeśli nawet wziąć pod uwagę, że z pracą ma się, jak z mieszkaniami, które nigdy nie są naraz aż do ostatniego zajęte, że bądź wymówienie roboty przez pracodawcę albo najmitę, bądź zmiana miejsca zamieszkania, zawodu i t. d., zawsze utrzymują przerwy w stosunkach roboczych, wszelako obraz, jaki roztaczają przed naszym wzrokiem spisy niemieckie z 1895 roku, daje wiele do myślenia. I cóż dopiero wydobyłby na widownię spis, sporządzony w styczniu albo lutym, kiedy barometr pracy spada najniżej? Cóżby wypowiedziały cyfry tych miesięcy zimowych któregokolwiek z lat przesilenia!?

Choć próba, podjęta przez Niemcy, nie jest pozbawiona wartości, nawet pomimo licznych braków i wad nabędzie ona doniosłej wagi, jeśli stanie się punktem wyjścia systematycznego badania, nieprzerwanego śledzenia falowań rezerwy robotniczej. Wtedy jedynie będziemy w posiadaniu podkładu do zwalczania bezrobocia nietylko dorywczo, represyjnie, ale i—co najważniejsza—prewencyjnie. Następny spis ludności w 1900 r. otwiera pole rządowi Niemiec do posunięcia wszczętego dzieła o krok dalej.

* *

*

Wracamy do założenia: jakież piętno odsłania nam bezrobocie? Jest li ono zjawiskiem jedynie sporadycznem, przypadkowem, czy też koniecznym wypływem ustroju ekonomiczno-społecznego, jego nieodłącznym cieniem?

Specyalni badacze w rodzaju M. Schippla, dogmatycznie wyznający drugi pogląd, przeoczają, iż bezrobocie nie jest przejawem jednolitym, prostym. Składa się na nie cały szereg zjawisk i wy-

darzeń różnej natury, i zależnie od źródła mamy do czynienia nie z bezrobociem, lecz, że tak powiem—z bezrobociami.

Należy rozróżniać dwie zasadnicze formy bezrobocia: względne oraz absolutne.

Bezrobocie względne.

W ostatnich latach zaprząta ono przeważnie umysły, i przeciw niemu skierowuje się przedewszystkiem akcya zapobiegawcza. Wypływa to z natury przedmiotu, gdyż z jednej strony względne bezrobocie zdarza się pomimo niezaspokojonego popytu na siły robocze, z drugiej zaś narzuca się prawodawcy ogromem rozmiarów oraz swą peryodycznością.

Bezrobocie względne może być związane z całkowitą lub częściową tylko bezczynnością dotkniętych niem ofiar i ujawnia różne typy. Jak często rozbrzmiewają w pewnej okolicy skargi na brak robotnika, gdy na innych rynkach pracy tego samego kraju krążą tłumy szukających zajęcia! Najjaskrawiej występuje to zło w Prusach Wschodnich, gdzie właściciele ziemscy rok rocznie zawodzą gorzkie żale. W istocie natrafiamy tam nieledwie na całe wioski wyludnione: podług urzędowych danych w 1890 roku nie mniej, jak 6015 mieszkań dla robotników, stało we wschodnio-pruskich wioskach pustkowiem, i rolnicy są zmuszeni werbować na czas robót w polu najmitów z krajów ościennych. Podczas rozpraw w sejmie pruskim nad kwestyą braku sił roboczych wiejskich jeden z mówców podał ilość brakujących w 1897 r. w szląskim okręgu Goldberg, Haynan na 1600; pastor Langer, poseł z okręgu Frankenstein—Münsterberg zebrał następujące dane co do swego okręgu: z 95 miejscowości 16 tylko mogło zaspokoić zapotrzebowanie sił roboczych w pozostałych zaś 79 brakowało ogółem 1152 najmitów. Brak sił roboczych w Prusach Wschodnich — jak zresztą podczas żniwa w słabszym stopniu i w wielu innych stronach państwa — daje się wyjaśnić tą okolicznością, że właśnie wschód Niemiec jest głównem źródłem wewnętrznego odpływu ludności, o którem będzie mowa poniżej. Mamy tu na myśli nie naturalny odpływ ludności wiejskiej, tkwiący w niemożności rozszerzania gospodarki rolnej podobnie do produkcyi w przemyśle i dopasowywania popytu sił roboczych do wzrostu tej ludności. Wieś stale zasila i odświeża miasta, i, o ile wysyła jedynie odsetki, proces ten pozostaje na wyższych szczeblach kultury naturalnym. Atoli w Prusach Wschodnich cierpi w części sam rdzeń ludności wiejskiej.

Inny typ: w pewnej miejscowości — szczególnie w pomniejszych miastach — występuje brak robotnika zawodowego, kiedy w różnych wielkich ogniskach życia zarobkowego najmici tego samego zawodu poszukują bez skutku zajęcia. Wypływa to z braku wiadomości o wakujących miejscach lub z niechęci albo niemożności zmiany miejsca zamieszkania (znaczne koszta przesiedlenia, zarobkowanie innego członka rodziny w dotychczasowem miejscu zamieszkania). Ba, przy braku centralnego biura pośredniczenia w pracy podobne *qui pro quo* zachodzą w jednem i tem samem mieście. Ankieta, przedsięwzięta w 1889 r. przez stolarzy Niemiec, ujawniła obok braku pracy na 20,187 tygodni brak sił roboczych na 2821 tygodni. Podaż i popyt w pewnej miejscowości mogą się też nie pokrywać jedynie wskutek ugrupowania sił roboczych nieodpowiednio do zmiennych zapotrzebowań. Do takiego tragizmu stosunków doprowadza najczęściej moda: pewien artykuł sprzedaży ustępuje nagle miejsca w naszym kapryśnym wieku nowemu, popyt na siły robocze zmienia w części bieg, tu gwałtownie wzbiera i nawet przy pełnym rynku pracy nie znajduje dostatecznej ilości rąk, obeznanych z fabrykacyą najnowszego faworyta publiczności. Tak, np., dzieje się obecnie w Niemczech w gałęzi rowerowej: wchłonęła ona w ostatnich latach taką ilość tokarzy, że popyt przewyższa tu stale podaż. Niepokrycie popytu może też wypływać z niedostatecznego fachowego wykształcenia robotników. Np. we Frankfurcie n. M. stale brak szewców i krawców, choć jednocześnie wielu tego rodzaju fachowców szuka tam bez skutku zajęcia. Powyższa anomalia daje się wyjaśnić tą okoliczuością, iż owi bezrobotni nie stoją na wysokości techniki spółczesnej.

Na szczególną wzmiankę zasługuje bezrobocie, wynikające z zatargów pomiędzy pracodawcami a najmitami. Howell twierdzi pesymistycznie, iż zmowy i *lock out*'y stały się koniecznością naszych czasów, częścią rdzenną ekonomii kapitału i pracy. W rzeczywistości niema dnia, by tu lub owdzie nie wybuchały starcia pomiędzy obiema kontraktującemi stronami. O absolutnem bezrobociu nie może tu wszelako być mowy: jak już w pierwszej części niniejszej pracy zaznaczonem zostało, przez użycie tego skrajnego środka walki pracy i kapitału ilość podaży i popytu nie ulega najmniejszej zmianie—przynajmniej dopóty, dopóki przedsiębiorcy nie próbują ukrócić krnąbrności swojskich najmitów zagranicznymi *blacklegs*, t. j. robotnikami, którzy wbrew klasowej solidarności podejmują robotę w dotkniętych zmową fabrykach. Na ogólny rynek pracy zmowy i *lock'out*'y oddziaływają też ujemnie pośrednio, po-

ciągając za sobą zakłócenia w gałęziach, zależnych od objętej rokoszem.

Powtóre mamy do czynienia ze względnem bezrobociem, jeśli najmita jest tylko częściowo zatrudniony, bądź poniżej zwykłej w zawodzie normy czasu roboczego, bądź też jedynie w regularnie przemijających i powracających okresach, mianowicie w dziale pracy sezonowej. W razie konieczności zmniejszenia przejściowo produkcyi w pewnej fabryce lub pewnym przemyśle następuje niekiedy na żądanie najmitów lub pracodawców ograniczenie godzin lub dni pracy. W ten sposób częściowe bezrobocie ogółu robotników danego zakładu czy przemysłu jest klapą bezpieczeństwa przeciw całkowitemu bezrobociu części towarzyszy. Powyższa metoda najbardziej jest praktykowana w Anglii: w produkcyi maszyn i okrętów robotnicy zmniejszają niekiedy w podobnych wypadkach ilość godzin pracy dziennej, górnicy przekładają ograniczenie roboty do kilku dni w tygodniu w celu równomiernego podziału zapotrzebowania na ogół pracujących. W Niemczech środek ten jest dotychczas mało w użyciu; w ostatnich latach uciekają się doń saskie zakłady przędzalnicze i tkackie.

W zawodach, w których bezrobocie peryodycznie powraca, z czasem stało się ono nader dotkliwem i trudnem do usunięcia brzemieniem. Dopóki przeważała gospodarka domowa, dawał się zastosować tego rodzaju podział całej pracy, iż członkowie domostwa załatwiali poszczególne roboty w najodpowiedniejszym ku temu czasie; nie było tu ani warunków, ani miejsca dla bezrobocia, Gdy natomiast wytwarzanie dla własnego użytku rozwinęło się do wysokości zróżniczkowanej produkcyi masowej dla rynku, gdy zakres potrzeb ludzkich rozszerzył się, i poczęły powstawać wielkie miasta, owe różnorodne czynności, zależne od pory roku, pogody i t. d. rozpadły się na samoistne zawody, a ilość zarobkujących w każdym z nich wzrosła niezmiernie. Gdzie sezon trwa bardzo krótko, kilka tygodni, jak np. w cukrownictwie, gorzelnictwie albo fabrykacyi konserw, robotnicy zwykle służą dwu panom na raz i z upływem kampanii, która jest dla nich jedynie bardziej dochodnym epizodem, powracają do zwykłych zajęć. Lecz w wielu gałęziach sezon trwa długi szereg miesięcy, jak np. w rolnictwie, budownictwie, przemyśle rzecznym (sezon martwy zima), w konfekcyi (sezon martwy: od Nowego Roku do marca, oraz od lipca do jesieni), drukarstwie (sezon martwy: maj do września), piwowarstwie (sezon martwy: gorące miesiące) i in. Tu odpowiednik sezonu, bezrobocie, staje się dotkliwym biczem: w jak szalonem tempie

wzbierają zastępy bezrobotnych, o tem pouczają wykazy niemieckie z 1893 r.; u większości tych fachowców zatrudnienie podczas martwego sezonu staje się wyjątkiem z reguły bezczynności i przypada w udziale nielicznym wybrańcom, najczęściej dorywczo z dnia na dzień.

Z powyższego wynika, że bezrobocie względne ma miejsce z jednej strony w razie częściowego tylko zatrudniania robotników, z drugiej zaś tam, gdzie ogólny popyt na siły robocze nie zostaje zaspokojony czy to na skutek nieodpowiedniego ugrupowania klasy robotniczej, czy to niedostatecznej organizacyi pośredniczenia w pracy, czy wreszcie zatargów pomiędzy pracodawcą a najmitami.

Bezrobocie absolutne.

Jak już wyżej zaznaczyliśmy, wszczęta w ostatnich latach akcya zapobiegawcza zwraca się przedewszystkiem przeciw bezrobociu względnemu. Jednak dalsze badania dowiodą, że o wiele ważniejszą rolę odgrywa w teoryi i bezporównania zawilej występuje przed nami druga zasadnicza forma, mianowicie bezrobocie absolutne. Dlatego to jemu poświęcamy główną część rożdziału o przyczynach bezrobocia.

Absolutne bezrobocie daje się określić, jako stan, w którym część podaży najemniczej, przewyższając cały popyt, nie znajduje zastosowania w życiu gospodarczem. Przeto może powstawać na skutek przekształceń bądź popytu, bądź podaży: w pierwszym wypadku przez bezpośrednie ograniczenie lub zakłócenie rozmiarów produkcyi, zatem i ilości potrzebnych rąk, i pośrednio przez przedłużanie dnia roboczego albo też potęgowanie wytwórczości pracy, które może być następstwem ekonomiczno-technicznych postępów lub zwiększonej siły roboczej najmitów. Zaś podaż pracy podlega działaniu rozmnażania ludności robotniczej oraz dopływu rąk nowych.

Wytwórczość pracy zatem, ludność robotnicza, czas roboczy i rozmiary produkcyi — są to cztery czynniki absolutnego bezrobocia. Trzy pierwsze, jako powodujące brak zajęcia przez wzrost każdego z nich *ceteris paribus*, możemy nazwać pozytywnymi, natomiast rozmiary wytwarzania, których zmniejszenie wywołuje bezrobocie, czynnikiem negatywnym.

Każdy z nich jest w stanie sam przez się sprowadzać klęskę; natomiast przy współudziale kilku czynników naraz bezrobocie może wzmódz się, może też nastąpić wzajemne osłabienie, a nawet zniesienie działania poszczególnych czynników. Powstaje tu wiele kombinacyi, i stosownie do ilości wchodzących w grę czynników

oraz rozciągłości i natężenia działania otrzymujemy różne stopnie bezrobocia. Przy założeniu, że czas roboczy i wytwórczość pracy pozostają niezmienione w pewnym okresie czasu, produkcya musi się podwoić w razie takiegoż wzrostu ludności robotniczej; inaczej zostanie naruszona równowaga zajęcia. Jeżeli następnie podwoi się i wytwórczość pracy, natenczas produkcya powinna w czwórnasób przewyższyć początkową. W przeciwnym razie w rezultacie otrzymamy bezrobocie.

Bezpośrednie dowodzenie Schippla za pomocą statystyki produkcyi i pracy istnienia i rozmiarów bezrobocia chybia celu: jest ono zbyt podmiotowe i posługuje się wadliwą metodą. A przedewszystkiem statystyka produkcyi i pracy, bez której nie da się ostatecznie rozstrzygnąć zagadnienie bezrobocia, i dzisiaj jeszcze nie dorosła do zadania. Raczej rozważmy na mocy powyższego, o ile spółczesna gospodarka ujawnia tendencye ku skazywaniu ludzi pracy na mimowolną, masową bezczynność, zarówno szkodliwą dla dotkniętych nią ofiar, jak i dla społeczeństw, na których ciążą.

Wolność współzawodnictwa tworzy jedną z podwalin nowoczesnego ustroju gospodarczego. Lecz *conditio sine qua non* współzawodnictwa po stronie przedsiębiorców jest ustawiczne obniżanie kosztów produkcyi: tańszy towar, oczywiście, pobija droższy równej dobroci, a często i wyższej. Zastój równa się tu zanikowi; więc współzawodnicy chwytają się najprzeróżniejszych środków, jako narzędzi tańszego wytwarzania. Gdzie warunki sprzyjały temu, walczono na zaraniu spółczesnej gospodarki narodowej metodą prostą: przedłużano nadmiernie dzień roboczy, nieledwie robiąc drugi dzień z nocy, zaciągano w szeregi armii przemysłowej pracownika najtańszego, — kobiety i drobne nawet dzieci. Lecz dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie: gdy zwyrodnienie i niedołężność klasy robotniczej poczęły przybierać coraz groźniejsze rozmiary, aż wreszcie nie tylko sami robotnicy, nietylko manchesterskie rządy, ale i część pracodawców poczęła we własnym interesie powstawać przeciw najbardziej krzyczącym nadużyciom; gdy przemysł, zdobywając sobie coraz nowe rynki zbytu, z trudnością mógł dłużej podołać rosnącym z dnia na dzień zapotrzebowaniom, — przedsiębiorcy zarzucili poniekąd stosowaną metodę, dając pierwszeństwo nieznającemu granic doskonaleniu techniki i ekonomizowaniu pracy. Misterny podział pracy i rozczłonkowanie jej procesu, bajeczne zdobycze mechaniki i chemii w usługach przetwarzania i nie mniej zadziwiające okiełznanie i wyzyskanie sił przyrody, a w parze z powyższem kapitalistyczna akumulacya po stokroć odbiły straty z niemoż-

ności przekroczenia pewnych przyrodzonych prawnych szranek pracy ludzkiej. Zwrot ten jednak ma również swą ciemną stronę: wypiera z fabryk i warsztatów tysiące rąk roboczych.

Powyższy rozwój najbardziej znamionuje Anglię, klasyczny kraj nowoczesnej gospodarki, lecz nie jest obcym i innym państwom zachodu. Maszyna staje się najcelniejszym środkiem wypierania siły żyjącej. Przedewszystkiem potęguje ona niezwykle pierwszy czynnik absolutnego bezrobocia — wytwórczość pracy. Juliusz Wolf przytacza, iż, gdy w latach 1819/21 robotnik przerabiał 670 bel bawełny, w latach 1880/2—5,200, zatem w przeciągu 60 lat skok o 680%! Podług Marxa za czasów Adama Smitha 10 mężczyzn było wstanie przez podział pracy sporządzić w ciągu dnia 48,000 igieł. Maszyna natomiast dostarcza w ciągu 11 godzin 145,000 sztuk, a jedna dziewczyna dozoruje jednocześnie cztery takie maszyny, zatem dostarcza dziennie 600,000 igieł. Jedna jedyna para rąk kobiecych zastępuje przez użycie maszyny 125 par mężkich! Zaś robotnicy, wyparci w ten sposób z pewnej gałęzi przemysłu, nie mogą w całości być zatrudnieni przy wyrabianiu swych żelaznych rywali, bo, jak Marx słusznie twierdzi, „dopływ rąk potrzebnych do wytwarzania środków produkcyi, maszyn, węgla itd. musi być mniejszym, niż wywołany przez zastosowanie maszyny odpływ: w przeciwnym razie produkt maszynowy byłby również drogim albo nawet droższym od głównego produktu" [1]). Przeciwwagę może stanowić jedynie odpowiedni przyrost produkcyi w poszczególnych zawodach lub powstawanie nowych gałęzi pracy.

Następnie maszyna zagarnia coraz większe pole działania. By dać niejakie pojęcie o jej zaborczości, przytaczamy, że ilość siły maszynowej w wysługach produkcyi kuli ziemskiej powiększyła się w przeciągu 35 lat (1850—1885) sześć razy; rocznie wzrasta ona w przeciągu lat 1870/80 o 365,000 koni parowych, co się równa 7,665,000 sił ludzkich, od roku 1880 do 1885 o 303,000 koni parowych rocznie (6,380,000 sił ludzkich). Gdy stosunek siły ludzkiej w produkcyi do parowej wynosił:

w 1850	roku	45 : 55,	spada on
„ 1860	„	33 : 67	
„ 1870	„	24 : 76	
„ 1880	„	19 : 81	
„ 1885	„	17 : 83 [2]).	

---

[1]) Karl Marx, *Das Kapital*, III Aufl., t. I, str. 354.

[2]) Denis, *La dépression économique et sociale et l'histoire des prix*, str. 262.

W samych Prusach podniosła się liczba zastosowanych w przemyśle i rolnictwie maszyn i parowozów z 775,993 sił parowych w 1879 r. do 1,768,137 w 1889, zatem w ciągu 10 lat o 127%!

Jednocześnie maszyna rozszerza do niebywałych rozmiarów poszczególne zakłady przemysłowe. Z biegiem czasu rozwój ostatnich staje się nawet głównym warunkiem zwycięskiej walki pomiędzy fabrykantami. Im przedsiębiorstwo rozleglejsze i rozporządza znaczniejszym kapitałem, tem kosztowniejsze i produkcyjniejsze może zaprowadzać maszyny; tem łatwiej iść krok w krok za postępami techniki i czynić zbyteczną stosunkowo drogą i nie zawsze powolną siłę ludzką, oszczędzać na kosztach nakładu i fabrykacyi, a w rezultacie — zalewać rynek tańszymi towarami. Powstają w ten sposób zakłady, podobne do sporych miast (zakłady Kruppa w Estenie), i w porozumieniu z kilku innymi nieraz opanowują rynek i zagarniają całą produkcyę w swe ręce. Proces ten dotkliwie odbija się na drobnym przemyśle i rzemiosłach: odbyt coraz więcej przechodzi do wielkiej industryi, zaś zacofane technicznie i mało zasobne w kapitały drobny przemysł i rzemiosła, w których przeważa praca ręczna, kurczą się w ciężkiej walce z przeważającym współzawodnikiem, niby napełniony gazem balon, którego powierzchnię przekłuto. Upadek drobnej produkcyi ma jeszcze tę złą stronę, że powiększa zastępy najmitów. Bo majstrowie po zaciętej walce w końcu składają broń w ręce kolosa i albo spadają do poziomu majstrów akordowych, a nawet prostych robotników, albo też uciekają się do zatrudniania, przeważnie niepłatnych terminatorów, których po wyzwoleniu stale zastępują nowymi wyrostkami; zatem powiększa się zastęp czeladników bez zajęcia. Proces ten wciąż postępuje, i w wielu zawodach wielki kapitał częścią już pogrzebał produkcyę drobną, częścią wysysa z niej w dalszym ciągu soki żywotne. Zupełnie wyłamują się z pod powyższego procesu wchłaniania tylko nieliczne działy pracy, jak np. takie, które wymagają specyalnych wyrobów lub mają wyłączne koło kupujących: krawiec i szewc ludzi o anormalnych kształtach, krawiec klasy zamożnej, pewna liczba rzemieślników z działu sztuki stosowanej i in. Natomiast w górnictwie, przemyśle tkackim i in. produkcya drobna, rzec można, zanikła.

Już sam zwycięski pochód maszyny i wypieranie drobnego przemysłu przez wielki musi mieć *ceteris paribus* nader ujemne następstwa dla żyjących wyłącznie z pracy rąk robotników. Złe to potęguje w dalszym ciągu jedyny w dziejach przyrost ludności robotniczej. Postępuje on drogą niezwykłego rozmnażania się całej ludności oraz dopływu nowych rąk do rwącego potoku przemysłu.

Wzrost klasy robotniczej w okresie panowania maszyny jest dotychczas punktem ciemnym w statystyce. Musimy się posiłkować światłem danych, dotyczących całej ludności, uwzględniając przytem fakt, że niższe warstwy posiadają większą siłę rozrodczą od wyższych. W dziwnym zaiste żyjemy wieku: możnaby mniemać, jakoby siła reprodukcyjna rodu ludzkiego była wprost zależną od sił produkcyjnych gospodarki, jakoby nowe dobra wywoływały nowe pokolenia. Od chwili wtargnięcia pary do przemysłu i wpływu przewrotu technicznego na rozmiary wytwarzania ludność świata cywilizowanego rozmnaża się w niezwykłem aż po owe czasy tempie. Henry George wyraża w swych „Zagadnieniach Socyalnych" zdanie, że, jeśli ludność rasy anglo-saskiej Stanów-Zjednoczonych będzie i nadal wzrastała w dotychczasowym stosunku, w połowie przyszłego stulecia przewyższy liczebnie obecną ludność Europy. Kiedy Anglia miała w 1661 r. wszystkiego około 5,548,000 mieszkańców i jeszcze w sto lat później — zatem przed nastąpieniem okresu maszynowego — nie więcej nad 6 mil., wykazuje już w 1820 r. 14 mil., które podwajają się w niespełna 60 lat następnych: w 1694 r. Anglia liczyła 38, 926,901 mieszkańców. Sam zastęp robotników—w 1894 liczba ich płci męskiej nad lat 20 wynosiła około 10 mil. — jest dziś w tym kraju nie o wiele mniejszy od ludności schyłku pierwszej ćwierci bieżącego stulecia. Wzrost ludności w Niemczech również budzi podziw. Podług danych niemieckiego biura statystycznego, ludność cesarstwa w teraźniejszych jego granicach wynosiła w 1816 r. 24,831,396 mieszk., podług spisu z 1895 r. 52,246,589; ilość mieszkańców przemysłowej Saksonii powiększyła się w ciągu lat 1815 do 1890 w czwórnasób. Cały kontynent europejski liczył na zaraniu wieku 175 mil. mieszkańców, w 1892 r. 360 mil., nadto od 1815—20 do 1890 przesiedliło się za ocean około 20 milionów.

Drugie źródło przyrostu ludności robotniczej—tym razem przemysłowej — leży we wsi, a mianowicie w ciążeniu, po pierwsze, ze wsi do miast wogóle, następnie z miast drobnych i średnich do wielkich.

W Niemczech ludność wiejska wzrosła w przeciągu 20 lat (1871/90) z 14,790,798 (0,36 całej ludności) do 23,243,229 (0,47 części), kiedy wiejska w tym samym okresie czasu spadła z 26,219,352 do 26,185,241. W Anglii pierwsza powiększyła się w latach 1881—1891 o 15%, druga tylko o 4%; we Francyi miejska podniosła się 1846—86 z 24.42% do 35.95%, wiejska spadła z 75.58% do 64.05% ogółu mieszkańców. W czasie pierwszego spisu w Stanach Zjednoczonych w 1790 r. liczono w miastach 3.3% ludności, 1880 — 22.5%, w Austryi

w miejscowościach, liczących powyżej 2,000 mieszkańców w 1843 r. 1/5, w 1890 — 1/3 całej ludności.

Jeszcze w szybszem tempie, niż wzrost ludności miejskiej kosztem wiejskiej, postępuje dopływ do wielkich miast, tak iż H. Rauchberg upatruje w ruchu zasiedlania prawo analogiczne do prawa ciążenia mechaniki: „siła przyciągająca o tyle potężniej działa i dalej sięga, o ile większem jest ciało, z którego wychodzi"[1]). W roku 1871 Niemcy liczyły 8 miast o przeszło 100,000 mieszkańców, w r. 1895—28. W latach 1867/85 cała ludność wzrastała rocznie w przecięciu o 0,86% średniej ludności wobec przeciętnego przyrostu w

wielkich miastach	(100,000 mieszk. i więcej)	o 2.6%
średnich „	(20,000—100,000 mieszk. i więcej)	o 2.4%
małych „	(5,000— 20,000 „ „)	o 1.8%
osadach „	(2,000— 5,000 „ „)	o 1.6%
wsiach „	(poniżej 2,000 „ „)	o 0.2%[2])

Na 100 mieszkańców obecnego obszaru Austryi przypada na miejscowości o

	1843	1890
przeszło 20,000 mieszk.	42	120
10,000—20,000 „	16	38
5,000—10,000 „	32	41
2,000— 5,000 „	99	126
poniżej 2,000 „	811	675[3])

Podobny dopływ rąk roboczych do środków przemysłu musi, oczywiście, ujemnie oddziaływać na rynek pracy; obok tego krępuje on swobodę ruchu związków zawodowych oraz polepszenie bytu całej klasy, z którem, jak zobaczymy poniżej, nędza bezrobocia stoi w ścisłym związku. Im liczniejsza jest podaż sił roboczych, czyhających tylko na każde opróżnione miejsce, tem łatwiej przedsiębiorcom utrzymać się przy swoich warunkach najmu, tem trudniej zaś najmitom stać na straży własnych interesów: wspomniani już *blacklegs*, gotowi do usług na każde skinienie zagrożonego zmową fabrykanta, są mieczem Damoklesa klasy robotniczej.

Różnorodne czynniki składają się na dążenie do miast.

Choć szczególny charakter i warunki produkcyi przy dzisiejszym stanie nauki nie otwierają maszynie podobnego pola do działa-

---

1) „Statistische Monatsschrift", Wien, 1895, str. 130.

2) Karl Bücher, „Die Entstehung der Volkswirtschaft", str. 260.

3) „Statistiche Monatsschrift", ibidem, str. 125.

nia w rolnictwie, jak w przemyśle, wszelako „robotnik żelazny” przyczynia się i tu w poważnym stopniu do wypierania pracy ręcznej. A ponieważ produkcya z natury rzeczy nie daje się równie dowolnie rozszerzać w rolnictwie, jak i w przemyśle, przeto zbyteczne ręce szukają ujścia i płyną do miast fabrycznych. Jeden z najpoważniejszych znawców rolnictwa, Theodor von der Goltz, mówi: „Przez ograniczenie użytku młocarni, szczególnie parowej, dałby się znacznie polepszyć byt robotnika wiejskiego oraz zmniejszyć wychodźtwo i wewnętrzny odpływ ludności wiejskiej [1]). Młocarnia parowa tem zgubniej działa, iż zastosowana w porze zimowej potęguje jeszcze różnicę pomiędzy popytem na ręce w pewnych porach roku i czyni położenie robotnika wiejskiego tem bardziej chwiejnem. Często rolnicy zastępują uprawę zboża gospodarką pastewną i hodowlą bydła, które wymagają mniejszej ilości sił roboczych. Nieprzyjazne stosunki własnościowe i przesilenie agrarne, ciążące na Europie od lat szeregu, zmuszają gospodarzy do pozbywania się nadwyżki każdej pary rąk ponad potrzeby systemu i wielkości gospodarstwa. Głównego źródła jednak dążenia do miast należy dopatrywać w niepewnym bycie robotników wiejskich, w braku zajęcia zimą — dopływ robotników wiejskich do miast najbardziej wzbiera w październiku i listopadzie, po ukończeniu robót w polu — w niedostatecznym udziale ich w własności ziemskiej i w wyjątkowem, odosobnionem położeniu społecznem. Polityka socyalna, uwzględniając, jak dotąd, prawie wyłącznie tylko przemysłowy odłam klasy robotniczej, sprzyja powyższemu ruchowi i podkopuje własne dzieło. Podług spisu zawodowego 1882 r. około 70% z 8,063,966 zarobkujących w Niemczech w rolnictwie było zupełnie lub prawie bezrolnych. Tymczasowo miasto zdaleka, zdaje się, przedstawia aż nadto okazyi zarobku, przytem lepszego, niż na roli. Więc nie dziw, że robotnik opuszcza glebę i tłumnie ciągnie do ognisk przemysłu, tembardziej, iż wciąż postępujące uproszczenie udziału pracy ludzi w produkcyi maszynowej sprzyja zatrudnianiu w niej i niewykwalifikowanego, lecz zdrowego i wytrzymałego wieśniaka. Często starczy dni kilku, by się obznajmić z obsługiwaniem maszyny. Przezorni fabrykanci w poczuciu korzyści, jakie daje im przepełnienie rynku pracy, popierają tę wewnętrzną wędrówkę. Gdy wreszcie dodamy liczne ponęty życia wielkomiejskiego, łowy po wsiach agentów (zakładów

---

[1]) Th. Frhr. von der Goltz, Die ländliche Arbeiterklasse und der preussische Staat, str. 145.

cukierniczych, piekarni i t. d.), nowe ukształtowanie stosunków prawnych po przyznaniu wolności osiedlania się i zarobkowania, rozszerzenie horyzontu kmiotka za pomocą szkoły i służby w wojsku rozwój środków komunikacyi i t. d. i t. d., pojmiemy, jak musi działać podobny splot czynników ekonomicznych, społecznych, politycznych i umysłowych na ten nowożytny ruch, wobec którego, podług Seringa, „rozmiarami ruchomych mas wprost maleje wędrówka narodów z przed 1½ tysiąca lat".

Następuje t. zw. „dążenie na zachód" sił roboczych, t. j. przechodzenie ograniczonych w potrzebach robotników z krajów o niższym ekonomicznym i cywilizacyjnym poziomie do bardziej rozwiniętych. Ruchowi temu sprzyja, zarówno jak ciążeniu ze wsi do miast, ułatwienie komunikacyi oraz wolność osiedlania się. „Z Poznańskiego i Górnego Szlązka robotnik wędruje do Saksonii, z Królestwa Polskiego do Górnego Szlązka, Czech wdziera się do krajów niemieckich, Rumuńczyk i Słowak do Węgier, Włoch do południowych Niemiec, Irlandczyk do Anglii, a Chińczyk do całej Azyi wschodniej i Ameryki" [1]). Mniemanie zaś, jakoby tańsza siła robocza pociągała ostatecznie wyższe koszta, niż droższa i wydajniejsza, nie zawsze znajduje poparcie w faktach: mniej produkcyjna praca może być tak nizko opłacana, czas roboczy tak wyszrubowany, iż jej współzawodnictwo z robotą wydajniejszą nie na wszystkich polach pracy jest wykluczone. Podobne zjawisko znajdujemy np. w anachronicznem przenoszeniu niekiedy przemysłu fabrycznego z miast do mieścin i na wieś pod postacią przemysłu domowego: pomimo wyższości pierwszego udaje się zniżyć w ten sposób koszta przedsiębiorstwa. Kapitalistyczny wielki przemysł przedzierzga się w formę, z której historycznie się wyłonił. Odnośnych danych posiadamy bardzo niewiele; do Prus np. przywędrowało podług półurzędowej statystyki w 1893 r. 23,353 sił roboczych z samego Królestwa Polskiego i Austryi, w 1894 r. 27,645.

Nie tylko więc wewnętrzny wzrost ludności robotniczej drogą rozmnażania się, a specyalnie w przemyśle też drogą ciążenia ze wsi do miast, ale nadomiar immigracya sił roboczych dorzuca cegiełkę do utrudniania robotnikom walki o byt i pozbawiania części ich zajęcia i środków do życia.

W jaki sposób wciągnięte zostały kobiety i dzieci w ciężkie dla siebie jarzmo pracy fabrycznej, wyłuszczono powyżej, zarówno jak

---

[1]) H. Herkner „Die Arbeiter-Frage", 1894, str. 206.

walka o byt drobnych producentów rozplenia hodowlę terminatorów. Do ilustracyi tego czynnika absolutnego bezrobocia niechaj posłuży kilka poniższych cyfr. Ilość zatrudnianych w Niemczech w przemyśle robotnic nad lat 16, wzrastając z roku na rok, dosięgła w 1896 r. liczby 699,570; w ciągu 4 lat wykazuje ona przyrost 23.3%, w roku bowiem 1892 wynosiła tylko 567,234. Młodocianych osób— termin statystyki urzędowej— obojga płci (lat 14 — 16) zatrudniały fabryki i warsztaty niemieckie w 1896 r. 244,860, zaś dzieci poniżej lat 14 we wszystkich gałęziach pracy w 1895 r. 214,954. W Stanach Zjednoczonych liczono kobiet, zarobkujących ponad lat 10, w 1870 r. 1,836,288 (około 9.66% kobiet wogóle), w 1790—3,914,571 (około 12.61%). We Francyi pracowało w 1866 r. w 296,797 zakładach przemysłowych, podlegających inspekcyi fabrycznej, na 2,673,314 sił roboczych 442,925 (16.5%) kobiet w wieku lat 13 — 18 oraz 631,078 (23.6%) od lat 18, razem 40.1% ogółu zatrudnionych.

Terminatorowie przeważają w rzemiosłach i handlu, następnie u restauratorów, fryzyerów i innych. Niemiecka komisya statystyki robotniczej stwierdziła, że w 1894 r. znajdowało się w restauracyach i pokrewnych zakładach państwa obok 3,478 kelnerów oraz 803 oberkelnerów 2,895 uczni, co się równa 67.6%. W czterech zgromadzeniach powiatowych golarzy i fryzyerów Niemiec północnych liczono mniej więcej o tym samym czasie obok 1,294 członków 1511 (116.8%) uczni! Drukarstwo podług obliczeń „towarzyszy" posiada o 4,700 uczni zadużo; przytem zło się powiększa: stosunek towarzyszy do uczni wynosił w 1885 r. 2.5:1, natomiast w 1895 r. 2.3:1. Obok tego około 10% drukarzy jest stale bez zajęcia! Oczywiście, ta hodowla uczni odbywa się kosztem towarzyszy, z których część bez skutku kołacze od warsztatu do warsztatu o zajęcie.

Z powyższego widzimy, jak wytwórczość pracy i wzrost ludności robotniczej w silnym stopniu sprzyjają bezrobociu. Czy wrogie te tendencye znajdują przeciwwagę w dwu pozostałych czynnikach?

W zdrowym, celowo zorganizowanym ustroju społecznym wszelki postęp ekonomiczny, przyrost wytwórczości i produkcyi winienby stawać się dobrodziejstwem ogółu, dostarczać odpowiednich ulg oraz podnosić odpowiednio *standard of life* całej ludności. Należałoby zaspakajać więcej potrzeb i w coraz wyższym stopniu, należałoby skracać dzień roboczy. Czy w takim kierunku postępują narody, które pod względem możności wytwarzania w ciągu jednego wieku wyżej się wzbiły, niż nasi praojcowie przez lat tysiące? Produkcya dóbr dosięgła w samej rzeczy w XIX stuleciu niebywałych

rozmiarów, lecz to samo stulecie przygniata dziwna sprzeczność: owe dobra, zamiast wracać do rąk wytwórców, zalewają istną powodzią kulę ziemską i więcej dbają o odbiorców w najodleglejszych zakątkach globu, niż w kraju rodzinnym. Gwoli zbytowi zagranicznemu przeoczają rynek swojski.

W stosunku do środków i wytwórczości pracy siła kupcza i stopa życiowa niższych warstw ludności podniosły się nieznacznie, szczególniej, jeśli weźmiemy pod uwagę, że ilość robotników bez zajęcia, zatem niepłatnych, pozornych tylko spożywców w ostatnich dziesiątkach lat znacznie wzrosła. Ponieważ jednak brak możności zużytkowania całej reszty produkcyi, pozostającej po odciągnięciu udziału klasy robotniczej, przeto, by się uporać z potęgą, wywołaną niby laseczką czarnoksiężnika, pozostaje jeden środek: szukać odbiorców towarów zagranicą. W przeciwnym razie siły produkcyjne, zatem i ręce robotnicze muszą leżeć odłogiem. Tymczasem widoki przemysłu wywozowego wciąż się pogarszają. Potężny rozwój industryi, szczególniej w Stanach Zjednoczonych i Niemczech, wschodzący przemysł Rosyi oraz części Azyi — do czego Europa sama się przyczynia swymi kapitałami stałymi i zmiennymi — nakładają więzy na produkcyę zachodnio-europejską: odbyt towarów po opanowaniu największej części rynku zaoceanowego postępuje stosunkowo za wolno, a udział każdego z mnożących się na rynku wszechświatowym współzawodników nie dotrzymuje dłużej kroku możności i potrzebie rozrostu produkcyi. Ba, owe do niedawna jeszcze ziemie obiecane nie tylko powoli wyzwalają się z pod ekonomicznej opieki Europy, ale nawet wstępują w szranki wywozowych zapaśników, przewyższając nas na pewnym punkcie: siły roboczej za bezcen. Naprzykład, przeróbka bawełny w Indyach wzrosła w przeciągu 9 lat (1880—89) z 301,000 bel po 394 funt. do 930,000 rocznie, a fabrykanci indyjscy i japońscy zbywają już swoje towary do Chin i Australii. Znany ekonomista niemiecki, Lujo Brentano, posuwa się tak daleko, że uważa wciągnięcie przemysłu na rynek wszechświatowy za pierwszą i ostatnią przyczynę nędzy społecznej.

Zły duch konkurencyi oraz braków w systemie produkcyi zasila i wywołuje bezrobocie jeszcze z innej strony: siły produkcyjne wymykają się z pod steru przedsiębiorców. Nie znając rozrzuconych po wielkich obszarach odbiorców, wytwarzając w części dla potrzeb, które mają dopiero być wywołane, nie są oni zupełnie w stanie przystosować produkcyi do zmiennego popytu na towary. Powstają okresy nadprodukcyi, jedno przesilenie goni drugie, aż w końcu od lat przeszło dwudziestu ustąpiły one miejsca chronicznej

depresyi, którą prof. Lexis chrzci mianem „pełzającego kryzysu”. A każde przesilenie zradza szczególne bezrobocie, którego długotrwałość, rozmiary i natężenie są zależne od sprawcy. Towarzyszące przesileniom zmniejszenie spożycia dorzuca nową cegiełkę i—ot, kręcimy się w zaczarowanem kole. Następstwo okresów rozkwitu i upadku, rozrost produkcyi dóbr, pociągający za sobą bezczynność z jej następstwami pewnej części tych właśnie, którzy je wytworzyli, stało się paradoksem 19 stulecia. Zaiste na farsę zakrawają słowa zurychskiego profesora J. Wolfa, jakoby przesilenia ekonomiczne były urządzeniami, „o których nieledwie dają się powtórzyć słowa Voltaire’a o Bogu, mianowicie, iż musianoby je zaprowadzić, gdyby ich jeszcze nie miano, lub słuszniej w naszym wypadku: jeśli zechcemy zwolnić kryzysy od zarzutu nieszczęsnych następstw, nie wolno ich zupełnie potępiać wobec ich pobudzających własności”. [1]).

Rozważyliśmy czynniki masowego mimowolnego bezrobocia, wypływające z samej istoty ustroju społeczno-ekonomicznego, zdające się stanowić rdzenną część jego. Po za tymi ogólnymi czynnikami oddziaływają ujemnie na rynek pracy inne jeszcze zjawiska. Bezrobocie może być wywołane przez zjawiska przyrody, zajścia społeczne, polityczne i inne. Przybiera ono wtedy charakter mniej lub więcej przejściowy, nawiedza pewną miejscowość tylko lub cały obszar państwa, pojedyńczy zawód, a nawet cały przemysł. Zdarza się to przy zarazach, powodziach, nieurodzajach — w ostatnim wypadku ludność zmuszona jest wydawać więcej na materyały spożywcze ze szkodą innych pozycyi — przy wojnach (np. straszne bezrobocie w przemyśle bawełnianym Anglii w skutek wojen domowych w Ameryce północnej w siódmem dziesięcioleciu), zmowach robotniczych, zakłócających bieg robót w gałęziach zależnych od dotkniętej zmową (np. wpływ strejku w kopalniach węgla Anglii w 1893 r. na zakłady przemysłowe o motorach parowych) i t. d.

Powyższe dociekania nasuwają doniosłe wnioski. Dwa potężne czynniki absolutnego bezrobocia, jakimi są wytwórczość pracy i wzrost ludności robotniczej, które, by utrzymać równowagę zatrudnienia, winny *ceteris paribus* posuwać się w wprost przeciwnym kierunku, z niesłabnącą siłą, ręka w rękę, kroczą po drodze absolutnego powiększania podaży pracy. Co do skracania dnia roboczego, postępując naprzód krokiem iście ślimaczym, nie jest ono w stanie zrównoważyć działania dwu pierwszych czynników, tembardziej, iż zmniejszonej ilości godzin pracy stale towarzyszy

---

[1]) J. Wolf, *Socialismus und kapitalische Gesellschaftsordnung*, t. I, str. 439.

dalszy rozwój jej intensywności, zatem skracanie przechodzi tylko w natężenie pracy. Pozostaje rozszerzanie rozmiarów produkcyi. Lecz z tej strony przy obecnym stanie rzeczy, jak widzieliśmy, zarysowuje się dość smutny horoskop; zresztą wywóz, zarówno jak wychodźtwo stanowią jedynie chwilową paliatywę, zwłokę, w czasie której możnaby właśnie przeprowadzić niezbędne reformy. Niewątpliwie wzrost produkcyi wchłania skądinąd wolne ręce, lecz jak liczne fakty dowodzą, tylko część przewyżki, to większą, to mniejszą. W najpomyślniejszych nawet latach dla przemysłu i handlu angielskiego znajdujemy w *trade union*'ach różny zależnie od koniunktur rynku pracy, lecz nie znikający „żelazny remanent" armii odwodowej. A wszak związki robotnicze tworzą arystokracyę klasy; procent bezrobotnych pomiędzy idącymi luzem, gorzej płatnymi i mniej odpornymi niefachowcami czyni jeszcze wymowniejszym język odsetek *trade union*'istów bez zajęcia.

Niestety wzajemne oddziaływanie czynników absolutnego bezrobocia dotychczas jest bardzo mało badane w dziejach życia gospodarczego. Wskutek tego, zarówno jak niedostatecznej statystyki produkcyi i pracy, brak nam podstaw do wyprowadzenia ścisłych, niezbitych wniosków, lecz wykryte tendencye wespół z dającymi się już dotychczas wyłożyć argumentami statystyki bezrobocia naprowadzają nas na naukowe mniemanie, że mamy tu—w pewnej części — do czynienia z organicznem, trwałem, choć zmiennem co do rozciągłości i natężenia zjawiskiem. Bezrobocie przestało być w krajach, najbardziej rozwiniętych, jedynie „stanem wyjątkowym w regule pracy".

Godnem jest uwagi, że zmora bezrobocia w nowomodnej szacie, mianowicie, jako zjawiska masowego i chronicznego, pojawia się najpierw w kraju, który jest poprzednikiem i wzorem całego nowoczesnego rozwoju ekonomicznego, oraz, że w innych krajach rozgaszcza się, poczynając od pewnego szczebla indywidualnego ustroju społecznego. Następnie najwyraźniej i najfatalniej występuje ono w krajach, gdzie ustrój ten dojrzał najbardziej, zatem w Anglii, Stanach Zjednoczonych, Niemczech, Francyi, Belgii. W Anglii możemy dojść wątka zagadnienia mimowolnego bezrobocia aż w 17 wieku; w owym czasie zwalczano je dobroczynnością. Z Anglii zmora bezrobocia przebrnęła kanał i pociągnęła przez Francyę, Belgię, Holandyę, Niemcy, Szwajcaryę; nie ominęła wreszcie tak bogato uposażonych od natury Stanów Zjednoczonych. A gdzie raz zajrzała, tam wchłania hekatomby po dzisiejsze czasy i tylko przejściowo pogrąża się w drzemkę.

W gwałtownym wzroście ludności nowszych czasów niektórzy fataliści czerpią przekonanie, że bezrobocie jest przedewszystkiem następstwem przeludnienia; należy je podług nich znosić, jako nieunikniony wypływ niedoskonałości i powikłań ludzkiego porządku rzeczy. „Istnieje za dużo ludzi, mimo wszelkich przeciwnych orzeczeń" twierdzi wspomniany już J. Wolf, nadmiar ludzi jest możliwy, i „nowoczesna nędza czyli nowoczesne przeludnienie jest przeważnie takim nadmiarem." Lecz cóż to znaczy: za dużo ludzi? Oczywiście możemy przez te słowa rozumieć tylko taki stan, kiedy państwo pomimo możliwego wysiłku nie jest w stanie dłużej zapewnić swym członkom dóbr niezbędnych do zaspokojenia zwykłych potrzeb życiowych [1]). Podobne przeludnienie zdarza się przy niesprzyjających warunkach u kolebki życia gospodarczego, u plemion, bezbronnie wystawionych na los żywiołów. Czyż może być jednak mowa o przeludnieniu nowoczesnych krajów? Nie przeoczając niebezpieczeństwa niesłabnącego i ustawicznego mnożenia się rodu ludzkiego, możemy śmiało twierdzić, żeśmy jeszcze daleko od kresu sił produkcyjnych. Przeciwnie, faktyczna produkcya pozostaje znacznie w tyle po za zdobytą już możnością wytwarzania. W 1873 r. np. jednym z najpomyślniejszych dla handlu co najmniej 1/20 sił wytwórczych przędzalnictwa leżała odłogiem; wytwórczość ziemi przy zastosowaniu wszelkich zdobyczy nauki i najracyonalniejszego systemu gospodarki przeszłaby najśmielsze oczekiwanie. „Gdybyśmy mogli tyle zbywać, ile jesteśmy w stanie wytwarzać, nie znalibyśmy aui nędzy robotniczej, ani bezrobocia, ani kwestyi robotniczej" (prof. Neurath) [2]). Społeczeństwa Zachodu nie napełnia obawa, by nie wytworzono za mało, lecz przeciwnie—za dużo dóbr. W zagadnieniu bezrobocia absolutnego idzie nie o przyrodzoną granicę wytwarzania, nie o przeludnienie, lecz o paraliżowanie i niewyzyskanie sił produkcyi. Gdy siły te są o każdym czasie spełna wyzyskane, gdy spożycie mas ludności wzrasta w miarę nowych zdobyczy, wtedy pomimo rozpętania owych sił niema miejsca na absolutne bezrobocie. Dopóty nie wolno nam mówić o przeludnieniu, „dopóki każde pole i każdy zagon nie wyda najlepszego plonu, dopóki już żaden bór, żadna naga wyżyna, nieprzebyta puszcza,

---

[1]) M. Schippel. *Das moderne Elend und die moderne Uebervölkerung str.* 223.

[2]) *Schriften des Vereins für Socialpolitik*, Über Kartelle. T. 61, str. 191.

żadne bagno ani trzęsawisko nie da się przeobrazić w płodem brzemienne pola i łąki[1])".

* *
*

Powyższe dociekania nasuwają następujące wnioski:

1-o, bezrobocie przedstawia — przynajmniej w części — stałe zjawisko gospodarki spółczesnej;

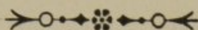
2-o, mniemanie, jakoby bezrobocie dosięgało u s t a w i c z n i e niezwykłych rozmiarów, jest przesadą; przeciwnie, rozciągłość i natężenie bezrobocia zmienia się odpowiednio do roku, pory roku, miejsca, zawodu;

3-o, jeśli mylnem jest mniemanie, jakoby bezrobocie było ustawicznie niezwykle wielkie, to pozostaje niezachwiany fakt, iż bezrobocie względne dosięga nadzwyczajnych rozmiarów rok w rok z nastąpieniem zimy;

4-o, bezrobocie występuje na wsi, jako względne, w miastach zaś, jako względne i absolutne; zatem bezrobocie absolutne jest specyficznym przejawem miast i wogóle ośrodków przemysłu.

Co do istnienia pewnego stałego bezrobocia, spotykamy prawie zupełną zgodność zdań. Jedynie zaznaczają, że 1-o takie zajścia, jak wymówienie roboty, zmiana miejsca zamieszkania, zawodu i t. d. muszą ustawicznie utrzymywać przerwy w stosunkach roboczych, 2-o że pewna liczba robotników bez zajęcia jest konieczna, by przy wszelkich koniunkturach rynku módz dotrzymać kroku zmiennym warunkom zbytu gospodarki spółczesnej, zatem i popytu na siły robocze. Tłómaczenie to jednak służy wprost za potwierdzenie wyrażonego wyżej zdania, że pewna przewyżka czyli, innemi słowy, pewne bezrobocie absolutne, zarówno jak sezonowe, stały się organiczną częścią gospodarki nowoczesnej. Gospodarka atoli tworzy nie sam cel, lecz jedynie środek do celów społeczeństwa. To też w uznaniu tej prawdy przystąpiono w ostatnich latach gorliwie do zażegnania bezrobocia oraz łagodzenia jego następstw za pomocą licznych środków, jak organizacya pośredniczenia w pracy, ubezpieczenie przeciw bezrobociu, roboty posiłkowe i t. p.

Seweryn Kutner.



1) L. Gall, „Was könnte helfen"? str. VI.

Rozbiory i Sprawozdania.

E. Vigié-Lecocq. La poésie contemporaine (1884–1896). — Paris—(Ed. Mercure de France).

Dziełko pod powyższym tytułem jest próbą zrozumienia prądów dzisiejszych w poezyi francuskiej; dodać jednak należy, że komentarz ten układa przyjaciel i wielbiciel tej poezyi; jest to z jednej strony niebezpieczne pod względem bezstronności autora, z drugiej wszakże zapewnia nas, że mamy tu do czynienia z wtajemniczonym. Z tego powodu książeczka może być użyteczną; autor jej zresztą sam zaznacza, że przedsiębierze pracę skromną, że będzie mówił o dzisiejszej poezyi „z niewielką nauką, a wielką miłością".

We wstępie przedstawia rozwój liryzmu w XIX w. i wykazuje, że stadyum dzisiejsze jest koniecznym i naturalnym kresem ewolucyi. Liryzm jest, podług niego, najdoskonalszą formą poezyi, gdyż w nim się mieści swobodny poryw do ideału.

Nie możemy tu powtarzać niezbyt głębokich uwag p. Vigié-Lecocqa o klasykach i romantykach. Romantycy — mówi — nadali poezyi barwność; parnas—plastykę, symboliści—duszę, osobistość.

Osobistość i liryka — oto treść poezyi dzisiejszej. Bliżej się zatrzymuje autor na dwu inicyatorach nowoczesnej poezyi: Stefanie Mallarmé i Pawle Verlaine'ie. Obaj oni są sugestyjni, jeden przez symbolikę, drugi przez impresyonizm.

Dzisiaj jest wielka rozmaitość indywidualności — i to właśnie

bogactwo stanowi źródło stropienia śród czytelników. Rodenbach—smutny i subtelny, La Cardonnel—ascetyczny, Verhaeren — mistyk i realista, Moréas i La Tailhède — naśladowcy Ronsarda, Vielé-Griffin—lotny, radosny, kwietniowy, pełen ogrodów; H. de Regnier—stężony, marmurowy, spokojny w swej melancholii; Retté i Maeterlinck— śpiewacy litości, Kahn — najdalej idący wśród symbolistów, Stuart Merill—melodysta elegijny, Albert Samain—i wielu, wielu innych—oto są osobistości nowe. Jedni szukają wrażeń i namiętności, nie zrywając z tradycyą ani chrześcijaństwem—wyznają pewien panteizm. Inni pogrążają wzrok w nieskończoności, mają dreszcz niepoznawalnego, odgadują tajemniczą analogię wszechrzeczy. Co do formy, to i tu wprowadzają wiersz swobodny, rymy proste lub asonanse. Rasowo przytem dzielą się oni na południowców, latynów i północnych półgermanów; zresztą motywy czerpią z całego świata; pozostając Francuzami, tworzą oni poezyę, która jednak przestaje być narodową i staje się nadnarodową. Dlatego historya, otoczenie społeczne i inne pierwiastki znikają im z oczu, i widzą tylko ich uogólnienie, raczej streszczenie, kondensacyę w jednostce.

Bliższe szczegóły o głównych odłamach poezyi daje autor później; tymczasowo zaś rozważa zjawiska pojedyńcze; nie tworzy jednak grup, nie maluje osobistości, lecz obiera inną metodę. Nagromadziwszy mnóstwo przykładów z najmilszych sobie poetów, uczy nas, jak poezya dzisiejsza rozumie najwyższe uogólnienia bytu: naturę, miłość, świat mistyczny, altruizm (zmysł społeczny). Cztery te nomenklatury stanowią tytuł czterech rozdziałów dziełka. Nie zatrzymuje się jednak na tem p. Lecoq i podaje nadto swoje rozumienie dekadentyzmu i symbolizmu; nakoniec w rozdziałach Technika i Język bada formę nowoczesnej poezyi. W ten sposób książka daje obszerny a całkowity pogląd na dzisiejszą poezyę. Jest to jednakże niezadawalające, gdyż ostatecznie uwaga się rozsypuje, i przykłady chybiają o tyle, że dobór ich odbiera samej poezyi właściwą fizyonomię, a wreszcie uwypuklenie znika.

Istotną cechą nowej poezyi jest unikanie jaskrawych obrazów, a natomiast poszukiwanie odcieni.

W naturze zatem szukają oni odcieni. Niektórzy kochają naturę, jakby Rousseau, który przeszedł przez Shelleya i przez cały intelektualizm naszego wieku. Czy my żyjemy w naturze, czy natura w nas, oto główne pytanie. Rozważać naturę, to rozważać siebie. Miłość, śmierć, mistyka, nawet społeczność mieszczą się w naturze, jako w podścielisku.

A. E. Harold ślicznie przedstawia naturę:

Ona spoczywa, lecz jutro w godzinie,
Gdy się otworzą szczęśliwe kwiaty...
Ona się zbudzi—jako światło i harmonia,
Ona mię weźmie za rękę,
Ona — Dryada, Czarodziejka,
Ona — Sylfida, Święta,
Ona uśmiechać się będzie świętym uśmiechem—
I poprowadzi mię przez cudne ścieżki—
A ja, zapomniawszy burz i żałoby,
Z nią razem zbierać będę
Promienne kwiaty i trofea chwalebne.

Dla romantyków krajobraz był dekoracyą i teatrem wzruszeń dla parnasu był poprostu widowiskiem; dla symbolistów krajobraz ma wartość sam przez się, niezależnie od idei, które ukrywa. Natura zaś ta nie jest to ani poszczególny Wschód, ani Grecya, ani Prowancya, ani Skandynawia: jest to: „Kraina dalsza od starożytnej Atlantydy". Niepodobna tu cytować pięknych urywków z Rodenbacha, Verhaerena, Regniera, Griffina, Samaina, którymi autor roździał ten przyozdobił. Świadczą one o jednym fakcie: o tem mianowicie, że poczucie natury, które ludzkość zazwyczaj zdobywa w okresie dojrzałości kultury, ale później je zatraca, że poczucie to za naszych czasów nie ginie, nie znika, lecz się nieustannie rozwija.

Miłość była zawsze najulubieńszą stroną lutni poetów- *Jardin de l'Infante* belgijskiego poety Alberta Samaina zawiera w sobie największą ilość motywów dzisiejszej miłości poetyckiej. Mamy tu dreszcze, tęsknoty, uśmiechy, radości, pocałunki, rozczarowania, rozpacze, szały, namiętności, ironie, samobójstwa... Kobieta jest upiorem.

Biada temu, co przechodzi koło mnie w tej chwili—
Przyzywam go, jak umierającego, który pragnie napoju,
I on przychodzi. Biada mu, biada memu kochankowi,
Ja kocham niezwalczenie, kocham niemiłosiernie!

Vielé-Griffin dał obraz miłości w swych *Joies*, o których na tem miejscu pisałem w r. 1895. Są to prześliczne co do dźwięku i uczucia pieśni, świeże, pełne tchnienia natury. Drugi jego miłosny poemat zowie się *Yeldis*, fantazya Wagnerowska, w której pięciu młodzieńców ściga dziewicę, walcząc o jej serce. „*Człowiek i Syrena*" H. de Regniera zestawia mężczyznę — mózg i kobietę—zmysły i maluje starcie ich i cierpienia obojga; kobieta — to natura, a człowiek nie ujdzie natury.

Mistycyzm. Romantycy mieli chwiejną religijność, parnas był negatywny, owszem buntowniczy (Leconte de Lisle), nowi poeci są religijni, ale nie jest to ani idea religijna, ani uczucie religijne: jest to poprostu sensacya religijna, i ta sensacya wyraża się w nastroju mistycznym. Jest to właściwie pomieszanie miłości Boga i miłości człowieka i pewne poufałe obcowanie z bóstwem; jest to wreszcie protest przeciw suchym, pozytywnym tendencyom wieku, o którym Verlaine mówi:

Siècle d'âpreté juive et d'ennuis protestants.

Katolicyzm, tradycyjna religia Francuzów, symboliczny, imponujący ceremoniałem, artystyczny, rozśpiewany, trybularzami woniejący, porwał ich na nowo. Cała księga Verlaine'a *Sagesse* to jeden szereg hymnów pobożnych, zlewających się zresztą z zupełnie zmysłowem traktowaniem bóstwa. Istotnie Verlaine tak kocha Matkę Boską, jakby to była żywa kobieta.

Razem z tem duch miłosierdzia budzi się w poecie.

Allez, rien n'est meilleur à l'âme
Que de faire une âme moins triste!

Jak u Verlaine'a się łączą boskość i zmysłowość, tak u innych poetów miłość i śmierć (Griffin); tajemnica ich nęci (Regnier), czarują ciemne krużganki klasztorów (Verhaeren), dobro społeczne przekształca Jezusa w agitatora śród maluczkich (Retté). Louis le Cardonnel został księdzem; ale był to ksiądz z góry zbuntowany; chciał połączyć wszystkie religie w jedną, zwołać kongres wszystkich religii i ostatecznie na nowo zrzucił sutannę, wciąż jednak pełny tęsknot mistycznych; jego wiersze przypominają tryptyki średniowieczne.

Altruizm nowożytnej poezyi odzywa się w bardzo wielu utworach, ale głównym jego przedstawicielem jest Adolf Retté oraz Piotr Quillard.

A. Retté wydał dwa poematy: *Similitudes* i *Forêt bruissante*, w których maluje swoją utopię społeczną. Pasterz czarny, człowiek społeczny, nędzarz, przebija się przez bór szumiący, aż w końcu zwycięża. Allegorye zresztą bardzo proste w stylu np. „Romansu Róży". Występuje tam kilka postaci: Jakób — proletaryusz natchniony, Piotr—potępieniec, Magdalena itd.

P. Quillard w poemacie *l'Errante* maluje ludzkość i jej dążenie, do harmonii; ton jego energiczny i skondensowany. Miewa tęgie obrazy A. E. Haroed (La Fête), a Verhaeren, który maluje ogromne wizye siół i miast, ostatnio zawołał:

Lassé des mots, lassé des livres —
Je veux enfin un glaive qui taille!

Jest to jak gdyby: Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje!

Pod wyrazem sztuki dekadenckiej rozumie autor sztukę, wyrażającą zjawiska dusz chorych, jaźni, dotkniętych cierpieniem. Ponieważ takich dusz jest dziś niemało, poezya taka ma racyę bytu. Osobistości, wyjątkowo delikatne, subtelnie przeczulone, wyrażają w swoich poezyach odpowiednie uczucia dla dusz pokrewnych i w ten sposób budzą w nich uświadomienie tajemniczych stanów ich serca.

Symbol jest po prostu rozszerzeniem metafory i porównania, najlepiej zaś można wytłomaczyć symbol przez przeciwieństwo do alegoryi. Alegorya nadaje sztucznie pojęciom oderwanym, za pomocą analogii, formę dotykalną; symbol wydobywa treść, istotę rzeczy, natury, duszę, podobną naszej. Alegorya idzie od abstraktu do konkretu i ucieleśnia ideę; symbol chwyta syntetycznie i intuicyjnie ideę i obraz. Alegorya analizuje, symbol — jest syntezą. Symbolizm—to poezya zjednoczenia treści i formy, barwy i dźwięku, ducha i materyi.

Co się tycze języka i techniki, są to rzeczy zbyt specyalnie francuskie, i nie będziemy ich tu rozważać. Zaznaczę tylko modny dziś t. zw. *vers libre*, który zresztą u nas dawno był znany (np. w Improwizacyi Konrada), wiersz nierówny, o rytmice zmiennej, o zmiennej ilości sylab, o rymach niewidocznych, a czasami mający wszystkie pozory prozy.

Książka p. Vigié Lecocqa daje tylko przybliżone i niezupełne pojęcie o dzisiejszym ruchu poetyckim, który wskutek swej nadmiernej bujności z trudem da się ogarnąć. Jest ona jednakże bardzo ciekawa i pożyteczna: autor posiada smak dobry i umie wybierać przykłady; to też wyłowił on najpiękniejsze urywki z ksiąg swoich przyjaciół, tłómaczy je, wyjaśnia, komentuje i wskazuje, na czem polega ich piękność i znaczenie. Czytelnicy, uprzedzeni przeciwko nowej poezyi, zobaczą, że dyabeł nie taki czarny, jak go malują, i że symboliści nie są tacy niezrozumiali, jakby się zdawało. Może nawet jest to słaba strona książki: udostępnia ona to co było *piscis non omnium*. Autor — zdaje się — mało posiada zmysłu filozoficznego; jest to natura łagodna, eklektyczna, skłonna do zacierania ostrych i wydatnych krawędzi — i dla tego, jak sądzę, w książce Vigié-Lecocqa nie jedno zostało przemilczane.

A. L.

⋙⁂⋘

Wł. Semkowicz. „Nagana i oczyszczenie szlachectwa w Polsce XIV i XV wieku“.

Z pośród dość licznego szeregu prac, poświęconych bądź to historyi rycerstwa, bądź to heraldyce, jakie się w literaturze naszej z ostatniego dziesiątka lat pojawiły, zwraca uwagę badacza zarówno pełnością, jak i gruntownością opracowania studyum Semkowicza, naganie i oczyszczeniu szlachectwa poświęcone. Autor w treściwym wstępie zaznacza, że instytucya nagany i oczyszczenia szlachectwa nie doczekała się dotąd naukowego opracowania, jakkolwiek materyał, tego przedmiotu dotyczący, jest bardzo obfity. Dotykali tej naukowej kwestyi uczeni badacze prawa polskiego i jego dziejów, a nawet prof. Ulanowski zapowiedział tego rodzaju pracę; z tem wszystkiem zapowiedź nie została urzeczywistnioną, a naganę i oczyszczenie szlachectwa znaliśmy jedynie z ogólnikowych wzmianek i określeń.

Zdaniem autora, zarzut nieszlachectwa nazywano w wiekach średnich najczęściej naganą lub przyganą szlachectwa (vituperatio, vilipensio i t. d. W różnych częściach Polski używaną jest jedna z tych nazw lub obie równocześnie. Mniej częste nazwy na oznaczenie zarzutu nieszlachectwa są: natrzeć, ohańbić, zdać, ożałować. Najczęstszą nazwą łacińską na oznaczenie czynności, mającej na celu zmazanie plamy nagany jest: expurgatio, co oddaje wyraz polski oczyszczenie. Jest to wynikiem faktu tak dawnego, jak ludzkość, że niezgoda i kłótnia rodzą się zwykle w sąsiedztwie. Nieraz naganiający w gniewie i bez dostatecznej podstawy zarzucał nieszlachectwo, przeto po ochłonięciu odwoływał niebaczne słowa, zwłaszcza, że groziła mu kara, skoro naganiony się oczyści. Zdarzało się jednak, że nagany dokonywano z całą świadomością.

Najczęściej chwytano się nagany, jako środka proceduralnego, aby w ostateczności poprzeć lub uchronić od upadku spór i sprawę sądową. Zarzucając np. świadkowi nieszlachectwo, przewlekało się sprawę aż do czasu, aż się ów świadek oczyści. Drugim powodem zarzutu nieszlachectwa było uniknięcie kary szlachectwa. Chodziło tu mianowicie o główszczyznę i nawiązkę, które dla osób stanu szlacheckiego były wyższe, aniżeli dla członków innych warstw społecznych. Skazany w tym wypadku zarzucał nieszlachectwo nieżyjącemu już szlachcicowi. Główszczyzny dochodziła wdowa w imieniu nieletnich dzieci, i na niej ciąży obowiązek oczyszczenia męża z zarzutu nieszlachectwa. Wreszcie, jeśli był kto niezadowolony z wyroku sędziego, zarzucał mu nieszlachectwo, a nawet krewne, chcąc wdowę od udziału w spuściznie wykluczyć, uciekały się do powyższego zarzutu.

Poczucie wartości klejnotu szlacheckiego sięgało tak daleko, że najmniejsze uchybienie czci uważano już za naganę szlachectwa. Wystarczało, gdy szlachcic mienił się w czemkolwiek lepszym od drugiego: już tem samem mu naganiał; podobnie obrażał dworzanin cześć szlachecką danego dworzanina, mówiąc, iż służy u lepszego, niż on, pana. Najzwyklejszym sposobem nagany był wprost zarzut nieszlachectwa. Samo gołosłowne powiedzenie: ty nie jesteś szlachcicem lub rycerzem, ty nie posiadasz szlacheckiego lub rycerskiego prawa, było już plamą na klejnocie. Jeśli szlachcicowi zarzucano, że pochodzi z ojca nieszlachcica, a matkę jego uważano za szlachciankę, musiał się on oczyścić tylko świadkami z klejnotu ojczystego. Zresztą mogła nagana dotyczeć wszystkich czterech klejnotów, t. j. po ojcu, matce i obu babkach. Pośrednio naganiano szlachcicowi, twierdząc, że jest włodyką lub chłopem, że jest nieślubnego pochodzenia lub że zajmuje się zawodami, właściwymi włościanom lub mieszczanom. Naganą dla każdego szlachcica było odmówienie prawa do jakiejkolwiek prerogatywy, posądzenie go o kłamstwo, tchórzostwo, kradzież lub fałszowanie monety. Wreszcie znieważenie kobiety szlachcianki pociągało za sobą naruszenie jej czci szlacheckiej.

Nagana spływała na dzieci naganionego. Jeśli naganiony się oczyścił, zmywał tem samem zarzut ze swych dzieci, gdy jednak, nie oczyściwszy się, zmarł, dzieci jego, nie chcąc uchodzić za nieszlachciców, musiały się oczyścić. Skoro naganiony dzieci nie zostawił, spadał obowiązek oczyszczenia na jego braci rodzonych, na których nagana również spływała. Kobieta zachowywała pierwotny klejnot nawet po zamążpójściu. Mężatka, naganiona w szlachectwie, oczyszczała się świadkami ze swego rodu. Nagana nie była osobistą ze względu na przedmiot i nie miała osobistych skutków ze względu na podmiot. Dotknięty zarzutem nieszlachectwa tracił mir rycerski w oczach wszystkich, i każdy mógł, powołując się na naganę, uważać go za nie szlachcica.

Do roku 1423, t. j. do wydania statutu wartskiego, kmieć mógł naganić szlachcicowi, który z tego zarzutu musiał się oczyścić. Po tym roku szlachcic, naganiony przez chłopa, nie oczyszcza się wcale ale wprost żąda kary za przekroczenie postanowień statutu. Nie dotyczył ten zwyczaj mieszczan, którzy mogli bezpośrednio dokonywać nagany szlacheckiej jak przed, tak po roku 1423. Oczyszczenie szlachectwa należało w całej Polsce, z wyjątkiem Rusi, do właściwości wszystkich sądów, a więc ziemskich, grodzkich, nadwornych i wiecowych. Stosunek między nimi był taki, że najczęściej

dokonywano wywodu szlachectwa na sądach grodzkich, najrzadziej na sądach nadwornych. Prócz tego odbywało się nieraz oczyszczenie na sądzie komisarskim. Jeśli w terminie oznaczonym sąd się nie zebrał, mógł naganiony prosić króla, aby mu wyznaczył sędziów w celu oczyszczenia szlachectwa. Czasem król sam był obecnym przy akcie wywodu. Na Rusi oczyszczenie w zasadzie należało do sądu ziemskiego, i nie spotykamy ani jednego wypadku, iżby go dokonano na sądzie wiecowym.

Przewód sądowy przy oczyszczeniu szlachectwa, jakkolwiek prowadzony był według zasad zwykłego procesu, miał jednak pewne cechy odrębne, i te autor z całą dokładnością przedstawił. Nagana mogła spotkać szlachcica w sądzie lub po za sądem. W pierwszym wypadku sąd zazwyczaj odrazu wyznaczał rok w celu oczyszczenia się z zarzutu. Jeśli jednak nagana nastąpiła poza sądem, inicyatywa rozpoczęcia procesu musiała wyjść od naganionego, którego obowiązkiem było pozwać przed sąd osobę, uchybiającą jego czci szlacheckiej. Sędziowie, uznawszy potrzebę oczyszczenia szlachectwa, zapytywali naganionego o jego herb. Zdarzało się czasem, że naganiony nie umiał na to odpowiedzieć, zazwyczaj jednak naganiony wymieniał świadków klejnotników, których po przyjęciu przez sąd i stronę zapisywano do księgi wraz z rotą, którą sędzia lub podsędek dla nich układali z podaniem sądu i czasu, w którym oczyszczenia dokonać należało. Czas, jaki wyznaczano stronom dla dokonania oczyszczenia, najczęściej wynosił 18 tygodni, choć czasami przedłużano go do roku i 6 tygodni. Wypadki odwołania, czyli odmówienia nagany były stosunkowo rzadkie, i zwykle szlachcic nie odwoływał publicznie tego, co już raz powiedział. Odmówienie musiało być dokonane osobiście, i rzadko naganiający przysyłał na sąd prokuratora, który w jego imieniu odwoływał.

Jeśli świadkowie złożyli przysięgę, odbieraną według ogólnych zasad procesowych, i w ten sposób szlachectwo naganionego potwierdzili, wówczas naganiającemu groziła kara za niesłuszne obwinienie. Aby ją przynajmniej odwlec, zarzucał on niekiedy samym świadkom, jednemu albo wszystkim, nieszlachectwo. Drugim sposobem oczyszczenia szlachectwa było przedłużenie dokumentu szlacheckiego, zwanego listem oczyszczenia. Czynność ta w języku sądowym nazywała się list pokładać lub listem się podpierać. List oczyszczający musiał posiadać zwykłe cechy dokumentu dowodowego, a więc być nienaruszonym i opatrzonym pieczęcią osoby, która go wydała. Narówni wreszcie z dowodem z dokumentów stoi dowód przez świadectwa sądowe.

Są wskazówki, przemawiające za tem, że pierwotną karą było wyrwanie języka, ale wcześnie wszelkie kary cielesne zamieniono na pieniężne. Owa kara pieniężna, zwana pokupem lub karą wielką, wynosiła zazwyczaj trzy grzywny. Jeżeli kto jednak naganę odwołał, to w zasadzie nie powinien był płacić swej kary. Jeśli naganiony upadł w dowodzie i nie zdołał się oczyścić z zarzutu nieszlachectwa, skazywano go na karę, którą w przeciwnym wypadku zapłaciłby jego przeciwnik.

Pan Semkowicz w studyum swem na podstawie bogatych źródeł archiwalnych przedstawił w wyczerpujący sposób historyczny rozwój instytucyi nagany i oczyszczenia szlachectwa, uwzględniając przytem dzielnicowe różnice między Wielkopolską a Małopolską. Ścisłość i logiczność argumentacyi a gruntowność źródłowych badań nadają wysoką wartość jego rozprawie, zapewniając jej zaszczytne miejsce w literaturze naszej historyczno-prawnej.

A. R.

Kazimierz Rojan. „Lepsze czasy“, powieść odznaczona na konkursie „Kuryera Codziennego“. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1899.

Bohaterem niniejszej powieści, (drukowanej w roku zeszłym w odcinku „Kuryera Codziennego”), jest młody chłopiec, Janek Stawczyński, który kończy właśnie kursa medyczne, czekając z upragnieniem chwili otrzymania dyplomu. Nie tak to łatwo jednak w tych warunkach, w jakich autor stawia swego bohatera. Dla przystąpienia do ostatniego egzaminu, tak zw. rigorosum (rzecz dzieje się w Galicyi) potrzebne są pieniądze, by opłacić taksę, a państwo Stawczyńscy — to rodzina rozbitków, których gorączka nafciana wyrzuciła na bruk miejski.

Ma o czem myśleć biedny Janek: fundusik, jaki pozostał z rozbicia, starczy na nadzwyczaj skromne utrzymanie licznej rodziny, chciałby więc jak najprędzej mieć pacyentów i zarabiać, ale skąd wziąć pieniędzy na rigorosum? ma o czem myśleć, gdyż w domu prócz matki jest siostra, która pracuje w biurze kolejowem i od dwu lat czeka z utęsknieniem na podwyżkę dla siebie oraz dla swego narzeczonego Marka, nawiasem mówiąc, wielkiego niedołęgi; jest dwoje starych dziadków, egoistów i nudziarzy, jak wogóle ludzie w starszym wieku, no i wreszcie dwoje młodszego drobiazgu.

Na dobitkę złego biedak zakochał się w Kazi Korczakównie, sierocie, córce również wykolejonego obywatela-nafciarza. Ta za-

rabia nieźle lekcyami, nic od nikogo nie potrzebuje, ale o małżeństwie myśleć w takich warunkach niepodobna.

Kłopoty pieniężne i sercowe, a także ich kombinacye stanowią główny wątek powieści. Janek przyrzekł Kazi, że na pewien oznaczony termin będzie doktorem — zdać więc musi! Na pierwsze rigorosum z pomocą zaliczek, lombardu i wszelkich innych abnegacyi znalazły się z trudem pieniądze, ale skąd wziąć na drugie?

Opatrzność i autor nie pozostawiają sympatycznego bohatera w tej krytycznej chwili i zsyłają mu ducha opiekuńczego w postaci dawnego kolegi Janka, barona Psztyka, birbanta i szulera, ale podobno z dobrem sercem; pożycza on Jankowi na dzień przed oznaczonym terminem niezbędną sumę i daje mu możność spełnienia danej Kazi obietnicy.

Janek więc ku ogólnej radości całej rodziny od dziadka aż do najmłodszej latorośli zostaje doktorem — i czeka na pacyentów z prawdziwie stoicką cierpliwością. Kwestya sercowo-finansowa, rzecz prosta, nie zostaje tem rozwiązaną. Kazia nawet powiedziała kiedyś młodemu doktorowi, że się już nigdy nie zobaczą, pomimo, iż całem sercem jest mu oddaną; a rodzina Janka stara się niemiłosiernie wybić mu z głowy romantyczne mrzonki wobec smutnej rzeczywistości, iż wszyscy ci nieszczęśliwi ludzie czekają na chleb z jego ręki.

Tu jednak nie koniec utrapień młodego adepta nauk medycznych. Czuwając nocami przy chorej, nabawia się tyfusu, życie jego wisi na włosku. Poczciwa Kazia wraz z matką pielęgnują go w chorobie. A że cnota musi być nagrodzoną (w powieści), Kazię więc spotyka niespodziewane szczęście. Opatrzność i autor poraz drugi zsyłają nieszczęśliwym ducha opiekuńczego, tym razem w osobie p. Ferdynanda Naharka, jednego z eks-wspólników przedsiębiorstwa nafcianego, w którem „przewiercili” majątek ś. p. Korczak i ś. p. Stawczyński. Prawdziwy to *deus ex machina* ten p. Naharek, którego istnienia dotychczas nie przeczuwaliśmy nawet zupełnie!

Dość, że zjawia się on u Kazi i opowiada jej o pewnych malwersacyach przy „wierceniu”, których ofiarą padł jej ojciec, o należnem córce odszkodowaniu i t. d., w rezultacie ofiarowuje jej 120,000 złr. wzamian za zupełne zrzeczenie się pretensyi do p. Naharka i jego wspólników. Ot i węzeł rozcięty!

Resztę wiemy. Rzecz oczywista, że teraz Janek musi wyzdrowieć, że stracona przez rodziców majętność zostaje odkupioną przez dzieci — no i: *crescite et multiplicamini!* Jak w bajce: I ja tam byłem...

Bodaj się tacy Naharkowie na kamieniu rodzili!

Co do charakterów, to te nakreślone są dość sylwetkowo. Nie mówiąc już o postaciach drugorzędnych, które zaledwie się zaznaczają, nawet bohaterowie niniejszej opowieści, Janek i Kazia, nie uwypuklają się dostatecznie: wiemy od początku, iż oboje są dobrzy, poczciwi, obowiązkowi, z charakterem względnie niepodległym, gotowi poświęcić swe własne szczęście dla dobra innych, ale do tej charakterystyki aż do końca autor nic nie dodaje nowego.

Charakter Janka urozmaicony tem, iż obok tego wszystkiego jest on marzycielem trochę, utalentowanym muzykiem, wielbicielem Bacha i t. p. Wszystkie zaś inne postacie, nawet odgrywające pewną rolę w przebiegu akcyi, w rodzaju rodziny Stawczyńskich, arcypraktycznych Waciulskich, cierpliwego narzeczonego Marka, barona Psztyka, to poprostu cienie chińskie.

W obrazku p. Rojana jest tylko dużo ciepła, przez co „Lepsze czasy" czyta się z zaciekawieniem i serdecznem współczuciem dla bohaterów, którzy są dość zacni i dość nieszczęśliwi, aby obudzić sympatyę czytelnika.

Styl p. Rojana gładki i poprawny, płynie w żywych dyalogach. Kilka tylko znaleźliśmy niedokładności: po przeczeniu np. stawia się 2-gi, nie 4-ty przypadek, również niezupełnie po polsku brzmi zdanie: „bardzo łatwo być może"; wreszcie czas przeszły od posłać (tryb dokonany od pościełać) będzie w 3-ciej osobie posłał, a nigdy pościelił.

Zwracamy wreszcie uwagę autora (czy może zecera), że w Galicyi ruble nie mają obiegu, nie może więc ktoś mieć 600 rs. rocznego dochodu. *H. G.*

Mikołaj Rej z Nagłowic", życiorys skreśliła *A. M.* Warszawa, skład główny w księgarni J. Centnerszwera, 1897.

Popularne życiorysy dla młodzieży czy dla ludu są bezsprzecznie rzeczą nader pożądaną i pożyteczną, — ale pod tym warunkiem, by do roboty tej brali się ludzie, pobieżnie chociaż obeznani z przedmiotem, o którym zamierzają pisać.

Nie można tego powiedzieć o wyżej wymienionej książce Autorce jej nie brakło zapewne na dobrych chęciach, ale znajomości rzeczowej, niestety, posiadała zbyt mało. Bo też napisać charakterystykę jakiegoś pisarza z epoki klasycyzmu i reformacyi czy nawet późniejszej nie jest rzeczą tak łatwą, jak skreślić sylwetkę współczesnego nam autora. Epoka ta — tak od nas odległa, ludzie

tak niepodobni do naszych, ich pojęcia, dążności, ideały, język wreszcie tak odmienny, iż nie dosyć jest przejrzeć pobieżnie jeden lub dwa utwory, by skreślić udatny wizerunek.

Zobaczmy, co daje nam autorka niniejszego życiorysu. Przedewszystkiem biografię według Trzecieskiego (innych materyałów nie zna), mocno niedokładną. Urodził się np. autor „Zwierciadła” nie w 1507, lecz w 1505 roku; a potem autorka nie zadała sobie trudu, by życiorys Trzecieskiego przeczytać uważnie—inaczej nie pisałaby, że gdy miał lat 18, „chciał go ojciec oddać do szkoły i kupił mu czerwonej kitajki na nowy żupanik” (str. 5). Nie do szkoły bowiem oddawano go wtedy, bo w szkole już był, wprawdzie „nic się nie nauczywszy” ani w Skalmierzu, ani we Lwowie, ani w Krakowie w bursie Jeruzalem, — lecz „na służbę” t. j. na dwór możnego pana; a dalej, skąd pani A M. wie, że ta historyczna kitajka była czerwona? Trzecieski przez dziwną niedbałość przeoczył ten ważny szczegół.

Pani A. M. wogóle wie więcej, niż wszyscy biografowie Reja. Wie np. że na dwór Tęczyńskiego jechał „z wielką radością” (str. 6), że „w pierwszych dniach pobytu w Tęczynie” już go „żal ogarnął”, że, gdy kto zagadał do niego po łacinie, „on tylko oczy spuszczał i milczał” (str. 7)—ba! wie nawet, iż w Tęczynie odbywały się wyścigi konne; szkoda tylko, iż nie dodała, czy istniała już wtedy instytucya totalizatora.

Po tym życiorysie idzie wyszczególnienie dzieł, a raczej jednego tylko dzieła „Żywotu człowieka poczciwego”, który autorka bierze za jedno ze „Zwierciadłem”. Innych utworów Reja pani A. M. nie zna lub znać nie chce.

Zresztą mniejsza o to: „Żywot” jest wszak najbardziej charakterystycznem dziełem ojca naszej literatury narodowej. Byleby treść i charakterystyka utworu podana była umiejętnie i sumiennie.

Treść przytoczona jest dość pobieżnie, ale za to podane są wyjątki, lecz w takim stanie, że sam Rej by ich nie poznał, tak są poprzekręcane jego własne słowa przez niedbałość autorki czy też może przez fałszywą chęć modernizacyi języka.

Rozumiemy intencyę autorki uprzystępnienia urywków, ale nie możemy się zgodzić na taką trawestacyę szanowanego przez nas wszystkich pisarza — czyż nie lepiej byłoby przytaczać go w oryginale, archaizmy zaś objaśniać w odsyłaczach? lub wreszcie nie cytować, lecz tylko streszczać? W streszczeniu chodzi tylko o myśl, nie o wyrazy, słowa zaś, ujęte w cudzysłów, są rzeczą

nietykalną, czy będą one Reja czy Baki, Mickiewicza czy Rozbickiego.

Nie uszły nawet cało wierszowane urywki, przytoczone przez niefortunną popularyzatorkę. Oto np. wyjątek z „Przemowy krótkiej do poćciwego Polaka stanu rycerskiego": w wydaniu Ambrożego Grabowskiego (Kraków, 1848) brzmi on, jak następuje:

Bom ja też prosty Polak nigdziey nie jeżdżając,
Tam się pasł na dziedzinie, iako lecie zając;

zaś u naszej autorki:

Bom ja też prosty *człowiek*, nigdzie nie jeżdżając
Tum się pasl na *dziedzińcu*, jako *w lesie* zając.

W zakończeniu swej książeczki pani A. M. podaje znaną anegdotkę o hołdzie, jak stary Rej złożył wschodzącej gwiaździe Kochanowskiego słynnym swym dwuwierszem:

Temu w nauce dank przed sobą dawam
I pieśń bogini słowiańskiej oddawam.

Dla wiadomości jednak autorki dodamy, iż cały ten epizod, jak tego dowiódł prof. Brückner i inni, jest zmyślonym.

Oto wszystko, co się możemy o Reju z książeczki p. A. M dowiedzieć; nie radzilibyśmy jednak nikomu korzystać z tych wiadomości. —*g*.—

E. v. Philipovich „Polityka gospodarcza" (Volkswirthschaftspolitik) Fryburg, 1899.

Liczne nader monografie z zakresu polityki agrarnej, handlowej, oraz prace, zajmujące się badaniem stosunków robotniczych, przedstawieniem walki między pracą a kapitałem i udziału, jaki w niej władzy państwowej przypada, nagromadziły zwolna bogaty nader materyał, który teraz poraz pierwszy został zdolną ręką ujęty w jasną i przejrzystą całość. Kiedy ekonomiści niemieccy, posługując się metodą, pozostałą nam w spuściznie po ekonomii klasycznej, traktują politykę gospodarczą nie jako odrębną gałęź wiedzy, lecz tylko jako praktyczną część ekonomii politycznej, żąda Philipovich dla niej nietylko odrębnego stanowiska w nauce, ale nadto daleko szersze od wszystkich swych poprzedników nakreśla jej granice. Pojęcie, iż pod miano polityki gospodarczej podpada tylko gospodarcza działalność państwa i ciał ustawodawczych, które

spotykamy jeszcze u Buchenbergera, Conrada, Kohna, odrzuca Philipowich, jako zbyt ciasne i zbyt w treść ubogie wobec bogatego urozmaicenia stosunków gospodarczych w każdem nowożytnem państwie. Związki producentów, przywołane do życia polityką państwową, wspierane ze skarbu państwa i ściśle przepisami państwowymi określone, nie większą przecież odgrywają rolę w życiu gospodarczem od fachowych związków robotniczych, które, powstawszy z prywatnej inicyatywy, częstokroć całą swą historyę wypełniają walką z władzą państwową. Premie wywozowe, opusty od podatków, ulgi, przy których pomocy państwo stara się pewne gałęzie przemysłu ochronić i wzmocnić wobec konkurencyi zagranicznej, nigdy może nie mają tak wielkiego znaczenia gospodarczego, jak np. kartele i „trusty", broniące interesów wielkiego kapitału. I dlatego też między czynnikami polityki gospodarczej, tuż obok państwa i ciał ustawodawczych, wymienia Philipowich— i w tem jego ogromna zasługa — pojedyńczych wytwórców i ich związki, stowarzyszenia, nie zapominając wszakże nigdy o poważnej roli, jaka tutaj państwu przypada w udziale, zarówno ze względu na autorytet prawny, jaki mają jego rozporządzenia, jak i na zasób pieniężnych i fizycznych środków, którymi przeprowadzenie ich poprzeć jest w stanie.

Wprowadzenie to do nauki gospodarczej nowego czynnika umożebniło nietylko Philipovichowi przedstawienie zjawisk gospodarczych lat ostatnich w całej ich rozmaitości, ale dopomogło mu też do wyświetlenia sprzecznej częstokroć gry interesów prywatnych, siły, z jaką na siebie wzajemnie działają, i związku ich z prawnym i politycznym ustrojem państwa. Zrywając z dotychczasowym szablonowym podziałem polityki gospodarczej na agrarną, przemysłową i handlową, rozpatruje on czynności gospodarcze wyłącznie ze względu na znaczenie ich dla organizacyi społecznej, wytwórczości i podziału bogactw. Pierwsza to dotychczas próba zastąpienia czysto zewnętrznego podziału, podjętego według pewnych, łatwo w oczy bijących znamion, czysto rzeczowem, z treścią, nie z formą liczącem się ugrupowaniem, przy którem jednolity charakter organizmu społecznego o wiele jaśniej i dobitniej się zarysowuje. Pytania bowiem, tyczące się stosunków robotnicznych, opieki, jaką wytwórcza działalność jednostek od państwa domagać się ma prawo, znaczenia związków i stowarzyszeń zarówno przy badaniu stosunków agrarnych, jak i przemysłowo-handlowych wyłącznie tylko ze względu na najwyższą wydatność pracy i najkorzystniejszy społecznie podział rozstrzygnięte być mogą. Zaznaczenie też tego punktu

widzenia już z góry przez samo ugrupowanie materyału uważać należy za ogromną zdobycz metodologiczną, która zapewnie stałym już pozostanie nabytkiem na polu badań ekonomicznych.

Helena Landau.

„Poradnik dla samouków“ Część II. „Nauki filologiczne“. „Nauki historyczne. Pod redakcyą Piotra Chmielowskiego, Ludwika Krzywickiego i Adama Mahrburga przy współudziale grona specyalistów. Wydawnictwo Aleksandra Heflicha i Stanisława Michalskiego. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem im. dra Józefa Mianowskiego. Warszawa 1899.

Niezwykłe powodzenie I części „Poradnika”, zawierającej nauki matematyczne i przyrodnicze, pouczyło, jak tego rodzaju wydawnictwo jest niezbędnem w naszem społeczeństwie. Wykształcenie szkolne może dać zaledwie podstawy, niezbędne do dalszego samorozwoju; wykłady zaś uniwersyteckie obejmują jedną jakąś specyalną gałąź wiedzy, o inne nie troszcząc się zgoła. Żądza wiedzy jednak i upodobania umysłowe dziwnym nieraz ulegają fantazyom: czyż nie znamy prawników, interesujących się sprawami biologii, medyków, studyujących z zapałem socyologię, przyrodników, dla których kwestye historyczne nie są zupełnie obce?

A zresztą, każdy wykształcony człowiek, nie poprzestając na tym szczupłym zakresie wiedzy, jaki mu wskazał dowolny wybór lub ślepy los, pragnąłby zdobyć choć podstawy jaknajogólniejsze i w innych dziedzinach, nie chcąc uchodzić w nich za kompletnego ignoranta. Cóż taki samouk ma robić? dokąd się zwrócić o wskazówkę, radę, źródła? Gdzieindziej nieocenione pod tym względem usługi oddają uniwersytety ludowe, systematyczne wykłady popularne itd.; u nas, gdzie te rzeczy albo wcale nie istnieją, albo też są w stanie zarodkowym, nie odpowiadając bynajmniej swemu przeznaczeniu, dobry i taki „Poradnik”.

Pożyteczność i zalety „Poradnika dla samouków” są aż nadto oczywiste, aby się nad niemi rozwodzić. Samo wyszczególnienie odnośnych do każdego działu źródeł w pewnym systematycznym porządku wraz z krytycznemi uwagami może okazać się wielce pomocniczem przy studyowaniu tej lub innej gałęzi wiedzy. A prócz tego „Poradnik” zawiera wskazówki teoretyczne i praktyczne, szereg tematów, których wykonanie może utrwalić w pamięci samouka pewien krąg luźnych wiadomości i wyrobić w nim poglądy ogólne, wstęp do każdego działu itd.

Komitet wydawniczy wywiązał się ze swego zadania jak najsumienniej, powołując do współpracownictwa najlepszych naszych specyalistów w każdym zakresie nauki, którym śmiało czytelnik może dowierzać; jeżeli więc są tu jakie braki, to wynikły one w większej części z trudności technicznych, jakie połączone są z tego rodzaju przedsięwzięciem.

Współpracownicy „Poradnika" nie stanowią jakiegoś ciała naukowego o ścisłej jedności poglądów i zapatrywań; nie mieli więc możności bliższego porozumienia się co do metody, rozmiarów i drobiazgowości informacyi, kwestyi spornych itp. Stąd pochodzi pewna dająca się zauważyć niejednolitość w ogólnym planie i wykonaniu: jednym przedmiotem poświęcono względnie niewiele miejsca, inne traktowane są nader obszernie. Ten brak jednolitości daje się szczególniej zauważyć we „wstępach", gdzie każdy ze specyalistów wypowiada swe *credo* naukowe, a że *quot homines, tot mentes*, niechaj to nas nie dziwi, iż, co jeden uważa za rzecz wątpliwą, inny ma za pewnik, co jeden poleca gorąco, o tem inny wyrazi się z lekceważeniem. Lecz mniejsza o to: podstawową część „Poradnika" stanowią informacye i wskazówki — a te wykonane są jak najlepiej.

Przystąpmy po tych kilku uwagach, które nam nasunęła lektura „Poradnika", do szczegółowego sprawozdania z jego treści

Omawiana tu przez nas drugą część „Poradnika" rozpada się na dwa wielkie działy: nauki filologiczne i nauki historyczne.

Na pierwszem miejscu wśród nauk filologicznych widzimy językoznawstwo ogólne, opracowane przez J. Karłowicza; dalej język polski, w którego zakresie udziela szczegółowych informacyi A. A. Kryński.

Następuje „nauka literatury", do której wstęp pisze P. Chmielowski, stylistyka w opracowaniu Stan. Mieczyńskiego, poetyka — Br. Chlebowskiego (część ogólna) i Ign. Chrzanowskiego (część informacyjna), wreszcie krytyka przez Chmielowskiego; Mieczyński między innemi (str. 56—57) wylicza kilkunastu naszych wybitnych stylistów od Reja do Świętochowskiego — szereg ten możnaby w dziesięćkroć powiększyć: ze współczesnych np. wymieniono tylko Świętochowskiego.

Języki nowożytne opracowali: K. Appel (francuski). W. Osterloff (niemiecki) i H. Benni (angielski), podając metodę i krytykując odnośne podręczniki.

Dział nauk filologicznych zamyka filologia klasyczna. Na tem miejscu M. Rowiński pisze gorącą apologię klasycyzmu przeciw „realizmowi i wszelkim „mizologom" (tj. nieprzyjaciołom filologii):

wykazuje znaczenie klasycyzmu w historyi, literaturze, pedagogii i wogóle w każdej nauce, walczy przeciw rozpowszechnionemu wśród naszego ogółu mniemaniu o bezużyteczności i jałowin klasycyzmu itd.

Do działu nauk historycznych pisze wstęp L. Krzywicki. Poszczególni zaś badacze roztaczają przed nami całe bogactwo wiedzy historycznej w różnych jej gałęziach: T. Korzon i Sz. Askenazy w zakresie historyi powszechnej nader szczegółowo, Wł. Smoleński—w historyi polskiej, Edward Grabowski—w historyi literatury powszechnej, P. Chmielowski przy współudziale Br. Chlebowskiego w historyi literatury polskiej, przyczem Chmielowski nader umiejętnie dzieli autorów naszych na kilka coraz obszerniejszych kręgów, z którymi kolejno zapoznawać się trzeba. Rozumową bibliografię historyi sztuki podaje Ign. Matuszewski, historyi rozwoju społecznego (kultury) — L. Krzywicki, wreszcie historyi nauki i historyi filozofii Ad. Mahrburg.

Taką jest zawartość II części „Poradnika". Widzimy więc, że treść to obszerna, a nazwiska współpracowników ręczą za wiarogodność informacyi.

Życzyćby należało i społeczeństwu i komitetowi wydawniczemu, by i ta II część „Poradnika" znalazła takież same gorące przyjęcie, jak i pierwsza, tembardziej, iż zachęca do tego niebywale nizka cena (80 kop. za olbrzymi tom o 700 stronicach), za co wdzięczni jesteśmy Kasie Mianowskiego, która poparciem swem uprzystępniła to niezwykle pożyteczne dzieło szerszemu ogółowi.

Oczekujemy z niecierpliwością III części „Poradnika", która ma zawierać nauki społeczne i filozoficzne; komitet redakcyjny zapowiada ją jeszcze na koniec bieżącego roku—przyjmujemy i przyjmiemy ze szczerą wdzięcznością.

H.G.

= *A. Brückner*. Spuścizna rękopiśmienna po Wacławie Potockim. Część druga, Kraków, 1899 (Odb. z t. XXIX Rozpraw Akad. Um.). Ta druga część pracy największego znawcy literatury staropolskiej zawiera w sobie szczegółowy rozbiór dzieł Potockiégo p. t. „Ogród niewyplewiony" i „Moralia", na które składają się facecye, przypowieści, przepyszne obrazki rodzajowe, i t. p., rzucające bardzo ciekawe światło nie tylko na talent i indywidualność autora, lecz i na historyę obyczajów polskich w XVII wieku. Przy końcu monografii podaje prof. Brückner jedrną charakterystykę Po-

tockiego, jako człowieka i pisarza. Jak wszystkie wogóle publikacye prof. Brücknera, tak i ta jest nadzwyczajnie ważnym przyczynkiem do historyi naszej literatury, jako zawierająca w sobie rzeczy zupełnie albo prawie zupełnie dotychczas nieznane.

= *A. Karbowiak.* „Szkoła katedralna krakowska w wiekach średnich". Kraków, 1899. Autor oddawna już pracuje nad historyą oświaty w Polsce; w roku zeszłym ogłosił pierwszą część swej monografii „Dzieje wychowania i szkół w Polsce w wiekach średnich (966 — 1363)", z której „Ateneum" zdawało w swoim czasie szczegółową sprawę. Rzecz o szkole katedralnej jest bardzo sumiennem studyum o szkole krakowskiej przy kościele Panny Maryi, jej historyą mianowicie od roku 1000 aż do 1510. Umiejętność korzystania ze źródeł, naukowe posługiwanie się metodą porównawczą, systematyczność są głównemi zaletami tej pracy.

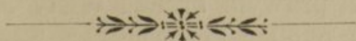
= Wydawnictwo Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu z funduszu Norberta Bredkrajcza. „Nieznane zabytki piśmiennictwa polskiego". Do „Biblioteki pisarzów polskich", wydawanej przez Akademię Umiejętności w Krakowie, oraz do „Biblioteki zapomnianych poetów i prozaików polskich", wydawanej przez prof. T. Wierzbowskiego, przybywa obecnie biblioteka trzecia pod wyżej zaznaczonym tytułem. Jej zeszyt I (Poznań, 1899) zawiera w sobie „Kazania niedzielne i świąteczne nieznanego autora, spisane około roku 1555", w opracowaniu zasłużonego badacza języka i piśmiennictwa staropolskiego *d-ra Bolesława Erzepkiego* Wydawca znalazł kazania w rękopisie, będącym własnością biblioteki śmigielskiego dekanatu (w kościele parafialnym we wsi Białczu pod Kościanem). Autor tych kazań jest nam nieznany, nie ulega jednak wątpliwości, że był prawowiernym katolikiem; dwukrotnie występuje przeciw różnowierstwu, zbijając naukę Kalwina o przeznaczeniu i piorunując na sekciarstwo, biada nad rozluźnieniem karności wśród wyższego duchowieństwa polskiego. Główną osnowę kazań stanowi pierwiastek moralno-dydaktyczny; ich treść nie odznacza się ani różnorodnością, ani bogactwem rysów kulturalnych, ich forma nie znamionuje wybitnego krasomówcy, ale prostota wyrażenia oraz poprawny, czysty, czasami nawet piękny język (tu i owdzie zabarwiony prowincyonalizmami wielkopolskimi) najzupełniej usprawiedliwia ich wydanie w „Nieznanych zabytkach": stanowią one jeden dowód więcej, że już przed Rejem i Orzechowskim umiano pięknie pisać po

polsku; wobec tego dla historyi wyrabiania się języka literackiego w wieku XVI te kazania anonima stanowią wcale cenny przyczynek, i za ich ogłoszenie należy się prawdziwa wdzięczność uczonemu badaczowi.

= „Rok czytania" książeczka układu *J. Chrząszczewskiej* i *J. Warnkówny*, część wstępna (Warszawa, nakład i własność Maurycego Orgelbranda, 1899). Jest to rodzaj wypisów dla dzieci i młodzieży; zawiera powiastki, opowiadania historyczne i życiorysy, opisy natury, pogadanki naukowe i moralne oraz wierszyki. Całość ułożona nader systematycznie i rozumowo: cały materyał rozłożony według miesięcy roku szkolnego, od września do czerwca. Przyjmujemy z wdzięcznością tę ofiarę do skarbony tak nielicznej u nas literatury pedagogicznej.

= *Józef Dunin-Karwicki.* „Ze starego autoramentu". Typy i obrazki wołyńskie. (Serya druga). Warszawa, 1900. Z biegiem lat zupełnie przeistacza się nie tylko zewnętrzna postać, lecz i wewnętrzna treść pewnych codziennie spotykanych typów. Pan Józef Dunin Karwicki w swych obrazkach nakreślił szereg typów wołyńskich z przed lat 40—50, to jest z czasów swego dzieciństwa i młodości. Typów takich dziś już niema, lub istnieją, lecz niemal zupełnie przeistoczone. „Barwniej i dokładniej", mówi autor, „opisuje się to, na co się własnemi patrzało oczyma i co się „s e r c e m o d c z u w a ł o". To „odczuwanie sercem" nadaje tym prostym opowiadaniom ton ciepły i sympatyczny. Całość składa się na dość dokładną charakterystykę życia obywatelstwa wołyńskiego z przed laty 40-tu, nacechowanego wielką lekkomyślnością, ochotą do zabawy, bezradnością wobec chytrego wyzysku, lecz nie pozbawionego stron jasnych (Wielka pani Polska) lub malowniczych dzielnych postaci (Gajowy).

= *Józef Kallenbach.* „Dziady" Mickiewicza w oświetleniu p. Maryi Konopnickiej. Kraków, 1899 (str. 26). Jestto replika na artykuł znakomitej poetki, wydrukowany w „Bibliotece Warszawskiej" (1898) p. t. „O I-ej i II-ej części Mickiewiczowskich „Dziadów" słów kilka". Prof. Kallenbach zbija dowodzenie p. Konopnickiej punkt po punkcie i jasno wykonuje, że jej wywody nie wytrzymują krytyki.



Bibliografia.

= **Biblioteka Warszawska** w ostatnich dwu zeszytach drukuje: „Chopin i Fontana" F. Hoesicka, Sz. Askenazego „Przymierze polsko-pruskie", K. Kaszewskiego „Gimnazyum", Marcina Okszy „Modernizm w Niemczech i Stanisław Przybyszewski".

= Sierpniowy zeszyt **Przewodnika Naukowego i Literackiego** zawiera artykuły: Fr. Rawity-Gawrońskiego „Adam Mickiewicz na Wschodzie (1855)", „Korespondencyę J. B. Zaleskiego", podaną przez Dyonizego Zaleskiego, ks. Jana Sygańskiego „Nowy Sącz w epoce Wazów".

= Pomiędzy artykułami, ogłoszonymi w **Przeglądzie Powszechnym** (sierpień — wrzesień), zwracają uwagę studya: prof. Ant. Mazanowskiego „Młoda Polska w powieści i poezyi", ks. Józefa Sasa. „Układy o ligę przeciw Turkom za Zygmunta III".

= W sierpniowym zeszycie **Przeglądu Polskiego** czytamy ciekawe studyum prof. A. Brücknera p. t „Taniec Rzeczypospolitej polskiej", rzecz o nieznanym utworze poetyckim z XVII w., Gabryela Krasińskiego, kasztelana płockiego, jednego z przodków Zygmunta († 1674); w tymże zeszycie p. Witold Rubczyński drukuje studyum „Z najnowszej naszej literatury filozoficznej".

= **Wisła** w zeszycie II — V tomu XIII podaje prócz drobniejszych przyczynków następujące prace większych rozmiarów: Seweryna Udzieli „Świat nadzmysłowy ludu krakowskiego na prawym brzegu Wisły", J. Radziukinasa „Dusia", H. Saloniego „Lud wiejski w okolicy Przeworska", St. Rożnieckiego „Duńskie po-

dania ludowe o Polakach" w przekładzie Jana Zakrzewskiego", „Opowiadanie ludowe z okolic Chodcza w pow. Włocławskim" przez Helenę Sarnowską, „Kronikę geograficzną za rok 1898", przez Wacława Nałkowskiego.

= Miesięcznik **Życie** w numerze z dnia 15 sierpnia (№ 15—16), drukuje między innemi: „Sen twórczy" (wiersz) St. Wyrzykowskiego, „Klątwę" tragoedyę (!) Stan. Wyspiańskiêgo, „Święty Boże! Święty Mocny..." (wiersz) J. Kasprowicza.

= Dodatki tygodniowe do **Gazety Polskiej** z ostatnich dwu miesięcy zawierają: „Wędrówki Childe-Harolda" Byrona, „Na dnie otchłani" powieść współczesną A. K. Smacznińskiego, oraz „Bezkrólewie", powieść historyczną Maryi Łopuszańskiej, (tom I—IV).

= **Biblioteka dzieł wyborowych**, tom 101, zawiera pracę Romana Zawilińskiego „Słowacy, ich życie i literatura".

= **Teatr Amatorski**, wydawany przez Gebethnera i Wolffa w ostatnich książeczkach daje do użytku miłośników sztuki dramatycznej: „Posażną jedynaczkę" J. Aleksandra hr. Fredry (№ 55); tegoż „Consilium facultatis" (№ 56), oraz „Kto to?" drobnostkę sceniczną w jednej odsłonie E. Lubowskiego.

= Ozdobnego wydawnictwa **Album sztuki polskiej** w opracowaniu Henryka Piątkowskiego ukazały się zeszyt III i IV, zawierający rezrodukcye dzieł sztuki naszej z Wystawy retrospektywnej w Warszawie z r. 1898.

= Wykwintnem również wydawnictwem będzie **Monografia ilustrowana kościołów rzymsko-katolickich w Królestwie Polskiem**; dotąd wyszedł zeszyt pierwszy tego dzieła (fol., str. 16), zalecający się wytwornością szaty zewnętrznej.

= W osobnej odbitce wydał p. Leonard Lepszy monografię swą, drukowaną w r. b. w „Przeglądzie Powszechnym" p. t. **Lud wesołków w dawnej Polsce**, cenny przyczynek do historyi sztuki dramatycznej w dawnej Polsce.

= **Bystroń J.** Ortographie und Sprache der polnischen Gesetzbücher des XV Jahrhunderts (nadbitka z Bulletin de l'Académie des sciences), Kraków, 1899.

= **Koskowski Bol.** Gmina wiejska, zarys samorządu gminnego w Królestwie Polskiem.

= **Lutosławski W.** Ueber die Grundvoraussetzungen und Consequenzen der individualistichen Weltauschauung, Helsingfors, 1899.

= **Niemojewski Stanisław.** Pamiętnik, 1606 — 1608, wydał Aleksander Hirschberg (wydawnictwo Zakładu nar. im. Ossolińskich, II), Lwów, 1899.

= **Książka zbiorowa** pamięci Józefa Korzeniowskiego, Brody, 1899.

= **Piekosiński Fr.** Studya, rozprawy i materyały z dziedziny historyi polskiej i prawa polskiego, tom III (nadbitka z VI tomu sprawozdań Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce), Kraków, 1899.

= **Ciszewski Stan.** Bajka o Midasowych uszach, studyum z literatury ludowej (odbitka z XXVIII tomu Rozpraw wydziału filologicznego Akademii Umiejętności).

= **Hłasko S.** Poezye, Warszawa, 1900.

= **Nowiński J.** Biała Gołąbka, poemat dramatyczny w 5-ciu aktach. Warszawa, 1899.

= **Nitowski J.** Poezye, Lwów, 1899.

= **Król K. i Nitowski J.** Podręcznik do nauki literatury polskiej, Warszawa, 1899.

= **Bohowltyn.** Nasi dekadenci, powieść ze schyłku XIX wieku. Kraków, 1899. Tom I—II.

= **Sieroszewski Wacław (Sirko).** Risztau, powieść z ilustracyami Ant. Kamieńskiego, Warszawa—Kraków, 1899.

= **Niemojewski Andrzej.** Listy człowieka szalonego, Warszawa—Kraków, 1899.

= **Merczyng Henryk.** Dumania przyrodnika, Petersburg, 1900.

= **Moor Tomasz.** Epikurejczyk, powieść poetyczna, tłómaczona z angielskiego przez Karola Forstera, wydanie drugie poprawione, Warszawa, 1899.

= **Lockyer Norman I.** Pierwsze początki astronomii, Warszawa, 1899.

= **Thomé O. W.** Zasady botaniki, podług 23 wydania dzieła „Księga przyrody" d-ra Fryderyka Schoedlera, opracował i dopełnił M. Heilpern, z 281 rysunkami w tekście, Warszawa, 1899.

= **Kadlčak J. M.** Z haličských potulek, dojmy a wspominki z cest, Brno, 1899, knihovna našeho lidu, ročnik III, čislo 3, 1899.

= **Amicis de Edmund.** Serce, pamiętnik chłopca, książka dla młodzieży, wydanie drugie, Warszawa, 1900.

= **Zaborowski A.** Światy zaginione, przełożył J. K. Potocki, Warszawa — Kraków, 1899.

= **Sonnenberg E. N.** Tajemnica lekarska, jako nakaz stanowy, przepis prawny i postępowanie etyczne, odczyt miany w Towarzystwie Lekarskiem Łódzkiem w dniu 5 kwietnia 1899 r. (odbitka z „Czasopisma Lekarskiego" №№ 5, 6, 7, 8), Łódź, 1899).

= **Reymont Wł.** Lili, żałosna idylla, z ilustracyami T. Jaroszyńskiego, Warszawa—Kraków, 1899.

= **Dugas L.** Nieśmiałość, studyum psychologiczno-etyczne, przełożył z francuskiego Edward Stojowski, wydawnictwo Przeglądu Filozoficznego, Warszawa, 1900.

= **M. Dzierżanowska — C. Niewiadomska — J. Warnkówna.** Ćwiczenia do nauki języka i gramatyki polskiej podług najnowszych źródeł ułożone.

= **Wiedza i życie.** Tom I i III: **Robert de la Sizeranne.** Ruskin i kult piękna, tom I—II, przełożył z francuskiego Antoni Potocki; tom II: prof. dr. **Józef Nusbaum**. Z zagadnień biologii i filozofii przyrody; tom IV: **Angelo Mosso.** Fizyczne wychowanie młodzieży, tłómaczył Stanisław Brzozowski; tom V: **Oswald Külpe** — O zadaniach i kierunkach filozofii, tłómaczyli z upoważnieniem autora członkowie „Kółka filozoficznego" pod redakcyą prof. d-ra Kazimierza Twardowskiego, tom I, Lwów—Warszawa, 1899.

= **Dragomirow A. generał.** Joanna d'Arc (Dziewica Orleańska), z upoważnienia autora przetłómaczył S. Stawczański, Kijów, 1900.

= **Program** ces. król. Szkoły politechnicznej we Lwowie na rok naukowy 1899—1900, XXVIII, Lwów, 1899.

= **Kozłowski Wł. M.** Filozofia Schillera i wiersz „Artyści", Łódź, 1899.

= **Augustynowicz Jan.** Ksiądz Prot, historya ludzka, powieść, odznaczona zaszczytnem odznaczeniem na konkursie literackim „Głosu", Warszawa, 1900.

= **Maeterlinck Maurycy.** Księżniczka Malena, przekład Kazimierza Sterlinga, Warszawa, 1900.

= **De Flavigny comtesse.** Saint-Hyacinthe et ses compagnons, XIII-e siècle, Paryż, 1899.

= **Cuny George.** Beiträge zur Kunde der Baudenkmäler in Westpreussen, (Mitteillungen des Copernicus-Verein für Wissenschaft und Kunst zu Torn, XII Heft), Toruń, 1899.

= **Arctowski Henryk.** Materyały do bibliografii prac naukowych polskich, Warszawa, 1897.

= **Balzer Oswald.** Historya ustroju Austryi w zarysie, Lwów, 1899.

= **Dunajewski Julian.** Mowy w sejmie krajowym i w Radzie państwa, Kraków, 1899.

= **Górski Ludwik.** Ochronki wiejskie, Warszawa, 1899.

= **Jezienicki M.** Celniejsze utwory łacińskie Janickiego, Kochanowskiego i Sarbiewskiego ze wstępem i objaśnieniami, część II, Lwów, 1899.

= **Kasprowicz Jan.** Bunt Napierskiego, poemat dramatyczny, Lwów, 1899.

= **Kraushar Aleksander.** Bonneau, ostatni konsul generalny Rzeczypospolitej francuskiej za Stanisława-Augusta, 1759—1805, Kraków, 1900.

= **Lewicki Anatol.** Unia florencka w Polsce (odbitka XXXVIII tomu Rozpraw Wydziału histor.-filoz. Akademii umiej.), Kraków, 1899.

= **Lutosławski Wincenty.** Źródła pesymizmu, Kraków, 1899.

= **Łuszczkiewicz Władysław.** Najstarszy Kraków na podstawie badania dawnej topografiii, Kraków, 1899.

= **Pazdanowski T.** Pieśni polskie protestanckie w XVI w. (Sprawozdanie c. k. gimnazyum w Jaśle za r. n. 1899).

= **Leciejewski J.** Pierwiastki starożytne w pieśniach ludowych słowiańskich. (Sprawozdanie dyrektora c. k. IV gimnazyum we Lwowie za r. n. 1899)

= **Maślak Włodzimierz.** Charakterystyka ód Naruszewicza i ich znaczenie we współczesnej literaturze (Sprawozdanie c. k I gimnazyum w Przemyślu za rok szkolny 1899).

= **Świętochowski Aleksander.** Pisma, tom V i VI, Utwory dramatyczne, Kraków—Warszawa, 1899.

= **Tretiak Józef.** Puszkin i Rosya, Kraków, 1899.

= **Wróblewski Kazimierz.** Bronisław Trentowski, 1807 — 1869, Lwów — Warszawa, 1899.

= **Zakrzewski Wincenty.** Historya powszechna na klasy wyższe szkół średnich: Tom I — Historya starożytna, Tom III — Historya nowożytna, Kraków 1899.

= **Caro J.** Dzieje Polski, tom V, Warszawa, 1899.

= **Pepłowski St.** Z papierów po Fredrze, Kraków, 1899.

= **Życiorysy sławnych Polaków:**

№ 11. **Stanisław Konarski** przez H. Wernica.

№ 12. **Jan Kochanowski** przez Wł. Nehringa.

№ 13. **Jędrzej Śniadecki** przez L. Świeżawskiego.

№ 14. **Michał Czajkowski, Sadyk-pasza** przez Fr. Rawitę-Gawrońskiego.

№ 15. **Józef Bohhan Zaleski** przez M. Mazanowskiego.

№ 16. **Stanisław Moniuszko** przez B. Wilczyńskiego, Petersburg, 1900.

= **Carus P.** Buddhism and its christian critics, London, 1899.

= **Heinrich W.** Die moderne physiologische Psychologie in Deutschland (2 Ausg.), Zürich, 1899.

= **Hertz F. O.** Die agrarischen Fragen im Verhältniss zum Socialismus, Wien, 1899.

= **Masaryk Th. G.** Die philosophischen und sociologischen Grundlagen des Marxismus, Wien, 1899.

= **Roscher W.** System der Volkswirtschaft, 3 Bd. (7 Aufl.), Stuttgart, 1899.

= **Voigt M.** Römische Rechtsgeschichte, Stuttgart, 1899.

= **Handbuch.** der klas. Altertums-Wissenschaft, hrsg. von I. von Müller 8 Bd. Geschichte der röm Litt.: Die augustische Zeit (2 Aufl), München, 1899.

= **Jahrbuch** der deutschen Shakespeare-Gesellschaft, 35 Jahrg., Berlin, 1899.

= **Moore E.** Studies in Dante, London, 1899.

= **Spingarn J. E.** A history of literary criticism in the Renaissance, New-York, 1899.

= **Wiener L.** The history of Yiddisch literature in the nineteenth Century, London, 1899.

= **Aveling E.** Die Darwinsche Teorie (4 Aufl.), Stuttgart, 1899.

= **Leben E.** Histoire abrégée de l'astronomie, Paris, 1899.

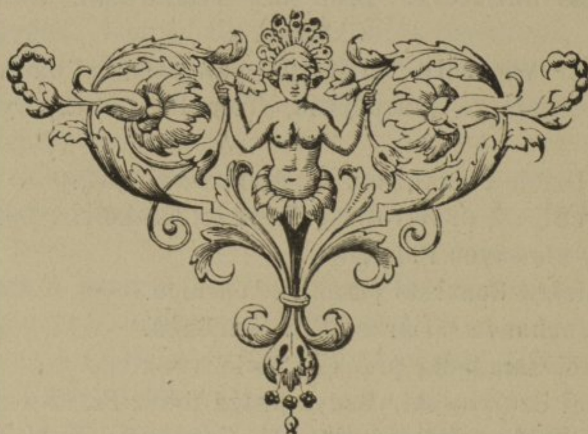
= **Friedjung H.** Der Kampf um die Vorherrschaft in Deutschland 1859 bis 1866, 2 Bd. (3 Aufl), Stuttgart, 1899.

= **Simond Ch.** La vie parisienne au XIX-e siècle, Paris, 1899.

= **Ulmann H.** Russisch-preussische Politik unter Alexander I und Friedrich-Wilhelm III bis 1806, Leipzig, 1899.

= **Wittichen P.** Die polnische Politik Preussens 1788—90, Göttingen, 1899.

= **Bode W.** Rembrandt, Geschichte seines Lebens und seiner Kunst, 3 Bd. Paris, 1899.



Z żałobnej karty.

† Józef Majer

urodzony w roku 1808 w Krakowie, zmarł tamże 3 lipca r. b. Dziecię ludu krakowskiego, w rodzinnem swem mieście kończył nauki szkolne i studya uniwersyteckie, tam też uzyskał stopień doktora medycyny. Od 1831 r. nauczyciel farmokologii przy uniwersytecie jagiellońskim, potem zastępca profesora, wreszcie od 1850 roku profesora, wreszcie od 1850 roku przez lat 27 zajmował katedrę fizyologii. Dwa razy był rektorem w trudnych nader dla uniwersytetu okolicznościach. Od 1848 r. przez lat 4 piastował godność prezesa Towarzystwa naukowego krakowskiego, a od chwili założenia Akademii umiejętności, powołany do przewodniczenia tej instytucyi, przez lat 18 sprawował trudne te obowiązki. Dopiero w 1891 r. 80-letni starzec, żegnany powszechnym żalem, usunął się ze swego stanowiska. Celniejsze dzieła ś. p. Majera — to „Fizyologia układu nerwowego" (1834), „Fizyologia zmysłów" (1837), „Zwrócenie uwagi na związek między ciałkami zwojowemi a włóknami nerwowemi" (1850), wreszcie owoc benedyktyńskiej pracy „Literatura fizyografii ziemi polskiej" (1862).

† Feliks Rybarski

nauczyciel języków starożytnych gimnazyum w Kielcach, zakończył życie tamże w dniu 29 sierpnia r. b. w 55 roku życia. Zmarły, były wychowaniec wydziału historyczno-filologicznego b. Szkoły Głównej, oddawał się z zapałem poszukiwaniom archiwalnym, których rezultatem było kilka cennych przyczynków do biografii ludzi zasłużonych w naszej historyi i literaturze. Studya swoje zamieszczał przeważnie w „Ateneum", między innemi: „Nowe dokumenta odnoszące się do Jana Chryzostoma Paska" (Ateneum, 1878, III), „Dokumenty odnoszące się do Mikołaja Reja z Nagłowic i jego rodziny" (Ateneum, 1880, III), „Przyczynek do życiorysu Wespazyana Kochawskiego i jego rodziny" (Ateneum, 1897, IV).

---

† Henryk Elsenberg

zdolny publicysta, współwłaściciel „Opiekuna domowego", potem zamienionego na „Tygodnik Powszechny", współpracownik „Przeglądu Tygodniowego", „Niwy" (dawnej), „Gazety Handlowej", jeden z założycieli „Dziennika Łódzkiego", pierwszego pisma polskiego w Łodzi, tłómacz Monteskiusza, zmarł w pierwszych dniach września r. b. w Nauheim; w kołach palestry łódzkiej, której zmarły był jednym z dzielniejszych pracowników, śmierć jego budzi ogólny żal.





Wydawcy: *Wł. Spasowicz* i *St. Łaguna.*
Redaktor: *Ignacy Chrzanowski.*